

AUTORKA BESTSELLERÓW
Z PIERWSZYCH MIEJSC „NEW YORK TIMESA”

J.R. WARD

DOLA ANIOŁÓW

CYKL KRÓLOWIE BOURBONA

MARGINESY



J.R.
WARD

DOLA
ANIOŁÓW

PRZEŁOŻYŁA AGNIESZKA WILGA

MARGINESY

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Słowo od autorki

Osoby dramatu

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Podziękowania

Przypisy

Tytuł oryginału THE ANGELS' SHARE
Przekład AGNIESZKA WILGA

Redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA
Redakcja EWA POLAŃSKA
Korekta ANNA SIDOREK, JAN JAROSZUK
Projekt okładki ANTHONY RAMONDO
Adaptacja projektu okładki, opracowanie graficzne ANNA POL
Zdjęcia na okładce © Simon Watson / Stone / Getty Images
© Car Culture / Getty Images
© Djgis / Shutterstock Images
Łamanie **manufaktura** | manufaktu-ar.com

The Angels' Share

Copyright © Love Conquers All, Inc., 2016

All rights reserved including the right of reproduction in whole or in part in any form.

This edition published by arrangement with the New American Library, an imprint of Penguin Publishing Group, a division of Penguin Random House LLC.

Copyright © for the translation by Agnieszka Wilga

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2017

Warszawa 2017

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-65780-48-5

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.

ul. Forteczna 1a

01-540 Warszawa

tel. 48 22 839 91 27

e-mail: redakcja@marginesy.com.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

*Dedykację prosto z serca otrzymuje
LeElla Janine Scott*

Słowo od autorki

Terminu „dola aniołów” używają gorzelnicy produkujący bourbona. Młody trunek wlewa się w osmalone dębowe beczki, żeby w nich dojrzał – proces ten może trwać dwanaście lat lub jeszcze dłużej. Beczki przechowuje się w nieocieplanych budynkach, a pod wpływem naturalnych zmian klimatu właściwych czterem wspaniałym porom roku w stanie Kentucky drewno pęcznieje i kurczy się w zależności od temperatury, cały czas wchodząc w interakcję z leżakującym w środku bourbonem i nadając mu coraz więcej smaku i aromatu. Tak dynamiczne środowisko wraz z upływem czasu tworzy ostateczną alchemię odpowiedzialną za najbardziej charakterystyczny, najlepiej znany i cieszący się największą popularnością lokalny produkt. W procesie tym pewna część trunku wyparowuje i wchłania się w drewno. Tę stratę, która może wynosić około dwóch procent rocznie w stosunku do pierwotnej objętości (co zależy między innymi od wilgotności powietrza, wahań temperatury, jak również liczby lat przeznaczonych na dojrzewanie), nazywa się „dolą aniołów”.

Choć istnieje całkiem racjonalne i logiczne wyjaśnienie tego zjawiska, bardzo podoba mi się romantyczna koncepcja, wedle której do beczkowni prastarych gorzelnii w Kentucky podczas swoich ziemskich eskapad zagląдают czasem anioły i pozwalają sobie uszczknąć odrobinę dojrzewających trunków. Może w czasie derby, gdy jest już ciepło, przyrządzają sobie z nich miętowe koktajle, a z kolei w miesiącach zimowych popijają czystego bourbona? Może dodają go do swoich tart z orzechami, a może doprawiają nim czekoladki?

Jak miałam okazję się przekonać, przykłady spożytkowania dobrego bourbona można mnożyć bez końca.

Myszę jednak, że pojęcia „dola aniołów” można też użyć do opisan

naturalnego procesu, który jest przyczyną zmian zachodzących w nas wszystkich wraz z upływem czasu. Chłód i skwar naszych doświadczeń i losów powoduje, że nasze uczucia, myśli i wspomnienia kurczą się i rozszerzają, aż koniec końców stajemy się zupełnie nowymi ludźmi, tak jak bourbon po leżakowaniu jest zupełnie innym płynem niż ten, który wlewano do beczek. W obu tych procesach jakąś część całości trzeba poświęcić.

Składamy się z tych samych podstawowych elementów, z których nas stworzono, ale cały czas się zmieniamy i nigdy nie wracamy do dawnej postaci. Jeśli mamy trochę szczęścia i rozumu, wówczas w odpowiednim czasie zostajemy wyzwoleni, a dzięki temu udoskonaleni. Jeśli jednak każe nam się dojrzewać zbyt długo, może się okazać, że już nie da się nas uratować.

Ludzki los czasem zależy od tego, czy coś dokona się w samą porę.

Osoby dramatu

Virginia Elizabeth Bradford Baldwin, zwana też Młodsza V.E.

Wdowa po Williamie Baldwinie, matka Edwarda, Maxa, Lane'a i Gin Baldwinów, a przy tym potomkini Elijaha Bradforda, założyciela Bradford Bourbon Company. Żyje w odosobnieniu, a jej silne uzależnienie od leków ma wiele przyczyn, z których część mogłaby podważyć fundamenty życia rodzinnego.

William Wyatt Baldwin

Nieżyjący mąż Młodszej V.E., ojciec Edwarda, Maxa, Lane'a i Gin Baldwinów, a także syna Rosalindy Freeland – również już nieżyjącej rodzinnej księgowej – oraz nienarodzonego jeszcze dziecka Chantal, z którą właśnie rozwodzi się Lane. Za życia pełnił funkcję prezesa Bradford Bourbon Company. Człowiek o wielkich aspiracjach i bardzo niskich standardach moralnych, pozbawiony skrupułów. Jego ciało zostało niedawno znalezione na brzegu rzeki Ohio, nieco poniżej wodospadów.

Edward Westfork Bradford Baldwin

Najstarszy syn Młodszej V.E. i Williama Baldwin'a. Formalnie główny kandydat do przejęcia sterów w Bradford Bourbon Company. Po potwornych przeżyciach, gdy na zlecenie własnego ojca został porwany i przez wiele dni torturowany, jest obecnie cieniem dawnego siebie, odwrócił się od rodziny i osiadł w stadninie Red & Black.

Maxwell Prentiss Baldwin

Drugi syn Młodszej V.E. i Williama Baldwin'a. Jako czarna owca w rodzinie

przez wiele lat trzymał się z dala od Easterly – zabytkowej posiadłości Bradfordów w Charlemont w stanie Kentucky. Powrót tego zabójczo przystojnego zbuntowanego skandalisty na łono rodziny budzi kontrowersje nie tylko wśród jej członków.

Jonathan Tulane Baldwin, nazywany Lane'em

Najmłodszy syn Młodszej V.E. i Williama Baldwin'a. Wytrawny pokerzysta, a dawniej również playboy, obecnie usiłujący rozwieść się ze swoją pierwszą żoną. Wskutek chaosu w rodzinnych finansach związanego z potężną defraudacją dokonaną w Bradford Bourbon Company musiał nagle stać się głową rodziny. W tej roli jeszcze bardziej niż zwykle wspiera go miłość jego życia – Lizzie King.

Virginia Elizabeth Baldwin (wkrótce Pford), znana jako Gin

Najmłodsze dziecko i jedyna córka Młodszej V.E. i Williama Baldwin'a. Żądna uwagi, przekorna buntowniczką i zakała rodu, zwłaszcza odkąd urodziła nieślubne dziecko jeszcze na studiach, które ledwo ukończyła. Wkrótce ma wyjść za Richarda Pforda, spadkobiercę ogromnej fortuny i rodzinnej firmy zajmującej się dystrybucją trunków.

Amelia Franklin Baldwin

Córka Gin i jedynego mężczyzny, którego Gin kiedykolwiek kochała – Samuela T. Lodge'a. Uczy się w Hotchkiss School w stanie Connecticut i jest nieodrodną córką swojej matki.

Lizzie King

Dyplomowana ogrodniczka pracująca w Easterly już od prawie dekady i dbająca o to, żeby ogrody Bradfordów służyły z rzadkich okazów roślin i przepięknych kwiatów. Zakochana w Lanie Baldwinie i całym sercem zaangażowana w związek z nim – choć niekoniecznie we wszystkie dramaty rodzinne Bradfordów.

Samuel Theodore Lodge Trzeci

Świetnie ubrany i zabójczo przystojny bezpruderyjny prawnik z szacownej rodziny z Południa. Jedyny w świecie mężczyzna naprawdę oddziałujący na Gin. Nie ma pojęcia, że Amelia jest jego córką.

Sutton Endicott Smythe

Nowa prezes Sutton Distillery Corporation – największego rywala Bradford Bourbon Company na rynku. Świetnie sobie radzi w interesach, ale jej życie uczuciowe od lat tkwi w martwym punkcie, ponieważ kocha się w Edwardzie Baldwinie, a nikt inny nie może się z nim równać.

Shelby Landis

Córka Jeba Landisa – legendy wyścigów konnych. To od jej ojca Edward nauczył się wszystkiego, co wie o koniach. Silna, pracowita dziewczyna, która postanawia zaopiekować się Edwardem, nawet wbrew jego woli.

Aurora Toms

Od kilkadziesiąt lat szefowa kuchni w Easterly. Potrafi serwować zarówno tradycyjne potrawy z Południa, jak i najbardziej wyszukane dania kuchni francuskiej. Nie znosi sprzeciwu, ale ma wielkie serce. Śmiertelnie chora na raka. Dla Lane'a, Edwarda, Maxa i Gin odgrywa rolę matki i jest dla nich punktem odniesienia w kwestiach etycznych.

Edwin „Mack” MacAllan

Naczelny gorzelnik Bradford Bourbon Company. Próbując wyhodować nowy szczep drożdży, ściga się z czasem i walczy z ograniczonym budżetem, żeby tylko nie musieć zamknąć destylarni. Od dawna (a może nigdy?) nie był zakochany. Jego jedyną miłością jest praca.

Chantal Blair Stowe Baldwin

Piękność nieskazana żadną głębszą myślą. Pierwsza żona Lane'a, z którą

właśnie się on rozwodzi. Wkrótce ma urodzić dziecko z nieprawego łoża, spłodzone przez Williama Baldwine'a. Odgraża się, że zdradzi, kto jest ojcem dziecka, jeśli Lane nie spełni jej żądań finansowych.

Rosalinda Freeland

Nieżyjąca księgowa posiadłości rodzinnej Bradfordów. Popęliła samobójstwo w swoim gabinecie, zażywając szalej. Matka osiemnastoletniego Randolpha Damiona Freelanda, pochodzącego z jej skrywanego związku z Williamem Baldwine'em.

Charlemont Courier Journal

NEKROLOGI

WILLIAM W. BALDWINE

Przed dwoma dniami pan William Wyatt Baldwin stanął przed obliczem miłosiernego Pana. Ten światowej klasy biznesmen, filantrop i przywódca lokalnej społeczności przez trzydzieści sześć lat pełnił funkcję prezesa Bradford Bourbon Company. Dzięki jego staraniom rozpoczęła się nowa era w historii bourbona, a roczny dochód firmy wzrósł do miliarda dolarów.

Był człowiekiem wielce oddanym rodzinie. Oplakują go pogrążeni w żałobie: wierna żona Virginia Elizabeth Bradford Baldwin, jego ukochane dzieci Edward Westfork Bradford Baldwin, Maxwell Prentiss Baldwin, Jonathan Tulane Baldwin i Virginia Elizabeth Baldwin, jak również najukochańsza wnuczka Amelia Franklin Baldwin.

Pożegnanie zmarłego oraz kameralny pogrzeb pozostają w gestii jego rodziny. Zamiast kwiatów można w jego imieniu przekazać darowiznę na rzecz Uniwersytetu Charlemont.

Most Big Five, Charlemont, Kentucky

Jonathan Tulane Baldwine wychylił się przez barierkę nowego mostu łączącego Charlemont w stanie Kentucky z sąsiadującym z nim miastem New Jefferson w stanie Indiana. Piętnaście metrów niżej płynęła rzeka Ohio, w której odmętach odbijały się kolorowe światełka zdobiące każde z pięciu przęseł mostu. Stanął na palcach i przez chwilę zdawało mu się, że leci w dół, ale było to tylko złudzenie.

Wyobrażał sobie, jak jego ojciec skacze z tego właśnie miejsca na spotkanie śmierci.

Ciało Williama Baldwine'a znaleziono dwa dni wcześniej nieco poniżej wodospadów na rzece Ohio. Pomimo wszystkich życiowych osiągnięć i wielkich ambicji zakończył on swój ziemski żywot przy hangarze dla łodzi, gdzie jego sponiewierane szczątki zaplątały się w liny koło starego trawlera wartego jakieś dwieście, góra trzysta dolarów.

Co za upokorzenie!

Jakie to uczucie tak spadać? Pewnie poczuł na twarzy nagły pęd powietrza, gdy siła ciężenia pchała go prosto w wodę. Ubranie musiało mu trzepotać niczym flaga, smagając korpus i kończyny. Oczy zapewne łzawiły, choćby od samego podmuchu, a może nawet z powodu nagłych emocji?

Nie, raczej od podmuchu.

Uderzenie o tafelę wody musiało boleć. A potem co? Panika i nagłe wciągnięcie przez nos tej obrzydliwej cieczy? Dławiące uczucie duszenia? Czy też w wyniku uderzenia stracił po prostu przytomność i nie musiał się już niczym przejmować? Albo... Może w tej końcowej chwili, w wyniku nagłego

skoku adrenaliny wywołanego upadkiem nastąpił zawał serca – kłujący ból pośrodku klatki piersiowej promieniujący wzdłuż lewego ramienia i uniemożliwiający pływanie, które mogłoby mu uratować życie? Czy wciąż był przytomny, gdy uderzyła w niego barka węglowa, której śruba go przemieliała? Jedno było pewne: w chwili gdy znalazł się poniżej wodospadów, był już martwy.

Dobrze by było mieć pewność, że drań się nacierpiał – pomyślał Lane.

Świadomość, że William Baldwine odczuwał ból – potworny, dławiący ból połączony z panicznym, nieopanowanym strachem – stanowiłaby dla jego syna wielką ulgę, ukołaby emocje wywołane przez śmierć ojca w odmętach rzeki, w których Lane teraz tonął, choć stał na twardym podłożu.

– Sprzeniewierzyłeś ponad sześćdziesiąt osiem milionów dolarów – rzucił Lane w stronę niewzruszonej otchłani, leniwego nurtu rzeki i obojętnego na wszystko wiatru. – A firma jest zadłużona na jeszcze więcej. Coś ty, do diabła, zrobił z tymi pieniędzmi? Gdzie one się podziały?

Oczywiście nie mógł liczyć na żadną odpowiedź. Nie mógłby zresztą na nią liczyć nawet wówczas, gdyby ojciec wciąż żył i usłyszał te pytania z ust syna.

– A do tego jeszcze pieprzyłeś się z Chantal – wycedził przez zaciśnięte zęby Lane. – Z moją żoną! I to w tym samym domu, w którym mieszka moja matka. Pieprzyłeś się z moją żoną i zrobiłeś jej dziecko!

Wprawdzie małżeństwo Lane'a z Chantal istniało tylko na papierze, do którego podpisania został praktycznie przymuszony, niemniej jednak nawet ta życiowa pomyłka leżała w strefie jego osobistych kompetencji i zamierzał sam sobie z nią poradzić.

– Nic dziwnego, że matka uzależniła się od leków i skrywa się przed światem. Pewnie się dowiedziała o tych skokach w bok i wie, jaki z ciebie drań, podły kutasie.

Lane zamknął oczy i zobaczył trupa – ale nie spuchnięte, plamiste i poszarpane zwłoki ojca leżące na stole w kostnicy, dokąd pojechał, żeby je zidentyfikować. Nie, ukazała mu się postać kobiety siedzącej sztywno w swoim gabinecie w Easterly, schludnie ubranej w skromną spódnicę i doskonale leżącą bluzkę zapinaną na guziki, z równo obciętymi, ledwie nieco

zmierzwionymi włosami i w ubrudzonych trawą sportowych butach zamiast płaskich czółenek, które zwykle nosiła.

Jej twarz wykrzywiała się w koszmarnym grymasie przypominającym szalony uśmiech Jokera.

Co było rezultatem zażytego przez nią szaleju.

Lane znalazł jej ciało na dwa dni przed tym, jak jego ojciec skoczył z mostu.

– To przez ciebie pani Rosalinda nie żyje, skurczybyku. Przez trzydzieści lat pracowała w naszym domu, a ty ją wykończyłeś. Równie dobrze mogłeś sam ją zabić, na jedno by wyszło.

To za jej sprawą Lane dowiedział się o brakach w rodzinnych funduszach. Rodzinna księgową zostawiła coś w rodzaju listu pożegnalnego: pendrive z arkuszem kalkulacyjnym zawierającym listę mocno niepokojących przelewów na konto WWB Holdings.

William Wyatt Baldwine Holdings.

Miała sześćdziesiąt osiem milionów powodów, żeby się zabić. A wszystko wzięło się stąd, że ojciec Lane'a przymuszał ją do łamania zasad etyki, aż w końcu poczucie przyzwoitości kompletnie ją złamało.

– Wiem też, co zrobiłeś Edwardowi. Wiem, że to również twoja wina. Zleciłeś uprowadzenie własnego syna jakimś południowoamerykańskim zbirom. To na twoje polecenie go porwali, a ty odmówiłeś zapłacenia okupu, skazując go tym samym na śmierć. Chciałeś pozbyć się rywala w interesach, jednocześnie pozując na ojca pogrążonego w rozpacz. A może zrobiłeś to właśnie dlatego, że on wpadł na trop twoich machlojek?

Edward wprawdzie przeżył, ale stał się cieniem dawnego siebie, o mocno zaburzonym rytmie serca. Nie był już kandydatem na prezesa rodzinnej firmy, godnym następcą tronu.

William Baldwine wyrządził tyle zła...

A to tylko sprawy, o których Lane akurat jakoś zdołał się dowiedzieć. Co jeszcze może wyjść na jaw?

Oraz nie mniej ważne pytanie: co z tym wszystkim zrobić? Co on ma z tym zrobić?

Czuł się tak, jakby stał na mostku kapitańskim wielkiego okrętu, który właśnie znosiło na skaliste wybrzeże i któremu lada chwila miała się oberwać płetwa sterowa.

Czując nagły przyływ sił, przerzucił nogi przez solidną metalową barierkę. Jego mokasyny opadły na półkę o szerokości piętnastu centymetrów, stanowiącą krawędź mostu. Serce waliło mu jak młotem, z dłoni i stóp jakby odpłynęła krew, w ustach zaschło mu tak, że aż nie mógł przełknąć śliny. Zwieszona wzdłuż tułowia ręce wyciągnął nieco w tył i chwycił od dołu barierkę, po czym wychylił się jeszcze bardziej, patrząc w przepaść poniżej.

Jakie to uczucie?

Mógłby teraz skoczyć albo po prostu zrobić krok przed siebie i... spadać, spadać, spadać, aż dowiedziałby się już na pewno, co się czuje w takiej chwili. Czy gdyby teraz spadł, wypłynąłby potem przy tym samym hangarze dla łodzi? Czy jego ciało również natrafiłoby pośród brudnego nurtu rzeki Ohio na śrubę barki i zostało przez nią zmasakrowane?

W głowie wciąż rozbrzmiewały mu jasno i wyraźnie słowa wypowiedziane z silnym południowym zaśpiewem przez jego mamunię: „Pan Bóg nie daje nam zadań, co ich nie damy rady dźwignąć”.

Wiara Aurory pozwoliła jej uporać się z wieloma trudnościami, które przeciętnemu człowiekowi trudno byłoby znieść. Jako Afroamerykanka dorastająca na Południu w latach pięćdziesiątych doświadczyła dyskryminacji i niesprawiedliwości w stopniu, jakiego Lane nie potrafił sobie nawet wyobrazić. A jednak nie tylko przetrwała, ale też ukończyła szkołę gastronomiczną i prowadziła kuchnię w Easterly w stylu znacznie przewyższającym możliwości niejednego francuskiego mistrza. A do tego jak nikt inny matkowała zarówno jemu, jak i jego braciom i siostrze, dzięki czemu dla wielu osób stała się prawdziwą duszą Easterly, ich jedyną ostoją.

A dla niego – światłem przewodnim stanowiącym jedyny jasny punkt na horyzoncie. Przynajmniej dopóki nie spotkał Lizzie.

Żałował, że nie ma w sobie takiej wiary jak Aurora. A zresztą – Boże drogi! – przecież Aurora wierzyła nawet w niego, wierzyła, że on zdoła jakoś to wszystko odwrócić, ocalić swoją rodzinę, stać się mężczyzną, którym jej

zdaniem mógł być.

Stać się mężczyzną, jakim jego ojciec nigdy nie był, pomimo całej spowijającej go otoczki zamożnego człowieka sukcesu.

Skoczyć, mógł sobie po prostu skoczyć. I po sprawie.

Czy tak właśnie myślał jego ojciec? Gdy już wyszły na jaw wszystkie jego kłamstwa i przekręty, gdy śmierć pani Rosalindy stała się zapowiedzią całej serii koszmarnych odkryć... Czy William Baldwin zjawił się tu, ponieważ w pełni zdawał sobie sprawę ze skali swoich czynów i ogromu tego, co miało wkrótce wyjść na jaw? Czy zrozumiał, że to koniec gry, że jego czas się skończył, a wcześniejsze sukcesy finansowe nie wystarczą do rozwiązania problemów, które stworzył?

Czy może chciał tylko upozorować własną śmierć, ale niechcący udało mu się do niej doprowadzić?

Czy na jakimś koncie zagranicznym albo w skarbcu któregoś ze szwajcarskich banków znajdowały się – zdeponowane na nazwisko ojca lub kogoś innego – wyprowadzone z firmy pieniądze?

Tak wiele pytań, a odpowiedzi brak. Jeśli dodać do tego stres wynikający z konieczności opanowania całego tego chaosu, można już tylko oszaleć.

Lane ponownie utkwiał spojrzenie w wodzie. Z tej wysokości ledwo dostrzegał jej toń. Właściwie nie widział nic... oprócz czerni zdającej się gdzieś lekko połyskiwać.

Poczuł, że w drodze wybranej przez jego tchórzliwego ojca jest coś pociągającego, działającego niczym siła grawitacji, ale przynajmniej prowadzącego ku rozwiązaniu, nad którym w pełni się panuje. Jedno mocne uderzenie i następuje ostateczny koniec – nie ma już zrad, strat i trupów, znika to całe ognisko zapalne, które coraz trudniej opanować i o którym lada chwila miałyby się dowiedzieć opinia publiczna. W jednej chwili znikają wszystkie zmartwienia.

Czy w życiu jego ojca zdarzały się bezsenne noce? Czy dręczyło go sumienie? Gdy tak tutaj stał, czy przez chwilę wciąż jeszcze rozważał, czy powinien polecieć i raz na zawsze odciąć się od potwornego bałaganu,

którego narobił? Czy choć raz zastanowił się nad konsekwencjami swoich czynów? Czy miał świadomość, że fortuna, której wypracowanie zajęło ich rodzinie ponad dwieście lat, została roztrwoniona, i to wcale nie przez całe pokolenie, tylko przez niego samego w rok czy dwa?

W uszach Lane'a świszczą wiatr, jakby go namawiał do skoku.

Jego starszy brat Edward, wcześniej uosobienie doskonałości, niestety nie wyprowadzi już rodziny na prostą. Ich jedyna siostra Gin potrafi myśleć wyłącznie o sobie samej. Jego drugi brat Maxwell trzy lata temu przepadł bez wieści.

Ich otumaniona lekami matka nie opuszcza łóżka.

Wszystko więc spoczywa w rękach Lane'a: byłego playboya, pokerzysty bez żadnego znaczącego doświadczenia w finansach, zarządzaniu ani w ogóle jakimkolwiek praktycznym zajęciu.

Koniec końców mógł się pochwalić tylko tym, że zdobył serce dobrej kobiety.

Jednak w obliczu tak brutalnej rzeczywistości nawet to mu raczej nie pomoże.

Pikapy Toyoty zwykle nie rozwijają prędkości stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Zwłaszcza dziesięcioletnie.

Na szczęście prowadzący ją kierowca był w pełni rozbudzony, choć minęła dopiero czwarta rano.

Lizzie King z całej siły zaciskała dłonie na kierownicy i maksymalnie dociskała pedał gazu, zmierzając autostradą ku wzniesieniu.

Obudziła się w swoim domu na farmie sama. Jeszcze niedawno nie byłoby w tym nic dziwnego, ale ostatnio wszystko się zmieniło, odkąd w jej życie ponownie wkroczył Lane Baldwine. Bogaty playboy oraz główna ogrodniczka jego rodzinnej posiadłości w końcu się ze sobą na poważnie związali, a pomimo wszystkich dzielących ich różnic więzy łączącego ich uczucia okazały się silniejsze niż połączenia między atomami diamentu.

Wiedziała, że będzie przy nim trwać, cokolwiek miałyby się zdarzyć.

Znacznie łatwiej jest zresztą wyrzec się niesłychanego bogactwa, jeśli się go wcześniej nie zaznało ani nie pragnęło – zwłaszcza zaś jeśli miało się okazję zajrzeć za te połyskujące story i na własne oczy zobaczyć smętne spustoszenie kryjące się pod powierzchnią prestiżu i luksusu.

Boże drogi, Lane żyje teraz w tak wielkim stresie...

Wstała więc z łóżka, zeszła po skrzypiących schodach i pokręciła się chwilę po parterze swojego wiejskiego domku.

Wyjrzała na zewnątrz i zauważyła, że przy kłonie rosnącym przed jej werandą nie stoi już porsche Lane'a. Zastanawiała się, dlaczego jej nie powiedział, że gdzieś sobie jedzie, i zaczęła się mocno niepokoić.

Minęło ledwie parę nocy od chwili, w której William Baldwin odebrał sobie życie, i tylko parę dni od momentu, gdy jego ciało znaleziono na brzegu rzeki Ohio poniżej wodospadów. Od tamtej pory Lane zdawał się nieobecny, jakby w głowie wciąż kłębiły mu się myśli o brakach w rodzinnych finansach, papierach rozwodowych, które dopiero co przekazał swojej pazernej żonie, nieopłaconych rachunkach za utrzymanie rezydencji, dramatycznej sytuacji w Bradford Bourbon Company, okropnym stanie fizycznym jego brata Edwarda i chorobie pani Aurory.

Ale ani słowem o tym wszystkim nie wspominał. Jedynym sygnałem świadczącym o odczuwanej przez niego presji była bezsenność. Lizzie bardzo to martwiło. Przy niej zawsze starał się panować nad emocjami – pytał o jej pracę w ogrodach Easterly, masował jej obolałe ramię, robił kolację, zwykle dość nieporadnie, ale kto by się tym przejmował. Gdy już wreszcie udało im się wyjaśnić wszystkie wcześniejsze nieporozumienia między sobą i w pełni zaangażować w ten związek, Lane praktycznie zamieszkał u Lizzie – a choć ją samą bardzo cieszyła jego stała obecność, to jednak wciąż odczuwała lęk, że lada chwila całkiem straci z nim kontakt.

Czasem myślała, że chyba łatwiej by jej było, gdyby ciskał wokół gromy.

Teraz zaś obawiała się, że nadeszła ta chwila. Z jakiegoś powodu zamartwiała się, dokąd Lane mógł pojechać. Pierwsze miejsce, które przyszło jej na myśl, to Easterly – rodzinna posiadłość Bradfordów. A może Stara Destylarnia, gdzie wciąż jeszcze produkowano i przechowywano rodzinny

bourbon? Lub też kościół baptystów, do którego uczęszczała pani Aurora?

Oczywiście próbowała już do niego zatelefonować. Kiedy jednak rozdzwoniła się jego komórka, leżąca na szafce po jego stronie łóżka, Lizzie nie czekała ani chwili dłużej. Szybko się ubrała, złapała kluczyki i pobiegła do swojego pikapa.

Pustą autostradą jechała w stronę mostu, żeby przedostać się na drugą stronę rzeki. Wciąż dociskała pedał gazu, nawet gdy wjeżdżała na wzgórze, a potem z niego zjeżdżała ku brzegowi po stronie stanu Indiana. Jej stary pikap jeszcze bardziej się wówczas rozpędził, przy okazji klekocząc jak szalony, jakby lada chwila miały mu się poobrywać koła lub siedzenia. Lizzie wiedziała jednak, że jej przekłety gruchot nie może się rozlecieć, ponieważ jest jej teraz niezbędnie potrzebny.

Gdzie jesteś, Lane?

Boże drogi, tyle razy pytała go, jak się czuje, a on zawsze odpowiadał: „W porządku”. Tyle mieli okazji, żeby porozmawiać, a on nigdy z nich nie skorzystał. Tyle razy rzucała mu ukradkowe spojrzenia, szukając wszelkich oznak przemęczenia lub załamania. Ale jakoś nie pojawiały się już między nimi żadne większe emocje – od tej chwili w ogrodzie, jednego intymnego, wyjątkowego momentu, gdy odnalazła go siedzącego pod kwitnącymi drzewami owocowymi i powiedziała mu, że całkowicie się co do niego pomyliła, źle go oceniła, a teraz jest gotowa udowodnić siłę swoich uczuć, przekazując mu akt własności swojego domu, który ma wystarczającą wartość, żeby opłacić prawników mogących uratować jego rodzinę przed upadkiem.

Lane mocno ją przytulił, powiedział, że ją kocha, i odmówił przyjęcia tego daru, tłumacząc, że zamierza sam wszystko naprawić, że jakoś odnajdzie sprzeniewierzone fundusze, spłaci ogromne długi, wyprowadzi firmę na prostą i odbuduje rodzinną fortunę.

A ona mu uwierzyła.

Zresztą nadal nie straciła tej wiary.

Ale od tamtej pory Lane coraz bardziej przypominał grzejnik elektryczny: fizycznie obecny i pełen ciepła, ale też całkowicie nieprzystępny i nieczuły.

Lizzie nie miała do niego o to najmniejszych pretensji.

Było to jednak dla niej dość przerażające.

W oddali, po drugiej stronie rzeki jaśniały i migotały światła dzielnicy biznesowej Charlemont, niczym opadająca na Ziemię galaktyka – fałszywy obraz, piękne złudzenie. Most łączący oba brzegi wciąż był jeszcze podświetlony na zielono i różowo z okazji niedawnego derby; wyglądał jak szykowna tęczą prowadząca prosto do ziemi obiecanej. Na szczęście na drogach nie było jeszcze samochodów, Lizzie zamierzała więc dostać się na drugą stronę rzeki, a potem od razu zjechać na River Road i pomknąć na północ na wzgórze Easterly, żeby sprawdzić, czy samochód Lane'a stoi przed rezydencją.

Nie wiedziała, co zrobi potem.

Nowo zbudowany most miał po trzy pasy po wschodniej i zachodniej stronie, ze względów bezpieczeństwa rozdzielone na całej długości betonową barierką. Przez środek konstrukcji biegły rzędy jasnych świateł, a wszystko dookoła lśniło, nie tylko dzięki oświetleniu, ale też dlatego, że most nie zdążył jeszcze poszarzeć od wiatru i deszczu. Został ukończony dopiero w marcu i oddany do użytku na początku kwietnia, dzięki czemu w całej okolicy znacznie zmniejszyły się korki...

Nagle na prawym pasie ruchu zobaczyła zaparkowany samochód – jej mózg go rozpoznał, zanim oczy zdążyły dobrze mu się przyjrzeć.

Porsche Lane'a. Lane'a!

Lizzie nadepnęła na hamulec jeszcze mocniej niż wcześniej na pedał gazu, a jej rozpędzony pikap nagle przeszedł od w pełni rozwiniętej prędkości do stanu nagłego hamowania, z lekkością wersalki wyrzuconej przez okno z pierwszego piętra. Wszystko się zatrzęsło i auto omal nie rozleciało się na kawałki, a co gorsza nadal pędziło przed siebie, jak gdyby stara toyota uznała, że włożyła zbyt wiele trudu w rozwinięcie pełnej prędkości, żeby teraz nagle ot, tak po prostu z niej zrezygnować...

Na krawędzi mostu stała ludzka postać. Na samej krawędzi, nad groźną przepaścią.

– Lane! – wrzasnęła Lizzie. – Lane!

Jej pikap wpadł w poślizg i obrócił się, tak że musiała wykręcić głowę, by nie stracić z oczu ukochanego. Wskoczyła z samochodu, zanim jeszcze całkiem się zatrzymał. Zostawiła otwarte drzwi, włączony silnik, na luznym biegu.

– Lane! Lane!!! Neeee!!!

Lizzie pobiegła w poprzek jezdni i pokonała barierki, które wydały jej się zbyt nędzne jak na zabezpieczenie przed potężnym spadkiem w stronę rzeki.

Lane obrócił głowę w tył...

A wówczas nagle omsknęła mu się dłoń trzymająca metalowy pręt.

W chwili gdy stracił punkt zaczepienia, na jego twarzy pojawiło się zdumienie, czy też raczej szok, który bardzo szybko przeszedł w panikę.

Jego ciało bowiem runęło prosto w pustkę poniżej mostu.

Usta Lizzie otworzyły się na całą szerokość, żeby wypuścić z jej krtani przeraźliwy krzyk.

Poker.

Gdy ciało Lane'a bezwładnie leciało w dół, mając pod sobą tylko słup powietrza dzielący je od toni rzeki Ohio, a w jego żyłach odezwał się spóźniony impuls do ataku lub ucieczki... umysł uczepił się myśli o partii pokera, którą siedem lat wcześniej rozgrywał w hotelu Bellagio w Las Vegas.

Na szczęście upadek przeżywał jakby w zwolnionym tempie.

Siedzieli w dziesięciu wokół stołu do gry na wysokie stawki (na wejście wymagano kwoty dwudziestu pięciu tysięcy dolarów): dwóch palaczy, ośmiu miłośników bourbona, trzech w ciemnych okularach, jeden brodac, dwóch w czapczkach bejsbolowych oraz tak zwany kaznodzieja w dziwnie skrojonym białym jedwabnym garniturze, jaki mógłby nosić Elvis w latach osiemdziesiątych, gdyby odpowiednio wcześniej zrezygnował z kanapek z bananami i masłem orzechowym i dożył czasów, kiedy indywidualizm lat siedemdziesiątych przerodził się w ruch punkowy.

Co jednak bardziej istotne, jak się okazało, dwa miejsca od Lane'a siedział były oficer marynarki wojennej. Kolejni gracze stopniowo odpadali, aż w końcu przy stole zostali tylko oni dwaj. Twarz byłego wojskowego nie zdradzała zupełnie nic – może dlatego, że przeżył już w życiu sytuacje znacznie niebezpieczniejsze niż siedzenie na wyściełanym stołku przy stole obciągniętym zielonym suknem. Miał też dziwne bladozielone oczy i zachowywał się podejrzanie skromnie.

Ciekawe, że ten właśnie gość, którego Lane w końcu pobił parą królów z asem, był ostatnią osobą, jaka przyszła mu na myśl.

No, może przedostatnią.

Lizzie. Boże drogi, zupełnie się nie spodziewał, że Lizzie przyjedzie i go

tam zastanie, a skutki tego zaskoczenia mogą się okazać zabójcze.

O Boże, Lizzie...

Po chwili jednak w głowie Lane'a pojawił się tamten pokerzysta. Opowiadał o swoich doświadczeniach na lotniskowcu pływającym po oceanie. Szkolono ich w skokach z wysokości dziewięciu, dwunastu, piętnastu metrów ponad wodą. Mówił, że jeśli się chce przeżyć, trzeba ustawić całe ciało w odpowiedniej pozycji, zanim się uderzy w taflę wody.

Chodzi o to, żeby jak najbardziej zminimalizować współczynnik oporu.

Dobrze jest lecieć nogami w dół, ale koniecznie skrzyżowanymi w kostkach – jeśli się tego nie dopilnuje, nogi mogą się rozsunąć i wyłamać z miednicy, trzaskając niczym skrzydełka pieczonego kurczaka. Następną rzeczą, o której trzeba pamiętać, to żeby jednym ramieniem osłaniać tułów, dłonią chwytając za łokieć drugiej ręki. Ona zaś powinna kierować się w górę, wzdłuż klatki piersiowej, a rozłożoną dłonią należy zakryć usta i nos. Głowę należy ustawić równo z kręgosłupem, żeby uniknąć wstrząśnienia mózgu lub uszkodzeń odcinka szyjnego.

Trzeba przeciąć taflę wody niczym nóż.

Woda bowiem, jeśli się z nią zderzyć z ogromną prędkością, bardziej przypomina beton niż to, co zwykle wlewa się do szklanki.

Ciało musi być maksymalnie zwarte.

Jak u tych gości, którzy skaczą z klifów.

No i trzeba się modlić, żeby organy wewnętrzne zdołały przy uderzeniu utrzymać się w miejscach, w których są przyczepione do szkieletu. W przeciwnym bowiem razie – jak tłumaczył ten koleś z marynarki – będą przypominać dobrze rozbełtany omlet z warzywami w drodze na patelnię, czyli z wielką prędkością wypełnią wszystkie wolne miejsca w klatce piersiowej.

Lane zwarł ciało, zaciskając wszystkie możliwe mięśnie, żeby jak najbardziej przypominać cienkie, mocne ostrze stalowego noża. Wiatr, Boże drogi, nie tyle świszcział, co raczej ryczał mu w uszach niczym tornado. Ubranie jednak wcale nie trzepotało, a przynajmniej nic takiego nie zarejestrował. W gruncie rzeczy ten lot przypominał poniekąd piaskowanie,

jakby o jego ciało uderzały całe roje cząsteczek.

Czas stanął w miejscu.

Lane'owi zdawało się, że na zawsze zawisł w niebycie, pomiędzy chwilą, kiedy czuł twarde oparcie pod stopami, a momentem zanurzenia w wodnistym grobie, który miał go zaraz pochłoniąć, tak jak wcześniej pochłoniął jego ojca.

– Kocham cię! – krzyknął, czy raczej tylko usiłował krzyknąć, bo trudno było stwierdzić, co właściwie wydobyło się z jego ust, zanim uderzył w taflę wody.

Najmocniej poczuł to uderzenie w biodrach i kolanach – nogi nagle jakby mu się wbiły w korpus. Potem zaś zalała go fala chłodu. W chwili gdy jego mózg zarejestrował ból, nagle całe jego ciało zaczął przenikać coraz większy ziąb.

Rzeka pochłonięła jego klatkę piersiową i głowę, jakby zamknięto je w worku na zwłoki. Miał wrażenie, że spowija go czarna zasłona odcinająca dopływ powietrza, światła i dźwięków.

Wszystko zostało niemal całkowicie wytłumione.

Płyn, myślał. Płyn!

Początkowo ramiona nie chciały go słuchać, kiedy jednak wytracił nieco prędkość, jego nogi poszły w ruch, a następnie – tak! – dłonie zaczęły rozgarniać wodę, która teraz już znów przypominała ciecz, a nie beton. Otworzył oczy – zresztą może wcale nie były zamknięte? – ale poczuł gwałtowne pieczenie, jakby polano je kwasem.

Nie oddychał. Choć czuł nieodpartą potrzebę wypuszczenia z siebie nadmiaru wrażeń i wykonania głębokiego wydechu, ze wszystkich sił próbował jak najdłużej zatrzymać w płucach bezcenny tlen.

Z całej siły machał nogami i rękami, walcząc o życie.

Żeby móc wrócić do kobiety, której już przedtem wcale nie chciał opuszczać – a teraz tym bardziej nie miał takiego zamiaru.

I udowodnić, że wcale nie jest taki sam jak jego ojciec.

Oraz mieć szansę odmienić los swojej rodziny, co do której żywił wielkie obawy, że zmierza prosto ku ostatecznemu bankructwu.

Gdy Lane spadał z mostu, Lizzie pomyślała w pierwszej chwili, że skoczy za nim. Mało brakowało, a pokonałaby barierkę i rzuciła się do rzeki.

Powstrzymała się jednak, bo zdała sobie sprawę, że w ten sposób wcale mu nie pomoże. Jasna cholera, pewnie wylądowałaby mu na głowie w chwili, gdy akurat wynurzyłby się na powierzchnię, żeby zaczerpnąć tchu. Zakładając, oczywiście, że w ogóle... O Boże...

Zaczęła nerwowo szukać telefonu w torebce. Gdzie jest ten...

Ledwo dosłyszała pisk opon samochodu hamującego koło niej. Spojrzała w jego stronę tylko dlatego, że komórka wyslizgnęła jej się z ręki i poleciała właśnie w tym kierunku.

– Skoczył? – krzychał mężczyzna. – Skoczył?

– Spadł! – odkrzyknęła, łapiąc telefon w locie, zanim uderzył o asfalt. – Spadł!

– Mam brata w policji...

– Dziewięćset jedenaście...

Oboje jednocześnie wybrali numer alarmowy. Lizzie obróciła się i stanęła na palcach, spoglądając przez barierkę w dół. Niczego nie mogła dostrzec z powodu otaczających ją świateł oraz łez, które wzbierały jej w oczach. Serce waliło jak oszalałe, a resztkami świadomości zarejestrowała specyficzne mrowienie w dłoniach i stopach. Pot... Było jej tak gorąco, jakby prażyło południowe letnie słońce; miała wrażenie, że ocieka potem.

Trzy sygnały. A jeśli nikt nie odbierze?

Odwróciła się z powrotem w stronę faceta stojącego obok. Spojrzeli na siebie... i wówczas dopadło ją dziwne wrażenie, że zapamięta tę chwilę na zawsze. Możliwe, że on poczuł to samo.

– Halo! – wrzasnęła do słuchawki. – Jestem na moście Big Five! Przed chwilą ktoś...

– Halo! – odezwał się facet koło niej. – Tak, ktoś właśnie skoczył...

– Nie skoczył, tylko spadł! Co? A po co wam moje nazwisko? Przyślijcie tu kogoś! Nie, nie na most! Na dół, na brzeg rzeki...

– ...z tego nowego mostu. Wiem, że masz teraz dyżur... Jesteś tam na dole? Możesz kogoś ściągnąć?

– ...żeby go wyłowić. Nie, nie wiem, czy przeżył! – Lizzie zamilkła na chwilę, żeby pośród paniki zebrać myśli, a następnie powtórzyła zadane jej pytanie. – Kto to jest?

Nawet w tak dramatycznej chwili musiała chwilę się zastanowić, zanim podała jego nazwisko. Każdy strzęp informacji dotyczący Bradfordów zaraz trafiał na nagłówki, i to nie w samym Charlemont, ale w całym kraju, a Lane na pewno by nie chciał, żeby o jego skoku – cholera, nie skoku, tylko upadku – trąbiono w całym kraju. O ile, oczywiście, przeżył.

A niech tam! To sprawa życia i śmierci.

– Nazywa się Lane Bradford, to mój narzeczonny. Pojechałam za nim, bo...

Bełkotała coś dalej, znów odwracając się w stronę rzeki. Jeszcze raz wychyliła się przez barierkę, z nadzieją, że zobaczy, jak głowa Lane'a wydobija się na powierzchnię wody. Boże drogi, w ogóle nic nie widać!

Lizzie podała swoje nazwisko i numer telefonu oraz pozostałe okoliczności zdarzenia, po czym się rozłączyła. Facet koło niej też zakończył rozmowę i teraz coś do niej mówił – że zaraz przyjedzie jego brat albo kuzyn, a może i sam Święty Mikołaj. Ale Lizzie już tego nie słuchała. Miała w głowie tylko jedną myśl: że musi się jakoś dostać do miejsca, w którym jest Lane, musi...

Spojrzała na swojego rozklekotanego pikapa.

A potem na kabriolet Lane'a. Porsche 911 turbo.

W ciągu ułamka sekundy znalazła się za kierownicą jego samochodu. Na szczęście Lane zostawił kluczyk w stacyjce, bez trudu więc odpaliła silnik i wcisnęła gaz do dechy, co dało rezultat zupełnie niepodobny do tego, który znała ze swojej starej toyoty. Z piskiem opon zawróciła i popędziła szosą pod prąd.

Nie ma sprawy. Mogą ją aresztować, ale najpierw będą musieli ją dogonić – a żeby to zrobić, będą musieli dotrzeć na brzeg rzeki.

Zobaczyła przed sobą parę reflektorów, natychmiast więc zjechała na

prawo. Klakson kierowcy jadącego z naprzeciwka rozdzwonił się w jej głowie niczym syrena alarmowa. Mało brakowało, a w wyniku dekoncentracji wypadłaby z jezdni, ale wciąż prowadziła ją jedna myśl – dotrzeć do Lane’a.

Pędząc z prędkością stu trzydziestu kilometrów, skręciła na wjazd na autostradę – na szczęście nikogo akurat na nim nie było. Na dole znów skręciła niezgodnie z przepisami, aż w końcu znalazła się na właściwym pasie. Dalej jednak łamała zasady ruchu drogowego: przeskoczyła krawężnik, przejechała po trawie i wylądowała na lokalnej szosie prowadzącej wzdłuż wybrzeża.

Rozpędziła się do niemal stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

A potem gwałtownie nacisnęła hamulec.

Na brzegu, w wiktoriańskim domu o ciekawej przeszłości znajdowała się lodziarnia należąca do popularnej lokalnej sieci. Działała tu też wypożyczalnia rowerów oraz... łodzi.

Lizzie nie tyle zaparkowała kabriolet Lane’a, ile raczej porzuciła go na trawiastym poboczu, nie troszcząc się o to, że samochód jest przekrzywiony jak czapka pijaka. Zostawiła włączone światła skierowane prosto na rzekę, po czym przeskoczyła przez płot i popędziła krótko przyciętym trawnikiem w stronę przystani. Cumowało tam kilka motorówek, ale oczywiście nie było do nich kluczyków. Była też jedna dość mizerna, wywrotna łódź płaskodenna z silnikiem przyczepnym odpalanym przez pociągnięcie za linkę.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności nie była przypięta kłódką do słupka.

Lizzie wskoczyła do środka i pociągnęła linkę. Już za drugim razem udało jej się uruchomić silnik. Następnie zerwała cumę i ruszyła na środek rzeki. Przypominająca puszkę łódka podskakiwała na falach, a na twarz Lizzie pryskała woda. W świetle rzucanym przez reflektory kabrioletu niewiele dawało się dostrzec, Lizzie wyteęzała więc wzrok, żeby przypadkiem nie wjechać w Lane’a.

Po przebyciu niecałych stu metrów w poprzek rzeki (która zdawała się teraz wielka jak ocean) Lizzie dostrzegła w oddali coś, co uznała za cud.

Cud.

Prawdziwy cud.

3

Lane nigdy by nie podejrzewał, że woda w rzece Ohio może być taka zimna. Ani że brzeg wyda mu się tak odległy, jakby miał do przepłynięcia kanał La Manche. Ani że własne ciało tak mu będzie ciążyć, jakby do stóp przyczepiono mu betonowe bloki. Płuca zaś wcale nie chciały należycie pracować.

Prąd niósł go bardzo szybko – i nie zwiastowało to niczego dobrego, chyba że miał zamiar wylądować poniżej wodospadów, tak jak jego ojciec. Oczywiście jak na złość nieustępliwy nurt rzeki wciąż go znosił ku jej środkowi, jak najdalej od brzegu, musiał więc z nim walczyć, jeśli miał zamiar jakoś się przedostać do...

Gdy powierzchnię wody przecięła jaskrawa wiązka światła zza jego pleców, przez ułamek sekundy pomyślał, że wiara jego mamuni okazała się jednak słuszna, właśnie bowiem przyszedł po niego Jezus, żeby zabrać go do bram raju.

– Mam go! Mam go!

No dobra, głos brzmiał nieco zbyt zwyczajnie jak na istotę biblijną, a poza tym wyraźny południowy akcent wskazywał, że to człowiek, a nie Bóg.

Lane wypluł wodę i przekręcił się na plecy. Musiał zakryć oczy ramieniem, tak go oślepił blask reflektorów.

– Żyje!

Zatrzymała się obok niego łódź kabinowa, która miała z dziesięć metrów długości. Przy wyłączonym silniku obracała się rufą w jego stronę.

Rzucono mu linę, po której podciągnął się bliżej łodzi. Następnie wgramolił się na podest nad śrubami napędowymi i padł na plecy. Patrzył w noc. Nie mógł dostrzec gwiazd – może ginęły w jasnej łunie bijącej od miasta albo miał zbyt zamglony wzrok.

W jego polu widzenia znalazła się twarz kudłatego mężczyzny o siwej brodzie.

– Widzieliśmy ten skok. Na szczęście akurat...

– Z prawej burty ktoś się zbliża!

Zanim jeszcze Lane się odwrócił, od razu wiedział kto to. Po prostu wiedział. I rzeczywiście: gdy światło reflektorów skierowano w odpowiednią stronę, jego oczom ukazała się Lizzie, płynąca ku nim chybotliwą płaskodenną łodzią, której metalowe burty obijały się o powierzchnię wody. Jego silna kobieta siedziała w kucki przy pracującym całą parą silniku przyczepnym, którego jazgot doskonale uzupełniał panikę malującą się na jej twarzy.

– Lane!

– Lizzie! – Dźwignął się i złożył dłonie przy ustach, żeby jego głos dalej się poniósł. – Nic mi nie jest! Dałem radę!

Nicznym wytrawny żeglarz zatrzymała swoją łódź zaraz obok, a Lane, nie zważając na to, że jest całkiem przemoczony i przemarznięty do szpiku kości, rzucił się w jej stronę. A może to ona się na niego rzuciła? Najpewniej zrobili to oboje.

Przycisnął ją mocno do siebie, a ona odwzajemniła uścisk. Po chwili jednak wyrwała się z jego objęć i tak przywaliła mu pięścią w ramię, że o mało na powrót nie wylądował w wodzie.

– Auć!

– Coś ty, do diabła, robił na tym moście?

– Wcale nie chciałem...

– Czyś ty całkiem oszalał?

– Ja wcale...

– Mogłeś się zabić!

– Lizzie, ja...

– Jestem na ciebie po prostu wściekła!

Łódź rybacka kołysała się w przód i w tył, podczas gdy stali jakby do niej przyrośnięci. Lane nie zwracał specjalnej uwagi na to, że całej scenie

przygląda się z zainteresowaniem trzech rybaków na sąsiedniej łodzi.

– Powinnam dać ci w pysk!

– Dobrze, jeśli to ci przyniesie ulgę...

– Nie przyniesie! – warknęła Lizzie. – Nie ma szans! Myślałam, że nie żyjesz!

Zaczęła płakać. Zaklął cicho pod nosem.

– Przepraszam, bardzo cię przepraszam.

Przyciągnął ją znów do siebie i mocno przytulił. Gładził ją po plecach i szeptał do ucha jakieś słowa, których potem nie pamiętał, choć sama ta chwila miała zachować się w jego wspomnieniach już na zawsze.

– Przepraszam... Naprawdę przepraszam...

A Lizzie, jak to ona, wkrótce wzięła się w garść i spojrzała mu prosto w oczy.

– Naprawdę mam ochotę znów ci przywalić.

Lane potarł obolały biceps.

– Zasłużyłem na to.

– Wszystko w porządku? – spytał jeden z mężczyzn, rzucając w ich stronę wypłowiały ręcznik o zapachu ryby. – Zadzwoń pod dziewięćset jedenaście? Czy któreś z was potrzebuje pomocy?

– Już wiedzą – odparła Lizzie.

I rzeczywiście, na moście migotały czerwono-niebieskie światła, podobne zbliżały się też do brzegu rzeki po stronie stanu Indiana.

Świetnie, pomyślał Lane, owijając się ręcznikiem. Po prostu, kurna, świetnie.

– Nic nam nie będzie – powiedział, wyciągając rękę do rybaka. – Dziękuję.

Mężczyzna o siwej brodzie uścisnął mu dłoń.

– Dobrze, że nikomu nic się nie stało. Wie pan, ludzie skaczą z tego mostu. O, w zeszłym tygodniu jeden taki skoczył i się zabił. Znaleźli go tam pod wodospadami, przy hangarze dla łodzi.

Tak, wiem, to mój ojciec – pomyślał Lane.

– Naprawdę? – udał zdziwienie. – A nic nie pisali...

– To hangar mojego kuzyna. O ile wiem, to była jakaś szycha czy coś. Nie chcą za dużo gadać.

– No cóż, przykra sprawa. Znaczy dla jego rodziny, bo pewnie jakąś miał.

– Dziękuję panom – powiedziała Lizzie do rybaków. – Bardzo dziękuję, że go panowie wyciągnęli.

Potem nastąpiła jeszcze jakaś wymiana grzeczności, z której Lane niewiele zapamiętał – poza tym, że rybacy kazali mu zatrzymać ręką, a on im podziękował. Następnie zaś usiadł na środkowej ławce i szczelnie opatulił się wszystkim, co miał, żeby się nie wychłodzić. Tymczasem Lizzie kilkoma mocnymi pociągnięciami odpaliła silnik i pokierowała łódź w stronę brzegu. Lane poczuł mdlący zapach benzyny i oleju silnikowego, co przywiodło mu na myśl wspomnienia z wakacji w dzieciństwie. Gdy oddalali się od łodzi rybackiej, obrócił się, żeby jeszcze raz na nią spojrzeć.

I głośno się roześmiał.

– Co? – spytała Lizzie.

– Popatrz, jak ta łódź się nazywa – odparł. – Nie do wiary!

Wskazał napis namalowany na rufie złotymi literami: „Aurora”.

No jasne, jego mamunia troszczy się o niego, chroni go i ratuje przed zgubą nawet wtedy, gdy jest fizycznie nieobecna.

– To niesamowite – przyznała Lizzie, po czym dodała gazu, a ich łódka pomknęła po falach w stronę brzegu.

Przy każdym mrugnięciu Lane’owi stawała przed oczami przepaść, w którą spadał. Wciąż na nowo przeżywał tę chwilę. I choć właśnie wraz z ukochaną kobietą zmierzał w stronę suchego lądu, myślami nadal był w tej przestrzeni niczyjej, gdzie przed chwilą stracił wszelkie poczucie bezpieczeństwa i gdzie nic prócz niewzruszonego powietrza nie oddzielało go od brutalnego zderzenia z wodą, co do której żywił poważne obawy, że go zabije.

Spojrzał teraz na Lizzie: mierzył wzrokiem ostre rysy jej twarzy, skupione spojrzenie, rozwiane jasne włosy. W miejscach, gdzie ją obejmował, miała mokre ubranie, ale najwyraźniej w ogóle nie zwróciła na to uwagi.

– Kocham cię – powiedział.

– Co?

Pokręcił tylko głową i uśmiechnął się pod nosem. Imię jego mamuni na rufie... jego kobieta u steru...

– Ukradłaś tę łódź? – spytał, przekrzykując ryk silnika.

– Tak! – krzyknęła w odpowiedzi. – Nic by mnie nie powstrzymało! Musiałam cię odnaleźć i tyle!

Dopłynęli do przystani. Lizzie prowadziła łódź wprawną ręką, naciskając dźwignię w kierunku przeciwnym do tego, w którym miał obrócić się dziób, a potem tak zręcznie wycofując, że pomimo silnego prądu ich blaszana miska tylko musnęła pomost.

Lane zarzucił cumę dziobową na słupek, Lizzie zaś zrobiła to samo z rufową. Wyciągnął ku niej dłoń, żeby jej pomóc wejść na pomost. Jednak nie od razu do niego podeszła. Najpierw sięgnęła ręką do kieszeni kurtki. Coś z niej wyjęła i zatknęła za kłapkę wlewu paliwa, a potem samodzielnie wskoczyła na pomost.

– Co to było? – spytał Lane.

– Pięciodolarówka – odpowiedziała. – Zużyłam im trochę benzyny.

Lane przez dłuższą chwilę stał nieruchomo i się w nią wpatrywał, choć po kąpieli w rzece Ohio wciąż był przemarznięty do szpiku kości, a ponadto znajdowali się na terenie prywatnym, na który bezprawnie wkroczyli.

Aha, no i przy szosie właśnie zatrzymywał się radiowóz.

A Lane wciąż przeżywał bezwładne spadanie, połączone z oczekiwaniem rychłej śmierci.

Wyciągnął ręce przed siebie i ujął w dłonie śliczną twarz Lizzie, oświetloną reflektorami samochodu. Pomyślał, że ta kobieta to całkowite przeciwieństwo wszystkiego, co reprezentuje jego rodzina. Pod każdym względem.

Między innymi właśnie dlatego ją kochał. A choć to może dziwne, poczuł nagłą potrzebę scementowania ich związku.

– Słucham? – szepnęła Lizzie.

Zaczął opadać na jedno kolano.

– Lizzie...

– Boże drogi, słabo ci? – Szybkim ruchem postawiła go z powrotem na nogi i potarła mu ramiona. – Zasłabłeś! Chodź, musimy wezwać karetkę!

– Ręce do góry! – padła komenda. – I to już!

Lane spojrzał na migoczące światła i zaklął w duchu. W różnych okolicznościach można się kobiecie oświadczyć, ale jeśli człowiek w kilka minut po śmiertelnie niebezpiecznym locie prosto w odmęty rzeki Ohio wciąż jeszcze ocieka brudną wodą, a do tego otaczają go funkcjonariusze lokalnej policji...

Nie-za-bardzo.

– Zaraz, zaraz – odezwał się jeden z gliniarzy. – Ja wiem, kto to jest. To Lane Bradford, ten...

– Stul dziób – syknął inny.

– Był o nim artykuł...

– Hicks, przymknij się!

Hicks umilkł, a Lane uniósł ręce i patrzył prosto w oślepiający blask reflektorów. Nie widział przed sobą dosłownie nic. Co w pewnym sensie odpowiadało jego ogólnej sytuacji życiowej.

– Mogą mnie aresztować za korzystanie z tej łodzi? – szepnęła Lizzie, unosząc dłonie.

– Zajmę się tym – szepnął Lane. – Nic się nie martw.

Jasna cholera!

Easterly, posiadłość rodziny Bradfordów

– Nienawidzę cię!

Gin Baldwine – najmłodsza z trzech wciąż jeszcze żyjących kobiet w rodzinie Bradfordów noszących imiona Virginia Elizabeth – rzuciła się w stronę lampy, ale nie zdążyła jej chwycić. Może to i lepiej – pomyślała. Podstawę lampy zrobiono z wazonu z japońskiej porcelany imari, który Gin od zawsze bardzo lubiła, a na jej ręcznie wykonanym jedwabnym abażurze prawdziwą złotą nicią wyhaftowano jej inicjały.

Szkoda by było zniszczyć coś tak pięknego – a nie ulega wątpliwości, że gdyby udało jej się tą lampą rzucić, rozbiłaby się w drobny mak.

Nie doszło jednak do tego, ponieważ narzeczony Gin złapał ją za włosy, pociągnął i uniósł, aż szpilki zsunęły jej się z nóg. Przez chwilę czuła się lekka jak piórko, co było nawet dość zabawne, ale zaraz cisnął nią w dół, aż zaboląły ją łopatki, zęby uderzyły o siebie, a bezużyteczna kość ogonowa przypomniwała o swoim istnieniu.

Ból w dolnej części ciała przywołał też wspomnienia z dzieciństwa, gdy ojciec łał ją jednym ze swoich pasków ze skóry aligatora.

Oczywiście stanowczo odmawiała wówczas wyciągania jakichkolwiek wniosków z tych aktów przemocy i pilnowała, żeby nawet w najmniejszym stopniu nie wpływały na jej zachowanie. Zrobiłaby wszystko, by udowodnić, że ojciec nie ma władzy nad jej życiem.

No a od tamtej pory wszystko się przecież cholernie dobrze ułożyło, no nie?

Nad jej głową wyrosła chuda, kanciasta twarz Richarda Pforda.

– Możesz mnie nienawidzić, proszę bardzo. Ale nigdy więcej nie będziesz

mnie tak lekceważyć. Zrozumiano?

Wciąż jeszcze ciągnął ją za włosy, zmuszając tym samym jej kark i kręgosłup do wielkiego wysiłku, nie chciała bowiem, by narzeczony urwał jej głowę.

– Ludzie i tak dobrze wiedzą, co o tobie myśleć, i to od dawna – mruknęła.
– Moje zachowanie nic tutaj nie zmieni.

Spiorunowała go wzrokiem, jednocześnie się uśmiechając. Jego szurze oczka zdradzały, że właśnie wraca wspomnieniami do czasów, gdy oboje chodzili do szkoły, a on – jako wychudzony, pryszczaty, nieznośnie rozpieszczony chłopaczek o głosie Kaczora Donalda – był obiektem licznych drwin, co ugruntowało jego niską samoocenę. Gin należała do szajki bezlitosnych szyderców i nie szczędziła mu złośliwości. Nawet jego bajeczny rodzinny majątek nie zdołał mu zapewnić odpowiedniej pozycji wśród rówieśników, ani tym bardziej nie pozwalał zdobyć którejkolwiek z dziewczyn.

A w młodzieżowym żargonie lat dziewięćdziesiątych nie brakowało form uwłaczających męskiej godności: leszcz, cienias, młot, kołek, wypierdek mamuta.

Richard otrząsnął się z zamyślenia.

– Kiedy mam spotkanie w interesach, na które mojej żony nie zaproszono, to oczekuję, że będzie ona czekać na mnie w domu. – Znow szarpnął ją za włosy.
– A nie lecieć sobie do Chicago...

– Mieszkas w moim domu!

Richard mocniej ją złapał, jakby tresował psa, trzymając go mocno za kark.

– Zwłaszcza w sytuacji, w której wyraźnie jej zakazałem korzystania z moich samolotów!

– Ale przecież gdybym wzięła któryś z floty Bradfordów, to nie miałabym gwarancji, że się o tym dowiesz.

Dezorientacja malująca się na jego twarzy rekompensowała Gin wszystko, co się dotąd stało – jak również to, co miało jeszcze nadejść.

Wyrwała się z jego uścisku i stanęła z powrotem na nogi. Jej suknia od

Gucciego mocno się przekrzywiła, Gin zastanawiała się więc przez chwilę, czy ma tak zostać, czy jednak ją poprawić.

Uznała jednak, że garderoba w nieładzie lepiej się prezentuje.

– Ależ to była boska impreza – zachwycała się. – Obaj piloci też byli boscy. Wiesz, kogo zatrudniać.

Richardowi para poszła uszami i zamierzył się do uderzenia.

– Uważaj na twarz. Mam dobrą wizażystkę, ale podkład wszystkiego nie ukryje! – zaśmiała się Gin.

W jej głowie i całym ciele rozbrzmiewała szalona aria, której nic nie mogło powstrzymać. Na ułamek sekundy pomyślała o matce leżącej w łóżku w swoim apartamencie, niezdolnej do podjęcia jakiegokolwiek życiowego zadania, w czym przypominała bezdomnych narkomanów.

Tyle że ludzie z rodu Bradfordów zamiast na kartonach spali w luksusowej pościeli, a środki odurzające przepisywali im prywatni lekarze, nazywając je „lekami”.

Niezależnie jednak od przyjętej nomenklatury łatwo zauważyć, że stan odurzenia jest znacznie przyjemniejszy niż zmaganie się z rzeczywistością.

– Jestem ci potrzebny – syknął Richard. – A kiedy dokonuję jakiegoś zakupu, chcę, żeby wszystko działało należycie. Jeśli zaś coś nie działa, wyrzucam wadliwy towar do śmieci.

– Ktoś, komu marzy się stanowisko gubernatora Kentucky, powinien wiedzieć, że bicie żony bardzo źle wpływa na wizerunek.

– Oj, żebyś się nie dziwiła. Pamiętaj, że jestem republikaninem.

Gin zerknęła ponad ramieniem Richarda w owalne lustro nad jedną z jej dwóch osiemnastowiecznych włoskich komód w stylu Ludwika XV. Odbijał się w nim idealnie skomponowany obraz ich dwojga: ona ze szminką rozmazaną na twarzy niczym krew, jej błękitna suknia podciągnięta wysoko i ukazująca koronkową górę pończoch, ciemne włosy w potarganych falach, niczym aureola (raczej średnio współgrająca z jej reputacją); on w staroświeckiej koszuli nocnej, z przedziałkiem godnym maklera z Wall Street z lat osiemdziesiątych, wszystkie mięśnie tyczkowego ciała tak

napięte, jakby zaraz miał się przewrócić. A dookoła nich – jedwabne draperie niczym suknie balowe, upięte wokół okien wysokich jak wodospady, antyki godne miejsca w londyńskim Muzeum Wiktorii i Alberta, łoże o rozmiarach sali bankietowej nakryte kołdrą z monogramem.

Tylko oni – w dezabilu, niezdolni do przeprowadzenia uprzejmej rozmowy – byli niczym fałszywy akord w pięknej sonacie, niczym rozdarcie idące przez sam środek obrazu Vermeera, niczym przebita opona w luksusowym rolls-roysie.

Gin jednak ekscytował ten upadek. Widok ich dwojga stojących na skraju szaleństwa dawał jej satysfakcjonujące poczucie wydobywania na światło dzienne czegoś podstępnie ukrytego.

Oboje jednak mieli swoje racje. Jeśli wziąć pod uwagę nagły kryzys finansowy w jej rodzinie oraz jego gubernatorskie ambicje, stanowili związek pasożyta z żywicielem, niebezpieczne połączenie jego odwiecznej słabości do najatrakcyjniejszej niegdyś panny w Charlemont oraz jej nagłej konfrontacji z perspektywą bankructwa.

Ale przecież małżeństwa zawierano już na podstawie znacznie bardziej wątkich przesłanek... takich jak na przykład złudzenie wiecznej miłości, iluzja wierności czy śmiertelnie groźna mikstura zwana przeznaczeniem.

Gin nagle poczuła się zmęczona.

– Kładę się spać – oświadczyła, odwracając się w stronę łazienki. – Nudzi mnie ta rozmowa.

Tym razem chwycił ją już nie za włosy.

– Ale ja jeszcze z tobą nie skończyłem!

Obrócił ją w swoją stronę i mocno przyciągnął do siebie. Ziewnęła mu prosto w twarz.

– Tylko się pospiesz, dobrze? Och, co ja mówię. Przecież zawsze załatwiasz sprawę ekspresowo; to właśnie najbardziej lubię w naszym pożyciu.

Wiejski dom Lizzie, Madisonville, Indiana

– Nie myślałaś chyba, że naprawdę chciałem skoczyć?

Lizzie słuchała, co mówi jej ukochany, siedzący na drugim końcu kanapy, i próbowała się jakoś pozbierać. Ponieważ jednak słabo jej to szło, skupiła się na miętoleniu ręcznie robionej narzuty, którą okryła sobie nogi. Jej niewielki salon znajdował się w przedniej części domu i miał ogromne sześcioczęściowe okno wychodzące na werandę, z widokiem na trawnik i podjazd. Wnętrze utrzymane było w przytulnym wiejskim stylu: na ścianach wisiały zabytkowe narzędzia rolnicze, w rogu stało staroświeckie pianino, plecione dywaniki w żywych kolorach kontrastowały z naturalnym drewnem podłóg.

Jej samotnia zazwyczaj szybko koila skołatane nerwy. Tego ranka jednak nie było to takie proste.

Co za noc! Zanim wyjaśnili policji, co się stało, wyrazili skruchę, uporządkowali sprawy związane z samochodami i wrócili do domu, minęło około dwóch godzin.

Ale gdyby nie kumpel Lane'a, wiceszeryf Mitchell Ramsey, pewnie wciąż jeszcze tkwiliby nad brzegiem rzeki przy wiktoriańskiej lodziarni – lub może siedzieliby w komisariacie. Poddani rewizji osobistej, w kajdankach.

Mitch Ramsey potrafił jednak odpowiednio zadbać o swoich przyjaciół, nawet w najtrudniejszych sytuacjach.

Teraz więc siedzieli na jej kanapie. Lane zdążył już wziąć prysznic i miał na sobie swoją ulubioną bluzę z godłem Uniwersytetu Charlemont, ona zaś przebrała się w jedną z jego koszul i włożyła legginsy. A mimo to, Chryste

Panie, choć był już maj, co na Południu coś przecież znaczy, wciąż czuła się przemarznięta do szpiku kości. Co poniekąd stanowiło chyba odpowiedź na pytanie zadane przez Lane'a.

– Lizzie? Naprawdę myślałaś, że chciałem skoczyć?

– Oczywiście, że nie.

Boże drogi, chyba nigdy nie zapomni tej chwili, gdy stał na krawędzi mostu, odwrócił się, żeby na nią spojrzeć, omsknęła mu się dłoń trzymająca barierkę i poleciał, znikając Lizzie z oczu.

– Lizzie...

Wyrzuciła ręce w górę i powiedziała, starając się (niezbyt skutecznie) panować nad głosem:

– Skoro nie miałeś zamiaru skakać, to coś tam robił, do diabła? Wychylałeś się w stronę rzeki. Tak jakbyś chciał...

– Próbowałem sobie wyobrazić, jakie to uczucie...

– Ponieważ chciałeś się zabić – dokończyła Lizzie ze ściśniętym gardłem.

– Nie. Ponieważ chciałem go zrozumieć.

Lizzie zmarszczyła brwi.

– Kogo? Twojego ojca? – No nie, przecież kogo innego miałyby spróbować zrozumieć? – Lane, naprawdę istnieją inne sposoby, żeby się z tym uporać.

Można na przykład pójść na terapię i siedzieć sobie na jakiejś innej kanapie, czyli spróbować zapanować nad własnym życiem bez ryzyka, że się polecą na spotkanie własnej śmierci.

A wówczas Lizzie nie musiałaby się trapić tym, że przywłaszczyła sobie czyjąś łódkę.

Ciekawe, czy ta pięciodolarówka wciąż jeszcze tkwi w klapce wlewu paliwa...

Lane wyciągnął przed siebie zeszywniałą rękę i zaklął, gdy coś strzyknęło mu w łokciu czy może ramieniu.

– Posłuchaj. Teraz, gdy ojciec nie żyje, nigdy się już od niego niczego nie dowiem. Tkwie w tym pieprzonym bigosie, którego on narobił, a który ja teraz

muszę ogarnąć. Wkurza mnie to jak diabli i nic z tego nie rozumiem. Każdy ci powie, że był z niego kawał drania, i będzie to prawda, ale od takiego stwierdzenia zbyt wiele mi się nie klaruje. Leżałem więc tutaj i gapiłem się w sufit, nie mogąc zasnąć, aż w końcu nie mogłem już tego znieść. Pojechałem na most i przeszedłem przez tę barierkę, żeby stanąć tam, gdzie on stał... Bo chciałem mieć chociaż jakieś wyobrażenie o tym, co on mógł wtedy czuć. Marzyłem o odpowiedziach na moje pytania, a nie mam gdzie ich uzyskać. Przysięgam na duszę Aurory.

Lizzie po chwili pochyliła się w jego stronę i ujęła jego dłoń.

– Przepraszam, myślałam.. No cóż, zobaczyłam to, co zobaczyłam, a ponieważ nic mi o tym wszystkim nie mówiłeś...

– A co tu jest do opowiadania? Wciąż mam w głowie tylko plątaninę myśli, aż czasem chce mi się krzyczeć.

– Ale gdybyś cokolwiek mówił, przynajmniej wiedziałabym, co się dzieje. A twoje milczenie mnie przeraża. Nie tylko twoje myśli szaleją.

– Przepraszam. – Lane pokręcił głową. – Ale będę walczył. O moją rodzinę, o nas. I możesz mi wierzyć: gdybym chciał popełnić samobójstwo, na pewno nie wybrałbym takiego sposobu odebrania sobie życia jak mój ojciec. Nie chcę mieć z tym człowiekiem nic wspólnego. Noszę w sobie jego DNA i nic nie mogę na to poradzić. Ale na pewno nie mam zamiaru w jakikolwiek inny sposób się do niego upodabniać.

Lizzie wzięła głęboki oddech.

– Czy mogę jakoś ci pomóc?

– Gdyby istniało coś, co byś mogła zrobić, na pewno dałbym ci znać. Ale to wszystko teraz moja broszka. Muszę dokopać się do tych zaginionych funduszy, spłacić Prospect Trust i z Bożą pomocą postawić to wszystko na nogi. Bradford Bourbon Company istnieje od ponad dwustu lat. Nie może teraz nagle upaść. Po prostu nie może.

Lane odwrócił się w stronę okna i wyjrzał na zewnątrz. Lizzie patrzyła na jego twarz. Jak by to ujęła jej babcia, prawdziwy adonis. Przystojny jak diabli, o błękitnych oczach w odcieniu bezchmurnego jesiennego nieba,

ciemnych gęstych włosach, które Lizzie lubiła przeczesać palcami, i o tak pięknie rzeźbionym ciele, że w każdym towarzystwie przykuwało uwagę.

Dla Lizzie nie była to jednak miłość od pierwszego wejrzenia. Bynajmniej. Uważała, że niesforne najmłodszego syna z rodu Bradfordów należy trzymać na dystans – choć tak naprawdę sama przed sobą rozpaczliwie ukrywała fakt, że on ją niesamowicie pociąga. Później zaś jakoś się zesłi... a ona zakochała się w nim niczym bohaterka filmu *Sabrina*.

Tyle że w jej wypadku posada „ogrodniczki” oznaczała stanowisko głównego konserwatora terenów zielonych, z dyplomem architektury krajobrazu Uniwersytetu Cornell.

Niestety po czterech tygodniach sielanki Chantal udała się do mediów i ogłosiła, że zaręczyła się z Lane’em, ponieważ jest z nim w ciąży. Dla Lizzie oznaczało to koniec, a dla Lane’a – ślub.

Zaraz po nim zresztą wyjechał na Północ i przepadł tam bez wieści.

Coś potwornego. Ależ to był okropny czas. Zaraz po ich rozstaniu Lizzie próbowała ze wszystkich sił się nie załamywać, nadal pracować w Easterly i skupić się na swoich zadaniach. Nie dało się jednak ukryć, że Chantal wkrótce potem jakoś już nie była w ciąży.

Później dopiero wyszło na jaw, że nie tyle „straciła” to dziecko, ile raczej „załatwiła sprawę” w pewnej prywatnej klinice w Cincinnati.

Nie do wiary. Chwała Bogu, że Lane się z nią rozwodzi.

Chwała Mu też za to, że Lizzie w końcu przejrzała na oczy i zdołała ponownie zaufać temu człowiekowi, nie kierując się jego marną reputacją. Chociaż mało brakowało, a całkiem by go straciła.

– Słońce wstaje – powiedział Lane. – Zaczyna się nowy dzień.

Niespiesznie przejechał dłonią po jej bosej stopie, aż dotarł do kostki. Nie była pewna, czy robił to świadomie. Często tak się działo: gdy po rozmowie z Lizzie jego uwaga skupiała się na czymś innym, jego ciało zdawało się automatycznie do niej lgnąć, jakby próbowało fizyczną bliskością nadrobić mentalny dystans między nimi.

– Boże, jak ja kocham to miejsce. – Lane uśmiechnął się, patrząc na złotą

poświatę i długie cienie kładące się na trawniku przed domem i dalej, na świeżo obsianych polach. – Tak tu spokojnie...

Miał rację. W porównaniu z posiadłością Bradfordów jej wiejski dom wraz z otaczającym go kawałkiem ziemi, odizolowany od innych gospodarstw w okolicy, stanowił zupełnie inny świat. Spokój zakłócały jedynie odgłosy pługów pracujących w oddali albo czasem jakaś niesforna krowa.

W Easterly nigdy nie czuło się spokoju, nawet gdy we wszystkich pomieszczeniach panowała cisza. A już zwłaszcza teraz.

Długi, zgony, ogólny chaos.

– Chciałem się tylko dowiedzieć, czego on doświadczył, kiedy umierał – szepnął Lane. – Bo mam nadzieję, że odczuwał ból. Chciałbym wiedzieć... że cierpiał.

Lizzie pogłaskała stopą jego przedramię.

– Nie rób sobie z tego powodu wyrzutów. Taki gniew jest zupełnie normalny.

– Aurora mówi, że powinienem raczej się za niego modlić. Modlić się za jego duszę.

– No ale twoja mamunia to święta.

– To akurat racja.

Lizzie uśmiechnęła się na myśl o Afroamerykance, która była dla Lane'a matką w stopniu znacznie większym niż jego rodzicielka. Chwała Bogu za obecność Aurory w jego życiu. W ogromnej zabytkowej rezydencji, w której się wychował, niewiele miejsc oferowało bezpieczne schronienie – ale kuchnia, serwująca zarówno tradycyjne potrawy amerykańskiego Południa, jak też wyrefinowane dania francuskie, stanowiła prawdziwy azyl.

– Naprawdę myślałam, że chcesz skoczyć – wypaliła w końcu Lizzie.

Spojrzał jej prosto w oczy.

– Mam dla kogo żyć – powiedział. – Mam przecież ciebie.

– Też cię kocham – szepnęła Lizzie.

Boże drogi, wyglądał znacznie poważniej niż tydzień wcześniej, gdy

przyleciał prywatnym odrzutowcem ze swojej manhattańskiej kryjówki. Wrócił do Easterly, żeby dowiedzieć się o stan zdrowia Aurory po tym, jak zasłała. A potem został, ponieważ w mgnieniu oka wydarzyło się tak wiele, a luksusowy statek niosący jego rodzinę przez życie nagle rozbił się o górę lodową, ukrytą pośród tajemniczych prądów losu i przeznaczenia. Pozornie niezniszczalna potęga jego rodu, który przez dwieście lat pracował na swoją wyjątkową pozycję w biznesie i w towarzystwie, nagle ugięła się pod ciężarem spiętrzonych trudności. Wydawało się, że nie ma już od nich ucieczki.

– Możemy przecież wyjechać. – Lizzie kolejny raz musnęła stopą ukochanego. – Możemy sprzedać ten dom, zabrać kasę i rozpocząć życie gdzieś z dala od tego wszystkiego.

– Nie myśl, że tego nie rozważałem. Zresztą przecież mógłbym nas utrzymywać, grając w pokera. Może to nie jest dowód wielkiej klasy, ale przekonałem się już, że rachunkom jest wszystko jedno, z jakiego źródła się je opłaca. – Parsknął śmiechem. – Poza tym przecież moja rodzina przez tyle lat utrzymywała się z produkcji alkoholu... Nie mnie więc oceniać, jak kto zarabia na życie.

Serce Lizzie na chwilę mocniej zabiło. Wyobraziła sobie ich dwoje na innej farmie, w innym stanie. Uprawialiby kawałek dobrej, czystej ziemi rodzącej kukurydzę, marchew, pomidory i fasolkę szparagową. W ciągu dnia ona zajmowałaby się utrzymywaniem zieleni w jakimś pobliskim miasteczku, a on zostałby na przykład wuefistą w miejscowym liceum i trenował drużynę koszykówki czy piłki nożnej – albo może jednego i drugiego? Żyliby razem i obserwowali swoje twarze, na których pojawiałyby się coraz głębsze zmarszczki od śmiechu i miłości. Oczywiście mieliby też dzieci. Miałyby one jasne, proste włosy; chłopcy znosiliby do domu kijanki, dziewczynki łąziłyby po drzewach... Potem dzieci porobiłyby prawa jazdy i stroiły się na szkolne bale, aż w końcu poszłyby na studia i odwiedzały rodziców w święta i wakacje, a wówczas dom znów wypełniałby się radością i chaosem.

A kiedy zbliżałby się kres ich dni, na werandzie stałyby obok siebie dwa fotele bujane. Jedno z nich odeszłoby pierwsze, a drugie zaraz po nim. Jak

w porządnej ckliwej powieści.

Żadnych prywatnych odrzutowców, drogiej biżuterii i obrazów odziedziczonych po jakimś praprapradziadku. Żadnych rezydencji otoczonych wymuskanyimi ogrodami i obsługiwanych przez siedemdziesięcioosobowy personel, bezustannie się wokół czegoś krzątający. Żadnych przyjęć, balów, rolls-royce'ów i porsche, wystrojonych bezdusznych gości z przyklejonymi do twarzy uśmiechami i pustymi spojrzeniami.

Żadnej destylarni.

Choć samego bourbona mogliby się czasem napić.

Może Lane mógłby nawet przyjąć jej nazwisko, żeby nikt w ich nowym życiu nie wiedział, z jakiej rodziny pochodzi?

Byłby wówczas taki sam jak ona – zwykła, anonimowa osoba prowadząca skromne życie. No dobrze, może ta jej fantazja nie jest szczególnie wyszukana. Lizzie jednak gotowa była całkiem się wyrzec wszelkich dobrodziejstw związanych z wielkim bogactwem i wieść życie po prostu całkiem przeciętne. A nawet przeciętne do kwadratu.

– Po prostu nie mogę uwierzyć, że on się zabił – mruknął Lane. – To zupełnie nie w jego stylu. Był na to zbyt zadufany w sobie. A zresztą, jeśliby sam wielki William Baldwine miał popełnić samobójstwo, bardziej by do niego pasowało, gdyby wpakował sobie w usta któryś z pistoletów pojedynkowych Alexandra Hamiltona i pociągnął za spust. Ale skakać z mostu, który uważał za „ordynarny”? Do brudnej wody, której nie zaproponowałyby nawet zbłąkanemu psu? To po prostu nie trzyma się kupy.

Lizzie wzięła głęboki oddech. A potem odważyła się ubrać w słowa myśl, która jej samej też nie dawała spokoju.

– Myślisz że... ktoś go zabił?

Stadnina Red & Black, hrabstwo Ogden, Kentucky

Słodki zapach siana.

Och, słodki zapach siana i tupot kopyt. Och, i jeszcze zimny beton korytarza między boksami o mahoniowych drzwiach...

Edward Westfork Bradford Baldwin siedział właśnie przed wysypanym trocinami pomieszczeniem zajmowanym przez jego ogiera pełnej krwi. Czuł, jak odkształca mu się kościsty tyłek, i zastanawiał się, jak to możliwe, że nawet w maju podłoga jest taka zimna. Co prawda dopiero świtało, ale na zewnątrz nawet bez pomocy słonecznych promieni i tak było już ponad dwadzieścia stopni. Można by sądzić, że późna wiosna potrafi być bardziej szczodra, jeśli chodzi o dobrodziejstwa klimatu.

Niestety jednak nie była.

Na szczęście Edward był całkiem pijany.

Podniósł do ust butelkę... co to właściwie jest? A, wódka. W porządku. Nieco się zawiódł, że butelka straciła wcześniejszy ciężar. Na dnie zostały jakieś dwa centymetry płynu, a przecież kiedy tu przykuśtykał, była jeszcze w trzech czwartych pełna. Czyżby wszystko wydudlił? No i – niech to szlag! – reszta jego zapasów była tak daleko, chociaż wszystko jest przecież względne. Dawny domek zarządcy, gdzie teraz mieszkał, znajdował się niecałe sto metrów dalej, ale w obecnej sytuacji każdy metr zdawał się kilometrem.

Edward spojrzał na swoje nogi. Nawet przez dzinsy dawało się dostrzec, że jego z trudem odbudowane, zawodne kończyny to żalosna para cienkich patyków, na których trudno się poruszać. Jego trapery w rozmiarze czterdzieści pięć wyglądały przy nich jak ogromne buty klauna. Jeśli zaś wziąć pod uwagę

odurzenie alkoholem oraz tę drobną okoliczność, że dość długo już tu siedział...

Miał szansę napić się jeszcze wódki, o ile przeczołga się w stronę domu, ciągnąc za sobą dolną część ciała niczym przewróconą na bok taczkę.

Nie wszystko jednak działało równie marnie jak jego nogi. Niestety jego umysł wciąż pozostawał na tyle przytomny, żeby stale zalewać go obrazami, z których każdy atakował mizerne ciało niczym kulka do paintballa.

Miał przed oczami swojego brata Lane'a, który stał naprzeciw i informował go, że ich ojciec nie żyje. Ich piękną, szaloną siostrę Gin, na której eleganckiej dłoni połyskiwał ogromny diament otrzymany od bezwzględnego drania. Ich piękną, szaloną matkę, niewstającą z łóżka, otumanioną lekami i nieświadomą tego, co stopniowo wychodziło na jaw.

Jego ukochaną Sutton, która wcale nie była jego i nigdy już nie będzie.

Tak mniej więcej wyglądała podstawowa pętla wciąż powracających obrazów. W końcu przecież wspomnienia z okresu, zanim go porwano i torturowano dla okupu, który nigdy nie nadszedł, w jego pamięci mocno się już rozmyły.

Może to jest właśnie rozwiązanie kwestii dręczących go koszmarów? Alkohol działa zbyt słabo – ale po ośmiu dniach spędzonych w dżungli, gdzie go bito, głodzono i szydzono z jego nadchodzącej śmierci, jego wspomnienia sprzed porwania niewątpliwie mocno wyblakły. Zresztą drugiego tak intensywnego pakietu doznań z pewnością by już nie przeżył.

Przewrócił oczami, gdy usłyszał stukot zbliżających się w jego stronę damskich kowbojek. Kiedy się przy nim zatrzymały, nawet nie spojrział w górę.

– To znowu ty – wymamrotał.

W odpowiedzi na to jakże radosne powitanie Shelby Landis odezwała się głosem ciekim jak z kreskówki, ale o intonacji bardziej przypominającej instruktora musztry niż Kopciuszka.

– Wstajemy, i to już!

– Raczej zostawiamy mnie tu na zawsze, to rozkaz.

O dziwo, nad głową Edwarda, za żelaznymi kratami mającymi za zadanie

ochronę ludzkich części ciała przed odgryzieniem przez potężnego czarnego ogiera, Nebekanzer zarzął tak przyjaźnie, że brzmiało to niemal jak powitanie. Koń ten zazwyczaj kierował w stronę wszystkich osób poza Edwardem coś w rodzaju pogrózek.

Ale nawet Edward, jego właściciel, nigdy nie był witany żadnym radosnym rzeniem.

– Możemy to załatwić na dwa sposoby: nieprzyjemny lub bardzo nieprzyjemny – oświadczyła Shelby.

– Ależ mi dajesz wybór... Co za wspaniałomyślność!

Wewnętrzna przekora podpowiadała mu, że powinien stwarzać jak najwięcej problemów i dzięki temu dowiedzieć się, cóż to takiego ten „bardzo nieprzyjemny” sposób. Poza tym nawet wzięwszy pod uwagę jego marny stan fizyczny, większość kobiet tak niewielkiego wzrostu jak Shelby miałyby trudności z podniesieniem go, co mogło być nawet dość zabawne. Ciało Shelby zostało jednak zaprawione w ciągu wielu godzin morderczej pracy przy koniach pełnej krwi, którą wykonywała przez całe życie.

No dobra, tym razem pozwoli jej wygrać, choć nie wie nawet, jaka jest stawka.

Została mu tylko duma, której mógł użyć, żeby podreperować urażone męskie ego.

Choć właściwie nie miał nawet pojęcia, dlaczego w ogóle zaprzęta sobie tym głowę.

Próba dźwignięcia się do pionu oznaczała serię bolesnych wewnętrznych szarpnięć, jakby ktoś wbijał mu gwoździe prosto w mięśnie, co pomimo zamroczenia alkoholowego wciąż było dość dotkliwe. Edward wstydził się własnych jęków, zwłaszcza wobec pracownicy, która jako porządna chrześcijanka pałała niechęcią do wszelkich bluźnierstw, a ponadto w ogóle nie zachowywała dystansu, no i była córką nieżyjącego już człowieka, któremu Edward zbyt wiele zawdzięczał.

Właśnie dlatego musiał ją zatrudnić, gdy stanęła w drzwiach jego domku, nie mając nic oprócz szybko przegrzewającego się pikapa, szczerzej twarzy

i przenikliwego spojrzenia.

Nie mogąc złapać równowagi, Edward nagle zakołysał się i poleciał z powrotem na beton; coś nieprzyjemnego stało się z jego kostką, a całe ciało osunęło się bezwładnie w dół niczym składany stolik.

Shelby jednak zdołała go złapać, zanim zdążyłby sobie rozbić głowę. Wyrzuciła w przód silne ramiona i mocno go chwyciła, przyciągając zarazem do siebie.

– No już!

Próbował się jej opierać, bo nie mógł zdzierżyć siebie samego i swojego stanu. To przecież nie on, ten kaleka, pijak, wiecznie skwaszony szubrawiec. W jego dawnym życiu, zanim jeszcze jego własny ojciec kazał go porwać, a następnie odmówił zapłaty okupu, taka sytuacja nie miałaby prawa zaistnieć.

– Nie jestem pewna, czy w ogóle powinieneś chodzić.

On tymczasem wyciągnął spod siebie swoją „lepszą” nogę, którą nie za bardzo mógł zgiąć w kolanie, po czym oparł się całym ciężarem na dziewczynie, ponieważ kostka, którą przed chwilą sobie uszkodził, do niczego się w tej chwili nie nadawała.

– Pewnie, że nie. Widziałaś mnie przecież bez ubrania i dobrze wiesz, w jakim jestem stanie.

Nawiązywał do chwili, w której podczas jego kąpieli otworzyła nagle drzwi łazienki, sądząc chyba, że zastanie jego sztywne ciało bezwładnie unoszące się w wannie pełnej wody.

– Martwi mnie ta twoja kostka.

– Ale z ciebie dobra samarytanka – mruknął, zaciskając zęby.

– Dzwonię po lekarza.

– Ani mi się waż!

Gdy wyszli na światło słoneczne, Edward gwałtownie zamrugał, wcale nie z powodu kaca (żeby go mieć, musiałyby być trzeźwy). No i rzeczywiście, po opuszczeniu chłodnej stajni od razu poczuł, jak złote poranne powietrze niczym kaszmir łagodnie muska jego swędzącą skórę. A ten widok... Jak okiem sięgnąć falujące trawiaste pastwiska, ciemnobrązowe ogrodzenia,

gdzieniegdzie pojedyncze klony – istny balsam dla duszy, obietnica pomyślnej przyszłości dla koni o doskonałych rodowodach, wędrujących sobie po wydzielonych padokach i skubiących trawę, gotowych wydać na świat kolejne pokolenia zwycięzców derby i innych wyścigów.

A nawet zdobywców Potrójnej Korony.

Ziemi i jej darom można przynajmniej ufać – pomyślał Edward. Podczas letnich upałów drzewa zawsze dają cień, a ciężkie chmury deszczowe są gwarancją obfitych opadów. A choć potoki czasem wzbierają wiosną, a wysychają jesienią, można przewidzieć poziom wód w zależności od pory roku. Do diabła, nawet wściekłe tornada i zamiecie śnieżne mają swój rytm, który nijak nie jest związany z osobistymi urazami i nigdy, przenigdy nie świadczy o nikczemności.

Nawet najbardziej rozszalałe żywioły nie obierają sobie za cel nikogo konkretnego. Choć sądzymy czasem, że siły natury sprzysięgły się przeciw nam, w istocie nigdy nie jest to prawdą.

To samo zresztą dotyczy koni i psów, bezpańskich kotów, szopów pracy, a nawet paskudnych oposów oraz węży pożerających własne młode. Z jego własnego ogiera Nebekanzera był bez wątplenia kawał drania, ale przynajmniej nigdy nie udawał, że ma inną naturę. Nie miał w zwyczaju najpierw się przymilnie do kogoś uśmiechać, a potem, gdy ten ktoś odwróci się tyłem, nagle go zaatakować.

Istoty ludzkie są jednak znacznie bardziej niebezpieczne od rzekomo „nieprzewidywalnych” zwierząt czy zdarzeń losowych.

Owszem, napawało go to goryczą.

Choć nie da się ukryć, że w ostatnich czasach w ogóle był dość mocno rozgoryczony.

Zanim z pomocą Shelby doczłapał do domku, jego wzburzenie nieco osłabło, ustępując miejsca bólowi przebijającemu się przez osłonę zamroczenia alkoholowego – jak gdyby w wyniku przeciążenia układu nerwowego jego mózg otrzymywał tak wiele impulsów elektrycznych, że połączenia synaptyczne nie przepuszczały już jego zwykłej dawki pesymizmu.

Stare drzwi skrzypnęły, gdy Shelby otworzyła je na oścież. W jednoizbowym pomieszczeniu panowała ciemność: ciężkie wełniane zasłony skutecznie odcinały światło z zewnątrz, a pojedyncze światełko zapalone w wąskiej kuchni przypominało lampę hełmu górniczego – przytłumioną i niezdolną do oświetlenia tak dużej przestrzeni. Wnętrze skromnie umeblowano tanimi starymi sprzętami, stanowiącymi dokładne przeciwieństwo wyposażenia Easterly; jedynym akcentem, który może nawet pasowałby do tamtejszych luksusów, były ustawione na półkach połyskujące srebrzyście puchary zdobyte na derby.

Uwolnwszy się z objęć swojej żywej podpory, Edward powlókł się w stronę fotela – mocno już sfatygowanego siedziska, w którym głęboko zapadało się nawet takie chuchro jak on. Odchylił głowę w tył i oddychał ustami, starając się nie nadymać płuc bardziej, niż to konieczne, żeby oszczędzać obolałe żebra.

Musiał jednak opuścić wzrok, gdy poczuł, że coś go szarpie za prawą stopę.

– Co ty wyprawiasz?

Shelby pochylała się nad jego butem i nawykłymi do ciężkiej pracy dłońmi szybko rozwiązywała mu sznurowadła, przekrzywiając przy tym nieco głowę. Szło jej to znacznie szybciej, niż sam mógłby nawet zamarzyć.

– Zdejmuję go, żeby zobaczyć, w jakim stanie jest twoja kostka.

Edward otworzył usta i miał już na końcu języka jakąś sarkastyczną uwagę.

Nie zdążył jednak dać popisu prostactwa, bo w chwili gdy Shelby ściągnęła but z jego stopy, ryknął z bólu.

– Ja pierdolę!

– Chyba ją sobie złamałeś.

Z całej siły zacisnął dłonie na poręczach fotela, a serce tak mu waliło o żebra, że mało nie wyskoczyło. Kiedy zaś ból nieco ustąpił, Edward ponownie zapadł się w fotelu.

– Przeprowadzę mojego pikapa...

– Nie! – syknął przez zaciśnięte zęby. – Ani mi się waż!

Kłęcząca na podłodze Shelby podniosła na niego wzrok, a gdzieś z tyłu

głowy zaświtała mu myśl, że jak dotąd bardzo rzadko zdarzało się jej patrzeć mu prosto w oczy. Zawsze umiała mu się odciąć, ale unikała bezpośredniego kontaktu wzrokowego.

Jej oczy wydały mu się... dość niesamowite. W otoczeniu gęstych, ciemnych naturalnych rzęs, pośród lazurowego błękitu skrzyły się w nich iskiereki brzasku.

– Jak nie chcesz do szpitala, to daj mi nazwisko swojego doktora. I nie udawaj, że nikogo takiego nie masz. Jesteś przecież Bradfordem.

– Już nie, kotku.

Skrzywiła się na te słowa, jakby zdawała sobie sprawę, że kobieta jej pokroju raczej nie może liczyć na tego rodzaju czułości wypowiedane bez ironii przez kogoś pochodzącego z wyższych sfer. On zaś ze wstydem musiał przyznać, że z premedytacją wbił jej tę szpilę, choć nie miał po temu właściwie żadnych powodów.

Chociaż nie. Jednak miał swoje powody.

Jakimś dziwnym trafem Shelby nadzwyczaj często przyłapywała go w chwilach całkowitej bezradności, co wywoływało w nim reakcję obronną w postaci silnej niechęci.

– Jak długo zajmowałaś się ojcem? – rzucił.

– Całe życie.

Jeb Landis był potwornym pijakiem, kobieciarzem i hazardzistą, ale... znał się na koniach. To od niego Edward zaczerpnął całą swoją wiedzę na ich temat, jeszcze w czasach, gdy jego zainteresowanie wyścigami konnymi stanowiło zaledwie hobby właściwe milionerom. Z całą pewnością nawet sobie wówczas nie wyobrażał, że miałyby kiedyś zatrudnić jego córkę.

Do diabła, Edward nie wiedział nawet, że Jeb w ogóle ma jakieś dziecko.

Z jakiegoś powodu zaczął się teraz zastanawiać, ile sarkastycznych przytyków Shelby musiała przez te wszystkie lata znieść w ramach przyspieszonego kursu pokory zapewnionego jej przez tego szubrawca, który doskonale ją przygotował do... troszczenia się o takiego właśnie gościa, jakim stał się Edward.

Można by wręcz pomyśleć, że Jeb przysłał ją tu po to, żeby nawet po śmierci wciąż zapewniać jej odpowiednią dawkę upokorzeń.

Edward pochylił się do przodu, wyciągnął przed siebie drżącą dłoń i dotknął twarzy Shelby. Spodziewał się, że jej skóra będzie szorstka, okazała się jednak miękka i gładka.

Dziewczyna się wzdrygnęła, on zaś utkwił wzrok w jej ustach.

– Mam ochotę cię pocałować.

Tymczasem w wiejskim domu Lizzie Lane patrzył przez okno na wschód słońca, a w panującej dookoła ciszy wciąż wibrowały słowa wypowiedziane przez nią przed chwilą:

„Myślisz, że ktoś go zabił?”.

Na tak postawione pytanie trudno odpowiedzieć – zwłaszcza Lane’owi, który czuł się w pewien sposób zrobiony w balona, skoro to nie on dopuścił się tego czynu. Z wielkim trudem usiłował jakoś oswoić się z tą myślą, patrząc, jak nad płaskim krajobrazem stanu Indiana wschodzi nowy dzień.

Wobec tak olśniewającego piękna jego mroczne myśli były niczym siarczyste przekleństwo rzucone komuś w twarz przed ołtarzem.

– No to jak? – dopytywała Lizzie. – Myślisz tak czy nie?

– Nie wiem. Na pewno jest wiele osób, które miałyby odpowiedni motyw. Większość to moi krewni. – Lane zasępił się, wspominając słowa, które usłyszał nad rzeką od Mitcha Ramsey’a. – Wiesz, na tym moście nie odpalono jeszcze monitoringu.

– Co takiego?

Lane zakreślił dłonią w powietrzu kilka łuków.

– Na przęsłach mostu zamocowane są kamery, które powinny tamtej nocy wszystko nagrywać. Policja sprawdziła jednak ich zapisy i okazało się, że system monitoringu nie został jeszcze uruchomiony.

– Czyli nikt nie wie, co się tak naprawdę stało?

– Na to wygląda. Policja jednak sądzi, że jeśli on skoczył, to zapewne z tego właśnie mostu. Na tym drugim nie tak łatwo dostać się do miejsca, gdzie

jest pionowy spadek. Mitch twierdzi, że na Big Five też będą teraz musieli coś z tym zrobić. – Lane pokręcił głową. – Jeśli jednak chodzi o kwestię morderstwa... Nie, myślę, że jednak skoczył. Myślę, że się zabił. Te długie, defraudacja tak ogromnych funduszy, za to wszystko przyjdzie teraz zapłacić, a ojciec dobrze o tym wiedział. Jak miałyby potem z podniesionym czołem patrzeć w twarz ludziom w całym mieście? I w ogóle w całym kraju?

– Wiesz, kiedy wydadzą wam ciało?

– Ramsey powiedział, że jak tylko przeprowadzą sekcję. Pewnie więc niedługo. – Lane znów wbił spojrzenie w Lizzie. – Właściwie to jest coś, co mogłabyś dla mnie zrobić.

– Co tylko sobie życzysz.

– Chodzi o tę imprezę pożegnalną. Kiedy wydadzą nam ciało, będziemy musieli zaprosić wszystkich do Easterly, no i chciałbym... żeby wszystko wyglądało tak, jak powinno.

Lizzie ujęła jego dłoń i delikatnie ją ścisnęła.

– Dopilnuję tego.

– Dziękuję. – Lane pochylił się i przycisnął usta do wewnętrznej strony jej nadgarstka. – To nawet zabawne, wiesz? Mam gdzieś oddawanie mu jakichś honorów. Tu nie chodzi o niego, tylko o rodzinę Bradfordów. Może to płytkie, ale mam takie poczucie, że nie mogę dopuścić do żadnych uchybień. Przyjdą tu ludzie, którzy będą szukać wszelkich oznak naszej słabości i potencjalnego skandalu. Ale po moim trupie! Obawiam się też, że na takiej rangi wydarzeniu może zjawić się matka.

Wprawdzie pani Virginia Elizabeth Bradford Baldwine „młodsza” (która była już po sześćdziesiątce) przez ostatnie lata praktycznie nie opuszczała łóżka (jeśli nie liczyć zabiegów fryzjerskich), istniały jednak zwyczaje, których przestrzegała nawet osoba tak silnie uzależniona od leków jak ona. Należało do nich pożegnanie własnego zmarłego męża. Już teraz do rezydencji wydzwaniali ludzie z pytaniami o organizację tego wydarzenia. Nikomu z nich oczywiście nie chodziło o nieboszczyka. Wśród elit towarzyskich Charlemont panowała rywalizacja na miarę ligi futbolowej, a impreza pogrzebowa u Bradfordów stanowiła swoisty odpowiednik mistrzostw świata.

Każdy chciał zająć dobre miejsce z widokiem na boisko.

Wszystko to było potwornie sztuczne i całkowicie puste. Choć Lane zawsze o tym wiedział, zaczęło mu to przeszkadzać dopiero wówczas, gdy w jego życiu pojawiła się Lizzie.

– Chcę ci coś obiecać – szepnął. – Gdy to się wreszcie skończy, gdy uda mi się jakoś to pozamykać, wyjedziemy stąd. Ty i ja. Zostawimy to miejsce. Ale na razie muszę jeszcze tu zostać i ogarnąć ten bajzel. Tylko w ten sposób mogę się uwolnić od rodzinnych zobowiązań. Naprawa krzywd wyrządzonych przez mojego ojca to dla mnie jedyna droga, żeby zdobyć wolność i zasłużyć na twoją miłość.

– Przecież już ją masz.

– Chodź no tutaj...

Przyciągnął ją do siebie i posadził sobie na kolanach, a potem w świetle poranka odszukał jej usta. W jednej chwili ściągnął z niej ubranie, a zaraz potem już siedziała na nim okrakiem, podczas gdy on ściągał spodnie.

– Och, Lizzie... – wyjęczał, muskając jej usta wargami.

Położył dłonie na jej jędrnych piersiach, a ona aż nabrała powietrza do płuc. Wciąż była dla niego objawieniem, wciąż na nowo ją odkrywał... Każdy pocałunek i każdy dotyk zdawały się jednocześnie powrotem do czegoś znajomego i wyprawą na Księżyc.

Ideał.

Lizzie, klęcząc, nieco się podniosła, a on ustawił się w odpowiedniej pozycji. Po chwili byli już połączeni. Kołysała się ponad nim, a on ją mocno trzymał. Poruszała się z doskonałą precyzją, zagarniając go całego. Mocno zaciskała przy tym powieki, jakby nie chciała, żeby cokolwiek zakłócało jej przeżycia.

On jednak miał oczy otwarte.

Och, była taka piękna, gdy tak się odchyłała w tył, aż opadała jej głowa, a piersi się unosiły. Jej cudne nagie ciało i blond włosy kapały się w świetle dnia.

Pomyślał sobie, że to też zapamięta. Zarówno tę chwilę, gdy już spadał

w niebyt, ogarnięty paniką, że zaraz utonie, jak i ten cudowny, kluczowy moment z ukochaną, w którym oboje są razem, żywi, sami ze sobą, zanurzeni w intymności, której nikt inny nie ma prawa dotknąć i której nikt im nie może odebrać. Wiedział, że to też będzie wspominał, obok pozostałych wydarzeń ostatniej nocy.

Właśnie tak, pomyślał. Musi odnowić zapas sił i nadziei, wzmocnić swoje serce wspomnieniami takich właśnie chwil.

Miał jeszcze stoczyć wiele bitew, przekonać się o własnej wartości i stale martwić się tym, co przyniesie przyszłość. Lizzie jednak dawała mu siłę. To dzięki niej stawał się wojownikiem, którym nie tylko chciał, ale wręcz musiał zostać.

Co tam pieniądze! – pomyślał. Wszystko, czego mu w życiu naprawdę potrzeba, znajdowało się tu, w jej ramionach.

– Kocham cię – szepnął. – Kocham cię.

Edward zdziwił się, że Shelby nie zerwała się na równe nogi i nie ruszyła nabzdyczona na zewnątrz. W końcu przecież porządne chrześcijanki na wieść o tym, że ich pracodawca chciałby je pocałować, powinny zapłonąć świętym oburzeniem. Im dłużej jednak Shelby tkwiła w miejscu, trzymając w dłoni jego but, tym bardziej czuł się zakłopotany.

To nie tak miało wyglądać – pomyślał. Mówiąc te słowa, był przekonany, że ona się wycofa, wreszcie zostawi go samego i da sobie spokój z gadaniem o jakimś przeklętym lekarzu.

– Ziemia czasem musi zgodzić się na burzę – szepnęła.

– Co?

Pokręciła tylko głową, powoli się podnosząc.

– Nieważne.

I rzeczywiście, w jednej chwili wszystko inne wydało mu się nieważne, to ona bowiem go pocałowała, delikatnie i nieśmiało, jakby nie miała pojęcia o sztuce uwodzenia.

Co jemu akurat wcale nie przeszkadzało.

Edward pociągnął sprawy dalej. O dziwo, był z nią znacznie ostrożniejszy niż ze wszystkimi kobietami w ostatnich... Nie, raczej w ogóle ze wszystkimi. Delikatnie muskając ją dłońmi, objął w talii, przyciągając do swojej piersi, między kolana. Pod jej sportową bluzą skrywało się jędrne ciało, zaprawione ciężką pracą fizyczną, wyrzeźbione codziennym wysiłkiem i zdrowym stylem życia, pracą ze zwierzętami cięższymi od niej o kilkaset kilogramów, którym musiała zapewnić mnóstwo paszy i całe taczki trocin, wciąż na nowo przemierzając odległość dzielącą od siebie stajnie i pastwiska.

Nie miała na sobie stanika.

Odkrył to, gdy podciągnął jej bluzę, żeby zdjąć ją jej przez głowę. Pod spodem nie było też koszulki. Piersi Shelby prezentowały się doskonale: drobne i jędrne jak ona cała. Zdziwiło go, że ma dziewczęce, jasnoróżowe sutki.

I właśnie wtedy jakoś zdołał się powstrzymać.

Choć w jego trzewiach płonęła rozkoszna żądza, z tyłu głowy zapaliła mu się nagle lampka.

– Jesteś dziewicą? – spytał.

– Nie.

– Pewnie kłamiesz.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać, co nie?

Ogarnęło go dziwne, całkiem nieznanym wahanie. Zamarł i odwrócił wzrok – nie żeby nie podobało mu się to, co zobaczył, ale właśnie dlatego, że mu się podobało. Cała ta jej skromność i nieporadność powodowała, że miał ochotę rzucić się na nią i natychmiast ją posiąść, jak przystało na mężczyznę, który napotkał na swojej drodze coś nietkniętego przez innych.

A ponieważ dziewczyna nie dawała żadnych sygnałów, że chce się wycofać, wiedział, że pozwoliłaby mu na wszystko.

Odwrócił wzrok i przez chwilę rozmyślał, zupełnie tak, jak to miał dawniej w zwyczaju, choć ostatnimi czasy rzadko mu się to zdarzało – i właśnie wtedy dostrzegł pieniądze.

Tysiąc dolarów.

Złożony na pół plik dziesięciu studolarówek.

Leżący na szafce przy drzwiach.

Zostawił go tam w poprzedni piątek dla jednej z prostytutek, które regularnie brał sobie do towarzystwa, żądając od nich takiego stroju i zachowania, by mogły odgrywać rolę dziewczyny z jego snów. Zresztą upragniona przez niego kobieta nawet się wówczas zjawiała – we własnej osobie.

Jego ukochana Sutton.

Kochali się, z początku uznał bowiem, że oto wreszcie znalazł idealnego sobowtóra swojej ukochanej. Zorientował się, że coś jest nie tak, dopiero wtedy, gdy zauważył, że kobieta zostawiła pieniądze tam, gdzie je położył. Następnego ranka znalazł zaś na stoliku przy swoim fotelu jej torebkę – a w środku prawo jazdy należące do Sutton Smythe.

Czasem nadal się zastanawiał, czy to się wydarzyło rzeczywiście, czy tylko mu się śniło. Jednak gdy następnego wieczoru oddawał jej tę torebkę, towarzyszyło im tak potężne napięcie, że to chyba jednak naprawdę się stało.

Owszem, dokładnie wiedział, dlaczego się z nią kochał. Sutton była olśniewającą, szykowną, inteligentną kobietą interesu. Kochał się w niej przez tyle lat, że już stracił rachubę. Dlaczego jednak ona pozwoliła mu się dotykać, całować, penetrować?

No dobrze, powiedziała mu, że ona też się w nim kochała. Ale jak to w ogóle możliwe?

Edward spojrzał ponownie na córkę Jeba Landisa. Wziął jej bluzę i delikatnie ubrał w nią nagą dziewczynę.

– Żadnych lekarzy – powiedział beznamiętnie. – Nie trzeba.

– Owszem, trzeba.

Wkurzało go, że tak spokojnie wstała i jak gdyby nigdy nic podeszła do telefonu. Kiedy zaś podniosła słuchawkę staroświeckiego aparatu wiszącego na ścianie, Edward zmarszczył brwi, poirytowany jej pragmatycznym podejściem do życia.

– Moe dał mi numer – wyjaśniła, wykręcając numer na tarczy. – Doktor Qalbi, prawda?

– Noż kurwa mać, skoro i tak wiedziałaś, to po coś mi wierciła dziurę w brzuchu!

– Żebyś miał szansę wykazać się rozsądkiem. Mój błąd.

– Boże jedyny...

Przykładając słuchawkę do ucha, odwróciła się w jego stronę.

– Już chyba mówiłam. Nie wzywać przy mnie imienia Pana Boga nadaremno i nie przeklinać. Nie przy mnie. Tak, wiem, że nigdy mnie nie

pokochasz. Zawsze tylko ją.

– O czym ty, do diabła, mówisz? – warknął.

– Wymawiasz przez sen jej imię. Jak jej tam... Sutter?

Edward zamknął oczy i pozwolił głowie opaść w tył z rezygnacją. Może to wszystko tylko mu się śni? Tak, pewnie stracił przytomność tam, w boksie Neba, a cała ta sytuacja jest wytworem jego wyobraźni, pobudzonej nadmiarem wódki w krwiobiegu.

Taką miał przynajmniej nadzieję.

– Może jeszcze kawy, proszę pani?

Sutton Smythe ocknęła się z zamyślenia i uśmiechnęła się do ubranej w służbowy uniform starszej kobiety, trzymającej w dłoni dzbanek. Ellyn Isaacs pracowała w ich rezydencji, odkąd Sutton sięgała pamięcią, i w jej oczach odgrywała rolę dobrotliwej babci.

– Nie, dziękuję bardzo. Muszę już iść, choć wcale nie mam na to ochoty.

– Samochód na panią czeka.

Sutton osuszyła usta ozdobioną monogramem serwetką z adamaszku, po czym wstała.

– Pójdę tylko po tatę.

Pani Isaacs się uśmiechnęła i wygładziła doskonale wyprasowany biały fartuszek nałożony na szarą sukienkę.

– Jest w swoim gabinecie. Dam znać Donowi, że państwo już idą.

– Dziękuję.

Rodzinna jadalnia mieściła się w uroczym kwadratowym aneksie między główną kuchnią rezydencji a jadalnią dla gości. Pomieszczenie było bardzo jasne, szczególnie o poranku, gdy przez wielkie okna wychodzące na pokryte bluszczem ceglane mury i zadbane różane klomby w eleganckim ogrodzie wpadało tu mnóstwo światła. Wnętrze zdobiły staroświeckie tkaniny o botanicznych wzorach. Za życia matki był to jej ulubiony domowy zakątek. W tamtych czasach Sutton i jej brat jadali tu zawsze śniadanie przed wyjściem do szkoły, a cała rodzina gawędziła sobie, dzieląc ze sobą radości i troski.

Gdy matka zmarła, a Winn poszedł na studia, z jadalni korzystali już tylko Sutton i jej ojciec.

W końcu jednak, gdy Sutton również wyjechała studiować na Harvardzie, ojciec został sam, a pani Isaacs zaczęła podawać mu śniadanie w jego gabinecie.

I nie porzucił już tego zwyczaju, nawet gdy Sutton wróciła do domu, ukończywszy studia MBA na Uniwersytecie Chicagowskim, i rozpoczęła pracę w Sutton Distillery Corporation.

Składając serwetkę i umieszczając ją obok wydrążonej połówki grejpfruta, talerza usianego okruszkami po muffinie oraz pustego kieliszka po jajku, zastanawiała się, czemu właściwie wciąż się upiera, żeby co rano samotnie tutaj siedzieć.

Może po to, żeby nie tracić więzów z przeszłością? A może raczej jest to fantazja na temat przyszłości?

Ogromna zabytkowa rezydencja, w której mieszkała teraz tylko ona wraz z ojcem (jeśli nie liczyć wizyt Winna), miała powierzchnię ponad dwóch tysięcy metrów kwadratowych i utrzymana była w znakomitym stylu – pełna antyków przekazywanych z pokolenia na pokolenie, dzieł sztuki godnych muzealnych galerii oraz dywanów utkanych w Persji lub ręcznie wykonanych we Francji. W tej olśniewającej świątyni luksusu mosiężne balustrady i złote liście zdobień mieniły się blaskiem stanowiącym owoc ciągłego polerowania przez służbę, na sufitach i ścianach połyskiwały kryształowe żyrandole i kinkiety, natomiast elementy z drewna, które z biegiem lat nabrało łagodności, napełniały wnętrza ciepłem, niczym lekko żarzące się węgielki.

Było to jednak miejsce przepełnione samotnością.

Sutton nie stukała głośno szpilek, ponieważ już dawno nauczyła się chodzić, nie robiąc hałasu. Mimo to odgłos jej kroków rozbrzmiewał echem w stylowej pustce korytarzy, gdy przechodziła do frontowej części rezydencji, mijając bawialnie i biblioteki, saloniki i toalety. Nic nie leżało w bezładzie; każdy przedmiot był na swoim miejscu, w skupieniu wypucowany przez czyjeś ręce – nigdzie ani śladu kłaczek czy kurzu.

Drzwi do gabinetu pozostawały otwarte. Ojciec podniósł wzrok, siedząc za

biurkiem.

– Oto i ona! – powiedział.

Jego dłonie zacisnęły się na oparciu fotela w odruchu nabytym przez lata podnoszenia się na widok wchodzącej kobiety. Obecnie jednak był to gest całkowicie pozbawiony mocy – ojciec Sutton nie miał już tych sił co dawniej. Ona jednak z pełną determinacją starała się w ogóle nie zwracać uwagi na ten jego odruch, za którym nie kryły się już realne możliwości.

– To co, idziesz? – spytał, przenosząc dłonie na swoje uda.

– Idziemy. – Obeszła fotel i pocałowała ojca w policzek. – Chodźmy. Obrady komisji finansowej rozpoczynają się za czterdzieści pięć minut.

Reynolds Winn Wilshire Smythe Czwarty wskazał głową księgę leżącą na rogu biurka.

– Przeczytałem te materiały. Wszystko świetnie idzie.

– Mamy kilka słabych punktów w Ameryce Południowej. Chyba powinniśmy...

– Sutton... Usiądź, proszę.

Z posępną miną zajęła miejsce naprzeciw niego. Skrzyżowała kostki pod krzesłem i poprawiła kostium. Miała na sobie – jak zwykle zresztą – komplet od Armaniego, w kolorze brzoskwińowym, który tak lubił jej ojciec.

– Czy coś się stało?

– Już czas dokonać pewnych zmian.

Gdy wypowiadał słowa, których tak bardzo się obawiała, serce jej zamarło.

Jak miało się okazać, zapamiętała każdy szczegół tej chwili, gdy tak siedzieli twarzą w twarz w jego gabinecie... Przystojny starszy pan z burzą siwych włosów, w doskonale wyprasowanym garniturze w prążki... Jej dłonie, niemal takie same jak jego, ciasno splecione na brzuchu.

– Nie – powiedziała beznamiętnym tonem. – Wcale nie.

Reynolds wyciągnął w stronę córki dłoń, która zaczęła gwałtownie się trząść. Sutton przez chwilę miała ochotę tylko krzyczeć. Opanowała się jednak i wyciągnęła rękę, napotykając jego dłoń w połowie drogi. Pochyliła się nad

podkładką na ogromnym biurku, burząc porządek równo poukładanych stosów papierów.

– Moja córeczko. – Ojciec się uśmiechnął. – Ależ jestem z ciebie dumny!

– Przestań. – W teatralnym geście obróciła nadgarstek, żeby spojrzeć na swój złoty zegarek. – Musimy już iść, żeby się jeszcze zobaczyć z Connorem, zanim wszystko się zacznie...

– Już mu mówiłem. Zresztą Lakshmi i James też już wiedzą. Komunikat prasowy pojawi się w „Timesie” i „Wall Street Journal”, gdy tylko zostaną nanesione poprawki na twoją umowę o pracę. Właśnie w tej chwili Lakshmi je przygotowuje. To już nie będzie coś, o czym wiemy tylko ty i ja.

Sutton poczuła lodowaty dreszcz przerażenia, który jednocześnie mrozi kark i wywołuje zimne poty.

– Ale przecież to niezgodne z prawem. Najpierw taką decyzję musi ratyfikować zarząd...

– Załatwili to wczoraj wieczorem.

Sutton gwałtownie odchyliła się w tył, odsuwając się od biurka. Gdy jej łopatki napotkały twarde oparcie krzesła, z jakiegoś całkiem idiotycznego powodu pomyślała o liczbie pracowników zatrudnianych przez nich na całym świecie – dziesiątkach tysięcy osób. I o zyskach przynoszonych przez firmę – nie tylko z produkcji bourbona, ale też wina, wódki, dżinu i rumu. Obroty w wysokości dziesięciu miliardów dolarów rocznie, cztery miliardy dochodu brutto. Zastanawiała się, co na temat tej zmiany może sądzić jej brat.

Chociaż już dwa lata temu otrzymał informację, że tak właśnie będzie to wyglądać. Sam zresztą zdawał sobie chyba sprawę, że to właśnie Sutton ma prawdziwą smykałkę do interesów.

Spojrzała na ojca i od razu zapomniała o sprawach korporacji.

Oczy zaszły jej łzami i nie potrafiła już zachować dobrych manier – gwałtowne emocje cofnęły ją do czasów, gdy straciła matkę.

– Nie chcę, żebyś umierał...

– Ja też nie mam na to ochoty. I nigdzie się nie wybieram. – Zaśmiał się melancholijnie. – Ale w związku z postępem tego mojego parkinsona obawiam

się, że nawet gdybym się gdzieś wybierał, i tak nie ruszę się z miejsca.

– Czy ja w ogóle sobie poradzę? – szepnęła.

Pokiwał głową.

– Nie powierzam ci tej funkcji tylko dlatego, że jesteś moją córką. Miejscem na względy uczuciowe jest rodzina, a nie korporacja. Przejmujesz po mnie pałeczkę, ponieważ uważam cię za odpowiednią osobę, która poprowadzi nas w przyszłość. Wszystko teraz wygląda zupełnie inaczej niż w czasach, gdy mój ojciec przekazał mi swój narożny gabinet. Mamy teraz globalny biznes, nieprzewidywalny i oparty na ciągłej walce. A ty świetnie się w tym wszystkim orientujesz.

– Potrzebny mi jeszcze rok.

– Przykro mi, ale go nie dostaniesz. – Kolejny raz próbował wykonać dłonią jakiś gest, ale w końcu tylko bezsilnie zazgrzytał zębami, co stanowiło w jego wypadku odpowiednik siarczystego przekleństwa. – Pamiętaj o jednym. Nie po to przez ostatnie czterdzieści lat życia koncentrowałem wszystkie swoje siły na tym przedsiębiorstwie, żeby teraz przekazać je komuś, kto się do tego nie nadaje. Poradzisz sobie, na pewno. Nie widzę innej możliwości.

Wzrok Sutton powędrował w dół i zatrzymał się na jego dłoniach. Jej ojciec wciąż jeszcze nosił prostą złotą obrączkę. Po śmierci matki Sutton już się nie ożenił ani nawet z nikim nie umawiał. Koło łóżka w sypialni miał zawsze jej zdjęcie, a w ich wspólnej szafie wciąż wisały jej koszule nocne.

Można to było wytłumaczyć romantyczną koncepcją prawdziwej miłości. Tak naprawdę jednak zapewne wynikało to po części z wierności wobec zasad, a po części z przebiegu choroby.

Parkinson ojca okazał się chorobą wycieńczającą, przygnębiającą i przerażającą. Stanowił też swoisty dowód, że ludzie bogaci bynajmniej nie przynależą do jakiejś szczególnej kasty niepoddającej się kaprysom losu.

W ciągu ostatnich miesięcy ojciec zresztą stał się znacznie powolniejszy, a wedle wszelkich przesłanek teraz miało już być tylko coraz gorzej, aż do momentu, gdy w ogóle przestanie wstawać z łóżka.

– Och, tato... – wykrztusiła Sutton łamiącym się głosem.

– Oboje dobrze wiedzieliśmy, że nas to czeka.

Wzięła głęboki oddech. Rozumiała, że tylko teraz może sobie pozwolić na chwilę słabości. To jej jedyna szansa na uczciwe przyznanie, jak bardzo jest przerażona, stając w wieku trzydziestu ośmiu lat na czele globalnej korporacji, od której zależą losy jej rodziny – a zarazem mając przed sobą widmo śmierci ojca.

Otarła palcem łzę i spojrzała na mokrą opuszkę, mówiąc sobie, że od chwili gdy wyjdzie na zewnątrz, nie będzie już mogła sobie na to pozwolić. Gdy dotrze do centrali, wszyscy zaczną się jej przyglądać, żeby oszacować, jakim okaże się przywódca. Oczywiście potem będą jej rzucać kłody pod nogi, żeby tylko podważyć jej autorytet, zwłaszcza że wiele osób nie potraktuje jej poważnie, ponieważ jest kobietą i należy do rodziny. Jej brat też wcale nie będzie zadowolony.

Co równie ważne, nie mogła już potem zdradzać przy ojcu żadnych oznak słabości. Gdyby sobie na to pozwoliła, zamartwiałaby się, czy aby nie popełnił błędu, a może nawet sam by siebie obwiniał – a tego rodzaju stres na pewno nie działałby korzystnie na jego zdrowie.

– Nie zawiodę cię – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

Przystojną twarz starszego pana natychmiast zalał wyraz ulgi, a oczy Sutton znów napełniły się łzami. Wiedziała jednak, że ojciec ma rację: nie miała już prawa do kierowania się emocjami.

Miejscem na uczucia jest rodzina, a nie korporacja.

Podniosła się z krzesła, obeszła biurko i szybko go uścisnęła. Gdy się wyprostowała, ściągnęła łopatki.

– Mam zamiar wciąż traktować cię jako źródło wiedzy – oznajmiła, sama zdziwiona tym, jak zabrzmiał jej głos: wcale nie jak prośba ani jak wypowiedź córki skierowana do ojca. Jej słowa były już słowami prezesa przemawiającego do swojego poprzednika.

– Oczywiście – powiedział cicho ojciec, przechylając głowę. – To będzie dla mnie zaszczyt.

Pokiwała głową i odwróciła się, żeby jej znieruchomiła twarz

przypadkiem czegoś nie zdradziła. W połowie drogi do drzwi usłyszała jeszcze:

– Twoja matka się teraz uśmiecha.

Sutton stanęła w miejscu i omal się nie rozpląkała. Och, matka... Ikona walki o prawa kobiet w czasach, gdy w szacownych rodzinach Południa zupełnie to nie uchodziło.

Naprawdę byłaby zachwycona. Właśnie o to zaciekle walczyła, tego się domagała.

– Ale to wcale nie dlatego wybrałem ciebie, a nie twojego brata – dodał ojciec.

– Wiem. – Wszyscy wiedzieli, dlaczego Winn nie jest poważnym kandydatem do tej funkcji. – Choć oficjalnie nie pełnisz już żadnej funkcji, zamierzam telekonferencyjnie włączać cię w spotkania na tematy finansowe. Mam nadzieję, że twój wkład będzie równie istotny jak zawsze.

Jej ton głosu kolejny raz wskazywał, że nie jest to prośba.

– Oczywiście.

– Nadal będziesz zasiadał w zarządzie, jako jego emerytowany członek. Sama powierzę ci to stanowisko; będzie to moja pierwsza oficjalna decyzja na najbliższym posiedzeniu. I będziesz telekonferencyjnie brał udział w obradach komitetu wykonawczego oraz wszystkich spotkaniach członków zarządu, póki ci starczy tchu.

Wypowiedziała to wszystko ze wzrokiem utkwionym w korytarz.

Ze strony ojca dobiegł ją chichot, w którym kryły się zarówno ojcowska duma, jak i szacunek dla partnerki w interesach. Sutton znów zaczęła intensywnie mrugać.

– Jak sobie życzysz.

– O siódmej będę tu z powrotem, na kolacji. Zjemy ją w twoim pokoju.

– Będę czekał – odparł, choć zwykle o tej porze leżał już w łóżku, zmęczony nieustanną walką z własnym zbuntowanym ciałem.

Sutton udało się wreszcie dojść do drzwi gabinetu, tam jednak się zatrzymała i obejrzała. Siedzący za biurkiem ojciec wydał jej się teraz

maleńki, choć przecież ani on, ani biurko nie zmienili wymiarów.

– Kocham cię – powiedziała.

– Ja ciebie też. Prawie tak mocno jak twoją matkę.

Sutton się uśmiechnęła, a potem ruszyła w drogę. Podeszła do stolika stojącego przy drzwiach wejściowych i wzięła swoją aktówkę, po czym wyszła na zewnątrz.

Był ciepły majowy poranek. Na drżących nogach zbliżała się do bentleya czekającego na podjeździe. Nie mogła uwierzyć, że ojciec nie jedzie przed nią – zawsze uparcie ignorowała delikatny warkot silnika jego wózka inwalidzkiego.

– Dzień dobry pani.

Ubrany w służbowy uniform Don był szoferem jej ojca już od dwóch dekad. Otwierając przed nią tylne drzwi, jakoś nie potrafił spojrzeć jej w oczy – choć wcale nie z powodu braku sympatii czy zaufania.

Oczywiście on też już wiedział.

Ścisnęła jego ramię.

– Oczywiście zostajesz. Tak długo, jak tylko chcesz.

Mężczyzna westchnął z ulgą.

– Co tylko pani sobie życzy.

– Chcę, żeby był ze mnie dumny.

Tym razem Don na nią spojrzał, a w jego oczach szklily się łzy.

– Pewnie, że będzie.

Pokiwała głową i wsiadła do samochodu. Aż podskoczyła, gdy drzwi zatrzęsły się za nią z przytłumionym łoskotem. Chwilę później ruszyli w drogę. Sunęli gładko w stronę bramy prowadzącej poza teren posiadłości.

W drodze do miasta Sutton zwykle omawiała z ojcem różne sprawy, teraz jednak patrzyła tylko na puste miejsce obok. Zdała sobie sprawę, że poprzedniego dnia po raz ostatni jechała razem z ojcem do centrali. Odbyła z nim ostatnią wspólną podróż, nawet o tym nie wiedząc.

Ale przecież tak to właśnie zwykle wygląda.

Zakładała wcześniej, że czeka ich jeszcze wiele, wiele takich podróży, niekończących się przejażdżek ramię w ramię, niezliczonych okazji do udzielania jej przez ojca wszelkich możliwych porad.

Miło jest nie dopuszczać do siebie przykrych informacji, gdy się tkwi w kokonie przyzwyczajenia. Kiedy jednak człowiek wychodzi z ciepłego bajorka iluzji, rzeczywistość nagle kąsa go lodowatym, budzącym dreszcze podmuchem. Gdyby przegroda oddzielająca ją od szoferki nie była opuszczona, Sutton pewnie zalałaby się łzami, jakby jechała na pogrzeb ojca.

Ponieważ jednak nie mogła sobie na to pozwolić, położyła tylko dłoń na miejscu, które zwykle zajmował, i przez przyciemnione szyby patrzyła na zewnątrz. Wyjeżdżali teraz na River Road i włączali się w gęsty sznur samochodów zmierzających tą arterią ku ulicom i mostom dzielnicy biznesowej Charlemont.

Istniała na świecie tylko jedna osoba, do której Sutton miała teraz ochotę zadzwonić. Jedna osoba, której głos pragnęła usłyszeć. Jedna osoba, która... instynktownie by zrozumiała, jak ona się czuje.

Tyle że Edwarda Baldwine'a nic a nic już nie obchodziły kwestie związane z branżą produkcji bourbona.

Nie był to już kandydat do przejęcia konkurującego z nimi przedsiębiorstwa, jej rywal w interesach, a zarazem przystojny i dowcipny wkurzający kumpel, o którym od dawna marzyła.

Nawet gdyby wciąż jeszcze grał drugie skrzypce w Bradford Bourbon Company, i tak dał jej jasno do zrozumienia, że nie ma zamiaru w żaden sposób się z nią wiązać.

Pomimo pewnego... dość szalonego incydentu, który przydarzył im się w domku zarządcy w stadninie Red & Black.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że to się stało naprawdę.

Po tylu latach fantazjowania na ten temat w końcu z nim była...

Jakoś zdołała się wyrwać z tej prowadzącej donikąd czarnej dziury wspomnień, przypomniała sobie bowiem ich ostatnie spotkanie, które odbyło się w pikapie stadniny zaparkowanym przed jej domem. Kłócili się wówczas

o pożyczkę hipoteczną, którą podpisała z jego ojcem tuż przed jego śmiercią.

Padły wówczas słowa, które niespecjalnie nadawałyby się na kartkę z życzeniami.

A mimo to Edward wciąż pozostawał tą właśnie jedyną osobą, z którą miała ochotę porozmawiać, jedynym oprócz ojca człowiekiem, z którego opinią się liczyła. Gdyby wciąż było tak jak przed jego porwaniem, bez wątpienia zaraz by do niego zadzwoniła, a on odebrałby po pierwszym sygnale i jednocześnie zaoferował jej wsparcie i sprowadził ją na ziemię.

Bo taki już był.

Tyle że jego też już straciła.

Kolejny powód do rozpacz.

Kolejne źródło tęsknoty.

Kolejna osoba do opłakania.

Oparła głowę o zagłówek, patrzyła na rzekę i marzyła o powrocie do czasów, gdy wszystko było zawsze na swoim miejscu.

– Och, Edward...

Samuel Theodore Lodge Trzeci sunął swoim zabytkowym jaguarem po River Road z zawrotną prędkością jakichś sześciu czy siedmiu kilometrów na godzinę. Zagęszczenie ruchu nie było ani mniejsze, ani większe niż zwykle, tego ranka jednak nie działało mu to tak bardzo na nerwy, ponieważ nie musiał się przedzierać aż do swojej kancelarii w centrum miasta. Wkrótce miał zjechać z autostrady na spotkanie z jednym ze swoich klientów.

Choć właściwie Lane Baldwine był dla niego raczej kimś w rodzaju brata.

Po lewej stronie ciągnęły się wielkie posiadłości ziemskie, a po prawej toczyła swe mętne wody rzeka Ohio. Bładobłękitne niebo zapowiadało kolejny gorący i parny majowy dzień. Jadąc otwartym kabrioletem, Samuel czuł ciepły wiatr mierzwiący mu włosy. Pogłodził muzykę klasyczną lecącą w lokalnej stacji radiowej, żeby móc posłuchać nokturnu Es-dur Chopina.

Palcami lewej ręki odgrywał utwór na swoim udzie, a prawą dłonią przebierał po kierownicy.

Gdyby nie został prawnikiem, czym wpisał się w tradycję podtrzymywaną przez jego ojca, stryjów i dziadka, zostałby pianistą klasycznym. Niestety nie było mu to dane – i to wcale nie tylko z powodu prawniczego profilu rodziny. Potrafił wprawdzie sprawnie poruszać palcami po klawiaturze i robić wrażenie na laikach podczas koktajli i imprez świątecznych – nie miał jednak talentu, który pozwoliłby mu stanąć w szranki z zawodowcami.

Zerknął na miejsce pasażera, gdzie leżała stara aktówka, której używał jeszcze jego stryjeczny dziadek T. Beaumont Lodge junior. Podobnie jak samochód prowadzony przez Samuela ona też pochodziła z dawnej epoki. Brązowa skóra była już mocno znoszona, a na rączce i na klapie (ozdobionej tłoczonymi na złoto inicjałami) miejscami całkiem wytarta. Wykonał ją jednak

solidny rzemieślnik z Kentucky, starzała się więc z gracją i wciąż świetnie się prezentowała. Podobnie jak w czasach jego stryjecznego dziadka skrywała całe pliki akt, notatek i dokumentów sądowych.

W przeciwieństwie jednak do swojego zacnego przodka Samuel trzymał w niej również macbooka i komórkę.

Zamierzał podarować kiedyś tę aktówkę jakiemuś dalekiemu kuzynowi. Może razem z nią przekaze mu też odrobinę swojego zamiłowania do pianistyki?

Na pewno nie przekaze nic własnemu potomstwu. Nie planował małżeństwa ani nie miał zamiaru płodzić dzieci poza nim. Nie kierowały nim w tym względzie względy religijne ani zasady mówiące, że „żaden Lodge tak nie postępuje” (choć to ostatnie było akurat prawdą).

Powód był całkiem prosty: Samuel miał na tyle rozumu, żeby wiedzieć, że nie byłby dobrym ojcem – angażował się zaś wyłącznie w takie sprawy, w których czuł się ekspertem.

To dzięki przestrzeganiu tej życiowej zasady był tak znakomitym prawnikiem procesowym, niesamowitym kochankiem i wysokiej rangi pijakiem.

Żadne z tych osiągnięć raczej nie zapewniłoby mu tytułu „tatusia roku”.

– Przerywamy audycję wiadomością z ostatniej chwili. William Baldwin, prezes Bradford Bourbon Company, zmarł w wieku sześćdziesięciu pięciu lat. Podejrzuje się samobójstwo. Wiele anonimowych źródeł potwierdza, że jego ciało znaleziono w rzece Ohio...

– O cholera... – mruknął Samuel, wyciągając rękę, żeby jeszcze bardziej pogłosić dźwięk płynący z małego radjka.

Relacja zawierała więcej domysłów niż faktów, ale – na ile Samuel się orientował – podstawowe informacje się zgadzały. Najwyraźniej starania Bradfordów, żeby uciszyć całą sprawę, dopóki rodzina nie będzie gotowa jej przedstawić światu, zawiodły.

– ...w kilka dni po tym, jak Jonathan Tulane Baldwin został oskarżony przez będącą z nim w separacji żonę Chantal Baldwin o stosowanie

przemocy domowej. Pani Baldwin została wówczas przyjęta do miejscowego szpitala z siniakami na twarzy i śladami duszenia na szyi. Początkowo oskarżała męża o spowodowanie tych obrażeń. Wycofała się jednak z tych zeznań, gdy policja odmówiła postawienia zarzutów panu Baldwin'owi z braku dowodów...

Słuchając pozostałej części relacji, Samuel spoglądał na najwyższe w okolicy wzgórze, do którego właśnie się zbliżał.

Easterly, zabytkowa rezydencja rodziny Bradfordów, stała dumnie na jego szczycie, wprost nad rzeką Ohio. Był to okazały biały gmach w klasycystycznym stylu, o stu oknach w oprawie błyszczących czarnych okiennic, niezliczonych kominach oraz wspaniałych drzwiach wejściowych. Nic dziwnego, że Bradfordowie wykorzystali sylwetkę budynku jako logo swojej firmy. Dokoła domu ciągnęły się tarasy, a za nimi starannie wypielęgnowane ogrody pełne rzadkich okazów kwiatów, drzew owocowych oraz wielkich magnolii o ciemnozielonych liściach i białych kwiatach wielkości ludzkiej głowy.

Rezydencję wzniesiono w czasach, gdy fortuna Bradfordów była jeszcze całkiem świeża. Teraz zarówno sam dom, jak i związane z nim konta bankowe miały już swoją historię – ale przecież wszyscy królowie wywodzą się z żebraków, a każdą szacowną dynastię początkowo tworzą nuworysze. Termin „arystokracja” określa jedynie, jak daleko trzeba się cofnąć w czasie, żeby trafić na parweniuszy.

Chociaż wskazuje też, czy dany ród ma potencjał utrzymania zdobytej pozycji w przyszłości.

Bradfordowie w każdym razie na pewno nie musieli się martwić o pieniądze.

Do ich wielohektarowego majątku prowadziły dwie drogi. Jedna, dla personelu, przecinała pola warzywne i grządki kwiatowe i kończyła się przy garażach na tyłach rezydencji, natomiast ta znacznie bardziej reprezentacyjna, przeznaczona dla członków rodziny oraz ich gości, prowadziła przez elegancką bramę. Samuel wybrał oczywiście tę drugą, jak wszyscy Lodge'owie w ostatnim stuleciu. Podjeżdżając w górę, zerknął na swoje

odbicie w lusterku wstecznym.

Na szczęście miał na nosie ciemne okulary. Czasem lepiej nie napotykać w lustrze własnego wzroku.

Gin pewnie teraz właśnie je śniadanie, wraz ze swoim narzeczonym – pomyślał, zajeżdżając przed frontowe drzwi rezydencji.

Wysiadł, zabrał aktówkę i przeczesał dłonią włosy, żeby się upewnić, że są należycie ułożone. Jego błękitno-biały garnitur z kory sam się idealnie ułożył. Samuel nie musiał też się martwić o muszkę, którą porządnie zawiązał przed opuszczeniem sypialni.

– Dzień dobry!

Obrócił się na pięcie ręcznie wykonanego mokasy na i podniósł rękę, pozdrawiając gestem blondynkę wychodzącą zza rogu i pchającą przed sobą taczkę pełną sadzonek bluszczu. Bijący od niej blask stanowił najlepszy dowód korzyści płynących z dobrego, prostego życia.

Nic dziwnego, że Lane zakochał się w niej po uszy.

– Dzień dobry! – powiedział Samuel, lekko się kłaniając. – Przyjechałem spotkać się z twoim facetem.

– Powinien tu zaraz być.

– A może... potrzebna ci pomoc? Jako dżentelmen, ale też właściciel farmy powinienem chyba przynajmniej zaproponować...

Lizzie zaśmiała się, zaciskając dłonie na uchwytach taczki.

– Dzięki, jakoś sobie z Gretą poradzimy.

– A ja sobie jakoś poradzę z twoim facetem – odparł Samuel, podnosząc aktówkę.

– Dziękuję – bąknęła Lizzie.

– Nic się nie martw. Przegonię tę Chantal gdzie pieprz rośnie, i to z przyjemnością.

Znów uniósł dłoń, po czym ruszył w stronę wejścia do rezydencji. Szedł po szerokich, niezbyt stromych stopniach z jasnego kamienia ku kolumnom korynckim, za którymi znajdowały się błyszczące czarne drzwi z kołatką

w kształcie głowy lwa.

Nie zamierzał zawracać sobie głowy formalnościami. Otworzył drzwi i wparował do holu wielkiego jak boisko.

– Tak, proszę pana? – odezwał się głos mówiący z silnym brytyjskim akcentem. – Czy ktoś pana oczekuje?

Newark Harris – najnowszy reprezentant długiej listy kamerdynerów – podobno pracował wcześniej w rezydencji księcia Edwarda w Bagshot Park. Wyglądem przypominał Davida Sucheta w serialowej roli Herkulesa Poirota: sztywny, nadgorliwy i subtelnie dający do zrozumienia, w jak wielkiej pogardzie ma Amerykanów, których obsługuje. Niezmiennie w białej koszuli oraz czarnym garniturze i krawacie, sprawiał wrażenie, że pełni swoją funkcję w rezydencji od początku jej istnienia.

Wrażenie to było jednak niestety mylące. Człowiek ten musiał się bowiem jeszcze wiele nauczyć.

– Zawsze – odparł Samuel z uśmiechem. – Zawsze mnie tutaj ktoś oczekuje. Pan więc wybaczy, ale nie mam już nic do dodania.

Ciemne brwi kamerdynera nieco się uniosły, Samuel jednak już się od niego odwracał. Jadalnia była po prawej. Dochodził stamtąd znajomy zapach perfum.

Samuel obiecywał sobie w duchu, że będzie się trzymać z dala. Ale jak zwykle nie dał rady.

Nigdy nie potrafił należycie się zdystansować wobec Virginii Elizabeth Baldwine, wkrótce mającej przyjąć nazwisko Pford.

Była to jedyna słabość jego charakteru.

Czy też raczej jedyna, która mu doskwierała.

Przemaszerował przez czarno-białą marmurową szachownicę w holu i wszedł do podłużnego pomieszczenia równie nonszalancko jak wtedy, gdy zignorował starania kamerdynera.

– Och, cóż za romantyczna scenka! Para narzeczonych radośnie posilająca się o poranku...

Richard Pford poderwał głowę znad jajka i tostu. Gin natomiast w ogóle nie

zareagowała – lub przynajmniej nie dawała nic po sobie poznać. Samuel uśmiechnął się jednak, widząc, jak kostki jej dłoni bieleją, zaciśnięte na uszku filiżanki z kawą. Mało brakowało, a z pełną satysfakcją dopieklaby jej jeszcze bardziej, informując ją, że wieści o samobójczej śmierci jej ojca są już powszechnie dostępne.

Ona jednak potrafiła być bardziej okrutna niż on.

Richard o czymś nawijał, Samuel jednak nie zwracał uwagi na nic oprócz długich ciemnych włosów Gin (opadających na jej kwiecistą jedwabną bluzkę i zawiązaną na szyi apaszkę od Hermès) oraz jej doskonałej, eleganckiej pozycji na krześle chippendale. Wyglądała, jakby upozował ją tam jakiś wielki artysta. Cokolwiek by mówić o jej niedostatkach moralnych, zawsze sprawiała wrażenie kobiety z klasą. Odpowiednia struktura kości, pochodzenie z wielkiego rodu, czyste piękno...

– ...wkrótce zaproszenie – mówił Richard. – Mamy nadzieję, że nas zaszczycisz.

Samuel spojrział na siedzącego naprzeciw Gin faceta, który wyglądał, jakby połknął kij od szczotki.

– Ale na wasz ślub? Czy na pogrzeb jej ojca? Mylą mi się te dwie imprezy.

– Nasze zaślubiny.

– To dla mnie wielki zaszczyt znaleźć się na liście gości równie elitarnej jak Wikipedia.

– Nie musisz się zjawiać – odezwała się cicho Gin. – Wiem, że masz dużo pracy.

Spojrział na pierścionek z diamentem na jej palcu i pomyślał, że owszem, dobrze się zatroszczyła o swoją przyszłość. On sam, choć raczej nie uchodził za biedaka, z pewnością nie mógłby sobie pozwolić na tej wielkości klejnot. Majątek Pforda mógł się jednak mierzyć z fortuną Bradfordów.

Krótko mówiąc, Gin wskoczyła do dość imponującej szalupy ratunkowej. Choć pewnie mniej by ryzykowała, próbując pływać wśród rekinów.

– Jak mógłbym przepuścić taką wspaniałą uroczystość – mruknął. – Ta twoja córeczka pewnie też się cieszy, że wreszcie ma ojca.

Gin pobladła, Samuel jednak nie zamierzał się wstydzić swoich słów. Mówiąc „ta twoja córeczka”, miał na myśli Amelię – jeden z wielu błędów życiowych Gin, owoc jednego z jej przypadkowych romansów już na studiach. Amelia była chodzącym dowodem złych decyzji życiowych swojej matki. Gin zresztą, o ile wiedział, nie za bardzo się przykładała do jej wychowania i w ogóle mało się nią interesowała.

Zastanawiał się, czy nie mógłby po prostu Gin nienawidzić. Bóg mu świadkiem, że miał po temu wystarczające powody.

W ich relacji jednak nigdy nie chodziło o samą nienawiść.

– Wiecie co? – powiedział z przeciągłym południowym akcentem. – Tak bardzo wam zazdroszczę. Małżeństwo to piękna sprawa.

– Jak tam rozwód Lane’a? – odezwał się Richard. – To chyba w tej sprawie tu przyjechałeś, prawda?

– Między innymi. Wiecie, co trzecie małżeństwo kończy się rozwodem. Ale was to nie dotyczy. Jak cudownie na własne oczy zobaczyć prawdziwą miłość. Jesteście dla nas wszystkich światłem i drogowskazem.

Richard uniósł brew.

– Sądziłem, że tobie raczej nie w głowie małżeństwo.

– W tej chwili nie, to prawda. Ale gdzieś na świecie na pewno istnieje dziewczyna moich snów, jestem tego pewien.

Tym razem akurat nie kłamał. Tyle że owa dziewczyna właśnie miała wyjść za mąż za dupka, z którym jadła tu teraz śniadanie. Poza tym była dla Samuela nie tyle dziewczyną ze snu, co raczej postacią z sennego koszmaru. On jednak naprawdę wybierał się na jej ślub i zamierzał patrzeć, jak Gin składa przysięgę małżeńską temu idiotcie – choćby po to, żeby sobie uświadomić, że ten ich związek jest czymś realnym.

Przez staroświeckie okna o pojedynczych szybach dobiegł ich warkot samochodu. Samuel skinął głową w stronę młodej pary.

– Jest już mój klient. Zawsze rozpoznam dźwięk silnika porsche. Tego się po prostu nie zapomina, podobnie jak odgłosów wydawanych przez kobietę podczas orgazmu.

Odwrócił się na pięcie, ale w przejściu się zatrzymał.

– To zresztą coś, nad czym będziesz musiał jeszcze trochę popracować. Życzę ci powodzenia, a gdybyś potrzebował jakichś wskazówek, to dzwoń. W końcu to ze mną przeżyła go po raz pierwszy.

Lane zajechał swoim porsche przed frontowe drzwi rodzinnej rezydencji i zaparkował obok zabytkowego wiśniowego jaguara swojego prawnika.

– Ładny widok – powiedział, wysiadając.

Lizzie podniosła wzrok znad rabatki, przy której klęczała, sadząc bluszcz. Otarła czoło przedramieniem i uśmiechnęła się.

– Przed chwilą dopiero zaczęłam. Za godzinę to będzie wyglądać znacznie lepiej.

Lane wszedł na przystrzyżony trawnik. W oddali słyszał warkot kosiarki, terkot elektrycznego sekatora, niski pomruk dmuchawy do liści.

– Wcale nie miałem na myśli prac ogrodniczych – zamruczał, pochylając się, żeby pocałować ją w usta. – Gdzie jest...?

– *Guten Morgen.*

Lane wyprostował się i szybko zamaskował grymas niezadowolenia, który wykwił mu na twarzy.

– Cześć, Greta. Co słychać?

Zza drzewa magnolii wyłoniła się współpracowniczka Lizzie. Lane cały się spiął, jak zawsze w obecności tej Niemki o krótkich blond włosach, w okularach w szylkretowych oprawkach i o bardzo zasadniczym podejściu do życia. Greta von Schlieber potrafiła zdziałać cuda w ogrodzie – ale jak się jej podpadło, długo chowała urazę.

W odpowiedzi dobiegła go jakaś wiązanka niemieckich słów – był przekonany, że Greta zdołała wpleść w obcojęzyczne pozdrowienie jakąś aluzję do fortepianu, który powinien mu spaść na głowę.

– Idę pogadać z Samuelem – powiedział do Lizzie.

– Powodzenia! – Lizzie znów go pocałowała. – Będę tutaj, gdybyś mnie potrzebował.

– Stale cię potrzebuję...

Greta głośno prychnęła, co trochę przypominało parsknięcie rasowej kobyły, trochę gdakanie troskliwej kwoki, a trochę wystrzał z bazooki prosto w głowę Lane'a. Uznał, że czas się oddalić. Choć był u siebie w domu, nie miał zamiaru zadzierać z Gretą. Wiedział też dobrze, że solidnie zapracował na jej wrogość.

Nadszedł jednak czas, żeby naprawić dawne błędy.

– Chodzi o mój rozwód – wymamrotał w stronę Grety. – Mój rozwód z Chantal.

Niemka przeszła go lodowatym spojrzeniem błękitnych oczu.

– Najwyższa pora – syknęła. – Pogadamy, jak zobaczę *Papieren, ja?*

– Greta! – Lizzie zakłęła pod nosem. – On...

– Masz to jak w banku. – Lane przeciął palcem wskazującym powietrze przed nosem Grety. – Daj mi tylko chwilę.

Ruszył w stronę frontowych drzwi rezydencji, modląc się, żeby nie oberwać rydłem w tył głowy. Mówił jednak serio. Miał zamiar pozbyć się całego balastu przeszłości.

Otwierając wielkie drzwi, przygotował się na konfrontację z kamerdynerem.

– Mam spotkanie... – zaczął.

Powitał go jednak wcale nie pan Harris, tylko Samuel – z uśmiechem modela reklamującego wodę kolońską, którym zresztą śmiało mógłby być.

– Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

– A to pewnie dlatego mam z Nim na pieńku.

– Dla mnie to jedyne wyznanie wiary.

Uścisnęli sobie dłonie i pokleпали się po ramionach.

– Muszę się napić – westchnął Lane.

– I właśnie dlatego tak lubię pracować z przyjaciółmi. Zwłaszcza jeśli są z branży alkoholowej.

Lane poprowadził ich do salonu.

– Przyjaciółmi? Jesteśmy prawie rodziną.

– No nie, przecież ona wychodzi za kogoś innego. – Samuel obejrzał się za siebie i machnął ręką, jakby chciał cofnąć te słowa. – Nie to chciałem powiedzieć.

Gówno prawda, pomyślał Lane. Nie zamierzał jednak zagłębiać się w pełną udręki relację między Gin a Samuelem. Byli zupełnie jak Scarlett O’Hara i Rhett Butler, gdyby odjąć mu wąsik i dorzucić parę telefonów komórkowych. Zresztą jeśli problemy finansowe Bradfordów będą dalej narastać, być może Gin zostanie w końcu zmuszona uszyć sobie suknię z zasłon udrapowanych tu w salonie. Lubiła nawet ten kolor, jasnożółty.

Lane wziął do ręki butelkę rodzinnej rezerwy i nalał bourbona do dwóch kryształowych szklaneczek. Obaj z Samuelem opróżnili je jednym haustem, dzięki czemu mógł od razu napełnić je ponownie.

Lane z butelką w dłoni opadł na obitą jedwabiem sofę.

– Powiedz mi, jak wygląda sytuacja. Ilu problemów mam się spodziewać i ile mnie to będzie kosztować.

Samuel zajął miejsce naprzeciw niego, po drugiej stronie marmurowego kominka, nad którym wisiał portret Elijaha Bradforda Drugiego. Znakomity przodek Lane’a, który wybudował tę rezydencję, żeby dać dowód rodzinnej zamożności, zdawał się piorunować ich wzrokiem.

– Słuchałeś już dzisiaj radia? – spytał Samuel.

– Nie.

– Wyciekło – prawnik uniósł w górę dłoń. – Samobójstwo twojego ojca, nie cięża Chantal. Podawali tę wiadomość w lokalnej stacji radiowej, gdy tutaj jechałem. Bardzo mi przykro. Podejrzewam, że jutro będą o tym trąbiły wszystkie gazety. W internecie pewnie już huczy.

Lane potarł oczy.

– Jasna cholera. Czy to Chantal poleciała z tym do mediów?

– Nie wiem. Mówią o „anonimowych źródłach”. Pogadam z Ramseyem i sprawdzę, czy coś wie.

– To na pewno nie jeden z jego chłopaków. On by ich pozabijał.

– Pełna zgoda. Nie sędzę też, żeby to była Chantal, bo wówczas dorzuciłaby informację o swojej ciąży. Gdyby naprawdę chciała nam dopiec, sama znalazłaby się przy tej okazji w blasku fleszy. Choć sądząc po jej wyborze prawnika, na pewno nie zamierza wchodzić łagodnie do żadnej dobrej nocy^[1].

– Kogo wzięła?

– Rachel Prather.

– Kto to jest?

– Skrzyżowanie Glorii Allred^[2] z Hulkiem. Co nie znaczy, że jest zielona i paskudna, tylko że jak jej podpadniesz, to miej się na baczności. Dzwoniła do mnie z Atlanty wczoraj o dziesiątej wieczorem. Byłem już w piżamie, czego nie mogę powiedzieć o swojej towarzyszcze.

Lane potrafił to sobie wyobrazić.

– Czyli nie tracą czasu. Ile chcą?

Samuel uniósł szklankę.

– Wiesz, to naprawdę najlepszy bourbon, jaki miałem w ustach. Taki treściwy i...

– Ile.

Samuel rzucił mu szybkie spojrzenie ponad niskim stolikiem.

– Żądają połowy. Wszystkiego, co jest na ciebie zapisane. Czyli około osiemdziesięciu milionów dolarów.

– Czy ona oszalała?

– Owszem, ale ujmę to tak: Chantal może ujawnić informacje, które na pewno wolałbyś zachować w ukryciu. – Ponieważ Lane nie przerywał ciszy, Samuel dopowiedział to, co wydawało się oczywiste. – Jej ciąża jest tutaj pewnym problemem, choć w innych okolicznościach stanowiłaby raczej argument za obniżeniem należnych jej świadczeń.

– Jej błogosławiony stan to zaledwie jeden z wielu problemów.

– Czy to z tego powodu twój ojciec się zabił? – spytał cicho Samuel.

– Nie wiem. – Lane wzruszył ramionami, myśląc, że mógłby ułożyć całą listę potencjalnych powodów. – W każdym razie nie ma mowy, żebym ją tak

obdarował. W żadnym wypadku.

– Posłuchaj, zważywszy na jej... stan oraz śmierć twojego ojca, radziłbym ci jednak... – Samuel przez chwilę delektował się kolejnym łykiem bourbona – ...zapłacić jej te pieniądze. Sam nie wierzę, że to mówię, bo miałem zamiar walczyć o to, żeby został jej tylko pierścionek. Musimy jednak mieć na względzie reputację całej twojej rodziny. Wiem, że to uderzy w wasze finanse, ale bourbon się teraz świetnie sprzedaje, więc w niecałe trzy lata to wszystko nadrobicie. To nie jest odpowiedni czas na kurczowe trzymanie się zasad, z wielu powodów. Zwłaszcza że postanowiłeś sobie ułożyć życie z tą ogrodniczką...

– Lizzie jest konserwatorem terenów zielonych – wycedził Lane.

– Najmocniej przepraszam. – Samuel uniósł dłoń. – Jeśli jednak chodzi o Chantal, chętnie przygotuję solidną umowę o zachowaniu poufności, zmuszając ją zarazem do zgody na zaprzeczenie ojcostwa i zakazującą jej i dziecku kontaktów z kimkolwiek z mieszkańców Easterly.

– Nawet jeśli Chantal coś takiego podpisze, i tak nie dostanie ode mnie tych pieniędzy.

– Nie bądź durniem, Lane. Ta kobieta ma prawniczkę, która przeciągnie całą twoją rodzinę przez wszystkie tabloidy. Nawet sobie nie wyobrażasz... A przecież twoja matka nie wie o tej ciąży, prawda? – Lane pokręcił głową, a Samuel nieco obniżył głos. – W takim razie nie ma co tego ruszać.

Lane'owi stanęła przed oczami jego rodzicielka, leżąca bez ruchu wśród satynowej pościeli w swojej sypialni na górze. Chciał wierzyć, że zdoła ją uchronić przed wiedzą o wszystkich tych zdarzeniach. Zdawał sobie jednak sprawę, że przez całą dobę troszczą się o nią pielęgniarki, które mają nieograniczony dostęp do świata: czytają gazety, słuchają radia i korzystają ze smartfonów.

Ale problem był przecież znacznie poważniejszy.

Na ironię losu zakrawało, że Lane nalewał sobie właśnie rodzinnej rezerwy, gdy wypowiadał słowa:

– Nie mamy takich pieniędzy.

– Wiem, że w waszej umowie powierniczej jest klauzula zapobiegająca roztrwonieniu środków, ale działa ona tylko w wypadku pozwów zewnętrznych. Jeśli jednak sam ustanowisz płatności, firma powiernicza musi je zrealizować. Taniej ci wyjdzie, jeśli zapłacisz Chantal za milczenie, niż jeśli to odpuścisz. Masz w zarządzie sporo staroświeckich sztywniaków, którzy uważają, że kochanki powinno się skrzętnie ukrywać, a samobójstwo to oznaka niewybaczalnej słabości...

– Samuel, mamy teraz większe kłopoty niż ta ciąża. Jak myślisz, dlaczego Gin wychodzi za Richarda?

– Bo chce mieć nad nim władzę.

– Nie. Bo potrzebuje jego pieniędzy.

W innych okolicznościach zabawnie by było obserwować, jak na marmurowym czole jego kumpla pomалу pojawia się błysk zrozumienia, który stopniowo ogarnia całą jego twarz.

– Co ty... Przepraszam, co ty mówisz?

– Jest wiele powodów, dla których ojciec skoczył z mostu, a część z nich dotyczy finansów. Z naszych domowych rachunków wyparowało mnóstwo pieniędzy, a obawiam się, że w firmie również kończy się kasa. Po prostu nie mam funduszy, żeby spłacić Chantal. Ani od razu, ani nawet w ratach.

Samuel zakołysał bourbonem w szklance, po czym go dopił.

– Będziesz mi musiał wybaczyć, ale... Z trudem przychodzi mi ogarnięcie tych informacji. A co z portfelem inwestycyjnym twojej matki? Co z...

– Nasza rodzina ma w tej chwili sześćdziesiąt osiem milionów długu. Osobistego. A myślę, że to ledwie wierzchołek góry lodowej.

Samuel gwałtownie zamrugnął i wyciągnął przed siebie pustą szklankę.

Lane napełnił ją ponownie, a potem nalał też sobie.

– Ściągnąłem tu kumpla z Nowego Jorku, który próbuje teraz jakoś to wszystko rozgryźć. Jeff Stern, może pamiętasz go ze studiów.

– Spoko gość. Nie potrafił pić jak południowiec, ale poza tym był w porządku.

– Jest na górze i przedziera się przez dokumenty finansowe korporacji,

próbując ocenić, jak źle stoją sprawy. Nie możemy optymistycznie zakładać, że ojciec nie sprzeniewierzył prawie wszystkiego, bo jakiś rok temu wystąpił o stwierdzenie niepoczytalności matki i przejął kontrolę nad jej rachunkami. Bóg raczy wiedzieć, czy cokolwiek jeszcze w ogóle nam zostało.

Samuel przez chwilę kręcił głową.

– Wolisz, żebym ci okazał współczucie czy żebym ci szczerze powiedział, co naprawdę myślę?

– Bądź szczerzy. Zawsze bądź szczerzy.

– Szkoda, że twój ojciec nie został zamordowany.

– Słucham? Nie żebym chciał z tobą polemizować, bo sam chętnie bym się dopuścił takiego czynu...

– Większość polis na życie nie wypłaca odszkodowań w wypadku samobójstwa, gdyby jednak ktoś go zabił, o ile nie byłby to ktoś z potencjalnych beneficjentów, dostalibyście odszkodowanie.

Lane roześmiał się mimo woli.

– Wiesz, nie po raz pierwszy jest mi bliska myśl o jego ukatrupieniu.

Nagle sprzed domu dobiegł ich potworny krzyk, niczym strzał z pistoletu.

– Co się tu, do diabła, dzieje? – mruknął Samuel, zrywając się wraz z Lane'em na nogi.

– *Scheiße! Meine Güte, ein Finger! Ein Finger...*

Lane pierwszy wypadł z domu, mając Samuela zaraz za plecami. Ze szklanki trzymanej w ręku wylewał mu się bourbon, w końcu więc, zbiegając po schodach, chlusnął nim prosto w krzaki. W ogrodzie, po prawej stronie, Lizzie kuciała nad dziurą wykopaną w grządce, gdzie sadiła bluszcz. Jedną ręką podierała się o ziemię, a drugą próbowała odciągnąć Gretę, która wrzeszczała coś po niemiecku, wskazując palcem rozkopaną ziemię.

– Co się stało? – spytał zdyszany Lane.

– To... – Lizzie zdjęła z głowy kapelusz przeciwsłoneczny i podniosła wzrok na Lane'a. – Mamy tutaj problem.

– Co to...

– To palec. – Lizzie skinęła głową, wskazując rozgrzebaną grządkę. – Wydaje mi się, że to ludzki palec.

Lane pokręcił głową, jak gdyby miało to nadać sens jej słowom. Potem zaś szybko przykucnął, aż mu trzasnęło w kolanach. Pochylił się nad płytkim zagłębieniem...

Jasna cholera... To rzeczywiście był palec. Ludzki.

Pokrywającą go skórę pobrudziła ziemia, dawało się jednak dostrzec, że jest nienaruszony – tylko strasznie gruby, jakby spuchł od czasu, gdy został odcięty, wyrwany czy co tam się z nim stało. Paznokiec, równie blady jak skóra, był krótki, a podstawa palca, gdzie wcześniej łączył się z dłonią, miała równy, gładki przekrój: szare mięso otaczało białą okrągłą kropkę – końcówkę kości.

Ale wcale nie to najbardziej interesowało Lane'a.

Jego wzrok przykuwało grube złote kółko otaczające palec.

– To sygnet ojca – powiedział bezbarwnym głosem.

– O cholera... – szepnął Samuel. – Proście, a będzie wam dane.

Lane poklepał się po kieszeni i wyjął z niej telefon, ale nie wybierał na razie żadnego numeru.

Spojrzał za to w górę, aż do okna sypialni matki, znajdującego się dokładnie nad miejscem, gdzie zagrzebano w ziemi palec.

Lizzie dotknęła dłonią jego ramienia i lekko je ścisnęła. Spojrzał na nią, a potem, wciąż nie odrywając od niej wzroku, zwrócił się do Samuela z oczywistą kwestią:

– Musimy chyba zadzwonić na policję, co?

Z rezydencji wyszli na światło dnia Gin i Richard. Samuel podniósł dłoń.

– Wracajcie do środka! – zawołał.

Gin spiorunowała go wzrokiem.

– Co tu się dzieje?

Lane pokiwał głową. Nie miał zamiaru chronić siostry przed tym widokiem, ale nie chciał, żeby Pford się w to mieszał. Nie należało mu ufać.

– Richard, proszę, zabierz ją z powrotem do środka.

– Lane? – Gin chciała ruszyć w dół po schodach, ale narzeczony przytrzymał ją za ramię. – Lane, o co chodzi?

– Zaraz do was wrócę i wszystko wyjaśnię – obiecał, nieco na wyrost, bo przecież sam nie miał pojęcia, co się, u diabła, stało. – Richard, proszę cię.

Pford zaczął ciągnąć Gin z powrotem w stronę drzwi, ona jednak wyrwała mu się i przebiegła w szpilkach po trawniku. Gdy dołączyła do zgromadzenia i utkwiała wzrok w rozkopanej grządce, na jej ślicznej buzi wykwitł potworny grymas przerażenia.

– Co... to... jest?

Samuel próbował ją uspokoić, mówiąc do niej łagodnym głosem. Potem, gdy już prowadził ją w stronę domu, obejrzał się przez ramię.

– Zadzwonisz czy ja mam to zrobić?

– Zadzwoń – odparł Lane.

Wybierając na swoim iPhone'cie często ostatnio używany numer wiceszeryfa Ramsey'a, mimochodem zauważył, że w ogóle nie trzęsą mu się ręce. Zdaje się, że już przywykł do przykrych niespodzianek, złych wiadomości i wizyt policji w rodzinnym domu.

„Uszanowanko, panowie, dawno się nie widzieliśmy. Na znak naszej gościnności mamy tutaj dla panów specjalne miejsca parkingowe przed samym domem, proszę”.

Jeden sygnał, drugi...

– Właśnie miałem do ciebie dzwonić – powiedział w ramach powitania Mitch. – Jutro wydadzą wam ciało do kremacji.

– Raczej nie.

– Słucham?

Lane utkwiał spojrzenie w bladym kawałku ludzkiego ciała, wybrudzonym żyzną glebą stanu Kentucky.

– Znaleźliśmy coś w ziemi. Dokładnie pod oknem sypialni matki. Będziecie musieli tu przyjechać z chłopakami z wydziału zabójstw.

– O czym ty mówisz?

– To fragment ciała mojego ojca. Na ile mogę to ocenić.

W słuchawce przez moment panowała cisza.

– Niczego nie dotykajcie. Jadę. Dzwoniłeś już na policję?

– Nie.

– To zadzwoń...

– Żeby mogli przyjąć zgłoszenie.

– ...żeby mogli przyjąć zgłoszenie.

Lane roześmiał się gorzko.

– Znam już tę procedurę na pamięć.

Rozłączyli się. Lane osunął się na trawę, tak że on, Lizzie i Greta siedzieli w półkolu wokół rozkopanej ziemi. Jak na biwaku przy ognisku, pomyślał Lane. Nie mieli wprawdzie kielbasek, ale za to z pewnością mogli wkrótce

liczyć na jakąś opowieść z dreszczykiem.

Chwilę później zza otwartych drzwi rezydencji dobiegły ich odgłosy gwałtownej kłótni. Najdonośniej krzyczała Gin, której wtórował głos Samuela.

„Szkoda, że nie został zamordowany”.

Hipotetyczna myśl Samuela nie dawała mu spokoju. Żałował teraz, że wylał zawartość swojej szklanki w krzaki bukszpanu rosnące przy schodach.

To może całkiem odwrócić bieg zdarzeń, pomyślał. Nie wiadomo tylko, czy na lepsze, czy na gorsze.

– Edward... – szepnął sam do siebie. – Edward, coś ty zrobił...?

Tymczasem w hrabstwie Ogden Edward rozparł się w swoim sfatygowanym fotelu, odmawiając należytego powitania gościa.

– Przyjechał pan tu na darmo.

Doktor Michael Qalbi uśmiechnął się łagodnie. Był to trzydziestopięciolatek o aparycji dwunastolatka – przystojna twarz i kruczoczarne włosy podkreślały jego w połowie irackie pochodzenie, a świdrujący wzrok brązowych oczu szybko uzmysławiał rozmówcom, że każdy, kto zachęcony jego życzliwością chciałby go sobie urobić, srodze by się zawiódł. Qalbi był tak uzdolniony, że jako cudowne dziecko w przyspieszonym tempie ukończył zarówno akademię medyczną, jak i wszystkie staże, dzięki czemu mógł dołączyć do prywatnej kliniki swojego ojca w Charlemont.

Edward przez wiele lat miał u nich wykupiony pełny pakiet usług medycznych, ale odkąd wrócił z Ameryki Południowej, nie opłacił ani jednej składki. Doktor Qalbi był jednak na tyle poczciwy, że zdawał się nie zwracać na to najmniejszej uwagi.

– Naprawdę nie jest mi pan potrzebny – upierał się Edward. – A co to, krawat do scrabble’a?

Doktor Qalbi spojrzał w dół na swój kolorowy jedwabny krawat w literki.

– Tak, owszem. A skoro mnie pan nie potrzebuje, to może odprowadzi mnie

pan do drzwi, jak przystało na dżentelmena?

– Żyjemy w czasach wolności i tolerancji. Nie chciałbym urazić pańskiej męskości. Mogłaby mnie potem zalać fala hejtu w internecie.

Doktor Qalbi skinął na Shelby, która stała z boku z ramionami założonymi na piersi, niczym zawodniczka mieszanych sztuk walki podczas ważenia.

– Podobno upadł pan na beton.

– „Upapanabeto”, jak to ładnie brzmi, może pan powtórzyć? – Edward wskazał palcem czarny kuferek w ręku lekarza. – To prawdziwe czy tylko rekwizyt?

– Należał do mojego dziadka. I mam tam różne niespodzianki.

– Nie lubię lizaków.

– O ile wiem, to pan w ogóle niczego za bardzo nie lubi.

Lekarz podszedł do Edwarda i uklęknął tuż przy jego ozdobionych monogramem kapciach (żadne inne obuwie nie dawało się włożyć na pioruńsko bolesną kostkę i opuchlizną wokół niej).

– Fantastyczne buty!

– Należały do mojego dziadka. Słyszałem, że faceci z Kentucky nigdy nie kupują sobie nic nowego, z wyjątkiem żon. Za to nasze szafy oferują nieprzebrane bogactwo wszelkich dóbr.

– Czy to boli?

Zniszczonym ciałem Edwarda aż zarzuciło w tył; wbił dłonie w poręczę fotela i mocno zacisnął zęby.

– Nie, wcale.

– A teraz?

Gdy jego kostkę przesunięto w przeciwną stronę, Edward syknął:

– To kara za rzucanie mizoginicznych uwag?

– Czyli przyznaje pan, że to boli?

– Tylko jeśli pan się przyzna do popierania demokratów.

– To dla mnie zaszczyt.

Edward miał ochotę dalej się z nim przekomarzać, ale jego system nerwowy

był już przeciążony nadmierną ilością bodźców, zasadniczo raczej nieprzyjemnych. Stękał więc i klął, ze świadomością, że Shelby cały czas stoi z boku i patrzy spode łba na całą tę scenkę.

– Może pan nią poruszyć? – spytał doktor Qalbi.

– Myślałem, że cały czas nią ruszam.

Po kolejnych dwóch godzinach tych tortur (no dobra, były to raczej góra dwie minuty) lekarz podniósł się z klęku i przykucnął.

– Nie sądzę, żeby była złamana.

Edward rzucił Shelby znaczące spojrzenie.

– Coś takiego! To wprost nie do wiary.

– Jest natomiast zwichnięta.

Shelby lekko uniosła prawą brew, jakby chciała powiedzieć: „A nie mówiłam?”. Edward przeniósł wzrok z powrotem na lekarza.

– To niech ją pan nastawi.

– Mówił pan, że to się stało w stajni? Jak pan stamtąd wrócił?

– Na nogach.

– Niemożliwe.

– Jestem pijany.

– No dobrze. Musimy pana zawieźć do ortopedy.

– Nie jadę do żadnego szpitala. Albo pan to tu załatwi, albo niech mnie pan zostawi w spokoju.

– Nie jest to najlepsze rozwiązanie. Trzeba pana...

– Dobrze pan wie, co przeszedłem. Wyczerpałem już swój życiowy limit pobyków w szpitalach. W trybie przyspieszonym. A więc nie, nie mam zamiaru jechać gdziekolwiek karetką.

– Byłoby lepiej, gdyby pan otrzymał...

– *Primum non nocere.*

– I właśnie dlatego chcę pana zabrać do miasta.

– Poza tym klient ma zawsze rację.

– Jest pan moim pacjentem, a nie klientem. Moim celem nie jest pańska satysfakcja, tylko zapewnienie panu fachowej opieki medycznej.

W tym momencie lekarz jednak zamilkł, a jego wzrok znieruchomiał – choć trudno było stwierdzić, czy dokonuje dalszej analizy medycznej, czy raczej czeka, aż jego pacjent pójdzie po rozum do głowy.

– Sam nie dam rady – powiedział w końcu.

Edward skinął na Shelby.

– Jest od pana silniejsza. I jestem pewien, że z przyjemnością zada mi trochę bólu. Prawda, kotku?

– Czego panu trzeba, panie doktorze? – spytała lakonicznie Shelby, podchodząc do fotela.

– Jeśli na *dorsalis pedis* albo *tibialis posterior* nie wyczuję potem pulsu, jedzie pan do szpitala – oświadczył doktor Qalbi, patrząc Edwardowi prosto w oczy.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

– To pan zaczął posługiwać się łaciną. A ja stawiam takie właśnie warunki. Jeśli pan ich nie przyjmie, to pana tu zostawię, ale poinformuję opiekę społeczną o pana odmowie przyjęcia koniecznej pomocy medycznej, a wówczas to oni będą pana dalej zabawiać.

– Nie ośmieli się pan.

– Chce się pan przekonać? – odarł spokojnie lekarz.

Niewiniątko, kurwa – pomyślał Edward.

– Stawia pan twarde warunki.

– Tylko dlatego, że zachowuje się pan mało rozsądnie.

I w ten oto sposób kilka chwil później Edward siedział już z nogawką dzinsów podwiniętą aż na wychudzone udo, z wykrzywioną nogą zgiętą w kolanie. Shelby siedziała mu okrakiem na kolanach, rękami blokując jego żałosne ścięgna podkolanowe. Miłosierny pan doktor uznał bowiem, że ze względu na niesprawne biodra Edwarda pozycja z wyprostowaną nogą nie byłaby właściwa.

– Pociągnę na trzy.

Edward zacisnął zęby i patrzył przed siebie – wprost na całkiem zgrabny tyłeczek Shelby. No tak, ale tak to właśnie wygląda, jeśli się ciężko pracuje fizycznie i ma się dwadzieścia parę lat.

Na przeciwległej ścianie kuchennej rozdzwonił się staroświecki aparat telefoniczny.

– Trzy!

Edward ryknął, a w jego kostce coś głośno trzasnęło. Ból jednak szybko stępiał i zamienił się w lekki dyskomfort. Przyspieszony oddech stopniowo wracał do normy, a doktor Qalbi dokładnie badał okolice nastawionej kostki.

– Mocny puls, wygląda na to, że miał pan trochę szczęścia – powiedział, podnosząc się i stając na własnych, stuprocentowo sprawnych nogach. – Ten wypadek każe jednak się zastanowić, jak w ogóle przebiega pana powrót do zdrowia.

– Ogólnie przebiega on w tym fotelu – jęknął Edward. – Jak zresztą widać, no nie?

– Powinien pan mieć już większą sprawność ruchową. I na pewno nie powinien pan kurować się alkoholem. Powinien pan też...

– Czy słowo „powinien” nie jest przypadkiem *passé*? Myślałem, że w naszych czasach nie narzuca się już ludziom, co powinni robić.

– Nie interesuje mnie tania psychologia. Interesuje mnie natomiast to, że jest pan taki słaby.

– Mam więc rozumieć, że nie da mi pan recepty na środki przeciwbólowe? Obawia się pan, że będę kolejną osobą z rodziny uzależnioną od leków?

– Nie jestem lekarzem pańskiej matki. I zapewniam pana, że gdyby pozostawała ona pod moją opieką, sprawy wyglądałyby zupełnie inaczej. – Doktor Qalbi schylił się i podniósł swój kuferek. – Zachęcam pana do rozważenia kwestii krótkiego pobytu w szpitalu rehabilitacyjnym...

– Nie ma mowy...

– ...celem odbudowania sił. Zalecam też kurację odwykową...

– ...ponieważ nie wierzę w lekarzy...

– ...ponieważ w obecnej sytuacji...

– ...a picie wcale...

– ...powinien pan unikać alkoholu.

– ...mi nie szkodzi.

Z tylnej kieszeni spodni doktor Qalbi wyjął wizytówkę i podał ją Shelby.

– Proszę to zatrzymać – powiedział. – Jest tu mój numer komórkowy. Jeśli nadal będzie pani z nim mieszkać, spodziewam się regularnych telefonów, możemy więc sobie darować pośrednictwo kliniki.

– Ja z nim nie mieszkam – szepnęła Shelby. – Tylko tu pracuję.

– Bardzo przepraszam za wyciąganie pochopnych wniosków – odparł doktor Qalbi, po czym zerknął na Edwarda. – Pan też może do mnie dzwonić. Nie, nie, proszę sobie darować. Wiem, co pan powie: że nie ma zamiaru.

Chwilę później drzwi wejściowe się za nim zamknęły i dało się słyszeć odjeżdżający samochód. Zapadła cisza. Edward przyglądał się swojej stopie, która miała teraz prawidłową pozycję i nie sterczała w bok. Z jakiegoś powodu pomyślał o tym, jak szli tutaj ze stajni, a on opierał się o Shelby, wisząc całym swoim zniszczonym ciałem na jej gibkim tułowiu, niczym kłoda.

Telefon znów się rozdzwonił. Shelby rzuciła mu krótkie spojrzenie.

– Czy mam...?

– Bardzo mi przykro – odezwał się Edward ponuro. – Trafiłaś na mnie w takim momencie życia, w którym zachowuję się dokładnie tak jak kiedyś twój ojciec.

– Przecież mnie nie prosisz o opiekę.

– To dlaczego to robisz?

– Ktoś musi.

– Wcale nie. Zastanów się lepiej, czy nie powinnaś stąd odejść.

– Potrzebna mi ta robota...

Ich spojrzenia się skrzyżowały, a Shelby, widząc jego wyraz twarzy, umilkła.

– Shelby, będę z tobą szczery. Będzie już tylko coraz gorzej. Coraz trudniej.

– To nie pij tyle. Albo w ogóle przestań.

– Nie o tym mówię.

Ale z niego dżentelmen! Choć jego własne życie leży w gruzach, on jeszcze próbuje ją ocalić. Do diabła, czy ten cholerny telefon mógłby przestać dzwonić?

– Edward, jesteś pijany...

Telefon w końcu ucichł, a Edward już tylko kręcił głową.

– W mojej rodzinie doszło do pewnych incydentów. Które... jeszcze zostaną ujawnione. Na pewno nie będzie lepiej niż teraz.

W najbliższym czasie problemy z kostką na pewno nie będą jego najpoważniejszym zmartwieniem.

Doszedł ich dźwięk samochodu parkującego przed domkiem. Edward przewrócił oczami.

– To pewnie Qalbi wraca po swoją etykę lekarską.

Shelby podeszła do drzwi i otworzyła.

– Nie, to ktoś inny.

– Jeśli to długa czarna limuzyna z paniusią w różowym kostiumie od Chanel, to powiedz jej, żeby...

– To jakiś facet.

Edward uśmiechnął się lodowato.

– Przynajmniej nie muszę się obawiać, że to ojciec przyjechał mi złożyć wizytę. Jedna bolączka mniej.

Wyjrzał przez otwarte drzwi i zmarszczył brwi, widząc, kto się zbliża.

– Shelby, możesz nas na chwilę zostawić samych? Dziękuję.

Tymczasem w skąpanym w słońcu ogrodzie przed rezydencją Lane zakończył połączenie z numerem alarmowym miejscowej policji i spojrzał na Samuela, który właśnie znów wychodził przez wielkie drzwi frontowe.

– No dobra, panie mecenasie – powiedział. – Mamy piętnaście, może dwadzieścia minut, zanim tu przyjadą chłopaki z wydziału zabójstw. Jestem już z nimi po imieniu.

– Mamy więc dość czasu, żeby zatrzeć wszystkie ślady, jeśli to twoja sprawka – rzucił Samuel, po czym przewrócił oczami, widząc szok i przerażenie na twarzach Lizzie i Grety. – Wyluzujcie, przecież żartowałem.

W tym momencie z rezydencji wyszedł ciężkim krokiem Jeff Stern. Współlokator i dobry kumpel Lane'a z czasów studenckich wyglądał na tak zrelaksowanego i wyspanego, jak może wyglądać ktoś, kto od kilku dni nie zmrużył oka, posilał się kofeiną i spędzał błogie godziny, szczegółowo analizując arkusze kalkulacyjne.

Byłe statysta z serialu *Żywe trupy* prezentował się lepiej.

– Mamy problem – mruknął Jeff, sunąc przez trawnik.

W bardziej sprzyjających okolicznościach był całkiem przystojnym facetem, świadomie odcinającym się od dziedzictwa białych anglosaskich protestantów i podkreślającym swoje żydowskie pochodzenie oraz akcent rodem z New Jersey. Na studiach zdecydowanie się wyróżniał, głównie ze względu na zdolności matematyczne, potem zaś rozpoczął pracę na Wall Street i zaczął zarabiać nienormalne pieniądze jako bankier inwestycyjny.

Przez dwa ostatnie lata Lane nocował na jego kanapie na Manhattanie. Teraz zaś nagle postanowił mu się zrewanżować i zaprosił go do swojej rodzinnej rezydencji na „wakacje”, podczas których Jeff miał wykombinować, co,

u licha, ojciec Lane'a zrobił z całą kasą.

– Czy to może zaczekać? – spytał Lane. – Muszę...

– Nie. – Jeff zerknął na Lizzie i Gretę. – Musimy pogadać.

– Mamy piętnaście minut, zanim przyjedzie tu policja.

– A więc już wiesz? Jak to? Dlaczego, do ciężkiej cholery, nic nie mówiłeś?

– O czym niby wiem?

Jeff jeszcze raz spojrzął na obie kobiety, ale Lane szybko ukrócił jego niepokoje.

– Wszystko, co masz mi do powiedzenia, możesz powiedzieć przy nich.

– Jesteś pewien? – Lane uniósł dłonie na znak, że sprawę uważa za ostatecznie rozstrzygniętą. – W porządku. Ktoś wyprowadza również fundusze z firmy. Nie tylko rachunki domowe okazują się problematyczne. Z Bradford Bourbon Company wypływa cała rzeka pieniędzy, a jeśli chcesz, żeby coś wam zostało, lepiej jak najszybciej dzwoń po FBI. Wciąż lecą jakieś przelewy, to podchodzi pod działalność zorganizowanej grupy przestępczej. Tym powinni się zająć federalni.

Lane spojrzął na Lizzie, która wyciągnęła do niego dłoń i wzięła go za rękę. Zastanawiał się, jakim cudem miałyby sobie poradzić bez niej.

– Jesteś tego pewien? – spytał.

Stary kumpel wbił w niego spojrzenie mówiące „daj spokój”.

– A nawet nie przerobiłem jeszcze połowy tych papierów. Tak fatalnie to wygląda. Musisz przekonać członków wyższej kadry zarządzającej do wstrzymania wszelkiej aktywności, a potem zadzwonić do FBI i zamknąć to całe centrum biznesowe na tyłach rezydencji.

Lane obrócił się na pięcie w stronę domu. Gdy jego matka „zaniemogła”, ojciec kazał przebudować dawne stajnie w doskonale wyposażony nowoczesny biurowiec, który od tej pory miał już zawsze pod bokiem. Przeniósł do niego wyższą kadre zarządzającą, założył zamki na wszystkich drzwiach, a znajdująca się w centrum miasta ogromna siedziba firmy stała się miejscem drugorzędnym, gdzie pracowali wiceprezesi, dyrektorzy

i kierownicy niższego stopnia. Oficjalnym powodem przeniesienia sztabu generalnego do nowego biurowca było umożliwienie Williamowi Baldwine'owi spędzania większej ilości czasu z żoną, trudno jednak było w to uwierzyć, zważywszy, że rzadko udawało się ich zastać w tym samym pomieszczeniu.

Dopiero teraz Lane zrozumiał prawdziwą przyczynę. W mniejszym gronie łatwiej jest kraść.

– No to urządzimy sobie małą wycieczkę – oświadczył, po czym wypuścił z dłoni rękę Lizzie i ruszył przed siebie.

Szedł wokół domu, w stronę tylnego dziedzińca o rozmiarach boiska. To tu właśnie, na tyłach rezydencji, rozciągało się centrum biznesowe. Za plecami słyszał jakieś głosy, nie zwracał jednak na nie uwagi.

– Lane! – zawołał Samuel, dobiegając do niego i zastępując mu drogę. – Co robisz?

– Oszczędzam prąd.

– Chyba powinniśmy zadzwonić po policję.

– Już to zrobiłem. Pamiętasz ten palec w ziemi?

Tylne wejście do centrum biznesowego było zamknięte na potężną zasuwę i zabezpieczone kodem. Na szczęście, gdy parę dni temu Lane wraz z Edwardem się tu włamywał, żeby wykraść stąd informacje finansowe, zapamiętał właściwą kombinację cyfr.

Wystukał ją teraz na klawiaturze numerycznej. Wejście się otworzyło i wkroczyli do cichego, eleganckiego wnętrza parterowego budynku. Każdy centymetr na niemal dwóch tysiącach metrów kwadratowych powierzchni pokrywała wiśniowo-złota wykładzina, gruba jak materac. Wyłożone warstwą izolacyjną ściany nie przepuszczały z poszczególnych biur odgłosów rozmów, dźwięków telefonów ani stukania klawiszy. Portretów wiszących na ścianach było zaś tyle, ile zdjęć typu selfie w przeciętnym iPhone.

Osobne gabinety członków wyższej kadry zarządzającej, doskonale wyposażona kuchnia, recepcja o wystroju przypominającym Gabinet Owalny w Białym Domu – wszystko miało tu świadczyć o wartościach

reprezentowanych przez Bradford Bourbon Company: najwyższe standardy, najstarsze tradycje i w ogóle wszystko naj, naj, naj.

Lane wcale jednak nie zmierzał do prywatnych gabinetów poszczególnych szych. Udał się na tyły budynku, gdzie znajdowały się magazyny i kuchnia.

A także zaplecze techniczne budynku.

Przeszedł przez dwuskrzydłowe drzwi i wkroczył go dusznego pomieszczenia bez okien, w którym znajdowało się mnóstwo urządzeń, takich jak wentylatory i dmuchawy, bojler czy... rozdzielnica elektryczna.

Czujnik ruchu włączył lampy sufitowe, Lane pomaszerował więc po betonowej podłodze prosto do skrzynki rozdzielczej, a następnie szybko opuścił czerwony wyłącznik odcinający zasilanie całej instalacji elektrycznej w budynku.

Zapadła ciemność, a po chwili zapaliło się znacznie słabsze oświetlenie awaryjne.

– No cóż, można i tak... – rzucił Samuel, gdy Lane wyszedł z powrotem na korytarz.

Niczym wściekle osy wypędzone z gniazda, ze swoich gabinetów jednocześnie wysypało się kilka osób pracujących w budynku: trzech mężczyzn i dwie kobiety, w tym recepcjonistka. Na widok Lane'a stanęli jednak jak wryci.

Sześćdziesięcioletni dyrektor finansowy – przemądrzały absolwent prestiżowej uczelni, chlubiący się doskonale wypielęgnowanymi dłońmi oraz butami wypastowanymi w klubie dżentelmena na wysoki połysk – aż się wzdrygnął.

– A co pan tu robi?!

– Zamykam ten interes.

– Słucham?

Do zebranej grupki dołączył jeszcze jeden facet w garniturze. Lane wskazał tylne drzwi, przez które przed chwilą wszedł.

– Proszę opuścić budynek. Mówię do wszystkich!

Dyrektor finansowy nabrał powietrza w płuca i oświadczył kategorycznie:

– Nie ma pan prawa...

– Policja jest już w drodze – powiedział Lane, właściwie nie mijając się z prawdą. – Proszę się zastanowić, czy wolą państwo opuścić teren budynku wraz z nią, czy wsiąść do własnych mercedesów i lexusów.

Lane uważnie przyglądał się ich minom. Wcale się nie zdziwił, gdy dyrektor finansowy wykonał kolejną próbę ataku.

– To teren prywatny – wtrącił gładko Samuel. – Ten biurowiec nie znajduje się na terenie należącym do korporacji. Zostali państwo właśnie poinformowani przez właściciela posesji, że nie są tu już mile widziani. Wyglądają państwo na osoby na tyle wykształcone, żeby znać obowiązujące w stanie Kentucky przepisy dotyczące bezprawnego wtargnięcia na teren prywatny. Jeśli jednak zajdzie taka potrzeba, chętnie je państwu przypomnę. Będzie mi do tego potrzebna strzelba i...

Lane wymierzył mu kuksańca w wątrobę, żeby się wreszcie przymknął.

Tymczasem dyrektor finansowy zebrał się w garść i przejechał dłonią po swoim czerwonym krawacie.

– W tym budynku przeprowadzane są kluczowe operacje...

Lane podszedł do niego i stanął z nim twarzą w twarz, gotów go złapać za frak i siłą zawlec na trawnik.

– Proszę skończyć gadanie i wynosić się z budynku!

– Pana ojciec byłby oburzony!

– Przypominam panu, że mój ojciec nie żyje, nie ma więc możliwości wyrażenia swojej opinii. Państwo zaś mogą opuścić budynek w spokoju lub zaczekać, aż wyciągnę strzelbę, o której mówił mój prawnik.

– Pan mi grozi?

– Liczę do trzech, po czym państwa tu obecność zostanie przez nas uznana za bezprawne wtargnięcie na teren prywatny. Jeden... dwa...

– Poinformuję o tym przewodniczącą rady nadzorczej!

Lane założył ramiona na piersi.

– Może pan sobie dzwonić nawet do samego prezydenta Stanów

Zjednoczonych albo do swojej dobrej wróżki, byle nie z tutejszego telefonu.

– Chwileczkę – wtrącił się Jeff. – Jeden z nas pójdzie z wami do waszych gabinetów, żebyście mogli zabrać kluczyki do samochodów. Nie macie jednak prawa zabierać z budynku żadnego sprzętu, nośników pamięci ani dokumentów.

– Słusznie – rzucił Lane w stronę kumpla.

Tymczasem w domku zarządcy w stadninie Red & Black Edward uśmiechał się do swojego kolejnego gościa. Shelby właśnie wychodziła. Ricardo Monteverdi, prezes Prospect Trust (największej firmy powierniczej w środkowej części kraju), wyglądem idealnie pasował do swojej roli: szczupły i elegancki, w garniturze w prążki, kojarzył się Edwardowi z pewną broszurą prestiżowej uczelni biznesowej sprzed paru dekad. Stał przed rzędem półek pełnych trofeów jeździeckich, tworzących teraz wokół jego głowy łunę przypominającą aureolę – aż można by błędnie sądzić, że przyniósł dobre wieści.

Edward jednak nie miał takich złudzeń.

– Przyszedł pan złożyć mi kondolencje z powodu śmierci ojca? – spytał przeciągle. – Nie trzeba było się trudzić.

– Ach... Tak, tak, oczywiście... – odparł Monteverdi, lekko skłaniając głowę. – Bardzo mi przykro z powodu jego odejścia.

– A to ciekawe, bo mnie wcale nie.

Nastąpiła chwila ciszy. Edward zastanawiał się, czy Monteverdi wciąż myśli, jak zareagować na żarcik, czy raczej szykuje się już do wyjawienia przyczyny tej niezapowiedzianej wizyty. Uznał, że raczej to drugie.

– Czy mogę jeszcze czymś służyć?

– To dość niezręczna sytuacja...

– Widzę.

Znów zapadła cisza, jak gdyby facet oczekiwał, że Edward sam przejdzie do rzeczy. On jednak nie miał takiego zamiaru. Już dawno się nauczył, że w procesie negocjacji zwykle przegrywa ten, kto pierwszy wyklada karty na

stół.

I oczywiście wiedział, po co ten typ pofatygował się do jego stadniny.

Monteverdi cicho odchrząknął.

– No tak. W rzeczy samej... W związku ze śmiercią pańskiego ojca trzeba się zająć pewnymi... podjętymi przez niego... zobowiązaniami, i to raczej skwapliwie. Choć oczywiście wiem, że jest pan pogrążony w żałobie, obawiam się, że są sprawy, których nie należy odkładać. Zwłaszcza jednej, bardzo pilnej. W związku z tym, mając na uwadze ochronę reputacji pańskiej rodziny, zwracam się do pana, żeby załatwić wszystko szybko i dyskretnie.

– Pojęcia nie mam, o czym pan mówi – skłamał z wdziękiem Edward. – Obawiam się, że będzie pan musiał wysławiać się bardziej precyzyjnie.

– Kilka miesięcy temu pański ojciec poprosił mnie o pożyczkę, której chętnie mu udzieliłem. Powiedzmy jednak, że musiałem w tym celu wykazać się pewną... kreatywnością w kwestiach finansowych. Zwrot pożyczki stał się już jednak wymagalny. Musi ona zostać spłacona przed kwartalnym spotkaniem zarządu naszej firmy, w przeciwnym bowiem razie...

– Znajdzie się pan w trudnej sytuacji?

– Nie – odparł Monteverdi, przybierając kamienny wyraz twarzy. – Będę raczej zmuszony postawić w takiej sytuacji pańską rodzinę.

– Nie jestem w stanie panu pomóc.

– Pan chyba mnie nie zrozumiał. Jeśli ta pożyczka nie zostanie spłacona, będę musiał podjąć niezbędne kroki prawne, a to bardzo szybko wycieknie do prasy.

– A proszę bardzo, niech pan nas pozywa. Niech pan też zadzwoni do „New York Timesa” i poinformuje ich, że wisimy wam pięćdziesiąt trzy miliony, że jesteśmy nierobami, oszustami i złodziejami. Mam to gdzieś.

– A nie mówił pan wcześniej, że nic o tym wszystkim nie wie...?

Pieprzony alkohol wciąż jeszcze robił swoje. Poza tym Edward nie miał ostatnio zbyt wielu okazji do potyczek słownych tego kalibru.

– Problem, jak sądzę, jest w tym – odparł z uśmiechem – że musi pan chronić własny tyłek. I dlatego teraz usiłuje mnie pan przyprzeć do muru, żeby

nie musieć się przyznawać przed własnym zarządem, że bez ich wiedzy udzielił pan ogromnej niezabezpieczonej pożyczki, a przy okazji całe jej oprocentowanie cichaczem zgarniał do własnej kieszeni. A ja na to, że gównu mnie to obchodzi. Niech pan sobie z tym robi, co pan chce. Nie rusza mnie to, bo to nie mój problem.

– Pańska matka jest osobą dość wątłego zdrowia.

– Praktycznie rzecz biorąc pogrążoną w stanie śpiączki.

– Wydawałoby się, że jako jej najstarszy syn powinien pan nieco bardziej interesować się jej dobrem.

– Przeprowadziłem się tutaj, w te niesłychane zbytki – wycedził Edward, wskazując ręką skromny wystrój wnętrza – żeby się od tamtego świata i od nich wszystkich odciąć. I miałem do tego całkiem dobre powody. Niech więc pan sobie zatapia ten luksusowy statek o nazwie Easterly. Niech pan do niego strzela z armat, aż pójdzie na dno. Nie robi to na mnie najmniejszego wrażenia.

– Nie jest pan godzien miana jej syna! – oświadczył Monteverdi, oskarżycielsko mierząc w Edwarda palcem.

– Zważywszy, jakich miałem rodziców, i tak jestem dumny, że tak długo wytrzymałem pod ich dachem. I proszę pana o jedno. Niech pan nie próbuje maskować własnych interesów pozorami altruizmu, jednocześnie grożąc pogrążeniem mojej rodziny. Niech mi pan powie: jakie odsetki pan skosił? Dziesięć? Piętnaście procent? Jeśli była to pożyczka na sześć miesięcy, to zgarnął pan przynajmniej ze dwa i pół miliona. Niezły utarg, jeśli uda się panu tę kasę odnaleźć.

Monteverdi poprawił sobie śnieżnobiałe francuskie mankiety.

– Uznaję te słowa za wypowiedzenie mi wojny. Proszę pamiętać, że wszystko, co się teraz zdarzy, stanie się z pańskiej winy.

– Widzę, że chętnie obarcza pan innych odpowiedzialnością za swoje czyny – mruknął Edward, po czym wskazał swoje mizerne ciało. – Mnie jednak przez osiem dni torturowano i zamierzano zamordować. I nie jest to żadna hiperbola. Jeśli więc sądzi pan, że potrafi czymkolwiek przykuć moją uwagę,

cierpi pan na urojenia.

– Niech pan poczeka, co się będzie działo. Może nie obchodzi pana los pana matki, ale zastanawiam się, czy równie nonszalancko potraktuje pan własne rodzeństwo. O ile wiem, był pan zawsze dość troskliwy...

– Właśnie, byłem.

– Jeszcze się o tym przekonamy.

Monteverdi odwrócił się na pięcie, a chwilę później zniknął za drzwiami. Gdy staroświecki telefon znów się rozdzwonił, Edward spojrzął w dół na swoje zniszczone nogi i pomyślał – zresztą nie po raz pierwszy – o tym, co by było, gdyby...

Co by było, gdyby wszystko układało się tak jak należy.

Teraz jednak już na to wszystko za późno.

Nie bez wysiłku zwrócił głowę w bok i gapił się na słuchawkę wiszącą na ścianie w kuchni. Sama myśl, że miałby tam podejść, całkiem go wyczerpała, przede wszystkim jednak dobrze wiedział, jakiego rodzaju rozmowę pewnie musiałby wówczas odbyć.

Jeśli jednak czegoś od niego chcą, będą musieli się tu pofatygować.

Edwin „Mack” MacAllan – naczelny gorzelnik Bradford Bourbon Company – nic nie mógł zdziałać. Siedział w swoim gabinecie (gdzie dawniej urzędował jego ojciec, zanim nieoczekiwanie zmarł przed dekadą) i próbował się dodzwonić do kogokolwiek w centrum biznesowym. Bezskutecznie. Włączała się tylko poczta głosowa, co – zważywszy, że nie korzystał z pośrednictwa recepcji, tylko wybierał indywidualne numery przypisane do poszczególnych członków kadry wyższego szczebla – zdawało się całkiem nieprawdopodobne.

Telefonu nie odbierał ani dyrektor finansowy, ani dyrektor operacji, ani trzech wiceprezesów.

A do tego komórka Lane’a też pozostawała głucha.

Mack kolejny raz odłożył słuchawkę. Doskonale wiedział, że na biurowych aparatach wyświetla się przecież, kto dzwoni. Jedna czy dwie osoby mogłyby nie odebrać – ale wszystkie pięć, do cholery? No dobra, prezes im wykitował i ogólnie wszędzie panował chaos, ale przecież interes dalej się kręci.

– Słuchaj, czy ja czegoś tu nie...

Zanim zdążył powiedzieć „pomyliłem”, umilkł, przypomniał sobie bowiem, że jego asystentki (która dawniej pracowała też dla jego ojca) już przy nim nie ma – i to od przedwczoraj, kiedy to jej brat miał zawał.

Przecież rozmawiał dzisiaj z tyloma kandydatkami na tę posadę, że powinien o tym pamiętać.

Najwyraźniej jednak zdołał jakoś tę informację wyprzeć.

Oparł łokcie o stosy papierów na biurku i potarł czoło. Poszukiwanie asystentki w dużej mierze przypominało randkę w ciemno. Kadry przysłały mu kilka kandydatek, ale żadna z nich do niczego się nie nadawała. Nawykłe do

lüksusów ślicznotki o przesadnie wystylizowanych fryzurach, neurotyczne maniaczki przypominające Glenn Close z *Fatalnego zauroczenia*, od których nie sposób się uwolnić, nienawidzące mężczyzn aseksualne i agresywne babsztyle, które nie golą się pod pachami...

– Kurwa.

Wstał, obszedł wysłużone biurko i zaczął niespiesznie chodzić po gabinecie, przyglądając się przedmiotom wystawionym w przeszklonych gablotkach. Pierwsza beczka ze znakiem „No. 15” – nazwą produkowanego przez nich popularnego bourbona o dość przystępnej cenie. Cały rząd unikatowych butelek upamiętniających zwycięstwo Uniwersytetu Charlemont w ogólnokrajowych igrzyskach sportowych w latach 1980, 1986 i 2013. Historyczne rewolwery, mapy, listy adresowane do różnych przedstawicieli rodu Bradfordów, napisane przez postaci takie jak Abraham Lincoln czy Andrew Jackson.

Ale prawdziwym unikatem, świadczącym o bogatej historii firmy i bourbona stanowiącego jej największą dumę, była „tapeta” w jego gabinecie – każdy fragment każdej ze ścian pokrywały niezliczone etykiety z najróżniejszych butelek. Rozmaitość krojów pisma, kolorów i obrazków ukazywała ewolucję oferty, marketingu i cen.

Choć sam produkt, opatrywany tak różnymi etykietkami, wcale się nie zmieniał.

Bourbon Bradfordów produkowano w dokładnie ten sam sposób od końca XVIII wieku. W jego recepturze nic nie zmieniano: ani składu zacieru, ani szczepu drożdży, ani wody źródlanej pochodzenia krasowego, ani osmalanych dębowych beczek, w których dojrzewał. A sam Pan Bóg mógł zaświadczyć, że z pewnością zmianie nie uległa liczba pór roku w Kentucky ani dni w kalendarzu.

Wobec ponad dwustu lat historii poprzedzających wejście Macka w branżę trudno mu było sobie wyobrazić, że wszystko to miałyby się skończyć właśnie za jego kadencji. Jednak korporacyjne szczyty jeszcze przed śmiercią Williama Baldwine’a podjęły decyzję o zawieszeniu zakupów kukurydzy koniecznej do zrobienia zacieru, czym de facto zmusiły Macka do zamknięcia produkcji.

Co byłoby zdarzeniem bez precedensu. Nawet w czasach prohibicji Bradfordowie nie przestali wytwarzać trunków, choć musieli na jakiś czas przenieść się do Kanady.

Po bezskutecznej próbie wywalczenia czegoś u korporacyjnych ważniaków Mack ruszył do rezydencji Easterly i zaalarmował Lane'a, że musi zamknąć produkcję, a potem pomógł temu synowi marnotrawnemu wielkiego rodu zyskać dostęp do dokumentów finansowych firmy. Od tamtej pory Lane jednak się nie odzywał.

Mack czuł się jak pacjent czekający na wyniki biopsji. Zjadał go stres. Co będzie, jeśli straci tę pracę, swoje jedyne źródło utrzymania? W pewnym sensie to jak znów stracić ojca.

A już za pierwszym razem i tak dość mocno to przeżył.

Podminowany i głęboko sfrustrowany wyszedł do recepcji. Ogromną pustą przestrzeń wypełniała cisza. Panował tu chłód, ponieważ ciepłe powietrze uciekało w górę, między odkryte belki pod wysokim spadzistym dachem, a następnie opadało już schłodzone działaniem klimatyzatora. Gabinet Macka mieścił się w jednym z wielu budynków na terenie Starej Destylarni, które przez stulecia niewiele się zmieniły – historyczne konstrukcje z bali połączonych zaprawą murarską możliwie dyskretnie wyposażono tylko w nowoczesne instalacje, od bieżącej wody po wi-fi.

Otworzył ciężkie drzwi i wyszedł przespacerować się po równo przyciętym trawniku. Stara Destylarnia była nie tylko w pełni funkcjonującą częścią zakładów produkcji bourbona, ale też sporą atrakcją turystyczną, mającą na celu unaocznienie zarówno laikom, jak i pasjonatom, dlaczego bourbon Bradfordów jest po prostu najlepszy. Cały teren w pewnym sensie przypominał więc nastrojowy park tematyczny: urokliwe stare budynki pomalowane na czarno-czerwono, ścieżki prowadzące od silosów na zboże do izby zaciernej, alembików i beczkowni. Zwykle krążyły tu grupki turystów oprowadzane przez przewodników, na parkingach stało mnóstwo samochodów, a sklep z pamiątkami i budynek recepcji tętniły życiem.

Jednak przez szacunek dla zmarłego niedawno Williama Baldwine'a wszystko zostało na cały tydzień zamknięte, a na terenie Starej

Destylarni pozostało chwilowo tylko kilku najbardziej niezbędnych pracowników.

Tak przynajmniej twierdziła góra. Mack jednak podejrzewał, że cięcia budżetowe wcale nie miały obejmować wyłącznie dostaw kukurydzy.

Koniec końców Mack trafił przed jedną z beczkowni. W tych nieocieplonych sześciopiętrowych budynkach z bali składowano setki beczek z dojrzewającym bourbonem, umieszczonych na solidnych drewnianych rusztowaniach. Dzięki sezonowym zmianom temperatur zachodziła tu szczególna alchemia: alkohol dojrzewał i stopniowo wchodził w świąty związek ze skarmelizowanymi cukrami pochodzącymi ze zwęglonej warstwy osmalonych beczek.

Mack otworzył drewniane drzwi. Szczęknęły kute ręcznie zawiasy, a gdy wszedł do środka, uderzył go głęboki, pierwotny zapach przypominający mu ojca. W środku panował półmrok. Na grubo ciosanych, leciwych belkach piętrzyły się niezliczone rzędy beczek, między nimi bieging wąskie przejścia o długości około dziesięciu metrów.

Środkowy korytarz był znacznie szerszy i wylany betonem. Mack włożył ręce do kieszeni dzinsów i ciężkim krokiem szedł coraz dalej w głąb budynku.

– Lane, co my z tym wszystkim zrobimy? – spytał na głos.

Produkcja bourbona wymaga przecież czasu. To nie wódka, gdzie wystarczy odkręcić kranik i gotowe. Jeśli firma chce mieć co sprzedawać za siedem, dziesięć, dwanaście lat, to nie można teraz nagle przerywać całego procesu.

– Przepraszam bardzo...?

Mack odwrócił się na pięcie. W otwartych drzwiach beczkowni stała kobieta o długich ciemnych włosach i figurze klepsydry. Zalana od tyłu światłem słonecznym wyglądała jak postać z fantazji erotycznej. Boże drogi... Mack poczuł nawet zapach jej perfum, mydła czy jakiegoś innego kosmetyku dolatujący wraz ze strumieniem świeżego powietrza do jego nozdrzy.

Wyglądała na równie zdziwioną jak on.

– Bardzo przepraszam – powtórzyła niskim głosem bez południowych naleciałości. – Szukam pana Edwina MacAllana. Mam z nim spotkanie, ale

nikogo nie zastałam w jego gabinecie.

– To ja.

– Aha – bąknęła po chwili milczenia. Pokręciła głową. – Przepraszam. Chciałam tylko... Nazywam się Beth Lewis. Czy mam... Czy wolałby pan, żebym przyjechała kiedy indziej?

Nie, pomyślał, obserwując, jak nad jej ramieniem unosi się na wietrze zakręcone pasmo włosów.

Nie... Chcę, żeby została tu pani już na zawsze.

– Nie mogę się dodzwonić do Edwarda.

Lane przeszedł przez recepcję centrum biznesowego prosto do gabinetu ojca. Wkraczając tam, czuł się tak, jakby nagle znalazł się pod obstrzałem. Dostał gęsiej skórki, a dłonie zacisnęły mu się w pięści. Najchętniej by zawrócił i dał stamtąd drapak.

Trzeba jednak przyznać, że wnętrze wyglądało naprawdę upiornie. Przygaszone światła bezpieczeństwa, które włączyły się po tym, jak odciął zasilanie, spowijały wszystko ponurą poświatą, a po mrocznych kątach zdawał się krążyć duch Williama Baldwine'a.

Lane nie miał pojęcia, po co tu w ogóle wszedł. Przed rezydencją pewnie zajęła już policja.

Pokręcił głową, patrząc na iście królewskie biurko i ogromny rzeźbiony fotel przypominający tron. Zestaw ten zdobiły akcesoria niczym dekoracje z jakiegoś filmu z Humphreym Bogartem: kryształowa karafka pełna bourbona, kryształowe szklanki na srebrnej tacy, zdjęcie żony w srebrnej ramce. Po drugiej stronie biurka, obok lampy od Tiffany'ego, pojemnik na ulubione kubańskie cygara ojca, paczka dunhilli, złota zapalniczka oraz czyściutka popielniczka od Cartiera. Zero komputera, zero papierów; jedynym elementem przełamującym ten klasyczny zestaw był nowoczesny telefon, który wobec całego wystroju stanowił jednak ledwie nieśmiałe przypomnienie o współczesności.

– Jestem tu dopiero drugi raz w życiu – szepnął Lane do stojącej przy

drzwiach Lizzie. – Nigdy nie zazdrościłem Edwardowi, że tu pracował.

Rozejrzał się, mierząc wzrokiem książki w skórzanej oprawie, dyplomy, zdjęcia ojca w towarzystwie znaczących person z kraju i ze świata, aż w końcu objął spojrzeniem Lizzie: jej rozjaśnione słońcem włosy, piersi wyraźnie zaznaczone pod czarną koszulką polo, długie umięśnione nogi wyeksponowane dzięki szortom.

Poczuł nagły przypływ pożądania.

– Lizzie...

W otwartych drzwiach zjawił się Jeff.

– No dobra, wszyscy poszli. Budynek jest pusty. Twój prawnik wrócił do rezydencji, żeby pogadać z policją. Wiesz może, jak zmienić tu kod wejściowy? Bo chyba należałoby to zrobić.

Lane zamrugał, żeby wykasować spod powiek obraz, w którym zrzuca wszystko z biurka i sadza na nim Lizzie, całkiem naga.

– Nie wiem, ale coś wymyślę. – Przeciągnął się, żeby rozładować nagromadzone w barkach napięcie. – Słuchaj, możesz mi na szybko powiedzieć, co właściwie znalazłeś w tych dokumentach?

Jeff rozejrzał się po gabinecie, jednak wystrój wnętrza chyba nie zrobił na nim szczególnego wrażenia.

– Niepokojące mnie przelewy wyglądają z pozoru jak mało znaczące spłaty odsetek od zadłużenia w różnych bankach. Między nimi trafiają się jednak ogromne raty balonowe, i to one mnie początkowo zaintrygowały. Zacząłem tropić, dokąd właściwie prowadzą, i odkryłem coś o nazwie WWB Holdings, co łatwo rozwinąć do pełnej formy: William Wyatt Baldwine Holdings. Sądzę, że chodzi o pozabilansowe finansowanie inwestycji, które wymknęło się spod kontroli, a jeśli tak, to jestem przekonany, że można je zakwalifikować jako sprzeniewierzenie funduszy. Próbowałem coś znaleźć w internecie na temat WWB Holdings, a nawet dzwoniłem do biura UBS, ale nie dowiedziałem się, co to za instytucja ani gdzie się mieści. Możesz jednak zgadnąć, kto miał nad nią pieczę.

– A to skurczybyk – mruknął Lane. – To tam też pewnie przepadła kasa

z rachunków domowych. WWB Holdings. O jakich kwotach mówimy?

– Siedemdziesiąt dwa miliony. Jak na razie.

Lizzie otworzyła usta, a Lane pokręcił głową.

– Jasna cholera...

– Zaraz, zaraz, a co to właściwie jest pozabilansowe... – odezwała się Lizzie.

– ...finansowanie inwestycji – dokończył Jeff, pocierając oczy, jakby dręczył go taki sam ból głowy jak Lane'a. – Generalnie chodzi o to, że majątek jednej spółki służy jako zabezpieczenie pożyczki zaciąganej przez drugą. Jeśli inwestycja tej drugiej się nie powiedzie, wówczas ta pierwsza musi spłacić pożyczkę. W tym wypadku jestem przekonany, że fundusze przekierowane do WWB Holdings zostały sprzeniewierzone, a kiedy nadszedł termin spłaty pożyczki, pokryto ją z funduszy Bradford Bourbon Company. To taka mniej oczywista metoda wyprowadzania pieniędzy z firm. Bardziej subtelna niż wypisywanie sobie czeku na własne nazwisko.

– Ponad sto czterdzieści milionów? – Lane założył ramiona na piersi. Ogarniała go taka furia, że najchętniej zdemolowałby cały gabinet. – Tyle razem wychodzi. Chyba nie mówisz serio?

– Te przeszło siedemdziesiąt milionów to tylko przelewy z kont operacyjnych zaksięgowane do końca lutego. Będzie tego więcej. Wszystko zdaje się lawinowo narastać. – Jeff wzruszył ramionami. – Mówię ci, Lane, czas włączyć FBI. Sprawa jest zbyt poważna, żebym mógł ją dalej śledzić, zwłaszcza że muszę wracać do Nowego Jorku. Ale doskonale tu u ciebie wypocząłem, dzięki.

W kieszeni Lane'a rozdzwonił się telefon. Wyjął go i zobaczył, że to Samuel. Odebrał więc ze słowami:

– Już tu są? Zaraz tam...

– Co pan tutaj robi?!

Do gabinetu wpadła sześćdziesięcioletnia kobieta o gabarytach i manierach czołgu, ubrana w grafitowy kostium, z siwymi włosami upiętymi w kok. Pani Petersberg była zasadnicza i nieustępliwa, dzięki czemu od niemal dwudziestu

lat organizowała Williamowi Baldwinowi całe życie zawodowe. Tym razem jednak jej zwykle opanowanie gdzieś się ulotniło. Cała się trzęsła, miała poczerwieniałą twarz i obłęd w oczach, a na jej niezbyt obfitej falującej piersi podskakiwały zawieszony na cienkim łańcuszku okulary.

– Proszę zabrać swoje rzeczy i opuścić budynek – rzucił spokojnym głosem Lane.

– Nie ma pan prawa tutaj być!

Nastąpił wybuch hysterii – kobieta przypadła do Lane'a i z zadziwiającą siłą przeszła do ataku, zamierzając się na jego twarz pazurami i usiłując go kopnąć, jednocześnie miotając ostre przekleństwa i posyłając go do wszystkich diabłów. Lizzie i Jeff ruszyli w ich stronę, żeby powstrzymać ofensywę szarżującej asystentki, Lane jednak pokręcił tylko głową, po czym złapał ją za ręce i czekał, aż kobieta się wykrzyczy – jednocześnie jednak możliwie jak najdelikatniej przyciskał ją do regału.

Zanim opadła z sił, jej elegancki kok przeobraził się w ptasie gniazdo. Oddychała płytko, jakby lada chwila miała zemdleć, jeśli ktoś jej nie poda maski tlenowej.

– Nie zdoła go pani ocalić – powiedział ponuro Lane. – Już od dawna jest na to za późno. Wiem, że pani sporo wie. Musi więc pani zadać sobie pytanie, jaką cenę jest pani skłonna zapłacić w imię lojalności wobec nieżyjącego już człowieka. Dowiaduję się coraz więcej o tym, co się tutaj dzieje. Wiem, że miała pani w tym swój udział. Jest pani skłonna w ramach tej lojalności pójść za kratki? Czy do tego stopnia odjęło pani rozum?

Wypowiadał te słowa, wcale jeszcze nie wiedząc, czy aby na pewno zadzwoni po służby federalne. Groźba więzienia zwykle jednak działa na ludzi motywująco, uznał więc, że to dobra chwila na taki argument.

Pomyślał, że jeśli skala tych przekrętów jest istotnie tak wielka, jak sugeruje Jeff, to wkrótce pożyczkodawcy, widząc, że kolejne raty nie spływają, zaczną sami wydzwaniać, gdzie się tylko da. Pewnie niektórzy uderzą do swoich prawników, kiedy jednak fundusze Bradfordów całkiem stopnieją, to...

W Bradford Bourbon Company nastąpi istny armadługon.

– To był dobry człowiek – wściekała się dalej pani Petersberg. – Pana ojciec zawsze dobrze mnie traktował.

– Ponieważ była mu pani potrzebna. Proszę nie uważać tego za wyróżnienie i nie marnować sobie życia w imię iluzji, że była pani dla niego kimkolwiek więcej niż pracownikiem, którym mógł manipulować, jak chciał.

– Nigdy nie zrozumiem, dlaczego synowie tak bardzo go nienawidzą!

– Może warto w końcu przejrzeć na oczy.

Gdy wreszcie mu się wyrwała, dał jej spokój. Zajęła się przyglądaniem włosów i poprawianiem sobie garderoby.

– Pański ojciec zawsze działał dla dobra swojej rodziny i swojego przedsiębiorstwa. To był...

Lane mało nie wyszedł z siebie, gdy asystentka ojca rozwodziła się nad licznymi cnotami człowieka, o którym po prostu nie dało się powiedzieć nic dobrego. Uznał jednak, że to nie jego problem. Nie da się zmienić poglądów wyznawcy ani ocalić z tonącego statku kogoś, kto nie chce wsiąść do szalupy ratunkowej.

Ta wysoce kompetentna pracownica najwyraźniej zamierzała pójść na dno wraz z okrętem dowodzonym przez jej zmarłego szefa.

No cóż, nic na to nie można poradzić.

Telefon Lane'a znów się rozdzwonił.

– Zawsze służył mi pomocą, gdy byłam w potrzebie – zaznaczyła asystentka.

Lane nie rozpoznał numeru, zaczekał więc, aż włączy się poczta głosowa.

– No dobrze, mam nadzieję, że będzie pani to wszystko mile wspominać za kratkami.

– Ma pani jakieś pytania?

Mack rozparł się wygodnie w fotelu, po raz kolejny spoglądając na palec serdeczny kandydatki, wciąż pozbawiony biżuterii. Co oznaczało, że nadal, tak jak na samym początku spotkania, nie była zamężna.

Świetnie, MacAllan. Bardzo profesjonalne podejście do rozmowy kwalifikacyjnej.

– Czy często będę musiała zostawać po godzinach? – spytała Beth Lewis, rozkładając ręce. – To znaczy osoba, która dostanie tę pracę. Czy będzie musiała zostawać po godzinach? Nie chodzi mi o to, że nie chcę się angażować. Ale opiekuję się matką i jeśli nie będę kończyć o piątej, to będę musiała prosić kogoś o pomoc. To się da załatwić, tylko muszę wcześniej wiedzieć.

– Przykro mi słyszeć, że pani mama... – Mack nie był pewien, jakie zasady obowiązują podczas takich rozmów, podejrzewał jednak, że nie powinien zanadto wnikać w sprawy osobiste kandydatki.

– Dwa lata temu miała wypadek samochodowy. Przez wiele miesięcy była podłączona do aparatury podtrzymującej życie, a teraz wciąż cierpi na zaburzenia funkcji poznawczych. Zamieszkałam z nią, żeby się nią opiekować. Jakoś sobie radzimy, ale...

– Jest pani zatrudniona.

Niemal podskoczyła, unosząc w górę ciemne brwi. Potem zaś wybuchnęła śmiechem.

– Słucham? To znaczy... Nie spodziewałam się...

– Przez cztery lata pracowała pani w recepcji agencji nieruchomości. Jest pani miła, elokwentna i dobrze przygotowana do tej pracy. Niczego więcej mi

właściwie nie trzeba.

– Nie chce pan sprawdzić moich referencji?

Spojrzał na podsunięte mu przez nią CV.

– No tak, oczywiście.

– Chwileczkę, to brzmi tak, jakbym próbowała pana zniechęcić, ale naprawdę bardzo się cieszę. Jestem panu ogromnie wdzięczna. Nie zawiodę pana.

Podniosła się, a on zrobił to samo. Celowo utkwiał wzrok w jej oczach, żeby nie powędrował on gdzieś niżej. Rany, ależ ona wysoka. Bardzo mu się to podobało. Tak samo jak jej długie włosy. I oczy, które...

Jasna cholera. Nie powinien zatrudniać kobiety, która tak bardzo mu się podoba. Miała jednak świetne kwalifikacje.

Wyciągnął rękę ponad blatem biurka, mówiąc:

– Witamy na pokładzie.

– Dziękuję – szepnęła, nie wypuszczając z ręki jego dłoni. – Nie będzie pan żałował.

Boże drogi, oby tylko. Był wprawdzie samotny, ona może też, oboje byli dorośli... Ale chyba nie byłoby najlepszym pomysłem jeszcze bardziej komplikować sobie życie „związkiem natury erotycznej” z pracownicą.

– Odprowadzę panią. – Otworzył przed nią drzwi gabinetu, a następnie, gdy przeszli już przez recepcję, główne drzwi wejściowe. – Czy może pani zacząć...

– Jutro? Tak, mogę.

– Świetnie.

Odprowadził ją do samochodu zaparkowanego na niewielkim bocznym parkingu wysypanym żwirem. Kilkuletnia kia nie wyglądała wprawdzie zbyt imponująco, ale w środku panował idealny porządek, a na zewnątrz samochód lśnił czystością, nie miał też żadnych wgłęć ani rys na srebrnym lakierze.

Zanim jeszcze Beth usiadła za kierownicą, spojrzała na Macka i spytała:

– Dlaczego tu dziś tak pusto? Byłam tu kiedyś turystycznie, i to w zeszłym

roku. Na całym terenie roilo się od ludzi, nawet w tygodniu.

– Jesteśmy w żałobie. Na pewno pani słyszała.

– O czym? – spytała, po czym szybko się zreflektowała. – Ach, oczywiście, tak mi wstyd. Jasne. Pan William Baldwin nie żyje. Tak mi przykro.

– Mnie również. Widzimy się jutro o dziewiątej rano?

– Tak jest. Jeszcze raz bardzo dziękuję.

Mack miał ochotę patrzeć za nią, jak odjeżdża, uznał jednak, że tak może się zachować facet na randce, a nie ktoś, kto właśnie zatrudnił asystentkę i nie chce wyjść na zbrodnicę. Zawrócił więc w stronę swojego gabinetu. W połowie drogi stwierdził jednak, że wcale nie ma ochoty znów siadać za biurkiem.

Skręcił więc w stronę budynku gospodarczego otoczonego wysokim żywopłotem. Ten nowoczesny gmach bez okien nie miał bynajmniej ścian z bali – obłożono go metalowym sidingiem. Mack wyjął kartę pracownika, przeciągnął ją przez czytnik i usłyszał, jak zwalnia się blokada. Wszedł do przedpokoju pełnego odzieży ochronnej, ale nie zwracał sobie nią głowy. Nigdy zresztą jej nie nosił, choć wszyscy inni z niej korzystali.

Ja piernicę – myślał za każdym razem. Gdy pierwsi Bradfordowie zaczęli produkować bourbona, jakoś sobie radzili bez odzieży ochronnej. Zaczynali pośród dziczy, bez żadnej infrastruktury, i jakoś im się wszystko udawało.

Drugie szklane drzwi również się otworzyły, delikatnie sycząc, a za nimi ukazało się niewielkie pomieszczenie. Mieściło się tu laboratorium budzące skojarzenia z jakimś ośrodkiem badań medycznych zajmujących się poszukiwaniem leków na różne choroby. Tu jednak działo się coś innego.

Mack miał tu swoje hodowle. Tajne hodowle, o których nie wiedział nikt.

Wszystkie składniki bourbona są bowiem ważne i niezastąpione, ale tylko jeden z nich nie do końca udaje się zdefiniować. Jeśli do zacieru wykorzystuje się zawsze te same składniki w tych samych proporcjach, to nie ma większych niespodzianek: kukurydza to kukurydza, jęczmień to jęczmień, żyto to żyto. Wprawdzie wykorzystywali krasowe źródła wody występujące wyłącznie w stanie Kentucky, ale za to jej skład był całkowicie przewidywalny,

ponieważ środowisko podziemnych skał się nie zmieniało. Beczki wykonywano zaś z kolejnych partii drewna, ale był to wciąż ten sam gatunek dębu.

Za to z drożdżami sprawa była znacznie bardziej złożona.

Choć wszyscy gorzelnicy korzystali z jednego ich gatunku o nazwie *Saccharomyces cerevisiae*, obejmował on wiele różnych szczepów, których dobór wpływał na proces fermentacji, w wyniku czego smak otrzymanego bourbona mógł znacząco się różnić. Owszem, zawsze przy okazji powstawał alkohol etylowy, ale poza tym w procesie przetwarzania cukru przez drożdże uwalniało się mnóstwo innych związków chemicznych. Jak zwał, tak zwał: alchemia, magia, wkład aniołów, ale w każdym razie w zależności od szczepu użytych drożdży otrzymany produkt może się okazać przyzwoity, wspaniały lub... całkiem niesamowity.

W produkcji bourbonów No. 15, Rodzinna Rezerwa, Black Mountain i Bradford I od zawsze używano tego samego szczepu drożdży.

Czasem jednak można chyba coś zmienić?

Kiedy zmarł jego ojciec, Mack prowadził już badania nad nowymi szczepami drożdży – w różnych rejonach Południa zbierał pleśń z gleby, orzechów i kory drzew, a potem hodował te organizmy w swoim laboratorium, analizując między innymi ich DNA. Kiedy już udało mu się wyizolować właściwy szczep, używał go w procesie fermentacji na niewielkich próbkach, żeby sprawdzić, jaki to da rezultat.

Tempo tej mozolnej pracy nieco spadło, gdy przejął po ojcu stanowisko naczelnego gorzelnika, ale w ciągu ostatnich trzech miesięcy dokonał się przełom i Mack po raz pierwszy uzyskał taki rezultat, o jaki mu zawsze chodziło.

Przyglądał się szklanym zbiorniczkom zabezpieczonym folią aluminiową, szalkom Petriego, próbkom, mikroskopom i komputerom i pomyślał, jakie to niesamowite, że w tak surowych warunkach może powstać coś tak pięknego. Chociaż w pewnym sensie to wszystko przypominało laboratorium *in vitro*, gdzie cud ludzkich narodzin otrzymuje niewielkie wsparcie ze strony nauki.

Mack podszedł do blatu i stanął na wprost swojego dziecka: jednej jedynej

buteleczki zawierającej pierwszy nowy szczep mający trafić do procesu fermentacji bourbona Bradfordów w ciągu dwustu lat od rozpoczęcia jego produkcji – tak był doskonały, tak wyjątkowy, dający niezwykle aksamitny smak, bez najmniejszego śladu siarki. Jak dotąd jeszcze nikt, żaden z producentów bourbona, go nie użył.

Dopiero Mack zamierzał go opatentować.

Był to kolejny powód, dla którego firma Bradfordów nie mogła teraz upaść.

Ta przekłeta korporacja musiała się utrzymać jeszcze na tyle długo, żeby on zdążył wprowadzić na rynek własną odmianę bourbona.

Odkryte przez niego drożdże miały wszystko zmienić.

– Musisz coś zjeść.

Zanim policjanci sobie pojechali, było już po piątej. Wchodząc do kuchni, Lane pomyślał wówczas przede wszystkim o tym, że chętnie by się czegoś napił. Aurora jednak miała inne priorytety.

Jej silne ciało zagroziło mu drogę, a czarne oczy wbiły w niego gniewne spojrzenie. W jednej chwili poczuł się znów jak pięciolatek. Zabawne: wyglądała dokładnie tak samo jak zawsze – ciasno zaplecione włosy, biały kuchenny strój, a na nim fartuch w czerwonych barwach Uniwersytetu Charlemont zawiązany w talii, a do tego nieznosząca sprzeciwu postawa osoby, z którą lepiej nie zadzierać.

Wydawała się nieśmiertelna, choć stan jej zdrowia wskazywał coś wprost przeciwnego – Lane jednak chętnie dawał się zwieść złudzeniu.

Kiedy zaś pokierowała go w stronę korytarza dla personelu, nawet się nie sprzeciwiał. Nie dlatego, że był zmęczony (choć był), i nie dlatego, że miał ochotę coś zjeść (bo nie miał), tylko raczej dlatego, że w ogóle nigdy nie potrafił jej niczego odmówić. Słowa Aurory były dla niego jak prawa fizyki – niezaprzeczalnie prawdziwe. Równie dobrze mógłby się kłócić z siłą grawitacji, gdy spadał z mostu.

Nie mógł uwierzyć, że Aurora umiera.

W przeciwieństwie do dwóch rodzinnych jadalni świetlicę dla personelu

urządzono bardzo prosto: białe ściany, drewniana podłoga i sosnowy stół na dwanaście osób. Owszem, były tu nawet dwa okna wychodzące na mało nasłoneczniony zakątek ogrodu, ale z pewnością wstawiono je tu tylko po to, żeby zachować symetrię tylnej elewacji budynku, a nie ze względu na zapewnienie odpowiednich widoków osobom tu się posilającym.

– Nie jestem specjalnie głodny – powiedział do jej pleców, gdy wychodziła, zostawiając go przy stole.

Chwilę później postawiła przed nim talerz, na którym znajdowały się tradycyjne potrawy Południa – na oko jakieś dwa tysiące kalorii. Lane wziął głęboki oddech i pomyślał, że... może Aurora ma jednak rację?

Obok niego usiadła Lizzie. Przed nią również parował talerz.

– Wszystko wygląda cudownie, pani Auroro.

Mamunia Lane'a zajęła swoje miejsce u szczytu stołu.

– Mam tam tego jeszcze na kuchence.

Kurczak smażony na żelaznej patelni. Duszona kapusta pastewna. Prawdziwy chleb kukurydziany. Ryż z fasolą. Okra.

I kto by pomyślał? Już po pierwszym kęsie Lane poczuł wilczy głód, a potem przez dłuższy czas w milczeniu pakował sobie do ust kolejne porcje potraw, na których się wychował.

Gdy w tylnej kieszeni nagle zadzwonił mu telefon, Lane podskoczył, jakby kopnął go prąd. Choć w sumie ostatnio dzwonek ten działał niczym alarm informujący o nadciągającym tornado: za każdym razem zwiastował coś złego, do ustalenia pozostawało tylko, co tym razem zostanie zmiecione z powierzchni ziemi.

Odebrał i usłyszał głęboki jak ocean, przeciągający sylaby głos Mitcha Ramseya.

– Powinniście otrzymać ciało w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Nawet wzięwszy pod uwagę te ostatnie rewelacje. Lekarka sądowa sprawdziła już wszystko, co było jej potrzebne.

– Dziękuję ci bardzo. Czy w raporcie wstępnym są jakieś niespodzianki?

– Mieli mi zrobić kopię. Jak tylko będę coś wiedział, dam ci znać.

– Chłopaki z wydziału zabójstw zabrali się stąd pół godziny temu. Pewnie sądzą, że ojca ktoś zamordował, co? Nic mi nie chcieli zdradzić, ale przecież to był jego pieprzony sygnet, no nie?

Aurora głośno odchrząknęła, a Lane się skrzywił i wymamrotał:

– Przepraszam...

– Co takiego? – spytał Ramsey.

– Mamunia słucha – wyjaśnił Lane, co Ramsey przyjął do wiadomości, jakby doskonale wiedział, co oznacza wypowiedzianie przekleństw w obecności pani Aurory Toms. – Inspektor Merrimack mówił, że będzie musiał przesłuchać kilka osób. Ile im to zajmie, zanim wykombinują, co się stało?

– Trudno przewidzieć – powiedział Ramsey i na chwilę zamilkł. – A wiesz może, kto mógł go zabić?

Tak – pomyślał Lane.

– Nie – powiedział do słuchawki.

– Nie masz nawet żadnych podejrzeń?

– Mówisz jak ten śledczy.

– Przepraszam, skrzywienie zawodowe. Czyli nie masz pojęcia, kto mógłby mieć jakiś motyw?

– Wiesz, jaki był mój ojciec. Wszędzie miał wrogów.

– Ale to wygląda na jakieś osobiste porachunki. No wiesz, odcięty palec pogrzebany przed domem...

Nie tylko przed domem, ale wręcz pod oknem matki – pomyślał Lane. Nie miał jednak zamiaru wdawać się w dalszą dyskusję.

– Miał też mnóstwo wrogów w interesach. – Boże, to brzmiało, jakby robił uniki. – No i wisiał ludziom ogromną kasę. Naprawdę sporą.

– W takim razie sprawca powinien był zachować ten sygnet i go opchnąć. Przecież to mnóstwo złota.

Lane otworzył usta, a potem znów je zamknął.

– Chyba zbaczamy z tematu.

– Nie jestem taki pewien.

– I co to niby ma znaczyć?

– Ujmę to tak: już wcześniej chroniłem członków waszej rodziny. I nic tego nie zmieni.

Lane zamknął oczy, myśląc o Edwardzie.

– Jak ja ci się kiedykolwiek odpłacę?

– To ja tutaj spłacam swój dług. Ale nie czas na to. Jest jeszcze druga sprawa. Odebrano dziś ciało pani Rosalindy Freeland.

Lane odsunął talerz.

– Kto je zabrał? Jej matka?

– Nie, syn. Właśnie skończył osiemnaście lat, miał więc pełne prawo.

– No i...?

Znow na chwilę zapadła cisza, tym razem na nieco dłużej.

– Byłem na miejscu, kiedy przyszedł. Widziałeś go kiedyś?

– Nie jestem pewien, czy w ogóle wiedziałem, że ona ma dziecko.

– Jego zdjęcie będzie jutro na pierwszych stronach gazet.

– Dlaczego? To znaczy rozumiem, że jego matka popełniła samobójstwo zaraz przed tym, jak znaleziono ciało mojego ojca, ale czy to jest powód?

– Dobra, wyślę ci zdjęcie, jak się rozłączymy. Zadzwoń później.

Zakończywszy rozmowę, Lane spojrzał na Aurorę.

– Znasz Mitcha Ramseya, prawda? – spytał.

– Ano znam. I to od małego. Jak zechce, to ci powie dlaczego. To nie moja rzecz.

Lane położył komórkę na stole i nie ciągnął tematu, zresztą nie miał większego wyboru. Zerknął na Lizzie.

– Myślisz, że jest szansa, żebyśmy w czwartek urządzili tu pożegnanie zmarłego?

– Jak najbardziej – przytaknęła Lizzie. – Cały teren jest doskonale przygotowany. Przecież dopiero co mieliśmy tu śniadanie przed derby. A wszystko, czego potrzeba, da się szybko załatwić. Masz jakiś konkretny

pomysł?

– Czwartek, między czwartą a siódmą. Możemy urządzić pogrzeb tylko dla rodziny, w piątek lub sobotę. Chciałbym jednak mieć już to pożegnanie z głowy.

Aurora pochyliła się nad stołem i popchnęła talerz Lane'a w jego stronę.

– Jedz!

Nie zdążył jednak zastosować się do komendy. Zanim miałyby szansę zawalczyć o swoje, drzwi otworzył pan Harris, kamerdyner.

– Proszę pana, ma pan gościa, czeka w saloniku od frontu. Jak rozumiem, nie jest umówiony, nie chce jednak opuścić rezydencji.

– Kto to?

– Pan Monteverdi z Prospect Trust.

– Już idę! – Lane wstał, zabierając ze sobą telefon i talerz.

Talerz jednak zaraz zabrała mu Aurora.

– Będzie czekać, jak skończysz. W tamtej części domu się nie je.

– Tak jest.

Lane pocałował Lizzie w usta i wyszedł. Przemierzał surowy korytarz, mijając po drodze pokoje pana Harrisa oraz gabinet pani Rosalindy Freeland (gdzie niedawno popełniła samobójstwo), jak również jedną z trzech pralni. Właśnie przechodził przez drzwi prowadzące do reprezentacyjnej części rezydencji, gdy w jego telefonie rozległ się sygnał odbioru nowej wiadomości.

Idąc dalej przez marmurową szachownicę holu, wpisał hasło dostępu, a gdy dotarł do zwieńczonego łukiem wejścia do salonu, na ekranie wyświetlił mu się obraz przesłany przez Mitcha Ramseya.

Lane stanął jak wryty.

Nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Syn pani Rosalindy (ten, który zgłosił się po odbiór jej ciała)... wyglądał jak jego brat bliźniak.

Porozrzucane wydruki arkuszy kalkulacyjnych, półkole z laptopów wyświetlających dokumenty w Excelu, gęsto zabazgrane notatniki...

Dla Jeffa Sterna wszystko to stanowiło naturalne środowisko pracy. Jako bankier inwestycyjny z Wall Street zarabiał na życie, przetwarzając liczby i szukając dziur i zależności w dokumentach finansowych ogromnych podmiotów gospodarczych. Był mistrzem takiej właśnie obsesyjnej, skupionej na szczegółach, otepiającej pracy, która jest konieczna, jeśli się chce cokolwiek zrozumieć z celowo niejasnych i zaplątanych metod kreatywnej księgowości wykorzystywanej do szacowania wartości rynkowej wielkich międzynarodowych korporacji.

– Przyyszłam odświeżyć paanu łazieenkę – rozległ się nagle kobiecy głos mówiący z silnym południowym akcentem.

W progu służącej mu za gabinet sypialni o wystroju godnym najbardziej luksusowego hotelu stała dwudziestoparoletnia blondynka w stroju pokojówki – co akurat nie należało do dobrze znanych Jeffowi elementów codziennej rutyny.

Tego rodzaju atrakcje przydarzały mu się dotąd tylko wówczas, gdy jakiś mizoginistyczny dupek pracujący w tym samym szambie co on zamówił czasem jakąś panienkę z agencji.

Stos białych ręczników w jej rękach przypominał błędzący nad powierzchnią ziemi letni obłoczek. Dziewczyna cudnie pachniała czymś bardzo dziewczęcym, a woń jej perfum przebijała się przez dzielący ich dystans i muskała Jeffa niczym pieszczota. Twarz pokojówki nie była szczególnie piękna i wyróżniała się przede wszystkim młodością, ale za to jej oczy miały niesamowity chabrowy odcień, a ciało przeżyło się pod służbowym

uniformem, w którym dziewczyna wyglądała jak w halloweenowym przebraniu zadziornej pokojówki.

– Chyba potrafi pani ją znaleźć – mruknął Jeff.

– Potrafię.

Patrzył za nią, gdy niespiesznie przechodziła w stronę łazienki, jakby była naga. Zostawiła za sobą otwarte drzwi, po czym wzięła się do czyszczenia umywalki. Po chwili schyliła się, żeby poszukać czegoś w szafce, tak że spódniczka podjechała jej w górę, ukazując koronkową górę czarnych pończoch.

Odwróciła głowę i spojrzała na niego.

– Mam na imię Lillianna. Przez dwa „el” i dwa „en”. Pan już wyjeżdża?

– Słucham?

Wyprostowała się i oparła o marmurowy blat, kładąc dłonie na biodrach, tak że rozchylił się jej dekolt w uniformie.

– Chyba się pan właśnie pakuje?

Jeff zerknął na swoje łóżko. Leżały na nim otwarte torby pełne jego rzeczy częściowo powyciąganych na zewnątrz – niczym ranni żołnierze z rozprutymi brzuchami. Nie zamierzał zresztą tego zmieniać. Skłonność do pedanterii przejawiał wyłącznie w kwestii arkuszy kalkulacyjnych i długich kolumn liczb. Nie obchodziło go, w jakim stanie jego rzeczy wrócą na Manhattan. Po coś przecież istnieją pralnie chemiczne.

Spojrzał ponownie na pokojówkę.

– Muszę wracać do pracy.

– To prawda, że pan z Manhattanu? Z Nowego Jorku?

– Tak.

– Nigdy tam nie byłam. – Potarła jedno udo o drugie, jakby odczuwała jakąś silną potrzebę, o której koniecznie chciała mu dać znać. – A zawsze chciałam tam pojechać.

A potem już tylko się w niego wpatrywała.

To nie jest dobry pomysł – myślał Jeff, wstając i przechodząc po

orientalnym dywanie. To naprawdę nie jest dobry pomysł.

Wszedł do łazienki i zamknął za sobą drzwi.

– Mam na imię Jeff.

– Wiem. Wszyscy tutaj wiemy. Jest pan kolegą pana Lane’a.

– Wieści szybko się tu rozchodzą – mruknął, kładąc palec wskazujący w zagłębieniu jej szyi.

Powolnym ruchem przesunął palcem po jej gładkiej skórze, aż do końca spiczastego dekoltu. W odpowiedzi dziewczyna zaczęła ciężko oddychać, mocno falując piersiami.

– Jestem tu po to, żeby dbać o pana komfort – szepnęła.

– Naprawdę?

Jej szary uniform miał biały kołnierzyk oraz perłowe guziczki. Oparł palec na górnym i poczuł w spodniach tętniącą erekcję. Ostatnie siedemdziesiąt dwie godziny ostro dały mu w kość – nic, tylko ciągłe mielenie liczb, bóle głowy i złe wiadomości. Złożona mu w tej chwili oferta była niczym krople deszczu spadające na spękaną od słońca ziemię.

Rozpiął pierwszy guzik, a potem następny i jeszcze jeden. Dziewczyna miała na sobie czarny biustonosz.

Pochylił się i pocałował ją w szyję, a gdy odchyliła głowę, objął ją w talii.

Prezerwatywa, pomyślał. Potrzebna mu prezerwatywa. Znając wcześniejszą reputację Lane’a, był przekonany, że na pewno gdzieś tu jakąś znajdzie.

Szeroko rozchylił górę jej mundurka, a następnie zmierzył się z zapięciem z przodu stanika. Po uwolnieniu z jego uścisku ukazały się jej sutki – och, wprost doskonałe! Oprócz napawania się ich widokiem Jeff rozglądał się wokoło, a nawet otworzył górną szufladę szafki.

Dobra robota – pomyślał, widząc jaskrawoniebieski trójpak durexów.

Zanim się obejrzał, miał przed sobą pokojówkę ubraną w same pończochy. Wyglądała szalowo: naturalnie pełne piersi, piękne biodra, jędrne uda... Jej skóra słodko pachniała. Sam został w ubraniu, założył tylko prezerwatywę, nie przerywając interakcji z dziewczyną.

Lillianna przez dwa „el” i dwa „en” doskonale wiedziała, jak objąć jego biodra nogami. Skrzyżowała mocno nogi w kostkach, wydając przy tym dźwięki, które zalewały jego uszy czystą słodyczą. Jedną dłoń oparł na ścianie obok zabytkowego lustra, a drugą objął dziewczynę w talii, po czym zabrał się do działania. Pokojówka mocno złapała go za ramiona. Zamknął oczy.

Było to cholernie przyjemne – choć tak anonimowe i z całą pewnością wynikające wyłącznie z jego statusu osoby przyjezdnej, który dodawał mu egzotyki. Czasem jednak trzeba korzystać z tego, co niesie los.

To ona szczytowała pierwsza. Lub przynajmniej bardzo się postarała, żeby tak to wyglądało – nie miał pewności, ale też niespecjalnie go obchodziło, czy udawała, czy nie.

Jego orgazm z całą pewnością natomiast nie był udawany: potężny i wstrząsający, uzmysławiający mu dobitnie, że żadne sztuczne podniety nie umywają się do kontaktu z kobietą z krwi i kości, przynajmniej jeśli chodzi o jego osobiste odczucia.

Gdy skończył, a jego oddech powoli wracał do normy, Lillianna wtuliła się w jego pierś.

– Mmm... – szepnęła. – Było cudownie.

Owszem – pomyślał, wychodząc z niej.

– W takim razie musimy to powtórzyć – jęknął, biorąc ją na ręce i kierując się w stronę łóżka.

Tymczasem w salonie na dole Lane zaczął, aż Monteverdi skończy swój wywód, choć doskonale wiedział, ile wynosi kwota zadłużenia oraz jak wielkie nieprzyjemności czekają jego rozmówcę, jeśli wszystkie te miliony nie zostaną na czas spłacone.

Szklaneczka rodzinnej rezerwy pomogła mu spokojnie poczekać, jak również ukoiliła nerwy wzrokowe podrażnione fotografią syna pani Rosalindy. Te jego włosy, oczy, kształt twarzy, budowa ciała...

– A pański brat nie wykazał się chęcią pomocy.

Aha, czyli przemowa dobiega końca.

– Edward nie jest już zaangażowany w nasze rodzinne sprawy.

– I on śmie się nazywać synem...

– Niech pan sobie nie pozwala – przerwał mu Lane. – Każda obelga wymierzona w mojego brata obraża także mnie.

– Duma miewa wysoką cenę.

– Podobnie jak uczciwość w interesach. Zwłaszcza jeśli tylko się ją markuje – zaznaczył Lane, podnosząc szklankę w geście toastu. – Ale zbaczamy z tematu. Nie było mnie tu dwa lata, a teraz w związku z niefortunnym wypadkiem mojego ojca mam sporo do ogarnięcia.

Nastąpiła chwila milczenia. Monteverdi wyraźnie zastanawiał się, jakiego kalibru argumentacji użyć w następnej wypowiedzi. Gdy w końcu się odezwał, mówił głosem jednocześnie stonowanym i kipiącym agresją.

– Proszę zrozumieć, że ta pożyczka wymaga natychmiastowej spłaty.

A to ciekawe: jeszcze kilka dni temu były na to dwa tygodnie. Pewnie zarząd coś zwietrzył albo może ktoś natknął się na jakiś ślad tej pożyczki.

Lane zastanawiał się, jak temu typowi udało się zawrzeć taką umowę i nie dać się na tym przyłapać.

– Testament ojca jest jeszcze potwierdzany – oznajmił – a ja nie mam w tej chwili dostępu do żadnych rodzinnych kont, nie licząc mojego własnego. Nie mam też uprawnień, żeby reprezentować matkę, a mój ojciec wykonawcą testamentu mianował swojego prawnika, pana Babcocka Jeffersona. Jeśli szuka pan sposobu, żeby odzyskać te pieniądze, powinien pan porozmawiać z panem Jeffersonem.

Monteverdi odchrząknął, a wówczas Lane pomyślał: Aha, czyli wypróbował już tę ścieżkę, ale został odesłany z kwitkiem.

– Sądziłem, że nieco bardziej zaangażuje się pan w rozwiązanie tego problemu. Z przyczyn osobistych.

– Czyli jakich?

– Już i tak musi pan uważać, co trafia do mediów.

– Wiadomość o śmierci mojego ojca już się rozeszła.

– Wcale nie o nią mi chodzi.

Lane uśmiechnął się i wstał, po czym podszedł do wózka na napoje.

– Proszę mi powiedzieć, jak pan zamierza ujawnić informacje na temat niewypłacalności mojej rodziny i jednocześnie sam się nie narazić na więzienie? – spytał, zerkając przez ramię. – Wyjaśnijmy to sobie. Grozi mi pan ujawnieniem jakichś informacji, ale nawet jeśli zrobi pan to anonimowo, jakie będą dalsze pana losy, gdy pana zarząd dowie się o pożyczce, którą sobie z ojcem wykoncypowaliście? Ostatnio nie jesteśmy asami wypłacalności, a pan, udzielając jej, musiał zdawać sobie z tego sprawę. Ma pan dostęp do wszystkich funduszy powierniczych, cholernie dobrze więc pan wiedział, jakimi kwotami dysponujemy, a jakimi nie.

– No cóż, sądziłem, że wolałby pan zaoszczędzić matce upokorzenia, jakim byłoby...

– Moja matka od niemal trzech lat nie wstaje z łóżka. Nie czyta gazet, a odwiedzają ją wyłącznie pielęgniarki. Z pewnością zastosują się do nakazu przemilczania tych spraw, który mogę na nie nałożyć pod groźbą utraty pracy. Proszę mi powiedzieć: czy mojego brata próbował pan przekabacić tym samym argumentem? Nie sądzę, żeby pan wiele zwojował.

– Starłem się tylko pomóc wieloletniemu przyjacielowi. Pana rodzina nie przetrwa jednak takiego skandalu. Musi pan wiedzieć, że fundusz pana matki jest poważnie uszczuplony. Pana ojciec bez mojej wiedzy na dzień przed swoją śmiercią wybrał z niego niemal wszystkie środki, zostawiając niecałe sześć milionów. Fundusz pana siostry całkiem przepadł. W funduszu pana Maxa również nie ma nic. Pan Edward nie dysponuje żadnymi znacznymi kwotami. Jeśli sądzi pan, że to nasza wina, informuję, że pański ojciec uzyskał do tych funduszy pełny dostęp w chwili, gdy pana matkę uznano za niepoczytalną. Zanim pan mnie spyta, dlaczego pozwoliliśmy pana ojcu na te działania, od razu powiem, że wszystkie te operacje przeprowadził zgodnie z prawem.

No ładnie. Co za uroczy ciąg informacji. Sześćdziesiąt osiem milionów wydawało się wcześniej dość poważną kwotą. Sto czterdzieści milionów tym bardziej. Ale teraz...

Z rodzinnych funduszy zniknęły setki milionów dolarów.

Lane uniósł szklanę do ust, odwracając się do Monteverdiego plecami. Nie chciał, żeby jego gość dostrzegł, że dłoń mu drży.

Dla większości śmiertelników te sześć milionów w funduszu jego matki stanowiłoby fortunę. Jednak wzięwszy pod uwagę choćby sam koszt utrzymania rezydencji, wszystkiego starczy na jakieś pół roku.

– Miałem zamiar wyjaśnić to wszystko pana bratu – mruknął Monteverdi – ale nie chciał mnie słuchać.

– Najpierw pan był u niego, a potem u pana Jeffersona.

– A co miałem zrobić?

– Czy Jefferson mówił, co mój ojciec zrobił z tymi pieniędzmi? – Lane pokręcił głową. – Mniejsza z tym. Gdyby mówił, nie byłoby pana tutaj.

Lane gorączkowo szukał w głowie jakiegoś rozwiązania, aż w końcu spojrzał na butelkę, którą trzymał w ręku.

Przynajmniej wiedział, skąd szybko wytrzasnąć trochę kasy.

– Ile czasu zyskam, jeśli zapłacę dziesięć milionów? – spytał bez zastanowienia.

– Nie ma ich pan...

– Proszę odpowiedzieć na pytanie.

– Mogę dać panu jeszcze tydzień. Ale muszę mieć przelew najpóźniej jutro po południu.

– Który obniży dług do czterdziestu trzech milionów?

– Nie. To cena za to, że zaryzykuję swoją reputację dla dobra pańskiej rodziny. Kwota zadłużenia pozostanie bez zmian.

Lane posłał mu przez ramię wściekłe spojrzenie.

– Prawdziwy z pana dżentelmen.

Monteverdi pokręcił głową.

– Tu nie chodzi o względy osobiste. Chodzi o interesy. Z biznesowego punktu widzenia wygląda to zaś tak, że... mogę jakoś wywalczyć nieznaczną zwłokę.

Wielkie dzięki, stary draniu – pomyślał Lane.

– Dostanie pan swój haracz. Jutro.

– Będę ogromnie zobowiązany.

Monteverdi podał mu dane do przelewu, po czym uklonił się głęboko i ruszył ku wyjściu, zostawiając za sobą kompletną ciszę. Lane sięgnął po telefon.

Wiedział, skąd wziąć te pieniądze. Potrzebował jednak pomocy.

– Musisz to zrobić.

Edward trzymał słuchawkę przy uchu, słuchając ponurego głosu brata, który właśnie przekazał mu równie ponure wieści. Wszystko przepadło. Ogołoczone fundusze, wyczyszczone konta. Majątek gromadzony przez pokolenia Bradfordów nagle się rozplynął.

– Edward? Musisz się z nią zobaczyć.

Z jakiegoś niezrozumiałego powodu Edward zajrzał do kuchni. Shelby stała przy kuchence i mieszała w rondlu coś, co pachniało naprawdę niezmiernie.

– Edward! – Lane zaklął pod nosem. – Halo, jesteś tam?

Z kucyka na głowie Shelby wysunął się kosmyk włosów, który chyba jej przeszkadzał, bo założyła go sobie za ucho, dalej wpatrując się w garnek zupy, sosu czy gulaszu.

Przebrała się w czyste dżinsy i koszulkę, ale miała te same co zawsze kowbojki i polar. Edward odnotował bezwiednie, że zawsze jest ciepło opatulona, jakby wiecznie marzła.

Odkąd to on właściwie zwraca uwagę na takie drobiazgi?

– W porządku – warknął Lane. – Sam się tym zajmę...

– Nie. – Edward przełożył ciężar ciała na drugą nogę i odwrócił wzrok w stronę salonu. – Zrobię to.

– Muszę mieć ten przelew do jutra. Monteverdi dał mi wszystkie dane. Prześlę ci je esemesem.

– Nie mam komórki. Dam ci znać, pod jaki numer je wysłać.

– W porządku. Ale jest jeszcze jedna sprawa. – Lane zawiesił głos. – W ogrodzie znaleziono coś, co... Należało do ojca. Próbowałem wcześniej się

do ciebie dodzwonić.

– Naprawdę? Coś jeszcze po nim zostało? Może ma jakąś wymierną wartość? Każdy grosz nam się przyda.

– Po co ta ironia?

– Przed chwilą mówiłeś, że w gruncie rzeczy jesteśmy splukani. Mam chyba prawo do zachowania odrobiny optymizmu, zważywszy na ograniczenia finansowe?

Znów zapadła cisza. Potem zaś Lane wyjaśnił bratu, co znaleziono w rozkopanej ziemi.

Edward nic nie mówił.

– Nie wydajesz się szczególnie zaskoczony. Zresztą ani tym, ani tamtym – mruknął Lane.

Wzrok Edwarda powędrował ku zasłonkom zaciągniętym na okna.

– Halo? – dopytywał dalej Lane. – Wiedziałeś, prawda? Wiedziałeś, że te pieniądze zniknęły, co?

– Miałem pewne podejrzenia.

– Powiedz mi jedną rzecz. Na ile ojciec był ubezpieczony?

– Siedemdziesiąt pięć milionów – odparł automatycznie Edward. – Ubezpieczenie głównej osoby w firmie. Tak przynajmniej to wyglądało, kiedy tam pracowałem. Muszę już kończyć. Zadzwoń.

Edward się rozłączył i wziął głęboki oddech. Ściany domku na chwilę wokół niego zawirowały, jednak jakoś zdołał zapanować nad chaosem w głowie.

– Muszę wyjść – powiedział.

Shelby spojrzała przez ramię.

– Dokąd?

– W interesach.

– Chodzi o tę nową klacz, o której gadałeś z Moem i jego synem?

– Tak. Zostawisz mi kolację? – Shelby uniosła brwi, a Edward poczuł w klatce piersiowej ból, jakby go ktoś dźgnął nożem. – Proszę.

– Wrócisz bardzo późno?

– Nie sądzę.

Edward ruszył w stronę drzwi, w połowie drogi jednak przypomniał sobie, że przecież nie ma samochodu. Jego porsche kurzyło się w garażach Easterly.

– Mogę pożyczyć twojego pikapa? – spytał.

– A nie zabierze cię Moe albo Joey? – Wzruszył tylko ramionami, a Shelby pokręciła głową. – To nie automat.

– Dam sobie radę. Kostka już mnie tak nie boli.

– Kluczyki są w stacyjce, ale chyba nie powinienes...

– Dziękuję.

Pokuśtykał na zewnątrz. Nie miał komórki, portfela, prawa jazdy, nic nie jadł, ale za to był trzeźwy i doskonale wiedział, dokąd zmierza.

Kierownica starego pikapa Shelby od wielu lat używania była miejscami jak wypolerowana, tablica rozdzielcza wyblakła, a welurowe dywaniki tak się przetarły, że została z nich właściwie sama osnowa. Samochód miał jednak nowe opony i lśnił czystością, a silnik uruchamiał się sprawnie i pracował bez zarzutu.

Edward ruszył w kierunku szosy prowadzącej na przedmieścia. Sprzęgło nie chodziło aż tak znowu ciężko, ale i tak mocno się dawało we znaki jego kostce i kolanu – przeważnie więc jechał po prostu na trójce. Ogólnie rzecz biorąc, przez większość tej podróży był całkiem otepiały, przynajmniej emocjonalnie.

Gdy przejechał już znaczną część drogi, zaczęły się przy niej pojawiać o wiele większe domy, otoczone terenami tak zadbanymi, jakby stanowiły przedłużenie eleganckich wnętrz. Wymyślne bramy, falujące trawniki, kamienne murki i rzeźby, rzadkie okazy drzew, a do tego wszechobecny monitoring, długie podjazdy i zaparkowane na nich rolls-royce'y i bentleye.

Rodzinna rezydencja Sutton Smythe stała na wzgórzu po lewej stronie – nie tak wielkim jak wzgórze Easterly. Ceglany gmach w stylu neokolonialnym zbudowano wprawdzie dopiero na początku XX wieku, ale za to miał on powierzchnię niemal trzech tysięcy metrów kwadratowych, znacznie większą od historycznego gniazda rodu Bradfordów.

Zbliżając się do bramy, Edward ręcznie opuścił szybę, a potem wyciągnął rękę i wprowadził kod wejściowy. Ogromna żelazna konstrukcja rozszczepiła się pośrodku, a on ruszył dalej krętą aleją, zbliżając się do okazałego budynku stojącego pośród krótko przystrzyżonych trawników, w otoczeniu drzew magnolii, zupełnie jak w Easterly. W ogrodzie rosło też mnóstwo innych wielkich drzew. Z boku znajdował się kort tenisowy, dyskretnie ukryty za żywopłotem, w oddali majaczyły garaże.

Podjazd zataczał koło przed wejściem do rezydencji. Stały już przed nią rzędem: czarny lincoln, luksusowy mercedes, skromna toyota camry oraz dwa SUV-y o przyciemnianych szybach.

Edward zatrzymał pikapa Shelby jak najbliżej głównego wejścia, po czym wygramolił się na zewnątrz i ruszył w stronę rzeźbionych drzwi. Chwyając mosiężną kołatkę, przypomniał sobie, jak niegdyś bardzo często zajeżdżał tu w smokingu i po prostu wchodził do środka bez zbędnych ceregieli. Ale między nim a Sutton nie było już tak jak dawniej.

Otworzył mu pan Graham, kamerdyner. Choć był to człowiek doskonale panujący nad emocjami, na widok Edwarda szeroko otworzył oczy – raczej nie tylko dlatego, że zamiast garnituru miał on na sobie dzinsy i roboczą koszulę.

- Muszę się zobaczyć z Sutton.
- Bardzo mi przykro, proszę pana, ale przyjmuje teraz gości...
- W interesach.

Pan Graham nieznacznie przechylił głowę.

- Oczywiście. Proszę do salonu.
- Znam drogę.

Edward pokuśtykał przez hol, minął gabinet i szedł dalej, w kierunku przeciwnym do sali koktajlowej, z której dochodziły odgłosy przyjęcia. Te dwa SUV-y przed wejściem mogły oznaczać, że na kolację przyjechał gubernator Kentucky. Edward bez trudu mógł sobie wyobrazić, czego może dotyczyć konwersacja. Pewnie produkcji bourbona, zbiórek charytatywnych albo szkolnictwa.

Sutton angażowała się w niemal wszystkie działania w całym stanie.

Niewykluczone, że kiedyś sama będzie się ubiegać o stanowisko gubernatora.

Edward bez wahania by na nią zagłosował.

Wchodząc do okazałego salonu, rozejrzał się wokół i pomyślał, że sporo czasu minęło, odkąd ostatni raz tu zawitał. Nie mógł sobie dokładnie przypomnieć, przy jakiej okazji mogło to być. Mierząc wzrokiem cytrynowe jedwabne tapety, limonkowe zasłony z adamaszku, sofy ozdobione frędzlami i obrazy olejne Alfreda Sisleya, Édouarda Maneta i Berthe Morisot, doszedł do wniosku, że rezydencje wielkich rodów, podobnie jak luksusowe hotele, charakteryzuje pewna anonimowość: wszystko jest harmonijne i w najlepszym guście, brak bałaganu, bibelotów i dzieł sztuki współczesnej, gdziekolwiek można się tylko natknąć na pozowane rodzinne zdjęcia w srebrnych ramach.

– Co za niespodzianka!

Edward odwrócił się koślawo i na chwilę zaniemówił. Sutton miała na sobie czerwoną suknię, ciemne włosy upięła w kok i pachniała – jak zwykle – perfumami Must de Cartier. Ale oprócz tego... zdobiły ją rubiny, które sam jej kiedyś podarował.

– Pamiętam te kolczyki – odezwał się w końcu cicho. – I tę broszkę.

Uniosła smukłą dłoń ku swojemu uchu.

– Wciąż mi się podobają – powiedziała.

– I wciąż ci w nich do twarzy.

Birmańskie rubiny i diamenty marki Van Cleef and Arpels, w niewidocznej dla oka oprawie. Kupił jej ten komplet, gdy mianowano ją wiceprezesem Sutton Distillery Corporation.

– Co ci się stało w kostkę? – spytała.

– Sądząc po tej czerwieni, pewnie rozmawiacie dziś o Uniwersytecie Charlemont – zauważył Edward (tak, tak, dobrze pamiętał: „Orły do boju!” „Precz z Tygrysami!”). – Może jakiś program stypendialny? Albo rozbudowa stadionu?

– Rozumiem, że nie chcesz mówić o tym, dlaczego utykasz?

– Wyglądasz... przepięknie.

Sutton znów dotknęła dłonią kolczyka, przestępując z nogi na nogę. To na pewno suknia projektu Calvina Kleina, ale nie z masowej produkcji, tylko z jego *maison de haute couture* – czyste, eleganckie linie sprawiały, że w centrum uwagi pozostawała kobieta, a nie spowijający ją jedwab.

Sutton odchrząknęła.

– Jak sądzę, nie jesteś tu po to, żeby mi złożyć gratulacje.

– A z jakiej okazji?

– Nieważne. Po co przyjechałeś?

– Chciałbym, abyś zrealizowała tę pożyczkę hipoteczną.

Sutton uniosła brew.

– Naprawdę? Nastąpiła chyba jakaś zmiana. Gdy ostatnio o tym rozmawialiśmy, żądałeś, żebym podała umowę na strzepy.

– Mam numer konta, na który trzeba zrobić przelew.

– Co się zmieniło?

– Komu mogę przekazać te dane?

Sutton założyła ręce na piersi i przymrużyła oczy.

– Doszły do mnie wieści o twoim ojcu. Mówili dzisiaj w radiu. Nie wiedziałam, że popełnił... Edward, tak mi przykro.

Zostawił te słowa bez komentarza. Nie miał zamiaru wdawać się z kimkolwiek w dyskusje na temat tej śmierci, a już na pewno nie z nią. Stał w milczeniu i przyglądał się jej ciału, wspominając chwile, w których go dotykał. Wyobrażał sobie, że znów jest przy niej blisko i czuje zapach jej skóry i włosów – ale tym razem zdaje już sobie sprawę, że to naprawdę ona.

Dobry Boże, tak bardzo pragnął zobaczyć ją nagą, leżącą przed nim – gładka skóra i rozkoszne jęki wydobywające się z ciała, które brałby w posiadanie.

– Edward?

– Czy możesz zrealizować ten przelew? – nie ustępował.

– Czasem dobrze jest porozmawiać.

– Omówmy więc kwestię tego, kiedy możesz nam przesłać te dziesięć milionów.

Usłyszał kroki w holu i odwrócił głowę.

Kto by się spodziewał... – pomyślał, widząc, jak w zwieńczonym łukiem ozdobnym przejściu zjawia się gubernator stanowy we własnej osobie.

Czterdziestosiedmioletni Dagney Boone, jak wskazywało nazwisko, był potomkiem sławnego Daniela Boone'a. Miał twarz, która spokojnie mogłaby zdobić banknot dwudziestodolarowy, okoloną bujną czupryną naturalnie czarnych włosów, jędrne ciało aktywnego tenisisty oraz swobodę i pewność siebie faceta, który zdecydowaną większością głosów został właśnie wybrany na drugą kadencję pełnionego urzędu. Przed czterema laty, po dwudziestu trzech latach małżeństwa, jego ukochana żona zmarła na raka, osierocając trójkę ich dzieci.

Od tamtej pory nie związał się z żadną kobietą, a przynajmniej nikt na ten temat nic nie wiedział.

Kiedy jednak patrzył na Sutton, nie było to spojrzenie polityka. Spoglądał na nią odrobinę zbyt długo, jakby chciał jednocześnie zachować dobre maniery i nacieszyć się jej widokiem.

– Aach, więc macie tu raandkę – powiedział przeciągle Edward. – A policjanci stanowi robią za przyzwoitki. Ależ to romantyczne!

Boone spojrział w jego stronę i przez chwilę zdawał się w ogóle go nie rozpoznawać.

Zaraz potem jednak, nie zważając na drwiący tekst i starając się ukryć własny szok, podszedł do niego z wyciągniętą ręką.

– Edward! Nie wiedziałem, że wróciłeś do Kentucky. Moje kondolencje w związku ze śmiercią twojego ojca.

– Wróciła tylko pewna część mnie. – Edward uściskał wyciągniętą dłoń gubernatora wyłącznie dlatego, że Sutton piorunowała go wzrokiem. – Gratuluję listopadowego zwycięstwa. I to kolejnego!

– Czeka mnie sporo pracy – powiedział Boone, zerkając na Sutton. – Przepraszam, że wam przeszkadzam, ale obsługa zastanawiała się, czy już nakrywać do kolacji i czy przygotować jeszcze jedno miejsce przy stole. Obiecałem, że się tego dowiem.

– On nie zostaje...

– Ja nie zostaję...

– Jakie piękne stereo. – Gubernator się uśmiechnął. – No dobrze, zostawię was, żebyście mogli dokończyć rozmowę. Miło było znów cię zobaczyć, Edwardzie.

Edward skinął głową. Nie uszło jego uwagi, że przed opuszczeniem pomieszczenia Boone delikatnie ucisnął dłoń Sutton.

– Twój nowy chłopak? – spytał, gdy znów zostali sami.

– Nie twoja sprawa.

– A więc nie zaprzeczasz.

– Na jakie konto mam przelać...

– Może mi odpowiesz?

– Nie mam ochoty.

– Czyli to naprawdę randka.

Po tej dynamicznej wymianie zdań oboje nagle zamilkli, jakby zanadto się rozpędzili. Powietrze między nimi iskrzyło, naładowane skumulowaną złością i erotycznym napięciem – choć może tylko Edward tak to odbierał. W każdym razie nie potrafił się powstrzymać: złaknionym wzrokiem wpatrywał się w Sutton i oczami wyobraźni widział ją bez sukni, olśniewająco nagą.

Wiedział jednak, że zasługuje ona na coś lepszego, czy raczej na kogoś lepszego. Poważnego faceta, jak ten pieprzony Dagney ze swoim ustatkowaniem, miłą aparycją i odpowiednim zapleczem. Gubernator Boone był mężczyzną, który mógłby zawsze stać u jej boku, odsuwać jej krzesło i zrywać się na nogi za każdym razem, gdy ona zapragnie udać się do toalety, żeby przypudrować sobie nos. Mówiłby jej to, co ważne, ale też to, co chciałyby usłyszeć. Pomagałby jej w interesach i troszczyłby się o jej ojca. Razem mogliby też zrobić wiele dobrego dla całego stanu.

No tak... I ten pieprzony Dagney z pewnością dogadzałby jej również w sferze... Nie, Edward nie mógł nawet zdzierżyć myśli na ten temat. Przymknął oczy i wziął głęboki oddech.

– Jeśli chodzi o tę pożyczkę... Czy możesz ją zrealizować? Bo ja nie widzę

przeszkód. Umowa zapewnia ci wysokie odsetki, a Easterly to doskonałe zabezpieczenie. Nic nie ryzykujesz.

– Dlaczego zmieniłeś zdanie?

– Czyli się zgadzasz?

Z gracją wzruszyła ramionami.

– Podpisałam tę umowę w dobrej wierze i dysponuję odpowiednią kwotą.

– Świetnie.

Spokojnym głosem objaśniał jej, że Lane przyśle jej esemesem dane do przelewu. Myślał jednak o tym, że w sąsiednim pomieszczeniu gubernator już czeka, aż ona wróci, piękna i kusząca – bo choć bynajmniej nie należała do kobiet rozwiązłych, jej uroda i inteligencja zwracały uwagę i wzbudzały w mężczyznach pożądanie.

Edward nieoczekiwanie poczuł gwałtowny impuls, żeby pójść do jadalni i zamordować gubernatora, miażdżąc mu czaszkę jakąś ciężką wazą. Oczywiście zanim by do tego doszło, napastnik zostałby zastrzelony, i słusznie, ale taki scenariusz również rozwiązałby wiele problemów...

– Przelew zostanie zrealizowany z samego rana – powiedziała Sutton. – Do jedenastej będziecie mieć pieniądze na koncie.

– Dziękuję.

– Czy to wszystko na dziś?

– Tak, dziesięć milionów w zupełności nam wystarczy.

Edward ruszył ku wyjściu, po chwili jednak zawrócił i stanął na wprost Sutton.

– Uważaj z tym naszym uroczym gubernatorem. Politycy to często ludzie pozbawieni skrupułów.

– A ty je miewasz?

Wyciągnął rękę i musnął kciukiem jej usta.

– Ja? Nie. Powiedz, czy on zostaje na noc?

Sutton odepchnęła jego dłoń od swojej twarzy.

– To chyba nie twoja sprawa, ale nie.

- Myślę, że chciałby.
- Chyba oszalałeś. Przestań.
- Stwierdzam tylko, że mu się podobasz. To chyba cię nie obraża?
- To gubernator stanu.
- A co to za różnica? Jest przecież mężczyzną.

Sutton uniosła głowę i spojrzała ponad ramieniem Edwarda w stronę wyjścia.

- Załatwiłeś, co miałeś załatwić. Wiesz chyba, gdzie są drzwi.
- Zrobiła krok w bok, żeby go wyminąć.
- Kiedy na koniec dzisiejszego wieczoru spróbuje cię pocałować, pomyśl, że cię uprzedzałem – powiedział Edward.
 - Och, z pewnością będę o tobie myśleć. Ale z innych powodów.
 - To pomyśl, że to ja cię całuję.

Lane przemierzał korytarze Easterly w kompletnej ciszy. Była to sytuacja niecodzienna. W rezydencji, w której mieszka wprawdzie tylko kilkoro członków rodziny, ale za to w pełnym lub niepełnym wymiarze godzin pracuje siedemdziesiąt osób personelu, zwykle na każdym piętrze ktoś dokądś zmierza i coś robi.

Nawet ten uprzykrzony kamerdyner gdzieś przepadł. Choć to akurat było całkiem miłe.

Na zewnątrz zapadał zmrok – ciemność opadała na powierzchnię ziemi, spowijając czernią i szarością ostre kontury wspaniałych drzew w Charlemont oraz brzegi płynącej w dole rzeki Ohio.

Sprawdził telefon i zaklął, bo Edward wciąż się nie odzywał. Żeby jakoś rozładować dręczący go niepokój, otworzył drzwi balkonowe i wyszedł na taras, z którego rozciągał się widok na ogród i rzekę. Przeszedł dalej, słuchając, jak podeszwy jego mokasynów uderzają o kamienne płyty – dźwięk ten skojarzył mu się z mamrotanymi pod nosem przekleństwami.

Trudno mu było uwierzyć, że otaczający go przepych – zadbane rabatki, stare kamienne posągi, ukwiecone drzewka owocowe, domek przy basenie, luksusowe centrum biznesowe – tak naprawdę wcale nie były czymś stałym, trwałym i niezmiennym.

Pomyślał o skarbach kryjących się we wnętrzu rezydencji. Obrazy starych mistrzów, francuskie i perskie dywany, kryształowe żyrandole Baccarat, srebra od Tiffany'ego i Christofle'a, a nawet pochodzące z XVIII wieku cuda sztuki złotniczej wyprodukowane przez samego Paula Revere'a. Miśnieńska i sewrska porcelana, luksusowe serwisy obiadowe angielskiej marki Royal Crown Derby i niezliczone kieliszki Waterford. A do tego jeszcze biżuteria

matki, której zebrała się tak potężna kolekcja, że ulokowano ją w sejfie wielkości garderoby.

Cały ten majątek z pewnością był wart co najmniej siedemdziesiąt–osiemdziesiąt milionów, albo i ze trzy razy tyle, jeśli policzyć obrazy. W końcu przecież mieli trzy oryginalne dzieła Rembrandta – dzięki dziadkom Lane’a i ich obsesji na punkcie tego artysty.

Sęk tylko w tym, że to nie była gotówka. A zanim zdołałby ten majątek upłynnić, musiałby zlecić wyceny, zorganizować aukcje, a wszystko to siłą rzeczy od razu wywołałoby sporą sensację. Poza tym należałoby odpalić spory procent któremuś z wielkich domów aukcyjnych. Może zresztą łatwiej i szybciej byłoby to wszystko załatwić prywatnie, ale to też wymagałoby pośrednictwa agentów i zajęłoby sporo czasu.

Efektywność takiego rozwiązania można by porównać do gaszenia pożaru lasu za pomocą ściągania z gór ciężkich lodowych bloków. Owszem, pomocne, ale mało wydajne.

– Hej!

– Cześć, Lizzie – powiedział, odwracając się w stronę drzwi balkonowych.

Wyciągnął ku niej rękę, a ona zaraz do niego podeszła. Przez chwilę czuł wielką ulgę – taką, jaką jest powiew wiatru w upalny dzień, lekkość ciała po odłożeniu potężnego ciężaru, spokojne westchnienie przed zapadnięciem w sen po wyczerpującym dniu.

– Chcesz tu dziś nocować? – spytała, gładząc go po plecach.

– Nie wiem.

– Możemy, jeśli chcesz. Mogę też pojechać do siebie i dać ci czas do spokojnych przemyśleń.

– Nie, wolę być z tobą. – Przesuwał dłoń po jej talii i pragnął tylko być coraz bliżej jej ciała. – Chodź tutaj.

Wziął ją za rękę i poprowadził z tarasu w głąb ogrodu, nad którym sprawowała pieczę. Minęli oranżerię i doszli do alejki prowadzącej w stronę basenu. Lane poczuł się jeszcze bardziej rozpalony, kiedy doszli do domku z uroczymi werandami, zadaszeniami, leżakami, barem i grillem. Basen był

podświetlony od dołu, a bijąca od niego niebieskozielona poświata stawała się coraz intensywniejsza, w miarę jak po drugiej stronie rzeki gasły ostatnie promienie zachodzącego słońca.

Słysząc było cykanie świerszczy, ale świetliki miały się pojawić dopiero za kilka tygodni. Dookoła unosił się niesamowity czar tej cieplej, parnej nocy, melodia zmysłowa niczym kryjące się w mroku nagie ciało.

W domku przy basenie znajdowały się trzy przebieralnie. Każda miała oddzielną łazienkę z wanną i prysznicem. Lane wybrał pierwsze z pomieszczeń, ponieważ było tam najwięcej miejsca. Pociągnął Lizzie do środka, a potem zamknął drzwi na klucz.

Nie zapalał światła. Przez okno wpadała luna bijąca od basenu, doskonale więc widzieli, co potrzeba.

– Czekałem na tę chwilę cały dzień.

Mówiąc te słowa, przyciągnął Lizzie do siebie i chwycił za ramiona, przyciskając jej ciało do swojej klatki piersiowej i czując, jak stykają się ich biodra.

Wślizgnął się językiem w jej delikatne, słodkie usta. Po chwili, gdy zdołała wyszeptać jego imię, poczuł, że musi jak najszybciej dostać się jeszcze głębiej. Najpierw jednak musiał jej coś powiedzieć. Podzielić się z nią swoimi najgorszymi obawami, poczynić pewne plany.

– Lizzie...

– Tak? – Przeczesła mu dłonią włosy.

– Wiem, że to nieodpowiedni moment. Z wielu powodów.

– Możemy wrócić do domu i pójść do twojego pokoju.

Lane wyrwał się z jej ramion i zaczął się przechadzać po ciasnej przebieralni, choć łatwiej chyba byłoby urządzić sobie spacer po wnętrzu metalowej szafki w siłowni.

– Chciałem, żeby to wyszło po prostu idealnie.

– To wracajmy.

– Chciałbym móc ci zaproponować coś więcej. I na pewno tak zrobię, gdy będzie już po wszystkim. Nie wiem, jak to się wszystko ułoży, ale przyszłość

na pewno coś nam zaoferuje. – Zdawał sobie sprawę, że nawija bez ładu i składu, bardziej do siebie niż do niej. – Może wylądujemy na takiej farmie, o jakiej marzysz? A może otworzymy warsztat samochodowy? Albo jakąś knajpkę? Ale przysięgam ci, że nie zawsze będzie tak jak teraz.

No a poza tym będzie już rozwiedziony. Jasna cholera, może powinien poczekać?

Ale nie, już postanowił. Jego los wydawał mu się w tej chwili bardzo niepewny, ale już od dawna żałował, że stracili tak wiele czasu. Czekanie na odpowiedni moment, żeby zrobić to, co należy i czego pragnie dwoje kochających się ludzi, to przywilej prostodusznych szczęściarzy, których nigdy w życiu nie dotknęła żadna tragedia.

Chciał też już tu i teraz rozpocząć swoje nowe życie z Lizzie – niezwiązane z Easterly ani Charlemont. Chciał, żeby ona wiedziała, ale też głęboko poczuła, że jest dla niego ważna, nie mniej od innych spraw. Nawet jeśli wszystko miałoby się zawalić, wciąż była dla niego ważna – i to wcale nie dlatego, że pozwalała mu uciec myślami od tego piekła, tylko dlatego, że ją kochał i nie mógł się doczekać ich wspólnej przyszłości.

Tak naprawdę rozpaczliwie pragnął wolności. Miał nadzieję, że zyska ją, gdy już upora się z tym koszmarem.

Zerknął na Lizzie, która kręciła tylko głową i się do niego uśmiechała.

– Nie potrzebuję niczego oprócz ciebie.

– Och, Boże... Kocham cię. Powinienem poczekać na stosowniejszą okazję.

Gdzieś indziej. Z przygotowanym pierścieniem, zamówionym szampanem i kwartetem smyczkowym przygrywającym w tle.

Nie, pomyślał, skupiając się już należycie na Lizzie. Przecież to nie Chantal. Nie interesuje jej odhaczanie kolejnych punktów na liście zatytułowanej „idealny ślub”, którą mogłaby potem pokazywać koleżankom.

Ukląkł na jednym kolanie, ujął dłonie Lizzie i każdą pocałował. Otworzyła szeroko oczy, jakby zgadła, co ma zaraz nastąpić, i nie mogła w to uwierzyć. Lane bezwiednie się uśmiechnął.

Domek przy basenie. Kto by pomyślał, że właśnie tu się to zdarzy?

No cóż, zawsze to jednak lepiej niż na oczach miejscowej policji z odbezpieczoną bronią.

– Wyjdiesz za mnie? – spytał.

Edward wracał do domu dłuższą drogą – niespiesznie sunął lokalnymi szosami, których liczne odnogi prowadziły do wielu sławnych stadnin hrabstwa Ogden. Pośród pofałdowanych pastwisk jedynym źródłem światła były reflektory pikapa Shelby. Edward całkiem opuścił szybę i czuł teraz na twarzy powiew ciepłego, łagodnego powietrza. Oddychał głęboko, ale rękę wciąż mocno zaciskał na kierownicy. Czuł, że skręca go w żołądku.

Nie mógł przestać myśleć o Sutton i tym jej gubernatorku.

Z tego, co słyszał, ten pieprzony Dagney zachowywał się nawet całkiem porządnie. Przez całe życie pozostawał wierny żonie, a gdy owdowiał, bynajmniej nie rzucił się zaraz w ramiona jakiejś dwudziestopięcioletniej kwintesencji najskrytszych marzeń mężczyzny, jak to się często zdarzało facetom w jego wieku, tylko skupił się na swoich dzieciach i służbie stanowi Kentucky.

Należało zresztą uznać tę pochlebną opinię za w pełni miarodajną, bo gdyby gubernatorowi przydarzył się jakikolwiek wyskok, zaraz podchwyciłyby go media oraz jego konkurenci w kampaniach wyborczych.

Tak więc owszem, wyglądało na to, że jest on na wskroś dżentelmenem. Ale to przecież nie oznaczało, że jest z drewna. Trzeba by kompletnego szaleńca, żeby nie dostrzec w Sutton kobiety z krwi i kości, przy okazji dysponującej majątkiem o wartości miliardów dolarów, co również nie było przykre.

Nawet bez grosza przy duszy stanowiłaby niezwykłą zdobycz. Rozsądna, zabawna, zmysłowa, słodka, szalona i inteligentna. Zdolna stanąć z mężczyzną twarzą w twarz i wykrzyknąć mu, że jest ostatnim osłem, a jednocześnie sprawić, że poczuje on w całym ciele buzujący testosteron.

Co do jednego się myliła. Ten człowiek – pal licho jego status urzędującego

gubernatora – wykona dziś ruch w jej stronę.

Pieprzony Dagney.

Najbardziej żalosne było jednak to, że to wcale nie zaloty gubernatora napawały Edwarda niepokojem. Choć niechętnie by się do tego przyznał, prawdziwym powodem, dla którego jeździł teraz po bocznych drogach, zataczając kolejne kręgi, była spodziewana przez niego reakcja Sutton.

W gruncie rzeczy chodziło o to, że ten pieprzony Dagney był niesamowitym mężczyzną, z pewnością w niezliczonych aspektach wartym jej uwagi. A ona z pewnością to sobie wykoncypuje.

Edward natomiast zupełnie nic nie może w tej kwestii zrobić.

Ani też, na litość boską, nic w tej kwestii robić nie powinien. Co on sobie w ogóle wyobraża? Dlaczego, do ciężkiej cholery, miałby pozbawić ją szansy na potencjalnie wspianiały, zdrowy i szczęśliwy związek?

Po prostu chcę ją mieć na wyłączność! – ryknął bezpardonowo jego wewnętrzny głos. Edward chętnie wjechałby prosto w drzewo, żeby drania wreszcie uciszyć, ale powstrzymała go myśl, że nie ma prawa rozbijać samochodu Shelby.

Musiał więc się zadowolić wściekłym waleniem dłonią w kierownicę oraz wyrzucaniem z siebie ton siarczystych przekleństw.

W końcu, wiele kilometrów później, uznał, że pojedzie jednak do swojej stadniny, zamiast krążyć po okolicy niczym szesnastolatek, którego ukochana cheerleaderka umówiła się na szkolny bal z innym członkiem drużyny futbolowej. Ponieważ zużył już połowę baku, zajechał na stację benzynową i zatrzymał pikapa przed jednym z trzech wolnych dystrybutorów. Sięgnął po kartę kredytową i wówczas zorientował się, że nie ma przy sobie portfela.

Z przekleństwem na ustach zawrócił i ruszył w stronę głównej bramy stadniny. Przejeżdżając między dwoma kamiennymi słupami, bynajmniej nie czuł się ani trochę uspokojony, ale wiedział, że jeśli dalej będzie krążył po okolicy, zużywając resztki benzyny w baku, to nic nie zyska, jeśli nie liczyć powrotu do domu autostopem oraz krępującej rozmowy z Moem lub Joeyem, których musiałby poprosić o ściągnięcie pikapa z szosy.

Zaparkował przed stajnią B. Zabrał kluczyki, a potem jeszcze zawrócił, by podnieść szybę. Pokuśtykał do swojego domku i otworzył drzwi, spodziewając się, że nie zastanie nikogo w środku.

Okazało się jednak, że Shelby śpi w jego fotelu z kolanami podciągniętymi pod brodę i głową przechyloną na bok. Spojrzał w głąb pomieszczenia i dostrzegł porządek w kuchni. Mógł się też założyć o resztki swojej sprawności fizycznej, że w lodówce znajdzie miskę pełną gulaszu, który wcześniej gotowała.

Delikatnie zamknął drzwi.

– Shelby?

Obudziła się i zerwała z fotela z gibkością, której mógł jej tylko pozazdrościć. Kucyk jej się przekręcił, więc ściągnęła gumkę, a włosy rozsypały jej się wokół ramion. Okazały się dłuższe i jaśniejsze, niż podejrzewał.

– Która godzina? – spytała, zbierając je z powrotem w kucyk i związując gumką.

– Dochodzi dziesiąta.

– Ta klacz chyba teraz nie przyjedzie, co?

– Nie.

– Zostawiłam ci gulasz w lodówce.

– Wiem. – Złapał się na tym, że śledzi każdy jej ruch, od lekkiego przestępowania z nogi na nogę aż po zakładanie za ucho niesfornego kosmyka włosów. – Wiem, dziękuję.

– No to do zobaczenia rano.

Gdy go mijala, złapał ją za ramię.

– Nie idź...

Nie patrzyła na niego. Utkwiła wzrok w podłodze koło jego butów. Jednak jej oddech przyspieszył. Wiedział, co mu odpowie.

– Zostań dziś ze mną – rzucił bez zastanowienia. – Nie chodzi mi o seks. Tylko... bądź przy mnie.

Shelby przez dłuższą chwilę pozostawała bez ruchu.

W końcu jednak wzięła go za rękę, a on poszedł za nią do pogrążonej w półmroku sypialni. Przez szyte ręcznie zasłonki w kratkę przebijało światło lamp bezpieczeństwa zapalonych przy stajniach, a prosta komoda i skromne łóżko bez zagłówka rzucały na ściany i podłogę delikatne cienie.

Edward nie był pewien, czy pod narzutą jest w ogóle jakaś pościel.

Odkąd się tu wprowadził, zawsze spał w tym swoim przeklętym fotelu. Lub raczej tracił w nim przytomność.

Poszedł do łazienki i skorzystał z toalety, a potem umył zęby. Gdy wyszedł, narzuta była ściągnięta.

– Uprałam ci wczoraj pościel – powiedziała Shelby, podchodząc do łóżka z drugiej strony. – Nie byłam pewna, czy w ogóle tutaj śpisz.

– Nie powinnaś tak się o mnie troszczyć.

– Wiem.

Położyła się pierwsza, w ubraniu. Po raz kolejny zazdrościł jej lekkości ruchów. Gdy prostowała nogi, nic nie strzelało jej w kolanach, gdy kładła się na plecach, nie syczała z bólu. On sam, żeby osiągnąć pozycję horyzontalną, musiał najpierw się najęczeć i naprzeklinać, a potem z trudem łapał oddech, gdy już w końcu udało mu się złożyć głowę na poduszce.

Shelby zwróciła się w jego stronę i pogładziła jego zapadnięty brzuch. Zesztywniał, choć miał na sobie koszulkę i polar.

– Jesteś przemarznięty – szepnęła.

– Naprawdę? – przekrzywił głowę, żeby na nią spojrzeć. – Chyba masz rację.

Pocałowała go delikatnie w usta, a potem nieco się odchyliła i powiedziała:

– Nie musisz nic mówić.

– Co?

– Nic mi nie jesteś winien. Potrzebna mi tylko ta robota, nic więcej.

Jęknął, podnosząc rękę, żeby przejechać palcem po jej policzku i szyi. Cieszył się, że jest ciemno.

– Nie mam nic, co mógłbym komukolwiek dać – powiedział, kładąc sobie jej spracowaną dłoń na piersi. – I jestem przemarznięty.

– Wiem. Wiem też o tobie znacznie więcej. Całe życie robię przy koniach. Nigdy nie oczekuję, żeby zwierzę było czymś innym, niż jest. Nie widzę też powodu, żeby oczekiwać tego od ludzi.

Zadziwiające. Od czasu gdy porwano go z pokoju hotelowego w Ameryce Południowej, całe jego ciało pozostawało spięte. Najpierw z powodu strachu, potem z bólu, gdy go torturowano i głodzono. Potem zaś, gdy już został uratowany, jego organizm nie funkcjonował właściwie na niezliczonych poziomach, a do tego jeszcze doszła walka z własnym umysłem, żeby się całkiem nie rozpadł.

Teraz jednak, w tej ciszy i ciemności, poczuł, jak wszystko mu się w środku rozluźnia.

– Czuję, jak na mnie patrzysz – wyszeptał.

– Bo patrzę. Nie ma w tym nic złego. Tak jak mówiłam, nic mi nie jesteś winien. Niczego od ciebie nie oczekuję.

Z jakiegoś powodu pomyślał o Joeyu Brownie, synu Moego. Przystojny, wyrosnięty chłopak, dokładnie w jej wieku. Świetnie sobie radził z końmi, był równie łagodny jak one i miał poukładane w głowie.

To z kimś takim Shelby powinna spędzać noce.

– To dlaczego to robisz? – spytał.

– Moja decyzja, no nie? Mój wybór, z którego nie muszę się nikomu tłumaczyć, nawet tobie.

Ta spokojna, otwarta deklaracja, w połączeniu ze świadomością, że dziewczyna w pełni akceptuje go takiego, jaki jest, tylko spotęgowała ogarniającą go dziwną, tajemniczą lekkość.

Im dłużej leżał obok niej, tym bardziej rozluźniało się jego ciało – a może dusza? Shelby jako jedyna ze znanych mu osób nie porównywała go z człowiekiem, którym kiedyś był. Nie opłakiwała związanych z nim wspomnień. Nie oczekiwała, że wyzwoli się ze swojej tragedii, stanie u sterów firmy i scali swoją rodzinę.

Był dla niej jak koń wracający do zdrowia po kontuzji, którego trzeba wyprowadzić na pastwisko, na wiatr i słońce. Była gotowa go karmić i o niego dbać. Pewnie dlatego, że tylko to umiała robić w obliczu czyjgós cierpienia.

Z jego płuc wydobyło się potężne westchnienie, wraz z którym jakby ubyło mu kilka lat. Nie zdawał sobie sprawy, jak ogromny ciężar nosił dotąd w sercu, jak wielką urazą darzył wszystkich ludzi, którzy go znali w jego poprzednim życiu. Tak naprawdę wszystkich ich nienawidził, nienawidził każdego, w którym spojrzeniu wyczuwał szok, smutek i politowanie. Miał ochotę wykrzyczeć im prosto w twarz, że nie pisał się na taki los, taki wygląd i stan zdrowia, a tragedia, która go spotkała, to nie ich zasrany interes.

Pewnie było im przykro na niego patrzeć. Niech ich szlag! Spróbowaliby coś takiego przeżyć i stawiać potem czoła kolejnym dniom.

Tak, nawet Sutton tak samo nienawidził, choć przecież tak samo jak inni nie zrobiła mu nic złego.

Natomiast Shelby... Shelby była od tego wszystkiego wolna. Była czysta, nienaznaczona wspomnieniami jak oni. Była jak powiew świeżego powietrza na wysypisku śmieci, jak prześwit w celi bez okien, z którego roztacza się widok na szeroki świat.

Edward jęknął, opierając się na ramieniu, żeby ją pocałować. Dotknął wargami jej ust, równie otwartych i szczerych jak ona sama. Natychmiast poczuł erekcję.

Zamiast jednak wsunąć dłoń pod jej bluzę i dzinsy, odchylił się, przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił.

– Dziękuję – szepnął.

– Za co?

Pokręcił tylko głową i zamknął oczy.

Po raz pierwszy, odkąd sięgał pamięcią, po prostu podryfował w krainę snu... zupełnie trzeźwy.

– Małżeństwo?

Stojąca nad klęczącym Lane'em Lizzie ujęła jego twarz w dłonie i uśmiechnęła się tak szeroko, że aż zaboląły ją policzki. Boże drogi, jaki on przystojny, jak zabójczo piękny, pomimo worków pod oczami, dwudniowego (czy też raczej nie-wiadomo-iludniowego) zarostu i sterczących w bezładzie włosów, po których już nie było widać śladów strzyżenia.

– Prosisz mnie o rękę? – spytała z niedowierzaniem, chociaż ją nieco zatkało.

Pokiwał głową.

– I powiem ci coś jeszcze. Ten twój uśmiech zostanie ze mną na zawsze.

– Wiesz, że nie jestem jedną z tych kobiet, które już w przedszkolu planowały swój ślub – powiedziała, przeczesując mu ręką włosy.

– Wcale mnie to nie dziwi.

– Nie jestem nawet pewna, czy mam ochotę wbijać się w sukienkę, a już na pewno nie wybieram się do kościoła.

– Jako ateista przystaję na te warunki.

– No i żadnej pompy. Nie mam najmniejszej ochoty na wielkie wydarzenie towarzyskie.

Przejechał dłońmi w górę i w dół po jej łydkach, głaszcząc je i masując, żeby ją jak najszybciej pobudzić.

– Przyjąłem.

– No i ten twój rozwód...

– Tak naprawdę unieważnienie małżeństwa. Samuel się tym zajmuje.

– No dobrze...

Lane uniósł dłoń niczym uczeń zgłaszający się do odpowiedzi.

– Uhm... – zamruczała Lizzie.

– Mam rozumieć, że się zgadzasz?

Pochyliła się i przycisnęła usta do jego warg.

– Jak najbardziej!

Zanim się obejrzała, położył ją na szezlongu. Poczwała na sobie ciepłe, ciężkie ciało. Zaczęli się całować. Wybuchali wciąż śmiechem i znów się

całowali. Po chwili oboje byli już nadzy.

– Lane... – wyszeptała, gdy w nią wchodził.

Boże drogi, ależ on był cudowny. Penetrował ją delikatnie i głęboko, rozciągał jej ciało, brał ją we władanie. Nigdy mu nie mówiła, jak bardzo lubi czuć na sobie jego ciężar, jak tęskni do tych chwil, gdy on przytrzymuje jej nadgarstki, jak ją podniecają te momenty, w których jest nienasycony i odrobinę brutalny.

Ale przecież on to doskonale wiedział.

Zresztą w ogóle świetnie ją znał. Nawet te oświadczyły były po prostu perfekcyjne. Nic na pokaz, nic wyszukanego, bez pierścionka z ogromnym brylantem, którego wcale nie oczekiwała. Pragnęła tylko Lane'a. Zależało jej wyłącznie na tym, żeby mogli być razem.

Jeśli więc o nią chodzi, do ich zaręczyn doszło w idealnych okolicznościach.

Owszem, Lane znajdował się obecnie w oku cyklonu. Tak, nie dawało się przewidzieć, dokąd to wszystko zmierza. Większość kobiet z głową na karku z pewnością nie związałyby się z kimś w jego położeniu, zwłaszcza gdyby kierowała nimi chęć zysku.

Miłość jednak w zadziwiający sposób daje człowiekowi wiarę w ukochaną osobę. Życie zaś niczego nie gwarantuje – ani zdrowia, ani bogactwa. Koniec końców zawsze trzeba podjąć ryzyko... a najlepiej podejmować je w ramionach szlachetnego mężczyzny.

Poczuła przeszywający jej ciało dreszcz rozkoszy i zawołała imię Lane'a. Jego głowa opadła na jej szyję, a on coś mamrotał, podczas gdy targały nim wstrząsy. Jakie to piękne, jakie doskonałe... Na koniec mocno ją przytulił.

– Boże drogi, tak cię kocham – szepnął jej do ucha. – Tylko przy tobie czuję, że życie ma sens.

– Wcale się nie boję – zapewniła go. – Jakoś sobie z tym wszystkim poradzimy. Razem wyjdziemy na prostą. Nic innego się dla mnie nie liczy.

Odchylił się nieco w tył. Spojrzenie jego błękitnych oczu idealnie

pasowałyby do jakiejś romantycznej powieści – szczerze, nabożne, rozkochane.

– Muszę ci kupić pierścionek.

– Nie chcę – odparła, głaszcząc go po włosach i przyglądając je tam, gdzie nadmiernie sterczały. – Nie chcę nic nosić na palcach i nadgarstkach. Przeszkadzałyby mi to w pracy.

– A więc zegarek wysadzany diamentami też odpada?

– Zdecydowanie.

W jego kieszeni rozdzwonił się telefon. Lane pokręcił głową.

– Nic mnie nie obchodzi, kto to. Nie mam zamiaru...

– Chyba powinienes...

Złatwił sprawę pocałunkiem, podczas którego znów zaczął się w niej poruszać. Lizzie zaś nie pozostawała mu dłużna. Na różne rzeczy w życiu można się skarżyć, ale na pewno nie na seks z własnym narzeczonym podczas ciepłej nocy w Kentucky.

Wszystkie problemy będą musiały poczekać, aż Lizzie i Lane skończą, co zaczęli. Mają tu własny kawałek nieba, należący tylko do nich – i do nikogo więcej.

Zanim z talerzy zniknął crème caramel, Sutton miała ochotę krzyknąć. Bynajmniej nie z powodu rozmowy z gubernatorem Dagneym Boone'em oraz Thomasem Georgetowem (rektorem Uniwersytetu Charlemont) – obaj panowie, dysponujący największą władzą w stanie Kentucky, byli przesympatyczni i stale przekomarzali się ze sobą, jak przystało na starych kumpli. Przy stole siedziało jeszcze kilka przemiłych osób: małżonka rektora Beryline Georgetow, kwintesencja uroczej damy z Południa, tak przyjemna jak dobrze osłodzona herbata w upalne popołudnie, oraz pastor Nyce z żoną, przewodzący największej w całym stanie społeczności baptystów – stabilni jak skała i optymistyczni jak promienie słońca.

W innych okolicznościach Sutton doskonale by się w tym towarzystwie bawiła. Oczywiście spotkanie to miało pewne określone cele, ale uczestniczyli w nim sami dobrzy ludzie. Szef kuchni natomiast przeszedł samego siebie.

Edwardowi jednak udało się całkowicie popsuć jej wieczór. Choćby przez szereg nocy nie zmrużył oka, kombinując, jak by jej zaleźć za skórę, nic lepszego i tak by nie wymyślił.

Przecież Dagney wcale nie ma jej na oku. To jakieś szaleństwo!

– No dobrze... – Gubernator rozparł się w krześle w stylu królowej Anny. – Chyba powinniśmy wszyscy podziękować pani Smythe za jej niezwykłą gościnność.

Uniesiono filiżanki z kawą.

– Cała przyjemność po mojej stronie – powiedziała Sutton, kręcąc głową.

– Zdecydowanie po naszej! – odparł gubernator, posyłając jej uśmiech.

Boże jedyny, w jej głowie cały czas rozbrzmiewał głos Edwarda. Co z kolei

przywoływało inne skojarzenia, kolejne wspomnienia.

Zwłaszcza to całkiem świeże, dotyczące jednej z ostatnich nocy, kiedy pojechała go odwiedzić i...

Przestań! – przywołała się do porządku.

– Brakowało tu dziś pana domu – zauważył gubernator.

– Tak, tak... Jak on się czuje? – dopytywał pastor Nyce.

Sutton wzięła głęboki oddech.

– No cóż, wszystkie szczegóły poznają państwo jutro, ale ogólnie rzecz biorąc, wycofuje się ze stanowiska. To mnie przypadnie teraz funkcja prezesa.

Na chwilę zapadła cisza, a potem odezwał się Dagney:

– Proszę przyjąć nasze gratulacje, a zarazem wyrazy współczucia z uwagi na ojca.

– Dziękuję – powiedziała Sutton, pochylając głowę. – To dla mnie trudny czas ze względów osobistych, ale zawodowo doskonale wiem, co do mnie należy.

– Sutton Distillery Corporation nie mogłaby się znaleźć w lepszych rękach. – Gubernator uśmiechnął się i uniósł filiżankę kawy bezkofeinowej. – Nie mogę się doczekać chwili, w której będę mógł przedstawić nasze nowe propozycje dotyczące kwot dochodu zwolnionych od podatku. Jesteście przecież jednym z największych pracodawców w całym stanie.

Poczuła, o dziwo, wyraźną zmianę. Ludzie siedzący przy stole, w tym również sam gubernator, darzyli ją większą niż dotąd uwagą. Po raz pierwszy poczuła to na porannym spotkaniu komisji finansowej, a potem w ciągu dnia odbierała podobne sygnały ze strony przedstawicieli wyższej kadry kierowniczej. Nazywano to „siłą płynącą z pozycji”. Gdy ojciec przekazał jej pałeczkę, cały szacunek, jakim go dotąd darzono, automatycznie przeszedł na nią.

– Dlatego właśnie zaprosiłam dziś tu wszystkich państwa.

– Chętnie bym przyszedł choćby dla samego deseru – odezwał się pastor Nyce, wskazując na swój pusty już talerz. – W moim odczuciu stanowił on świadectwo Bożej obecności.

– Amen – wtrącił Georgetow. – Z chęcią poprosiłbym o dokładkę...

– Ja jednak doniosłabym o tym jego lekarzowi – dokończyła za niego Beryline.

– Jest moim sumieniem.

Sutton zaczęła, aż ucichnie śmiech, a potem jeszcze chwilę, żeby opanować wzbierające łzy. Odchrząknęła, zbierając siły do swojej przemowy.

– Ojciec jest dla mnie całym światem – powiedziała, patrząc na jego portret wiszący na przeciwległej ścianie. – Chciałabym więc w znaczący sposób oddać cześć jego zasługom dla stanu Kentucky i całej społeczności Charlemont. Po przemyśleniu tej kwestii uznałam, że ufunduję katedrę ekonomii na Uniwersytecie Charlemont, której patronem będzie mój ojciec. Przeznaczyłam na ten cel czek o wartości pięciu milionów dolarów i dziś właśnie chciałabym go przekazać we właściwe ręce.

Rektorowi odjęło mowę, zresztą nie bez przyczyny. Doskonale wiedział, że tego rodzaju dary nie trafiają się uczelniom codziennie. Ponadto zwykle wymagały one sporych zachodów i długich negocjacji. A tu proszę – fundusze na nową katedrę same wpadają mu do kieszeni. I to zaraz po jego ulubionym deserze!

Oparł się na krześle.

– Jestem... – zaczął niepewnie. – Nie spodziewałem się... Dziękuję. W imieniu całej uczelni bardzo pani za ten gest dziękuję. Będziemy zaszczytzeni, mając katedrę imienia osoby tak bardzo już dla nas zasłużonej.

Podobna darowizna miała też powędrować do Uniwersytetu Kentucky, ale o tym Sutton nie chciała teraz wspominać. Oboje z ojcem kibicowali drużynie koszykarskiej tej drugiej uczelni – o czym oczywiście nie mówiono w obecności rektora Uniwersytetu Charlemont.

Sutton skierowała teraz wzrok ku pastorowi Nyce'owi.

– Ojciec nie jest wprawdzie osobą religijną, ale spośród wszystkich sług Bożych w stanie Kentucky to pastora darzy największym szacunkiem. W związku z tym chciałabym założyć fundusz stypendialny dla studentów pochodzenia afroamerykańskiego, którym pastor będzie zarządzał. Będzie on

pokrywać koszty chesnego i podręczników na dowolnej z naszych stanowych uczelni. – W żartobliwym geście uniosła rękę, patrząc na pana Georgetowa. – Tak, również na Uniwersytecie Kentucky. Potrzeba nam więcej wykwalifikowanych pracowników, którzy będą chcieli właśnie tu, w naszym stanie, rozpocząć i kontynuować swoją ścieżkę zawodową. Mój ojciec od dawna zaś wspiera osoby o słabszej pozycji społecznej, zwłaszcza te pochodzące z zachodnich dzielnic miasta. Takie stypendium na pewno im pomoże.

Pastor Nyce wyciągnął ku niej rękę i ujął dłoń Sutton.

– W imieniu synów i córek naszego miasta dziękuję pani i pani rodzinie za ten hojny dar, dzięki któremu będziemy jeszcze lepiej pamiętać o zasługach pani ojca. Dopilnuję też, aby fundusze trafiały, gdzie trzeba.

Sutton uścisnęła dłoń pastora.

– Jestem tego pewna.

– Proszę ich kierować przede wszystkich do nas – zażartował Georgetow. – W końcu oboje z żoną są państwo naszymi absolwentami!

– To się samo przez się rozumie – powiedział pastor, unosząc filiżankę z kawą. – Krew w moich żyłach jest barwy czerwonej.

– Panowie, przypominam, że mamy tu mieszane towarzystwo – zauważyła Sutton, wskazując na samą siebie. Następnie zaś zwróciła się do gubernatora. – Na koniec chciałabym też ofiarować pewien dar stanowi Kentucky, również mający uhonorować mojego ojca.

– Przyjmę każdy dar – rzekł Dagney z uśmiechem.

– Dziś po południu nabyłam dwanaście tysięcy hektarów we wschodniej części stanu.

Gubernator zeszywniał.

– Ach... Zastanawiałem się, kto...

– Cztery łańcuchy górskie. Piękne, czyste tereny...

– Na których lada chwila miały powstać kopalnie odkrywkowe.

– Chciałabym je podarować stanowi Kentucky, z przeznaczeniem na park krajobrazowy podlegający ochronie i noszący imię mojego ojca.

Dagney przez chwilę patrzył tępo w stół.

– To... to... – zaczął nieporadnie.

– Ojciec całe życie pasjonował się myślistwem. Polował na jelenie, gołębie i kaczki. Jego ulubioną formą aktywności było przebywanie na łonie natury. Wciąż mamy w zamrażarce mięso, które sam dla nas zdobył, w dzieciństwie zawsze jadłam upolowaną przez niego dziczyznę. Obecnie... nie jest już w stanie dalej się tym zajmować, ale zapewniam państwa, że sercem nadal jest tam, w lesie.

Górnictwo odkrywkowe stanowiło tani i wydajny sposób eksploatacji węgla, którego znaczne pokłady kryły się w górach we wschodniej części stanu. Przemysł węglowy dawał zaś zatrudnienie ogromnym rzeszom ludzi w rejonach, gdzie panowała tak wielka bieda, że wiele rodzin w ogóle nie miało dostępu do przyzwoitej opieki zdrowotnej, a zimą głodowało. Sutton rozumiała złożoność sytuacji, która z pewnością nie ograniczała się do tezy, że kopalnie szkodzą środowisku. Lecz jej ojciec naprawdę kochał te tereny, chciała więc, żeby przynajmniej te cztery łańcuchy górskie pozostały w takiej postaci, w jakiej trwały od tysiący lat.

Tak naprawdę Sutton przez kilka miesięcy toczyła negocjacje z siedmioma rodzinami, do których należały te tereny, a choć proponowała im za nie wiele milionów dolarów, i tak kwoty te blakły w porównaniu z tym, co oferowały przedsiębiorstwa węglowe. Właścicielom zależało jednak nie tylko na pieniądzu, ale też na tym, co im obiecała – i teraz właśnie tego zamierzała dopilnować.

Zależało jej na ochronie dzikiej przyrody, lasów, o których jej ojciec mawiał, że wciąż pozostają takie, jak je Pan Bóg stworzył.

– Czy jest szansa na to – spytała z uśmiechem – żeby po otrzymaniu tej ziemi stan ufundował specjalną tabliczkę pamiątkową?

Dagney pochylił się w jej stronę i dotknął jej ramienia.

– Tak, sądzę, że to da się załatwić.

Przez chwilę zdawało jej się, że jego wzrok zatrzymał się na dłużej na jej ustach, ale zaraz odrzuciła tę myśl i uznała to za wytwór swojej wyobraźni.

A niech cię, Edwardzie!

Wkrótce towarzystwo zaczęło się zbierać. Georgetow opuścił rezydencję z czekiem na pięć milionów dolarów w kieszeni, a pastor Nyce miał wyznaczone spotkanie z jej prawnikami.

Dagney został dłużej i odprowadzał wzrokiem pozostałych, którzy ruszyli ku wyjściu, a następnie powsiadali do samochodów i odjechali.

– Trudno mi będzie teraz czymkolwiek to przebić – powiedziała Sutton, zwracając się w jego stronę.

– Wasza rodzina zawsze była bardzo szczodra, zarówno dla miasta, jak i dla całego stanu.

Sutton patrzyła na tylne światła samochodów niknące w oddali.

– Nie chcę wielkiej pompy. Jeśli chodzi o sytuację mojego ojca, nagromadziło się we mnie tyle... emocji... z którymi muszę coś zrobić. Nie chcę ich w sobie dusić, ale też nie mam o nich zbyt wiele do powiedzenia, ponieważ tkwią głęboko gdzieś tutaj – powiedziała, kładąc sobie dłoń na piersi.

– Dobrze wiem, jak to jest – odparł Dagney z poważnym wyrazem twarzy. – Sam szedłem tą drogą.

– Ojciec jeszcze nie umarł, ale czuję się tak, jakbym go cały czas traciła, centymetr po centymetrze. – Utkwiła wzrok daleko w koronach drzew i śledziła ich falujący kontur, stanowiący granicę między bujnym listowiem a aksamitem ciemnego nieba. – Gdy tak dzień po dniu obserwuję, jak on słabnie, myślę nie tylko o jego obecnym cierpieniu, ale też o własnym bólu, który nadejdzie w chwili, gdy go zabraknie. Strasznie mi to doskwiera... a zarazem każda spędzona z nim chwila jest teraz dla mnie ważna. Wiem, że już nigdy nie będzie czuł się lepiej.

Dagney zamknął oczy.

– Tak, pamiętam to uczucie. Bardzo mi przykro.

– No cóż – powiedziała Sutton, żałując, że aż tak się otworzyła. – Nie chciałam tak przynudzać.

– Mów, ile chcesz. Czasem to jedyny sposób, żeby nie utracić kontaktu

z samym sobą. Osamotnienie po czyimś odejściu to szczególna próba.

Sutton zerknęła w jego stronę.

– Mam tylko jego.

– Nie jesteś przecież sama. A w każdym razie nie musisz być.

– Mniejsza z tym. – Zaśmiała się, przyglądając włosy z nadzieją, że ten śmiech nie zabrzmiał aż tak nerwowo, jak się jej zdawało. – Przy następnej kolacji nie będę już taka hojna.

– A kiedy ta następna? – spytał cicho Dagney. – Będę cierpliwie czekać, ale mam nadzieję, że niedługo.

Sutton uniosła brwi.

– Czy to... zaproszenie?

– Owszem, chyba tak. – Sutton odwróciła wzrok, a Dagney się roześmiał. – Za dużo sobie pozwalam? Bardzo przepraszam.

– Nie, ja tylko...

– Muszę przyznać, że przybywając tutaj, miałem wprawdzie całkiem szlachetne intencje, ale jednak niepozbawione względów osobistych.

A niech cię, Edwardzie! – pomyślała znów Sutton.

A potem nagle zdała sobie sprawę z obecności trzech policjantów stanowych stojących w dyskretnej odległości. Jak również z tego, że się zarumieniła.

– Nie miałem zamiaru komplikować twojej sytuacji – powiedział Dagney, biorąc ją za rękę. – A jeśli to dla ciebie zbyt kłopotliwe, możemy zapomnieć o tym, że przekroczyłem tę cienką granicę.

– Ja...

– Po prostu o tym zapomnijmy, dobrze? – ciągnął spokojnie gubernator. – Wpiszę to sobie na listę życiowych doświadczeń i zajmę się innymi sprawami.

– Życiowych doświadczeń?

Dagney potarł sobie kciukiem szczękę.

– Od czasu gdy zmarła Marilyn, nie miałem wielu okazji umawiać się z kobietami. Pocieszam się więc, że twoja odmowa statystycznie podnosi moje

szanse na pozytywną reakcję za którymś tam razem. Ponieważ zaś jestem optymistą, uznaję, że to właśnie zysk z tego wieczoru. Jeśli nie liczyć tych łańcuchów górskich, oczywiście.

– A więc inne kobiety też ci już odmawiały? Jakoś trudno mi w to uwierzyć – zaśmiała się Sutton.

– No cóż, tak właściwie to... Jesteś pierwszą kobietą, do której wystartowałem. Ale, jak już mówiłem, zaliczyłem odpowiedź odmowną, przeżyłem i mogę próbować dalej. – Uśmiechnął się i wyciągnął rękę ku jej twarzy. – Co to za otwarta buzia?

– Dziwię się tylko – zaśmiała się Sutton – że jestem twoją pierwszą wybranką... To znaczy... O cholera.

Gubernator też się roześmiał, potem jednak spowaźniał.

– Było mi bardzo trudno, gdy straciłem Marilyn, a potem, jeśli mam być szczery, przez długi czas nikt mi jakoś nie wpadał w oko. Choć nie wyjdę tym sposobem na ogiera, muszę przyznać, że przez dwa miesiące zbierałem się na odwagę, żeby cię spytać.

– Dwa miesiące?!

– Pamiętasz nasze marcowe spotkanie w stanowym kapitolu? To właśnie wtedy postanowiłem się z tobą umówić. Potem jednak stchórzyłem. Ale wówczas zaprosiłaś mnie na dzisiejszą kolację, a ja uznałem, że trzeba podjąć wyzwanie. Ale nie martw się. Jestem dorosły, poradzę sobie.

– Kocham kogoś innego – wyparowała nagle Sutton.

Gubernator aż się wzdrygnął, a potem cicho zaklął.

– Och, bardzo przepraszam. Nie wiedziałem, że jesteś w związku. Nigdy nie ośmieliłbym się rozbijać...

– Nie jesteśmy razem – przerwała mu Sutton, machając ręką. – Nie ma żadnego związku. Tak naprawdę to w ogóle nie ma sensu.

– No cóż... – powiedział Dagney, patrząc jej głęboko w oczy. – W takim razie Edward Baldwin jest skończonym osłem.

Sutton otworzyła usta, żeby zaprzeczyć jego podejrzeniom, ale stojący przed nią mężczyzna nie był przecież durniem.

– Między nami nic się nie dzieje, a ja muszę chyba to jeszcze przepracować. Ogólnie przechodzę teraz trudny okres, w związku z tą nową funkcją i tak dalej.

– Może to zbyt śmiało, ale chcę tylko powiedzieć, że jestem gotów zaczekać, aż to przebolejesz – oświadczył Dagney, a potem sam roześmiał się z tych słów. – Tak, wiem, że to brzmi dość rozpaczliwie, ale nie mam w tym wszystkim wprawy, a ty jesteś inteligentną, piękną kobietą, która zasługuje na związek z porządnym mężczyzną.

– Tak mi przykro...

– Mnie też. – Dagney wyciągnął ku niej dłoń. – Na pewno jednak będziemy się często widywać, choćby ze względu na twoją nową funkcję.

– Tak, bez wątpienia. – Zamiast uścisnąć mu dłoń na pożegnanie, podeszła bliżej i go objęła. – Będzie mi bardzo miło.

Lekko ją uścisnął, a potem się odwrócił.

– To co, chłopaki? Jedziemy?

Policjanci stanowi odprowadzili go do jednego z dwóch czarnych SUV-ów. Chwilę później jechali już kawalkadą: dwa samochody i dwa motocykle sunące równo za nimi.

Sutton poczuła na plecach zimny powiew wiatru, niczym falę smutku chłodzącego ciepłe nocne powietrze.

– A niech cię, Edwardzie – szepnęła.

Następnego ranka Lane wyszedł ze swojej sypialni w doskonałym nastroju. Szybko jednak stracił humor, zobaczył bowiem bagaże wystawione przed drzwi pokoju należące dawniej do jego dziadka.

– O, nie! Nie ma mowy! – Szybkim krokiem ruszył w stronę lekko uchylonych drzwi i wparował do środka bez pukania. – Jeff, nigdzie nie jedziesz!

Jego stary kumpel podniósł wzrok znad ogromnej sterty papierów leżących na wiekowym biurku.

– Muszę wracać do Nowego Jorku, stary...

– Jesteś mi potrzebny...

– ...ale dopilnowałem, żeby wszystko było gotowe na wizytę federalnych. – Jeff wskazał liczne wydruki i uniósł trzymany w dłoni pendrive. – Stworzyłem zbiorcze zestawienie...

– Przecież na Wall Street nie jesteś szczęśliwy.

– ...tych wszystkich transferów, które wykryłem. Tu masz wszystko. Daj im tylko ten pendrive, będą wiedzieli, co dalej robić. Mogą do mnie dzwonić, gdyby mieli jakieś pytania. Zostawiam tu wizytówkę i numer komórki.

– Musisz tu zostać.

Jeff zaklął i potarł oczy.

– Lane, nie jestem czarodziejem, za którego przyczyną to wszystko się rozplynie. Ani w ogóle najwłaściwszą osobą do zajmowania się takimi sprawami. Nie pełnię żadnej oficjalnej funkcji w waszej firmie i nie mam uprawnień do jej reprezentowania.

– Ale ja ci ufam.

– Zresztą mam już robotę.

– Której nie cierpisz.

– Nie bierz tego do siebie, ale płacą mi za nią krocie, a moje konto nigdy nie świeci pustkami.

– Masz więcej kasy, niż ci potrzeba. Mieszkasz w skromnym mieszkanku na Manhattanie, ale przecież forsy masz jak lodu.

– Bo nie wykonuję żadnych nieprzemyślanych ruchów. Takich jak rzucanie świetnej pracy...

– Której nie znosisz.

– ...tylko po to, żeby zająć się gaszeniem pożarów.

– Przynajmniej byś nie zmarł. Moglibyśmy też upiec przy tym ogniu parę kiełbasek. O co ci chodzi?

– Lane! – Jeff parsknął śmiechem.

– Jeff...

Jego kumpel założył ramiona na piersi i poprawił na nosie metroseksualne okulary. W białej koszuli i czarnych spodniach wyglądał tak, jakby zaraz po wylądowaniu w New Jersey zamierzał udać się do biura.

– Powiedz mi jedną rzecz – powiedział Jeff, poważniejąc.

– Nie, nie umiem wyciągnąć pierwiastka kwadratowego z żadnej liczby, nie potrafię podnieść liczby π do potęgi n-tej, a jeśli mnie spytasz, dlaczego ptak w klatce śpiewa^[3], to w tej chwili powiem ci tylko tyle, że najprawdopodobniej ktoś mu przystawił lufę do głowy.

– Dlaczego wciąż jeszcze nie zadzwoniłeś do federalnych?

Lane podszedł do rzędu okien wychodzących na boczną część ogrodu oraz płynącą w dole rzekę. W porannym słońcu wyglądała niczym wspaniały, połyskujący szlak prowadzący prosto do dzielnicy biznesowej Charlemont, gdzie biurowce ze szkła i stali zdawały się obiecywać swoistą nirwanę.

– Lane, tu doszło do działań niezgodnych z prawem. Czy ty próbujesz kryć swojego ojca, choć on nie żyje?

– Jeszcze czego!

– To o co ci chodzi?

– Jesteśmy firmą prywatną. Jeśli doszło do sprzeniewierzenia funduszy, traci na tym tylko moja rodzina. To nasze pieniądze przepadły, a nie tysiące akcjonariuszy. To nie powinno nikogo w ogóle obchodzić.

– Żartujesz sobie, prawda? – Jeff wpatrywał się w Lane’a osłupiały, jakby zobaczył jednorożca. – Łamano tu prawo, ponieważ zarówno skarbowka, jak i stanowy prokurator generalny otrzymywali podrasowane raporty finansowe. Znalazłem wiele rozbieżności w waszych obowiązkowych rocznych raportach. Lane, mogą cię postawić przed sądem federalnym za działanie w zмовie. Zresztą mnie też, do licha, skoro już wiem to, co wiem.

Lane zerknął przez ramię.

– I dlatego wyjeżdżasz?

– Może.

– A jeśli powiem, że potrafię cię ochronić?

Jeff przewrócił oczami i podszedł do swojej torby czekającej na łóżku. Zapiął suwak, kręcąc głową.

– Pieprzeni milionerzy! Myślicie, że cały świat kręci się wokół was, że obowiązują was zasady inne niż wszystkich tylko dlatego, że pochodzicie z rodzin, w których nigdy nie brakowało pieniędzy?

– Nie zapominaj, że właśnie ich zabrakło.

– Posłuchaj, albo wzywasz stróżów prawa, albo będę musiał wyjechać. Kocham cię jak brata, ale nie mam ochoty iść za to do pierdła.

– Tu na Południu takie sprawy załatwia się inaczej.

Jeff wyprostował się i spojrzał na Lane’a z otwartymi ustami.

– Mówisz jak jakiś mafioso – wykrztusił.

Lane wzruszył ramionami.

– Jest, jak jest. Kiedy jednak mówię, że potrafię cię ochronić, mam również na myśli ochronę przed władzami.

– Chyba oszalałeś.

Lane milczał, wpatrując się w kumpla. Im dłużej zaś patrzył mu w oczy

przesłonięte szklami okularów, tym bardziej Jeff bladł.

Po chwili usiadł na łóżku i oparł ręce na kolanach.

– Ja pierdolę – powiedział ze wzrokiem utkwionym w przestrzeni eleganckiego apartamentu.

– Nie, wcale nie pierdolisz. Zostaniesz tu, dowiesz się, co dokładnie się tu wydarzyło, a ja sam się tym wszystkim zajmę. Tak właśnie zrobimy.

– A jeśli się nie zgodzę?

– Zostaniesz.

– Czy to ma być groźba?

– Oczywiście, że nie. Jesteś jednym z moich najstarszych kumpli.

Obaj jednak dobrze wiedzieli, że Jeff nigdzie nie wyjedzie.

– Chryste Panie. – Jeff przyłożył dłoń do skroni, jakby miała mu pęknąć głowa.

– Gdybym wiedział, w co się pakuję, nigdy bym tu nie przyjechał.

– Będę cię chronił. Nawet w obliczu braku funduszy wciąż jeszcze wiele osób ma wobec mojej rodziny długi wdzięczności. Mam dokąd się zwrócić o pomoc.

– Ich też zamierzasz w ten sposób przymusić do współpracy?

– Jest, jak jest.

– Pierdol się, Lane...

– Gramy do końca, jasne? Skończysz, co zacząłeś. Pewnie zajmie ci to jeszcze z tydzień, a potem możesz sobie wyjechać jak gdyby nigdy nic. Nikomu nie stanie się krzywda. Dalej już sam sobie będę radzić.

– A jeśli teraz wyjadę?

– Naprawdę nie mogę ci na to pozwolić. Przykro mi.

Jeff potrząsnął głową, jakby chciał się obudzić z nocnego koszmaru.

– Lane, prawdziwy świat już tak nie funkcjonuje. To nie lata pięćdziesiąte. Ludzie tacy jak wy, Bradfordowie, nie mają już takiej władzy jak dawniej. Nie możecie zakopywać swoich brudów w ogrodzie tylko dlatego, że tak wam jest wygodniej, albo dlatego, że waszym zdaniem prawo do prywatności jest

ważniejsze od praw powszechnych. Jeśli zaś o mnie chodzi, bardzo nie lubię działać pod presją. Nie stawiaj mnie w takiej sytuacji!

– Ale nie jesteś jedyną tutaj osobą, która wie więcej, niż powinna – rzucił Lane, podchodząc do biurka i biorąc do ręki pendrive. – Nie sądzę, żeby twoja manhattańska reputacja zdołała cię ochronić przed zarzutem przewodzenia na studiach gangowi hazardzistów z pięciu różnych uniwersytetów. Przez ręce twoje i twoich bukmacherów przechodziły przecież setki tysięcy dolarów! A jeśli chcesz mi powiedzieć, że to stare dzieje, przypomnę ci tylko, że były to działania niezgodne z prawem, dokonywane na taką skalę, że sam możesz mieć zarzuty o przewodzenie zorganizowanej grupie przestępczej.

– Pierdol się!

– Jest, jak jest.

Jeff patrzył przez chwilę na mankiety swojej eleganckiej koszuli, a potem pokręcił głową.

– Stary, jesteś taki sam jak twój ojciec.

– Gówno prawda.

– Przecież mnie szantażujesz! Co to, kurwa, jest?

– Tu chodzi o przetrwanie! Myślisz, że to jakaś moja fanaberia? Że kręci mnie zmuszanie najlepszego kumpla do tego, żeby razem ze mną tkwił w tym cholernym bagnie? Ojciec miałby z tego frajdę, ale ja wcale! Ale co mam niby zrobić?

Jeff wstał i ryknął, ile sił w płucach:

– Zadzwoń, kurwa, po federalnych! Zachować się jak normalny człowiek, a nie jakiś mafioso rodem z Kentucky!

– Nie mogę tego zrobić – mruknął ponuro Lane. – Niestety nie mogę. I niestety jesteś mi potrzebny, a moje tragiczne położenie każe mi wykorzystać każdy sposób, żeby cię zatrzymać.

Jeff przeciął gęste od emocji powietrze oskarżycielskim palcem.

– Jeśli pójdziesz tą drogą, okażesz się skończonym chujem. I nic tego nie zmieni, choćbyś nie wiem jak użalał się nad sobą.

– Na moim miejscu zrobiłbyś to samo.

– Wcale nie.

– Nie możesz tego wiedzieć. Uwierz mi, tak popieprzona sytuacja wszystko zmienia.

– A tu masz akurat rację – odgryzł się Jeff.

Przez głowę przelatywały mu ciągi obrazów z ich lat studenckich: akademik, wykłady, wakacje opłacane przez Lane'a, sesje pokera, wspólne wygłupy, dziewczyny – których najwięcej zawsze wrywał Lane.

Jeffowi nigdy nawet przez myśl nie przeszło, że Lane mógłby zniknąć z jego życia. Teraz jednak nie miał już czasu, nie miał pomysłu i był u kresu sił.

– Nie jestem taki jak mój ojciec – powiedział Lane.

– Cała wasza rodzina karmi się złudzeniami. Macie to chyba, kurwa, w DNA.

– Tu masz listę kontaktów do wszystkich w firmie, tu telefon, tu... komputer, biurko, no i krzesło.

Mackowi brakowało tchu. Rozejrzał się po recepcji przed swoim gabinetem w Starej Destylarni, jakby miał nadzieję, że może nagle zza rustykalnych mebli wyskoczy ktoś z ofertą pomocy.

Doskonała Beth (jak ją coraz częściej w myślach nazywał) tylko się roześmiała.

– Nic się nie martw, poradzę sobie. Mam jakieś dane do logowania i hasło?

– Ponieważ Mack patrzył na nią tępym wzrokiem, postukała palcem w listę kontaktów. – No dobrze, to zadzwonię do działu IT i wszystkiego się dowiem. Chyba że kadry już się tym zajmują?

– Eee...

Zdjęła z ramienia torebkę i położyła ją pod biurkiem.

– Nic się nie martw, wszystkim się zajmę. Dałeś im w ogóle znać, że mnie zatrudniłeś?

– Ja...

– No dobrze, to może wyślij im mejla? I uprzedź ich, że będę dzwonić do różnych działów, żeby wszystko tu sobie poukładać.

– Chcę tylko powiedzieć, że pomimo całkowitej dezorientacji, jaką teraz wykazuję w kwestiach organizacyjnych, tak naprawdę w wielu innych sprawach doskonale sobie radzę. Należy do nich między innymi produkcja bourbona.

Beth uśmiechnęła się do niego, a Mack dopiero po chwili się zorientował, że nieco zbyt długo wpatruje się w jej oczy. Ubrana w czerwoną bluzkę, czarną spódnicę i pantofle na płaskim obcasie wyglądała jak uosobienie profesjonalizmu, elegancji i kompetencji.

– No cóż, ja też znam się na swojej robocie – powiedziała. – Dlatego właśnie mnie zatrudniłeś. Ty więc zajmiesz się swoimi sprawami, a ja swoimi i doskonale będziemy sobie radzić.

Otworzyły się drzwi wejściowe i do środka wkroczył Lane Baldwine. Wyglądał jak ofiara wypadku drogowego, która zamiast trafić na ostry dyżur, szwenda się po świecie: blada twarz, rozczochrane włosy, ruchy kanciaste, jakby miał lada chwila bezwładnie runąć na ziemię.

– Zapraszam cię na przejażdżkę – mruknął ponuro. – Zbieraj się.

– Przedstawiam ci Beth Lewis, moją nową asystentkę. Beth, to Lane Baldwine. Tak, właśnie ten.

Beth uniosła dłoń w geście powitania. Mack usilnie starał się nie zwracać uwagi na jej osłupiały wyraz twarzy. No ale w końcu Lane już parę razy figurował na liście najatrakcyjniejszych facetów tygodnika „People”, pojawiał się też w innych pismach, w telewizji i na portalach plotkarskich, chętnie donoszących o jego romansach z aktorkami. Poświęcono mu też sporo uwagi w sławnym artykule o Bradfordach w miesięczniku „Vanity Fair”, który przedstawił go jako atrakcyjnego playboya stroniącego od trwałych związków.

Doskonale odegrana rola.

Całe szczęście, że Lane się ustatkował i uczuciowo zaangażował. W przeciwnym razie Mack odczuwałby nieodpartą potrzebę, żeby teraz się na niego rzucić z pięściami.

– Dzień dobry – powiedziała Beth. – Moje kondolencje z powodu śmierci pańskiego ojca.

Lane pokiwał głową, nie zdawał się jednak zwracać na dziewczynę specjalnej uwagi.

– Witamy na pokładzie. Mack, jesteśmy już spóźnieni!

– Nie wiedziałem, że mamy jakieś spotkanie – bąknął Mack, widział jednak, że musi ruszać w drogę. – O cholera. Beth, możesz wysłać za mnie tego mejla?

Podczas gdy Mack podawał jej swoje dane do logowania, Lane wychodził już z budynku, kierując się w stronę swojego porsche.

– Musisz mu wybaczyć. Ma teraz sporo na głowie.

– Doskonale to rozumiem – powiedziała Beth, kiwając głową. – Wszystkim się zajmę. Nic się nie martw. Aha, jeszcze może podaj mi swój numer komórki, w razie gdyby zdarzyło się coś, z czym nie będę umiała sobie poradzić.

Mack złapał firmowy notes i długopis, po czym zapisał swój numer telefonu.

– Nie miałem dziś w planie żadnych spotkań, no ale skoro nagle się okazuje, że jakieś mam, to czort jeden wie, co jeszcze zaraz wyskoczy.

– Zadzwoń, jeśli będę czegoś potrzebować.

– Nie wiem, ile mi z tym zejdzie. Nie wiem też zresztą, dokąd w ogóle jadę.

– Bądź dobrej myśli. Może do Disneylandu?

Roześmiał się i odwrócił w stronę wyjścia, starając się ze wszystkich sił nie patrzeć za siebie. Dotarł już prawie za drzwi bez oglądania się przez ramię.

Prawie.

Beth zdążyła już obejść biurko i przy nim usiąść. Jej palce śmigały po klawiaturze. Włosy miała ściągnięte do tyłu w kucyk, a na jej twarzy malował się wyraz bardzo profesjonalnej koncentracji – który wcale nie odejmował jej urody.

– Kibicujesz może drużynie Uniwersytetu Charlemont?

Oderwała niebieskie oczy od ekranu i się uśmiechnęła.

– A jest w naszym stanie jakaś inna? Jakoś sobie nie przypominam.

Mack uśmiechnął się i pomachał jej na pożegnanie.

Kiedy jednak podszedł do samochodu Lane'a i wszedł do środka, wcale nie było mu do śmiechu.

– Lane, co jest, do diabła? Najpierw nie odbierasz telefonu, a potem zjawiasz się tu ni stąd, ni zowąd, wkurzony, że spóźniam się na spotkanie, o którym nic nie wiedziałem?

– Próbuję rozwiązać twój problem z dostawami kukurydzy – rzucił Lane, wkładając ciemne okulary. – A ty jedziesz ze mną, ponieważ ktoś musi powiedzieć naszemu wybawcy, ile dokładnie ci potrzeba. Wciąż jesteś na mnie zły?

Wcisnął gaz i ostro ruszył ze zwirowego parkingu.

– Jak mi załatwisz te dostawy, to możesz mi strzelić w ryj zdechłym śledziem, a ja nawet nie mrugnę – rzucił Mack, zapinając pas.

– Lubię facetów, którzy przełamują schematy. A jestem teraz w tak podłym nastroju, że mógłbym dokonać takiego ataku ot tak, dla zasady.

Międzynarodowy Port Lotniczy w Charlemont znajdował się na południowy wschód od centrum, Lane pojechał jednak drogą ekspresową prowadzącą przez przedmieścia, żeby nie pchać się w korki na rozjazdach. W górze rozpościerało się niebo błękitne jak jajeczka drozda, słońce świeciło z mocą jupiterów – trudno było uwierzyć, że w tak cudowny dzień mogłoby się zdarzyć cokolwiek złego.

Wiadomo jednak, że pozory mylą.

– Kojarzysz Johna Lenghego? – spytał Lane, przekrzykując wiatr. Zjeżdżał właśnie na pierwszą z dróg prowadzących na szosę okrążającą lotnisko.

– Wiem, oczywiście, kto to jest – wrzasnął Mack. – Nigdy go jednak nie spotkałem.

– No to odśwież sobie usta i wydobądź z siebie cały swój urok osobisty – rzucił Lane, zwalniając. Silnik ucichł i już tak nie wiało. – Mamy góra dwadzieścia minut, żeby go przekonać do zafundowania nam tej kukurydzy.

– Zaraz, zaraz. Myślałem, że... Chcesz powiedzieć, że nie będziemy jej od niego kupować?

– Nie stać nas na to. Próbuję więc załatwić pakiet „dostawa bez zapłaty”.

Lane zjechał na drogę oznaczoną tabliczką „Wstęp tylko dla osób upoważnionych” i ruszył znów pełnym gazem w stronę lądowiska dla prywatnych odrzutowców.

– Rozumiem, że nie stoimy wcale pod ścianą? – mruknął Mack, gdy zwalniali przy szlabanie.

– Ależ skąd!

Strażnik w mundurze machnął Lane’owi ręką na znak, że może jechać.

- Dzień dobry!
- Cześć, Billy. Jak tam Nell?
- W porządku, dziękuję.
- Pozdrów ją ode mnie.
- No pewnie!

Lane ruszył dalej. Miął modernistyczny budynek konsjerżów, a potem kolejne kapsuły hangarów, gdzie stacjonowały samoloty warte miliony dolarów. Wjazd na prywatne lądowisko prowadził przez bramkę w wysokim ogrodzeniu z siatki otwieraną na czujnik ruchu. Porsche Lane'a przemknęło po asfalcie niczym auto z reklamy.

Embraer Johna Lenghego właśnie się zbliżał. Lane zahamował i zgasił silnik. Oczekując na spotkanie, myślał o swojej porannej kłótni z Jeffem.

„Stary, jesteś taki sam jak twój ojciec”.

Lane zerknął na Macka.

– Powinienem był najpierw do ciebie zadzwonić i dać ci znać, co jest grane – powiedział. – Tyle się jednak dzieje, że nie wiem, gdzie mam przód, a gdzie tył.

Mack wzruszył ramionami.

– Tak jak mówiłem: jeśli tylko będę miał pełne silosy, nie ma żadnego problemu. Ale chciałbym, żebyś mi coś wyjaśnił.

– Co takiego?

– Gdzie się, do diabła, podziała cała kadra zarządzająca? Nie żebym za tymi kutasami jakoś specjalnie tęsknił, ale wczoraj obdzwaniałem ich po kolei i wszędzie włączała się poczta głosowa. Wszystkich pozwalniałeś? Mam nadzieję, że płakali jak dzieci, bardzo by mnie to ucieszyło.

– No, tak to mniej więcej było. Zgadza się.

– Zaraz... Jak to? Lane, ja tylko żartowałem..

– Nie wrócą tu zbyt prędko. W każdym razie nie do centrum biznesowego w Easterly. A co porabiają w siedzibie głównej korporacji? Nie mam pojęcia, pewnie kombinują, jak mnie zrzucić z mostu. Ale oni też są na mojej liście

miłych zadań na dziś.

Naczelnego gorzelnika Easterly zupełnie zatkało. Lane tymczasem wysiadł z kabrioletu i podciągnął spodnie. Odrzutowiec Lenghego niewiele różnił się od floty sześciu statków powietrznych należących do Bradford Bourbon Company. Lane całkiem bezwiednie zaczął od razu przeliczać, ile by zyskał, sprzedając tę kupę szkła i stali.

Wyszłoby tego pewnie z sześćdziesiąt milionów.

Musiałby jednak zatrudnić pośredników, którzy zajęliby się tymi transakcjami. Embraerów raczej nie sprzedaje się na eBayu.

Mack zaszedł mu drogę, a nie był to chuderlaczek, którego obecność można zignorować.

– To kto właściwie zarządza teraz korporacją?

– Teraz? W tej chwili? – Lane przyłożył palec do ust i przechylił głowę, jakby się namyślał. – Tak właściwie to... nikt. No tak, jeśli mnie pamięć nie myli, to nie ma nikogo takiego.

– Lane... kurwa mać.

– Szukasz może roboty? Bo potrzeba mi ludzi o odpowiednich kwalifikacjach. Muszą mieć dużą tolerancję dla brutalnych rozgrywek, garderobę pełną garniturów szytych na miarę oraz brak jakichkolwiek względów dla członków własnej rodziny. Nie, wróc. Taki był mój ojciec i właśnie próbujemy od tego modelu odejść. No to wystarczą dzinsy i umiejętność trafienia do kosza ze środka boiska. Nadal grasz tak świetnie jak dawniej?

Drzwi odrzutowca się otworzyły, a ku asfaltowi zaczęły opuszczać się schody. Z maszyny wyłonił się mężczyzna około sześćdziesiątki, o mocnej budowie ciała godnej byłego piłkarza i z kanciastą szczęką jak u bohaterów dawnych komiksów. Miał na sobie komplet garderoby (szorty oraz koszulkę polo) z wzorem, na który należałoby chyba patrzeć przez okulary ochronne: neonowe fajerwerki na czarnym tle. O dziwo jednak wcale nie wyglądało to na nim najgorzej.

Najwyraźniej jeśli ma się na koncie prawie trzy miliardy dolarów, można

już naprawdę nosić, co się chce.

Schodząc po schodkach, John Lenghe rozmawiał przez telefon.

– ...wylądowałem. Tak. Okej, w porządku...

Mówił z akcentem równie monotonnym jak bezkresne równiny Środkowego Zachodu, z których pochodził. Niespiesznie stawiał kroki i niespiesznie wymawiał słowa, należało jednak mieć się na baczności – w rękach tego człowieka znajdowało się sześćdziesiąt procent amerykańskich farm produkujących pszenicę i kukurydzę, jak również połowa wszystkich krów mlecznych. Był, całkiem dosłownie, królem zbóż, nie należało się więc dziwić, że nawet wysiadając z samolotu, miał coś do załatwienia.

– ...wracam wieczorem. Powiedz Rogerowi, żeby nie kosił trawnika. To moja robota, do cholery! Co? Tak, wiem, że mu płacę, i właśnie dlatego mogę mu mówić, czego ma nie robić. Kocham cię. Co? No pewnie, że zrobię ci kotlety, skarbie. Wystarczy poprosić. No to pa!

Aha, czyli rozmawiał z żoną.

– Cześć, chłopaki! – zawołał do Lane'a i Macka. – Co za niespodzianka!

Lane podszedł do niego i wyciągnął rękę.

– Dziękujemy, że znalazłeś dla nas czas.

– Przykro mi z powodu twojego ojca. – Lenghe pokręcił głową. – Mój odszedł dwa lata temu i wciąż nie mogę się z tym pogodzić.

– Znasz Macka, naszego naczelnego gorzelnika?

– Ze słyszenia, ale nie mieliśmy dotąd okazji się spotkać. – Lenghe uśmiechnął się i poklepał Macka po ramieniu. – Od zawsze uwielbiam bourbona firmowanego przez ciebie i twojego ojca.

Mack wypowiedział kilka kurtuazyjnych formułek, a potem nastąpiła chwila ciszy.

– No dobra – powiedział Lenghe, podciągając swoje żarówiaste spodni – jakieś pół godziny temu odebrałem telefon od przewodniczącego waszej rady nadzorczej, synku. Chcesz o tym porozmawiać na osobności?

– Owszem, chciałbym. To sprawy raczej poufne.

– Przyjąłem. Zachowam to wszystko dla siebie. Nie mam jednak dużo czasu. Muszę wrócić do Kansas na kolację, a po drodze mam jeszcze dwa przystanki. Może wykorzystamy ten mój samolocik jako salę obrad?

– Jak dla mnie bomba.

Wnętrze odrzutowca niczym nie przypominało wystroju samolotów Bradford Bourbon Company. Zamiast jesionowego drewna i obić z kremowej skóry królowały tu ręcznie robione pledy i poduchy w barwach Uniwersytetu Kansas, dzięki którym kabina wyglądała swojsko i przytulnie. Na stolikach zamiast kawioru stały kubelki z prażoną kukurydzą, a zamiast alkoholu w barku mieniły się napoje gazowane. Ani śladu stewardes, ale gdyby nawet jakaś się tu znalazła, z pewnością byłaby to po prostu żona króla zbóż, a nie żadna seksowna lalunia.

Lenghe spytał, czy napiją się coli, najwyraźniej zamierzając samodzielnie im jej nalać.

– Dziękujemy, nie trzeba – powiedział Lane, zajmując miejsce przy niewielkim stoliku.

Mack usiadł obok niego, Lenghe zaś usadowił się naprzeciwko nich, po drugiej stronie stolika. Splótł masywne dłonie i pochylił się, patrząc na nich przenikliwie bladoniebieskimi oczami kontrastującymi z mocno opaloną skórą.

– Słyszałem, że kadra zarządzająca nie jest zachwycona twoimi ruchami – zaczął.

– No, raczej nie.

– Przewodniczący waszej rady nadzorczej mówił, że powyrzucałeś ludzi z gabinetów i wyłączyłeś zasilanie w budynku.

– Zgadza się.

– Możesz wyjaśnić dlaczego?

– Niespecjalnie jest się czym chwalić. Dopiero próbuję to wszystko rozgryźć, mam jednak powody sądzić, że ktoś wyprowadza z firmy pieniądze. Obawiam się, że jest w to zamieszana część kadry zarządzającej, a może nawet oni wszyscy. Nie mam jednak na razie wystarczająco dużo informacji, żeby powiedzieć cokolwiek więcej.

Grunt to zgrabne kłamstewko.

– Nie gadałeś więc jeszcze z przewodniczącym rady nadzorczej?

– Nie, i nie zamierzam, dopóki nie będę miał pełnego obrazu sytuacji. Nie jestem mu zresztą winien żadnych wyjaśnień.

– No cóż, synku, mam wrażenie, że on ma na ten temat inne zdanie.

– Spotkam się z nim, jak tylko będę gotów. Jeśli ma się dowody kradzieży na taką skalę, o jakiej tu mówimy, nikomu nie można ufać.

Lenghe przyciągnął sobie kubek z popcornem.

– Jestem od tego uzależniony. No ale lepsze to niż fajki.

– Oraz wiele innych rzeczy.

– Słuchaj, synku, widzę, że starasz się nie mówić zbyt wiele, więc przejdę od razu do konkretów. Wiesz już o tych kopalniach swojego ojca?

Lane pochylił się w stronę swojego rozmówcy.

– Przepraszam... O czym?

– Mówiłem mu, żeby dał sobie spokój z kopalniami diamentów w Afryce, bo to najgłupszy pomysł pod słońcem. Wiesz, że w zeszłym roku nawet przeleciałem się tam z szanowną małżonką, żeby je zobaczyć? Tego ci pewnie tatuś nie opowiadał, co? Bo nazwać je dziurami w ziemi to za dużo powiedziane. Albo go ktoś oszukał, albo... No nie, ten drugi scenariusz jest nie do pomyślenia.

– Kopalnie diamentów...?

– I na tym wcale nie koniec! WWB Holdings obejmowało wiele różnych rodzajów działalności. William twierdził, że ma jakieś szyby naftowe w Teksasie, no a ceny ropy, jak wiadomo, poleciały. Parę linii kolejowych, restauracje na Florydzie i w Kalifornii, jakieś start-upy, z których, o ile wiem, nic nie wyszło. Coś z jakąś nową aplikacją. Nie mam pojęcia, po co ludzie tracą czas na takie pierdoły, wybaczcie. Hotele w Singapurze i Hongkongu, nowojorski dom mody... Sfinansował też chyba ze dwa filmy fabularne.

Lane miał świadomość, że musi się postarać panować nad swoim głosem.

– Skąd o tym wszystkim wiesz?

– Jak się ma na polu golfowym osiemnaście dołków do zaliczenia, to wypływają przy okazji różne sprawy. Zawsze mu powtarzałem, żeby się trzymał swojej podstawowej działalności. Wszystkie te nowe pomysły mogą brzmieć bardzo kusząco, ale przeważnie to po prostu wielkie czarne dziury, zwłaszcza jeśli się nie zna dobrze danej branży. Ja tam jestem rolnikiem i sprawa prosta. Wiem wszystko na temat pór roku, rodzajów gleby, zbiorów i ras bydła. Twój ojciec zaś, moim zdaniem... no cóż, o zmarłych nie powinno się mówić źle...

– Szargaj jego pamięć, ile chcesz. Nic mnie to nie obchodzi. Muszę się dowiedzieć prawdy, a twoja wiedza jest dla mnie nieoceniona.

Lenghe przez chwilę milczał.

– Zawsze mnie zabierał na to sławne pole golfowe Augusta National. Chcecie wiedzieć dlaczego? – Lane skinął głową. – Bo te chłopaki w życiu by nie przyjęły w poczet swoich członków takiego utytłanego w ziemi gościa jak ja. Kiedy więc tam sobie wędrowaliśmy, opowiadał mi o różnych swoich inwestycjach. Był bardzo ambitny. Wcale nie twierdzę, że to coś złego. Ja też lubię wygrywać. Różnica między nami była jednak taka, że ja wiem dokładnie, skąd pochodzę, i wcale się tego nie wstydzę. A twój ojciec miał świadomość, że wszystko, co ma, komuś zawdzięcza. Bo prawda jest taka, że gdyby nie ożenił się z twoją matką, to chłopcy z Augusta National jego też by raczej nie przyjęli.

– Też tak sędzę.

– Wiesz, zawsze się zastanawiałem, skąd on bierze pieniądze na te wszystkie inwestycje. Pewnie dopiero teraz, po jego śmierci, zaczynasz się tego dowiadywać.

Lane bezmyślnie sięgnął do kubelka i wpakował sobie do ust garść prażonej kukurydzy, ale w ogóle nie czuł jej smaku.

– Zawsze mi się zdawało, że on ma coś do matki – mruknął.

– Pewnie to dlatego tak mu zależało na znalezieniu nowego źródła przychodów. Sam ciągle dostaję różne propozycje, od przyjaciół, współpracowników, doradców finansowych. Od razu je wszystkie kasuję. Twój ojciec szukał czegoś, co należałoby wyłącznie do niego, jakiegoś punktu

zaczepienia. A ja? Dla mnie Augusta National to po prostu fajne pole golfowe, a grę w golfa uwielbiam. – Lenghe wzruszył ramionami. – Życie jest o wiele przyjemniejsze, jeśli człowiek sam sobie kosi trawnik. Tak tylko mówię.

Lane przez chwilę się nie odzywał. Patrzył przez owalne okienko na białobrazowo-złote samoloty firmy UPS, które kolejno wzbijały się w niebo w dalszej części lotniska. Charlemont leżało w samym środku kraju, co czyniło z niego znakomity punkt logistyczny. Obok Bradford Bourbon Company i Sutton Distillery Corporation UPS było jednym z największych pracodawców w mieście i całym stanie.

Nie mógł sobie nawet wyobrazić, że przedsiębiorstwo jego rodziny mogłoby upaść. Boże drogi, przecież dla tak wielu osób stanowiło one podstawowe źródło utrzymania!

Nigdy dotąd tego rodzaju myśli nawet nie przechodziły mu przez głowę.

– Masz jakąś wiedzę na temat tych interesów? – spytał. – Znasz jakieś nazwy? Lokalizacje? Mój kumpel sprawdza teraz księgowość firmową i dokopał się do tych przelewów, ale kiedy próbował dotrzeć do jakichkolwiek informacji na temat spółki WWB Holdings, zupełnie nic nie znalazł.

– Twój ojciec nie podawał mi wielu konkretów, ale coś tam czasem mówił. Pomyślę jeszcze i wyślę ci w mejlu to, co mi się przypomni.

– Będę ogromnie wdzięczny.

– No to... co mogę dla was zrobić, chłopcy? Podejrzewam, że nie przyjechaliście tu po to, żebym wam to wszystko opowiadał, skoro nawet nie wiedzieliście, że taką wiedzę posiadam.

Lane odchrząknął.

– No tak, jak pewnie się domyślasz.... skoro pozbyłem się kadry zarządzającej oraz prowadzę to swoje dochodzenie, firma wchodzi teraz w etap sporej transformacji, w związku z czym...

– Ile wam tego zboża potrzeba?

– Idealnie by było zrobić zapas na sześć miesięcy – odezwał się Mack.

Lenghe zagwizdał przeciągle.

– To sporo – powiedział.

– Damy ci doskonałe warunki – zadeklarował Lane. – Wysoki procent i zabezpieczenie w postaci całego magazynu beczek z bourbonem. Pamiętaj też, że niezależnie od naszych problemów wewnętrznych nasz produkt cały czas świetnie się sprzedaje i jest na niego wielki popyt. W dalszej perspektywie z pewnością odzyskamy płynność finansową.

Lenghe mruczał coś pod nosem i aż czuło się w powietrzu swąd przepalanych zwojów, tak intensywnie sobie to wszystko kalkulował.

– Mamy wspólnego znajomego – odezwał się w końcu. – Kojarzysz Boba Greenblatta?

– Tego bankiera inwestycyjnego? – Lane pokiwał głową. – Tak, znam go.

– Mówi, że całkiem nieźle grasz w pokera.

– Trochę z nim grałem.

– Chcesz powiedzieć, że nieźle go oskubałeś? – Lenghe oparł się wygodnie i szeroko uśmiechnął, wycierając przy tym palce w papierową serwetkę. – Nie wiem, czy wiesz, ale ja też mam żyłkę hazardzisty. Żona, jako pobożna chrześcijanka, tego nie pochwała, ale przymyka oko. Wiesz, jak jest.

– Do czego zmierzasz? – spytał Lane, bacznie mu się przyglądając.

– No cóż, dostałem zaproszenie na przyjęcie pożegnalne na cześć twojego ojca. Od waszego kamerdynera. Nieco się zdziwiłem, że przyszło mejlem, ale bez wątplenia oszczędza się w ten sposób na znaczkach, więc nawet mi się to spodobało. Tak czy siak będzie to dla mnie okazja, żeby znów tu przylecieć. Co byś powiedział, gdybyśmy wówczas urządzili sobie przyjacielską partyjkę? Moglibyśmy zagrać o to zboże. Sprawa wygląda tak, że właśnie od waszej rodziny dostałem pierwsze duże zamówienie. – Lenghe spojrzał na Macka. – A to dzięki twojemu tacie. Przejechałem autobusem trzy stany, bo nie stać mnie było na samochód, a Wielki Mack, bo tak go wtedy nazywaliśmy, spotkał się ze mną i dobiliśmy targu. Najpierw zamawiał u mnie jedną czwartą, potem połowę. Po trzech latach miałem już wyłączność na dostawy kukurydzy, a potem jeszcze doszedł do tego jęczmień.

– Ojciec zawsze cię bardzo szanował – powiedział Mack.

– Ja jego też. Tak czy siak – Lenghe znów skierował wzrok na Lane’a – uważam, że powinniśmy o to zagrać.

– Wciąż nie bardzo rozumiem...

Nie do końca było to prawdą. Lane wprawdzie nie orientował się aż tak dobrze w produkcji bourbona, ale nie był aż tak nieobyty, żeby nie wiedzieć, że zapas zboża na sześć miesięcy to naprawdę spora stawka. Zważywszy zaś, że jego portfel akcji składał się w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach z udziałów w Bradford Bourbon Company, której kondycja finansowa przypominała stan przedzawałowy... nie miał pojęcia, jak ma zebrać wystarczające fundusze, żeby odzyskać pozycję solidnego gracza na rynku.

Lenghe znów wzruszył ramionami.

– Jeśli wygrasz, zapewnię ci dostawy kukurydzy, żyta i jęczmienia na sześć miesięcy, za darmo.

– A jeśli przegram?

– Wówczas będziesz musiał mi to z czasem spłacić.

Lane zmarszczył brwi.

– Posłuchaj, nie chcę cię zniechęcać do układu, który byłby dla mnie bardzo korzystny, ale to chyba nie bardzo uczciwe? W ten sposób nawet jeśli wygrasz, i tak dostaniesz tylko tyle, ile sam ci na początku oferowałem.

– Po pierwsze lubię wyzwania. A po drugie coś czuję, że tkwisz w naprawdę głębokiej finansowej dziurze i musisz się z niej jakoś wydostać. Nie musisz potwierdzać ani zaprzeczać, ale nie sądzę, żebyś w najbliższej przyszłości mógł mi zapłacić. A zabezpieczenie w postaci tysiąca beczek z bourbonem? Cóż, obawiam się, że jednak będziesz musiał je sprzedać, żeby Bradford Bourbon Company w ogóle zdołała przetrwać, bo bez dochodu ze sprzedaży nie będziesz miał z czego płacić pracownikom i dostawcom. Dlatego proponuję taki układ. Chociaż jest jeszcze jeden powód.

– Jaki?

Lenghe znów wzruszył ramionami.

– Muszę przyznać, że wasza rodzina naprawdę produkuje najlepszego bourbona pod słońcem. A ja dysponuję majątkiem netto o wartości znacznie

powyżej miliarda dolarów, mogę więc sobie pozwolić na wsparcie finansowe dla firmy, która dostarcza mi mój ulubiony napój. – Pochylił się raz jeszcze i znów się uśmiechnął. – A posiadanie takich możliwości warte jest znacznie więcej niż członkostwo w jakimś tam klubie golfowym, możesz mi wierzyć.

Gin weszła do eleganckiej oranżerii w Easterly. W gęstym, wilgotnym powietrzu od razu wyczuła słodką woń hiacyntów i przepięknych lilii. W odległym kącie ogromnego przeszklonego pomieszczenia, pośród najpiękniejszych okazów orchidei i innych delikatnych kwiatów, jej przyszła bratowa grzebała w kupce ziemi, ubrana w wybrudzone ziemią szorty w kolorze khaki. Na twarzy nie miała ani śladu makijażu, a włosy zebrała w kucyk i przewiązała czymś, co wyglądało jak gumka. Recepturka.

Gumka recepturka! Po prostu ze zwykłej gumy!

Ta ogrodniczka miała wkrótce wejść do ich rodziny, Lane bowiem zamierzał ją poślubić. Zważywszy jednak na to, jak paskudną obłudnicą była jego pierwsza żona Chantal, Gin musiała przyznać, że zmiana na gorsze byłaby możliwa tylko w wypadku, gdyby jej brat zdecydował się na reprezentantkę bydła rogatego.

– Aleś ty pracowita!

Lizzie obejrzała się przez ramię, wciąż grzebiąc rękami w ziemi.

– A, dzień dobry!

– No tak. – Gin odchrząknęła. – To znaczy dzień dobry.

– Czy czegoś potrzeba?

– W sumie to tak. Chciałabym, abyś przygotowała kwiaty na mój ślub i przyjęcie weselne. Wstrzymujemy się aż do przyjęcia pożegnalnego, zapraszamy więc gości na sobotę, po naszym piątkowym ślubie cywilnym. Zdaję sobie sprawę, że to niewiele czasu, ale na pewno zdążysz jeszcze złożyć zamówienie z ekspresową dostawą.

Lizzie otrzepała ręce, z których posypało się trochę ziemi, po czym odwróciła się twarzą do Gin.

– Lane już o tym wie?

– A po co? Przecież to mój dom i moje przyjęcie. Lane nie jest moim ojcem.

– Wydaje mi się jednak, że w obliczu obecnych trudności finansowych...

– Wszystko w kolorystyce kości słoniowej i brzoskwini. A zanim zaczniesz mnie pouczać w kwestii koniecznych oszczędności, od razu mówię, że planuję kameralne przyjęcie, ledwie czterystu gości. W ogrodzie więc trzeba będzie ustawić nie więcej niż czterdzieści stołów. Aha, przy okazji: czy możesz zamówić też stoły i krzesła? Jak również namiot, kieliszki i sztucce? Jakoś nie bardzo ufam temu Harrisowi. Poproszę Aurorę, żeby zajęła się zamawianiem artykułów spożywczych.

– Kto za to wszystko płaci?

– Słucham?

– Mówimy w tej chwili o kosztach rzędu siedemdziesięciu pięciu tysięcy dolarów. Bo trzeba też będzie zatrudnić kelnerów i parkingowych oraz wynająć busy. Pani Aurora będzie zaś potrzebowała pomocy w kuchni. Kto za to wszystko zapłaci?

Gin otworzyła usta, zanim jednak wymówiła imię rodzinnej księgowej, przypomniała sobie, że pani Rosalinda nie żyje, nie ma więc co jej tu przywoływać.

– My, oczywiście – oświadczyła, dumnie unosząc podbródek. – My to pokryjemy.

– Należałoby chyba najpierw porozmawiać z Lane'em – odparła Lizzie, rozkładając brudne dłonie. – Tylko tyle mogę teraz powiedzieć. Jeśli on uzna, że w obecnej sytuacji może ponieść tego rodzaju koszty, z przyjemnością się wszystkim zajmę.

Gin rozpostarła przed sobą palce dłoni i przyglądała się swoim paznokciom. Doskonały manicure, żadnych rysek i odprysków. Lakier w kolorze świeżej krwi, błyszczący jak monety prosto z mennicy.

– Możesz sobie sypiać z moim braciszkiem, skarbie, ale niech ci się od tego nie przewraca w głowie, dobrze? Wciąż należysz do personelu, w związku z czym takie sprawy nie powinny cię chyba w ogóle interesować.

Owszem, wiedziała, że są jakieś... problemy... ale przecież jedna niewielka

impieza nie doprowadzi ich chyba do bankructwa? W każdym razie jest to wydatek niezbędny. Gin reprezentuje przecież ród Bradfordów, na litość boską!

Lizzie odwróciła wzrok, marszcząc przy tym brwi. Po chwili zaś spojrzała ponownie na Gin i odezwała się cichym głosem:

– Chciałabym tylko, abyśmy miały jasność w jednej kwestii. Owszem, należę do personelu, ale za to mam świadomość powagi sytuacji, której tobie wciąż chyba brakuje. Jeśli odgrywanie roli brytyjskiej arystokratki sprawia ci przyjemność, nie ma sprawy. Nie zmienia to jednak faktu, że na tego rodzaju „skromne przyjęcie” w obecnej sytuacji po prostu was nie stać. A ja nie zamówię nawet złamanego dmuchawca, dopóki nie dostanę na to pozwolenia od twojego brata.

Gin wyprostowała się sztywno, czując w kręgosłupie całe drzewo genealogiczne swojej rodziny.

– W życiu bym się nie spodziewała...

– Cześć, mammo!

Choć to powitanie brzmiało lekko i niefrasobliwie, Gin aż poczuła na karku jego uderzenie. Nie odwracała się, tylko patrzyła wprost przed siebie na okna oranżerii – odbijała się w nich twarz osoby, której nadejście tak ją zaskoczyło. Twarz ta dość mocno zmieniła się od września, gdy Gin ostatni raz ją widziała. Wciąż ta sama karnacja i te same długie, gęste, ciemne włosy – identyczne jak u Gin – i dokładnie ten sam wyraz twarzy. Kości policzkowe wydawały się jednak wyraźniej zaznaczone albo wskutek dorastania, albo dlatego, że Amelia schudła.

Zawsze to jakaś korzyść.

Gin odwróciła się. Jej córka miała na sobie wąskie džinsy, w których jej nogi wyglądały jak słomki do napojów, a do tego czarną bluzkę Chanel z białymi mankietami i kołnierzykiem, a także płaskie pantofle Tory Burch.

Cokolwiek sądzić o jej postawie życiowej, nie ulegało wątpliwości, że styl ma iście paryski.

– Amelio, co ty robisz w domu?

– Ja też cieszę się, że cię widzę.

Gin zerknęła przez ramię, żeby poprosić Lizzie o zostawienie ich samych, ta jednak zdążyła już wyjść do ogrodu przez przeszkłone drzwi, które właśnie cicho się zamykały.

Umysł Gin wypełniły obrazy Amelii na różnych etapach dzieciństwa, które na chwilę przesłoniły jej obecną sytuację. Wspomnienia w żaden sposób jednak nie rozładowały poczucia obcości dzielącego matkę i córkę, dystansu między nimi, który przez lata doprowadził do otwartej wrogości płynącej stąd, że Gin zachowywała się wobec Amelii nie jak matka, tylko raczej jak siostra.

I to niezbyt życzliwa.

Oczywiście z jej punktu widzenia sprawa była znacznie bardziej skomplikowana.

Chociaż trzeba przyznać, że ostatnio napięcie nieco zmalało. Nie ma co jednak ukrywać, że Amelia została wysłana do prestiżowej Hotchkiss School w dalekim Connecticut nie tylko po to, aby zyskać odpowiednie wykształcenie, ale też dlatego, że należało jakoś uciszyć burze, które wzbierały za każdym razem, gdy Gin i Amelia znajdowały się w tym samym pomieszczeniu.

– No cóż, zawsze miło widzieć cię w domu...

– Aha.

– ...jestem jednak nieco zaskoczona. Nie wiedziałam, że już macie wakacje.

– Nie mamy. Wyrzucili mnie ze szkoły. Zanim jednak urządzisz mi rodzicielskie kazanie, chciałabym ci tylko przypomnieć, że po prostu idę w twoje ślady.

Gin zwróciła wzrok w górę, jakby szukała w niebie sił do sprostania nowemu wyzwaniu – nawet się zdziwiła, że przez przeszkłony dach oranżerii faktycznie widać odległy błękit przestworzy i białe chmurki.

Rodzicielstwo na pewno przychodzi łatwiej ludziom, którzy sami utrzymują jakieś normalne standardy i stanowią wzór do naśladowania.

– Pójdę się rozpakować – oświadczyła Amelia. – A wieczorem jestem już umówiona na kolację z przyjaciółmi. Nic się nie martw. Jeden z nich ma już

dwadzieścia pięć lat i jeździ własnym ferrari. Nic mi nie będzie.

Po spotkaniu z Lenghem Lane wrócił do Easterly. Ledwo przekroczył próg rezydencji, wpadł na pana Harrisa, który wychodził właśnie z jadalni, trzymając w dłoniach tacę. Leżało na niej kilka srebrnych przedmiotów, w tym paterka na słodycze osadzona na wygiętym w łuk ogonie nurkującego karpia, pochodząca z kolekcji Cartiera.

Angielski kamerdyner nie zamierzał jednak opowiadać Lane'owi o swoich planach czyszczenia sreber.

– Och, wspaniale, że pan jest. Właśnie miałem pana szukać. Ma pan gościa. Wiceszeryf Mitch Ramsey czeka w kuchni.

– Tak, widziałem przed domem jego samochód.

– Kolejna sprawa: rozesłałem zaproszenia na przyjęcie pożegnalne. Musiałem niestety użyć poczty elektronicznej ze względu na ograniczenia czasowe. Oczywiście zdecydowanie wolałbym korzystać z tradycyjnej poczty. Zaczęły już spływać odpowiedzi. Byłby pan, jak sędzę, całkiem zadowolony z ich liczby.

Przez głowę Lane'a przeleciały jedna po drugiej trzy myśli: oby goście nie jedli i nie pili zbyt wiele; ciekawe, co by ludzie powiedzieli, gdyby barek był płatny; Boże, nigdy dotąd nie zastanawiał się nad kosztami takich imprez.

Zdał sobie sprawę, że kamerdyner się w niego wpatruje, jakby na coś czekał.

– Słucham? Czy coś jeszcze?

– Do domu zawitał ktoś jeszcze.

Pan Harris zawiesił tutaj głos, jakby czuł się urażony brakiem reakcji po stronie Lane'a i dawał do zrozumienia, że w takim układzie nie będzie mu przedstawiał żadnych wieści.

– Kto to taki? – spytał grzecznie Lane.

Może sama kostucha? Albo Bernard Madoff, skazany wprawdzie na dożywocie za grube przekręty finansowe, ale może dostał przepustkę? A może raczej Krampus, zły duch świąt Bożego Narodzenia? A nie, to nie ta pora roku.

– Wróciła panienka Amelia. Przyjechała taksówką jakieś dziesięć minut temu, przywiozła trochę bagaży. Pozwoliłem sobie wydać dyspozycję, aby umieszczono je w jej pokoju.

Lane zmarszczył brwi.

– Ale to już wakacje? Gdzie ona teraz jest?

– O ile się orientuję, poszła przywitać się z matką.

– Aha, w takim razie pewnie zaraz nas osiągnie grzyb atomowy. Bardzo panu dziękuję.

– Kłaniam się.

Z jakiegoś powodu słowa te w jego ustach zawsze brzmiały tak, jakby mówił „Pierdol się”. Co z kolei wywoływało w człowieku pokusę, żeby chwycić go za ten czarny krawat i...

Nie, starczy już trupów, nawet hipotetycznych.

Lane oczyścił głowę z czarnych myśli, przeszedł przez hol wejściowy i zagłębił się w ciemny korytarz prowadzący do kuchni. Mijając dawny gabinet pani Rosalindy, zatrzymał się i przyjrzał opieczętowanym przez policję drzwiom.

Fakt, że nie może nawet wejść do gabinetu rodzinnej księgowej, wydał mu się wysoce symboliczny. Oto co się stało z całym jego życiem.

A może Jeff ma rację? Może nie da się siłą posklejać tego wszystkiego, co ewidentnie właśnie się rozpada? Może świat nie działa już tak jak w czasach jego dziadka, a nawet ojca, kiedy rodziny takie jak ich były na tyle potężne, żeby się skutecznie obronić w razie takiego kryzysu?

Właściwie to po kiego czorta miałyby niszczyć ważną dla siebie przyjaźń w imię porządkowania bagna pozostawionego przez ojca?

– Dzień dobry panu.

Lane zerknął w stronę, z której dochodził głos. Z pralni wychodziła właśnie blondynka w stroju pokojówki, niosąc przewieszony przez ramię długi zwój delikatnej bawełny.

– Mam na imię Lillianna – oznajmiła. – Przez dwa „el” i dwa „en”.

– A, tak. Jasne. Wszystko w porządku?

– Staram się zadbać o pana przyjaciela. Tak ciężko pracuje tam, na górze – powiedziała, po czym zawiesiła na chwilę głos. – Może panu czegoś potrzeba?

– Nie, dziękuję – odparł Lane. Jeśli nie liczyć czystych poszewek, nie miała do zaoferowania nic, co by go interesowało, ani teraz, ani w przyszłości. – Jestem pewien, że mój stary kumpel potrafi docenić pani osobistą troskę.

– Proszę dać mi znać, gdyby pan czegoś potrzebował.

Gdy odchodziła, kołysząc biodrami, Lane przypomniał sobie pokojówkę z pierwszego sezonu *American Horror Story*, która raz wydawała się stara, a raz młoda. Ta tutaj bez wątplenia wyglądała świeżo. W sumie to dobrze, że Jeff ma chociaż szansę odreagować trochę stresów – no a Lillianna na szczęście przynajmniej nie jest duchem, który w całkiem niestosownym momencie człowieka zszokuje, przybierając postać staruszki.

„Stary, jesteś taki sam jak twój ojciec”.

Wcale nie.

Wchodząc do przestronnej, profesjonalnie wyposażonej kuchni, Lane poczuł zapach ciepłych bułeczek z rodzynkami. Aurora i Mitch Ramsey siedzieli na stołkach obok siebie, przy granitowym blacie, na którym stały kubki z kawą i talerz pełen tych właśnie wypieków. Wiceszeryf był w swoim beżowo-brązowym mundurze ze złotymi naszywkami; na jego potężnym ramieniu wisiał radiotelefon, w kaburze tkwił pistolet. Aurora miała na sobie fartuch kuchenny i luźne niebieskie spodnie.

Lane zauważył ponuro, że odkąd wrócił do Easterly, wyraźnie schudła.

– Doberek – rzucił Lane, podchodząc do Mitcha, żeby uścisnąć mu dłoń.

– Siema.

– Starczy dla mnie miejsca?

– Zawsze starczy. – Aurora postawiła przed nim pusty kubek i poszła po dzbanek z kawą. – Zresztą zaraz was zostawię samych.

– Zostań, proszę – powiedział Lane, siadając.

Boże drogi, zapomniał już, jak potężny gość z tego Mitcha. Lane sam miał prawie metr dziewięćdziesiąt, ale gdy usiadł na stołku obok wiceszeryfa, poczuł się jak laleczka.

– No to mamy raport z sekcji zwłok – oznajmił Mitch, patrząc na Lane'a. – Nie ma wątpliwości, że to palec twojego ojca. Na zwłokach znaleziono ślady cięcia dokładnie pasujące do części ciała znalezionej w waszym ogrodzie.

– Co oznacza, że go zamordowano. – Lane skinął głową, dziękując za kawę, którą nalewała mu Aurora. – Bo przecież sam sobie człowiek czegoś takiego nie zrobi.

– Wiedziałaś, że ojciec choruje?

– Na głowę. Tak, oczywiście.

– Miał raka płuc.

Lane powoli odstawił kubek na blat.

– Słucham?

– Twój ojciec miał zaawansowanego raka płuc, który dawał już przerzuty do mózgu. Koronerka stwierdziła, że miałby przed sobą jeszcze najwyżej sześć miesięcy życia, wkrótce jednak choroba wpłynęłaby na jego równowagę i motorykę w takim stopniu, że nie zdołałby już nic przed nikim ukryć.

– To te fajki – powiedział Lane, patrząc na Aurorę. – Te wszystkie pieprzone fajki!

– Wyrażaj się – warknęła Aurora. – Ale powiem jedno: zawsze chciałam, żeby rzucił. Ja tam się o raka nie prosiłam. I nie bardzo rozumiem, jak można samemu go na siebie ściągać.

Lane zerknął na Mitcha i spytał:

– Czy to możliwe, że o tym nie wiedział? Od jak dawna mógł go mieć?

Lane miał oczywiście świadomość, że ojciec i tak nic by mu nie zdradził, nawet gdyby miał wszystko na piśmie. Zresztą znając zwyczaje tego drania,

można przypuszczać, że pewnie próbowałby zmusić chorobę do remisji wyłącznie siłą woli.

– Sam spytałem o to koronerkę – odparł Mitch, kręcąc głową. – Powiedziała, że najprawdopodobniej odczuwał już objawy takie jak migreny, zawroty głowy, zadyszka. Nie widać śladów żadnych operacji, nie ma też portu naczyniowego ani nic takiego. Nie wyklucza to jednak możliwości, że mógł przechodzić chemio- lub radioterapię. Do laboratorium toksykologicznego wysłano próbki tkanek, ale na wyniki tych badań trzeba będzie jeszcze trochę poczekać.

Lane potarł czoło.

– Czyli faktycznie mógł się zabić. Jeśli wiedział, że wkrótce i tak umrze, a nie chciał skazywać się na cierpienie, mógł skoczyć z mostu.

Jak jednak w takim razie wytłumaczyć obcięty palec? I to ten z sygnetem? Oraz to, że mając do dyspozycji ogromny teren posiadłości, pełen zarówno trudno dostępnych zakamarków, jak i całkiem widocznych miejsc, ktoś wybrał akurat miejsce dokładnie pod oknem matki i tam go zakopał?

– Możliwe też, że go z tego mostu zepchnięto – zauważył wiceszeryf. – To, że ktoś jest chory, wcale nie znaczy, że nie może zostać zamordowany. W jego płucach była woda, co dowodzi, że wpadł do rzeki jeszcze żywy i na pewno zaczerpnął co najmniej jeden potężny haust już po zanurzeniu. – Mitch zerknął na Aurorę. – Przepraszam za te drastyczne opisy.

Ona jednak wzruszyła tylko ramionami.

– Co się stało, to się stało.

Lane spojrział na swoją mamunię.

– Długo siedziałem w tym Nowym Jorku. Zauważyłaś może w ojcu... jakąś zmianę?

Zaraz jednak pomyślał, że cokolwiek sądzić o jego stanie zdrowia, na pewno nie osłabił on jego libido – jeśli wierzyć Chantal i jej deklaracji na temat dziecka, które ponoć jej zrobił.

Aurora pokręciła głową.

– Nic dziwnego, zem nie widziała. Te ostatnie miesiące to ciągle gdzieś

jeździł, ale to tak samo jak wcześniej. Wiesz przecie, że wszystko w sobie dusił. Z samego rana wychodził z domu do centrum biznesowego, a nieraz późno stamtąd wracał. Ode mnie z mieszkania widać garaże, to nieraz żem widziała, jak jego szofer w końcu parkuje tę limuzynę o północy albo i później. Widywałam też pana Baldwine'a, jak wracał pieszo z biura tu do domu. W sumie to sama nie wiem.

– Wziąwszy pod uwagę jego zamożność i rozległe kontakty, mógł jeździć na terapię do dowolnego miejsca w Stanach – odezwał się Mitch.

– Co o tym sądzi wydział zabójstw? – spytał Lane.

Ramsey pokiwał głową.

– Skłaniają się ku hipotezie udziału osób trzecich. Kluczem jest ten palec. On wszystko zmienia.

Lane jeszcze przez chwilę rozmawiał w kuchni z Mitchem i Aurorą, potem zaś ich przeprosił, odstawił kubek do zlewu i ruszył na górę schodami dla personelu. Aurora знаła Mitcha od pieluch, zdarzało mu się niekiedy odwiedzać ją po służbie, spokojnie można więc było zostawić ich samych.

Nowotwór.

Jego ojciec sukcesywnie wykańczał się nikotyną, aż w końcu ktoś postanowił ten proces przyspieszyć i wysłać go na drugą stronę w trybie ekspresowym.

Nie do wiary.

Jak zawsze w godzinach porannych, gdy członkowie jego rodziny zdążyli już wstać z łóżek i opuścić swoje sypialnie, w tej części rezydencji uwijał się personel. Lane czuł w powietrzu zapachy środków czystości używanych do mycia okien, pryszniców i klozetów – sztuczne miętowo-cytrusowe aromaty, od których aż kręciło w nosie.

Dotarł wreszcie do drzwi pokoju Williama Baldwine'a. Dziwnie się czuł, wchodząc do środka bez pukania – choć przecie ojciec już nie żył. Wkraczając do cichego, ciemnego wnętrza urządzonego w bardzo męskim stylu, Lane miał wrażenie, że robi coś skrajnie złego, aż zupełnie bez powodu obejrzał się przez ramię.

Na komodach i szafkach nocnych nie było zbyt wielu przedmiotów osobistych. W całym apartamencie wszystko było ułożone w sposób przemyślany, niczym scenografia teatralna przedstawiająca „miejsce, gdzie zamożny i wpływowy mężczyzna kładzie się nocą spać”. Narzuty i poduszki ozdobione monogramami, książki oprawione w skórę, orientalne dywany, rząd okien, obecnie schowanych za ciężkimi jedwabnymi zasłonami – wszystko to można by równie dobrze znaleźć w nowojorskim hotelu Ritz-Carlton, wiejskiej rezydencji angielskich arystokratów lub w jakimś włoskim zamku.

Łazienkę w całości wyłożono marmurem i ozdobiono sztukaterią oraz wyposażono w najnowocześniejsze instalacje. Połowę pomieszczenia zajmowała wymyślna przeszklona kabina prysznicowa. Lane zatrzymał się, widząc zawieszony na mosiężnym haczyku szlafrok ojca z wyhaftowanym monogramem. Potem zaś zauważył jeszcze zestaw do golenia, składający się z pędzla ze złotą rączką, brzytwy oraz skórzanego paska do jej polerowania, szczoteczkę i srebrny kubek.

Dwie umywalki oddzielał od siebie ogromny marmurowy blat (choć raczej wątpliwe, żeby matka kiedykolwiek korzystała tutaj ze swojej połowy), na ścianie zaś wisiało lustro oświetlone złotymi kinkietami.

Ani śladu apteczki.

Lane pochylił się i zaczął otwierać szuflady. W pierwszej znalazł paczkę prezerwatyw, na której widok miał ochotę coś szybko roztrzaskać – z wielu zresztą powodów. W następnych znajdowały się zapasy mydła, patyczki do uszu, zwykłe golarki – a po drugiej stronie szczotki i grzebienie. Bezpośrednio pod umywalkami składowano papier toaletowy, chusteczki i butelki z płynem do płukania ust.

W pewnym sensie Lane’owi wydało się dziwne, że jego ojciec w ogóle używał takich zwyczajnych rzeczy – jak każdy zwykły śmiertelnik szykujący się do pracy lub do snu.

Ojca zawsze owiewał nimb tajemnicy, nieszczególnie zresztą przyjemny – coś w rodzaju aury Kuby Rozpruwacza, wytworzonej przez lata braku porozumienia, zdrowych relacji i choćby śladu serdeczności.

W wysokiej, wąskiej szafce obok siedzenia przy oknie Lane wreszcie

znalazł lekarstwa.

Sześć pomarańczowych buteleczek, w różnym stopniu wypełnionych pigułkami i kapsułkami. Lane nie rozpoznawał ich nazw ani nazwiska lekarza, który je przepisał, zważywszy jednak na zamieszczoną z boku długą listę ostrzeżeń dotyczących możliwych skutków ubocznych (nie używać ciężkich sprzętów, nie prowadzić pojazdów i tak dalej), domyślał się, że są to pewnie środki przeciwbólowe lub zwiotczające mięśnie... albo też silne leki, od których człowiek czuje się jeszcze bardziej chory niż przed kuracją – przynajmniej na początku.

Wyjął smartfon i wpisał do wyszukiwarki nazwisko lekarza.

Hmm... Kto by się spodziewał?

Wyskoczyła mu lista pracowników Kliniki Onkologicznej w Houston.

Co oznaczało, że ojciec wiedział o swojej chorobie. A może nawet wiedział, że umiera.

– Wyrzucili cię? – dopytywała Gin, stojąc w wonnej przestrzeni oranżerii.

– Tak – odpowiedziała jej córka.

Fantastycznie – pomyślała Gin.

Nastąpiła chwila ciszy, w której rozważała kilka możliwych wyrazów rodzicielskiego oburzenia – może powinna tupnąć nogą w szpilce lub staroświecko pogrozić córce palcem? Z tym że nie bardzo jej pasowały te zachowania. Przyszło jej do głowy, że właściwie powinna o rozstrzygnięcie tej sprawy poprosić Edwarda – on by wiedział, co należy zrobić.

Niestety jednak ta droga została już odcięta.

W końcu Gin zdecydowała się na inne rozwiązanie:

– Czy mogę spytać, dlaczego poproszono cię o opuszczenie szkoły?

– A jak myślisz? W końcu jestem przecież twoją córką.

Gin przewróciła oczami.

– Alkohol? Czy przyłapano cię z jakimś chłopakiem?

Amelia uniosła tylko dumnie brodę. Gin szybko sobie wykombinowała, że

oznacza to znacznie poważniejsze wykroczenie.

– Przespałaś się z którymś z profesorów, tak? Czyś ty oszalała?

– To chyba znajomy ci scenariusz? Sama z takiego właśnie powodu zrobiłaś sobie przerwę w nauce...

W tym momencie otworzyły się drzwi łączące dom z oranżerią i stanął w nich Lane, który dla Gin był w tej chwili niczym latarnia morska dla marynarza zbłąkanego na morzu.

– Zgadnij, kto właśnie wrócił ze szkoły do domu – rzuciła cierpko.

– Tak, już słyszałem. Chodź no tu, Meluś. Dawno cię nie widziałem.

Dziewczyna padła Lane'owi w ramiona, aż ich dwie ciemne głowy złączyły się w jedną plamę. Gin odwróciła wzrok.

– Amelia ma dla nas wiadomość – mruknęła, przechadzając się po oranżerii i gładząc liście orchidei. – Może powiesz wujkowi, o co chodzi?

– Wyrzucili mnie.

– Za romans z profesorem! – Gin machnęła ręką. – Spośród wszystkich tradycji rodzinnych musiała wybrać właśnie tę!

Lane zaklął i aż zrobił krok w tył.

– Amelia...

– O, proszę. Aż użył twojego prawdziwego imienia! – Gin uśmiechnęła się na myśl, że Lane odezwał się głosem ojca. – Chyba przymierza się do poważnej rozmowy. Czy mamy jakieś kontakty w tej szkole? Jestem pewna, że wystarczy do nich zadzwonić i wybić im ten pomysł z głowy.

Lane potarł dłonią twarz.

– Czy ktoś cię wykorzystał? – spytał. – Zostałaś skrzywdzona?

– Nie – odpowiedziała dziewczyna. – Nic takiego.

– Musi być jakiś sposób, żeby ją znów tam.. – podniosła głos Gin.

– Czy nie zbliżają się czasem egzaminy? – przerwał jej Lane. – Jeśli je opuścisz, to przepadną ci wszystkie zaliczenia. Meluś, Chryste Panie, no naprawdę. To poważna sprawa.

– Bardzo mi przykro.

– Pewnie – mruknęła Gin. – Widzę, jak ci przykro. Może ci podać chusteczkę? Łatwiej by ci było odgrywać tę rolę.

– Ładny masz diament na palcu – odgryzła się Amelia. – Rozumiem, że wychodzisz za mąż?

– Następnego dnia po pożegnaniu twojego dziadka.

– Jak miło, że zadzwoniłaś mnie o tym poinformować, mamó.

– To małżeństwo jest bez znaczenia.

– Pewnie. Miałam na myśli śmierć dziadka. Zmarł mój rodzony dziadek, a ja dowiedziałam się o tym z gazety.

Lane błyskawicznie skierował wzrok na Gin.

– Naprawdę do niej nie zadzwoniłaś?

– Bardzo cię przepraszam, ale to ją właśnie wyrzucono ze szkoły. A ty patrzysz na mnie, jakbym to ja coś przeskrobała.

– Mogę przecież uczyć się tu, w Charlemont – wtrąciła Amelia. – Charlemont Country Day to świetna szkoła, mogłabym mieszkać w domu...

– I wyobrażasz sobie, że by cię tam teraz przyjęli? – zakpiła Gin.

– Pięć lat temu nasza rodzina zafundowała jej rozbudowę. – Amelia nie dawała się zbić z tropu. – Mieliby mnie nie przyjąć? A za kogo właściwie wychodzisz za mąż? Niech zgadnę. Pewnie jest bardzo bogaty i bardzo nijaki...

– Dość! – przerwał jej Lane. – Gin, to twoja córka. Czy mogłabyś ten jeden raz w życiu zachować się jak matka? Amelio, problem jest znacznie większy, niż ci się może zdawać.

– Ale przecież da się to jakoś załatwić – powiedziała dziewczyna. – W tej rodzinie wszystko się zawsze jakoś załatwia, prawda?

– Niestety to już nieaktualne. I lepiej módl się, żebyś nie musiała przekonać się o tym na własnej skórze po tym swoim wybryku.

Gdy Lane ruszył ku wyjściu, Gin pomyślała o swoim przyjęciu weselnym i zawołała za nim:

– Zaczekaj, mamy coś do omówienia!

– Nie zamierzam dzwonić do Charlemont Country Day. Sama się tym zajmij.

Już czas, żebyś wzięła na siebie rolę matki.

Gin założyła ramiona na piersi, wykrzywiając twarz w grymasie bólu, gdy odezwał się jej posiniaczony przez Richarda łokieć.

– Amelio, czy byłabyś tak miła i poszła się dąsać do swojego pokoju? Czy może wolisz poleżeć przy basenie? Jestem pewna, że dzięki kontu na Twitterze zdołasz miło spędzić kilka godzin, informując przyjaciół o tym, jak okropnie jest wrócić na łono rodziny.

– Z przyjemnością – odparła Amelia. – Na pewno lepsze to niż spędzanie czasu w twoim towarzystwie.

Zamiast wypaść z oranżerii jak burza, dziewczyna oddaliła się lekkim krokiem, pozostawiając za sobą nutę perfum oraz powiew pogardy.

Aż dziw, że lepiej się ze sobą nie dogadywały.

Gdy drzwi łączące oranżerię z domem się zamknęły, Gin fuknęła:

– Może powinna dać sobie spokój ze szkołą i pojechać do Nowego Jorku robić karierę modelki. Jeśli chce coś w życiu osiągnąć, niech lepiej mniej gada i postawi na ładną buzię.

– Sama zawsze miałaś niewyparzoną gębę i nie wyszło z tego nic dobrego – odparł Lane. – Spójrz tylko, za kogo wychodzisz za męża.

– Richard jest jednym z najbogatszych mężczyzn w stanie Kentucky i może nam pomóc postawić firmę na nogi.

– Przecież go nienawidzisz.

– Oczywiście, jak wszyscy zresztą. To żadna sensacja. Ale właśnie, coś mi to przypomniało. Ta twoja ukochana Lizzie powiedziała, że muszę mieć twoją zgodę na urządzenie tu przyjęcia weselnego. Mówiłam jej, że to nie będzie nic wielkiego, najwyżej ze czterysta osób...

– Zaraz, zaraz... Co takiego?

– Moje przyjęcie weselne. Jutro otrzymamy wszystkie papiery, dzień później mamy tu przyjęcie pożegnalne, a ślub cywilny bierzemy w piątek. Nasza impreza odbędzie się więc w sobotę. Zwykle koktajle w ogrodzie, a potem kolacja...

– Gin...

– Słucham?

– Kto za to wszystko zapłaci?

– No jak to kto? My! Co to za pytanie?

Lane zmrużył oczy.

– Nie mamy pieniędzy, Gin. Co oznacza po prostu, że wystawione przez nas czeki nie będą realizowane. Rozumiesz, co mówię? Nie mamy w tej chwili pieniędzy. Staram się jakoś tę kwestię rozwiązać, ale na razie nie obchodzi mnie, czy zaprosisz czterysta osób, czy czterdzieści. Nie stać nas na ponoszenie żadnych dodatkowych kosztów, poza tymi najbardziej niezbędnymi.

– Płacimy przecież za przyjęcie pożegnalne.

– I za nic więcej. Koniec z imprezami, Gin. Koniec z lataniem prywatnym odrzutowcem, a nawet, cholera, z taksówkami. Żadnych ciuchów, balów, wycieczek. Wszystko wstrzymujemy. Musisz to zrozumieć.

Zmarszczyła brwi, zastanawiając się przy tym nad niepokojącym łomotaniem serca. Po chwili zaś szepnęła:

– Trudno mi uwierzyć, że urządzasz pogrzeb człowiekowi, którego nienawidziłeś, a odmawiasz mi przyjęcia weselnego, na które jak najbardziej zasługuję.

Lane przez chwilę wpatrywał się w nią bez słowa, aż w końcu się odezwał:

– Wiesz, Gin, będę z tobą zupełnie szczery. Zawsze miałem świadomość, że jesteś wyrachowaną egoistką, nigdy jednak nie sądziłem, że możesz być mało rozgarnięta.

– Słucham?

– Jeśli nie zaprosimy całego towarzystwa na przyjęcie pożegnalne, ludzie będą to komentować i zaczną podejrzewać, jak się sprawy mają. Gównu mnie obchodzi reputacja naszej rodziny, ale firma jest naszą jedyną szansą na wyjście z tego bagna. Bradford Bourbon Company jedzie już w tej chwili na oparach. Zastanawiam się, do kurwy nędzy, z czego mam opłacić pracowników. Jeśli do mediów wyciekną informacje o naszych kłopotach finansowych, sprzedawcy mogą spanikować i zażądać natychmiastowego uregulowania rachunków albo przestać nam płacić. Dystrybutorzy mogą nie

chcieć podejmować ryzyka, przedstawiciele związków zawodowych mogą się mocno wkurzyć... Tu nie chodzi o jakąś pieprzoną imprezkę. Przyjęcie pożegnalne to niezbędna zasłona dymna. A twoje wesele nie.

Gin przyłożyła dłoń do szyi i przypomniała sobie, jak zajęła rolls-royce'em na stację benzynową i... jej karty kredytowe okazały się nieaktywne. Tyle że wówczas powodem był ojciec, który odciął ją od funduszy, a nie całkowity brak funduszy.

Przypomniała też sobie, jak Lane przekazał jej złe wieści o rodzinnych finansach, kiedy już zabrał ją z policyjnego aresztu.

Pokręciła głową.

– Mówiłeś, że jesteśmy zadłużeni na jakieś pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt milionów. Ale przecież na pewno mamy jeszcze inne zasoby...

– Od tego czasu nasz dług już trzykrotnie urósł. Tyle na razie udało nam się stwierdzić. Czasy się zmieniły, Gin. – Lane się odwrócił. – Jak chcesz mieć przyjęcie, to poproś swojego przyszłego męża, żeby pokrył jego koszty. Dla Richarda to pewnie garść drobniaków. Przecież właśnie dlatego za niego wychodzisz.

Gin stała w miejscu, patrząc, jak przeszklone drzwi kolejny raz się zamykają.

Pośród ciszy panującej dookoła ogarnęło ją dziwne uczucie kompletnego oderwania od rzeczywistości. Dopiero po chwili zorientowała się, że jest to stan, w który zapadała za każdym razem, gdy Richard...

Boże drogi... Chyba zaraz zwymiotuje.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała do roślin. – A Pford może wreszcie zacząć do czegośkolwiek się przydawać.

Miotła szurała w korytarzu stajni, zbierając po drodze odpady oraz wzbijając tumany kurzu i drobinek siana. W stronę sunącego za nią Edwarda klacze rozplodowe wychylały łby z boksów. Wąchały jego koszulkę, trącały mu łokcie, dmuchały nozdrzami prosto we włosy. Nad brwiami Edwarda zbierały się kropelki potu, który spływał mu też strużką wzdłuż kręgosłupa aż za dość luźne w pasie dzinsy. Od czasu do czasu zatrzymywał się i ocierał twarz przedramieniem. Wymieniał parę słów z synem Moego Joeyem, szorującym boksy. Klepał klacze po pięknych szyjach i gładził ich bujne grzywy.

Czuł, jak przez pory skóry uchodzi z niego alkohol, jakby się w nim wcześniej moczył. A jednak, choć stopniowo pozbywał się z ciała trucizny, raz na jakiś czas musiał pociągnąć z butelki odrobinę wódki, bo w przeciwnym razie zaczęłoby nim trząść.

– Ciężko pan pracuje – dobiegł go głos z drugiego końca stajni.

Edward zatrzymał się i próbował obejrzeć przez ramię. Ciało nie dawało mu jednak aż takiej swobody ruchów, musiał więc zrobić kilka kroków, żeby obrócić się w miejscu, podpierając się na kiju od miotły.

Zmrużył oczy, oślepione wpadającym do stajni światłem słonecznym.

– Z kim mam przyjemność? – spytał.

– Inspektor Merrimack, policja.

Mężczyzna ruszył pewnym krokiem po betonowej podłodze. Gdy stanął przed Edwardem, wyciągnął i otworzył portfel, okazując swoją legitymację i odznakę.

– Czy mógłbym panu zadać kilka pytań? – zaczął inspektor. – To czysta formalność.

Edward oderwał wzrok od okazywanych mu dokumentów i spojrzał na twarz, taką samą jak na zalaminowanej fotografii. Inspektor Merrimack był Afroamerykaninem o krótko obciętych włosach, mocnym zarysie szczęki i wielkich dłoniach, sugerujących, że w swoim czasie mógł całkiem nieźle grać w bejsbol. Na jego strój składały się: śnieżnobiała koszulka polo z policyjnym emblematem na piersi, porządne spodnie oraz skórzane buty na gumowych podszewkach. Edward pomyślał, że pewnie czasem musi w tych butach kogoś ścigać.

– Czym mogę panu służyć?

Merrimack schował portfel.

– Może chciałby pan się przenieść gdzieś, gdzie moglibyśmy spokojnie usiąść i porozmawiać na osobności?

– Jak dla mnie tu jest w porządku. – Edward pokuśtykał w stronę beli siana i opadł na nią całym ciężarem ciała. – Nikogo tu teraz nie ma. Może pan usiąść na tym wiadrze, wystarczy je odwrócić.

Merrimack pokręcił głową. Uśmiechnął się i rozejrzał po stajni.

– Nieźle ma pan tu ranczo. Mnóstwo pięknych koni.

– Stawia pan zakłady na wyścigach?

– Takie tam, dla zabawy. Nic poważnego. Na pewno bez porównania z panem.

– Ja nie obstawiam wyścigów. Już nie.

– Nawet własnych koni?

– Zwłaszcza ich. To czym mogę panu służyć?

Inspektor podszedł do jednego z boksów, w którym krata na górze była zamknięta.

– Rany, co za uroda...

Edward pokręcił głową.

– Na pana miejscu nie podchodziłbym zbyt blisko...

Nebekancer pokazał zęby i gwałtownie rzucił się na pręty. Merrimack aż się zatoczył, oddalając się od krat krokiem mocno przypominającym stepowanie,

aż w końcu wylądował przy drzwiach przeciwnego boksu.

– Nie miał pan chyba wiele do czynienia z końmi? – spytał Edward.

– No... nie. – Mężczyzna wyprostował się i wpuścił sobie koszulę do spodni. – Niespecjalnie.

– Jeśli się wchodzi do stajni, w której większość boksów ma otwarte kraty na górze, a jeden, tylko jeden, ma kratę zamkniętą, należy założyć, że istnieje po temu jakiś dobry powód.

Merrimack pokręcił głową, patrząc na wielkiego ogiera, który chodził po boksie w przód i w tył, jakby zamierzał jakoś się z niego wydostać, bynajmniej nie w celu wymiany uprzejmości.

– Mam nadzieję, że na tej bestii nikt nie jeździ.

– Tylko ja. Ale ja nie mam nic do stracenia.

– Pan? Daje pan radę dosiąść tego konia?

– To mój ogier, a nie jakiś tam koń. I owszem, daję radę. Jak się uprę, potrafię wiele osiągnąć, nawet w obecnym stanie.

Merrimack spojrział na niego ponownie i znów się uśmiechnął.

– Naprawdę? To pewnie ważne, jeśli chce się wrócić do zdrowia. Czytałem o pana...

– Nieudanych wakacjach? Tak, biura podróży raczej nie polecają tego rodzaju przygód. W jedną stronę przynajmniej naliczyli mi punkty za przebyte kilometry. Niestety nie było zbyt wielu ofert, jeśli chodzi o drogę powrotną. Musieli mnie, czy też raczej to, co ze mnie zostało, przetransportować helikopterem do miejscowej bazy wojskowej, skąd zabrały mnie amerykańskie siły powietrzne.

– Nie potrafię sobie czegoś takiego wyobrazić.

– Na pewno pan potrafi. – Edward rozparł się na beli siana i wyprostował nogi. – To co mogę dla pana zrobić?

– Zaraz, zaraz, mówił pan, że zabrały pana do domu amerykańskie siły powietrzne?

– Kolumbijski ambasador jest przyjacielem naszej rodziny. Bardzo mi

pomógł. Podobnie jak mój kumpel, który jest wiceszeryfem tu, w Charlemont.

– Czy to pański ojciec załatwił tę pomoc?

– Nie.

– Nie?

Edward przechylił głowę w bok.

– Miał w tym czasie ważniejsze sprawy na głowie. Czy przejechał pan taki kawał drogi tylko po to, żeby wypytywać mnie o konie? Czy chodzi raczej o mojego ojca?

Merrimack znów się uśmiechnął. Jego wyraz twarzy wskazywał, że uważnie analizuje odpowiedzi, ale nie chce wyglądać zbyt groźnie.

– Raczej to drugie. Chciałbym najpierw zadać kilka wstępnych pytań. W tego rodzaju przypadkach zawsze zaczynamy od członków rodziny.

– Proszę pytać.

– Czy może pan opisać swoje relacje z ojcem?

Edward bujał miotłą w przód i w tył, trzymając ją między kolanami.

– Były koszmarnie.

– To brzmi bardzo poważnie.

– Mam panu podać jakiś synonim?

– Nie. – Merrimack wyjął z tylnej kieszeni notes i go otworzył. – Nie był pan zatem z ojcem blisko.

– Przez kilka lat pracowaliśmy razem. Nie mogę jednak powiedzieć, żeby łączyła nas typowa rodzinna zażyłość.

– Traktował pana jak swojego następcę?

– Wyłącznie w interesach.

– Ale to już nieaktualne?

– On nie żyje. Wszystko jest więc poniekąd nieaktualne, no nie? Może więc pan po prostu spyta, czy go zabiłem i odciąłem mu palec?

Kolejny z serii uśmiechów. Edward zauważył, że koleś ma całkiem ładne zęby: białe i równe, ale wyglądające naturalnie, a nie jak po specjalnych zabiegach.

– No dobrze, to może odpowie pan na swoje własne pytanie?

– A jak ja miałbym kogoś zabić? Ledwo daję radę tutaj pozamiatać.

Merrimack spojrział na podłogę.

– Dopiero pan mówił, że wszystko u pana zależy od motywacji.

– Pracuje pan w wydziale zabójstw. Na pewno zdaje pan sobie sprawę, jak wiele wysiłku trzeba włożyć w to, żeby kogoś zamordować. Mój ojciec był krzepkim, zdrowym mężczyzną i ważył jakieś dwadzieścia kilo więcej ode mnie. Może i za nim nie przepadałem, ale nie aż tak, żebym miał sobie dopisać ojcobójstwo do listy życiowych zadań.

– Może mi pan powiedzieć, gdzie pan był tej nocy, gdy on zmarł?

– Byłem tutaj.

– Czy jest ktoś, kto mógłby to potwierdzić?

– Ja mogę.

Z komórki na narzędzia wyszła Shelby, spokojna i opanowana niczym Budda. Mimo że kłamała.

– Dzień dobry pani – powiedział inspektor, podchodząc do niej z wyciągniętą dłonią. – Jestem z policji. A pani jest...?

– Shelby Landis – przedstawiła się, podając mu rękę, po czym zrobiła krok w tył. – Pracuję tu jako pomoc stajenna.

– Od jak dawna?

– Od niedawna. Coś koło tygodnia. Mój ojciec, zanim zmarł, kazał mi tu się zgłosić.

Merrimack zerknął na Edwarda.

– I tamtej nocy, kiedy zmarł pana ojciec, wy dwoje...

– Byliśmy tutaj – dokończył Edward. – Siedzieliśmy sobie i rozmawialiśmy. Na tyle mniej więcej mnie obecnie stać.

– No tak, to rozumiałe. – Znow ten sam uśmiech. – Chciałbym tylko jeszcze o coś spytać. Jakim samochodem pan jeździ?

Edward wzruszył ramionami.

– Właściwie to żadnym. Moje stare porsche zostało w rezydencji. Wymaga

ręcznej zmiany biegów, więc teraz nie miałbym z niego zbyt wielkiego pożytku.

– Kiedy ostatni raz pan był w domu?

– To już nie jest mój dom. Teraz mieszkam tutaj.

– No dobrze. To kiedy pan był ostatni raz w Easterly?

Edward wspomniał dzień, w którym wraz z Lane'em wszedł do centrum biznesowego, żeby dane finansowe firmy mogły wreszcie ujrzeć światło dzienne. Ściśle rzecz biorąc, to nawet nie było włamanie, choć Edward z pewnością nie był tam osobą pożądaną. No i trzeba przyznać, że zyskał tam dostęp do poufnych dokumentów korporacji.

Potem zaś spędził jeszcze kilka doniosłych chwil z Aurorą, która mocno go objęła i wszystko w nim wywróciła do góry nogami.

W Easterly nie brakuje kamer. Zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz samej rezydencji i centrum biznesowego.

– Byłem tam parę dni temu, żeby się zobaczyć z moim bratem Lane'em.

– I co pan tam wtedy robił?

– Po prostu z nim gadałem – odparł Edward, myśląc: Oraz włamałem się do systemu, żeby wydobyć z niego informacje, byłem świadkiem, jak ojciec zawiera umowę z Sutton, oraz jak ten drań próbuje ją poderwać. – Dawno się nie widzieliśmy.

– Mhm... – Uśmiech. – Czy pożyczał pan któryś z pozostałych samochodów? Bo pana rodzina ma ich chyba sporo, prawda?

– Nie.

– Nie ma? Wczoraj tam byłem i widziałem cały rząd drzwi garażowych na tyłach rezydencji. Dokładnie na wprost centrum biznesowego, gdzie pracował pański ojciec.

– Nie, miałem na myśli to, że nie pożyczałem żadnego z ich samochodów.

– Kluczyki do tych pojazdów znajdują się w garażach, prawda? W skrzynce zamkniętej na zamek szyfrowy.

– Chyba tak.

– Zna pan do niej szyfr?

– Nawet jeśli kiedyś znałem, to już zapomniałem.

– Zdarza się. Ludzie wciąż zapominają hasła i kody. Proszę mi powiedzieć, czy wie pan o kimś, kto miałby z pana ojcem szczególnie na pieńku? Kto mógłby chcieć zrobić mu coś złego? Kto miałby powody, żeby się na nim zemścić?

– To byłaby długa lista.

– Naprawdę?

– Ojciec nie był szczególnie przyjazny wobec innych.

– Na przykład konkretnie wobec kogo?

– Wobec każdego, z kim miał do czynienia na poziomie osobistym lub zawodowym. Wystarczy?

– To rzeczywiście brzmi dość koszmarnie. Mówił pan, że pana ojciec był krzepkim, zdrowym mężczyzną, przynajmniej w porównaniu z panem. Czy wie pan o jakichś jego chorobach?

– Ojciec uważał, że prawdziwi mężczyźni nie chorują.

– No dobrze. – Inspektor zamknął notes, w którym nic nie zapisał. – Jeśli przyjdzie panu do głowy coś, co mogłoby nam pomóc, może pan do mnie zadzwonić pod ten numer. Zresztą pani też.

Edward wziął wizytówkę wyciągniętą w jego stronę. Pośrodku karteczki znajdowała się złota pieczęć, taka sama jak emblemat na koszulce inspektora. Dookoła niej wydrukowano jego imię i nazwisko, jak również rozmaite numery i adresy, tak że całość przypominała słońce.

Na dole wizytówki znajdował się napis kursywą: „Służyć i chronić”.

– Czyli sądzi pan, że on został zamordowany? – spytał Edward.

– A pan? – Merrimack podał drugą wizytówkę Shelby. – Co pan na ten temat sądzi?

– Nie mam zdania w tej kwestii.

Chciał spytać, czy figuruje na liście podejrzanych, ale i tak już znał odpowiedź. Merrimack zaś nie odkrywał na razie kart.

Kolejny uśmiech.

– No cóż. Miło się rozmawiało. W razie czego łatwo mnie państwo znajdą, ja państwa zresztą też.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Edward patrzył za inspektorem, który niespiesznie oddalał się w stronę jasnego popołudniowego światła. Odczekał jeszcze chwilę, aż nieoznaczony policyjny samochód przejedzie przez główną bramę i znajdzie się na szosie.

– Przecież nie byłeś wtedy ze mną – mruknął Edward.

– A jakie to ma znaczenie?

– No niestety... ma.

Prawnik ojca przynajmniej się nie spóźnił.

Pan Harris wprowadził pana Babcocka Jeffersona do głównego salonu Easterly dokładnie o szesnastej czterdzieści pięć, o czym Lane przekonał się, zerkając na swojego piageta.

– Witam pana – powiedział, wstając z sofy. – Miło pana widzieć.

– Cześć, Lane. Moje kondolencje.

Wykonawca testamentu Williama Baldwine'a miał na sobie granatowy garnitur, elegancką koszulę i czerwono-niebieską muszkę. W kieszonce jego marynarki lśniła śnieżnobiała poszetka. Był mężczyzną po sześćdziesiątce, zamożnym południowcem o mocno zarysowanej szczęce. Zanim jeszcze podszedł do Lane'a, aby uścisnąć mu dłoń, po pokoju rozeszła się woń kubańskich cygar i wody kolońskiej.

Samuel, który siedział na drugiej sofie, również wstał.

– Dzień dobry panu – powiedział. – Jestem tu w charakterze prawnika Lane'a.

– Dzień dobry, Samuelu. Jak się miewa twój ojciec?

– Znakomicie.

– Pozdrów go ode mnie. Oczywiście w naszym spotkaniu może uczestniczyć każdy, kogo życzy sobie widzieć rodzina zmarłego.

– Przedstawiam panu moją narzeczoną Lizzie King – odezwał się Lane.

W tym momencie wszyscy zebrani zastygli w oczekiwaniu: Gin przewróciła oczami, Samuel się uśmiechnął, a pan Jefferson głęboko się uklonił.

Lizzie tymczasem spojrzała na Lane'a zaskoczona, szybko jednak odnalazła się w sytuacji i uścisnęła dłoń wykonawcy testamentu, uśmiechając się do

niego z wdziękiem.

– To bardzo świeża sprawa – wyjaśniła.

Pan Jefferson przez chwilę wydawał się kompletnie zauroczony, a w jego oczach rozbłysły przyjazne iskierki.

– No cóż, moje gratulacje! – Skinął głową, zerkając na Lane'a, a potem znów utkwiał spojrzenie w Lizzie. – Powiedziałbym, że zastąpiła pani niezbyt udany model, ale byłoby to dość niegrzeczne wobec pierwszej małżonki Lane'a. W każdym razie widzę na tym polu znaczną poprawę.

– Ależ z pana dżentelmen! – zaśmiała się Lizzie.

– Aż po czubki moich butów myśliwskich! – powiedział pan Jefferson, po czym nieco spoważniał i znów spojrzał na Lane'a. – Gdzie twoi bracia?

Lane usiadł na swoim miejscu obok Lizzie.

– Nawet nie wiem, w którym stanie przebywa Max, i nie mam pojęcia, jak się z nim skontaktować. Edward natomiast jest...

– Tutaj.

W zwieńczonym łukiem wejściu do salonu zmaterializował się Edward. Choć Lane widział go przed paroma dniami, znów przez chwilę musiał się oswajać z wyglądem fizycznym brata. Edward był świeżo ogolony i wykąpany, jego ciemne, wilgotne jeszcze włosy lekko się kręciły, na co im dawniej nigdy nie pozwalał. Spodnie w kolorze khaki niemal spadały mu z bioder – przytrzymał je pasek ze skóry aligatora. Prosta błękitna koszula stanowiła pozostałość jego korporacyjnej garderoby. Była jednak tak luźna, że wyglądał w niej jak dzieciak, który włożył ubranie swojego ojca.

Mimo to budził pewien respekt, kuśtykając przez salon, żeby usiąść w jednym z foteli.

– Dzień dobry panu. Proszę mi wybaczyć złe maniery, ale muszę usiąść.

– Podejdę do ciebie, synku.

Pan Jefferson położył aktówkę na stoliku i zbliżył się do Edwarda.

– Miło cię znów widzieć.

– Wzajemnie – odparł Edward, ściskając jego dłoń.

Po tej wymianie uprzejmości zamilkli. Edward nigdy nie przepadał za konwencjonalnymi pogawędkami, a pan Jefferson najwyraźniej o tym pamiętał.

– Czy zaprosił pan jeszcze kogoś?

Lane odruchowo czekał, aż na to pytanie odpowie Edward, zaraz jednak przypomniał sobie, że to nie jego brat, lecz on sam ściągnął tu wszystkich zebranych.

– Nie. – Wstał i podszedł do drzwi przesuwnych prowadzących do gabinetu. – Jesteśmy gotowi.

Zamknął drzwi, po czym to samo zrobił z drugimi, prowadzącymi do holu. Gdy odwrócił się w stronę zgromadzonych, utkwiał wzrok w oczach Lizzie, która siedziała w krótkich spodenkach i koszulce polo, z jasnymi włosami ściągniętymi w kucyk, na obitej jedwabiem sofie. Z jej twarzy biła szczerść i otwartość.

Boże drogi, jak on ją kochał.

– No to do dzieła – rzucił.

Edward złożył dłonie w stożek, opierając łokcie na wyściełanych podłokietnikach. Po drugiej stronie salonu, na obitej jedwabiem sofie siedzieli sobie niczym dwa gołąbki jego młodszy brat i ta jego ogrodniczka. Edward musiał przyznać, że swoboda, z jaką okazywali sobie względy, nie była czymś typowym wśród małżeństw zawieranych przez Bradfordów. Lane w niewymuszony sposób obejmował Lizzie ramieniem, ona zaś zupełnie naturalnie trzymała dłoń na jego kolanie. Oboje też wciąż na siebie spoglądali, jakby sprawdzali, czy wszystko jest w porządku.

Edward z całego serca życzył Lane'owi szczęścia.

Natomiast Gin i jej przyszły małżonek reprezentowali znacznie bardziej tradycyjny model związku. Richarda Pforda nie było nigdzie widać, i dobrze. Nawet jeśli miał wkrótce wejść do rodziny, ich prywatne sprawy nie powinny go interesować.

– Zebraliśmy się tu po to, aby odczytać ostatnią wolę Williama Wyatta

Baldwine'a – oznajmił pan Jefferson, gdy już zasiadł w drugim fotelu i otworzył aktówkę.

– Czy nie powinna do nas dołączyć matka? – wtrącił Edward.

Wykonawca testamentu zerknął na niego sponad otwartej aktówki i powiedział bez zająknięcia:

– Nie sądzę, żeby należało jej przeszkadzać. Wasz ojciec chciał przede wszystkim zadbać o przyszłość swoich dzieci.

– Oczywiście.

Prawnik wydobył z aktówki dość gruby plik dokumentów.

– W ciągu ostatnich dziesięciu lat pełniłem funkcję osobistego prawnika zmarłego, z którym przez ten czas przygotowaliśmy trzy wersje jego testamentu. Ta jest ostateczna, podpisana przed rokiem. Stanowi ona, że w pierwszej kolejności spłacane będą długi osobiste, jak również stosowne podatki i honoraria. Pozostałe środki zasilą założony przez niego fundusz powierniczy, który ma zostać podzielony na trzy równe części. Jedną z nich otrzyma pani Virginia Elizabeth Baldwine, drugą pan Jonathan Tulane Baldwine, a trzecią pan Maxwell Prentiss Baldwine.

Przerwa na oddech.

Edward uśmiechnął się.

– Jak rozumiem, zostałem pominięty celowo.

Pan Jefferson smutno pokręcił głową.

– Tak mi przykro, synku. Prosiłem go, żeby cię uwzględnił, naprawdę.

– Zapewniam pana, że pominięcie mnie w testamencie wcale nie jest jego największą podłością względem mnie. Lane, przestań tak się na mnie gapić, co?

Jego młodszy brat odwrócił wzrok, a Edward wstał i podszedł do wózka na napoje.

– Komuś rodzinnej rezerwy?

– Ja poproszę – odezwał się Lane.

– Ja też – dołączył do niego Samuel.

Gin się nie odzywała, ale jej oczy też śledziły każdy ruch Edwarda. Prawnik tymczasem objaśniał rozmaite szczegóły testamentu. Samuel podszedł do wózka na napoje, żeby zabrać szklanki z bourbonem dla siebie i dla Lane'a, a następnie Edward nalał też sobie i wrócił na fotel.

Mógł szczerze powiedzieć, że nic nie czuł. Ani złości, ani żadnych sentymentów. Nie trawiła go nagła chęć zasypiania przepaści oddzielającej go od ojca, nawiązania z nim kontaktu, uporządkowania wszystkich zaszłości, naprawienia tego, co złe.

Ciężko pracował, żeby zyskać do niego taki dystans. Pomogły mu lata zmagania z charakterystycznymi dla ojca sprzecznościami: jego ognistą nienawiścią i lodowatym chłodem.

Uważał, że pozostali też nie powinni się tym specjalnie przejmować – w każdym razie nie nim i jego wydziedziczeniem. Jego relacje z ojcem, cokolwiek by o nich mówić, nie powinny interesować nikogo oprócz nich dwóch. Edward nie miał ochoty otrzymywać wyrazów współczucia; jego brat i siostra powinni podejść do sprawy równie obojętnie jak on sam.

Przed rokiem, pomyślał.

Ciekawe, dlaczego dokonano wówczas zmian w testamencie. Chociaż może wcześniejsze wersje też Edwarda nie uwzględniały? Może nigdy nie figurował na liście osób, o których przyszłość ojciec zamierzał zadbać?

– A teraz przejdźmy do zapisów indywidualnych – oznajmił pan Jefferson, po czym odchrząknął. – Dość poczesne miejsce w testamencie zajmuje nieżyjąca już pani Rosalinda Freeland. Zamieszkiwany przez nią dom przy Cerise Circle 3072 w dzielnicy Rolling Meadows w rzeczywistości należał do pana Baldwine'a. Wedle jego życzenia dom ten powinien zostać jej przekazany. W przypadku jednak, gdyby to ona zmarła wcześniej, co zresztą właśnie się stało, nieruchomości tę, wraz z kwotą dziesięciu milionów dolarów, ma otrzymać jej syn Randolph Damion Freeland. Wspomniane środki mają zostać umieszczone w funduszu powierniczym, do którego miałby on zyskać dostęp po ukończeniu trzydziestu lat. Pieczę nad funduszem miałbym sprawować ja sam lub wyznaczona przeze mnie osoba.

Zapadła cisza. I to taka, w której było słyhać najdrobniejszy szelest.

Aha, więc to dlatego nie chciałeś, żeby matka tu schodziła – pomyślał Edward.

Samuel skrzyżował ręce na piersi.

– No cóż...

Starczyło to za cały komentarz. Nikt inny nic już nie mówił. Nie ulegało jednak wątpliwości, że Chantal nie była jedyną kobietą, której William Baldwin zrobił nieślubne dziecko.

Niewykluczone, że na świecie żyła jeszcze cała gromada jego synów i córek.

Choć właściwie nie miało to dla Edwarda większego znaczenia, podobnie jak wszelkie zapisy w testamencie. Przybył do Easterly w zupełnie innym celu. Musiał tylko zadbać o to, żeby nikt się nie domyślił prawdziwego powodu jego wizyty.

Miał do załatwienia pewien drobiażdżek, jak powiedziałyby jego babcia.

Podczas gdy pan Jefferson odczytywał długie ustępy napisanego prawniczym żargonem testamentu, Gin ani go zbyt nie słuchała, ani nie przejmowała się zanadto faktem, że Edward został w nim pominięty. Jej umysł zaprzętała jedna myśl: że Amelia wróciła do domu, a Samuel, siedzący tu na sofie jako prawnik reprezentujący interesy Lane'a... znajdował się pod jednym dachem z własną córką.

Choć oczywiście żadne z nich o tym nie wiedziało.

Z powodu Gin.

Z całej siły starała się usunąć z rozszalałej wyobraźni obraz ich obojga siedzących ramię w ramię. Próbowwała nie zwracać uwagi na ich fizyczne podobieństwo, które uderzało ją teraz z niesamowitą siłą: identyczne rysy twarzy, te same ruchy, mrużenie oczu podczas zadań wymagających szczególnej koncentracji. Odpychała też od siebie oczywisty fakt, że oboje za wizerunkiem osób raczej małomównych skrywali ponadprzeciętną inteligencję, jakby nie chcieli się z nią zbyt afiszować.

– I to by było na tyle, jeśli chodzi o najistotniejsze zapisy w testamencie – oznajmił pan Jefferson, zdejmując okulary. – Jeśli mają państwo jakieś pytania, chętnie na nie teraz odpowiem. Dokument czeka jeszcze na zatwierdzenie, kiedy zaś to nastąpi, rozpocznie się wycena majątku.

Zapadła cisza. Po chwili przerwał ją Lane:

– Myślę, że powiedział pan wszystko, co było do powiedzenia. Odprowadzę pana. Samuel, pójdiesz z nami?

Gin pochyliła głowę i dopiero wówczas pozwoliła sobie śledzić wzrokiem Samuela, który wstał z sofy i podszedł do drzwi przesuwanych, żeby je otworzyć przed swoim klientem oraz wykonawcą testamentu jego ojca. Nawet

na nią nie spojrział. Wcześniej też ani się z nią nie przywitał, ani na nią nie patrzył.

No ale to w końcu spotkanie służbowe.

W przypadku Samuela jedno było pewne – choćby po godzinach zachowywał się w sposób zupełnie dziki i szalony, to gdy tylko wchodził w rolę poważnego prawnika, nic go nie mogło z niej wytrącić.

Gin dla niego wówczas po prostu nie istniała. Jak zresztą każda inna osoba niemająca znaczącego wpływu na interesy jego klienta.

W zwykłych okolicznościach ten całkiem uzasadniony wyraz profesjonalizmu niezmiernie ją irytował i aż ją kusilo, żeby zastąpić Samuelowi drogę i domagać się należytej uwagi. Jednak świadomość, że gdzieś w rezydencji przebywa obecnie Amelia, skutecznie ją wyleczyła z tego rodzaju niedojrzałych pomysłów.

Skoro przebywali w tym samym budynku, siłą rzeczy narzucały jej się wnioski co do konsekwencji nieujawnienia przez nią stosownych informacji. Niczym złodziejka pozbawiła ich należnych im wspólnych lat oraz podstawowej wiedzy. Po raz pierwszy w życiu dopadły ją wyrzuty sumienia, a były one tak dotkliwe, że czuła się wręcz wewnętrznie poraniona.

Ale jak niby miałyby to wszystko teraz ujawnić? Stała przed ogromną górą, i nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, jak ją zdobyć – jej szczyt majaczył zbyt daleko, zbyt wysoko, ponad skalistym terenem wszystkich dni i nocy oraz minionych zdarzeń.

Tak, pomyślała. Właśnie dlatego zawsze robiła wokół siebie tyle szumu, stąd brały się jej wszystkie szalone pomysły. Jeśli się stale dzwoni sobie przed nosem talerzami orkiestrowymi, wówczas zagłusza się wszystko inne, włącznie z własnym sumieniem.

Jej własnym sumieniem.

– Jak tam?

Wyrwana z zamyślenia spojrzała na swojego brata Edwarda. Oczy miała pełne łez, musiała więc zamrużyć, żeby go dobrze zobaczyć.

– Tylko bez takich – powiedział sztywno.

No i dobrze, niech myśli, że to on jest przyczyną jej poruszenia.

– Oczywiście – odparła, ocierając oczy. – Edward... Jak ty...

...wyglądasz – dodała w myślach, zapominając o własnych problemach.

Boże drogi, jaki on wychudzony i przygarbiony, w ogóle nie przypomina głowy rodziny, choć w myślach wciąż go za nią uważała. Nie podobała jej się ta zmiana optyki. Czuła się dziwnie. W pewnym sensie łatwiej jej było się pogodzić ze stratą ojca, niż porzucić obraz brata, który od zawsze w sobie nosiła.

– Mam się znakomicie – odpowiedział, jakby właśnie o to go pytała. – A ty?

A ja... wyczekuję własnego upadku – pomyślała. To tak jak z historią naszej rodziny, której problemy wciąż jeszcze są duszone wewnątrz, ale w końcu będą musiały wyjść na światło dzienne.

– W porządku. – Machnęła ręką. – Ale jak my w ogóle ze sobą rozmawiamy? Zachowujemy się całkiem jak nasi rodzice!

Wstała z fotela i objęła brata. Nie potrafiła powstrzymać grymasu zdziwienia, gdy poczuła samą skórę i kości. Edward nieco niezręcznie poklepał ją po ramieniu, a potem zrobił krok w tył.

– Jak rozumiem, należą ci się gratulacje. – Ukłonił się sztywno. – Postaram się dotrzeć na tę uroczystość. Kiedy?

– W... piątek. Nie, raczej w sobotę. W sumie to... nie wiem. Ślub cywilny będzie w piątek, ale jeszcze nie wiem, co z przyjęciem weselnym.

Nagle zdała sobie sprawę, że w ogóle jej ta kwestia nie interesuje.

– Piątek. – Edward skinął głową. – No cóż, najlepsze życzenia dla młodej pary.

Po tych słowach pokuśtykał ku wyjściu. Mało brakowało, a zastąpiłaby mu drogę i zaczęła się domagać, żeby jej powiedział, co tak naprawdę myśli. Jej dawny brat na pewno nie przyjąłby z takim spokojem wieści o jej zaręczynach z człowiekiem pokroju Richarda. Edward przez wiele lat kontaktował się z nim w interesach i nigdy nie miał o nim najlepszego zdania.

A gdyby ten dawny Edward wiedział, co się dzieje za zamkniętymi

drzwiami?

Wówczas mógłby zapalać żądzą mordy.

Jego osobowość podryfowała jednak w zupełnie inną stronę, podczas gdy Gin ze wszelkich sił starała się zachować swoje dawne ja. Żadne z nich zbyt wiele w ten sposób nie osiągnęło.

Gdy Gin została w salonie sama, usiadła z powrotem w fotelu i tak już zastygła, jakby dotknął ją jakiś dziwny paraliż. Głosy i kroki w holu stopniowo cichły. Potem zaś na opromienionym słońcem trawniku obok rezydencji, całkiem niedaleko miejsca, w którym niedawno dokonano makabrycznego odkrycia, dwaj prawnicy i jej brat Lane pograżyli się w rozmowie.

Przez ornamentowe szyby staroświeckiego okna patrzyła na Samuela. Jego twarz jakby w ogóle się nie zmieniała – była równie pięknie rzeźbiona i doskonale proporcjonalna jak wcześniej. Włosy miał nieco dłuższe niż zwykle u mężczyzn, zaczesane do tyłu. Garnitur szyty na miarę leżał na jego smukłym ciele doskonale – wszystkie fałdy materiału, rękawy, nogawki układały się idealnie, tak jak to zaplanował krawiec.

Przypomniała sobie, jak podczas śniadania przed derby posuwał tę dziewczynę na stole w piwnicy, gdzie przechowywano wino. Gin kryła się wówczas w kącie i płakała, a on tymczasem doprowadzał tę panienkę do stanu, której mogły jej tylko pozazdrościć gwiazdy porno.

Jeśli patrzeć na to z perspektywy całej ich znajomości, był to zaledwie kolejny epizod z serii wzajemnych odwetów, której początkiem był ich pierwszy pocałunek (Gin miała wówczas czternaście lat), a kulminacją – narodziny Amelii.

Problem polegał na tym, że kiedy tylko przestawali się kłócić, szarpać i wbijać sobie kolejne szpile, Samuel przemieniał się w... najcudowniejszego, najbardziej niesamowitego i pełnego życia mężczyznę, jakiego Gin w życiu poznała.

Kiedyś powiedziałyby, że jej małżeństwo nie będzie dla ich związku żadną przeszkodą. Ich romans i tak zawsze przypominał niebezpieczne skrzyżowanie bez sygnalizacji świetlnej, na którym co chwila dochodzi do wypadków, lecą

iskry, czuć zapach benzyny i spalenizny, dookoła walają się kawałki gumy i blachy, szyby samochodów pokrywa siatka pęknięć, poduszki powietrzne się nadymają, a przebite opony flaczeją.

Dla znudzonej, niemającej w życiu zbyt wielu wyzwań południowej piękności takiej jak Gin nic jednak nie mogło się równać z uderzeniem adrenaliny zaraz przed wypadkiem. Nie miało też znaczenia, czy którekolwiek z nich romansowało też z kimkolwiek innym. Mogli mieć kochanków i kochanki, poważne związki lub przelotne romanse – jedyny stały element w życiu obojga stanowiła ich wzajemna relacja.

Gin widziała jednak wyraz twarzy Samuela, gdy ten dowiedział się o jej zaręczynach. Nigdy wcześniej tak na nią nie patrzył – i to tę jego minę miała teraz przed oczami podczas bezsennych nocy.

– Niezły diamencik ci zafundował.

Gwałtownie podniosła głowę. Samuel stał w drzwiach z założonymi rękami. Miał przymrużone oczy i zaciśnięte usta, jakby nie był zachwycony tym, że Gin wciąż jeszcze tu siedzi.

Schowała dłoń z pierścionkiem i odchrząknęła.

– Nie potrafi pan trzymać się z dala, panie mecenasie?

Niezbyt udana drwina. Ton głosu Gin zdradzał jej przygnębienie, co całkiem niweczyło jej szyderczy potencjał.

– Nie pochlebiaj sobie – rzucił Samuel, zmierzając w stronę sofy. – Zostawiłem tu aktówkę. Nie przyszedłem na pogaduszki.

Już szykowała się na znajomy przyпіływ złości – właściwie to na niego czekała, choćby dlatego, że do takich reakcji była przyzwyczajona. Jakoś jednak nic się w niej nie zakotłowało, aż poczuła się niczym rozczarowana gospodyni oczekująca gościa, który mimo zapowiedzi nie zjawia się na kolacji. Samuel natomiast doskonale odgrywał swoją starą rolę: zadawał kolejne ciosy, używając coraz ostrzejszej amunicji.

– Proszę cię, nie przychodź na nasze przyjęcie weselne – wypaliła.

Wyprostował się, trzymając w ręku starą aktówkę po stryjecznym dziadku.

– Och, ale ja tak czekam, żeby cię zobaczyć u boku ukochanego. Chcę

czerpać inspirację z historii waszej prawdziwej miłości.

– Nie ma powodu, żebyś przychodził.

– Och, mam w tej kwestii inne zdanie...

– Co tu się dzieje? Już po wszystkim?

Do salonu wpadła Amelia, z całą energią szesnastolatki – choć była na tyle wyrosnięta i tak stylowo ubrana, że wydawała się starsza. W jej twarzy zaś Gin coraz wyraźniej widziała rysy jej ojca.

Boże drogi – pomyślała Gin, czując, jak przeszywa ją ból.

– A, cześć – mruknął Samuel znudzonym tonem. – Matka ci wszystko wyjaśni, jest dzisiaj bardzo rozmowna. Nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę w białej sukni, Gin. To już za kilka dni!

Potem zaś odwrócił się na pięcie i ruszył ku wyjściu. Nawet nie spojrzał na Amelię i zapewne w ogóle nie zaprzętał sobie głowy jej obecnością. Widząc to, Gin wstała i bez zastanowienia ruszyła za nim.

– Mamo? – dociekała dziewczyna, gdy Gin ją mijała. – Co się stało?

– Nie twoja sprawa. Nie należysz do spadkobierców. A teraz wybac mi na chwilę.

Amelia odburknęła coś niezbyt grzecznie, ale Gin miała teraz tylko jeden cel: dogonić Samuela, zanim ten odjedzie swoim jaguarem.

– Samuel... – syczała, stukając obcasami po marmurowej posadzce. – Samuel!

Wyszła za nim przez główne drzwi rezydencji. Wykonawca testamentu jej ojca akurat odjeżdżał wielkim czarnym mercedesem, a Lane szedł na tył domu.

– Samuel!

– Tak? – spytał, nie zatrzymując się ani nie oglądając za siebie.

– Nie widzę powodu, dla którego miałbyś zachowywać się niegrzecznie!

Samuel wsiadł do kabrioletu, położył aktówkę na siedzeniu pasażera i podniósł wzrok na stojącą obok Gin.

– I ty to mówisz?

– Przecież to jeszcze dziecko...

– Czekał, chodzi ci o Amelię?

– Oczywiście, że tak! Minąłeś ją, jakby była powietrzem!

Samuel potrząsnął głową, jakby coś mu nie pasowało.

– Zaraz, bo nie bardzo rozumiem. Zdenerwowałaś się, ponieważ nie okazałem dość szacunku dziecku, które ci zrobił jakiś inny facet?

O Boże...

– Ale ona nie jest niczemu winna.

– Winna? Jakbyś chciała wiedzieć, spotkaliśmy się tam po to, żeby odczytać testament jej dziadka, a nie przesłuchiwać oskarżonych o jakieś przestępstwo. Kwestia winy lub niewinności nie ma tu nic do rzeczy.

– Zlekceważyłeś ją.

– Wiesz co? – Samuel wymierzył w jej stronę oskarżycielski palec. – O ile wiem, jesteś ostatnią osobą, która może kogokolwiek oskarżać o lekceważenie tego dziecka.

– Jak śmiesz?!

Samuel wbił wzrok w przestrzeń na wprost siebie, ponad długą, pięknie ukształtowaną maską jaguara.

– Gin, nie mam czasu na te żale. Mam zaraz rozmowę z prawniczką żony twojego brata. A w przeciwieństwie do tej tutaj awanturki to jest akurat...

– Nie możesz znieść, że nie wszyscy uważają cię za Boga!

– Nie, raczej po prostu ciebie nie mogę znieść. Ta sprawa z Bogiem to wątek poboczny.

Nie czekając na jej ripostę, włączył silnik, nacisnął kilkakrotnie pedał gazu, żeby się upewnić, że wszystko działa, a potem ruszył w ślad za wykonawcą testamentu, oddalając się od rezydencji.

Gin patrzyła za nim. Chciało jej się krzyknąć.

Miała ochotę wykrzyknąć światu wszystkie swoje uczucia do Amelii, Samuela, Richarda...

Przede wszystkim jednak chciała krzyknąć o sobie i swoich wszystkich popełnionych w życiu błędach. I o smutku płynącym z wiedzy, że w pięknym

wieku trzydziestu trzech lat ma już za mało czasu, żeby naprawić wyrządzone dotąd krzywdy.

Lane szedł na tyły rezydencji z nadzieją, że złapie jeszcze Edwarda, zanim ten odjedzie. Był pewien, że jego starszy brat przyjechał do rezydencji drogą dla personelu, ponieważ od czasu gdy do mediów trafiła wieść o śmierci ich ojca, przed główną bramą stały samochody ekip telewizyjnych. Nie miał też wątpliwości, że Edward będzie chciał szybko stąd wyjechać, zważywszy na treść testamentu.

Trudno było znaleźć odpowiednie słowa dla tego ostatniego wyczynu ich ojca – co prawda wykluczenie pierworodnego syna ze spadku całkiem pasowało do charakteru Williama Baldwine'a, lecz mimo wszystko stanowiło spore zaskoczenie.

Ostateczny wyraz pogardy, któremu nie można się nijak przeciwstawić, ponieważ zmarli zabierają wszystkie karty do grobu.

Lane chciał więc... coś powiedzieć albo się tylko upewnić... sam właściwie nie wiedział, co zamierza zrobić. Nie łudził się natomiast, że Edward będzie chciał go wysłuchać – czasem jednak człowiek po prostu musi spróbować, w nadziei, że ta druga osoba potem, w jakiejś chwili namysłu, przypomni sobie te starania, nawet jeśli wypadną one dość niezręcznie.

W krótkim rzędzie samochodów stojących przed centrum biznesowym nie dostrzegł pikapa stadniny Red & Black, za to przy czerwonym mercedesie podarowanym przez Lane'a Aurorze czekała jakaś stara toyota. To nią zapewne przyjechał Edward, nie siedział teraz jednak za kierownicą ani nie kuśtykał w jej stronę. Zresztą w ogóle nie było go nigdzie widać.

Lane otworzył tylne drzwi do kuchni i wetknął głowę do środka. Aurora stała przy kuchence.

– Widziałaś może Edwarda?

– Przyjechał? – spytała, odwracając się w stronę Lane'a. – To idź mu powiedz, że ma tu do mnie przyjść, jak już tu jest.

– Kiedy właśnie nie wiem, gdzie on jest.

Lane szybko sprawdził pomieszczenia na parterze, aż w końcu zatrzymał się przy schodach. Nie potrafił jednak wymyślić powodu, dla którego jego brat miałby zdobyć się na taki wysiłek, żeby wejść na górę.

– Gdzieś ty się podział? – mruknął pod nosem.

Wyszedł do ogrodu i ruszył w stronę centrum biznesowego. Wszystkie drzwi balkonowe od strony klombów były zamknięte od środka, musiał więc obejść budynek i skorzystać z wejścia otwieranego kodem.

Gdy tylko znalazł się w środku, wiedział już, że dobrze wytropił Edwarda – w korytarzu znów świeciły się górne światła, co oznaczało, że brat włączył prąd.

– Edward?

Lane szedł po miękkiej wykładzinie korytarza i zaglądał do kolejnych pustych gabinetów. Wciąż wydzwaniali do niego wkurzeni przedstawiciele wyższej kadry kierowniczej: przewodniczący rady nadzorczej, wiceprezesa, a nawet firmowy prawnik. Żaden z nich jednak nie ośmielił się przyjechać do Easterly, co niewątpliwie oznaczało, że podejrzenia Lane'a nie są bezpodstawne. Nawet jeśli teraz skrupulatnie usuwali dowody z siedziby głównej, nie miało to wielkiego znaczenia. Jeff co prawda ostatnio trochę się do niego zraził, ale jako wcielenie upierdliwej skrupulatności w analizach liczbowych zdążył przynajmniej zdobyć kopie wszystkich danych widocznych w systemie, zanim ogłoszono stan alarmowy.

Wszelkie zmiany stanowiły więc równie mocny materiał dowodowy co same przekręty, które próbowano teraz zatuszować.

Zmierzając w stronę gabinetu ojca, Lane czuł, że serce bije mu jak młotem, a świadomość skrywa się za barierą wzmożonej czujności – zupełnie jak u kogoś, kto w oczekiwaniu na wybuch bomby chowa się za murem.

– Edward?

Zbliżając się do gabinetu ojca, zwolnił.

– Edward...?

Drzwi były zamknięte, a Lane nie mógł sobie przypomnieć, czy sam ich przypadkiem nie zamknął poprzedniego dnia, gdy kończyli już akcję

wyrzucania stąd pracowników. Sięgając ku kłamce, nie wiedział, co znajdzie po drugiej stronie. Nie był też pewien, czy w ogóle chce to zobaczyć.

Otworzył drzwi na oścież.

– Edward...

W gabinecie panowała ciemność. Gdy Lane nacisnął włącznik światła na ścianie, okazało się, że tam też jest całkiem pusto.

– Gdzieś ty się, do diabła...

Obrócił się i zobaczył Edwarda tuż za swoimi plecami.

– Szukałeś mnie?

Lane zaklął i złapał się za serce.

– Co ty tu robisz?

– Odwiedzam moje dawne zmory.

Lane upewnił się, czy jego brat nie chowa czegoś w dłoniach, kieszeniach lub za plecami.

– Poważnie pytam. Co tu robisz?

– Gdzie są te wszystkie grube ryby?

– W siedzibie głównej, w swoich mniej okazałych gabinetach.

– Pozwalniałeś ich?

– Powiedziałem im tylko, żeby stąd spadali – odparł Lane, analizując rysy twarzy brata. – Bo w przeciwnym razie pójdą siedzieć.

Edward się uśmiechnął.

– Sam teraz będziesz prowadził firmę?

– Nie.

Nastąpiła chwila ciszy.

– To jaki masz plan?

– Chciałem tylko jakoś się ich stąd pozbyć.

– I myślisz, że w ten sposób zdołasz zatrzymać tę finansową katastrofę?

– Ojciec nie żyje, już to powinno ją zatrzymać. Dopóki jednak nie będę miał pewności, wolę nie ryzykować.

Edward pokiwał głową.

– Cóż, całkiem nieźle kombinujesz. Możesz mieć rację. Ale powinieneś pomyśleć, kto w takim razie obejmie teraz stery, skoro on nie żyje.

– A ty nie szukasz czasem pracy?

– Już mam robotę. Jestem wykwalifikowanym alkoholikiem.

Lane spojrzał ponad ramieniem brata w pustą przestrzeń recepcji.

– Edward, musisz mi coś powiedzieć. Coś, co zostanie między nami, okej?

– No wiesz, tu wszędzie są podsłuchy. Ukryte kamery i mikrofony. W tym budynku nie ma miejsca na sekrety, uważaj więc, o co chcesz mnie spytać.

Lane poczuł, że znów musi się napić.

Po pełnej napięcia chwili milczenia wymamrotał w końcu:

– Wybierasz się na pożegnanie?

– Nie bardzo wiem, po co miałbym się tam zjawiać. Nie jestem pogrążony w żałobie ani nie żywię do zmarłego żadnych ciepłych uczuć. Nie gniewaj się, ale nie.

– Wcale się nie gniewam i doskonale to rozumiem. Tyle że matka pewnie zejdzie na dół.

– Tak myślisz?

Lane pokiwał głową i czekał, aż brat coś jeszcze powie. On jednak milczał.

– Posłuchaj, Edward... Naprawdę żałuję, że...

– Głupstwa pleciesz. Nie możesz niczego żałować, bo nic złego nie zrobiłeś. Nic tutaj nie jest twoją winą. A żałować można tylko własnych przewinień. To wszystko, braciszku?

Lane'owi nic więcej nie przychodziło już do głowy. Edward pokiwał głową.

– Rozumiem, że to wszystko. Uważaj na siebie i nie dzwoń do mnie, jak będziesz czegoś potrzebować. Nie jestem odpowiednią osobą do załatwiania takich spraw.

Porsche przejeżdżające przez dzielnicę Rolling Meadows skupiało na sobie sporą uwagę, choć Lane wcale nie jechał zbyt szybko. Już jednak sam widok luksusowego kabrioletu i brzmienie jego silnika sprawiały, że oglądali się za nim ludzie z psami na spacerze, dzieci bawiące się na ulicy oraz matki z wózkami. Pomimo dość gęstej zabudowy domy były całkiem spore, przeważnie ceglane. Jedne wyróżniały się wieżyczkami, inne miały balkony, okna wykuszowe na parterze lub mansardowe na piętrze – wyglądały jak rodzeństwo, które ma taką samą karnację, ale różne rysy twarzy. Na niewielkich podjazdach stały samochody marek takich jak Volvo, Infiniti czy Acura, nad drzwiami garaży sterczały obręcze do koszykówki, na tarasach z tyłu czekały grille.

W popołudniowym słońcu opromieniającym drzewa jak z pocztówek oraz lśniącej zielenią trawniki, po których biegały całe bandy miejscowej dzieciarni, łatwo było cofnąć się pamięcią do czasów sprzed pokolenia cyfrowego dzieciństwa.

Nawigacja samochodowa wytrwale prowadziła samochód Lane'a przez labirynt uliczek, których nazwy początkowo odwoływały się do różnych gatunków drzew, potem kwiatów, aż w końcu owoców.

Cerise Circle nie wyróżniała się niczym spośród pozostałych ulic w tej okolicy. Gdy Lane wreszcie zajechał przed dom, którego szukał, nie zauważył nic, co by go szczególnie odróżniało od pozostałych.

Zaparkował po drugiej stronie ulicy. Dzięki złożonemu dachowi słyszał dochodzące zza garażu miarowe kozłowanie piłką do kosza. Dźwięk „bęć, bęc, bęc” zdawał się odbijać od ścian sąsiedniego budynku.

Lane zgasił silnik, wysiadł i ruszył chodnikiem w tamtą stronę. Kiedy

jednak doszedł na tył domu, dzieciaka trenującego koszykówkę już nie było. Lane miał ochotę po prostu wsiąść do swojego pieprzonego samochodu i odjechać.

Przyczyną nie była jednak jego niezdolność do konfrontacji z chodzącym dowodem niewierności ojca ani też lęk przed spojrzeniem w twarz tak podobną do jego własnej. Nie, sam fakt, że ktoś nieznajomy okazał się z nim spokrewniony i został wymieniony w testamencie ojca, nie wywrócił jego świata do góry nogami.

Prawdziwym powodem jego niechęci było po prostu skrajne wyczerpanie. Lane nie bardzo miał siłę troszczyć się o kogoś jeszcze. Wiedział jednak, że ten biedny dzieciak, który nikomu w niczym nie zawinił, zaraz zostanie wciągnięty w czarną dziurę wsysającą właśnie cały ród Bradfordów, czuł więc, że musi przynajmniej spróbować jakoś gówniarza poprowadzić.

Nieżyły prezent od losu – zwłaszcza teraz, gdy z całej fortuny niemal nic nie zostało.

Taka sobie wygrana.

Podjazd miał niecałe dziesięć metrów długości – niewiele więcej niż pojedyncze miejsce parkingowe w Easterly. Lane ruszył na tył domu, a jego oczom stopniowo ukazywała się postać wysokiego osiemnastolatka z piłką do koszykówki. Miał ciemne włosy i dość szerokie bary jak na swój wiek. Pewnie jeszcze urośnie.

Chłopak rzucił piłką do kosza, ale odbiła się od obręczy. Lane złapał ją w locie.

– Cześć!

Randolph Damion Freeland zamarł w bezruchu. Na jego twarzy najpierw malowało się zaskoczenie, później zaś szok.

– Rozumiem, że wiesz, kim jestem – powiedział cicho Lane.

– Tak, widziałem pana zdjęcie.

– Wiesz, po co tu przyjechałem?

Chłopak skrzyżował ręce na piersi. Między mięśniami klatki piersiowej a bicepsami miał wciąż spore szpary, ale można było podejrzewać, że wkrótce

znikną, gdy tylko nabierze jeszcze trochę masy mięśniowej.

Boże drogi, jego oczy miały dokładnie ten sam odcień błękitu co Lane'a.

– On nie żyje – wymamrotał Randolph. – Czytałem o tym.

– Czyli wiesz...

– Kto był moim ojcem? Tak. – Chłopak opuścił wzrok. – Czy pan zamierza tak jakby...

– Tak jakby co?

– Nasłać na mnie gliny czy coś takiego?

– Co? Dlaczego miałbym to zrobić?

– Nie wiem. W końcu jest pan Bradfordem.

Lane przymknął na chwilę oczy.

– Nie. Przyjechałem, żeby powiedzieć ci coś ważnego. A także złożyć kondolencje w związku ze śmiercią twojej matki.

– Zabiła się. U was w domu.

– Tak, wiem.

– Podobno to pan znalazł jej ciało. Tak pisali w gazecie.

– Zgadza się.

– Nawet się ze mną nie pożegnała. Po prostu wyszła rano z domu i już nie wróciła. No wie pan, normalnie zniknęła.

Lane pokręcił głową, ściskając piłkę trzymaną w dłoniach.

– Naprawdę bardzo mi przykro...

– Jak pan śmie! Jak pan śmie!

Na werandę wypadła z pełną parą starsza kobieta o twarzy tak wykrzywionej wściekłością, że nie potrzebowała już strzelby.

– Proszę go zostawić w spokoju! Niech się pan wynosi!

– Babciu, przestań! Tylko rozmawiamy.

Chłopak stanął między starszą panią a Lane'em. Kobieta, machając rękami, próbowała go ominąć, żeby dopaść Lane'a.

– Niech się pan wynosi! Jak pan śmie tu przyjeżdżać!

– Chłopak jest spadkobiercą, dlatego przyjechałem.

Babcia z wnuczką na chwilę przestali się szarpać. Lane pokiwał głową.

– Otrzymał w spadku ten dom oraz dziesięć milionów dolarów. Uznałem, że powinniście o tym wiedzieć. Skontaktuje się z wami wykonawca testamentu. Nie wiem, jakimi kwotami faktycznie dysponujemy, ale chcę powiedzieć, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ten dom pozostał w rękach pani wnuczka.

Bo przecież mogło też zdarzyć się tak, że i ta nieruchomość zostanie zlicytowana, w zależności od kwot zadłużenia. I gdzie wówczas miałyby wylądować ten dzieciak?

Starsza pani otrząsnęła się z zaskoczenia i wróciła do ofensywy.

– Niech pan tu nigdy więcej nie przyjeżdża!

Lane spojrzał chłopakowi prosto w oczy.

– Wiesz, gdzie mieszkam. Gdybyś miał jakieś pytania albo chciał po prostu pogadać...

– Nigdy! – wrzasnęła kobieta. – On nigdy się do pana nie zgłosi! Nie może pan mi zabrać i jego!

– Babcock Jefferson – rzucił jeszcze Lane, odkładając piłkę. – Tak nazywa się wykonawca testamentu.

Obrócił się na pięcie i ruszył w stronę samochodu, mając wciąż przed oczami obraz chłopaka zagradzającego drogę babci. Pomyślał, że ma teraz zupełnie nowe powody, żeby nienawidzić ojca, naprawdę poważne.

Usiadł za kierownicą i włączył silnik. Miał ochotę ruszyć z piskiem opon, ścinać zakręty, obijać się o samochody zaparkowane przy drodze, przejechać kilka rowerów. Jakoś się jednak powstrzymał.

Zbliżał się już do wyjazdu z dzielnicy, gdy zadzwoniła jego komórka. Nie rozpoznał numeru, ale i tak odebrał, uznając, że lepsza nawet rozmowa z telemarketerem niż słuchanie własnych rozszalałych myśli.

– Tak?

– Pan Baldwin? – odezwał się kobiecy głos. – Czy rozmawiam z panem Lane'em Baldwinem?

Lane włączył lewy kierunkowskaz.

– Tak, to ja.

– Nazywam się LaKeesha Locke i jestem reporterką działu biznesowego „Charlemont Courier Journal”. Zastanawiałam się, czy moglibyśmy się gdzieś spotkać.

– W jakiej sprawie?

– Przygotowuję artykuł na temat Bradford Bourbon Company, która ma obecnie poważne kłopoty finansowe i grozi jej bankructwo. Ukaże się jutro rano. Pomyślałam, że może zechciałby pan tę sprawę skomentować.

Lane mocno zacisnął zęby, żeby nie wycedzić jakiegoś przekleństwa.

– A dlaczego miałbym chcieć coś komentować?

– No cóż, jak rozumiem, bo to chyba dość oczywiste, losy pana rodziny są ściśle związane z losami firmy, prawda?

– Ja jednak nie jestem zaangażowany w działania firmy.

– Twierdzi więc pan, że nie ma pan pojęcia o tych trudnościach?

Lane starał się panować nad głosem.

– Gdzie pani teraz jest? Przyjadę.

Budynek gospodarczy w Easterly bardziej przypominał hangar na lotnisku niż zwykłą szopę. Znajdował się w tylnej części rozległego terenu wokół rezydencji, w pobliżu parkingu dla personelu oraz rzędu staroświeckich domków, od wielu dekad zamieszkiwanych przez pracowników obsługi.

Buty Lizzie stukotały o poplamioną betonową podłogę, gdy wchodziła do mrocznej przestrzeni pachnącej benzyną i olejem. W środku stały w równych rzędach traktory, kosiarki przemysłowe, glebogryzarki i wózki. Wszystkie pojazdy lśniły czystością i sprawiały wrażenie stuprocentowo sprawnych.

– Gary? Jesteś tu?

Gabinet głównego zarządcy mieścił się w odległym rogu budynku. Przez młeczne szyby przenikało światło.

– Gary?

– Nie ma mnie tam. Ani tu.

Lizzie skręciła w stronę, z której dobiegał głos, i obeszła rozdrabniacz do drewna oraz kilka ogromnych lemieszki do pługa śnieżnego, wielkością dorównujących jej starej toyocie.

– Rany boskie, nie podnoś tego! – wrzasnęła.

Podbiegła do Gary’ego McAdamsa, który jednak nie zwrócił na nią uwagi i spokojnie dźwigał część bloku silnika, a następnie położył ją na blacie. Taki wyczyn robiłby wrażenie nawet w wykonaniu mężczyzny w sile wieku, Gary jednak był od Lizzie starszy o trzy dekady. Choć trzeba przyznać, że miał budowę buldoga, siłę wołu i stateczność wiekowego dębu.

– Oszczędzaj kręgosłup – mruknęła.

– Nic mi nie będzie – powiedział śpiewnie Gary. – Czego panience potrzeba?

Nie patrzył na nią, co jednak wcale nie oznaczało braku sympatii. W gruncie rzeczy doskonale im się ze sobą pracowało. Gdy Lizzie stawiała pierwsze kroki w Easterly, szykowała się na konfrontację z gburowatym zarządcą, która jednak nigdy nie nastąpiła. Pod przykrywką ostentacyjnej szorstkości ten samozwańczy „burak z Południa” okazał się człowiekiem niezwykle serdecznym i życzliwym.

– Rozumiem, że wiesz już o pożegnaniu zmarłego? – zagaiała.

– Ano tak.

Wskoczyła na blat i na nim usiadła. Machając w powietrzu nogami, przyglądała się, jak jego zgrubiałe dłonie dokładnie sprawdzają elementy silnika, pewnie i szybko przesuując się po starym metalu. Gary nie afiszował się ze znajomością mechaniki, nie byłoby to w jego stylu. Lizzie wiedziała o nim tyle, że jako dwunastolatek zaczął pracować na polach należących do Easterly i nigdy się stąd nie ruszał. Mieszkał w jednym z domków dla personelu, sam. Nie ożenił się i nigdy nie wyjeżdżał na wakacje. Nie pił też alkoholu. Zarządzał teraz zespołem około trzydziestu osób, które traktował sprawiedliwie, ale też surowo.

– Podać ci klucz francuski?

– Ano podaj.

Podawała mu go, a potem odłożyła na miejsce, gdy skończył. Potem podała mu coś innego, zanim zdążył o to poprosić.

– No więc tak – rozwinęła wąż. – Pożegnanie zmarłego jest jutro. Chcę tylko się upewnić, że trawnik przed głównym wejściem zostanie rano skoszony, ktoś przytnie bukszpany rosnące wzdłuż drogi, najlepiej już dzisiaj, a schody i dziedziniec oczyści dmuchawą.

– Tajest. Coś jeszcze trzeba w ogrodzie tam z tyłu?

– Chyba nie. Sprawdzimy jeszcze wszystko razem z Gretą.

– Jeden z moich chłopaków skosi też teren tam przy basenie.

– Świetnie. Klucz nasadowy?

– Ano.

Gdy podawała mu kolejne narzędzie, nagle spytał:

– To prawda, coście tam znaleźli?

– To Greta znalazła. Tak, to prawda.

Nie odrywał wzroku od pracy, a jego żyłaste dłonie o grubych palcach ani na chwilę nie wypadły z rytmu.

– Mhm.

– Sama nie wiem, Gary. Do tej pory myślałam, tak jak zresztą wszyscy, że skoczył. Ale teraz nie jestem już taka pewna.

– Były tu gliny?

– Tak, przyjechali śledczy z wydziału zabójstw. Ci sami, którzy tu byli, gdy znaleziono panią Rosalindę. Dziś rano chwilę z nimi rozmawiałam. Pewnie będą chcieli pogadać z tobą i wszystkimi pracownikami, którzy byli na terenie posiadłości mniej więcej w tym czasie, gdy zginął.

– Przykra sprawa.

– Tak, bardzo. Choć nigdy za nim nie przepadałam.

Lizzie przypomniała sobie ogłoszenie jego testamentu. Boże drogi, to było zupełnie jak scena z jakiegoś starego filmu: potomkowie zebrani w eleganckim salonie, zacny prawnik odczytujący poszczególne ustępy głosem Gregory'ego

Pecka.

– O co cię pytali?

– Normalnie: jak dokonaliśmy tego odkrycia, gdzie byłam przez dwa poprzednie dni. Tak jak mówiłam, na pewno z każdym będą chcieli pogadać.

– Ano.

Podąa mu kombinerki.

– Pracownicy też są zaproszeni.

– Na to pożegnanie?

– Aha. Jest otwarte dla wszystkich.

– Ale takiego robola jak ja raczej by nie chcieli widzieć tam, na pokojach.

– Na pewno byłbyś mile widziany. Możesz mi wierzyć. Ja idę.

– No bo to ojciec twojego chłopca.

Lizzie poczuła, że się rumieni.

– A skąd ty wiesz o mnie i Lanie?

– Nic tu się przede mną nie uchwaja, moja panno.

Przerwał pracę, sięgnął po starą czerwoną szmatę i zaczął wycierać nią dłonie. W końcu spojrzął na Lizzie, z łagodnym wyrazem ogorzałej twarzy.

– Niech ten Lane lepiej o ciebie dba. Bo jak nie, to już ja znam takie miejsca, gdzie można dobrze ukryć ciało.

Lizzie się roześmiała.

– Chętnie bym cię wyściskała, ale pewnie byś zemdlał.

– Nie byłbym taki pewien – odparł, ale przenosił przy tym ciężar ciała z nogi na nogę, wyraźnie zakłopotany. – Ale to na pewno w porządku chłopak, bo inaczej byś z nim nie była. No i widziałem, jak na ciebie patrzy. Już od lat robił do ciebie maślane oczy.

– Widzę, Gary, że masz duszę romantyka, choć zwykle nie dajesz tego po sobie poznać!

– Ja tam szkół nie kończyłem i nie znam takich wielkich słów.

– A ja myślę, że dobrze wiesz, co znaczą! – Lizzie dała mu lekkiego kuksańca w ramię. – Jeśli się zdecydujesz wpaść na to pożegnanie, możesz się

przylączyć do mnie i Greta.

– Mam robotę. Nie mam czasu na takie tam.

– Rozumiem. – Lizzie zeskoczyła z blatu. – No dobra, to ja lecę. Wszystko jest zamówione, a pani Aurora oczywiście zajmie się jedzeniem.

– Jak sobie radzi ten durnowaty kamerdyner?

– Nie najgorzej.

– Zawsze może być gorzej, no nie?

Lizzie ze śmiechem uniosła dłoń na pożegnanie i ruszyła w stronę zalanego słońcem ogrodu. Zanim jednak wyszła, Gary znów się odezwał:

– Ej, panienko Lizzie?

– Tak? – Odwróciła się, wpuszczając koszulkę polo w spodenki.

– Czy na urodziny pani Bradford coś się w tym roku szykuje? Mam coś przygotować?

– Boże drogi, zupełnie zapomniałam! W zeszłym roku chyba nic nie robiliśmy?

– Ale teraz to sześćdziesiąte piąte, tylko dlatego pytam.

– Rzeczywiście, to ważna rocznica – powiedziała Lizzie, myśląc o matce Lane'a zamkniętej w swojej sypialni. – Dowiem się. Zresztą i tak muszę jej jutro wymienić kwiaty.

– Są już pierwsze peonie.

– O tym samym pomyślałam.

– Gdyby coś jeszcze było potrzeba, wystarczy dać mi znać.

– Dziękuję, Gary. Zawsze można na ciebie liczyć.

Gdy Lane, po spędzeniu całych wieków w towarzystwie reporterki, wreszcie dotarł do Easterly, ruszył prosto na górę, nie zwracając uwagi na kolację podawaną właśnie w jadalni dla gości i puszczając mimo uszu utyskiwania pana Harrisa.

Zapukał jeden raz do drzwi dawnego gabinetu dziadka, po czym otworzył je na oścież.

Leżąca na łóżku Lillianna szybko usiadła i zasłoniła się prześcieradłem, skrywając przed wzrokiem Lane'a całkiem nagie ciało.

– Proszę nam wybaczyć – rzucił. – Mamy coś do załatwienia.

Jeff skinął na dziewczynę, żeby wyszła, ale ona niespecjalnie się spieszyła – snuła się jeszcze chwilę po pokoju owinięta prześcieradłem. Jeff tymczasem usiadł na łóżku i okrył się kołdrą.

W końcu zamknęła się w łazience, a po chwili wyszła stamtąd w stroju pokojówki i zniknęła za drzwiami prowadzącymi na korytarz. Lane był przekonany, że celowo zostawiła na podłodze przy łóżku czarne majteczki.

– Wszystko odbywało się za obopólną zgodą – mruknął Jeff. – Wolno mi chyba czasem się nieco...

– W tutejszej gazecie wiedzą już wszystko. Wszystko!

Jeff otworzył szeroko usta.

– Nie sądziłem, że tak mnie zrobisz w chuja! – warknął Lane.

– Ty myślisz, że polazłem z tym do prasy? – Jeff odchylił głowę w tył i się roześmiał. – Ty naprawdę myślisz, że poleciałem do nich z jęzorem i udzieliłem im jakichkolwiek...

– Mają dokładnie te informacje, nad którymi pracujesz. Strona po stronie.

Możesz mi to wyjaśnić? Myślałem, że mogę ci ufać...

– Przepraszam, ale czy ty właśnie oskarżasz mnie o jakieś gierki po tym, jak szantażem zmusiłeś mnie, żebym dalej dla ciebie pracował? Naprawdę?

– Okantowałeś mnie.

– No dobra, to posłuchaj. Przede wszystkim, gdybym miał zamiar zrobić cię w chuja, to uderzyłbym do „Wall Street Journal”, a nie jakiegoś „Charlemont Herald Post Tribune” czy jak ich, u diabła, zwą. W Nowym Jorku znam osobiście kilku reporterów. A w tym pieprzonym Kentucky nawet nie umiałbym ci powiedzieć, do kogo należałoby zadzwonić. Co więcej, jak ten tu koszmarek wreszcie się skończy, wracam nie gdzie indziej, tylko właśnie do Wielkiego Jabłka, kutasie. Nie sądzisz, że mógłbym tam jakoś skorzystać z długów wdzięczności za takiego newsa? Cały ten syf związany z twoją rodziną i waszym bourbonowym biznesikiem to materiał w sam raz na pierwsze strony gazet. I to nie byle kurierów lokalnych z jakiejś pipidówki. Zdecydowanie, gdybym miał coś chlapać, to chciałbym chociaż wyciągnąć z tego jakieś osobiste korzyści.

– Chryste Panie... – jęknął Lane.

– Do niego też bym raczej nie dzwonił. Głównie dlatego, że jestem Żydem.

Lane opuścił głowę i potarł oczy. Potem zaś zaczął chodzić po pokoju – od łóżka do biurka, od biurka do okna, od okna do komody.

W końcu zatrzymał się przy wysokich oknach. Jeszcze nie zapadał zmrok, choć pomału się zbliżał. Za linią horyzontu chowało się słońce, zabarwiając ziemię krwawą purpurą. Lane kątem oka widział notatki Jeffa, jego komputery i wydruki – cała ta wykonana dla niego praca aż kłuła go w oczy.

A jego stary kumpel siedział nagi w łóżku po drugiej stronie pokoju i patrzył na niego zamglonym wzrokiem. Lane wiedział, że tak naprawdę Jeff, choć z jego ust dopiero co wypłynął potok inwektyw, jest głęboko zraniony.

– Przepraszam cię – westchnął Lane. – Przepraszam... Wyciągnąłem zbyt pochopne wnioski.

– Dziękuję.

– Przepraszam też, że cię zmuszam do tej roboty. Po prostu... Tracę już,

kurwa, głowę. Czuję się, jakbym próbował uciec z płonącego domu, ale z każdej strony napotykam ścianę ognia. Liżą mnie płomienie, ja gorączkowo próbuję wciąż im zwać i już mi się rzygać od tego chce.

– Och, do kurwy nędzy – mruknął Jeff. – No i znów to samo.

Lane spojrzał przez ramię.

– Co?

– Znowu jesteś taki milusi. Właśnie tego w tobie nie cierpię. Najpierw mnie wkurzasz i doprowadzasz do szału, a potem robisz się nagle wylewny i już nie potrafię się na ciebie wściekać, kiedy widzę, jak pomimo tej swojej uprzywilejowanej pozycji białego paniczka dostajesz po dupie. Jakbyś chciał wiedzieć, to z prawdziwą przyjemnością się na ciebie wkurzałem. To jedyna rozrywka, na jaką mogę tu liczyć, no, poza Lillianną.

Lane uśmiechnął się półgębkiem, a potem znów utkwił wzrok w przestrzeni za oknem.

– Wylewny, co? Jak chcesz, to będę naprawdę wylewny. I powiem ci coś, czego jeszcze nikomu nie mówiłem...

– Dawaj. Im lepiej zrozumieję, co tu się dzieje, tym więcej będę mógł działać i mniej się będę męczyć z tym, że nie dajesz mi stąd uciec.

W oddali na niewidocznych prądach powietrznych szybował jastrząb. Przecinał niebo prostymi liniami i brał ostre zakręty, jak gdyby pośród zmierzchu kryły się w przestworzach szosy i rozjazdy widoczne tylko dla ptaków.

– Myślę, że to mój brat go zabił – powiedział Lane. – Myślę, że zrobił to Edward.

A niech to! Jeff z prawdziwą przyjemnością nurzał się w słusznym gniewie. Dzięki niemu gładko jechał na adrenalinie, stale czując, jak coś go pali w klatce piersiowej i wciąż na nowo ładuje mu akumulatory, dzięki czemu mógł całą noc się nie kłaść, tylko analizować liczby i wertować dokumenty.

Ale przecież w toku ich długiej znajomości zdarzały im się już takie epizody, dłuższe nieporozumienia lub różne durne spory, które ich od siebie

oddalały. Potem jednak jakoś zawsze temu dupkowi z Południa udawało się skrócić dzielący ich dystans.

No i właśnie znów tego dokonał. Zwłaszcza tym swoim cholernym wyznaniem.

– Kurwa mać – powiedział Jeff, opadając na poduszki. – Mówisz poważnie?

Idiotyczne pytanie.

Bo przecież tego rodzaju oskarżeń nie rzuca się na wiatr, nawet w żartach, zwłaszcza w takich okolicznościach, jakie ostatnio panują w tym domu. A Lane nawet by o swoim bohaterskim starszym bracie czegoś takiego nie pomyślał, gdyby nie miał naprawdę dobrego powodu.

– Ale dlaczego? – wymamrotał Jeff. – Dlaczego Edward miałby coś takiego zrobić?

– Tylko on ma prawdziwy motyw. Ojciec był okropnym człowiekiem i wielu wpływowym osobom wyrządził dużo krzywd. Ale przecież Monteverdi nie zamordowałby go za ten dług, raczej by chciał odzyskać pieniądze. Nie mogła też tego zrobić Rosalinda, bo już nie żyła, gdy ojciec wpadł do rzeki. Gin od dziecka go nienawidziła, ale nie chciałaby sobie pobrudzić rąk. Matka również miała zawsze odpowiednie powody, ale nigdy by się na coś takiego nie zdobyła. Kto jeszcze mógłby to zrobić?

– No ale twój brat nie jest w najlepszej formie. Zszedłem akurat po coś do jedzenia i właśnie wracałem na górę, gdy się tu zjawił. Kuśtykał, jakby miał złamaną nogę. Wyglądał raczej na osobę mającą trudności z zamknięciem za sobą drzwi, a nie na człowieka zdolnego zrzucić kogoś z mostu.

– Może ktoś mu pomógł? – Lane obejrzał się przez ramię. Przystojna twarz Jeffa wyglądała tak, jakby ją ktoś przepuścił przez wyżymaczkę. – Jego pracownicy są do niego bardzo przywiązani. Edward ma już w sobie coś takiego. Wie też, jak należy pewne sprawy załatwiać.

– Czy on tu był? Znaczy w tym domu?

– Nie wiem.

– Na terenie Easterly są wszędzie kamery bezpieczeństwa, prawda?

– Tak, a on dobrze o tym wie. Sam je zaprogramował. Nawet jeśli się coś stamtąd wymaże, zostanie ślad. Można prześledzić historię logowań.

– A śledczy w ogóle prosili cię o te nagrania?

– Jeszcze nie. Ale poproszą.

– A ty im je udostępnisz?

Lane zaklął.

– A mam jakiś wybór? Zresztą nie wiem... Byłem dziś przez chwilę z Edwardem sam na sam. Mało go nie spytałem.

– To dlaczego tego nie zrobiłeś? Bałeś się, że się wkurzy?

– Przede wszystkim chyba bałem się odpowiedzi.

– To jaki będzie twój następny ruch?

– Zaczekam. Śledczy tak tego nie zostawią. Pojadą do niego do stadniny. A jeśli faktycznie to zrobił...

– To i tak nie zdołasz go ocalić.

– Nie zdołam.

– A właściwie dlaczego twój brat miałby chcieć zabić waszego ojca? To dość drastyczna odpowiedź na nieprzyjemne wspomnienia z dzieciństwa.

– Ojciec próbował doprowadzić do tego, żeby w Ameryce Południowej Edwarda zabili.

– Słucham?!

– Tak. Edward wygląda teraz, jak wygląda, właśnie z powodu tego, co tam przeżył. Już wcześniej sporo złego się między nimi wydarzyło. Jasna cholera, przecież ojciec z premedytacją pominął go w testamencie! A wiesz, mój brat nie jest typem osoby, która kładzie uszy po sobie. Ma w sobie coś takiego, że się nie daje.

Wielki Boże... – jęknął w duchu Jeff.

Nastąpiła chwila ciszy, w której myślał o swoim rodzeństwie: jego brat i siostra tak jak on mieszkali na Manhattanie, ze swoimi małżonkami i licznymi dziećmi. Jego rodzice kursowali między Florydą a Connecticut, ale mieli też mieszkanie w SoHo. Cała ich rodzina zbierała się razem na wszystkie święta,

a spotkania te były pełne ciepła, radości i śmiechu, choć czasem też kłótni i łez.

Przeważnie jednak śmiechu.

Lane za to miał piękny dom, a w nim mnóstwo pięknych rzeczy. Do tego najlepsze samochody i tak dalej.

Bez porównania ze standardami rodziny Jeffa.

Podszedł teraz do biurka i usiadł na krześle.

– Dobra, wróćmy do tematu. Jeśli to nie ty poinformowałeś media, to kto to zrobił?

– Pewnie kadra zarządzająca. Przecież to od niej wykradliście te dane. Analizuję jej arkusze finansowe.

Lane potarł dłonią głowę, jakby walczył z potężną migreną.

– No jasne.

– Słuchaj, stary, nie możesz tych gości wiecznie trzymać w zawieszaniu. A oni najwyraźniej nie zamierzają grzecznie czekać w kąciку, co mnie wcale nie dziwi. W takiej sytuacji firma nie może być pozbawiona przywódcy.

– No tak, muszę mieć kogoś, kto ją tymczasowo poprowadzi. Przewodniczący rady nadzorczej chce się ze mną spotkać. Pewnie ma podobne przemyślenia.

– Cóż, na wszelki wypadek powiem ci to raz jeszcze, najjaśniej, jak potrafię: jeśli nie przejmiesz sterów, wówczas oddasz je w ręce tych samych kutasów, których stąd wykopałeś.

– Ale ja nie mam odpowiednich kompetencji! Wiem tylko tyle, że na temat prowadzenia biznesu na tę skalę nie wiem nic – zawołał Lane, wyrzucając w górę ręce. – Na litość boską, nie mogę teraz jeszcze tym się zajmować! Muszę jakoś przeżyć tę jutrzejszą imprezę, a potem zobaczę, co dalej. Niech to szlag, przecież to Edward miał przejąć stery po ojcu...

Zapadła cisza. Jeff wygładził sobie kołdrę na udach, bo nie miał już pomysłu, co teraz zrobić. W końcu powiedział półzartem:

– To kiedy mogę odzyskać swoją pokojówkę? I nie chodzi mi wcale o sprzątnięcie łazienki.

– A to już twoja sprawa. Jestem jej pracodawcą, a nie alfonsem.

– A więc to ty dbasz teraz o wszystkie rodzinne sprawy, co?

– Jakoś nikt inny się do tej roboty nie zgłosił. – Lane wstał z krzesła. – Losy mojego poprzednika mogą działać zniechęcająco.

– Dasz sobie radę, stary.

Lane podszedł do kumpla i wyciągnął rękę.

– Naprawdę przepraszam, że postawiłem cię w takiej sytuacji. Jak to się wreszcie skończy, obiecuję, że już nic nigdy nie będę od ciebie chciał.

Jeff przez chwilę zastanawiał się nad tą ofertą. Potem zaś uściskał Lane'owi dłoń.

– No dobra, ale ci nie wybaczam.

– To dlaczego ściskasz mi dłoń?

– Bo należę do ludzi, którzy łatwo puszczają takie sprawy w niepamięć. Wiem, to dość staroświeckie. Ale jak dotąd zawsze mi się sprawdzało. A ty na tym tylko zyskasz, więc spierdalaj z tymi swoimi zasadami.

– No, to to ja rozumiem.

Około dziewiątej wieczór w rodzinnej bawialni w Easterly zjawił się Richard Pford i z tymi słowami skierował się do barku, na co Gin miała ochotę przewrócić oczami i powiedzieć, że lata pięćdziesiąte dawno się już skończyły. Tak naprawdę jednak siedziała tutaj jeszcze właśnie dlatego, że chciała z nim porozmawiać, a widok jego tyczkowatej postaci kroczącej z pewnością siebie godną pana domu uzmysławiał jej tylko, jak bardzo nim gardzi.

Gdy już nalał sobie bourbona, podszedł do Gin i usiadł w obitym bordową skórą fotelu stojącym obok zajmowanej przez nią sofę. Bawialnia nie była duża, a wiszące na ścianach obrazy olejne przedstawiające rasowe konie Bradfordów powodowały, że wydawała się jeszcze mniejsza. Jeśli dodać do tego bliskość fizyczną Richarda Pforda, robiło się tak ciasno, że szeroki ekran telewizora, na którym Gin oglądała powtórkę serialu *Żony Beverly Hills*, zdawał się niemal napierać na jej twarz.

– Po co oglądasz te bzdury? – spytał Richard.

– Bo lubię.

– Szkoda czasu. – Wziął pilota i zmienił kanał. Na ekranie pojawił się ekspert finansowy w jasnoniebieskiej koszuli i czerwonym krawacie. – Powinnaś spędzać czas w bardziej wartościowy sposób.

W takim razie raczej nie będę go spędzać przy tobie – pomyślała Gin.

– Musimy porozmawiać o przyjęciu weselnym – powiedziała, mrużąc oczy.
– No i muszę cię przedstawić Amelii.

– Komu? – spytał Pford, nie odrywając wzroku od wyników giełdy.

– Mojej córce.

To go nieco ożywiło, aż spojrzał na Gin, unosząc jedną ze swoich cienkich brwi.

– A gdzie ona jest? Wróciła do domu?

– Tak.

Gin sięgnęła po słuchawkę domowego telefonu, dyskretnie ukrytego za lampą zrobioną ze srebrnego pucharu z wyścigów młodych klaczy na początku XX wieku, i zadzwoniła do kamerdynera.

– Czy mógłby pan znaleźć Amelię i ją tu do nas przyprowadzić? Dziękuję.

Rozłączyła się i spojrzała na Richarda.

– Będziesz musiał zapłacić za przyjęcie weselne, które urządzimy tu w sobotę. Możesz mi wypisać czek. Na jakieś pięćdziesiąt tysięcy. Jeśli wyjdzie więcej, dam ci znać.

Richard opuścił szklanekę i znów spojrzał na Gin.

– A dlaczego ja mam za to płacić?

– Ponieważ bierzemy ślub. Ty i ja.

– W twoim domu.

– A więc nie zamierzasz nic do tego przedsięwzięcia dorzucić?

– Już dorzuciłem.

Gin spojrzała na swój pierścionek.

– Richard, mieszkasz w naszym domu, jesz u nas posiłki...

Roześmiał się i zamieszał bourbonem w szklance.

– Chyba nie myślisz, że to poważne argumenty?

– Wypisz mi ten czek i koniec sprawy.

– Myślę, że powinnaś wstrzymać oddech do momentu, aż wszystkie podpisy zostaną złożone – powiedział Richard, wznosząc szklanekę w geście toastu. – To dopiero byłby widok!

– Jeśli nie zapłacisz, będę musiała wszystko odwołać. Nie żartuję. Chyba nie chcesz, żeby cię ta przyjemność ominęła.

W końcu przecież nie po to się z nią żeni, żeby nie móc się nią pochwalić w towarzystwie.

Richard pochylił się w jej stronę, aż skóra fotela, na którym siedział, cicho zatrzeszczała.

– Pewnie nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale wasza rodzinna firma ma spore kłopoty.

– Naprawdę? – grała idiotkę. – Ktoś zgubił kluczyk do schowka na materiały biurowe? Och, jaka przykra sprawa...

Nie należało mu przecież zdradzać, że fortuna się od nich odwróciła. W każdym razie nie przed podpisaniem aktu małżeństwa.

Richard się uśmiechnął, a ona po raz pierwszy zobaczyła w jego oczach coś przypominającego isierki radości.

– Zgadnij, kto do mnie dzisiaj dzwonił. Ktoś z „Charlemont Courier Journal”. I wiesz, czego się dowiedziałem?

– Że jakiś dziennikarzyna przygotowuje reportaż na temat protez penisa i chce przeprowadzić z tobą wywiad?

– To obrzydliwe.

– To prawda, ale może by ci pomogło?

Richard rozparł się w fotelu i skrzyżował nogi, zaciskając przy tym szczękę.

– Po pierwsze, nie żaden dziennikarzyna, tylko moja dobra znajoma. A po drugie, powiedziała mi, że wasza firma ma bardzo poważne kłopoty finansowe. Naprawdę poważne, Gin. Jutro rano ukaze się na ten temat artykuł. Nie próbuj więc mnie łapać na sztuczkę pod tytułem „och, zapłać tylko za to przyjęcie, żeby było sprawiedliwie”. Twój ojciec nie żyje, jego testament nie został jeszcze urzędowo potwierdzony, fundusz twojej matki jest za jej życia nie do ruszenia, a Bradford Bourbon Company ledwo zipie, co oznacza, że wasze akcje są niewiele warte. Jeśli chcesz sobie urządzić bal dobroczynny, który ja mam sfinansować, to załóż organizację charytatywną, żebym mógł to sobie chociaż odpisać od podatku. W przeciwnym razie nie dam ci ani centa. Skarbie.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Czyżby? No to przeczytaj sobie rano gazetę, a wszystkiego się dowiesz. Albo jeszcze lepiej: przyjdź tutaj i włącz sobie ten kanał – dodał, wskazując

na telewizor. – Jestem pewien, że będą jutro przez cały dzień o was trąbić.

Gin uniosła wysoko brodę, choć serce jej waliło w panice.

– Sam ten dom i jego zawartość warte są fortunę, więc nie sądzę, żeby aż tak niedorzeczne było oczekiwanie, że czasem za coś zapłacisz. Jeśli nie jesteś gotów ponieść tych kosztów, będę musiała odwołać przyjęcie.

Richard pomału sączył bourbona.

– Dam ci radę dotyczącą negocjacji. Jeśli chcesz komuś grozić, najpierw musisz mieć pewność, że spełnienie tej groźby naprawdę zrobi na nim wrażenie.

– Przecież chcesz się mną pochwalić. Chcesz udowodnić światu, że mnie zdobyłeś. Nie udawaj, że nie jestem dla ciebie zdobyczą.

– Ale jak tylko podpiszemy dokumenty, jesteś moja i koniec. O tym też będą pisać w gazetach. Nie potrzeba mi przyjęcia, żeby tego dowieść.

Gin pokręciła głową.

– Ależ ty jesteś zadufany w sobie.

Po pokoju poniósł się śmiech Richarda, aż Gin znów miała ochotę czymś w niego rzucić – jej wzrok spoczął na srebrnej lampie.

– I ty to mówisz? – rechotał. – Moja droga, wychodzisz za mnie tylko dlatego, że zgodziłem się dać firmie twojego ojca preferencyjne warunki. Szkoda, że nie wiedziałem o jej fatalnej kondycji finansowej, bo wówczas mógłbym cię dostać niemal za darmo, wystarczyłoby ten pierścionek.

W tej chwili rozległo się pukanie do drzwi, a następnie stanął w nich pan Harris wraz z Amelią.

Dziewczyna zdążyła się już przebrać w garnitur od Gucciego. Twarz pochylała nad telefonem, a jej palce szybko przesuwały się po ekranie.

– Przyprowadziłem panienkę Amelię – oznajmił angielski kamerdyner. – Czy mogę jeszcze w coś pomóc?

– Nie, dziękuję – odprawiła go Gin.

– Do usług.

Drzwi za panem Harrisem się zamknęły, ale Amelia nadal nie odrywała

wzroku od telefonu.

– Amelio – odezwała się cierpko Gin. – To mój narzeczony Richard.

– Tak, wiem.

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć, skoro nawet się z nim nie przywitałaś.

– Pisali w internecie – odpowiedziała jej córka, wzruszając ramionami. – Tak czy inaczej, moje gratulacje dla was obojga. Po prostu nie posiadam się ze szczęścia.

– Amelio! – warknęła Gin. – Co, do diabła, tak cię fascynuje w tym telefonie?

Dziewczyna obróciła aparat, pokazując ekran rozświetlony feerią barw jak jakaś staroświecka zabawka elektroniczna.

– Diamenty – odparła.

– Trudno mi się nie zgodzić, że faktycznie są w życiu ważne – mruknęła Gin.

– Ale nie zachowujesz się jak należy.

– To taka nowa gra.

Gin wskazała na Richarda.

– Możesz się chociaż normalnie przywitać?

– Widzę wyraźne podobieństwo – odezwał się Richard. – Jesteś równie piękna jak twoja mama.

– To niby komplement? – Amelia przekrzywiła głowę. – Och, jak mi miło! O niczym innym nie marzę, jak tylko o tym, żeby się do niej upodobnić! To właśnie mój cel w życiu: jak dorosnę, chcę być taka jak moja matka! A teraz bardzo przepraszam, ale wolę już spędzać czas w świecie wirtualnym pełnym sztucznych diamentów, niż przebywać w towarzystwie tej kobiety lub kogokolwiek, kto chce się z nią ożenić. Życzę wam powodzenia!

Chwilę później Amelia była już za drzwiami, choć wcale nie wyglądało to na ucieczkę.

Nie miała zwyczaju uciekać. Przechadzała się tylko niespiesznie, zupełnie jak jej ojciec.

– No to załatwione – odezwał się Richard, wstając z fotela i ponownie

kierując się w stronę barku. – Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Pozwól tylko, że podsumuję naszą wcześniejszą rozmowę. Nie zamierzam ci wypisywać żadnego czeku. Jeśli chcesz, możesz odwołać przyjęcie. Pobierzemy się po prostu w urzędzie i tyle. Nie ma to dla mnie wielkiego znaczenia.

Gin wbijała wzrok w ekran telewizora. W głowie kotłowały jej się najróżniejsze myśli. Nadal gapiała się przed siebie, gdy stanął przed nią Richard.

– Pamiętaj tylko o jednym – dodał. – Kiedy tak milczysz, przychodzą ci do głowy różne głupie pomysły. Chciałbym ci więc przypomnieć, że nie godzę się, żebyś mnie lekceważyła. Może zresztą pamiętasz, co się dzieje, gdy ktoś mnie obraża.

Och, ale przecież to dla ciebie taka frajda, popieprzony kutasie – pomyślała gorzko Gin. Cieszy cię każda sekunda, w której możesz się na kimś wyżyć.

– John, dałeś radę. Zuch chłopak!

Słyszając głos Lane'a, Lizzie – która kuciała właśnie przed niemal całkiem pustą lodówką – aż się obejrzała. Lane siedział przy okrągłym stole po drugiej stronie kuchni w jej wiejskim domu i gadał do otwartego laptopa. Brwi miał ciasno ściągnięte niczym dwa skrzydła drzwi przesuwnych, które szczelnie zamknięto.

– Słucham? – spytała Lizzie, zamykając lodówkę.

– John Lenghe, król zbóż. Mówił, że przyśle mi wszystkie dostępne mu informacje na temat firm związanych z WWB Holdings. I właśnie to zrobił!

Obrócił laptop tak, żeby pokazać Lizzie ekran. Pochyliła się i spojrzała na treść mejla o rozmiarach porządnej powieści.

– Wow. Całkiem tego sporo.

– Teraz tylko trzeba je wszystkie odszukać. – Lane oparł się na krześle i przeciągnął się, prostując ramiona nad głową. Coś mu trzasnęło w łokciach, tak że Lizzie aż się skrzywiła. – Do diabła, to jak niekończąca się jazda kolejką górską. I to taką, z której nie można wysiąść, nawet jak człowiekowi robi się niedobrze.

Lizzie stanęła za jego plecami i zaczęła masować mu barki.

– Rozmawiałeś jeszcze z tą reporterką?

– Tak. – Lane opuścił miękko ramiona. – O Boże, jakie to przyjemne.

– Strasznie jesteś spięty.

– Wiem. – Odetchnął głęboko. – Tak, właśnie z nią rozmawiałem. To jej artykuł. Nie mogę zrobić nic, żeby go zatrzymać. Pewnie zgłosił się do niej któryś z wiceprezesów. Cholernie dużo wiedziała.

– Ale czy ona może upubliczniać tego rodzaju informacje? Przecież Bradford Bourbon Company to firma prywatna. Czy to nie jest ujawnianie informacji poufnych?

– W biznesie nie ma czegoś takiego jak tajemnica lekarska. Jeśli tylko odpowiednio to wszystko przedstawi, prawo będzie po jej stronie. To tak jak z doniesieniami o sprawach kryminalnych: wystarczy, że dziennikarz użyje w każdym zdaniu formułki typu „podejrzewa się”, i już jest kryty.

– To co będzie dalej?

– Nie wiem i naprawdę nie mam siły tym się martwić. Muszę tylko jakoś przeżyć tę jutrzejszą imprezę, a potem już będę mógł w pełni się skupiać na kolejnych kryzysach.

– Jeśli chodzi o pożegnanie zmarłego, wszystko jest gotowe. Wynajęliśmy z panem Harrisem personel, pani Aurora zajmuje się kuchnią. Teren jest przygotowany, ostatnie prace w ogrodzie zostaną wykonane jutro rano. Jak myślisz, ilu osób należy się spodziewać?

– Może z tysiąca. Przynajmniej tyle, ile... o, tak, tutaj, taaak... – Lane przechylił głowę w drugą stronę, a Lizzie patrzyła z zachwytem na piękną linię jego mocnego karku. – Przynajmniej tyle, ile mieliśmy na śniadaniu przed derby. Jedno, czego zawsze można być pewnym, zwłaszcza jeśli się straciło wszystkie pieniądze, to tego, że ludzie chętnie patrzą na upadek bogaczy. A po jutrzejszym artykule o takim właśnie upadku będzie się mówić.

Lizzie pokręciła głową.

– Pamiętasz tę moją fantazję, w której zostawiamy to wszystko i wyjeżdżamy daleko stąd?

Lane obrócił się w jej stronę i posadził ją sobie na kolanach. Odgarnął jej włosy do tyłu i spojrzał na nią z promiennym uśmiechem.

– O tak... Opowiedz mi jeszcze raz.

Głaskała go po brodzie, szyi, ramionach i mówiła:

– Mieszkamy sobie na farmie gdzieś daleko stąd. Ty w ciągu dnia trenujesz drużynę koszykówki, a ja sadzę kwiaty w pobliskim miasteczku. Co wieczór siadamy na werandzie i patrzymy na zachód słońca nad polem kukurydzy. W soboty jeździmy na pchli targ, czasem tam coś sprzedaję ja, a czasem ty. Robimy zakupy w małym sklepiku, gdzie sos boloński uchodzi za ekstrawagancki frykas. Zimą gotuję wielkie gary zup, a latem przyrządzam całe michy sałatki ziemniaczanej.

Lane przymknął oczy, kiwając głową.

– Nie zapomnij o szarlotce – dodał.

– Szarlotka też będzie! – zaśmiała się Lizzie. – I będziemy się kąpać nago w naszym własnym jezioroku za domem.

– O, to mi się podoba!

– Tak myślałam.

Jego dłonie zaczęły wędrować po jej ciele; przesunęły się po jej talii, a potem zapuściły się wyżej.

– Mogę coś wyznać? – spytał.

– Oczywiście.

– To nie będzie o mnie najlepiej świadczyć – tłumaczył, marszcząc brwi. – Ale co tam, i tak mało co teraz dobrze o mnie świadczy.

– O co chodzi?

Przez chwilę milczał, zanim odpowiedział.

– Gdy byliśmy razem w gabinecie mojego ojca, miałem ochotę rzucić wszystko z jego biurka i kochać się z tobą w tym jego przeklętym królestwie.

– Naprawdę?

– Tak. – Wzruszył ramionami. – Myślisz, że to jakaś dewiacja?

Lizzie zastanawiała się nad tym z uśmiechem.

– Nie sędę – odparła. – Choć w sumie nie mogę się zdecydować, czy jest to dla mnie obraz pełen erotyki, czy raczej wizja straszego bałaganu, który musiałabym natychmiast posprzątać, bo inaczej dostałabym szału.

Lane się roześmiał, a Lizzie opuściła stopy na podłogę, choć nadal siedziała na nim okrakiem.

– Ale mam pomysł – oznajmiła.

– Tak?

Wygięła się w tył i wypuściła ze spodenek koszulkę, którą następnie ściągnęła sobie przez głowę.

– Tu stoi stół. Wprawdzie nie ma na nim nic oprócz twojego laptopa, którego raczej chyba nie powinieneś zrzucić na podłogę, ale mimo wszystko moglibyśmy... no wiesz...

– O taaak...

Lizzie wyciągnęła się na kuchennym stole, a Lane natychmiast się nad nią pochylał i w porywie namiętności przywarł do jej ust.

– Aha, byłabym zapomniała – szepnęła Lizzie, łapiąc oddech. – W tej mojej fantazji sporo czasu spędzamy właśnie w ten sposób...

Następnego ranka Lane zwolnił, zbliżając się do mostu Big Five od strony stanu Indiana. Poranny ruch uliczny coraz bardziej gęstniał. Lane nie włączał radia i nie sprawdzał wiadomości w telefonie. Przed wyjazdem od Lizzie nie zajrzał nawet do swojego laptopa.

Na niemal całkiem błękitnym niebie, po którym tylko gdzieś na horyzoncie przesuwały się białe chmurki, znów jasno świeciło słońce. Piękna pogoda nie miała się jednak długo utrzymać. Nadchodził niż, a wraz z nim burze.

Co doskonale pasowało do sytuacji.

Wrzucił trzeci bieg, a potem drugi. Patrząc na szosę przed sobą, zauważył, że korek nie jest tylko skutkiem zwykłych godzin szczytu. Na moście trwały jakieś prace, a połyskujące w słońcu rozgrzane samochody z kilku pasów musiały się zmieścić w zwężeniu. Porsche Lane'a posuwało się w żółtym tempie. Wiedział już, że się spóźni, nie zamierzał jednak się tym denerwować.

Wcale nie miał ochoty na to spotkanie. Nie miał jednak wyboru.

Gdy w końcu wbił się w zwężenie, zaczął jechać nieco szybciej. Omal nie parsknął śmiechem, gdy wreszcie dotarł do miejsca okupowanego przez robotników w pomarańczowych kamizelkach, dzinsach i kaskach.

Montowali siatkę uniemożliwiającą skoki z mostu amatorom spacerów po krawędzi.

Gdyby ktoś naprawdę się teraz uparł, żeby skoczyć, musiałyby najpierw wspiąć się po tej siatce.

Gdy Lane w końcu dotarł do rozjazdu, gwałtownie skręcił, przejechał pod kładką dla pieszych i znalazł się na szosie prowadzącej w stronę Dorn Avenue. Przejechał jeszcze kawałek, aż dotarł do właściwego zjazdu na River Road.

Niedaleko stacji Shell przy samym zakręcie był sklepik, w którym

sprzedawano artykuły spożywcze, kosmetyki, alkohol oraz... prasę.

Lane zwolnił, żeby skręcić w prawo, i właśnie miał ją minąć – przecież w Easterly i tak na pewno jest już dzisiejsze wydanie „Charlemont Courier Journal”.

W końcu jednak jego dłonie same podjęły decyzję i przekreśliły kierownicę w prawo. Wjechał prosto na stację, minął dystrybutory paliwa i zatrzymał się przy wielkiej lodówce ozdobionej rysunkiem śmiesznego pingwina w czerwonym szaliku.

Naciągnął sobie na czoło czapkę bejsbolową z logo Uniwersytetu Charlemont.

Przy dystrybutorach stały dwa pikapy, których kierowcy nalewali właśnie paliwa do baków, a także jakiś pojazd służb miejskich, podnośnik koszowy i honda civic, za której kierownicą siedziała kobieta wciąż oglądająca się na dziecko w foteliku.

Lane miał wrażenie, że wszyscy się na niego gapią. Ale się mylił. Jeśli w ogóle patrzyli w jego stronę, to dlatego, że zainteresowało ich jego porsche.

Gdy otworzył drzwi i wszedł do chłodnego wnętrza sklepu, rozległ się brzęk dzwonka. I oto proszę: cały rząd egzemplarzy „Charlemont Courier Journal”, z nagłówkiem, którego tak bardzo się obawiał, wydrukowanym czcionką wielkości Empire State Building:

„BANKRUCTWO BRADFORDÓW”.

Nawet „New York Post” nie zrobiłby tego lepiej, pomyślał Lane, wyjmując dolara i dwadzieścia pięć centów. Wziął z półki jedną z gazet, położył pieniądze na kontuarze i zastukał w niego palcami. Mężczyzna obsługujący akurat kogoś przy kasie zerknął tylko w stronę Lane’a i skinął głową.

Lane wrócił do samochodu, usiadł za kierownicą i rozpostarł przed sobą pierwszą stronę gazety. Przeleciał szybko wzrokiem parę pierwszych kolumn, a następnie przewrócił stronę, żeby dokończyć artykuł.

Po prostu wspaniale. Skopiowali nawet kilka dokumentów. Zamieścili też spory komentarz, a nawet słowo od redakcji o pazerności korporacji

i nieodpowiedzialności bogaczy. Nie omieszkali wtrącić czegoś o prawie karmy.

Lane rzucił gazetę na siedzenie obok, wycofał samochód i nacisnął pedał gazu.

Gdy dojechał do głównej bramy posiadłości, nieco zwolnił – tylko po to, żeby policzyć zaparkowane na trawiastym poboczu samochody reporterów, którzy zebrali się tak licznie, jakby lada chwila na wzgórzu miało dojść do jakiegoś gigantycznego wybuchu. Jechał dalej, aż do bramy dla personelu. Dotarł na tyły rezydencji, mijając uprawiane przez Lizzie ogródki warzywne, z których korzystała Aurora, szklarnie o łukowych sklepieniach, domki pracowników i szopę na narzędzia.

Na parkingu dla personelu stało już mnóstwo samochodów, ponieważ w Easterly od rana pracowało wiele osób zatrudnionych do pomocy. Brukowany podjazd prowadził jeszcze dalej, wznosząc się po zboczu wzgórza równoległe do ścieżki dla pracowników, którą docierali oni do domu Bradfordów. Na końcu podjazdu znajdowały się garaże, zaplecze centrum biznesowego oraz tylne wejścia do rezydencji.

Lane zaparkował obok wiśniowego lexusa stojącego na jednym z miejsc zarezerwowanych dla członków wyższej kadry zarządzającej.

Ledwo wysiadł z samochodu, otworzyły się drzwi tego drugiego i wyłonił się zza nich Steadman W. Morgan, przewodniczący rady nadzorczej Bradford Bourbon Company.

Miał na sobie strój do golfa, ale w stylu bardzo odmiennym od nonszalancji króla zbóż. Paradował w bieli będącej kolorem prestiżowego Charlemont Country Club, z granatowo-żółtym herbem tej instytucji na piersi oraz paskiem, na którym wyhaftowano symbole drużyny Tygrysów Uniwersytetu Princeton. Nosił identyczne mokasyny jak Lane, bez skarpetek, a na nadgarstku miał zegarek Piageta. Naturalna opalenizna świadczyła o częstych spacerach po polu golfowym, a na ogólną witalność składały się: odpowiednie pochodzenie, starannie dobrana dieta oraz fakt, że człowiek ten nigdy nie zaprzętał sobie głowy problemami takimi jak zdobywanie pożywienia.

– Imponujący artykuł – powiedział, stając z Lane’em twarzą w twarz.

– Teraz pan rozumie, dlaczego ich wszystkich stąd wyrzuciłem?

Nie uścisnęli sobie dłoni ani w żaden inny sposób nie dopełnili rytuałów kurtuazji. Poczciwy stary przewodniczący rady nadzorczej najwyraźniej nie nawykł do sytuacji, w której nie jest dla kogoś wyrocznią. Bez wątpienia bardzo się tym wszystkim przejmował.

Trudno się jednak dziwić: przecież niedawno się dowiedział, że pełni zaszczytną funkcję w firmie przechodzącej właśnie najgorszy kryzys w swojej historii. Lane doskonale potrafił wczuć się w jego położenie.

Zamaszystym gestem ręki wskazał gościowi drogę do tylnego wejścia do centrum biznesowego, a potem użył nowego kodu, żeby mogli wejść do środka. Zapalał po drodze wszystkie światła, aż w końcu dotarli do niewielkiej salki konferencyjnej.

– Zapropomowałbym panu kawę – powiedział Lane, siadając – ale nie wychodzi mi ona najlepiej.

– Nie trzeba.

– No a na bourbona jest odrobinę za wcześnie, choć chętnie sam bym się napił. – Lane złączył dłonie, opierając łokcie na lśniącym blacie biurka, i pochylił się w stronę rozmówcy. – Spytałbym pana o powód tej wizyty, ale byłoby to pytanie czysto retoryczne.

– Byłoby miło, gdyby mnie pan uprzedził, że szykuje się taki artykuł. I że w ogóle są tu tego rodzaju problemy. Że powstało takie zamieszanie w finansach. I wyjaśnił, dlaczego wszystkich pan stąd wypędził.

Lane wzruszył ramionami.

– Sam wciąż próbuję to wszystko rozgryźć. Nie mam więc zbyt wiele do powiedzenia.

– Sporo informacji znalazło się w tym przeklętym artykule.

– To nie moja wina. Nie byłem ich źródłem, a mój komentarz nie zrobił na nich wrażenia. – Choć reporterka dała mu całkiem sporo czasu na wypowiedź. – Mogę powiedzieć tyle, że przyjechał tu z Nowego Jorku mój kumpel, bankier inwestycyjny specjalizujący się w ocenie kondycji finansowej wielkich międzynarodowych korporacji, który teraz właśnie próbuje to wszystko

zrozumieć.

Steadman jakby starał się nad sobą zapanować, choć w jego wypadku nie było to trudne, bo i tak jego twarz nie zdradzała zwykle żadnych emocji.

– Proszę pana – odezwał się tonem godnym poważnego analityka. – Musi pan zrozumieć, że choć Bradford Bourbon Company ma w nazwie pana rodzinne nazwisko, nie jest to stragan z lemoniadą, który może pan sobie wedle własnego widzimisię zamykać lub przenosić w inne miejsce tylko dlatego, że należy pan do rodziny. Istnieją specjalne procedury obowiązujące w takiej korporacji. Istnieją konkretne sposoby, by...

– Moja matka jest głównym udziałowcem.

– To nie daje panu prawa do wprowadzania w firmie dyktatury. Wyższa kadra zarządzająca musi tu jak najszybciej wrócić. Musimy powołać komisję rekrutacyjną, której zadaniem będzie zatrudnienie nowego prezesa. Na razie zaś trzeba będzie powołać tymczasowego szefa i jak najszybciej poinformować o tym opinię publiczną. Przede wszystkim jednak należy przeprowadzić porządny audyt wewnętrzny tego finansowego bałaganu...

– Proszę pozwolić, że coś panu wyjaśnię. Tę firmę założył mój przodek Elijah Bradford. A ja jak najbardziej mogę po prostu ją zamknąć, jeśli będę musiał albo jeśli zechcę. To ja teraz wszystkim zarządzam, łatwiej nam więc będzie, jeśli pan się z tym pogodzi i zejdzie mi z drogi. W przeciwnym razie pana także będę musiał wymienić.

Steadman przymrużył błękitne oczy, co stanowiło odpowiednik dyszenia żądzą mordy u mniej dystygowanych osób. Choć u niego zmiana ta znów była ledwo zauważalna.

– Pan chyba nie zdaje sobie sprawy, z kim rozmawia.

– A pan nie zdaje sobie sprawy, jak mało mam do stracenia. Sam zdecyduję, kto przejmie przywództwo po śmierci mojego ojca. Na pewno jednak nie będzie to żaden z wiceprezesów, którzy zjawiali się tu każdego ranka, żeby mu się podlizywać. Dowiem się, gdzie zniknęły pieniądze, oraz osobiście dopilnuję, żebyśmy nie wypadli z rynku, choćbym miał sam pracować w destylarni. – Lane wymierzył palec prosto w purpurową twarz przewodniczącego rady nadzorczej. – Pracuje pan dla mnie, tak samo jak cała

rada. Każdy z dziesięciu tysięcy pracowników otrzymujących co miesiąc pensję pracuje dla mnie, ponieważ to ja jestem tym draniem, który wszystko teraz wyprowadzi na prostą.

– A jak właściwie zamierza pan to zrobić? Według tego artykułu w naszym budżecie brakuje milionów dolarów.

– Niech pan da mi trochę czasu.

Steadman przez chwilę patrzył mu prosto w twarz.

– Rada nadzorcza nie będzie...

– Stawała mi na przeszkodzie. Proszę posłuchać, zarabiacie po sto tysięcy dolarów rocznie tylko za to, że siedzicie przy biurkach i nic nie robicie. A ja w tym roku gwarantuję każdemu z was po ćwierć miliona dolarów. To podwyżka o sto pięćdziesiąt procent.

Przewodniczący rady nadzorczej gwałtownie uniósł głowę.

– Pan mnie próbuje przekupić? Mnie i całą radę?

– Mogę też się was pozbyć. Wasz wybór.

– Istnieją przecież przepisy wewnętrzne...

– Pan chyba wie, co mój ojciec zrobił mojemu bratu? – Lane znów pochylił się w stronę swojego rozmówcy. – Myśli pan, że ja nie mam tego rodzaju kontaktów tu, w Stanach? Naprawdę pan sądzi, że nie mogę wam mocno uprzykrzyć życia? Większość wypadków zdarza się w domu, ale na samochody też trzeba uważać. Jachty, samoloty...

Najwyraźniej znów włączył mu się tryb „mafioso z Kentucky”.

Najbardziej przerażało go zaś to, że wypowiadając te słowa, sam nie był pewien, czy blefuje czy nie. Siedząc w miejscu zajmowanym dawniej przez ojca, Lane czuł się całkowicie zdolny do morderstwa.

Nagle przypomniał sobie zbliżającą się ku niemu taflę wody i to uczucie zawieszenia między bezpiecznym życiem a nagłą śmiercią.

– To co pan wybiera? – mruknął. – Podwyżka czy grób?

Steadman nie spieszył się z odpowiedzią, a Lane pozwalał mu patrzeć sobie w oczy tak długo, jak tamten chciał.

– Nie jestem pewien, czy jest pan w stanie wywiązać się z którejkolwiek z tych obietnic.

Lane wzruszył ramionami.

– Pytanie brzmi: czy woli pan się o tym przekonać, wybierając scenariusz pozytywny czy negatywny?

– Jeśli doniesienia z artykułu są prawdziwe, to skąd pan weźmie pieniądze?

– A to już mój problem, nie pana. – Lane oparł się na krześle. – Zdradzę panu pewien sekret.

– Jaki?

– W ziemi przed domem znaleziono zagrzebany palec serdeczny mojego ojca, wraz z sygnetem. Tej informacji nie ujawniono jeszcze mediom. Proszę więc się nie łudzić. To nie było żadne samobójstwo. Ktoś go zamordował.

Steadman przez chwilę chrząkał nerwowo, potem zaś spytał:

– Kiedy dokładnie możemy się spodziewać wynagrodzenia?

Mam cię! – pomyślał Lane.

– Zrobimy tak... – zaczął.

Jeff jadł śniadanie na górze, w apartamencie dziadka Lane'a, przez cały czas rozmawiając przez telefon... ze swoim ojcem.

Gdy w końcu się rozłączył, rozparł się w antycznym fotelu i patrzył na ogród: trawę, klomby, kwitnące drzewa. Cała sceneria wyglądała jak z serialu o Carringtonach z lat osiemdziesiątych. Następnie wziął do ręki wyniesiony z kuchni egzemplarz „Charlemont Courier Journal” i tępy wzrokiem patrzył na artykuł.

Z samego rana przeczytał go w internecie.

Potem, gdy zszedł na dół po kawę i ciastko duńskie, spytał panią Aurorę, czy może zabrać na górę papierowe wydanie gazety. Mamunia Lane'a, jak ją tu nazywano, nawet nie podniosła głowy znad deski do krojenia. Rzuciła tylko: „Nie chcę jej tu widzieć”.

Jeff zdążył się już nauczyć na pamięć każdego słowa z artykułu, każdej podanej w nim liczby, i zapamiętać wszystkie zdjęcia.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Tak? – spytał.

Do pokoju wszedł Lane z filiżanką kawy. Chociaż się ogolił, wciąż wyglądał okropnie.

– To co? Aha, już widziałeś? – odezwał się.

– No tak – mruknął Jeff, odkładając gazetę. – Masakra. Sęk jednak w tym, że nie ma tu żadnych przekłamań.

– Nie zamierzam się tym martwić.

– A powinieneś.

– Właśnie przekupiłem radę nadzorczą.

Jeff aż się wzdrygnął.

– Słucham?!

– Musisz mi znaleźć dwie i pół bańki.

Jeff pokręcił głową z niedowierzaniem, uniósł dłonie ku twarzy i zdusił w gardle przekleństwo.

– Lane, ja nie pracuję w waszej korporacji...

– Zapłacę ci.

– Niby jak?

– Weź sobie jakiś obraz z dołu.

– Nie gniewaj się, ale nie przepadam za muzeami i nie znoszę sztuki figuratywnej. Wszystko, co tu macie, powstało przed wynalezieniem fotografii. Nuda.

– Ale ma swoją wartość. – Jeff milczał, Lane więc wzruszył ramionami. – W porządku, dam ci coś z biżuterii matki.

– Lane... – Jeff ani drgnął.

– Albo weź sobie rolls-royce'a. Zapiszę go na ciebie. Zresztą wszystkie samochody w garażu są nasze. Może wolisz moje porsche?

– Czyś ty oszalał?

Lane zatoczył ręką koło, wskazując cały dom.

– Tu są wszędzie pieniądze. Może chcesz konia?

– Chryste Panie, to jakaś wyprzedaż garażowa?

– Weź sobie, co chcesz. Ale pomóż mi znaleźć te pieniądze. Potrzebne mi po dwieście pięćdziesiąt tysięcy dla każdej z tych dziesięciu osób.

Jeff znów pokręcił głową.

– To tak nie działa. Nie możesz ot tak sobie przekierowywać funduszy wedle własnego widzimisię...

– To nie jest żadne widzimisię, Jeff. Tu chodzi o przetrwanie.

– Musisz mieć plan, Lane. Szeroko zakrojony plan, który w trybie natychmiastowym ograniczy wydatki, ustabilizuje funkcjonowanie firmy i przygotowuje ją na ewentualne śledztwo federalne, bo po tym artykule tym bardziej jej ono grozi.

– A to właśnie druga sprawa, o której chcę z tobą porozmawiać. Musisz udowodnić, że to wszystko sprawka mojego ojca.

– Lane, ja pierdołę! Myślisz, że ja potrafię takie dowody wyciągać z...

– Nie jestem naiwny. Masz rację, po tym artykule zaraz zapukają tu stróże prawa, a ja chcę im przedstawić jasny trop prowadzący prosto do działań mojego ojca.

Jeff westchnął ciężko i wygiął stawy palców, aż strzeliły. Zastanawiał się, czy coś by mu dało walenie głową w stół, tak ze dwieście razy.

– To w sumie nie powinno być zbyt trudne – powiedział w końcu.

– I o to właśnie chodzi! Przed chwilą mnie olśniło. Ojciec nie żyje, więc raczej go nie wykopią, żeby go wsadzić za kratki. A po tym wszystkim, co tutaj odstawił, jakoś nie mam oporów przed szarganiem jego pamięci. Niech go piekło pochłonie za to wszystko, co mi przesłał Lenghe na temat podmiotów należących do WWB Holdings. To już sporo informacji w porównaniu z tym, co wcześniej mieliśmy, ale wciąż jeszcze za mało.

Jeff wpatrywał się w kumpla, nie wierząc w to, co słyszy.

– Wiesz, nie mogę się zdecydować, czy jesteś aż tak rozwydrzony, czy z desperacji postradałeś, kurwa, zmysły.

– Jedno i drugie. Ale mogę ci powiedzieć, że ważniejsze jest to drugie. Trudno być rozwydrzonym, gdy nie ma się kasy na opłaty. Jeśli zaś chodzi o twoje wynagrodzenie, czuj się jak na wyprzedaży. Podjedź tu furgonetką i załaduj ją aż po dach. Weź tyle, ile uważasz, że ci się należy.

Jeff raz jeszcze opuścił wzrok na gazetę. Wydało mu się ciekawe, że artykuł opisuje dokładnie to, nad czym ostatnio pracował.

– Lane, nie mogę tu wiecznie tkwić.

Było jednak coś, o co sam musiał zadbać, ponieważ zabrakło tego na najnowszej liście wspaniałych pomysłów i żądań Lane’a.

– A co z członkami wyższej kadry zarządzającej? – spytał Jeff. – Ich też przekupiłeś?

– Bynajmniej. Jeśli chodzi o tych ważniaków, dałem im miesiąc bezpłatnego urlopu. Uznałem, że mamy dość dowodów, żeby uzasadnić taki ruch. Rada nadzorcza ich powiadomi. Na razie ich zadania przejmie kierownictwo niższego szczebla, dopóki nie znajdę jakiegoś tymczasowego prezesa.

– Po tym artykule nie będzie to łatwe – mruknął Jeff, wskazując palcem gazetę. – To nie najlepszy sposób na rekrutację pracowników.

Lane utkwił w nim spojrzenie. Jeff poczuł na głowie falę chłodu, jakby ktoś wylał mu na nią wiadro zimnej wody. Znow uniósł ręce ku twarzy i zaczął kręcić głową.

– Nie. Nie ma mowy.

– Byłbyś panem i władcą...

– ...torpedowanego statku.

– Mógłbyś tu robić, co chcesz.

– Zupełnie jakbyś mi mówił, że mogę urządzić w swoim stylu dom, który właśnie osuwa się w lawinie błotnej.

– Dam ci pakiet udziałów.

Rozpędzone myśli Jeffa jakby zahamowały z piskiem.

– Coś ty powiedział?

Lane odwrócił się i ruszył w kierunku drzwi.

– Dobrze słyszałeś. Proponuję ci udziały w najstarszej i najlepszej amerykańskiej destylarni. A zanim mi powiesz, że nie wolno mi tego robić, bo coś tam, bla, bla, bla, przypomnę ci tylko, że mam całą radę nadzorczą w kieszeni, mogę więc robić, co mi się podoba.

– O ile znajdziesz pieniądze, żeby im zapłacić.

– Rozważ to. – Przebiegły cwaniak obejrzał się przez ramię. – Możesz mieć coś na własność, zamiast wciąż tylko analizować cyferki dla banków inwestycyjnych, które płacą ci za pełnienie zaszczytnej funkcji naczelnego kalkulatora. Możesz być pierwszym niepochozącym z naszej rodziny udziałowcem Bradford Bourbon Company i mieć znaczący wpływ na naszą przyszłość.

Jeff ponownie wbił wzrok w artykuł.

– A zaproponowałbyś mi coś takiego, gdyby wszystko układało się jak należy?

– Nie, ale tylko dlatego, że wówczas w ogóle nie angażowałbym się w sprawy firmy.

– A co będzie, jak to się wszystko skończy?

– Chyba zależy, jak to zakończenie będzie wyglądać, co? To może zmienić twoje życie, Jeff.

– Jasne, świetna rekomendacja. Popatrz tylko, co stało się z twoim. I jeszcze jedno: ostatnim razem zmusiłeś mnie do pozostania tu szantażem. Teraz próbujesz mnie przekupić.

– Kluczowe pytanie brzmi: czy to działa? – Ponieważ Jeff nie odpowiadał, Lane mówił dalej: – Wcale nie lubię tak się z tobą siłować, naprawdę. I masz rację, miotam się tu jak szalony. Kończą mi się jednak pomysły, a nie spodziewam się, żeby z nieba miał zstąpić Zbawiciel i zacząć czynić cuda, dzięki którym cały ten koszmar zniknie.

– A to dlatego, że on nie ma jak zniknąć.

– No co ty? Ale jakoś muszę sobie z tym radzić. Nie mam wyboru.

Jeff zaklął pod nosem.

– Nie wiem, czy mogę ci ufać.

– Co mogę zrobić, żebyś się o tym przekonał?

– Po tym wszystkim? Chyba już niewiele.

– No to pomyśl o własnych korzyściach. Jeśli będziesz po części właścicielem tego, co starasz się uratować, to w razie znaczącej poprawy sytuacji, która na pewno nastąpi, już to powinno być dla ciebie odpowiednią motywacją. Jesteś przecież człowiekiem interesu. Dobrze wiesz, o jakim dochodzie mówimy. Teraz przekażę ci udziały, a kiedy sprawy przybiorą inny obrót, wówczas nasi krewni chętnie zapłacą fortunę, żeby odzyskać swoje. To jedyna w twoim życiu szansa, żeby osiągnąć ośmiocyfrowy zysk, jeśli nie liczyć gry w totka.

W tym momencie drań, który doskonale wiedział, kiedy uciąć rozmowę, wyszedł z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

– Ja... pierdolę – mruknął do siebie Jeff.

Lizzie zrzuciła z siebie spodenki w kolorze khaki i położyła je na półce w łazience Lane'a, obok swojej służbowej koszulki. Gdy się wyprostowała, ujrzała w lustrze odbicie, które zarazem wyglądało znajomo i nieznajomo: włosy zmierzwiłone od kucyka, podkrążone oczy, skóra nadmiernie błyszcząca z powodu nałożonego wcześniej kremu przeciwsłonecznego.

Wszystko to jednak mieściło się w normie.

Wzięła leżącą przed nią czarną sukienkę, włożyła ją przez głowę i pomyślała, że właśnie to jest najdziwniejsze.

Podczas ostatniej większej imprezy w Easterly, niecały tydzień temu, wciąż należała wyłącznie do personelu. Teraz zaś przeistoczyła się w dziwną hybrydę – wskutek zaręczyn z Lane'em weszła poniekąd do rodziny, ale nadal znajdowała się na liście płac i mocno angażowała się w przygotowania do pożegnania zmarłego.

Ściągnęła gumkę z włosów i zaczęła je szczotkować, wciąż jednak pozostawały odkształcone i nie wyglądały najlepiej.

Może starczy jej czasu na...

Nie. Wyświetlacz telefonu wskazywał godzinę piętnastą czterdzieści trzy. To za mało czasu nawet na szybki prysznic.

Za siedemnaście minut zaczną się zjeżdżać goście. Wynajęte busy będą ich zabierać z parkingu przy River Road i dowozić aż przed drzwi rezydencji na szczycie wzgórza.

– Wyglądasz doskonale.

Spojrzała w stronę drzwi i uśmiechnęła się do Lane'a.

– Nie jesteś obiektywny.

Lane włożył granatowy garnitur, błękitną koszulę i koralowy krawat. Włosy wciąż miał wilgotne po prysznicu i pachniał wodą kolońską, której zawsze używał.

Lizzie ponownie skupiła uwagę na sobie. Wygładziła prostą bawełnianą sukienkę. Boże drogi, czuła się tak, jakby nosiła cudze ubranie. W pewnym sensie tak właśnie było. W końcu przecież jakąś dekadę temu pożyczyła ją od kuzynki, zresztą też na pogrzeb. Sukienka zaliczyła już tyle prań, że przy szwach zaczęła tracić kolor. Lizzie nie miała jednak w szafie niczego odpowiedniejszego.

– Wolałabym już się zajmować obsługą tej imprezy – westchnęła.

– Wiem.

– Myślisz, że zjawi się Chantal?

– Nie ośmieliłaby się.

Lizzie nie była jednak taka pewna. Prawie-była-żona Lane'a uwielbiała skupiać na sobie uwagę, dzisiejszą uroczystość mogła więc uznać za doskonałą okazję do podkreślenia swojej doniosłej roli w życiu rodziny, choć jej małżeństwo z Lane'em właściwie należało już do przeszłości.

Lizzie roztrzepała nieco włosy i zagarnęła je bliżej twarzy – zgięcie po gumce nadal się jednak odznaczało.

Pal je lichy! – pomyślała. Niech się układają, jak chcą.

– Jesteś gotowy? – spytała, podchodząc do Lane'a. – Minę masz nietęgą. Mogę coś dla ciebie zrobić?

– Nie, w porządku – wysunął łokieć, żeby mogła pójść z nim pod ramię. – Chodź. Trzeba to załatwić.

Wyprowadził ją z sypialni na korytarz. Gdy zbliżali się do pokoju jego matki, zwolnił, a potem się zatrzymał.

– Chcesz do niej wejść? – spytała Lizzie. – Zaczekam na dole.

– Nie, zostawię ją w spokoju.

Podeszli do głównych schodów i ruszyli na dół. Lizzie czuła się trochę jak uzurpatorka, dopóki wyraźne napięcie w ramieniu Lane'a nie uświadomiło jej, że on się na niej opiera.

– Bez ciebie nie dałbym rady – szepnął już na dole.

– Nie przekonamy się o tym, bo nie mam zamiaru zostawiać cię tu samego – odpowiedziała cicho, gdy stąpali po marmurowej posadzce.

Dookoła stali w pełnej gotowości kelnerzy w smokingach trzymający srebrne tace i czekający na zamówienia dotyczące napojów. Przygotowano dwa barki: jeden w jadalni po lewej stronie, a drugi w głównym salonie po prawej. Serwowano tam wyłącznie rodzinną rezerwę, białe wino i napoje gazowane. W każdym z tych pomieszczeń w widocznych miejscach stały kwiaty zamówione i ułożone przez Lizzie, przy wejściu znajdował się zaś antyczny okrągły stół, na którym leżały księga kondolencyjna oraz srebrna taca na kartki pożegnalne.

W następnej kolejności zjawili się Gin i Richard – schodzili po schodach, zachowując między sobą jak największy dystans.

– Hej, siostrzyczko – powiedział Lane, całując Gin w policzek. – Cześć, Richard.

Zaraz potem para narzeczonych niespiesznie się oddaliła, nie obdarzywszy Lizzie nawet spojrzeniem. Ona jednak nawet się z tego ucieszyła, wiedziała bowiem, że każde ich słowo czy gest w jej stronę i tak wypadłoby protekcjonalnie.

– To nie w porządku – mruknął Lane, widząc, co się stało. – Będę musiał...

– Nic nie rób. – Lizzie ścisnęła jego dłoń, żeby się niepotrzebnie nie rozpraszał. – Posłuchaj, mnie to wcale nie przeszkadza, naprawdę. Wiem, na czym stoję, i na pewno nie zmieni tego aprobatą twojej siostry lub jej brak.

– Ale to było niegrzeczne!

– To zachowanie nadętej licealistki. Przestałam się takimi akcjami przejmować już chyba z piętnaście lat temu. Poza tym ona zachowuje się tak dlatego, że jest nieszczęśliwa. Nawet gdyby obok ciebie stał sam Jezus Chrystus, i tak by się wściekła, widząc kolesia w ubogiej szacie i sandałach.

Lane roześmiał się i pocałował ją w skroń.

– Kolejny raz mi przypomniałaś, dlaczego właściwie z tobą jestem.

– Zaczekaj, krzywo leży.

Mack obrócił się nagle w tył. Do jego gabinetu przynależała łazienka z prysznicem, umywalką i sedesem, a jemu nie chciało się zamykać za sobą drzwi, gdy wszedł tu, by... no cóż, w sumie chyba po to, by całkiem spieprzyć kwestię zawieszenia sobie tej jedwabnej pętli wokół szyi.

Beth położyła dokumenty na jego biurku i weszła do łazienki.

W niewielkiej przestrzeni zrobiło się jeszcze ciaśniej, gdy Beth do niego dołączyła. Boże drogi, zapach jej perfum, gdy sięgnęła ku jego szyi i zdjęła mu krawat...

– Jak na mój gust w ogóle nie bardzo pasuje – zauważyła, podczas gdy Mack usiłował nie gapić się na jej usta. – Znaczy do koszuli.

Rany, wyglądały naprawdę rozkosznie.

– No nie, nie pasuje – powiedziała z uśmiechem. – Ale to nic nie szkodzi. Nikt cię tu nie będzie oceniał po wyglądzie.

Przez ułamek sekundy wyobrażał sobie, że kładzie dłonie na talii Beth i przyciąga ją do swoich bioder. Potem zaś pochyła głowę, żeby się przekonać o smaku jej ust. Mógłby ją posadzić na krawędzi umywalki i...

– Hmm... – bąknęła, owijając jeden koniec krawata wokół drugiego w okolicy serca Macka.

– Słucham?

– Dokąd się wybierasz taki wystrojony?

– Do Easterly na pożegnanie Williama Baldwine’a. Jestem już spóźniony. Zaczyna się o czwartej.

Podniecały go ruchy jej dłoni wokół jego szyi, choć wszystko szło odwrotnie, niż powinno: jeśli już Beth miała się bawić jego garderobą, wolałby, żeby ją z niego zdejmowała.

– Aha. Świetnie. – Jeszcze kilka razy szarpnęła, a potem zrobiła krok w tył. – Znacznie lepiej.

Przechylił się nieco i zerknął w lustro. Cholerny krawat wisiał równiutko jak linia namalowana na autostradzie, a węzeł znajdował się dokładnie na wysokości kołnierzyka, zamiast jak wcześniej przesuwać się w jedną lub

w drugą stronę.

– Naprawdę robi wrażenie.

Beth wyszła z łazienki, a on patrzył za nią, dopóki się nie zreflektował, że powinien bardziej nad sobą panować. Zanim zdołał ponownie się skupić na swoich zadaniach, Beth stała już przy jego biurku. Wskazywała ręką różne przedmioty i coś mówiła.

Znów ubrała się na czerwono, w sukienkę sięgającą nieco nad kolano, z niezbyt dużym dekoltem i krótkimi rękawkami. Pończochy? Chyba nie. Ale jasna cholera, jakie nogi! Buty na płaskim obcasie.

– Hmm... – znów odezwała się tajemniczo.

No dobra, będzie musiał jakoś nad sobą zapanować, zanim dziewczyna oskarży go o stwarzanie nieprzyjemnej atmosfery w miejscu pracy.

– Słucham? – spytał, wychodząc z łazienki.

– Czy mogłabym ewentualnie się tam z tobą wybrać? Nie pracowałam tu wprawdzie za jego życia, ale teraz przecież należę do firmy...

Pokiwał głową, mówiąc sobie w myślach: to nie jest randka, nie, nie, wcale nie.

– Pewnie! – Odchrząknął. – To uroczystość otwarta. Sądzę, że zjawi się wielu pracowników. W takiej sytuacji powinniśmy chyba jednak pojechać twoim samochodem. Mój pikap nie jest odpowiedni dla damy.

Beth się uśmiechnęła.

– Idę po torebkę. Nie ma problemu, mogę prowadzić.

Ruszyła w stronę swojego biurka. Mack przez chwilę stał bez ruchu, wbijając wzrok w etykiety na ścianach i usiłując zapanować nad wzwoдем, i powtarzał sobie w myślach, że przecież to jego asystentka. Owszem, piękna, ale są w tej chwili ważniejsze problemy niż jego nieistniejące życie erotyczne.

Najwyższy czas gdzieś kiedyś wyskoczyć i nadrobić zaległości – pomyślał. Doprowadził się do takiego stanu, bo był ostatnio zbyt zaabsorbowany pracą. Jeśli wyposzczonemu facetowi zapewnić towarzystwo kobiety choć trochę wyróżniającej się ponad przeciętną, trudno oczekiwać, że nie ulegnie on podszeptom swojego durnego aparatu.

– Mack? – zawołała.

– Już idę!

Przestań. Już!

– To znaczy... Ja, no tak...

A niech to szlag!

Nikt się nie zjawił.

Minęło prawie półtorej godziny od ogłoszonego czasu rozpoczęcia. Przed drzwiami głównymi powinna już dawno ustawić się kolejka gości, a po zboczu wzgórza powinny kursować tam i z powrotem dowożące ich busy. Tymczasem przez ten czas do rezydencji zabłąkało się ledwie kilka przypadkowych osób, które na widok wewnątrz świecących pustkami zaraz pospiesznie się oddalały.

Ludzie pewnie czuli się tak, jakby przyszli na uroczysty bankiet w kostiumach halloweenowych. Albo w bieli na cudze wesele.

Lub jakby zostali posadzeni przy stoliku dziecięcym podczas wielkiej gali.

Chyba jednak Lane się mylił, sądząc, że ludzie chętnie przyglądają się z bliska upadkowi możliwych tego świata.

Przez większość czasu przechadzał się z rękami w kieszeniach między pokojami, miał bowiem ochotę się napić, ale wiedział, że to nie jest dobry pomysł. Gin i Richard gdzieś przepadli. Amelia w ogóle nie zeszła na dół. Edward nie dawał znaku życia.

Lizzie wciąż trwała u boku Lane'a.

– Przepraszam pana bardzo...

Lane obrócił się i spojrzał na pana Harrisa.

– Tak, słucham?

– Czy mogę w czymś pomóc?

Choć może wrażenie to wywołał angielski akcent kamerdynera, Lane mógłby jednak przysiąc, że czerpał on subtelny satysfakcję z ich upokorzenia. Aż miało się ochotę złapać za ten jego wypomadowany łeb i zrobić mu z włosów porządne ptasie gniazdo.

– Tak, proszę powiedzieć kelnerom, żeby zwinęli bary. A potem niech jadą do domu. – Nie ma co płacić obsłudze za bezczynne czekanie. – Zwolnij też parkingowych i busy. Jeśli ktoś będzie chciał dojechać, niech po prostu zaparkuje przed domem.

– Oczywiście, proszę pana.

Pan Harris się oddalił, Lane zaś podszedł do schodów i usiadł na najniższym stopniu. Przez otwarte drzwi wejściowe patrzył na gasnące słońce, myśląc o swoich spotkaniach z Jeffem, przewodniczącym rady nadzorczej i Johnem Lenghem. Który zresztą za godzinę miał się zjawić w Easterly, ale kto go tam wie.

Jeff miał rację. Lane usiłował stosować taktykę silnej ręki zarówno w kwestiach finansowych, jak i międzyludzkich. Przyświecała mu oczywiście idea pomagania swojej rodzinie, a właściwie ratowania jej przed upadkiem. Robiło mu się jednak niedobrze na myśl, że przy okazji zaczyna coraz bardziej przypominać swojego ojca.

Zabawne. Gdy stał wtedy na moście i wychylał się w stronę rzeki, chciał w jakiś sposób spróbować się do niego zbliżyć. Teraz jednak naszała go refleksja, że należy uważać, czego się pragnie, żeby tego przypadkiem na siebie nie ściągnąć. Jego zachowanie w ostatnich dniach w zbyt wielu kwestiach zaczynało przypominać wcześniejsze zwyczaje Williama Baldwine'a.

A jeśli zmieni się w takiego jak on skurczybyka?

– Hej! – Lizzie usiadła koło niego, zgrabnie przyglądając sobie sukienkę. – Jak się masz? Chociaż nie, co za głupie pytanie...

Pochylił się w jej stronę i ją pocałował.

– W porządku...

– Ojej, wszyscy już poszli?

Na dźwięk znajomego głosu, którego od bardzo dawna nie słyszał, Lane aż zeszywniał, po czym powoli się obejrzał.

– Mamo...?

Na szczycie schodów po raz pierwszy od wielu lat pokazała się,

podtrzymywana przez pielęgniarkę, Virginia Elizabeth Bradford Baldwin, znana w rodzinie jako Młodsza V.E. Była ubrana w długą białą szyfonową suknię, na jej szyi połyskiwały perły, a w uszach diamentowe kolczyki. Miała doskonale ułożone włosy i świetlistą, rumianą cerę, choć była to raczej zasługa świetnego makijażu, a nie stanu jej zdrowia.

– Mamo... – powtórzył Lane, wstając.

Wbiegł po schodach na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz.

– Edward, kochanie, jak się masz?

Lane zamrugał gwałtownie, potem zaś zajął miejsce pielęgniarki i zaoferował matce swoje ramię, które skwapliwie przyjęła.

– Chcesz zejść na dół? – spytał.

– Chyba powinnam. Ale, och, spóźniłam się. Wszyscy już sobie poszli.

– Tak, goście już byli. Ale to nic nie szkodzi, mamo. Chodźmy.

Okryta rękawem sukni ręka matki była chudziutka i lekka niczym piórko. Choć Młodsza V.E. całym ciałem opierała się na synu, ledwo czuł jej ciężar. Schodzili pomału, a Lane z trudem powstrzymywał się przed wzięciem jej na ręce i zniesieniem ze schodów, co wydawało mu się znacznie bezpieczniejszym rozwiązaniem. Obawiał się, że jeśli matka się potknie i polecą w dół, jej kruche ciało roztrzaska się w drobny mak na czarno-białej marmurowej posadzce.

– Twój dziadek był wspaniałym człowiekiem – powiedziała, gdy w końcu zeszli na dół. – Och, popatrz, likwidują już barki.

– Zrobiło się późno.

– Uwielbiam słoneczne letnie popołudnia, a ty? Zdają się trwać w nieskończoność.

– Może chcesz usiąść w salonie?

– Chętnie, kochanie, dziękuję.

Matka nie tyle stawiała kroki, ile raczej ciągnęła nogę za nogą. W końcu przeszli przez zwieńczone łukiem wejście do salonu i dotarli do obitych jedwabiem sof przed kominkiem. Lane posadził ją na miejscu odwróconym tyłem do drzwi frontowych.

– Och, nasze ogrody... – powiedziała z uśmiechem, patrząc przez drzwi balkonowe prowadzące na taras. – Wyglądają cudownie. Wiesz, Lizzie tak ciężko pracuje, żeby osiągnąć ten rezultat.

Lane ukrył zdziwienie, podchodząc do wózka na napoje i nalewając sobie bourbona. Najwyższa pora zaspokoić pragnienie.

– Ty znasz Lizzie?

– Przecież przynosi mi kwiaty. O, tu jest. Lizzie, poznałaś już mojego syna Edwarda? Koniecznie musicie się poznać.

Lane podniósł wzrok na Lizzie, która stanęła jak wryta, po czym szybko ukryła zdziwienie.

– Dzień dobry, pani Bradford. Jak to cudownie, że wstała pani z łóżka i do nas zesłała!

Choć formalnie matka Lane'a nosiła męzowskie nazwisko Baldwine, w Easterly zawsze nazywano ją panią Bradford. Taki po prostu był zwyczaj, który z pewnością od samego początku doprowadzał do szału jego ojca.

– Dziękuję ci, kochanie. Powiedz, czy znasz Edwarda?

– Ależ oczywiście – odparła łagodnie Lizzie. – Mieliśmy już okazję się spotkać.

– Pomagasz dziś w sprawach organizacyjnych, kochanie?

– Tak, proszę pani.

– Widzę, że cała uroczystość mnie ominęła. Zawsze wszyscy mi mówili, że się spóźnię na własny pogrzeb. Wygląda na to, że na pogrzeb własnego ojca też się już spóźniłam.

Zjawiło się dwóch kelnerów, żeby zwinąć barek stojący w rogu pokoju. Lane rzucił im wymowne spojrzenie, kręcąc głową, a oni po cichu się wycofali. Z oddali dochodził brzęk kieliszków i butelek oraz rozmów pracowników obsługi, którzy właśnie pakowali wszystko w jadalni – Lane miał nadzieję, że umysł matki rejestruje to jako atmosferę dobiegającej końca imprezy.

– Masz doskonałe wyczucie kolorów – powiedziała do Lizzie matka. – Uwielbiam twoje bukiety. Zawsze czekam na dzień, kiedy je wymieniasz, bo

zaskakujesz mnie ciągle nowymi kompozycjami, w których wszystko zawsze idealnie do siebie pasuje.

– Dziękuję, pani Bradford. Proszę mi teraz wybaczyć, ale muszę...

– Oczywiście, kochanie. Masz tyle pracy. Wyobrażam sobie, że musiał tu być straszny tłum ludzi. – Matka machnęła dłonią tak lekko, jakby to było piórko unoszące się w powietrzu. Ogromny diament w kształcie łezki zamigotał przy tym niczym światełka na choince. – No dobrze, to powiedz mi, Edwardzie, jak się sprawy mają w Starej Destylarni? Obawiam się, że od dość dawna nie śledzę, co się tam dzieje.

Lizzie delikatnie ścisnęła jego ramię, zanim się oddaliła, zostawiając go samego z matką. Boże drogi, ileż by dał za to, żeby też móc wyjść teraz z pokoju. Musiał jednak tkwić na drugim krańcu sofy. Miał wrażenie, że wisząca nad kominkiem podobizna Elijaha Bradforda rzuca mu gniewne spojrzenia.

– Wszystko w porządku, mamó. Wszystko w porządku.

– Zawsze doskonale sobie radziłeś w interesach. Masz to po moim ojcu, wiesz?

– To wspaniały komplement, dziękuję.

– Wiem, co mówię.

Nie pamiętał, żeby wcześniej błękit jej oczu był aż tak blady – może przygasł dlatego, że niespecjalnie koncentrowała teraz na czymkolwiek wzrok. Jej fryzura w stylu królowej Elżbiety też nie była już tak gęsta jak dawniej, a skóra zdawała się cienka jak pergamin i przezroczysta niczym muślin.

Wyglądała na osiemdziesiąt pięć lat, choć w rzeczywistości miała o dwadzieścia mniej.

– Mamó? – zaczął.

– Tak, kochanie?

– Mój ojciec nie żyje. Wiesz o tym, prawda? Już ci mówiłem.

Ściągnęła brwi, na jej czole nie pojawiły się jednak zmarszczki, i to wcale nie przez zastrzyki botoksu. Nic z tych rzeczy. Młodsza V.E. wychowała się po prostu w czasach, gdy młodym damom kazano unikać słońca, bynajmniej nie

z powodu zagrożenia rakiem skóry (które wówczas nie było jeszcze tak dobrze rozpoznane) ani z powodu dziury ozonowej, tylko dlatego, że parasolki przeciwsłoneczne i odpoczynek w cieniu uważano za najlepsze wyznaczniki stylu odpowiedniego dla córek milionerów.

W latach sześćdziesiątych zamożne rodziny na Południu kraju wciąż żyły według zasad obowiązujących w pozostałych częściach świata w latach czterdziestych.

– Mój mąż...

– Tak, to ojciec zmarł, nie dziadek.

– Trudno mi to sobie... To dla mnie trudny czas. – Uśmiechnęła się w taki sposób, że Lane nie miał pojęcia, czy coś w ogóle poczuła i czy dotarł do niej sens jego słów. – Ale jakoś się przyzwyczaję. My, Bradfordowie, zawsze się przyzwyczajamy. Och, Maxwell, kochanie, przyjechałeś.

Wyciągnęła przed siebie rękę i uniosła wzrok. Lane zastanawiał się, co jej się znów, do diabła, przywidziało.

Odwrócił się i mało nie rozlał swojego bourbona.

– Maxwell?!

– Tak, proszę tędy. A potem do szatni dla personelu – powiedziała Lizzie do kelnera niosącego w stronę kuchni pudło nieużytych szklanek z wypożyczalni sprzętu bankietowego.

Następnie zaś wróciła do przenoszenia ostatnich nieotwartych butelek białego wina do przegródek kartonu stojącego na podłodze. Chwała Bogu, że mogła się czymś zająć. Gdyby jeszcze choć przez chwilę miała się szwendać po tych pustych pokojach, pewnie by oszalała.

Na Lanie brak gości nie zdawał się robić specjalnego wrażenia, ale... Boże drogi...

Pochyliła się i dźwignęła ciężki karton. Obeszła z nim nakryty obrusem stół i ruszyła ku wyjściu z jadalni przez wahadłowe drzwi prowadzące do korytarza dla personelu, gdzie postawiła pakunek obok trzech już wcześniej tam zaniezionych. Może uda się je zwrócić, skoro butelki nie zostały otwarte?

– Ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka – mruknęła pod nosem.

Uznała, że zacznie teraz porządkować barek ustawiony na tarasie. Zastanawiała się przez chwilę, czy skorzystać z drzwi dla personelu, choć gdyby tak zrobiła, musiałaby obejść cały dom, żeby się znaleźć po jego drugiej stronie.

Według zasad obowiązujących w Easterly członkowie rodziny mogli korzystać z dowolnych drzwi o dowolnej porze, ale pracownicy już nie mieli tego przywileju.

No ale w końcu...

A co tam!

Nie starała się przecież tego wszystkiego ogarnąć tylko dlatego, że należała do personelu, lecz raczej dlatego, że jej ukochany mężczyzna miał dziś naprawdę kiepski dzień, a jej pękało serce, gdy na to patrzyła, chciała więc w jakiś sposób przyczynić się do poprawy całej sytuacji, nawet jeśli oznaczało to sprzątanie po imprezie, która się nie odbyła.

Ruszyła przez pokoje na tyłach rezydencji, wyszła na zewnątrz przez drzwi balkonowe biblioteki i stanęła. Znajdowała się na tarasie wychodzącym na rzekę oraz na River Road, biegnącą u stóp wzgórza. Staroświeckie krzesła z kutego żelaza i stoliki o szklanych blatach przesunięto na skraj tarasu, żeby pomieścić na nim tych wszystkich gości, którzy się nie zjawili.

Barman, który miał tu swoje stanowisko, już je opuścił. Lizzie podeszła do barku, podniosła sięgający ziemi obrus i zobaczyła stojące w równych rzędach puste skrzynki po kieliszkach oraz butelkach wina i bourbona. Wyciągnęła kilka na zewnątrz.

Właśnie zabierała się do pakowania do nich tego, co wystawiono na barek, gdy zauważyła postać siedzącą cicho i nieruchomo przy jednym z okien. Zamiast podziwiać widok roztaczający się z tarasu, człowiek ten zaglądał do wnętrza rezydencji.

– Gary?

Na dźwięk jej słów główny zarządca tak gwałtownie podskoczył, że metalowe krzesło, na którym siedział, aż zazgrzytało o kamienną podłogę.

– O rany, przepraszam – zaśmiała się. – Chyba wszyscy są dziś podenerwowani.

Gary miał na sobie czysty kombinezon, a buty robocze musiał wcześniej opłukać, bo nie było na nich ziemi ani brudu. W rękę trzymał swoją starą, zniszczoną czapkę bejsbolową z nazwą jednego z miejscowych lokali gastronomicznych. Szybko wcisnął ją sobie z powrotem na głowę.

– Możesz tu zostać – powiedziała, biorąc się do przekładania do skrzynki szklanek, które kolejno odwracała do góry dnem.

– Miałem nie przychodzić. Ale jak żem zobaczył...

– Że nie ma samochodów, tak? Że nikt się nie zjawił?

– Trudno dojść, co dla tych bogatych jest ważne.

– Święte słowa.

– No dobra, czas wracać do roboty. Chyba że czegoś tu potrzeba?

– Nie, ja sobie po prostu znalazłam zajęcie, żeby się nie snuć beczynnem. Jak mi zaczniesz pomagać, to szybciej skończę, i co wtedy?

– Aha, to o to się rozchodzi.

– Niestety, przykro mi.

Mruknął coś pod nosem i poszedł tarasem w kierunku ogrodu, a potem ruszył ścieżką prowadzącą wokół nasypu, na którym zbudowano dom, żeby nie zsunął się z wysokiego wzgórza.

Znacznie później Lizzie zastanawiała się, dlaczego właściwie poczuła potrzebę odejścia od pierwszego barku i znalezienia się właśnie tu, gdzie siedział Gary, wpatrując się w okno. Nie ulegało jednak wątpliwości, że coś ją tu przyciągnęło.

A przecież Gary rzadko kiedy tak siedział w bezruchu – tym razem zaś wyglądał tak, jakby ktoś z niego spuścił powietrze.

Lizzie pochyliła się ku wiekowej szybie i zobaczyła... matkę Lane'a, piękną niczym królowa, siedzącą na sofie obitej jedwabiem.

Lane wstał i podszedł do swojego brata Maxwella. Miał ochotę go uścisnąć, nie wiedział jednak, jakiej właściwie reakcji mógłby się spodziewać.

– Hej, bracie – odezwał się Max, mrużąc bladoszare oczy.

Wciąż zdawał się wyższy i szerszy w ramionach niż Lane czy Edward, nawet bardziej niż kiedyś. Dolną część jego twarzy porastała broda. Doszczętnie sprane dżinsy ledwo się trzymały, a skórzana kurtka była już mocno wytarta. Max wyciągnął w stronę brata zgrubiałą dłoń; za paznokciami miał brud, który wyglądał jak smar. Spod rękawa wyłonił się fragment tatuażu na nadgarstku.

Lane’owi ten formalny gest wydał się swoistą spuścizną ich sztywnego wychowania.

– Witaj w domu – powiedział, ściskając bratu dłoń, a zarazem baczenie mierząc go wzrokiem, jakby na podstawie fizycznych przesłanek próbował ustalić, gdzie Max przez ostatnie lata się podziewał i czym się właściwie zajmował. Może pracował jako mechanik samochodowy? Śmieciarz? Członek ekipy technicznej na trasie koncertowej jakiegoś zespołu? Zważywszy na jego tężyznę, z pewnością musiała to być praca fizyczna.

Ich dłonie zetknęły się tylko na chwilę, potem zaś Max zrobił krok w tył i skierował wzrok ku matce.

Na jej twarzy malował się uśmiech, ale spojrzenie miała nieobecne, choć jej oczy patrzyły na przybysza.

– A któż to taki? – spytała, choć przecież przed chwilą zwróciła się do niego po imieniu.

– To Maxwell, mamó – odparł szybko Lane. – To Maxwell.

Położył dłoń na masywnym ramieniu brata, niczym prezenter telezakupów polecający nowy model toster. Młodsza V.E. kilkakrotnie zamrugła, zanim wydobyla z siebie odpowiednią reakcję:

– Ależ oczywiście. Jak się masz, Maxwell? Na długo przyjechałeś?

Najwyraźniej nie skojarzyła, że Maxwell to jej syn, i to wcale nie tylko z powodu jego obecnego wizerunku drwała. Nawet jego imię nie zdawało się budzić w niej żadnych szczególnych skojarzeń.

Max wziął głęboki oddech, po czym do niej podszedł.

– Mam się znakomicie, dziękuję.

– Może miałbyś ochotę wziąć prysznic i się ogolić? Tu w Easterly mamy w zwyczaju zasiadać do kolacji w strojach wieczorowych. Rozumiem, że jesteś przyjacielem Edwarda, tak?

– A, tak – odparł beznamiętnie Max. – Zgadza się.

– Miły z ciebie chłopiec.

Max obejrzał się za siebie, najwyraźniej szukając ratunku. Lane odchrząknął i skinął głową w stronę wyjścia.

– Zaprowadzę cię do twojej sypialni – powiedział, wiedząc doskonale, że Max z pewnością nie zapomniał, gdzie ona się znajduje.

Lane rzucił znaczące spojrzenie czekającej w kącie pielęgniarki, żeby znów przejęła pieczę nad jego matką, a następnie wyprowadził Maxa do holu.

– Co za niespodzianka, braciszku!

– Dowiedziałem się z gazety.

– Nie ogłaszaliśmy chyba tej imprezy w „Charlemont Courier Journal”?

– Nie, chodzi mi o jego śmierć.

– A, no tak.

Zapadła cisza. Max rozglądał się po rezydencji, a Lane dał mu chwilę, żeby się na powrót oswoił. Dobrze pamiętał, jak sam wrócił tu po dwóch latach i przekonał się, że w Easterly nic się nie zmieniło. Być może właśnie to działało tak obezwładniająco, gdy się tu wracało po dłuższej przerwie: wspomnienia nagle ożywały, bo cała sceneria pozostawała nienaruszona.

Zresztą aktorzy też odgrywali swoje niezmiennie role, jeśli nie liczyć Edwarda.

– Zostaniesz trochę? – spytał.

– Nie wiem – odparł Max, patrząc na schody. Potem zaś wskazał zniszczoną torbę podróżną czekającą przy otwartych drzwiach. – Nawet jeśli, to nie tutaj.

– Mogę ci znaleźć miejsce w hotelu.

– To prawda, że grozi nam bankructwo?

– Nie mamy pieniędzy. Kwestia bankructwa zależy od tego, jak to rozegramy.

– A więc on skoczył z mostu?

– Być może. Istnieją pewne przesłanki, że mogło być inaczej.

– Aha.

Max ponownie spojrzął w stronę salonu, gdzie ich matka z miłym uśmiechem unosiła wzrok na pielęgniarkę, która podawała jej właśnie wodę sodową.

– Czy ona też już umiera? – spytał.

– Niewykluczone.

– A kiedy właściwie zaczyna się to przyjęcie?

– Właśnie je zamykam. – Lane wygładził krawat. – Nagła nieprzychylność fortuny to w tych kręgach choroba, przed którą nie chroni żadne szczepienie. Nikt nie przyszedł.

– Szkoda...

– Gdzieś ty się, do diabła, podziewał, Max? – wypalił nagle Lane. – Próbowaliśmy cię znaleźć.

Max nagle uważnie spojrzął na brata, jakby w ogóle go wcześniej nie dostrzegł.

– Wiesz co, wyglądasz jakoś... dojrzej.

– Nie chrań mi tu, Max. Nie widzieliśmy się trzy lata.

– Ale tak się zmieniłeś, jakby minęła cała dekada.

– Może to dlatego, że wreszcie zacząłem dorastać? Widzę zaś, że ty konsekwentnie usiłujesz przeobrazić się w bukszpan.

W tym momencie przed rezydencją zajechał samochód. Początkowo Lane nie zwrócił na niego uwagi, tak był zajęty rozważaniem, czy nie powinien przywalić bratu w szczękę za to zniknięcie. Kiedy jednak z samochodu wysiadł elegancko ubrany Afroamerykanin, na twarz Lane'a automatycznie wypłynął uśmiech.

– No, no, no! W samą porę!

Max zmrużył oczy, stojąc w promieniach gasnącego słońca. Szeroko otworzył oczy, nagle rozpoznając przybysza. Aż zrobił krok w tył, jakby zachwiał się od ciosu.

Nie miał jednak dokąd uciec.

Pastor Nyce zdążył już dostrzec mężczyznę, przez którego serce jego córki pękło na tysiące kawałeczków. Choć wielebny był człowiekiem niezwykle pobożnym, nawet Lane, jako niezaangażowany w sprawę świadek, wolał się oddalić, gdy zobaczył, jakim wzrokiem starszy pan mierzy Maxa – zepsutego lekkoducha mającego wreszcie wypić piwo, którego sam sobie nawarzył.

– Zostawię was samych, pogadajcie sobie – rzucił Lane, ruszając z powrotem do salonu.

Zamiast zajechać od frontu, Edward wjechał na teren Easterly drogą dla personelu i zaparkował pikapa Shelby za skrzydłem kuchennym rezydencji, tak samo jak dzień wcześniej. Wysiadł, wpuścił koszulkę w spodnie i przygładził włosy. Poczł zadowolenie, że przynajmniej się na tę okazję ogolił. Z powodu obolałej kostki czuł się jednak tak, jakby miał kulę u nogi, a serce dziwnie mu waliło. Na szczęście te dwa łyki dżinu pociągnięte z butelki jeszcze przed wyjazdem doskonale złagodziły objawy *delirium tremens*, choć więc wziął ze sobą piersiówkę tego cudownego napoju, na razie nie musiał z niej korzystać.

Bicie serca nieco mu się unormowało, gdy zbliżył się do drzwi kuchennych. Zaskrzypiały, kiedy je otwierał, a po chwili poczuł cofającą go w czasy dzieciństwa charakterystyczną woń, w której słodkie nuty mieszały się z aromatem korzennych przypraw i świeżego pieczywa. Aurora siedziała przy kuchennym blacie, ze stopami opartymi o najniższy szczebel stołka, w fartuchu podciągniętym nad kolana. Sprawiała wrażenie starej, zmęczonej kobiety. Na

myśl o jej chorobie Edwarda zalała fala wściekłości.

Odwrócił wzrok, żeby nie dać się ponieść emocjom. Dostrzegł wówczas piętrzące się w kuchni jednorazowe aluminiowe pojemniki z pokrywkami, w które zapewne spakowano całe jedzenie, żeby je zawieźć do kościoła Świętego Wincentego à Paulo do rozdania bezdomnym i mieszkańcom przytułków.

– Goście nawalili? – zagadnął, podchodząc do pojemników, żeby zajrzeć pod jedną z pokrywek.

Aż mu w brzuchu zaburczało, gdy poczuł zapach pierożków z jagnięciną.

– Co to za powitanie? – warknęła Aurora. – Gdzie twoje maniery, chłopaku?

– Przepraszam. – Odwrócił się w jej stronę i uklonił się grzecznie. – Jak się czujesz?

Ona jednak tylko coś mruknęła. Wyprostował się i dobrze jej się przyjrzał. Tak, na pewno wiedziała, po co przyjechał.

Może i nie był jej ulubieńcem (to miejsce w jej sercu zajmował Lane), ale zawsze należała do nielicznych osób, które potrafiły przejrzeć go na wylot.

– Chcesz mrożonej herbaty? – spytała. – Tam jest.

Pokuśtykał w stronę wskazanego mu szklanego dzbanka, który pamiętał jeszcze z dzieciństwa: szeroka podstawa, cienka szyjka, przetarty żółto-pomarańczowy kwiatowy wzorek z lat siedemdziesiątych.

– Dla mnie to wystawiłaś? – spytał, nalewając sobie herbaty do szklanki.

– Nie wtrącaj mi tu się w moje sprawy.

– Za późno.

Plastikowymi szczypcami nałożył sobie lodu z kubelka stojącego obok dzbanka. Pociągnął łyk ze szklanki i zamknął oczy z rozkoszy.

– Wciąż tak samo smakuje.

– A jak niby miałyby smakować?

Pokuśtykał w jej stronę i zajął sąsiedni stółek.

– Gdzie twoi wszyscy kelnerzy?

– Twój brat ich wziął posłał do domu. I słusznie!

Edward zmarszczył brwi i spojrzał na drzwi prowadzące do rezydencji.

– Czyli naprawdę nikt nie przyszedł?

– Nikt.

Roześmiał się.

– Mam nadzieję, że niebo rzeczywiście istnieje i ojciec to widział. Albo że w piekle mają teleskop.

– Nie mam już siły ci powtarzać, że o zmarłych źle się nie gada.

– To ile ci czasu jeszcze zostało? – spytał bez ogródek. – Obiecuję, że nie powiem Lane’owi.

Aurora przymrużyła oczy i rzuciła mu takie spojrzenie, że aż się wzdrygnął.

– Ty lepiej uważaj. Może i mam raka, ale wciąż mogę złapać za taką długą łychę, a tyś już też nie taki zwinny jak dawniej.

– To prawda. A teraz odpowiedz mi na pytanie i pamiętaj, że jak mnie okłamiesz, to się o tym dowiem.

Aurora rozstawiła szeroko palce, opierając się o blat. Ze względu na pracę paznokcie zawsze obcinała krótko i nie nosiła pierścionków. Ciemna skóra jej dłoni wciąż była piękna i gładka.

Nastąpiła chwila ciszy. Edward wiedział, że Aurora zastanawia się, czy może go okłamać. Ale wiedział też, że koniec końców się na to nie zdecyduje. Będzie bowiem potrzebowała kogoś, kto przygotuje Lane’a na najgorsze. Aurora musi więc słusznie założyć, że dla Edwarda, pomimo jego wycofania się z życia rodzinnego, wciąż istnieją jeszcze co najmniej dwie sprawy, z których na pewno się nie wycofa.

– Przerwałam to całe leczenie – powiedziała w końcu. – Za dużo tych różnych skutków ubocznych, a i tak nic to nie dawało. Więc to nie żarty, jak ci mówię, żebyś mi się tu nie wtrącał.

– Czas. Ile masz czasu?

– A jaka to różnica?

Czyli naprawdę niewiele – pomyślał.

– No nie wiem, pewnie żadna.

– Ja tam się nie boję. Zaniesie mnie do nieba mój Zbawiciel.

– Ciągłe jesteś tego taka pewna? Nawet teraz?

Aurora pokiwała głową i uniosła dłoń do swojej krótkiej fryzury z mocno skręconych włosów.

– Teraz jeszcze bardziej. Ja tam jestem gotowa na to, co mnie czeka. Już dawno się przygotowałam.

Edward powoli kiwał głową. Uznał, że skoro Aurora jest z nim szczerą, on też może sobie na to pozwolić.

– Naprawdę nie chcę dać się z powrotem wciągnąć w rodzinne sprawy – usłyszał własny głos. – Raz już przez to mało nie zginąłem.

– Jesteś wolnym człowiekiem.

– Tak, dzięki torturom tam, w dżungli, zyskałem nowe życie. – Zaklął. – Ale jak wiesz... Nie potrafię patrzeć, jak mój brat cierpi. Ty i ja mamy do niego podobną słabość, choć wypływa ona z różnych źródeł.

– A gdzie tam! Źródło jest to samo. Miłość to miłość, prosta rzecz.

Minęła chwila, zanim zdołał znów na nią spojrzeć.

– Moje życie jest skończone, rozumiesz? Wszystko, co sobie zaplanowałem, wszystko... przepadło.

– Wydepczesz sobie nową ścieżkę. A co do tego – wskazała na przestrzeń dookoła – to nie ma co walczyć o coś, co wcale walki nie wymaga.

– Lane się załamie, gdy cię straci.

– On ma więcej siły, niż się tobie zdaje. No i ma tą swoją Lizzie.

– Ach, miłość dobrej kobiety... – Edward pociągnął łyk herbaty. – Czy w moich ustach brzmi to tak gorzko, jak mi się wydaje?

– Ty już nie musisz odgrywać bohatera, synku. Niech się każda rzecz toczy swoim torem. Wszystko będzie tak, jak ma być. Ale musisz się troszczyć o brata i mi nie zrobić zawodu.

– Mówiłaś chyba, że już nie muszę odgrywać bohatera.

– Ty mi się tu nie odszczekuj! Dobrze wiesz, że to nie to samo.

– No cóż, powiem tylko, że twoja wiara zawsze mnie zadziwiła.

– A twoja wiara w siebie jak ci się przysłużyła?

Edward wznosił szklankę w geście toastu.

– Słuszna uwaga!

– Skąd żeś wiedział? – spytała po chwili Aurora. – Jakaś się dowiedział?

– Mam swoje sposoby. Może i nisko upadłem, jak to mówią, ale tak całkiem nie wypadłem z obiegu. – Zmarszczył brwi i rozejrzał się po kuchni. – Zaraz, zaraz, a gdzie się podział twój stary zegar? Ten, który stał nad lodówką przed remontem?

– Ten, co tak głośno tykał?

– Pamiętasz? – Oboje się zaśmiali. – Nie mogłem znieść tego dźwięku!

– Ja tak samo! Alem go oddała do naprawy. Już dawno się popsuł i w końcu zaczęło mi go brakować. Jakoś tak to już jest, że człowiek się czuje zagubiony, jak mu braknie czegoś, czego szczerze nie znośił.

Edward pomału dopił herbatę.

– W wypadku mojego ojca wcale tak nie jest.

Aurora wygładziła brzegi fartucha.

– Za nim to chyba mało kto tęskni. Nic się nie dzieje bez przyczyny.

Edward wstał i zaniósł pustą szklankę do zlewu. Gdy ją odstawiał, spojrzął przez okno wychodzące prosto na garaże. Obok nich, po lewej stronie domu, wznosiło się centrum biznesowe, znacznie większe od przeciętnej rezydencji.

– Opuść już sobie, synku. Co ma być, to będzie.

Pewnie tak – pomyślał. Ale to nie w jego naturze. Przynajmniej jak dotąd nigdy sobie nie odpuszczał.

A wyglądało na to, że nie wszystkie cechy jego dawnego ja całkiem już umarły.

Gdy jej limuzyna podjechała pod główną bramę Easterly, Sutton zmarszczyła brwi i pochyliła się w stronę kierowcy.

– Chyba od razu wjeżdżamy?

– Chyba tak, proszę pani. Jest otwarte.

Zwykle przy okazji większych uroczystości u Bradfordów obowiązywał system busów kursujących po wzgórzu i dowożących gości z niżej położonego terenu, gdzie parkowano ich samochody. Teraz jednak nigdzie nie było widać parkingowych w uniformach ani jadących w górę czy w dół dwunastoosobowych busów. Nikt inny nie zajechał też pod bramę.

Ale przynajmniej nie było dziennikarzy. Nie ulegało wątpliwości, że te hieny czyhały tutaj, odkąd tylko wypłynęła wiadomość o śmierci Williama Baldwine’a, ale najwyraźniej je stąd przegoniono w ramach obrony praw właścicieli posesji do swobodnego korzystania z własnego trawnika i parkingu.

– To nie do wiary, że nikogo tu nie ma – mruknęła pod nosem Sutton.

Ale nie, zaraz za jej limuzyną pokazał się kabriolet Samuela Lodge’a.

Sutton opuściła szybę i się wychyliła.

– Samuel?

Pomachał do niej.

– Och, panna Smythe! Jak samopoczucie?

Samuel jak zwykle prezentował się niczym model: na głowie słomkowy kapelusz z błękitno-wiśniową wstążką, pilotki ocieniające oczy, muszka, garnitur z kory – wyglądał, jakby właśnie się wybierał na derby albo z niego wracał.

– Doskonale, zwłaszcza w takim towarzystwie – odparła. – Ale gdzie są wszyscy? Czy to właściwa pora?

– O ile wiem, to tak.

Przez chwilę patrzyli na siebie, zadając sobie w duchu pytania związane z wczorajszym artykułem z pierwszej strony miejscowej gazety.

W końcu odezwał się Samuel:

– Jedź pierwsza, pojedę za tobą.

Sutton usiadła znów wygodnie w mercedesie i skinęła głową szoferowi.

– Podjedźmy.

Limuzyna ruszyła, a Sutton potarła spocone nieco dłonie, po czym poddała się impulsowi, żeby sięgnąć do torebki po lusterko i sprawdzić, jak wyglądają jej włosy i szminka na ustach.

Przestań! – napomniała się w duchu.

Gdy zza ostatniego zakrętu wyłonił się szczyt wzgórza, ujrzała Easterly w całej krasie. Zabawne: chociaż całkiem niedawno była tutaj na uroczystym śniadaniu przed derby, okazały gmach kolejny raz zrobił na niej spore wrażenie. Wyglądał jak rezydencja króla Ameryki, gdyby taki ktoś w ogóle istniał. Nic dziwnego, że rysunek przedstawiający ten wielki biały dom Bradfordów ozdobił ich butelki bourbona.

– Zaczekać na panią? – spytał szofer.

– Byłabym wdzięczna. Nie, proszę nie wysiadać. Sama sobie otworzę.

Zakłopotany kierowca wiercił się w fotelu, Sutton zaś wysiadła i uśmiechnęła się do Samuela siedzącego w swoim zabytkowym jaguarze.

– Ładny samochód, panie mecenasie.

Samuel wyłączył silnik i zaciągnął ręczny hamulec.

– To moje oczko w głowie. Najbardziej przewidywalna partnerka, jaką w życiu miałem, jeśli nie liczyć mojej drogiej rodzicielki.

– No cóż, trzeba chyba podnieść dach – powiedziała Sutton, wskazując gęstniejące chmury. – Nadciąga burza.

– Myślałem, że to żarty.

– Nie sędzę – odparła Sutton, kręcąc głową.

Samuel wysiadł i paroma szarpnięciami naciągnął dach z materiału, który następnie przyczepił po dwóch stronach przedniej szyby. Potem podniósł pozostałe szyby, podszedł do Sutton i ucałował ją w policzek.

– A tak przy okazji – nadmienił – świetnie pani wygląda, pani prezes. Gratulacje z okazji awansu!

– Dziękuję. Pomału się rozkręcam. – Wysunął łokieć w jej stronę, a ona ujęła go pod ramię. – A ty? Jak interesy?

– Doskonale. W tym mieście ciągle ktoś wpada w tarapaty, a to dla mnie zwykle dobra i zła wiadomość w jednym.

Gdy zbliżali się do otwartych drzwi rezydencji, Sutton zastanawiała się, czy Edward też przyjechał. Chyba nie opuściłby imprezy pożegnalnej honorującej jego własnego ojca? Choć ona oczywiście wcale nie ze względu na Edwarda tu się zjawiała.

– Pastor Nyce! – zawołała, gdy weszli już do środka. – Jak miło... Max! To ty?

Obaj mężczyźni stali blisko siebie, Max zaś z wyraźną ulgą przerwał dość chyba nerwową rozmowę.

– Sutton, jak dobrze cię widzieć!

Rany, ależ on się zmienił. Imponująca broda! I czy to aby nie tatuaże wystają spod tej zniszczonej kurtki?

No tak, ale z całej czwórki to on zawsze był najbardziej szalony.

Samuel podszedł do nich, żeby się przywitać. Nastąpiła seria uścisków dłoni i wymiana grzeczności, a pastor spojrział znów na Maxa.

– Między nami chyba wszystko już wyjaśnione, prawda? – Tu znacząco zawiesił głos, potem zaś uśmiechnął się do Sutton. – A my mamy w tym tygodniu spotkanie.

– Zgadza się. Nie mogę się doczekać.

Gdy pastor się oddalił, Sutton odbyła jeszcze pogawędkę z Samuelem i Maxem – podczas której starała się jak najdyskretniej zerkać w przestrzeń pustych pokoi. Gdzie są wszyscy? Pożegnanie miało trwać do siódmej.

Powinno być tu pełno ludzi.

Gdy zajrzała do salonu, aż ją zatkało.

– Czy to pani Bradford? Tam, obok Lane’a?

– Raczej to, co z niej zostało – rzucił cierpko Max.

Sutton przeprosiła swoich rozmówców i weszła do pięknie urządzonego wnętrza. Matka Edwarda, gdy tylko ją dostrzegła, uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę w jej stronę.

– Sutton, kochanie.

Taka krucha, a jednak wciąż elegancka jak królowa – pomyślała Sutton, pochylając się i całując jej upudrowany policzek.

– Chodź, usiądź i porozmawiaj ze mną – nalegała matka Edwarda.

Sutton uśmiechnęła się do Lane’a, siadając na wyściełanej jedwabiem sofie.

– Świetnie pani wygląda, pani Bradford.

– Dziękuję ci, kochanie. Powiedz, czy wyszłaś już za męża?

Nagle ni stąd, ni zowąd uderzyła ją dziwna fala gorąca, aż Sutton zerknęła w stronę korytarza. Na obrzeżach salonu zjawił się Edward, który stanął w drzwiach prowadzących od strony gabinetu, oparł się o nie i utkwiał w niej spojrzenie.

Sutton odchrząknęła i próbowała sobie przypomnieć, o co ją przed chwilą spytano.

– Nie, nie wyszłam za męża.

– Och, jak to możliwe? Taka urocza młoda dama? Powinnaś jak najszybciej postarać się o dzieci, zanim będzie za późno.

Właściwie to jestem dość zajęta, bo mam w tej chwili na głowie korporację wartą miliardy dolarów, ale uprzejmie dziękuję za troskę – pomyślała Sutton.

– A jak pani się miewa, pani Bradford?

– Och, doskonale, dziękuję. Edward bardzo się o mnie troszczy, prawda, Edwardzie? – powiedziała pani Bradford, dłonią ozdobioną diamentami wskazując Lane’a, który pokiwał głową i uśmiechnął się tak, jakby już zdążył się przyzwyczaić do odgrywania roli swojego brata.

Starając się ukryć zaskoczenie, Sutton zerknęła raz jeszcze w stronę przejścia.

Prawdziwy Edward wcale nie przypominał samego siebie, a w każdym razie na pewno nie pasował do obrazu najstarszego syna, który pani Bradford zapewne przechowywała w pamięci.

Z jakiegoś powodu na tę myśl oczy Sutton zaszyły łzami.

– Jestem pewna, że doskonale wypełnia swoje synowskie obowiązki – powiedziała zachrypniętym głosem. – Edward zawsze potrafi wszystkiego dopilnować.

Do spódnicy dama powinna nosić rajstopy.

Gin siedziała na brzegu basenu w ogrodzie za domem i gołymi stopami zataczała leniwie koła w ciepłej wodzie. Cieszyła się ze swojego zwyczaju nienoszenia rajstop, halek ani rękawiczek.

Choć halki i rękawiczki dawno wyszły z użycia. Ostatnio zresztą rajstopy też były już *passé*, a ich miejsce zajęła bielizna wyszczuplająca. Jednak kobiety takie jak jej matka nigdy w życiu nie wyszłyby do ludzi bez rajstop.

Gin jednak nie była swoją matką, choć nosiła jej imię.

I owszem, na wykafelkowanym brzegu basenu było dość gorąco, ponieważ tę część ogrodu osłaniał przed wiatrem wysoki ceglany mur otaczający geometryczny układ klombów i ścieżek. Wśród kwitnących koron drzew owocowych ćwierkały ptaki, wyżej zaś, na prądach powietrznych zapowiadających nadchodzącą burzę, szybował jastrząb, zapewne szukający jakiejś kolacji.

Amelia pojechała do domu Chesterfielda Markuma – tak przynajmniej jeszcze przed imprezą twierdził pan Harris. No i dobrze. Tu i tak prawie nikogo nie ma, a Amelia przyjaźniła się z Fieldem od maleńkości – nie był to bynajmniej związek natury romantycznej ani erotycznej.

Profesor. Boże drogi, cała ta afera z wyrzuceniem Amelii ze szkoły wydawała się Gin jednocześnie zupełnie niewyobrażalna i absolutnie przekonująca. Trzeba przyznać, że niezbyt dobrze znała własną córkę – zresztą

to pewnie dlatego Amelia wdała się w taki romans. Choć może Gin zbyt wiele składała na karb własnego zaniedbywania dziecka? Przecież jej rodzice też nie odgrywali w jej codziennym życiu wielkiej roli, ale miała przynajmniej Aurorę.

A i tak nie wyrosło z niej nic dobrego.

Zrobiło jej się słabo. Zdjęła krótki żakiet, ale zostawiła na szyi apaszkę od Hermèsa. Miała ochotę wskoczyć w ubraniu do basenu i zapewne w swoim wcześniejszym, bardziej buntowniczym wcieleniu tak by zrobiła. Teraz jednak brakowało jej do tego energii oraz... publiczności.

– To co w końcu odwołujecie? Tylko przyjęcie weselne czy w ogóle cały ślub?

Słyszając aż nazbyt znajomy głos, Gin zamknęła na chwilę oczy.

– Samuel, nie liczyłam na twoją obecność.

Słyszała za sobą jego zbliżające się kroki, ale nie miała zamiaru na niego patrzeć ani się z nim witać.

– Jak mógłbym nie pożegnać zmarłego z tak zacnej rodziny? – spytał Samuel. – Och, a może miałaś na myśli wasz ślub?

Rozległo się charakterystyczne syknięcie, a chwilę potem Gin wyczuła zapach tytoniu.

– Ciągłe te kubańskie – mruknęła, patrząc na swoje stopy zanurzone w turkusowej wodzie.

– Czyli co w końcu odwołujecie? Mejl, który mi wysłałaś ledwie pół godziny temu, nie był zbyt precyzyjny. Zrobiłaś też dwie literówki. Objasnić ci może, gdzie ukrywa się funkcja sprawdzania pisowni w Outlooku?

– Wychodzę za mąż. Ale nie będzie przyjęcia. – Uniosła dłoń i niedbałym gestem wskazała dom za swoimi plecami. – Jak widzisz, ludzie nie darzą nas teraz szczególną estymą. Jak to się mówi? Kto wysoko lata, ten nisko upada?

– No cóż. Na pewno będziesz wiedziała, na co przeznaczyć zaoszczędzone fundusze. Nowe ciuszki? Jakies świecidełko w sam raz do tego pierścionka? Och, nie, to przecież działka Richarda, prawda? Widzę, że doskonale sobie w tych sprawach radzi. Ile waży ta błyskotka? Pewnie z pół kilo, albo

i więcej.

– Weź się odpieprz, Samuel.

Przez chwilę milczał. Gin aż się obejrzała za siebie, żeby sprawdzić, czy nie odszedł. Ale on nadal za nią stał. Okulary miał podniesione na czoło, w jednej dłoni trzymał kapelusz, a w drugiej zapalone cygaro.

– Co? – warknęła, gdy tak się na nią gapił.

– Co to jest? – spytał, wskazując cygarem jej ramię.

Znów odwróciła się w stronę wody, kręcąc głową.

– Nic takiego.

– To siniak.

– Wcale nie.

– A właśnie że tak.

Zanim się zorientowała, przykucnął koło niej i chwycił ją za nadgarstek.

– Puść mnie!

– To siniak. Co tu się, do diabła, dzieje, Gin?

Wyrwała mu rękę i włożyła zakiet.

– Trochę za dużo wypiałam i straciłam równowagę.

– Czyżby? W takim razie dlaczego ten siniak przypomina uścisk męskiej dłoni?

– Tak ci się tylko wydaje. Uderzyłam się o framugę.

– Gówno prawda. – Przyciągnął ją do siebie, a potem spojrzał na jej szyję.

– Co tam chowasz pod tą apaszką, Gin?

– Słucham?

– Zdejmij apaszkę, bo inaczej sam to zrobię.

– Nie przysługuje ci już prawo zdejmowania ze mnie garderoby, Samuelu – oświadczyła Gin, wstając. – Możesz teraz odejść albo sama to zrobię. W każdym razie ta rozmowa jest...

– Kiedy byłaś ze mną, nigdy nie nosiłaś apaszek. – Też wstał i spojrzał jej prosto w twarz. – Co tu się dzieje, Gin?

– Nic.

– Zabiję go, jeśli podniesie na ciebie rękę. Kurwa, zabiję drania.

Twarz Samuela nagle wykrzywił grymas wściekłości. W tej chwili Gin zobaczyła w nim jego prawdziwą drapieżną naturę. Owszem, miał na sobie jeden z tych swoich garniturów z kory i owszem, był przystojny niczym Francis Scott Fitzgerald, ale... Gin nie miała wątpliwości, że byłby zdolny posłać takiego Pforda (czy inną żywą istotę) do grobu.

Nie był jednak skłonny do tego, żeby ją poślubić. Już go przecież pytała – i jej odmówił.

Gin założyła ramiona na piersi.

– Starał się tylko mnie podtrzymać, żeby nie upadła.

– Mówiłaś chyba, że to była framuga?

– Najpierw w nią uderzyłam, a potem Richard mnie podtrzymał, żeby nie upadła. – Gin przewróciła oczami. – Naprawdę myślisz, że wyszłabym za kogoś, kto bez mojej zgody pozwala sobie na brutalność?

Samuel jedynie wciągnął dym z cygara, po czym wypuścił go w bok, żeby nie narażać Gin na jego wdychanie.

– Co? – warknęła. – Nie znoszę, kiedy tak na mnie patrzysz. Jak chcesz coś powiedzieć, to po prostu powiedz.

Samuel jeszcze chwilę zwlekał, a gdy w końcu przemówił, jego głos zdawał się fałszywie spokojny.

– Gin, twoja sytuacja nie jest aż tak beznadziejna, jak ci się zdaje. Te sprawy finansowe... Wszystko da się naprawić. Ludzie nadal będą kupować waszego bourbona, a Bradfordowie znów staną na nogi. Nie rób nic głupiego.

– Richarda po prostu na mnie stać. – Gin wzruszyła ramionami. – A to już dobry powód, żeby za niego wyjść, niezależnie od sytuacji finansowej mojej rodziny.

Samuel pokręcił głową, jakby pękała mu z bólu.

– Przynajmniej nie próbujesz udawać, że go kochasz.

– Małżeństwa bywają oparte na znacznie słabszych fundamentach. Zresztą

w mojej rodzinie mamy dość potężną tradycję wychodzenia dobrze za męża. I to nie za jakichś lekarzy czy prawników, tylko za prawdziwych bogaczy.

– Mogłem się tego spodziewać. – Samuel zaklął i uśmiechnął się lodowato.
– A ty mnie nigdy nie zawodzisz. Baw się dobrze z tym swoim gachem, zwłaszcza gdy będziesz zamykać oczy i myśleć o Anglii. Albo raczej o zakupach na Piątej Alei.

Gin uniosła podbródek.

– On mnie traktuje wspaniale, wiesz?
– No cóż, najwyraźniej dokonałaś świetnego wyboru – powiedział Samuel, po czym mruknął coś pod nosem. – Dobrze, starczy. Wyrazy współczucia z powodu śmierci ojca. To wielka strata.

– Raczej żadna.
– Równie łatwo pożegnałaś swoje skrupuły, co?
– Uważaj, Samuel. Twoje przycinki zdradzają ukrytą słabość. Czy aby na pewno nie jesteś po prostu zazdrosny o faceta, którym tak pogardzasz?
– Nie, raczej mi go szkoda. To straszne przekleństwo kochać taką kobietę jak ty. Ten pokraczny nieszczęśnik nie ma pojęcia, w co się pakuje.

Odwrócił się, a wówczas Gin poczuła nagły przypływ emocji.

– Samuel!

Pomału znów odwrócił się do niej.

– Tak?

Gdybyś tylko mi nie odmówił – myślała Gin. Gdybym tylko mogła się do ciebie zwrócić.

– Nie wchodź z tym cygarem do domu – powiedziała. – Mama jest na dole, a ona nie toleruje zapachu dymu w pokojach.

Samuel zerknął na żarzące się cygaro.

– Jasne. Oczywiście.

A potem... odszedł.

Z jakiegoś powodu nogi Gin zaczęły drżeć. Ledwo doszła do jednego z leżaków ustawionych rzędami przy dłuższych brzegach basenu. Padła na

leżak i znów ściągnęła zakiet.

Nie mogła złapać tchu, zdjęła więc apaszkę. Skrywana pod nią szyja była obolała, zwłaszcza po prawej stronie, gdzie kryły się największe siniaki.

Trzyczęściowe głębokie oddechy, jak w jodze. Trzeba tylko... należycie oddychać.

– Gin?

Podniosła wzrok i zobaczyła dziewczynę Lane'a. Czy też raczej jego narzeczoną. Zresztą nieważne.

– Tak? – odpowiedziała nieco opryskliwie.

– Wszystko w porządku?

– Oczywiście – warknęła. Nie potrafiła jednak podtrzymać w sobie tej złości. – W porządku.

– No dobrze. Chcę tylko powiedzieć, że nadciąga burza.

– Naprawdę? – Boże, Gin czuła się tak, jakby wpadła do basenu i się topiła.

– Wydawało mi się, że jest słonecznie czy coś...

– Przyniosę ci wody. Nie ruszaj się stąd.

Gin chciała stanąć okoniem, ale język miała jakby spuchnięty, a potem już naprawdę zaczęło jej się porządnie kręcić w głowie.

Lizzie wróciła z wysoką szklanką lemoniady w ręce.

– Wypij to.

Gin wyciągnęła przed siebie rękę, która jednak okazała się mocno drżeć. Nie było wielkich szans, że cokolwiek utrzyma.

– Zaczekaj... pozwól mi...

Lizzie uniosła szklankę do ust Gin, która zaraz pociągnęła łyk – a potem drugi i trzeci.

– Nic się nie martw – powiedziała narzeczona Lane'a. – O nic nie będę pytać.

– Dziękuję – wymamrotała Gin. – To naprawdę miłe.

Edward mógłby właściwie do końca imprezy tylko patrzeć na Sutton i swoją matkę, siedzące na sofie obitej jedwabiem. W przeciwieństwie do Lane'a, który miał raczej chłodny stosunek do ich rodzicielki, Edward patrzył na nią dość łaskawie – głównie dlatego, że po latach bliskiej współpracy z ojcem wiedział, co z nim musiała przejść, i uważał, że choćby z tego powodu zasługuje na szacunek.

Można zrozumieć, że w takiej sytuacji szuka się ukojenia w pojemniku pełnym pigułek.

Zwłaszcza jeśli we własnym domu jest się cały czas zdradzany, ośmieszany i sprowadzany do roli wazonu od Tiffany'ego.

Teraz zaś wyglądało na to, że jego siostra Gin wpada w tę samą pułapkę, wychodząc za Pforda.

Natomiast Sutton... Sutton nigdy by czegoś takiego nie zrobiła, nie skazałaby się na „małżeństwo z rozsądku”, mające tylko zapewnić jej odpowiedni poziom życia. Zresztą w ogóle nie potrzebowała, żeby jakiś mężczyzna określał jej status. Miała inny pomysł na życie: twardą ręką zarządzać międzynarodową korporacją...

Sutton, jak gdyby czując, że on o niej rozmyśla, na chwilę skierowała wzrok w jego stronę, po czym zaraz znów utkwiała spojrzenie w jego matce.

Edward zaś wciąż przyglądał się Sutton. Patrzył na jej włosy, upięte w kok odsłaniający twarz i szyję, kolczyki z ogromnych pereł na zawieszkach ozdobionych lśniąco diamentami... Mało szlachetnie zastanawiał się, czy aby nie dostała ich od tego pieprzonego Dagneya. Pasowały wprawdzie do jej jasnoniebieskiego kostiumu, ale tak delikatne klejnoty nie podkreślały należycie jej urody.

Lepiej wyglądała w rubinach.

Tych od niego.

Bez względu na to, czy zdołała ją kosztowności pochodzące z Afryki czy z Azji, od rozsądnego absztyfikanta czy tylko od pomyłki w jej życiu miłosnym, Sutton pozostawała uderzająco piękna. Uwaga, oto nowa prezes Sutton Distillery Corporation! Miała przy tym klasę i wdzięk pozwalające jej prowadzić taktowną rozmowę ze słabo kontaktującą zagubioną duszyczką pokroju jego matki. Wiadomo jednak, że kiedy zakończy wizytę u Bradfordów, wsiądzie znów do swojej limuzyny (w tym swoim kostiumie koloru światła księżycy na zaśnieżonym polu oraz w kolczykach, których może jednak wcale nie podarował jej gubernator) i niezwłocznie wróci do swojej kadry zarządzającej i dyrektorów sprzedaży. Może spotka się z jakimś japońskim inwestorem, którego uprzejma oferta przejęcia firmy zostanie odrzucona wdzięcznym, ale niepodważalnym „nie”.

Tak, jadąc tutaj, słyszał w radiu, że Sutton przejmuje pieczę nad rodzinnym interesem – zresztą nie mógłby on trafić w lepsze ręce...

Do salonu wszedł mężczyzna, który skierował wzrok na Edwarda i natychmiast do niego podszedł. Pomimo przerośniętej brody i podniszczonej odzieży Edward od razu poznał swojego brata Maxwella – który zresztą swego czasu mocno zapadł mu w pamięć.

– Edward... – powiedział bezbarwnym głosem Max.

– Max, świetnie wyglądasz – odparł cierpko Edward. – Wybacz, ale muszę już iść.

– Pozdrów ode mnie Moego.

– Nie ma sprawy.

Ominął brata i pokuśtykał w głąb salonu. Uznał, że nawet taki drań jak on nie może sobie pozwolić na szczyt chamstwa, jakim byłoby nieprzywitanie się z własną matką przed wyjściem z imprezy.

Nie miał jednak pojęcia, co powiedzieć.

Podszedł do sofy. Pierwsza podniosła ku niemu wzrok Sutton, potem zaś w jej ślady poszła matka.

Podczas gdy szukał odpowiednich słów, Młodsza V.E. uśmiechnęła się do niego tak słodko jak damy na portretach Thomasa Sully'ego.

– Jak to miło, że nasi pracownicy też przychodzą pożegnać zmarłego. Jak masz na imię, synku?

Sutton zbladła. Edward zaś pochylił głowę i powiedział:

– Ed, proszę pani. Mówią na mnie Ed.

– Ed? Och, a ja mam syna o imieniu Edward! – Wskazała ręką Lane'a, a ten nieszczęśnik zrobił taką minę, jakby chciał, żeby go piekło pochłonęło. – A gdzie u nas pracujesz?

– W stajniach, proszę pani.

Jej oczy miały taką samą błękitną barwę jak jego; w lipcowym słońcu wyglądały pięknie jak jutrzeńka. Były też jednak jakby czymś przesłonięte, niczym okno w mroźny poranek.

– Mój ojciec kochał swoje konie. Jak pójdzie do nieba, będzie tam na niego czekać mnóstwo koni wyścigowych pełnej krwi.

– Oczywiście. Moje kondolencje, droga pani.

Odwrócił się i rozpoczął długą i zmudną wędrówkę ku wyjściu z salonu. Usłyszał jeszcze za plecami jej głos:

– Och, ten biedny człowiek kuleje. Mój ojciec zawsze miał słabość do ludzi ubogich i poszkodowanych przez los.

Minęła chwila, zanim świadomość Edwarda wróciła z rejonów, w które na jakiś czas się oddaliła. Odkrył wówczas, że niechcący wyszedł głównymi drzwiami, zamiast wrócić do kuchni i wyjść na parking dla personelu, gdzie zostawił pikapa Shelby.

Stał teraz na schodach przed drzwiami frontowymi. Rozpościerał się przed nim niesamowity widok na rzekę, na który wcześniej, gdy tu mieszkał, w ogóle nie zwracał uwagi – ani w dzieciństwie, ani w początkach dorosłości, ani potem, jako pracownik korporacji.

Teraz jednak, gdy chłonał go wzrokiem, nie uderzyło go wcale piękno przyrody, nie zachwyciła szeroka panorama ani nawet nie zasmuciła utrata tego, za czym obecnie tęsknił. Nie, przyszło mu jedynie do głowy, że... matce,

która miała go za stajennego, nie podobałoby się, że tu stoi. Pracownikom pozwalano korzystać tylko z niektórych wejść do rezydencji, wyłącznie na jej tyłach.

On zaś wyszedł drzwiami przeznaczonymi dla rodziny i jej gości.

Zaczął schodzić po schodach; nogi miał jak z waty. Stopień po stopniu dotarł wreszcie na dół, na bruk, którym wyłożono okrągły podjazd i miejsca parkingowe przy głównym wejściu.

Resztką sił poczłapał na tył wielkiej białej rezydencji, zmierzając ku pikapowi pożyczonemu od obcej kobiety, która zachowywała się wobec niego tak wielkodusznie, jakby należała do jego rodziny.

Choć od swojej rodziny akurat wielkoduszności wcale nie zaznał...

– Edward! Edward!

No jasne – pomyślał, idąc dalej. Nie miał jednak szans na szybką ucieczkę.

Sutton bez problemu go dogoniła. Kiedy dotknęła jego ramienia, próbował iść dalej, ale jego nogi same się zatrzymały. Jego ciało jak zwykle reagowało na jej obecność silniej niż na cokolwiek innego, w tym jego własną wolę. A ona... Och, oczy miała szeroko otwarte, twarz rozpaloną z przejęcia, a oddech tak przyspieszony, że z pewnością kryło się za nim coś więcej niż tylko przebiegnięcie niewielkiego dystansu.

– Ona cię nie poznała! – wydyszała Sutton. – Po prostu... cię... nie poznała!

Boże drogi, ależ była piękna. Czerwone usta, ciemne włosy, strzelista figura o doskonałych proporcjach. Znał ją od tak dawna i od tak dawna na jej temat fantazjował, że nie powinien już wpadać w taki zachwyt na jej widok. A jednak wciąż tak się właśnie działo.

Będą mu już musiały wystarczyć same fantazje o niej. Zważywszy na obecny obrót spraw, na wydarzenia w Easterly, pewnie przez dłuższy czas tylko te fantazje będą go trzymać przy życiu.

– Edward... – powiedziała łamiącym się głosem, aż fizycznie poczuł jej ból

– Edward, tak mi przykro.

Zamknął oczy i ochryple zaśmiał się z siebie.

– Czy ty masz pojęcie, że to miód dla moich uszu? Słyszeć w twoich ustach

moje imię? To właściwie dość smutne.

Gdy znów na nią spojrział, wpatrywała się w niego zdumiona.

– Nie jestem całkiem poczytalny – powiedział bez zastanowienia. – Przynajmniej nie w tej chwili.

Miał wrażenie, że w jego czaszce potężne pakunki spadają z wysokich półek i uderzają o podłogę, aż wysypuje się z nich zawartość, doszczętnie porozbijana.

– Słucham? – szepnęła. – Co takiego?

– Chodź ze mną – powiedział, biorąc ją za rękę.

Serce Sutton biło jak oszalałe, gdy szła za Edwardem. Chciała go spytać, dokąd idą, ale jego nawiedzony wyraz twarzy ją przed tym powstrzymał. Poza tym było jej wszystko jedno. Mogą iść do garażu, na pola, nad rzekę...

Gdziekolwiek. Choć to zupełnie szaleństwo.

Po prostu... nie potrafiła mu się oprzeć.

Jak zwykle zresztą.

Na tyłach domu, przy kuchennych drzwiach kręciło się jeszcze kilku kelnerów. Mieli poluzowane muszki, niektórzy palili papierosy. Na trawie stały przenośne lodówki w czerwonych barwach Uniwersytetu Charlemont, oczekujące na załadunek do dostawczego forda.

Edward jednak prowadził ich dalej, w stronę centrum biznesowego.

Przed budynkiem nie stały luksusowe samochody, w oknach nie paliły się światła – choć trudno było to stwierdzić, bo zasłony były zaciągnięte. Nikt nie wychodził z budynku ani do niego nie wchodził.

Edward bez trudu dostał się do środka – wprowadził kod, który zwolnił blokadę.

Powietrze wewnątrz było chłodne i suche. Połączenie ciemności i dość niskich sufitów dawało wrażenie, że wchodzi się do jaskini – zresztą bardzo przyjemnej, wyłożonej miękką wykładziną, z obrazami olejnymi na ścianach i kuchnią serwującą dania, o których Sutton wiele słyszała, choć nie miała okazji ich spróbować.

– Po co tu przyszedliśmy? – spytała, idąc za kuśtykającym Edwardem.

Nie odpowiedział, tylko poprowadził ją do sali konferencyjnej. I zamknął drzwi. Na klucz.

Pokój oświetlały jedynie przyćmione lampy bezpieczeństwa umieszczone w kątach. Lazurowe zasłony zaciągnięto tak szczelnie, jakby były sklezione. Lśniący stół był właściwie pusty, jeśli nie liczyć wazonu z kwiatami stojącego pośrodku. Kwiaty wyglądały na nieco już przywiędłe.

Wokół stołu stało dwanaście foteli obitych skórą.

Edward odepchnął ten stojący u szczytu stołu, a potem odwrócił się w stronę Sutton. Podszedł do niej, mierząc wzrokiem jej ciało.

Poczuła w płucach ukłucie rozkosznej duszności. Wiedziała dokładnie, po co tutaj przyszli. Wiedziała też, że mu nie odmówi.

To nie miało sensu. Oboje jednak byli zdesperowani, czasem zaś pierwotny instynkt bierze górę nad logiką i rozwagą.

– Pragnę cię – szepnął, pozerając ją rozpalonym wzrokiem.

– A ja mogłabym powiedzieć, że cię potrzebuję, ale tak mnie to przeraża, że nie potrafię... Ups...

Wyciągnęła ku niemu ręce – lub może to on je do niej wyciągnął?

Och, Boże, jak on ją całował – był wygłodniały i nieustępliwy, jedną dłonią oplótł jej kark, a drugą objął ją w tali. Chwiejnym krokiem poprowadził ją w stronę stojącego za nią stołu, aż jej uda dotknęły blatu.

– Możesz na nim usiąść? – wyjęczał tuż przy jej ustach. – Nie dam rady cię podnieść.

Jak zwykle u Bradfordów wszystko było najwyższej jakości, choć więc Sutton ważyła tyle, ile zdrowa kobieta ważyć powinna, stół nawet nie drgnął, gdy na nim usiadła.

Dłonie Edwarda coraz wyżej podciągały jej spódnicę, a on całował ją coraz natarczywiej. Potem zaś wbił się między jej uda, a jego palce wędrowały w górę jej bluzki i ściągnęły z niej żakiet od Armaniego. Sutton sięgnęła do swojego koka i rozpuściła włosy.

Wprawnie rozpiął guziki jej bluzki, aż w końcu odkrył jej piersi,

pozbawiając ją koronkowego stanika. Pochylił się i jeszcze bardziej ją rozpalił. Sutton porzuciła wszelkie opory i położyła się na stole, a on natychmiast poszedł w jej ślady i przywarł do niej całym ciałem.

Zagarnął dłońmi jej piersi, naciskając na nią biodrami, aż czuła jego potężną erekcję tak wyraźnie, że nie potrafiła stwierdzić, czy zdjął już spodnie, czy nie. Gdy całowana przez Edwarda wygięła plecy, on szybko rozpiął zamek z tyłu jej spódnicy i ściągnął z niej kolejny element garderoby. Chwilę później zdjął jej też pończochy. Oraz majtki.

Później zaś jego usta oderwały się od jej piersi i podążyły w inne rejony.

Jej orgazm był tak potężny, że Sutton uderzyła głową o stół – ale wcale jej to nie przeszkadzało. Zaparła się otwartymi dłońmi o gładki blat, aż przesuwały się po nim z piskiem.

– Edward! – zawołała na cały głos.

W całym budynku nie było przecież nikogo, kto mógłby ją usłyszeć i odgadnąć, co się dzieje.

A po całym dniu trzymania się w ryzach w siedzibie korporacji, po stanowczym odcięciu się od roli zrozpaczony córki i nałożeniu maski profesjonalistki, którą chciała i musiała być w pracy, po tylu latach wypierania uczuć żywionych względem Edwarda teraz nie zamierzała już nic ukrywać.

– Boże, jakaś ty piękna...

Słyszając jego głos, uniosła głowę. Patrzył na nią oczami pełnymi żądzy, dłońmi wciąż ściskając jej piersi.

Potem zaś, jak gdyby dokładnie znał jej pragnienia, podniósł się i sięgnął do swojego rozporka.

Wyciągnęła ku niemu ręce i zaczęła mu rozpinąć koszulę, ale...

– Nie, nie zdejmuj jej – zaproponował.

Chciała mu się sprzeciwić, nagle jednak poczuła napór jego członka, który po chwili w nią wszedł.

Ponownie krzyknęła, a Edward był już na niej. Kochali się szybko i wściekle; pod wpływem jego gwałtownych ruchów jej ciało zaczęło przesuwać się po stole.

Objęła go więc nogami i mocno ścisnęła.

Wkurzała ją ta jego koszula. Wkurzał ją powód, dla którego nie chciał jej zdjąć. Chciała, żeby czuł się tak samo swobodnie jak ona.

Gotowa była jednak przyjąć tyle, ile jej oferował. Wiedziała, że nie powinna prosić o więcej.

Wkrótce Edward również doszedł, dając temu wyraz równie głośno jak wcześniej ona. Dyszał i klął prosto do jej ucha, przez zaciśnięte zęby powtarzał jej imię, jednocześnie doprowadzając ją do kolejnego orgazmu.

Zdawało się to trwać bez końca, a jednak skończyło się zbyt szybko.

Edward zastygł w bezruchu, a ona po raz pierwszy, odkąd wziął ją za rękę i tu przyprowadził, pomyślała, że nie jest już tak silny jak dawniej.

Opadł na nią swym niewielkim ciężarem. Minęło sporo czasu, zanim jego oddech się wyrównał.

Zwolniła uścisk nóg, objęła go ramionami i przytuliła, zamykając oczy.

Wydawało jej się najzwyklejszą rzeczą na świecie, że tak otworzyła przed nim swoje serce, choć nie otwierała ust. Choć wszystko to było cudowne, Sutton zdawała sobie sprawę, że tylko kradnie te chwile losowi, a wcześniej czy później będzie musiała znów włożyć ubranie i włączyć mechanizmy obronne...

Edward szepnął jej do ucha coś, czego nie zrozumiała.

– Co takiego?

– Nic.

Edward nie pozwolił jej na dalsze pytania. Przywarł do jej ust i zaczął znów się w niej poruszać. Wciąż miał silną erekcję i mocne biodra, a jego pragnienie zdawało się niezaspokojone.

Z jakiegoś powodu oczy Sutton zaszyły łzami.

– Dlaczego czuję się tak, jakbyś się ze mną żegnał?

– Cii... – szepnął i znów zaczął ją całować.

– Jeszcze nigdy tak mi się nie rozkraczył. Naprawdę nigdy! – zapewniała Macka Beth.

Zaczynał padać deszcz. Krople wody spadały na tył marynarki Macka, pochylonego nad otwartą maską i syczącym silnikiem.

– W porządku, zdarza się – odparł. – Posłuchaj, naprawdę mnie ucieszysz, jeśli powiesz, że masz przy sobie wodę w butelce.

– Powinnam mieć, zaczekaj.

Mack machnął ręką, odganiając chmurę gorących oparów benzyny. Tymczasem nad ich głowami przetaczał się ryk burzy, niczym terkot kuli lecącej po torze w kręgielni.

– Proszę, mam – oznajmiła Beth.

Mack zdjął marynarkę, owinał sobie dłoń rękawem i pochylił się nad chłodnicą.

– Odsuń się! – rzucił.

– Nie, czekaj, zniszczysz sobie...

Gdy tylko poluzował nakrętkę, ta pod wpływem ciśnienia wyleciała w powietrze, a gorąca para poparzyła mu przedramię.

– Kurwa mać!

– Mack, czyś ty oszalał?

Próbując pokryć swoją wcześniejszą głupotę zachowaniem godnym prawdziwego mężczyzny, upuścił marynarkę na ziemię i zaczął machać poparzoną ręką.

– Daj mi tę wodę – wycedził przez zęby, gdy przestał z bólu widzieć wszystko podwójnie.

Światło przecinającej niebo błyskawicy zapewniło mu doskonały widok na mechanizm pod maską. Grzmot, który zaraz potem nastąpił, oznaczał, że burza szybko się zbliża i idzie prosto na nich.

– Wracaj do środka, okej?

– A co z twoją ręką?

– Zajmiemy się nią, jak to wszystko trochę wystygnie. No, idź!

Dalszą wymianę zdań uniemożliwiła gwałtowna ulewa. Beth podbiegła do drzwi od strony kierowcy i szybko wsiadła do środka. Chłodne strumienie wody okazały się w wielu aspektach bardzo pomocne – zwłaszcza gdy obmyły rozpalony silnik.

I – kto by pomyślał? – napełnienie chłodnicy wodą poszło Mackowi znacznie lepiej niż wcześniejsza katastrofa z nakrętką. Po chwili zamknął maskę i pędem ruszył na miejsce pasażera.

– Niezła zabawa – rzucił, zatrzasnąwszy za sobą drzwi i odgarniając z twarzy mokre włosy. – Spróbujesz zapalić?

– Jak twoja ręka?

– Jeszcze nie odpadła. Zobaczmy, czy damy radę ruszyć.

– Nie wiem nic o samochodach, a po tej przygodzie to już na pewno nie będę chciała się niczego dowiedzieć – mamrotała pod nosem Beth, kręcąc głową.

O dziwo, silnik pięknie zapalił, a ona spojrzała na Macka z uśmiechem, aż niemal zapomniał o poparzonej ręce.

– Mam nadzieję, że ci za bardzo nie zaimponowałem – powiedział, prężąc z dumą pierś.

– Powinno się zapisać w Konstytucji, że wszyscy faceci o imionach takich jak Mack czy Joe muszą umieć rozwiązywać tego rodzaju problemy.

Błoga radość nie trwała jednak długo. Podczas gdy o przednią szybę bębnił deszcz, a na niebie szalała istna dyskoteka błyskawic, ból przedramienia tak przybrał na sile, że Mack klął i nie chciał nawet spojrzeć na poparzone miejsce.

Zacisnął zęby i zaczął zdejmować krawat, ponieważ brały go mdłości.

- Powinniśmy chyba jechać na pogotowie – zasugerowała Beth.
- Sprawdzę tylko, czy to bardzo źle wygląda.

Ponieważ wciąż szarpał się z krawatem, Beth w końcu odsunęła jego dłonie i sama zajęła się jego luzowaniem. Zawiązany przez nią wcześniej węzeł jakby się rozplątał pod jej zręcznymi palcami. Potem zaś Mack odchylił głowę w tył, żeby mogła mu rozpiąć górny guzik koszuli.

Siedząc tak z głową w górze, widział Beth w lusterku wstecznym: brwi ściągnięte w skupieniu, rozchylone usta.

Poczuł erekcję.

Ani jej nie planował, ani nie pragnął. Z pewnością zaś nie zamierzał robić z niej użytku. Oto jednak znalazł się w sytuacji rodem z uczniowskiego koszmaru, w którym trzeba podejść do tablicy i na oczach wszystkich rozwiązać jakieś zadanie – tyle że w wersji dla dorosłych.

Boże, ta podróż robi się coraz ciekawsza. Jak tak dalej pójdzie, to za chwilę pewnie rąbnie w nich wiązka światła o mocy pierdyliarda dżuli.

Poderwał się, żeby sprawdzić, czy aby marynarka dobrze zakrywa mu krocze. Beth tymczasem rozpinęła mu dalej koszulę, wyciągając zarazem jej poły ze spodni. Co oznaczało, że znaczna część jego ciała znajdowała się teraz w jej władaniu.

Choć dzięki temu przynajmniej nie myślał wciąż o swoim oparzeniu.

- Dalej już sam dam radę – mruknął.
- Nie dasz rady. Pochyl się w moją stronę.

Mack pomału odsunął się od oparcia, jednocześnie zbliżając się do Beth, która o czymś wciąż nawijała, Bóg zresztą raczy wiedzieć o czym. Gadała bez przerwy, jakby nic szczególnie ważnego się w tym czasie nie działo, jednocześnie obnażając jego klatkę piersiową i ramiona.

– ...masłem, wiesz? Takim prosto z lodówki. Nie wiem, czy to mi pomogło na to poparzenie na szyi, ale za to jak poszłam na parkiet, to zamiast perfumami pachniałam śniadaniem. Chłopaki za mną szalały.

Zaśmiej się, idioto – napomniał się w duchu Mack.

- Śmieszna historia – powiedział.

– Och, Mack...

Patrzyła w dół, kręcąc głową. Aż się wzdrygnął na myśl, że może dostrzegła jego erekcję, ale nie – mokra marynarka wciąż wszystko dobrze maskowała.

Beth udało się całkiem obnażyć jego ciało w miejscu oparzenia – wilgotna koszula zwisała teraz smętnie z jego zdrowej ręki, jakby przygnębiona tym, że nie pójdzie na imprezę.

– Musi cię obejrzeć lekarz – oświadczyła Beth, patrząc na potworną ranę, która wyglądała jak ślad po bombie.

– Nic mi nie będzie.

– Mówiłbyś tak samo, nawet gdybyś miał przeciętą aortę, co?

Wtedy właśnie na niego spojrzała. I natychmiast znieruchomiała... jakby wiedziała dokładnie, w jakich rejonach krążą jego myśli i że wcale nie dotyczą one chłodnicy, ręki ani jakiegokolwiek interwencji medycznej.

Chyba że takiej, w której ona odgrywa rolę pielęgniarki, i to na wpół nagiej. Jasna cholera, ale z niego gnojek.

– Nic mi nie jest – powtórzył, wpatrując się w jej usta i zastanawiając się, jakie są w dotyku i jaki mają smak.

Jej oczy powędrowały do jego klatki piersiowej i kaloryfera na brzuchu. Rany, ależ się teraz cieszył, że nigdy nie stronił od pracy fizycznej. I że należał do drużyny koszykówki, z którą dwa razy w tygodniu rozgrywał ostre mecze. I że potrafi bez trudu podnieść na leżąco ciężary dwukrotnie przekraczające masę jego ciała.

Odchrząknęła i odsunęła się nieco, jakby się go przestraszyła.

– To co? Do szpitala?

– Nic mi nie jest – powtórzył głosem niskim jak chrzęst żwiru. Gdzie, do diabła, podziały się wszystkie pozostałe wyrażenia z jego dorosłego słownika? – Nie przejmuj się.

Oparła dłonie na kierownicy i patrzyła przez przednią szybę, jakby za nic w świecie nie mogła sobie przypomnieć, gdzie i po co się zatrzymali oraz co w ogóle robią w tym samochodzie.

– Nie – oświadczyła, ruszając. – Zabieram cię na pogotowie. Powysyłaj esemesy, komu trzeba, bo na pewno nie dotrzemy już na to pożegnanie.

– No to zatrzymaj się w którymś z domków.

Mówiąc do Maxa, Lane ściągnął muszkę i schował ją do kieszeni marynarki. Hol był już całkiem pusty – podobnie zresztą jak przez większość popołudnia.

Max milczał, co Lane uznał za odpowiedź typu „nie ma, kurwa, mowy”.

– Posłuchaj, Lizzie coś chyba mówiła, że drugi domek od końca jest wolny i w pełni umeblowany. Klucz leży pod wycieraczką.

Nie był pewien, czy brat go w ogóle słyszy, Max bowiem gapił się tylko na wiszący w salonie portret Elijaha Bradforda.

W tle huczały przetaczające się po niebie grzmoty. Otwarte drzwi frontowe jakby zapraszały burzę do środka – choć całkiem niepotrzebnie, bo przecież i tak od kilku tygodni szalało tu tornado.

– Max? – dopytywał Lane.

– Przepraszam. Tak, dobrze, tam się zatrzymam – powiedział Max, zerkając na brata. – Edward wygląda...

– Tak, wiem.

– Czytałem o tym w gazetach, ale... nie było tam zbyt wielu zdjęć.

– No i to co innego, jak się coś takiego zobaczy na własne oczy.

– Nie zdążyłem się jeszcze przyzwycząić.

W kieszonce na piersi zabrzączał Lane’owi telefon. Wyjął go i wcale się nie zdziwił, gdy odczytał wiadomość, że samolot Johna Lenghego został przekierowany w inne miejsce ze względu na złe warunki atmosferyczne. No i dobrze. Lane czuł się wyczerpany i nie miał ochoty na wyczynową partię pokera.

Zanim jednak zdążył schować aparat, przyszła druga wiadomość, jakby wieża nadawcza nagle odzyskała moc, wcześniej utraconą wskutek burzy. Okazało się, że Mack też nie dotrze, bo ma jakieś problemy z samochodem.

„Niewiele tracisz, stary” – odpisał kumplowi Lane.

- Chcesz coś zjeść? – spytał Maxa.
- Już jadłem, zanim tu przyjechałem.
- Jak długo zostaniesz?
- Nie wiem. Tyle, ile wytrzymam.
- W takim razie możemy chyba już się pożegnać – rzucił cierpko Lane.

To zabawne – pomyślał – że obecny wizerunek Maxa całkowicie przesłania jego doskonałe wykształcenie. Z jednej strony potwierdzało to starą prawdę, że nie powinno się oceniać ludzi po pozorach, ale z drugiej... może Max zdążył tak zniszczyć sobie mózg narkotykami, że z jego wiedzy zdobytej na Yale nic już nie zostało?

– Wiesz co... – Max odchrząknął. – W sumie to nie mam pojęcia, po co tu wróciłem.

– No cóż, jeśli mogę ci coś doradzić, to spróbuj się tego dowiedzieć, zanim wyjedziesz. Tak jest rozsądniej. Aha, tylko nie zapomnij pójść się przywitać z Aurorą, co? Będzie chciała cię zobaczyć.

– Pewnie. Tak, wiem, że jest chora.

Na ułamek sekundy Lane'owi zapaliła się czerwona lampka, zaraz jednak to instynktowne przecucie przepadło, kątem oka dostrzegł bowiem na podjeździe srebrnobłękitną postać. Sutton Smythe – w strugach deszczu, z włosami w nieładzie i w przemoczonym kostiumie i szpilkach tonących w kałużach – nie biegła, tylko szła krokiem tak wolnym, jakby przechadzała się o zmierzchu w ciepłą letnią noc.

– Sutton! – zawołał Lane, wybiegając z domu. – Chcesz parasol?

Idiotyczne pytanie. Co jej teraz po parasolu?

Odwróciła się w jego stronę, zaskoczona. Wyglądała, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, gdzie się znajduje.

– Och... Ach, nie, nie trzeba. Ale dziękuję, miło, że pomyślałeś. Moje kondolencje.

Z mercedesa, którym przyjechała, wyskoczył jej szofer, po chwili jednak zawrócił i zaczął szukać w samochodzie parasola.

– Pani Smythe! – wołał, biegnąc znów w jej stronę.

– Wszystko w porządku, Don. Wszystko w porządku.

Szofer zaprowadził ją na tylne siedzenie i zaraz potem mercedes ruszył i szybko zjechał ze wzgórza. Lane stał w drzwiach rezydencji, smagany wilgotnymi podmuchami burzy. Gdy w końcu wrócił do środka, Max zdążył już zniknąć – a wraz z nim zniknęła jego torba.

Pewnie poszedł do kuchni.

Lane z rękami w kieszeniach zaglądał do kolejnych pustych pokoi. Kelnerzy zwinęli już barki i ustawili meble na zwykłych miejscach. Matka wróciła na górę – zastanawiał się, czy i kiedy znów zejdzie na dół. Lizzie dokądś poszła, pewnie wolała dopilnować, żeby wypożyczone obrusy, serwetki i szkło zostały należycie spakowane, niż wariować z nudów.

A Edward? Chyba już pojechał.

W domu panowała cisza, podczas gdy wiatr smagał najwyższe wzgórze w Charlemont, a niebo, rozświetlane śmiertcionośnymi błyskawicami, wściekle ryczało i burzyło się, ciskając gromy.

Lane wziął przykład z Sutton i wyszedł na zewnątrz, wystawiając twarz na szalejące żywioły. Czuł na skórze zimne krople deszczu przetykanego gradem. Jego ciałem szarpały gwałtowne podmuchy wiatru. W miarę jak burza coraz bardziej się zbliżała, rosło niebezpieczeństwo porażenia piorunem.

Ubranie Lane'a łopotało na wietrze, co przypomniało mu chwilę, gdy spadał z mostu. Przymknął oczy, chroniąc je przed ostrymi podmuchami. Miał poczucie, że leci w przepaść, jakby odległe urwisko, pod którym płynęła rzeka, znajdowało się na wyciągnięcie ręki.

Istniała jednak pewna oczywista prawda, która sprawiała, że szedł wyprostowany i się nie poddawał – niewyczerpana siła, moc pochodząca z jego wnętrza.

Wiedział, że tak jak Easterly przetrwało niejedną burzę, podobnie przetrwa i on.

Gdy Edward wrócił do stadniny, zaparkował pikapa Shelby przed domkiem, zgasił silnik i wyjął kluczyk ze stacyjki. Nie od razu jednak wysiadł, i to wcale nie z powodu burzy.

Krople deszczu waliły o szybę, jakby Bóg wściekł się na niego i chciał weń czymś rzucić, lecz nie miał pod ręką nic oprócz wody. Edward jednak nie zwracał uwagi na szalejącą burzę, wciąż bowiem miał przed oczami obraz cudownie nagiej Sutton leżącej na stole konferencyjnym, jęczącej i zdyszanej.

Spojrzał przez strugi deszczu w stronę domku. Wiedział, że Shelby tam na niego czeka – z kolacją i butelką jakiegoś alkoholu. Wiedział, że gdy skończy jeść i pić, oboje pójdą do sypialni i położą się obok siebie w ciemności. On zaraz zaśnie, a ona... cóż, nie wiedział, czy ona wtedy śpi.

Nigdy jej o to nie pytał.

Schował kluczyk do kieszonki w osłonie przeciwsłonecznej i wysiadł z samochodu. Silny podmuch wiatru natychmiast rzucił nim o mokrą karoserię. Edward wyciągnął przed siebie ramię, żeby utrzymać równowagę, nie miał jednak ochoty wchodzić do domu. Choć perspektywa pozostania na zewnątrz...

Nagle wszystko to przestało mieć znaczenie.

W stajni B działo się coś dziwnego. Przede wszystkim paliły się wszystkie światła, co samo w sobie było nietypowe. Bardziej jednak zaniepokoiło go to, że przy otwartych drzwiach na jej tyłach roiło się od ludzi.

Edward odepchnął się od pikapa i pokuśtykał przez trawnik w stronę zamieszania. Wkrótce przez wycie wiatru przebił się paniczny koński kwik.

Wydawany przez dobrze mu znanego ogiera.

Edward dotarł do najbliższych drzwi i wparował do środka najszybciej, jak potrafił. Minął siodlarnię i magazyn, a potem ruszył do części stajennej

i popędził między boksami.

– Co wy tu, do diabła, wyprawiacie?! – ryknął, próbując przekrzyczeć wrzask ludzi i odgłosy zwierząt.

Nebekanzer rzucał się po boksie, wierzgając w panice. Tylnymi kopytami zdążył już rozwalić dolne drzwiczki. Natomiast na górnej kracie, wciąż jeszcze nienaruszonej, siedziała Shelby, niczym kompletna wariatka, i próbowała chwycić go za uzdę.

Stali przy niej pomocnicy stajenni, a także Moe i Joey, ale ich wszystkich od oszalałego konia oddzielały drzwi boksu, podczas gdy Shelby – Boże drogi! – znajdowała się w zasięgu mocnych zębów i ciężkiego łba bestii, to jej więc groziło, że zostanie zrzucona na podłogę, a jej czaszka w zderzeniu z betonem pęknie niczym melon, jeśli wyląduje po stronie korytarza, albo zostanie zmiażdżona kopytami, jeśli trafi do boksu.

Edward bez zastanowienia ruszył w jej stronę (choć znacznie bliżej stał Joey, zresztą młodszy i silniejszy). Zanim jednak dokuśtykał na miejsce...

Shelby złapała konia za uzdę.

I jakimś cudem, nawiązując z oszalałym zwierzęciem kontakt wzrokowy, zdołała jednocześnie utrzymać się w pozycji do góry nogami, mocno ściskając górne drzwi udami, i łagodnie dmuchać koniowi w chrapy. W tym czasie stajenni zdążyli szybko usunąć zniszczone dolne drzwi boksu, żeby wystające z nich drzazgi nie raniły dalej ogiera, a dziurę zabezpieczyli mocną nylonową taśmą. Shelby wystawiła wówczas rękę przez pręty, a jeden z mężczyzn szybko podał jej maskę dla konia.

W ułamku sekundy założyła ją Nebekanzerowi na oczy i zapięła pod gardłem.

Potem zaś dalej łagodnie dmuchała w rozdęte chrapy. Potężny ogier stopniowo się uspokajał, przynajmniej po części okiełznany; jego zakrwawione boki już tylko drżały, a brzuch falował... Podkute kopyta stały bez ruchu pośród trocin.

Shelby z gibkością godną zawodowej gimnastyczki wróciła do normalnej pozycji, a potem zeskoczyła na dół, prosto do boksu.

Edward zaś po raz pierwszy od czasu swojego porwania zdał sobie sprawę, że istnieje jeszcze coś, co go przeraża.

Gdy tylko zaczęła tu pracować, przekazał jej jedną z niewielu złotych zasad obowiązujących wszystkich pracowników stadniny: nikomu poza nim nie wolno zbliżyć się do Nebekanera.

A oto stała teraz – całe czterdzieści pięć kilo żywej wagi, metr sześćdziesiąt pięć wzrostu – w zamkniętej przestrzeni z tym mordercą.

Edward patrzył z oddali, jak dziewczyna gładzi konia po szyi, cały czas coś do niego mówiąc. Nie była jednak głupia: skinęła jednemu ze stajennych, który szybko odczepił taśmę zabezpieczającą w miejscu najbliższej niej, żeby w razie nagłego ataku konia mogła w okamgnieniu znaleźć się po bezpiecznej stronie drzwi do boksu.

Jak gdyby czując na sobie spojrzenie Edwarda, Shelby na niego zerknęła. W jej spojrzeniu nie było nawet odrobiny skruchy – ani też dumy.

Działając fachowo i racjonalnie, bez narażania się na zbędne ryzyko, ocaliła jego konia, który mógł się mocno pokaleczyć, a nawet zabić. Nebekaner mógł przecież przeciąć sobie tętnicę o te roztrzaskane drzwiczki. Ona zresztą też mogła doznać bardzo poważnych obrażeń.

A jednak pięknie sobie poradziła.

I nie tylko Edward zwrócił na to uwagę.

Syn Moego, Joey, stał z boku i gapił się na nią takim wzrokiem, jakby stał się na powrót szesnastolatkiem patrzącym z podziwem na królową balu, z którą bardzo pragnął zatańczyć.

Co dowodziło, że człowiek w każdej chwili życia nosi w sobie wcześniejsze jego etapy.

Edward zresztą nie był tym szczególnie zachwycony. Zmarszczył brwi i zdał sobie sprawę, że odczuwa niemal nieodpartą chęć stanięcia między nimi niczym żywa tablica z napisem „RĘCE PRZY SOBIE”, żółta taśma ostrzegawcza czy syrena alarmowa.

Ten jego instynkt opiekuńczy przypominał jednak troskę starszego brata o bezpieczeństwo młodszej siostry.

Spotkanie z Sutton uświadomiło mu, w najprostszy z możliwych sposobów, że to ona już zawsze będzie jedyną kobietą jego życia.

Na górze, w apartamencie diabli wiedzą którego z wielkich przodków Lane'a, Jeff kliknął „drukuj” i wyciągnął dłoń w kierunku maszyny. Urządzenie zaczęło rytmicznie bzyzczyć, aż w końcu wypłuło stronę z równiutką kolumną liczb. A potem kolejną. I jeszcze jedną, ostatnią.

Na każdej z tych trzech stron znajdowały się też zapisane drobnym drukiem objaśnienia do poszczególnych pozycji, które przez ostatnie dwie godziny wpisywał na swoim laptopie.

Najważniejszy był jednak nagłówek:

PODSUMOWANIE DEFICYTU OPERACYJNEGO BRADFORD BOURBON COMPANYY

Jeff odłożył dokument na biurko, a właściwie na klawiaturę otwartego laptopa. Potem spojrział na zalegającą na antycznym biurku stertę papierów: notatek, raportów finansowych, tabel i wykresów. Właśnie wszystko skończył.

Zrobione.

To znaczy przynajmniej ta część, w której miał za zadanie prześledzić spłaty należności oraz wysokość kapitału operacyjnego.

Chociaż... wziął do ręki raport, sprawdził, czy na pewno się wylogował, zmienił hasło, zaszyfrował całą swoją pracę i wysłał kopię elektroniczną dokumentów na swój prywatny adres mejlowy.

Z portu USB wyjął pendrive i włożył go do kieszeni spodni. Potem zaś podszedł do łóżka i usiadł na jego brzegu. Gapiąc się na biurko, pomyślał: no faktycznie, zupełnie jak w moim manhattańskim biurze.

Pracował przecież dla wielkiej korporacji. Wraz z tysiącem innych „żywych kalkulatorów”, jak ich określał Lane.

Po drugiej stronie pokoju, przy drzwiach, stały jego bagaże. Przeczesał je za każdym razem, kiedy coś mu było potrzebne, wiedział bowiem, że nie

przyjechał na długo.

Cholerne walizki sprawiały wrażenie śmiertelnie rannych – z ich rozprutych wnętrzności wylewały się jego ubrania i przybory toaletowe.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Tak? – powiedział Jeff.

Do pokoju weszła Lillianna. Miała na sobie dzinsy opięte niczym druga skóra oraz luźną bluzeczkę z tak ogromnym dekoltem, że przypominała strój plażowy. Z rozpuszczonymi włosami i w pełnym makijażu dziewczyna wyglądała jak uosobienie młodości, seksu i witalności. Cechy te tworzyły zgrabny erotyczny pakiecik, który chętnie Jeffowi prezentowała.

– Moje gratulacje! – zaszczebiotła, gdy już zamknęła za sobą drzwi na klucz. – Cieszę się, że przysłałeś mi wiadomość, żebym tu przyszła z tobą świętować.

– A ja się cieszę, że przyszłaś. – Jeff przesunął się dalej na łóżko i skinął głową, wskazując przygotowany raport. – Pracowałem nad nim bez przerwy. To dziwne uczucie nie musieć już w nim dłubać.

– Zakradłam się tylnymi schodami – wyznała Lillianna, odkładając na bok torebkę.

– Czy to nowy model od Vuittona? – spytał przeciągle Jeff, wskazując ją głową.

– To? – Uniosła torebkę z charakterystycznym nadrukiem. – No faktycznie. Świetnie się orientujesz w modzie. Uwielbiam facetów z Nowego Jorku.

– To mój dom.

Lillianna zrobiła smutny dzióbek.

– To znaczy, że wkrótce wyjeżdżasz?

– Będiesz za mną tęsknić?

Podeszła do łóżka i położyła się obok Jeffa. Przekręciła się na bok, ukazując piersi. Nie miała na sobie stanika i najwyraźniej była już mocno podniecona.

– Tak, będę tęsknić – powiedziała. – Ale może mogłabym cię tam

odwiedzić?

– Może.

Jeff zaczął ją całować, a potem rozbierać. Ona też zaczęła rozbierać jego. Robili to już tyle razy, że wiedział, co ona lubi i jak szybko doprowadzić ją do orgazmu.

Sam też był już podniecony – trudno, żeby nie był. Choć jednocześnie cały czas starał się dostrzegać sygnały, które mogłyby zdradzić, po co Lillianna do niego przychodzi, czego chce i jak zamierza go wykorzystać.

Jako bankier dobrze znał się na kursach wymian.

A po spędzonej z nią nocy, kiedy już wczesnym rankiem wymknie się z jego łóżka, włoży strój pokojówki i będzie udawać, że wcale z nim nie spała, on spotka się z Lane'em i zda mu pełny raport z aktualnego stanu finansów. Później zaś pozostanie mu do załatwienia jeszcze jedna sprawa.

Gdy leżał już na Lilliannie, a ona mruczała mu do ucha, wciąż nie był pewien własnej odpowiedzi na propozycję udziałów w firmie. Lane zdawał się mówić zupełnie poważnie, a Jeff wiedział już o korporacji wszystko. Przyjęcie tej oferty wiązało się jednak z pewnym ryzykiem. W każdej chwili mogło się tu rozpocząć śledztwo federalne. A on nigdy dotąd niczym większym nie zarządzał.

Zupełnie jak w starym przeboju The Clash: *Should I stay or should I go* – nie mógł się zdecydować, w którą stronę iść.

Śledczy z wydziału zabójstw zjawił się następnego ranka o dziewiątej. Lane schodził właśnie po schodach, gdy usłyszał stukanie mosiężnej kołatki. Ponieważ na horyzoncie nie było widać pana Harrisa spieszącego wypełnić swój kamerdynerski obowiązek, Lane sam otworzył drzwi.

– Witam pana, inspektorze. Czym mogę służyć?

– Dzień dobry. Ma pan może chwilkę?

Inspektor Merrimack zjawił się w tym samym stroju co poprzednio: ciemnych spodniach i białej koszulce polo z policyjnym emblematem. Uśmiechał się z uprzejmością profesjonalisty. Włosy miał jeszcze krócej przycięte, przyjemnie (ale nie za mocno) pachniał wodą po goleniu.

Lane odsunął się na bok i gestem zaprosił go do środka.

– Właśnie szedłem na kawę. Wypije pan ze mną?

– Jestem tu służbowo.

– Myślałem, że to oznacza zakaz picia alkoholu, a nie kofeiny.

Uśmiech.

– Gdzie możemy porozmawiać?

– Choćby tutaj, skoro odrzucił pan ofertę wypicia doskonałej kawy w naszej kuchni. Czego więc panu potrzeba? Moja siostra Gin nie należy do rannych ptaszków, jeśli więc chciałby pan z nią porozmawiać, proszę wpaść po południu.

Merrimack kolejny raz się uśmiechnął.

– Właściwie to interesuje mnie wasz system monitoringu. – Wskazał głową na kamery dyskretnie umieszczone przy gzymsach pod sufitem. – Macie ich tu chyba sporo, prawda?

– Tak, to duży dom.

– I są zainstalowane zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz, tak?

– Zgadza się. – Lane włożył ręce do kieszeni, żeby nie pocierać nerwowo paska od zegarka ani kołnierzyka koszuli. – A chodzi panu o coś konkretnego?

Głupie pytanie.

– A co się dalej dzieje z tymi nagraniami? Gdzie są archiwizowane i przechowywane?

– Pyta pan, czy może uzyskać do nich dostęp?

– Dobrze pan wie, że tak. – Uśmiech. – Byłoby to bardzo pomocne.

Ponieważ Lane przez chwilę wstrzymywał się z odpowiedzią, inspektor znów się uśmiechnął.

– Proszę posłuchać. Wiem, że chce pan nam pomóc. Cała pańska rodzina zachowywała się bardzo otwarcie podczas dochodzenia, co wraz z kolegami bardzo doceniamy.

Lane zmarszczył brwi.

– Właściwie to nawet nie wiem, gdzie te nagrania są przechowywane.

– Jak to możliwe? Nie mieszka pan w tym domu?

– I nie wiem, jak się do nich dostać.

– Wystarczy, że mi pan pokaże, gdzie jest serwerownia, a ja się tym zajmę.

– Znów zapadła cisza. – Czy istnieje jakiś powód, dla którego nie chce pan, żebym zobaczył nagrania z monitoringu pańskiej posiadłości?

– Muszę najpierw pogadać ze swoim prawnikiem.

– Nie stawiamy panu żadnych zarzutów. Nie jest pan nawet podejrzanym w sprawie. Przecież w chwili, gdy zginął pana ojciec, był pan akurat przesłuchiwany w areszcie. Nie powinien pan więc mieć nic do ukrycia – powiedział Merrimack, wzruszając ramionami.

– Odezwę się do pana w tej sprawie. – Lane wrócił do drzwi i otworzył je na oścież. – A teraz, jeśli nie ma pan nic przeciwko, chciałbym zjeść śniadanie.

Inspektor niespiesznym krokiem podszedł do otwartych drzwi.

– Pojadę tylko po nakaz rewizji. I tak się do tych nagrań dostanę.

– W takim razie nie ma problemu, prawda?

Merrimack przestąpił próg.

– Kogo próbuje pan chronić? – spytał.

Coś w jego spojrzeniu sugerowało, że inspektor dobrze wie, o kim Lane teraz myśli.

– Życzę panu wspaniałego dnia – powiedział Lane, zamykając drzwi za facetem o wymownym uśmiechu.

Gin przyglądała się swojej szyi w lustrze toaletki, sprawdzając, czy siniaki już dostatecznie wyblakły. Uznała, że wystarczy odrobina podkładu, żeby nikt ich nie zauważył.

– Marls! – zawołała, siadając w fotelu, w którym zwykle ją malowano. – Gdzie jest Tammy? Czekam tu na nią.

Apartament Gin urządzono w odcieniach bieli: staroświeckie białe ramy okien przesłonięte zasłonkami z białego jedwabiu, w sypialni i pełnej luster garderobie miękka biała wykładzina niczym lukier na torcie, biały marmur ze złotymi żyłkami w łazience, białe łóżko z białą pościelą, w którym spało się jak na obłoczku... Kryształowe żyrandole i umieszczone w kluczowych miejscach kinkiety wyglądały jak kolczyki od Harry'ego Winstona – cały osprzęt miały jednak nowy, nie te stare i powykrzywiane oryginalne elementy od Baccarata, które wciąż straszyły na dole i w innych pokojach.

Gin miała po dziurki w nosie ciężkich orientalnych dywanów i olejnych obrazów wyglądających jak ciemne plamy na ścianach.

– Marls!

Miejsce, w którym teraz siedziała, znajdowało się między jej łazienką a garderobą. Już dawno, na długo przed remontem generalnym za ćwierć miliona dolarów, urządziła tu sobie strefę, w której szykowała się do wyjścia. Był tu profesjonalnie urządzony kącik fryzjerski, gdzie poddawała się zabiegom mycia, strzyżenia i koloryzacji włosów, a także kącik wizażu, spokojnie mogący się równać z salonem Chanel w domu towarowym Saks na

Manhattanie. Stało tu też tyle buteleczek perfum i najróżniejszych kosmetyków, że nawet najlepsza drogeria mogłaby się schować.

Podłużne okno wychodziło na ogrody za rezydencją – dzięki niemu fryzjerki i wizażystki mogły przyglądać się rezultatom swojej pracy w naturalnym świetle lub po prostu podziwiać kwiaty i widoki.

Gin stuknęła pięknie pomalowanymi paznokciami w chromowane ramię fotela, aż w końcu zwiesiła bosą stopę i odepchnęła się od podłogi, obracając się w stronę pokojówki.

– Marls! Za pół godziny jedziemy do urzędu! No już, dzwoni do niej!

– Tak, proszę pani! – zawołała nerwowo z sypialni pokojówka.

Tammy była najbardziej rozchwytywaną wizażystką w mieście, a Gin zawsze miała u niej pierwszeństwo przed innymi klientkami, z kilku powodów: po pierwsze dawała szczodre napiwki, po drugie robieniem makijażu takiej osobie można się pochwalić, a po trzecie Gin pozwalała jej brać udział w przyjęciach urządzanych w Easterly, jakby Tammy należała do zaproszonych gości.

Oczekując na wizażystkę, oglądała swoją kolekcję kosmetyków do makijażu, profesjonalnie rozłożonych na całym stanowisku. Pełna paleta cieni do powiek i różów firmy MAC przypominała kolorowy świat beztroskiego dzieciństwa, specjalne stoliki na kółkach wyposażone w zestawy podkładów, maseczek i pędzli wyglądały jak skomplikowana aparatura, wymagająca co najmniej doktoratu od osób mających ją obsługiwać. Na toaletce, po obu stronach lustra, jaśniały symetryczne kolumny lampek, nad nim zaś zainstalowano szynę z reflektorami, w których można było regulować barwę światła, zależnie od tego, czy chciało się widzieć więcej czerwieni, żółci czy błękitów.

Wisząca za jej plecami „suknia ślubna” wyglądała niezwykle skromnie: był to po prostu kostium od Armaniego z asymetrycznym kołnierzem – biały, ponieważ była w końcu, do diabła, panną młodą.

Na podłodze stały cieliste pantofle od Stuarta Weitzmana – model z odkrytą piętą.

Na wyciągniętej z toaletki półeczce znajdowało się zaś otwarte aksamitne granatowe pudełeczko od Tiffany'ego, o nieco już wytartych rogach, ukazujące leżącą w środku ogromną broszkę w stylu art déco, którą babcia Gin otrzymała w dniu swojego ślubu z E. Curtinousem Bradfordem w 1926 roku.

Do rozstrzygnięcia pozostawała jeszcze kwestia, czy Gin ma zdjąć ze szpilki dwie ozdobne połówki i zrobić z niej dobry użytek, czy raczej przypiąć ją jako całość do pięknego kołnierza kostiumu.

– Marls...

Zobaczyła w lustrze stojącą w drzwiach pokojówkę. Dziewczyna trzymała w ręku telefon i zachowywała się nerwowo jak mysz, która lada chwila może zostać złapana w pułapkę.

– Powiedziała, że nie przyjdzie.

Gin pomału obróciła się na krześle jeszcze bardziej w stronę pokojówki.

– Słucham?!

Marls uniosła telefon, jakby miał on stanowić dowód prawdziwości jej słów.

– Właśnie z nią rozmawiałam. Powiedziała, że... nie przyjdzie.

– Mówiła może dlaczego? – Gin przeszedł dreszcz, tak naprawdę знаła bowiem odpowiedź. – Jaki podała powód?

– Nie mówiła.

A to sucz!

– W porządku, sama się zajmę tym pieprzonym makijażem. Możesz iść.

Gin sprawnie zabrała się do pracy, cały czas tocząc w głowie rozmowę z Tammy, coraz bardziej wściekła. Wyobrażała sobie, co by powiedziała tej...

– och, brak jej słów! – tej niewydarzonej kurewce, dla której przez tyle lat była taka dobra. Wspominała wszystkie gale, na które wizażystka miała dzięki niej darmowy wstęp, ten cały pieprzony rejs po Morzu Śródziemnym, podczas którego w ramach zapłaty za swoją pieprzoną luksusową kajutę musiała jedynie co dzień rano pociągnąć rzęsy Gin mascarą. Aha, no i jeszcze wyjazdy na narty do Kolorado. A teraz ona po prostu się nie zjawia...

Po trzydziestu minutach chaotycznego monologu wewnętrznego Gin była już

umalowana, zdążyła też włożyć kostium i wpiąć broszkę w kołnierz. Włosy spływały jej falami na ramiona, pantofle dodawały nieco wzrostu. Stanowisko do makijażu nie wyglądało natomiast najlepiej. Wszędzie walały się pędzle, tusze i sztuczne rzęsy. Kredki do ust i oczu wyglądały jak rozsypane bierki. Jeden z pudrów w kamieniu wypadł z puderniczki i się rozsypał – cały blat pokryły beżowe smugi.

Marls to wszystko posprząta.

Gin przeszła do sypialni, wzięła z komody jasnobeżową pikowaną torebkę Chanel i otworzyła drzwi na korytarz.

Richard już na nią czekał.

– Masz sześć minut spóźnienia.

– Ojej, znasz się na zegarku? Moje gratulacje!

Uniosła brodę i próbowała przejść obok niego, wcale się jednak nie zdziwiła, gdy złapał ją za ramię i szarpnął w swoją stronę.

– Nie życzę sobie takich spóźnień!

– Wiesz, słyszałam, że są już dobre leki na zaburzenia obsesyjno-kompulsywne. Mógłbyś na przykład spróbować cyjanku. Albo szaleju. Pewnie trochę go tu gdzieś rośnie, bo przecież całkiem skutecznie wykorzystywała go pani Rosalinda...

Nieco dalej w korytarzu otworzyły się drzwi apartamentu Lane'a i wyszła z nich Lizzie, w stroju do pracy: szortach khaki i czarnej koszulce polo z monogramem Easterly. Włosy jak zwykle związała zwykłą gumką, na twarzy nie miała ani odrobiny makijażu i wyglądała tak młodo, że tylko pozazdrościć.

– Dzień dobry – powiedziała, zbliżając się do Gin i Richarda.

Wzrok miała utkwiony w przestrzeń, jakby szła ulicami Nowego Jorku, starając się nie zwracać na siebie uwagi i nie ściągać kłopotów.

– Wciąż ci jeszcze płacą? – spytał Richard. – Czy Lane już nie wypisuje ci czeków, skoro pojawiaasz się w jego sypialni nie tylko po to, żeby wymienić kwiaty?

Lizzie w ogóle na te słowa nie zareagowała.

– Gin, wyglądasz pięknie, jak zawsze zresztą – powiedziała tylko i poszła

dalej.

Gdy ich minęła, Gin spojrzała na Richarda, gniewnie mrużąc oczy.

– Nie mów do niej w ten sposób.

– A to niby dlaczego? Przecież nie należy teraz w pełni ani do personelu, ani do rodziny. A zważywszy na waszą sytuację rodzinną, cięcia budżetowe są jak najbardziej wskazane.

– To nie jest odpowiedni temat do dyskusji ani analizy. Zostaw ją w spokoju. A teraz chodźmy załatwić, co trzeba.

Lizzie schodziła głównymi schodami, kręcąc głową. No proszę... Gin jej broni. Kto by pomyślał?

Nie, nie zamierzała bynajmniej lecieć do jubilera po bransoletki z wygrawerowanym napisem „najlepsze przyjaciółki”, jednak takie zdecydowane wsparcie bardziej jej się podobało niż dotychczasowe, jeszcze bardziej zdecydowane drwiny.

Gdy była już w holu na dole, przeszła na tył rezydencji. Najwyższy czas przygotować kilka świeżych bukietów – późną wiosną kwitnie tyle kwiatów, że koszty florystyczne spadają do zera, a gdy stworzy coś pięknego, nabierze poczucia, że jakoś jednak przyczynia się do ogólnej poprawy sytuacji.

Nawet jeśli nikt poza nią tego nie zauważy.

Ruszyła korytarzem dla personelu w kierunku dawnego gabinetu pani Rosalindy oraz apartamentu pana Harrisa.

Nie dotarła jednak do kuchni.

Przed mieszkaniem kamerdynera stał cały rząd walizek, a także pudło zawierające zdjęcia i książki oraz wieszak na kółkach, na którym wisały pokrowce na garnitury.

Lizzie wetknęła głowę w otwarte drzwi.

– Dzień dobry...?

Kamerdyner wyłonił się z sypialni. Nawet podczas krzątania wyglądającej na przeprowadzkę miał na sobie garnitur, włosy ułożone na żel, a twarz gładko ogoloną i matową, jakby wklepał w nią cienką warstwę podkładu.

– Dzień dobry – odpowiedział.

– Gdzieś się pan wybiera?

– Przyjąłem nową posadę.

– Słucham?

– Zmieniam miejsce pracy. Za jakieś dwadzieścia minut przyjedzie po mnie samochód.

– Zaraz, zaraz, ale nie składa pan wypowiedzenia?

– Dziś rano bank odmówił mi realizacji czeku wystawionego mi w ramach wynagrodzenia. Rodzina pani narzeczonego, o ile mogę go tak nazywać, jest mi winna dwa tysiące dziewięćset osiemdziesiąt siedem dolarów i dwadzieścia dwa centy. Sądzę, że niewypłacalność pracodawcy unieważnia klauzulę zobowiązującą mnie do składania wypowiedzenia.

Lizzie pokręciła głową.

– Nie może pan tak po prostu odejść.

– Czyżby? Sugerowałbym, żeby poszła pani w moje ślady. Pani jednak zdaje się coraz mocniej wiązać swoje losy z tą rodziną, zamiast się od niej dystansować. Mogę się tylko domyślać, że emocjonalnie ma pani z tego jakieś korzyści. W przeciwnym razie takie dążenie do upadku byłoby śmiechu warte.

– Lizzie się odwróciła, pan Harris jednak mówił dalej: – Proszę przekazać narzeczonemu, że zostawiam tu na biurku swoją rezygnację. I proszę się nie obruszać.

Lizzie wyszła na korytarz, wzięła do rąk pudło i się uśmiechnęła.

– Wcale się nie obruszam. Chcę tylko panu pomóc się stąd wyprowadzić. Chętnie też powiem Lane’owi, gdzie znajdzie pana rezygnację. Mam nadzieję, że podał pan na niej swój nowy adres albo przynajmniej telefon, ponieważ wciąż znajduje się pan na liście osób, które policja chciałaby przesłuchać.

W porządku, przyjadę do ciebie – myślał Lane.

Skreślił swoim porsche w bramę farmy Samuela i ruszył aleją, wzdłuż której stały drzewa zasadzone tu przed siedemdziesięciu pięciu laty przez jego pradziadków. Z grubych pni o nierównej korze wyrastały masywne konary kipiące soczystą zielenią liści. Przez korony drzew ocieniające wysypaną jasnym żwirem drogę przelatywały smugi światła słonecznego.

W oddali, pośród wdzięcznie falujących pól, stała wiejska rezydencja Lodge'ów, daleka od stylu rustykalnego. Elegancki budynek o elewacji z desek miał dach czterospadowy i okalała go weranda przyćmiewająca wszystkie werandy świata.

Lane zaparkował obok zabytkowego jaguara, wysiadł i podszedł do otwartych na oścież drzwi wejściowych. Zastukał w ramę moskitiery i zawołał:

– Samuel?

Wnętrze domu tonęło w mroku. Lane wszedł do środka i poczuł mieszaninę charakterystycznych zapachów: cytryna, stare drewno i coś słodkiego – może bułeczki cynamonowe piekące się właśnie w kuchni?

– Samuel?

Uwagę Lane'a zwróciły jakieś szelesty. Skreślił w stronę, z której dobiegały dźwięki, aż w końcu wszedł do biblioteki...

– O cholera!

Szybko odwrócił się w stronę korytarza, żeby nie patrzeć na całkiem nagą kobietę dosiadającą Samuela na skórzanej sofie.

– Pukałem! – zawołał tylko.

– W porządku, stary.

Samuel zdawał się w ogóle nie przejmować całą sytuacją, podobnie zresztą jak towarzysząca mu blondynka. Na ile Lane mógł się zorientować, zerkając kątem oka do wnętrza, nawet nie próbowała się ubrać. Może jej ubrania zostały w innej części domu? Leżą na trawniku? Wiszą na gałęzi?

– Zaczekaj na mnie na górze – rzucił Samuel.

Dziewczyna zamruczała coś cicho, a potem dało się słyszeć odgłos pocałunku. Następnie zaś istota o wyglądzie modelki (niezwykle piękna i bardzo wysoka) wolnym krokiem przeszła obok Lane'a, ubrana w jedną z eleganckich koszul Samuela.

– Cześć – powiedziała głosem, który był niczym whiskey: aksamitny i pewnie wielu facetom uderzający do głowy.

– Tak, pa, pa – rzucił Lane, nie zwracając na nią specjalnej uwagi, po czym

wszedł do biblioteki, gdzie czekał jego przyjaciel.

Samuel dźwigał się właśnie do pozycji siedzącej, zakrywając się połami czarnego jedwabnego szlafroka. Przyglądał rozczochrane włosy, ziewnął i spojrzał na świat za oknem.

– A więc to już rano? – zdziwił się. – A co się stało z nocą?

– W skali od jednego do dziesięciu, gdzie jeden to niedzielna wizyta w kościele, a dziesięć to ostatnia impreza studencka, jaką zaliczyłeś, na ile jesteś w tej chwili pijany? – spytał Lane.

– Hm, do kościoła w niedziele też zwykle chodziłem pijany. Ale oceniam się na sześć, chyba że miałbym dmuchnąć w balonik. Wówczas może tak z siedem i pół.

Lane usiadł i sięgnął po stojącą na podłodze butelkę rodzinnej rezerwy.

– Dobrze, że chociaż wiernie trzymasz się najlepszych trunków.

– Niezmiennie. No dobrze, co mogę dla ciebie zrobić? Pamiętaj tylko, że nie przeszedłbym kontroli drogówki, więc nie zadawaj mi zbyt trudnych pytań.

Lane oparł się w fotelu, tocząc w dłoniach butelkę.

– Z samego rana zjawił się u nas inspektor Merrimack. Od razu do ciebie zadzwoniłem.

– Przepraszam, akurat byłem chyba wtedy zajęty jej siostrą – powiedział Samuel, wskazując na sufit.

Lane przewrócił oczami, powstrzymując się jednak od ocen. Sam przechodził w życiu okres intensywnej rozpusty i doskonale się bawił, choć obecnie za nic by nie zamienił swojej relacji z Lizzie na tego rodzaju wybryki.

– Chcą otrzymać dostęp do nagrań z monitoringu naszej posiadłości.

– Nic dziwnego. – Samuel potarł nieogoloną szczękę. – I co, pozwoliłeś im? Gdzie one są w ogóle przechowywane?

– Mamy specjalne pomieszczenie w korytarzu dla personelu, lecz prawdziwa serwerownia mieści się w centrum biznesowym. Ale nie, nie pozwoliłem. Powiedziałem, że muszą mieć nakaz rewizji.

Samuel nagle jakby całkiem otrzeźwiał.

– A właściwie dlaczego? Chcę ci przypomnieć, że jestem twoim adwokatem. Niby tylko w sprawie rozwodowej, ale o ile nie kontaktujesz się ze mną w celu popełnienia przestępstwa, nie można mnie wezwać do składania zeznań przeciwko tobie. Możesz więc być ze mną szczerzy.

Lane wpatrywał się w etykietkę na butelce, przyglądając się słynnej grafice przedstawiającej jego rodzinną rezydencję.

– Lane, co jest na tych nagraniach?

– Nie wiem.

– Ale obawiasz się, że jest na nich...?

– Mój brat. I może ktoś jeszcze. Oraz ich konfrontacja z ojcem.

Samuel przymknął powieki, co mogło oznaczać, że myślał o tym samym – lub wskazywać na zamroczenie alkoholem.

– Rozmawiałeś o tym z Edwardem?

– Nie. – Lane pokręcił głową. – Na razie staram się wierzyć, że to tylko moja paranoja.

– I jak ci idzie?

– Całkiem nieźle. – Lane zaklął pod nosem. – Czy mogę coś jeszcze zrobić, żeby ich nie dopuścić do tych nagrań?

– Na sto procent wrócą z nakazem rewizji. – Samuel wzruszył ramionami. – To, co znaleźliście w ziemi, jest wystarczającą przesłanką. Żeby nie dopuścić ich do tych nagrań, musiałbyś najpierw w ogóle ich o sprawie nie informować.

– Panie mecenasie, sugeruje pan, że powinienem utrudniać pracę organom ścigania? Pewnie, czasem żałuję, że nie siedziałem cicho. Ale jest jeszcze jedna sprawa. Odkryli, że ojciec był nieuleczalnie chory na raka płuc, więc i tak by niedługo zmarł, co mogłoby stanowić argument na poparcie tezy o samobójstwie. Gdyby zapomnieć o tym kawałku ciała zagrzebanym pod oknem matki.

Ich uszu dobiegł zbliżający się tupot nagich stóp, a po chwili w drzwiach stała kolejna seksowna panienska. Samuel pokręcił głową.

– Jeszcze nie skończyłem.

– O Boże! – zawołała dziewczyna. – Czy to...?

– Pytasz o mojego przyjaciela? Tak, to on. A teraz zostaw nas, proszę, samych.

Posłuchała.

– Ile ich tu jest? – spytał Lane.

– Pięć, może sześć. W centrum kongresowym w Charlemont był zlot cheerleaderek. Ale nic się nie martw, to wszystko trenerki.

– Jesteś niezrównany.

– Nieprawda. Sam też masz co nieco na koncie.

– I jak ci idzie ta terapia? Pomaga zapomnieć o aktualnych wyczynach mojej siostry?

Samuel błyskawicznie odwrócił wzrok. Zapadła cisza. Lane zaklął pod nosem.

– Przepraszam, nie chciałem być złośliwy. Tak tylko palnąłem.

– Wiem. – Wzrok Samuela znów spoczął na przyjacielu. – Czy ona naprawdę za niego wychodzi? Czekał, była taka piosenka: *Is she really going out with him?*

– Tak, właśnie są w urzędzie.

– No to załatwione – mruknął beznamiętnie Samuel.

– Ale przecież wiesz, jaka jest Gin. Z jej podejściem to małżeństwo będzie raczej oznaczało kolejną serię wyskoków, i to niekoniecznie na zakupy. Chociaż biorąc pod uwagę zamożność jej wybranka, zakupów też nie będzie sobie odmawiać.

– Sama prawda. – Samuel pokiwał głową.

– Ale stary, jak oni się kłóć!

– Słucham?

– Aż iskry lecą. Słyszać wszystko przez ściany, a nasza rezydencja jest raczej solidnej konstrukcji.

Samuel się zasepił.

– Wiesz, jaki jest problem z twoją siostrą? – spytał po chwili.

– Och, jest ich całkiem sporo. Może mnie jakoś naprowadzisz. Którą sferę jej życia masz na myśli?

– Problem z twoją siostrą jest taki – ciągnął Samuel, przebierając palcami po swojej skroni – że pomimo jej wszystkich wad nie znam nikogo, kto mógłby się z nią równać.

O, to zupełnie jak ze mną i z Lizzie, pomyślał Lane. Tyle że Lizzie akurat nie ma żadnych wad.

– Samuel... – szepnął smutnym głosem.

– Och, nie musisz się tak nade mną uzalać.

– Gin to trudny przypadek.

– Podobnie jak ja, przyjacielu. Podobnie jak ja. A tę naszą miłą pogawędkę – Samuel pochylił się w stronę kumpla i gestem wskazał ich obu – złożymy na karb mojego zamroczenia alkoholowego. Jeśli kiedyś o niej wspomnisz, wszystkiemu zaprzeczę. Mogę też w ogóle nie pamiętać, że o tym rozmawialiśmy. Co byłoby dla mnie wielkim błogosławieństwem.

– No, jak na sześć w skali pijaństwa stawiasz twarde warunki.

– Może za nisko się oszacowałem. – Samuel sięgnął po stojącą na stoliku butelkę i nalał sobie bourbona do szklanki. – Wracając jednak do kwestii tych nagrań z monitoringu, policja z całą pewnością do nich dotrze i je obejrzy, a jeśli cokolwiek zostanie na nich zmienione lub wymazane, na pewno to zauważy. Radziłbym ci więc, żebyś nie kombinował.

– Chociaż sugerowałeś, że lepiej bym zrobił, gdybym milczał na temat tego, co znaleźliśmy w ziemi?

– Różnica jest taka, że gdybyś wtedy do nich nie zadzwonił, w ogóle by się nie zorientowali. Jeśli jednak teraz spróbujesz coś zachachmęcić na tych nagraniach i cokolwiek tam poprzestawiasz, powycinasz, wymażesz czy skasujesz, zaraz się kapną. Czym innym jest udawanie, że nic nie znaleziono, a czym innym próba wykiwania policyjnego działu informatycznego, zwłaszcza przez laika. Oni tam mają bandę maniaków komputerowych, którzy po godzinach działają w ruchu Anonymous.

Lane wstał i podszedł do okna. Szyby były tutaj takie same jak w Easterly:

piękny wiejski krajobraz widziany przez ornamentowe szkło staroświeckich okien zdawał się pofałdowany i nakrapiany.

– Kiedy Edward tam, w Ameryce Południowej, trafił w łapy tych zbirów, przez tydzień nie spałem, wiesz? Od czasu gdy zażądali okupu, aż do chwili, w której wreszcie go uratowano i sprowadzono z powrotem do Stanów. – Wspomnienia były dla Lane’a niczym te staroświeckie wzorzyste szyby: przesłaniały otaczającą go rzeczywistość. – Gdy dorastaliśmy razem w Easterly, zawsze nas chronił przed ojcem. To właśnie Edward za wszystko odpowiadał, zawsze wiedział, co robić. Gdyby nasze role się odwróciły i to mnie tam porwano, na pewno przyjechałby mnie ocalić. Wsiadłby w samolot, ruszył w dżungłę i w razie potrzeby maczetą wyrąbał sobie drogę.

– Twój brat był, przepraszam, jest... człowiekiem o szczególnych przymiotach.

– Nie mogłem spać, ponieważ nie potrafiłem zrobić dla niego tego samego. I to mnie dosłownie zżerało.

Minęła chwila, zanim Samuel się odezwał.

– Nie zdołasz go teraz ocalić, Lane. Jeśli zrobił to, co myślisz... I jeśli są na to dowody na nagraniach, to nie masz szans go ocalić.

Lane odwrócił się i zaklął.

– Ojciec sobie na to zasłużył, rozumiesz? W pełni sobie, kurwa, zasłużył na to, co go spotkało. Już wiele lat temu ktoś powinien był go zrzucić z jakiegoś, kurwa, mostu.

Samuel uniósł dłonie.

– Zapewniam cię, że mnie też to przyszło do głowy. Tak, twój brat miał wszelkie powody, żeby coś takiego zrobić, bo historia waszej rodziny przypomina scenariusz *Gry o tron*. Prawo obowiązujące w stanie Kentucky nie bierze jednak pod uwagę tego rodzaju okoliczności, a to ono w tej sytuacji przesądza o rozstrzygnięciach. O zabójstwie w obronie własnej można mówić tylko wtedy, gdy ma się nóż na gardle lub pistolet przystawiony do głowy.

– Szkoda, że sam nie znalazłem tego przekłętą palca. Przysypałbym go wówczas ziemią i tyle.

Ale nie mógł przecież postawić Lizzie i Grety przed koniecznością potwierdzenia śledczym nieprawdy. Zwłaszcza że w tamtej chwili z domu wyszła Gin z tym swoim Pfordem, a ten drań sprzedałby własną matkę, jeśli mógłby coś na tym zyskać.

– Wiesz, co powinien zrobić twój brat? – Twarz Samuela przybrała wyraz filozoficznej zadumy. – Zaprosić ojca do swojej stadniny, a następnie od razu go zastrzelić.

– Słucham?

– To jedyny sposób, żeby bezkarnie kogoś zabić w Kentucky. Zgodnie z ustawą o gospodarstwach rolnych jeśli ktoś bezprawnie, bez twojej zgody, wkracza na twój teren, masz prawo bronić swojej posesji, nawet jeśli intruz nie grozi ci bronią. Są tylko dwa warunki. Musisz go zabić, żeby nie mógł zeznawać. A jego ciało nie może znajdować się w pozycji wskazującej, że próbował opuścić teren. Ale tak właśnie można to załatwić. – Samuel podkreślił wagę swoich słów, unosząc palec wskazujący. – Jeśli tylko nikt nie wiedziałby o tym, że ojciec przyjechał na jego zaproszenie, Edwardowi mogłoby to ujść na sucho.

Lane gapił się na swojego adwokata, który zaczął machać dłonią, jakby oczyszczał powietrze z wypowiedzianych słów.

– Oczywiście nie zalecam takiego postępowania – dodał pośpiesznie Samuel. – No i jestem, jak wiesz, pijany.

Lane przez chwilę milczał, a potem mruknął:

– Proszę mi przypomnieć, panie mecenasie, żebym nigdy nie zjawiał się tutaj bez pisemnego zaproszenia.

Gin siedziała obok przyszłego męża na obitym kremową skórą tylnym siedzeniu kabrioletu Rolls-Royce'a (przez wzgląd na jej fryzurę dach tym razem został zaciągnięty) i wyglądała przez okno na rzekę Ohio – brunatną i niespokojną po burzach szalejących poprzedniego dnia i w nocy. Poziom wody znacząco się podniósł, jakby lada chwila rzeka miała pochłonąć część stanu Indiana.

Przed nimi wylaniało się centrum miasta: błyszczące w promieniach słońca wieżowce ze szkła i stali, otoczone asfaltowymi pierścieniami autostrad. Ubrany w uniform i zawadiacką czapkę szofer ojca raz na jakiś czas musiał hamować ze względu na roboty drogowe, ale opóźnienie mieli raczej nieznaczne.

Zbliżali się do mostu Big Five. Patrząc na jego pięć łuków i stalowe liny podtrzymujące go nad wodą, Gin przypomniała sobie kłótnię z ojcem o małżeństwo z Richardem. Kategorycznie wówczas odmówiła – zaraz jednak przekonała się, że odcięto ją od funduszy, przez co wylądowała na bezludnej wyspie niewypłacalności.

No i się poddała. Co doprowadziło ją do obecnej sytuacji.

Zamknęła oczy i przywołała obraz Samuela stojącego przy basenie podczas przyjęcia pożegnalnego, na którym zjawiono się tak niewielu gości.

– Podpisz tu, proszę.

Otworzyła oczy i spojrzała na trzymany przez Richarda plik około dwudziestu zadrukowanych kartek oraz jedno z jego czarno-złotych piór Montblanc, opatrzonych rodowym monogramem.

– Słucham?

– To umowa przedmałżeńska – wyjaśnił, wciskając jej papiery i pióro. –

Podpisz.

Gin roześmiała się i spojrzała na odbicie twarzy szofera w lusterku wstecznym. Będzie miał tu za chwilę niezły ubaw!

– Nic nie podpiszę!

– Owszem, podpiszesz.

– To każ zawrócić samochód i wszystko odwołaj. Rób, co chcesz, ale ja nie zamierzam wyrzekać się praw należnych mi jako twojej żonie – oznajmiła Gin, wzruszając ramionami i odwracając się znów w stronę okna.

– Pozwól, że ci przypomnę o korzyściach związanych z dystrybucją, które zamierzam zapewnić waszej firmie. Zważywszy na jej kłopoty finansowe, raczej jej się przydadzą. Mogą jednak w każdej chwili przepaść, jeśli tylko zechcę.

– Zważywszy na nasze kłopoty finansowe, za rok Bradford Bourbon Company może już nie istnieć. Ważniejszy jest więc dla mnie twój majątek osobisty.

Pford aż się wzdrygnął, wyginając przy tym chudą szyję (jak u wygłodzonego konia – pomyślała Gin).

– Wstydu nie masz?

– Nie mam.

– Virginio Elizabeth...

– Nawet ojciec tak mnie nie nazywał. – Poboczem autostrady pomknęło porsche, wymijając stojące w korku samochody. Gin uświadomiła sobie nagle, że to jej brat Lane. – Choć nawet gdyby tak się do mnie zwracał, wiele by nie wskórał.

– Wiesz, to standardowa umowa, bardzo prosta. Wchodząc w stan małżeński, ty zachowujesz wszystko, co do niego wniosłaś, a ja zachowuję wszystko, co wniosłem ja. I każde z nas dba o swój ogródek.

– Prosta sprawa, co? To dlaczego ta umowa rozmiarem przypomina *Wojnę i pokój* Tołstoja? – Gin zerknęła na Pforda. – A skoro jest taka prosta, dlaczego nie dałeś mi szansy, żebym ją wcześniej przeczytała i skonsultowała z prawnikiem?

Na przykład z Samuelem – choć łatwo się domyślić, jak takie spotkanie by się potoczyło.

– Szkoda twojego czasu na rozgryzanie prawniczego żargonu.

– Ach tak? Może zainteresuje cię, że przestudiowałam już regulacje dotyczące możliwości uzyskania rozwodu. Wiesz, czego się dowiedziałam?

– Gin, proszę cię...

– Na przykład tego, że będę ci absolutnie wierna. – Richard znów się wzdrygnął, a Gin mówiła dalej: – Wiesz, twoje zaskoczenie mnie obraża. Zanim jednak zachłystniesz się informacją o nagłym wzroście mojego szacunku do ciebie, powiem ci, czego się dowiedziałam, a mianowicie, że choć w stanie Kentucky nie orzeka się o winie w sprawach rozwodowych, to jednak udokumentowana niewierność stanowi podstawę do obniżenia alimentów. Ci dwaj piloci, z którymi pieprzyłam się parę dni temu, będą więc dla mnie ostatnim wspomnieniem mojej niewierności. Odtąd będę odgrywała rolę szacownej żony. Możesz zlecić, żeby mnie śledzono i fotografowano, założyć mi podsłuch w sypialni, w samochodach, w garderobie i w majtkach. Nie dam ci pretekstu do jakichkolwiek zarzutów. – Pochyliła się w stronę Pforda. – Jak sobie poradziłam z prawniczym żargonem? A ty nie zawrócisz tego samochodu. Prawda jest bowiem taka, że nic nie podpiszę, a i tak się pobierzemy. Przez całe życie do niczego sam nie doszedłeś. Nie stworzyłeś nic samodzielnie. Szacunek wzbudzają nie twoje osiągnięcia, lecz odziedziczone pieniądze. Ożenisz się ze mną po to, żeby z podniesioną głową zjawiać się na koktajlach i galach. Przecież wciąż jesteś tym dzieciakiem, którego w podstawówce nikt nie wybierał do drużyny. Ale możesz okazać się poskromicielem Gin Baldwine. A to dla twojego ego znacznie więcej warte niż pieniądze, które zdołam przez całe życie podjąć z twojego konta. – Uśmiechnęła się słodko. – Zabieraj więc, skarbie, tę swoją przyciężką „standardową umowę” i wsadź ją sobie w dupę!

W jego oczach błysnęła żądza mordy, a Gin powróciła do kontemplacji rzeki Ohio. Doskonale wiedziała, co ją czeka, gdy Richard wróci wieczorem do domu, ale na swój sposób nie mogła się doczekać, żeby stawić mu należyty opór.

Poza tym miała rację.

– Och, jeszcze jedna sprawa – szepnęła, słysząc szelest papierów chowanych do aktówki. – Przemoc domowa nie ma wysokich notowań w sprawach rozwodowych, podobnie jak puszczanie się na prawo i lewo. Wiesz, jeśli się dobrze zastanowić, to aż dziw bierze, że się lepiej ze sobą nie dogadujemy.

Lane pędził autostradą, mijając samochody stojące w korku przed zwichnięciem prowadzącym ku zjazdom w stronę centrum. W pewnej chwili kątem oka dostrzegł kabriolet wyglądający na ich rodzinnego rolls-royce’a.

To pewnie Gin i Richard jadą na ślub.

To szaleństwo wychodzić za takiego durnia. Ale niechby ktoś spróbował Gin od czegokolwiek odwieść. W przypadku jego siostry jakakolwiek krytyka powodowała, że to, do czego usiłowało się ją zniechęcić, tylko rosło w jej oczach. Lane poza tym miał, jak zwykle zresztą, ważniejsze sprawy na głowie.

Zmierzał do zadaszzonego parkingu na rogu bulwaru Muhammada Alego i Drugiej Ulicy. Zaparkował na pierwszym miejscu, które nie było z obu stron okrojone przez SUV-y idiotów niepotrafiących prawidłowo zaparkować między liniami.

To zresztą całkiem zabawne: wcześniej też parkował bardzo ostrożnie, ale bardziej dla samej zasady – nie chciał się kłopotać porysowanym lakierem. Teraz jednak po prostu wolał uniknąć kosztów ewentualnej naprawy uszkodzonej karoserii.

Wolał też nie korzystać z polisy ubezpieczeniowej, ponieważ podniosłoby to jej przyszłe stawki.

No właśnie, a skoro już mowa o ubezpieczeniach...

Nocą, gdy nie mógł spać, zszedł na dół, udał się do centrum biznesowego i zaczął wertować dokumenty w archiwum. Tam właśnie, między umowami o pracę podpisanymi z członkami wyższej kadry zarządzającej (które już dobrze znał), przepisami wewnętrznymi korporacji (wszystkie wcześniej czytał, wraz z poprawkami) a ściśle tajną kartoteką działu kadr (zawierającą

szokujące przykłady łamania regulaminu) znajdowała się wystawiona na jego ojca polisa na życie.

Lane trzykrotnie ją przeczytał, a potem zadzwonił do agencji, która ją wydała, i umówił się na spotkanie. Właśnie na nie zmierzał.

Pewne sprawy lepiej załatwiać osobiście.

Siedziba agencji ubezpieczeniowej Englishman, Battle and Castelson mieściła się na trzydziestym pierwszym piętrze starego wieżowca o nazwie National Charlemont Building. Gdy Lane wysiadł z windy, przekonał się, że potrafi teraz naprawdę docenić roztaczający się stamtąd widok – wiedział bowiem, jak czuje się człowiek spadający z tak wielkiej wysokości.

Dziesięć minut później siedział już w sali konferencyjnej i popijał colę, oczekując...

– Przepraszam, że kazałem panu czekać. – Do sali wszedł Robert Englishman, którego nazwisko stanowiło pierwszy człon nazwy firmy. W ręku miał notatnik, na twarzy uśmiech, biła od niego aura profesjonalizmu. – Co za szalony poranek!

I komu pan to mówi? – pomyślał Lane.

Uścisnęli sobie dłonie, po czym nastąpiła chwila na składanie kondolencji i wymianę nowinek. Lane nie znał tego człowieka zbyt dobrze, ale byli w tym samym wieku, a Robert zawsze budził jego sympatię, gdy ich ścieżki przecinały się w sytuacjach towarzyskich. Był gościem, który na pole golfowe wkładał szorty haftowane w wielorybki, na derby – różowy garnitur z kory, a do pracy – idealnie wyprasowany markowy garnitur oraz krawat w barwach klubu dżentelmena. Zawsze jednak wyglądał tak, jakby miał zaraz odpłynąć stylową motorówką z lat trzydziestych na jakąś bibkę z udziałem Ernesta Hemingwaya oraz Francisa Scotta Fitzgeralda wraz z Zeldą, upijających się gdzieś w kącie.

Stanowił połączenie staroświeckiej klasy i nowoczesnej otwartości. Należał wprawdzie do uprzywilejowanych białych mężczyzn, nie przejawiał jednak protekcjonalności i uprzedzeń względem innych. Był klasycznie przystojny, niczym model z reklamy Ralphi Laurena, a przy tym pragmatyczny jak typowy ojciec z serialu.

Gdy wymiana uprzejmości dobiegła końca, Lane odsunął szklanę z colą na bok, a z wewnętrznej kieszeni lnianej marynarki wyjął złożoną umowę.

– Pomyślałem sobie, że wpadnę pogadać o tym.

Robert wziął do ręki papiery.

– Czyja to polisa?

– Mojego ojca, korporacyjna. Wraz z rodzeństwem jesteśmy jej beneficjentami.

Robert zmarszczył brwi i zaczął analizować warunki umowy.

– Wbrew temu, co donoszą media – przerwał mu Lane – sądzymy, że mógł zostać zamordowany. Wiem, że jest tu klauzula mówiąca o braku odszkodowania, w razie gdyby posiadacz polisy popełnił samobójstwo, zakładam jednak, że o ile nikt z beneficjentów polisy nie zostanie uznany za...

– Bardzo mi przykro, Lane. – Robert złożył papiery i przykrył je dłonią. – Ta polisa została jakieś sześć miesięcy temu unieważniona z powodu braku wpłat. Wielokrotnie próbowaliśmy kontaktować się z twoim ojcem, ale nigdy nie odbierał telefonu ani nie odpowiadał na mejle. W końcu ubezpieczyciel, czyli MassMutual, postanowił dać sobie spokój. A było to ubezpieczenie głównej osoby w firmie, na polisie nie gromadził się więc kapitał.

Telefon Lane'a zawibrował, a on pomyślał: No cóż, tak oto siedemdziesiąt pięć milionów poszło się...

– Czy w czymś jeszcze mógłbym ci pomóc?

– A miał tu może jakieś inne polisy? Na przykład osobiste? Tę znalazłem tylko dlatego, że przeczesałem dokumenty korporacji. W takich sprawach ojciec był dość zamknięty.

Zresztą zarówno w sprawach zawodowych, jak i osobistych – dodał w myślach Lane.

– Miał dwie polisy osobiste. Jedna obejmowała terminowe ubezpieczenie na życie, na znacznie niższą kwotę niż ta. – Robert postukał palcami w dokumenty. – Parę miesięcy temu minął jednak termin jej przedłużenia, a on nic w tej sprawie nie zrobił.

Oczywiście – pomyślał Lane. Ponieważ nie miał już szans na zaświadczenie

o dobrym stanie zdrowia i dobrze o tym wiedział.

– A ta druga? – dopytywał dalej.

Robert odchrząknął.

– No cóż, beneficjentem tej drugiej był ktoś spoza rodziny. I ta osoba już się zgłosiła. Obawiam się, że nie mogę ci wyjawić jej tożsamości ani udzielić jakichkolwiek informacji na temat tego ubezpieczenia, ponieważ nie jesteś nim objęty.

Telefon Lane'a znów się rozdzwonił. Przez ułamek sekundy Lane miał ochotę rzucić nim w rząd okien po drugiej stronie stołu.

– Rozumiem, nie ma problemu – powiedział. Wziął dokumenty, porządnie je złożył i schował z powrotem do wewnętrznej kieszeni marynarki. – Dziękuję za poświęcony mi czas.

– Naprawdę żałuję, że nie mogę ci pomóc. – Robert wstał z krzesła. – Przysięgam, że starałem się skłonić twojego ojca do podjęcia działań, ale on najwyraźniej nie miał takiego zamiaru, choć wiedział przecież, że byłoby to korzystne dla jego rodziny.

Normalnie historia życia Williama Baldwine'a.

Och, ojciec – pomyślał Lane. Gdyby nie to, że już nie żyjesz...

Podczas gdy Lane sprawdzał w mieście kwestię ubezpieczenia, próbując uzyskać w ten sposób fundusze, Jeff czekał z nadzieją na jego triumfalny powrót, przyjemnie grzejąc tyłek na kamiennych schodach prowadzących do rezydencji i wystawiając twarz na ciepłe promienie słońca. Rozwazał właśnie zalety kremów z filtrem, kiedy usłyszał silnik zbliżającego się porsche. Chwilę później Lane zaparkował samochód i wysiadł.

Po jego minie Jeff od razu poznał, że nie ma co pytać, jak poszło.

– Czyli nic z tego? – upewnił się.

– Nic.

– Cholera! – Jeff wstał ze schodów i poprawił sobie spodnie. – Słuchaj, musimy pogadać.

– Dasz mi chwilę? – zapytał Lane. Jeff pokiwał głową. – Zaczekaj tu, zaraz wracam.

Półtorej minuty później Lane wyłonił się z rezydencji.

– Chodź ze mną.

– To młotek? – Jeff zmarszczył brwi.

– Tak, młotek i gwóźdź.

– Będiesz coś naprawiał? Nie gniewaj się, ale raczej nie jesteś typem majsterkowicza. Wiem coś na ten temat, bo ja też nie. No i mieszkałem z tobą przez ładnych kilka lat... Zresztą sam już nie wiem ile.

Lane ruszył z powrotem do samochodu i podszedł do drzwi od strony pasażera. Sięgnął ręką do schowka i wyjął z niego...

– Zaraz, zaraz, czy to pistolet? – zaniepokoił się Jeff.

– Owszem. Aleś ty spostrzegawczy! No chodź.

– Ale dokąd idziemy? I czy na koniec wrócę stamtąd o własnych siłach?

Lane ruszył przez dziedziniec, ale trudno było stwierdzić, dokąd właściwie się kieruje. Chyba że szedł do lasu, żeby tam zastrzelić swojego starego kumpla.

– Lane, zadałem ci pytanie – rzucił Jeff, mimo wszystko ruszając za Lane’em, zanim jeszcze usłyszał odpowiedź. – Lane!

– Pewnie, że wrócisz.

– Naprawdę nie chciałbym się okazać totalnym frajerem.

– To zupełnie tak samo jak ja.

Lane doszedł do linii drzew, ale wcale się nie zatrzymał, tylko zagłębiał się coraz dalej między dęby i klony. Jeff dotrzymywał mu kroku, choćby po to, żeby się w końcu dowiedzieć, co jest grane.

Gdy przeszli kolejne pięćdziesiąt metrów, Lane w końcu się zatrzymał i rozejrzał dookoła.

– Tu będzie w porządku.

– Jeśli teraz każesz mi zacząć gołymi rękami kopać sobie grób, to koniec z naszą przyjaźnią.

Lane podszedł jednak tylko do uschniętego drzewa, którego nagie konary i częściowo spróchniały pień w ogóle nie pasowały do kipiącej wokół zieleni. Włożył pistolet do zewnętrznej kieszeni lnianej marynarki, z wewnętrznej wyjął plik papierów i przybił je gwoździem do próchniejącej kory.

Potem zaś wrócił w miejsce, gdzie zatrzymał się Jeff, włożył dwa palce do ust i wydał z siebie tak ostry gwizd, że musiała go chyba usłyszeć prapraprababcia Jeffa, leżąca od dawna w grobie, do tego w New Jersey.

– Fore! – wrzasnął ostrzegawczo Lane.

– To chyba raczej zawołanie do golfa... – zauważył Jeff.

Pach! Pach! Pach-pach-pach-pach-pach!

Lane miał doskonałe oko – kule zamieniły plik dokumentów w strzępy białego papieru, które opadały teraz łagodnie na butwiejące liście i soczycie zielone poszycie leśne.

Gdy Lane w końcu opuścił lufę pistoletu, Jeff rzucił mu niepewne spojrzenie:

– Stary... Wiem, że wy tu na Południu macie świra na punkcie broni palnej. Mogę tylko spytać, co to było?

– Polisa głównej osoby w firmie, czyli mojego ojca, na siedemdziesiąt pięć milionów dolarów, wydana przez MassMutual. Okazuje się, że przestał płacić składki, więc straciła ważność.

– Aha. Dobrze wiedzieć. Może cię zainteresuje, że większość ludzi po prostu wyrzuca takie papiery do śmieci. Tak tylko mówię...

– No tak, ale ten sposób daje znacznie więcej satysfakcji, a ja mam już dość złych wiadomości. – Lane odwrócił się w stronę kumpla. – Chciałeś mi coś powiedzieć?

– Masz jeszcze coś w magazynku?

– Nie. Wszystko wystrzelałem.

Lane wykonał kilka zgrabnych ruchów i wyjął z pistoletu magazynek, który rzeczywiście zdawał się całkiem pusty. Choć Jeff kompletnie się nie orientował w obsłudze broni palnej.

– A więc? – Lane czekał na wyjaśnienie.

– Postanowiłem przyjąć tę robótkę, którą mi zaproponowałeś, kowboju.

Gdy jego stary kumpel wypowiedział te magiczne słowa, Lane poczuł tak wielką ulgę, że zamknął oczy i aż zapadł się w sobie.

– Dzięki Ci, Panie...

– I znalazłem dla ciebie te dwa i pół miliona...

Lane złapał przyjaciela za bary, przyciągnął go do siebie i mocno uściskał, a potem postawił z powrotem do pionu.

– Wiedziałem, że wystarczy trochę zaczekać, a na pewno pojawią się dobre wiadomości. Wiedziałem!

– No cóż, nie ekscytuj się za mocno. – Jeff zrobił krok w tył. – Są pewne warunki.

– Dawaj. Cokolwiek by to było, mów.

– Przede wszystkim załatwiłem sprawę wycieku informacji do prasy.

– Co takiego? – Lane aż zamrugął ze zdziwienia.

– Jutro rano przeczytasz w gazecie, że to, co początkowo wyglądało na sprzeniewierzenie funduszy, tak naprawdę stanowi część projektu dywersyfikacji firmy, zaaprobowanego przez jej prezesa, czyli Williama Baldwine'a. Co prawda projekt okazał się fiaskiem, ale błędne decyzje biznesowe podejmowane przez osoby zarządzające firmą prywatną nie stanowią pogwałcenia prawa.

Lane kilkakrotnie przeanalizował w myślach te słowa, żeby się upewnić, że je dobrze zrozumiał.

– Ale jak zamierzasz dotrzeć z tym do prasy?

Jeff spojrzał na zegarek.

– Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, to załatw mi jakiś samochód na piątą. Ale nie jeden z tych waszych, tylko jakiś zwykły gruchot, nic specjalnego. Pokażę ci, w czym rzecz.

– Załatwione. Ale... No tak, jestem pod wrażeniem.

– Postanowiłem też zainwestować w tę twoją wytwórnię bourbona – dodał Jeff, wzruszając ramionami. – Jeśli do całego szumu medialnego dojdzie jeszcze śledztwo federalne, spowoduje to pewnie spadek sprzedaży w tej naszej erze Facebooka i Twittera, gdzie każdy każdego wciąż ocenia. Jeśli mam tę organizację postawić na nogi, potrzeba mi czasu. Dochody z działalności pozwolą mi go nieco zyskać, a dochodzenie mi go nieco odbierze. Ale masz rację: wszystkie udziały są w rękach twojej rodziny. Jeśli firma utonie w długach, ogłosi bankructwo i upadnie, będzie to tylko oznaczało, że ojciec udupił was wszystkich, ale nikogo innego.

– Cieszę się, że patrzysz na to tak jak ja. Ale skąd weźmiesz te dwa i pół miliona dla członków rady nadzorczej?

Jeff sięgnął do kieszeni i wyjął z niej niewielki, złożony na pół czek.

– Mam je tutaj.

Lane wziął papier do ręki i go rozłożył, po czym spojrzał na przyjaciela.

– To twój rachunek.

– Już ci mówiłem: postanowiłem zainwestować w twój biznes. To żywa gotówka, czek wypisałem bezpośrednio na ciebie, możesz więc nie księgować tej kwoty, tylko wypłacić im ją prywatnie, na zachętę.

– Nie wiem, jak ci dziękować.

– Zaczekaj chwilę, właśnie do tego zmierzam. Skończyłem analizę finansów firmy i prześledziłem wszystkie transfery. Całość zadłużenia, wliczając w to pożyczkę od Prospect Trust przekazaną na wasz rachunek domowy, wynosi sto siedemdziesiąt trzy miliony osiemset siedemdziesiąt dziewięć tysięcy pięćset jedenaście dolarów i osiemdziesiąt dwa centy. Najgorsze są oczywiście te osiemdziesiąt dwa centy.

Jasna cholera! A do tego przecież trzeba jeszcze dodać te sto milionów, które zniknęły z funduszu matki.

Ogrom długu był tak potężny, że Lane poczuł się fizycznie przytłoczony, choć przecież te straty stanowiły na razie pewną abstrakcję. Przynajmniej jednak dokopano się wreszcie do dna.

– Miałem nadzieję... No cóż... Jest, jak jest.

– Mogę tymczasowo przejąć stery i wszystko uporządkować. Mam zamiar pozbyć się całej wyższej kadry zarządzającej...

– Czytałem wczoraj ich umowy o pracę. Każda z nich zawiera klauzulę poufności. Możemy więc ich zwolnić, jako przyczynę podając bierną zgodę na niewłaściwe przekierowywanie funduszy, a nawet jeśli wersja mediów się zmieni, nie będą mogli zaprzeczyć, chyba że zechcą zaryzykować zapłatę słonych kar, a na pewno nie zechcą. Te dranie będą przecież potem szukały pracy, a nikt nie lubi zatrudniać donosicieli.

– Chyba że będą się bronić nieoficjalnymi kanałami.

– Wytropiłbym to, możesz mi wierzyć.

– W porządku. – Jeff pokiwał głową. – Chcę, żeby pociągi przyjeżdżały na czas, kasa spływała, a statek odzyskał równowagę. Ponieważ w tej chwili morale pracowników jest zapewne tak niskie, jakby firmie groziło wrogie przejęcie. I nie mamy marginesu swobody na opóźnienia w dostawach,

rozliczanie rachunków, przetwarzanie zamówień. Pracownikom przyda się nieco pozytywnej motywacji.

– Święte słowa.

Lane odwrócił się do Jeffa plecami i ruszył przez las w kierunku domu.

– Dokąd idziesz? – zawołał za nim Jeff.

– Do samochodu. – Lane szedł dalej przed siebie, czując paranoiczny lęk, że Jeff lada chwila może zmienić zdanie. – Pojedziemy zaraz do siedziby głównej...

– A w zamian za to chciałbym otrzymywać pensję w wysokości dwóch i pół miliona dolarów rocznie oraz jeden procent udziałów w firmie.

Słowa te padały niczym bomby, ale Lane tylko machnął ręką i szedł dalej.

– Załatwione! – rzucił przez ramię.

Jeff dogonił go, złapał za rękę i obrócił ku sobie.

– Słyszałeś, co powiedziałem? Jeden procent udziałów w firmie.

– A ty słyszałeś, co mówiłem ja? Załatwione.

Jeff pokręcił głową i poprawił sobie okulary na nosie.

– Posłuchaj, Lane. Wasza firma, nawet w tak poważnych tarapatach, wciąż jest zapewne warta jakieś trzy czy cztery miliardy dolarów. Ja więc proszę o jakieś trzydzieści czy czterdzieści milionów, w zależności od ewentualnej wyceny. W zamian za wstępną inwestycję w wysokości dwóch i pół miliona.

– Jeff. – Lane odpowiedział kumpłowi tonem równie dobitnym. – W tej studni bez dna nie mam nic oprócz tych twoich pieniędzy, a do tego nie umiem zarządzać firmą. Żądasz procentu udziałów w zamian za przyjęcie funkcji tymczasowego prezesa? Świetnie! Cudownie! Baw się dobrze!

Lane znów ruszył przed siebie, a Jeff podążył za nim.

– Wiesz, gdybym przewidział, że pójdziesz mi z tobą tak gładko, poprosiłbym o trzy procent.

– A ja zapłaciłbym ci i pięć.

– Odgrywamy teraz scenę z filmu *Pretty Woman*?

– Wolałbym tak o tym nie myśleć. Nie chciałbym stwarzać ci toksycznego

środowiska pracy. Mógłbyś mnie potem pozwać. Aha, jest jeszcze jedna okoliczność działająca na naszą korzyść.

Wyszli zza linii drzew na równo przystrzyżony trawnik.

– Poproszę radę nadzorczą, żeby wybrała mnie na swojego przewodniczącego. W ten sposób nam obu będzie łatwiej cokolwiek załatwić.

– Podoba mi się pana styl, panie Bradford – powiedział Jeff, a potem skinął głową, wskazując pistolet. – Tę zabawkę powinniśmy jednak zostawić w schowku. Jako nowy prezes firmy chciałbym dążyć do polubownego załatwiania spraw. Druga poprawka do Konstytucji to świetna sprawa i w ogóle, ale istnieją inne techniki zarządzania firmą, które chciałbym najpierw wypróbować.

– Nie ma problemu, szefie. Najmniejszego.

Lizzie z westchnieniem ulgi ochlapała sobie rozpaloną twarz chłodną wodą. Bardzo się cieszyła, że może schować się przed słońcem do dzielonego z Lane'em apartamentu na piętrze. Powietrze z klimatyzatora pomału osuszało pot na jej rozgrzanym upałem ciele. Miała za sobą długi dzień pracy w ogrodzie, gdzie razem z Gretą wyżywała się na grządkach wokół basenu, zrzucając z siebie stres, wprawdzie dość uzasadniony, ale zarazem całkiem bezużyteczny, chyba że się go przekuło na zapal do pielenia. Żadna z nich nie mówiła nic o imprezie na cześć zmarłego, nie poruszały też tematu zaręczyn.

Greta wciąż podchodziła do Lane'a z pewną dozą podejrzliwości i mógł to zmienić wyłącznie upływ czasu.

Lizzie sięgnęła po omacku po ręcznik, a potem przycisnęła miękkie włókna do czoła, policzków i brody. Kiedy spojrzała w lustro, zobaczyła w nim Lane'a stojącego za jej plecami.

Rany, ale świetnie wyglądał w tej lnianej marynarce, koszuli rozpiętej pod szyją, z pilotkami zatkniętymi w kieszonkę na piersi i włosami zmierzwionymi od wiatru (co wskazywało, że jechał kabrioletem ze złożonym dachem). A do tego pachniał tą swoją wodą kolońską. Mmm...

– Twój widok to balsam dla zmęczonych oczu – powiedział z uśmiechem. – Chodź no tu do mnie.

– Ale śmierdzą potem!

– Ty nigdy nie śmierdzisz.

Odłożyła ręcznik i padła w ramiona Lane'a.

– Właściwie to wyglądasz na całkiem zadowolonego.

– Mam dobre wiadomości. Ale czeka mnie też zaraz przygoda, w którą możesz się włączyć.

– Zamieniam się w słuch.

– Może miałabyś ochotę na małą szpiegowską misję ze mną i z Jeffem?

Lizzie roześmiała się i zrobiła krok w tył.

– No dobrze, nie tego się spodziewałam, ale co tam. Szpiegostwo mi niestraszne.

Lane zrzucił marynarkę i zniknął w garderobie. Kiedy z niej wyszedł, trzymał w ręku daszek do gry w golfa, bejsbolówkę Uniwersytetu Charlemont oraz ciepłą uszankę.

– Dla mnie bramka numer dwa – powiedziała Lizzie, sięgając po bejsbolówkę.

Lane wcisnął sobie na głowę przedpotopową uszankę.

– Ale musimy pojechać twoim pikapem.

– Żaden problem. Bylebym nie musiała prezentować się jak yeti.

– Aż tak źle wyglądam?

– Gorzej.

Lane stanął w seksownej pozie, trzymając jedną rękę na biodrze, a drugą kierując w górę.

– Może pożyczę od siostry któryś z jej kapeluszy na derby?

– Doskonale, wówczas na pewno nie będziesz rzucać się w oczy.

Tym razem to Lizzie poszła do garderoby i zaraz stamtąd wyszła.

– Znalazłam drugą czapkę bejsbolową.

– No tak, ale chciałem dla ciebie wypaść uroczo.

Lizzie zarzuciła mu ręce na szyję i się w niego wtuliła.

– Dla mnie zawsze wyglądasz uroczo. A do tego seksownie.

Jego dłonie ześlizgnęły się na jej talię, a z jego ust wydobył się pomruk:

– Toniejestdobrymoment, toniejestdobrymoment...

– Co ty tam mamrocześ?

Pocałował ją głęboko w usta, przyciągając mocno do siebie, choć w dłoniach wciąż trzymał nakrycia głowy. Zaraz jednak zaklął i zrobił krok

w tył.

– Jeff na nas czeka!

– No to chodź, idziemy!

Miło było śmiać się, czuć się swobodnie, patrzeć na Lane'a, który ten jeden raz nie wyglądał, jakby losy całego świata spoczywały na jego barkach. No dobrze, może kłębiło się w nim napięcie seksualne, ale nawet ono w jakiś sposób było teraz radosne.

– Więc co się dzieje? – spytała Lizzie, gdy wyszli na korytarz.

– No cóż, właśnie wróciłem z głównej siedziby firmy i...

Zanim zdążyli zejść na dół, Lizzie całkiem opadła szczęka.

– Widzę, że robisz postępy. A więc zostałeś przewodniczącym rady nadzorczej?

– Jesteś teraz z mężczyzną, który ma posadę. I to po raz pierwszy w życiu!

Wystawił obie dłonie w górę, żeby mogła dwukrotnie przybić mu piątkę, co z werwą uczyniła.

– Ale wiesz, że kochałam cię już wtedy, gdy byłeś zwykłym pokerzystą?

– Chyba raczej szulerem, tak to się właściwie nazywa. No tak, zdaję sobie sprawę, że ta nowa robota nie pociąga za sobą żadnego wynagrodzenia, ale za to – tu uniósł palec wskazujący – wymaga wiele wysiłku. No i będę miał nawet biuro w centrum. Albo i tutaj. Zresztą wszystko jedno.

– A do tego zostałeś szpiegiem!

– Agent zero zero Baldwine. – Podeszli do Jeffa, który czekał przy drzwiach rezydencji. – A oto mój wspólnik zbrodni. To znaczy nie tyle zbrodni, co raczej odpowiedzialności fiskalnej.

Lizzie szybko uścisnęła kumpla Lane'a.

– To co robimy, chłopaki?

Parę minut później siedzieli upchnięci na przednim siedzeniu jej toyoty i zjeżdżali ze wzgórza drogą dla personelu, wszyscy w czapkach bejsbolowych. Lizzie prowadziła, a Lane zajmował miejsce na podwyższeniu pośrodku, przez co głową prawie zahaczał o sufit.

– Jedź na sam dół i schowaj się za ostatnią szklarnią, tyłem do drogi – powiedział Lane. – I pospiesz się. Jest już za kwadrans piąta.

– Na kogo czekamy?

– Jeśli się nie mylę, to na pokojówkę odpowiedzialną za pokoje na górze, niejaką Lillianę – wyjaśnił Jeff, siedzący po stronie pasażera.

– Co?! – Lizzie aż się obróciła w jego stronę. – Myślicie, że wynosi z rezydencji papier toaletowy czy co?

– Nic z tych rzeczy...

– Ej, to przecież jej samochód! – Lizzie wskazała głową lusterko wsteczne. – Tam, za nami.

– Wcześniej wyjeżdża – powiedział Lane i zaklął. – Mogę jej obciąć wynagrodzenie za te czternaście minut?

– Jako osoba dobrze zaznajomiona z twoją sytuacją finansową uważam, że tak właśnie powinienes postąpić – zgodził się Jeff.

Lizzie pokręciła głową.

– Zaraz, zaraz, bo nie całkiem rozumiem. Zadajecie sobie tyle trudu tylko po to, żeby sprawdzić, czy ona pracuje do piątej?

– Jedź dalej – powiedział Lane. – Zobaczymy, w którą stronę skręci. Musimy ją śledzić.

– Jakies pomysły, dokąd może jechać? – spytała Lizzie, gdy zbliżali się już do River Road. – Czekajcie, już wiem, co zrobię.

Skierowała się na prawo i stopniowo rozpędzała pikapa – co nie było takie proste, zważywszy na prawie dwieście kilogramów dodatkowego obciążenia kabiny.

Lizzie aż zagwizdała pod nosem.

– Doskonale, ona skręca w lewo! Trzymajcie się, panowie!

Lane i Jeff zaparli się mocno na siedzeniach, a Lizzie rozpędziła się na tyle, na ile mogła, wjechała w polną drogę i gwałtownie zawróciła, naciskając hamulec i mocno szarpiąc za kierownicę, aż tyłem pikapa zarzuciło. Któregoś z jej pasażerów siła odśrodkowa tak mocno wbiła w siedzenie, że aż zaklął,

Lizzie jednak nie zwróciła na to uwagi, zajęta powrotem na River Road. Niewielki saturn Lillianny jechał teraz przed nimi.

Zanim dojechali do świateł na skrzyżowaniu z Dorn Avenue przy stacji Shell, rozdzieliły ich jeszcze dwa samochody. Lillianna skręciła w lewo i jechała dalej dwupasmówką. Przecięła Broadsboro Lane i wjechała na Hilltop Avenue, znaną w okolicy jako „ulica Halloween” (przez cały październik jej mieszkańcy prześcigali się w przygotowywaniu stosownych dekoracji). Przejechała przez tory kolejowe i skręciła w prawo we Franklin Avenue, gdzie mieściło się mnóstwo lokalnych sklepików i kawiarenek.

Cztery przecznice dalej zaparkowała równoległe do drogi. Wyminęli ją, wszyscy troje patrząc prosto przed siebie jak gdyby nigdy nic, z opuszczonymi daszkami czapek, niczym trzy śmieszne figurki, tyle że naturalnych ludzkich rozmiarów.

Na następnym skrzyżowaniu Lizzie na żółtym świetle gwałtownie skręciła w lewo, po czym zawróciła wąską uliczką na tyłach sklepów i knajpek. Gdy uznała, że jest na odpowiedniej wysokości, zahamowała. Na szczęście od razu znalazła wolne miejsce parkingowe.

– No to do dzieła! – powiedziała, gasząc silnik i otwierając drzwi. – I nie zapomnijcie przywitać się z pieskami.

– Co? – spytał Jeff, wysiadając. – Jakimi pieskami?

Lane zsalutował jej, gdy tylko wysiadł i stanął prosto.

– Zrobimy wszystko, co ta pani rozkaże.

Lizzie poprowadziła ich wąskim przejściem, w którym sama ledwie się mieściła. Zanim doszła do końca, zatrzymała się w pół kroku.

– O Boże, tam jest! – szepnęła.

Po drugiej stronie Franklin Avenue Lillianna wysiadła z samochodu i ruszyła truchtem na drugą stronę ulicy. Lizzie, skryta w cieniu wąskiego przejścia, wychyliła się nieco naprzód, żeby dostrzec, dokąd zmierza pokojówka.

– Wiedziałam! Idzie do Błękitnego Psa. Chodźcie!

Lizzie wmieszała się w grupkę pieszych idących niespiesznie chodnikiem,

przeszła jakieś pięć metrów, po czym kucnęła, chowając się za buldogiem angielskim, który wabił się Bicks – o czym informował napis na jego obroży. Tymczasem Lillianna była już w kawiarni, tuż za szybą.

I witała się z wysoką Afroamerykanką, ściskając jej dłoń.

– To ta reporterka, z którą się spotkałem – powiedział Lane, gdy obaj z Jeffem kucnęli obok buldoga. Cała trójka zamachała do osoby wyglądającej na właścicielkę psa, która uśmiechała się do nich z wnętrza sąsiadującego z kawiarnią sklepu z odzieżą używaną. – Aha, coś jej daje. Jakies dokumenty.

– Bingo! – Jeff pokiwał głową.

– Co to za papiery? – spytała Lizzie.

– Fałszywy raport, który zostawiłem dla niej wczoraj wieczorem – wyjaśnił ściszym głosem Jeff, wyciągając rękę, żeby pogłaskać kundelka o imieniu Jolene. – W gabinecie na drugim piętrze jest kopiarka. Wystarczy wymknąć się z mojej sypialni, skserować te kartki, a potem odłożyć je na miejsce. Dwie minuty.

– Ale ona tam spała? U ciebie? – dopytywała Lizzie.

– No...

Lizzie się roześmiała.

– Pytam ze względu na to nasze zadanie, nie chcę cię oceniać.

Jeff się zarumienił, co przypomniało Lizzie, jak bardzo go lubi.

– No dobra, spała – odparł, poprawiając na nosie okulary. – Taki był plan. A bardzo nam zależy, żeby te informacje trafiły do mediów, więc należy jej się podziękowanie.

Lane pochylił się w stronę Lizzie i ją pocałował.

– Dzięki, że nas tu przywiozłaś, świetna robota. A teraz przepraszam cię na chwilę.

– Dokąd idziesz?

– Przywitać się z LaKeeszą, tą reporterką. Od czasu jak mnie przez dwie godziny maglowała, jesteśmy świetnymi kumplami. Ale słuchaj, ona nic złego nie zrobiła. To nie jej wina, że zgłosiło się do niej źródło ze znalezionymi

gdzieś informacjami. Myślę, że nasza znajomość ma szansę wspianale się rozwinąć, jeśli jej powiem o najnowszych przetasowaniach w firmie i naszych nowych stanowiskach. Jeff, umówię was na siódmą dziś wieczorem. Nie chcę, żeby cię teraz zobaczyła, bo wyglądasz jak obwieś. Musisz się ogolić i włożyć świeży garnitur, zanim zabierzesz się do reprezentowania mojej firmy przed prasą. Aha, no i najwyższy czas zwolnić tę Lillianę przez dwa „l” i dwa „n”. Byle nie na oczach mojej przyjaciółki reporterki.

– Pozwól, że ja się tym zajmę – zaproponowała Lizzie.

– Będę ci bardzo wdzięczny.

Znów ją pocałował, a potem podniósł się i ruszył w stronę kawiarni.

Lizzie widziała przez wielką szklaną szybę, jak obie kobiety zwracają się ku niemu, a Lillianna robi krok w tył. Lane jednak tylko się uśmiechał, ścisnął dłoń reporterce i z nią gawędził, podczas gdy ona patrzyła na niego z uwagą. Potem zaś Lane zwrócił się do pokojówki.

Wyglądał na całkiem opanowanego. Lizzie wyobrażała sobie spokojny ton jego głosu, którym prosił Lillianę, aby zostawiła ich samych, nie ułatwiając jej tym samym zadania.

Świetnie sobie radzi – myślała z dumą Lizzie.

Jej przyszły mąż właśnie stawał się... przywódcą. Głową rodziny. Mężczyzną, a nie jakimś playboyem.

Chwilę później Lillianna wyszła na ulicę, nie zaszła jednak daleko, ponieważ drogę zastąpił jej Jeff. Lizzie pomyślała, że może powinna zostawić ich samych, ale ponieważ oba pieski bez skrupowania obserwowały rozgrywającą się scenę, uznała, że co tam, jej też coś się od życia należy.

– Och... – Lillianna zrobiła się czerwona jak burak. – Jeff... To nie tak, jak myślisz...

– Oj, daj spokój. – Jeff pokręcił głową. – Przestań. Bardziej cię będę szanował, jeśli przestaniesz udawać.

– No i bardzo mi przykro, ale nie będziemy już korzystać z twoich usług – wtrąciła Lizzie. – Rozwiązuję z tobą umowę, a jeśli masz trochę oleju w głowie, po prostu pójdziesz w swoją stronę.

Twarz Lillianny wykrzywiła się w brzydkim grymasie.

– Ja sporo wiem. Wcale nie tylko o finansach. Wiem o wielu rzeczach, które się dzieją w tym domu. Dla rodziny Bradfordów lepiej by było nie mieć teraz wroga w kimś takim jak ja.

– Twoja umowa zawiera klauzulę poufności – ucięła jej wywód Lizzie. – Dobrze o tym wiem, ponieważ w mojej jest taka sama.

– I myślisz, że cokolwiek mnie to obchodzi? – Lillianna poprawiła sobie na ramieniu kosztowną torebkę. – Jeszcze mnie popamiętacie!

Ruszyła na drugą stronę ulicy. Lizzie pokręciła głową.

– Całkiem sprawnie to poszło.

– Może wpadnie pod samochód? O nie, udało jej się. Szkoda – powiedział Jeff. Gdy Lizzie zgromiła go spojrzeniem, uniósł dłoń w przeproszającym geście. – No co? Jestem przecież z Nowego Jorku. O co ci chodzi?

Pół godziny później cholernie zadowolony Lane jechał wraz z Lizzie i Jeffem z powrotem do rezydencji. Reporterka była zachwycona perspektywą spotkania z nowym prezesem firmy, a Lizzie doskonale sobie poradziła z Lillianną. Czego chcieć więcej?

Błogi nastrój nie utrzymał się jednak zbyt długo. Gdy wjechali na wzgórze Easterly, zobaczyli przed domem nieoznakowany samochód policyjny oraz SUV miejscowej policji.

Z tego pierwszego wysiadł inspektor Merrimack, zanim jeszcze Lizzie zdążyła zaparkować swojego pikapa.

– Jasna cholera! – mruknął Lane. – Będę się musiał tym zająć.

– Kocham cię – szepnęła Lizzie, gdy Jeff wysiadał z samochodu, umożliwiając zarazem to samo siedzącemu pośrodku Lane’owi.

– Ja też cię kocham – odparł Lane, który był już jedną nogą na zewnątrz, ale znów pochylił się w jej stronę. – Miałem nadzieję, że dziś pojedziemy na noc do Indiany.

– Mogę zostać tutaj, nie ma problemu. Wedle potrzeb.

Przez chwilę patrzył jej w oczy, czerpiąc siłę z jej wsparcia. Potem zaś ją pocałował, zamknął za sobą drzwi i podciągnął spodnie.

Gdy obrócił się w stronę Merrimacka, miał już z powrotem twarz pokerzysty.

– Miło mi pana znów widzieć, inspektorze.

Merrimack uśmiechnął się w typowy dla siebie sposób i wyciągnął dłoń, podchodząc do Lane’a.

– Czyżby?

– Przyjechał pan na kolację? I przywiózł pan kolegę, tak? Kto to?

Dołączył do nich mężczyzna w cywilu, sprawiający wrażenie typowego urzędnika.

– Jestem Pete Childe, śledczy.

– A ja mam dla pana trochę dokumentów – rzucił Merrimack.

– Poznał pan już Jeffa Sterna? – Lane zrobił krok w tył, żeby przedstawić przyjaciela. – A teraz zobaczmy, co pan tam ma na tej liście zakupów. Nie zapomniał pan o jajkach i maśle?

Jeff ruszył w stronę rezydencji, a Lane przeleciał wzrokiem przez sądowy nakaz rewizji, choć nie miał pojęcia, jak właściwie taki dokument powinien wyglądać. No ale to przecież nic takiego – zwykły papier pozwalający legalnie wtargnąć do czyjegoś domu, opatrzony licznymi podpisami i pieczęciami.

Zawierający wyraźnie sformułowaną informację, że nakaz zezwala wyłącznie na uzyskanie dostępu do nagrań z monitoringu z dnia poprzedzającego śmierć Williama Baldwine’a i kolejnego po niej.

– Nie wiem, czy pan sobie zdaje z tego sprawę – zaczął Merrimack, gdy Lane doszedł już do ostatniej strony – ale drzwi były otwarte na oścież. Pukałem i pukałem, aż w końcu zeszła do mnie pokojówka. Kilkakrotnie też do pana dzwoniłem.

– Telefon zostawiłem w samochodzie. – Lane podszedł do swojego porsche i wyjął aparat z przegródki. – Dobra, to załatwmy, co trzeba.

– Pan przodem.

Lane poprowadził obu funkcjonariuszy wokół domu, na jego tyły. Był to najdłuższy spacer w jego życiu. Pomimo twarzy pokerzysty i pozorów panowania nad sobą w środku coś w nim krzyczało, jakby stał na skraju drogi pokrytej gołoledzią i patrzył, jak dwa rozpędzone samochody wpadają w poślizg i lecą prosto na siebie – choćby krzyczał ile sił w płucach, kierowcy i tak nie mogli wziąć pod uwagę jego ostrzeżeń, nawet gdyby je usłyszeli.

Przez cały czas miał jednak świadomość – zresztą już od chwili gdy rano odesłał Merrimacka z kwitkiem – że chwila ostatecznej konfrontacji w końcu

będzie musiała nadejść.

Gdy stanęli przed tylnym wejściem do centrum biznesowego, Lane wprowadził kod i zaprosił obu mężczyzn do środka.

– To stąd steruje się systemem bezpieczeństwa na terenie całej posiadłości – powiedział, kierując się w lewo, gdzie mieściły się pomieszczenia gospodarcze. – To tu znajduje się płyta główna czy jak to tam zwać.

Zatrzymał się przed nieoznakowanymi drzwiami pancernymi, wprowadził kolejny kod, a potem, gdy dało się słyszeć dźwięk zwalniania blokady, otworzył je na oścież, mocno pchając.

Gdy zapaliły się automatyczne światła, Lane – który zamierzał dalej wszystko funkcjonariuszom pokazywać i wyjaśniać – nagle skojarzył ze sobą fakty i jakby się zawiesił.

– Halo, proszę pana?

Otrząsnął się i spojrzał na inspektora.

– Tak, tak. Przepraszam bardzo.

– Czy coś się stało?

– Nie, nie. – Odsunął się na bok i wskazał gościom cały rząd stanowisk wyposażonych w ekrany, klawiatury i obrotowe fotele. – Proszę bardzo.

Pete Childe zasiadł przed tym całym technologicznym arsenałem z taką pewnością siebie, jakby doskonale się we wszystkim orientował.

– No dobrze, ale muszę jeszcze uzyskać dostęp do tych nagrań. Może mi je pan udostępnić?

– Słucham? – Lane pokręcił głową, próbując zrozumieć, o co chodzi.

– Potrzebny mi login i hasło dostępu do systemu.

– Ale ja ich nie znam.

Merrimack uśmiechnął się, jakby dokładnie takiej reakcji się spodziewał.

– To niech pan je lepiej dla nas zdobędzie. I to zaraz.

– Proszę dać mi chwilkę, dobrze?

Lane wyszedł na korytarz, nieco się oddalił i wziął do ręki telefon. Patrzył na jego połyskujący ekran, bezradnie kręcąc głową.

Wiedział już bowiem, co jego brat robił podczas imprezy pożegnalnej. A niech to szlag!

Wziął głęboki oddech i wybrał numer domku zarządcy stadniny Red & Black. Jeden sygnał... dwa sygnały... trzy sygnały...

– Halo?

Słyszając w słuchawce głos brata, Lane zamknął oczy.

– Edward...

– Co tam, braciszku?

– Bywało lepiej. Jestem w centrum biznesowym, razem z dwoma glinami. Mają nakaz rewizji pozwalający im obejrzeć nagrania z monitoringu. – Edward się nie odzywał. – Słyszysz, co mówię?

– Tak. No i?

Przez ułamek sekundy Lane miał ochotę powiedzieć bratu, żeby wziął tyle gotówki, ile może, znalazł jakiś samochód i wypierdalał z miasta. Chciało mu się krzyczeć i przeklinać.

Chciał też poznać prawdę.

Potrzebował jednak ułudy, że wszystko jest w porządku, a jego brat nie zrobił w ramach zemsty za swoje krzywdy nic takiego, co do jego ograniczeń fizycznych dodałoby jeszcze izolację od świata w więziennej celi.

Lane odchrząknął.

– Muszą wejść do systemu, żeby skopiować z niego pliki.

– To podaj im moje dane logowania.

Edward, coś ty, kurwa, narobił? Przecież oni się zorientują, jeśli coś majstrowałeś przy...

– Jak panu idzie? – Z serwerowni wychylił się inspektor Merrimack.

– Prześlij mi je esemesem, okej? – powiedział Lane do słuchawki.

– Ja tu mam taki telefon z tarczą, nie wiem, czy pamiętasz. – Edward podyktował mu swoje dane głosem równie spokojnym jak zawsze. – Zapisałeś sobie?

– Tak.

– Gdyby mieli jakieś pytania, wiedzą, gdzie mnie szukać. Czy to może inspektor Merrimack? Był tu u mnie parę dni temu.

– Tak, to on.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Wszystko będzie dobrze, braciszku. Przestań się zamartwiać.

A potem Edward się rozłączył.

Lane opuścił słuchawkę.

– Mam te dane, o które panowie prosili.

Merrimack znów się uśmiechnął.

– Byłem pewien, że zastosuje się pan do naszych poleceń. Rozmawiał pan ze swoim bratem Edwardem?

– Tak.

Merrimack pokiwał głową.

– Miły facet. Przykro mi, że spotkało go to, co go spotkało. Mówił panu, że złożyłem mu wizytę?

– Tak.

– Wie pan co, wcale nie są panowie do siebie podobni.

Lane minął inspektora, wchodząc do centrum nadzoru.

– Kiedyś byliśmy – odparł.

Tymczasem w stadninie Red & Black ledwo Edward odłożył słuchawkę aparatu zawieszonego na ścianie koło kuchni, do domku weszła Shelby. Musiała niedawno brać prysznic, bo włosy nie całkiem jej jeszcze wyschły. Miała na sobie czyste dżinsy i koszulę z krótkim rękawem, niebieską w białą kratkę.

– Co jest? – spytała, widząc jego minę.

– Słucham?

– Czemu tak na mnie patrzysz?

Pokręcił głową.

– Nie, nic. Ale posłuchaj, chciałbym wyjść na kolację. I chciałbym, żebyś

mi towarzyszyła.

Zamruwała z niedowierzaniem, a on przewrócił oczami.

– No dobra, spróbuję bardziej uprzejmie. Bardzo cię proszę, czy poszłabyś ze mną coś zjeść? Byłoby mi ogromnie miło.

– Nie, nie o to chodzi – bąknęła, dotykając swojej koszuli. – Po prostu nie jestem odpowiednio ubrana, żeby iść w jakieś eleganckie miejsce.

– Ja też nie, a do tego mam ochotę na dobrego kurczaka. Myślę więc, że Joella's Hot Chicken to lokal w sam raz dla nas.

Pokuśtykał w stronę drzwi i otworzył je na oścież.

– To co, jesteś chętna? Mają tam sześć stopni ostrości, a każdy z nich to dosłownie niebo w gębie, nie żartuję!

– Może spytasz Moego?

– Nie, chcę tylko ciebie. Znaczy żebyś ze mną coś zjadła.

Wskazał jej drogę na zewnątrz. Przez chwilę się wahała, potem jednak ruszyła przodem. Gdy go mijała, wciągnął powietrze nosem i aż się musiał uśmiechnąć. Pachniała staroświeckim szamponem, o którego istnieniu zdążył już zapomnieć. Nie wiedział nawet, że jeszcze go produkują. Ciekawe, gdzie go kupuje. Może został jej zapas po ojcu? Albo zostawił go poprzedni lokator jej mieszkanka w stajni B?

Przed wyjściem na zewnątrz Edward sięgnął po pieniądze, które położył na komodzie tamtej nocy, gdy przyszła do niego Sutton, a on ją wziął za...

Zatrzymał tę lawinę wspomnień, zamknął za sobą drzwi i spojrzał w wieczorne niebo. Przez chwilę analizował jego bezkres oraz barwę stopniowo przechodzącą od rozpalonej czerwieni gasnącego słońca na zachodzie do aksamitnego granatu na wschodzie. Raz jeszcze zaciągnął się powietrzem i poczuł słodki zapach trawy i ziemi z nutą palonego węgla drzewnego, jak gdyby Moe i Joey urządzali sobie grilla na tyłach stajni.

Lekki wietrzyk muskał mu skórę, co Edward odbierał jako swego rodzaju błogosławieństwo.

Aż dziw, że wcześniej w ogóle tego nie doceniał. Nawet zanim jeszcze całkiem zamknął się w sobie.

W tamtym poprzednim życiu zbyt był skupiony na pracy, firmie, rywalizacji.
Potem zaś całkiem zanurzył się w cierpieniu i goryczy.

Tyle straconych szans.

– Edward? – odezwała się Shelby.

– Już idę.

Podszedł do jej pikapa od strony pasażera, otworzył drzwi i zaprosił swoją towarzyszkę do środka. Choć wydawała się zaskoczona tą sytuacją i nieoswojona z pomysłem, że ktokolwiek miałby ją gdziekolwiek wieźć, posłusznie wskoczyła na wskazane jej miejsce. Edward zaś pokuśtykał ku drugim drzwiom i zajął miejsce za kierownicą.

Uruchomił silnik, wycofał samochód i ruszył w stronę miasta. Początkowo na drodze nie było wielu innych pojazdów i mógł spokojnie wyminąć jadący poboczem traktor. Wkrótce jednak ruch nieco zgęstniał, pojawiła się też sygnalizacja świetlna.

Gdy dotarli na przedmieścia, Edward złapał się na tym, że uważnie patrzy dookoła, wychwytyując wszelkie zmiany w otoczeniu. Nowe witryny sklepów, nowe budynki, marki samochodów, billboardy, roślinność na pasach rozdzielczych i...

– Rety, zlikwidowali restaurację White Castle!

– Co takiego?

Wskazał mało charakterystyczny, zupełnie nowy budynek, w którym mieścił się teraz jakiś bank.

– Tu była burgerownia White Castle. Od zawsze! W dzieciństwie przyjeżdżałem tu na rowerze. Odkładałem z kieszonkowego i kupowałem sobie i braciom hamburgery. Musiałem je potem potajemnie przemycać do domu, bo nie chciałem, żeby Aurora uznała, że nie smakują nam jej specjały. Bo je uwielbialiśmy! Ale lubiłem też, no wiesz, sprawiać braciom radość. Gin nigdy nie zjadła ani jednego, bo już jako trzylatka pilnowała wagi.

Nie wspomniał, że wycieczki te zwykle odbywały się wkrótce po tym, jak ojciec sięgał po pasek. W dziewięćdziesięciu procentach przypadków to Max wpadał na różne dziwne pomysły, takie jak odpalanie fajerwerków z dachu

garażu, wjeżdżanie na koniu przez drzwi frontowe rezydencji czy jazdę którymś z rodzinnych samochodów na przełaj przez pola kukurydzy.

Edward uśmiechnął się do tych wspomnień. Być może w innych domach ten ostatni wyczyn nie byłby niczym aż tak nagannym. Jednak rolls-royce'y zostały zaprojektowane z myślą o wypadach na premiery w operze i mecze polo – a nie o sierpniowych zbiorach kukurydzy.

Boże drogi, wciąż miał przed oczami nowiuteńkiego corniche'a z 1995 roku z wyszczerbioną kratownicą pełną liści i łodyg kukurydzy. Williama Baldwine'a bynajmniej nie ucieszył widok jego nowej zabawki w tak opłakanym stanie – Max więc przez kolejny tydzień unikał pozycji siedzącej.

Żeby wreszcie pozbyć się z głowy tych wspomnień, Edward powiedział do Shelby:

– Naprawdę mi wczoraj zaimponowałaś.

Shelby spojrzała na niego, a potem odwróciła wzrok.

– Neb wcale nie jest taki zły. Chce być przywódcą i potrafi pokazać, że mu się to należy. Najlepiej z nim po prostu współpracować, zamiast go zmuszać do wykonywania rozkazów.

Edward się roześmiał, a Shelby gwałtownie odwróciła głowę w jego stronę i zaczęła się na niego gapić.

– No co? – spytał w końcu.

– Jeszcze nigdy nie słyszałam, żebyś... A zresztą, nieważne.

– Żebym się śmiał? Tak, chyba masz rację. Dziś jest jednak inaczej. Czuję się tak, jakby spadł mi z barków wielki ciężar.

– Bo z Nebem wszystko w porządku? To tylko lekkie skaleczenia, jego przednim nogom nic nie będzie. Mogło się to skończyć gorzej.

– I dzięki tobie tak się nie stało.

– To nic takiego.

– Wiesz co... To mój ukochany ogier. Pamiętam, jak go kupiłem. To było zaraz po tym, jak wyszedłem ze szpitala. Wszystko mnie strasznie bolało. – Edward zatrzymał się na światłach przy wielkim białym kościele z wieżyczką pokrytą blachą. – Za każdym razem gdy próbowałem stanąć na prawej nodze,

czułem taki ból, jakby mi ją łamano. Brałem tyle substancji psychoaktywnych, że system trawienny całkiem mi się wyłączył. – Zapaliło się zielone światło, a Edward nacisnął pedał gazu, zerkając na Shelby. – Pewnie nie chcesz tego wiedzieć, ale zaparcia wywołane opioidami są niemal tak samo nieprzyjemne jak bóle, w których się te substancje stosuje. Nigdy wcześniej nie doceniałem podstawowych funkcji ludzkiego ciała. Nikt ich nie docenia. Ludzie chodzą sobie w tych cielesnych powłokach stanowiących oprawę dla ich szarych komórek i w ogóle się nie zastanawiają nad ich funkcjonowaniem, dopóki wszystko jest w porządku. Narzekają tylko na problemy w pracy, na swoje ciężkie życie i...

Edward spojrział bacznie na Shelby. Bidulka siedziała nieruchomo i gapiła się na niego jak cielę na malowane wrota.

Mniej zaskoczyła ją chyba rozprawa z jego ogierem.

– O co chodzi? – spytał.

– Jesteś pijany? Może nie powinienes prowadzić?

– A skąd! Ostatni raz miałem w ustach alkohol... chyba wczoraj wieczorem. Albo jeszcze wcześniej, już nie pamiętam. Czemu pytasz?

– Bo masz niezłą gadkę.

– Mam się przymknąć?

– Nie, wcale nie. Tyle że to... całkiem miła odmiana.

Zbliżyli się do skrzyżowania, przed którym Edward musiał głęboko sięgnąć pamięcią wstecz, żeby przypomnieć sobie dalszą drogę.

– To chyba będzie gdzieś tutaj, po lewej.

Minęli niewielkie centrum handlowe (jubiler, fryzjer, studio pilates oraz sklep oświetleniowy), a potem jeszcze kilka osiedli dwupiętrowych budynków mieszkalnych z cegły, przed którymi parkowały całe rzędy samochodów.

Tyle tu życia – pomyślał Edward. Cała planeta aż nim tętni.

To zabawne, że kiedy na świat patrzył wyłącznie z uprzywilejowanej pozycji członka rodu Bradfordów, w ogóle nie zwracał uwagi na tych wszystkich ludzi zajętych codziennymi sprawami. Nie chodzi o to, że otwarcie nimi gardził czy ich nie szanował, ale z pewnością czuł się od nich ważniejszy,

choćby z powodu wielocyfrowego stanu konta.

Ból i rozmaite dolegliwości fizyczne skutecznie go wyleczyły z tego rodzaju arogancji.

– Jesteśmy na miejscu! – ogłosił triumfalnie. – Wiedziałem, że to tu.

Zaparkował równolegle do jezdni, naprzeciwko swojskiej parterowej knajpki. Próbował podejść do drzwi Shelby, żeby je otworzyć, ale kontuzjowana kostka i jego niesprawna noga nie pozwoliły mu tego zrobić dostatecznie szybko, Shelby wysiadła więc sama, nie czekając na niego. Razem zaczęli czekać, aż ulicą przejedzie kolumna samochodów, a potem przeszli na drugą stronę. Edward otworzył drzwi lokalu i przytrzymał je, żeby Shelby mogła wejść pierwsza.

Gdy do jego nozdrzy doleciał zapach przypraw i gorącego kurczaka, aż zaburczało mu w brzuchu.

– Dowiedziałem się o tym miejscu od Moego – powiedział, omiatając wzrokiem zatłoczone wnętrze. – Kilka lat temu zaczął o nim opowiadać, aż w końcu przywiózł stąd coś na wynos. To było jeszcze przed... Przed moim wyjazdem do Ameryki Południowej.

Wskazano im stolik z tyłu sali, co Edwardowi bardzo odpowiadało. Co prawda wyglądał teraz zupełnie inaczej niż kiedyś, no i nie pochodził z tej okolicy, ale nie chciał skupiać na sobie uwagi. Tego wieczoru chciał być taki sam jak wszyscy tutejsi klienci, po prostu przynależeć do gatunku ludzkiego i nie zastanawiać się, czy jest od kogoś lepszy, gorszy, bogatszy czy biedniejszy.

Otworzył kartę, gotów zamówić niemal wszystko, co się w niej znajdowało.

– Od dawna znasz Moego? – spytała Shelby pośród gwaru rozmów pozostałych gości.

– Od wieków. Zaczął pracować w naszej stadninie, gdy miał jakieś czternaście czy piętnaście lat. Przerzucał siano i czyścił boksy. To łebski facet.

– Zawsze mówi o tobie z wielkim szacunkiem.

Edward złożył menu.

– Ja też bardzo go szanuję. Moe jest dla mnie w wielu sprawach jak brat.

A jego syna znam od dziecka.

Tak naprawdę to o nim właśnie chciał z nią porozmawiać. Zapamiętał wyraz twarzy Joeya, gdy chłopak patrzył, jak Shelby radzi sobie z atakiem paniki Nebekanzera.

Zwykle Edward nie mieszał się w sprawy innych ludzi. Tym razem jednak chciał zadbać o Shelby.

Zanim jeszcze wszystko się zmieni.

Podeszła do nich kelnerka, a gdy złożyli zamówienie, Edward napił się wody.

– Jeśli więc chodzi o Joeya...

– Tak? – Shelby spojrzała na niego szerokimi, szczerymi oczami. – Co z nim?

Edward bawił się widelcem.

– Co o nim myślisz?

– Myślę, że świetnie sobie radzi z końmi. Nigdy się nie denerwuje, dobrze je rozumie.

– Myślisz, że...?

– Chcesz go zwolnić za to, co się wczoraj stało? To nie była jego wina. To w ogóle nie była niczyja wina i...

– Co? Nie, nie... – Edward pokręcił głową. – Joey to dobry chłopak. Byłem tylko ciekaw, co o nim sądzisz.

Shelby wzruszyła ramionami.

– To porządny facet. Ale jeśli chcesz mnie spytać, czy się do niego przymierzam, to powiem ci, że nie – powiedziała Shelby, po czym zamilkła.

Pewnie, że nie – pomyślał Edward. Przecież on nie jest autodestrukcyjnym ludzkim wrakiem.

– Shelby, muszę ci coś wyznać.

– Co takiego?

Edward wziął głęboki oddech.

– Miałaś rację. Jestem w kimś zakochany.

Prezbiteriańskie Seminarium Teologiczne w Charlemont zajmowało jakieś szesnaście bardzo zadbanych hektarów w bezpośrednim sąsiedztwie jednego z pięknych parków miejskich. Na malowniczy kampus składały się eleganckie ceglane budynki oraz latarnie roztaczające pomarańczową poświatę pośród zapadającego zmroku. Gin wyobrażała sobie, że w takim miejscu nikt nie pije i nie istnieje pojęcie bezpiecznego seksu, ponieważ i tak mieszkają tu same prawiczki, a wydarzeniem najbardziej zbliżonym do imprezy studenckiej są gwarne rozgrywki szachowe, podczas których czasem ponoć serwuje się nawet red bulla.

Wydało jej się więc zabawne, że akurat tutaj umówiła się z człowiekiem, którego miała za chwilę spotkać.

Seminarzyści opuścili już sale wykładowe i akademiki, powyjeżdżali bowiem na lato (z pewnością zajmowali się czynieniem dobra w ramach wakacyjnych praktyk). Po kampusie nie kręcili się też pracownicy ani wykładowcy. Urocze kręte alejki, które Gin kojarzyły się z cmentarzem, również były całkiem puste.

Zaparkowała rolls-royce'a, wysiadła i wciągnęła do płuc zapach świeżo skoszonej trawy. Mocnym ruchem zatrzęsła ciężkie drzwi i spojrzała na swoje odbicie w szybie samochodu. Potem zablokowała zamki i patrzyła, jak zdobiąca maskę statuetka Latającej Damy znika w swojej skrytce zaraz nad kratownicą.

Największą atrakcją kampusu, często fotografowaną i dość sławną w całym Charlemont, stanowił jego formalny „ogród zadumy”, do którego prowadziły cztery bramy usytuowane po czterech stronach muru. Miejsce to nie było wprawdzie łatwo dostępne dla szerokiej publiczności, ale nie było też całkiem

prywatne. Organizowano tu uroczystości seminaryjne, absolwenci czasem brali tu śluby, a zwykli ludzie przychodzili, żeby... no cóż, pewnie po to, żeby podumać.

Gin ruszyła w stronę jednej ze zwieńczonych łukiem bram w hobbskim stylu. Pociły jej się dłonie, a gdy otworzyła staroświecką zasuwkę i pchnęła drzwi, zakręciło jej się w głowie.

Piękno i spokój tego miejsca tak ją odurzyły, że aż musiała zaczerpnąć tchu. Maj się jeszcze nie skończył, dookoła kwitły więc kwiaty i zieleń się liście. Wybrukowane ceglana kostką alejki prowadziły do trawnika pośrodku ogrodu. Fontanny umieszczone wzdłuż ceglanych murów porośniętych bluszczem tworzyły symfonię kojących dźwięków. Niebo coraz bardziej ciemniało, a w brzoskwiniowym świetle latarni sodowych osadzonych na słupach z kutego żelaza wszystko wyglądało jak przeniesione prosto z Londynu epoki wiktoriańskiej.

Na szczęście nie było w tym pakiecie Kuby Rozpruwacza.

– Tutaj! – rozległ się męski głos.

Gin spojrzała w prawo.

Samuel siedział z łokciami opartymi o kolana na jednej z kamiennych ław i patrzył na trawnik z miną poważną jak nigdy.

Gin musiała ostrożnie iść brukowaną alejką, żeby nie uszkodzić sobie pokrytych jedwabiem obcasów szpilek albo, co gorsza, nie potknąć się i nie upaść, robiąc z siebie idiotkę.

Podeszła do Samuela, on zaś wstał, bo niezależnie od okoliczności pozostawał dżentelmenem, któremu przez myśl by nie przeszło, że mógłby nie przywitać damy z należnym szacunkiem.

Uścisnęli się pospiesznie i dość sztywno, po czym Samuel wskazał miejsce, gdzie przed chwilą siedział.

– Bardzo proszę.

– Co za kurtuazja! – powiedziała Gin, jej głos był jednak pozbawiony typowego dla niej jadu.

Zajęła miejsce na chłodnym kamieniu i poczuła się zobowiązana wygładzić

sobie spódnicę na kolanach i usiąść prosto, z nogami schowanymi pod ławę i skrzyżowanymi w kostkach.

Przez chwilę oboje milczeli.

Razem patrzyli na mroczne cienie rzucane przez kwiaty. Wiał lekki wietrzyk, delikatny jak pieszczota i pachnący niczym aromatyczna kąpiel.

– Zrobiłaś to? – spytał Samuel, nie patrząc na nią. – Wyszłaś za niego?

– Tak.

– Moje gratulacje.

W innych okolicznościach zaraz by mu się odgryzła, ale ton jego głosu był tak poważny, że nie wywołał w niej odruchu obrony przez atak.

Nastąpiła chwila ciszy. Gin przejechała opuszką palca po pierścionku zaręczynowym oraz platynowej obrączce, która niedawno do niego dołączyła.

– Boże drogi, dlaczegoś to zrobiła? – jęknął Samuel, pocierając twarz dłonią. – Przecież go nie kochasz.

Choć wydało jej się, że on mówi raczej sam do siebie, jednak mu odpowiedziała.

– Gdyby ludzie mieli się pobierać wyłącznie z miłości, instytucja małżeństwa w ogóle nie byłaby potrzebna – szepnęła.

Znów na dłuższą chwilę zamilkli, aż w końcu Samuel mruknął:

– No cóż, muszę ci coś powiedzieć.

– Tak też podejrzewałam.

– I nie spodziewam się, że zostanie to dobrze przyjęte.

– To po co się trudzisz?

– Ponieważ jesteś dla mnie, moja droga, jak pokrzywa. A choć wiem, że rozdrapywanie poparzonych miejsc tylko pogarsza sprawę, nie potrafię się powstrzymać.

– Och, te twoje komplementy. – Uśmiechnęła się melancholijnie. – Jesteś szarmancki jak zawsze.

Gdy znów zapadła cisza, Gin przeniosła wzrok na Samuela i przyglądała się jego profilowi. Był naprawdę pięknym mężczyzną, o regularnych rysach

twarzy, pełnych ustach, wyraźnie zaznaczonej, ale nie nazbyt wydatnej szczęce. Gęste włosy rozdzielał z boku przedziałkiem. W rozchyłoną pod szyją elegancką, ręcznie szytą koszulę z monogramem zatknął stylowe pilotki. Wyglądał jak wytrawny gracz polo lub żeglarz, stara dusza zamknięta w młodym ciele.

– Zwykle nie bywasz taki milczący – zauważyła Gin, choć trochę niepokoiło ją to, co właściwie może zaraz usłyszeć. – W każdym razie nie milczysz nigdy tak długo.

– To dlatego, że... Jasna cholera, Gin, nie wiem.. Nie wiem, co tu właściwie robię.

Nie była całkiem pewna, co ją do tego skłoniło. Chociaż nie, w sumie wiedziała. Wyciągnęła rękę i położyła dłoń na jego ramieniu, ponieważ widziała, że oboje cierpią. I czuła się już zmęczona swoją uporczywą dumą. Zmęczona ciągłą walką, której żadne z nich nie mogło wygrać. Zmęczona... w ogóle wszystkim.

A on, zamiast ją odepchnąć, czy to fizycznie, czy jakimś docinkiem, zwrócił się w jej stronę i... po chwili trzymała go w objęciach, skulonego i niemal leżącego na jej kolanach.

To było wspaniałe uczucie: wolnymi, okrężnymi ruchami masować jego plecy, co koiło zarówno jego, jak i ją samą. Ach, i to jego ciało... Gin była już z Samuelem tak wiele razy, w tak wielu różnych miejscach, robili różne rzeczy na tak wiele sposobów, znała więc każdy centymetr jego wspaniałe umięśnionego ciała.

A mimo to zdawało jej się, że minęły całe wieki, odkąd ostatni raz byli razem.

– Co cię tak poruszyło? – szepnęła. – Powiedz.

W końcu się wyprostował. Gdy przejechał dłonią po przymkniętych powiekach, Gin poczuła się naprawdę przerażona.

– Samuel, co się dzieje?

Jego pierś falowała. Westchnął ciężko, a potem zaczął mówić:

– Musisz mi pozwolić to z siebie wyrzucić, dobrze? Jeden jedyny raz... Nie

chcę być złośliwy, ale ten jeden raz po prostu mnie wysłuchaj. Nie odpowiadaj pod wpływem impulsu. Zresztą najlepiej w ogóle nic nie odpowiadaj. Po prostu... Chcę, żebyś wysłuchała tego, co powiem, dobrze? – Posłał jej baczne spojrzenie. – Zgadzasz się, Gin?

Nagle zdała sobie sprawę, że serce wali jej jak szalone, a całe ciało pokrywa się zimnym potem.

– Gin?

– Tak, dobrze. – Splotła ręce i położyła je na brzuchu. – W porządku.

Pokiwał głową i rozpostarł dłonie.

– Myślę, że Richard cię bije. – Od razu uniósł dłoń w geście uciszającym ewentualne protesty. – Pamiętaj, nic nie mów. Doszedłem do takiego wniosku, a znasz mnie lepiej niż ktokolwiek inny i wiesz, bo często sama mi to mówiłaś, że jak raz coś sobie ułożę w głowie, to trzeba by jednogłośnie uchwały całego Kongresu, żebym zmienił zdanie. Nie jesteś więc w stanie zrobić nic, żeby odwieść mnie od tego przekonania.

Gin ponownie skierowała wzrok na piękne kwiaty w ogrodzie, starając się nie myśleć o tym, że brakuje jej tchu.

– Sądzę, że te siniaki to jego sprawka i że nosisz teraz apaszki, żeby je zakryć. – Odetchnął głęboko. – A choć mogę z pełną mocą stwierdzić, że wielokrotnie doprowadzałaś mnie na skraj szaleństwa, nigdy w życiu nie przyszłoby mi do głowy, żeby cię uderzyć. Zresztą żadnej kobiety nigdy bym nie uderzył.

Zamknęła na chwilę oczy, a potem odezwała się posepnie:

– Masz na to zbyt dużą klasę.

– Chodzi o to... Muszę ci powiedzieć, że sama myśl o tym... że ktoś, wszystko jedno, kurwa, kto... może cię uderzyć, szarpać czy... O Boże, nie mogę nawet znieść myśli o tym, co jeszcze...

Gin nigdy wcześniej nie słyszała, żeby Samuel gubił wątek. Nigdy nie słyszała, żeby ten pewny siebie, przekorny, zadziorny mężczyzna mówił głosem człowieka całkiem pokonanego.

Samuel odchrząknął.

– Wiem, że wyszłaś za niego, ponieważ przeraża cię wizja bankructwa twojej rodziny. W końcu przecież nie umiesz żyć inaczej niż jako bogata dama. Nie nauczono cię żadnego innego zajęcia. Z powodu dziecka ledwo ukończyłaś szkołę, a potem zajmowałaś się głównie robieniem scen. Myśl o tym, że miałabyś polegać na samej sobie, bez zabezpieczenia w postaci ogromnego majątku, może być więc dla ciebie przerażająca do tego stopnia, że nie potrafisz jej w ogóle do siebie dopuścić.

Gin otworzyła usta. A potem je zamknęła.

– Chcę właściwie powiedzieć dwie rzeczy – ciągnął Samuel. – Po pierwsze chcę, żebyś wiedziała, że zasługujesz na coś lepszego, i to wcale nie z powodu przynależności do rodu Bradfordów. Tak naprawdę, Gin, niezależnie od stanu konta, jesteś silną i mądrą kobietą o wielkim potencjale, tylko jak dotąd korzystałaś ze swoich przymiotów w niewłaściwy, głupi sposób, ponieważ życie nie stawiało przed tobą prawdziwych wyzwań. Byłaś buntowniczką niemającą o co walczyć, wojowniczką bez godnych siebie wrogów, próbowałaś więc jakoś spalić tę energię, przez całe lata waląc na oślep we wszystkich i wszystko dookoła. – Samuel mówił już nieznośnie ochryłym głosem. – No więc chciałbym, żebyś zaczęła teraz inaczej kanalizować tę energię. Chcę, żeby twoja siła miała odpowiednie podłoże. Chcę, żebyś potrafiła dbać o siebie samą, umiała siebie chronić. Otaczają cię ludzie, którzy cię... kochają. Którzy chcą ci pomóc. Ale sama musisz zrobić pierwszy krok.

Samuel zamilkł, a Gin poczuła, że teraz to ją pieką oczy, w których wzbierały łzy, a potem zaczęło ją dławić w gardle, gdy próbowała bezgłośnie je przełykać.

– Chcę, żebyś wiedziała, że zawsze możesz do mnie zadzwonić – rzucił szorstko Samuel. – W każdej chwili. Zdaję sobie sprawę, że nam nie wychodziło. Pod każdym możliwym względem źle na siebie oddziałujemy, ale zawsze możesz do mnie zadzwonić. Dniem czy nocą. Gdziekolwiek będziesz, przyjadę po ciebie i nie będę żądał wyjaśnień. Nie będę na ciebie krzyczał, krytykował cię ani oceniał. Jeśli mnie o to poprosisz, nic nie powiem nawet Lane’owi ani w ogóle nikomu. – Samuel przechylił się i wyjął z kieszeni spodni telefon. – Nie będę odtąd wyłączał na noc komórki. Zero pytań, zero

wyjaśnień, w ogóle zero rozmów w trakcie czy po interwencji. Możesz do mnie dzwonić, wysyłać mi wiadomości czy choćby zawołać mnie po imieniu w środku dowolnej imprezy, a zaraz będę przy tobie. Czy to jasne? – Na jej policzek wymknęła się niesforna łza, którą Samuel otarł palcem, po czym mówił dalej łamiącym się głosem. – Zaslługujesz na coś lepszego. Jesteś osobą znacznie więcej wartą. Wspaniała historia twojej rodziny wcale nie oznacza, że teraz jakiś facet może cię katować tylko dlatego, że obawiasz się, kim będziesz bez jego majątku. Jesteś bezcenna, Gin, niezależnie od stanu konta.

Teraz to on przyciągnął ją do siebie i przytulił do piersi.

Słyszając tuż przy swoim uchu bicie jego serca, rozszłochała się jeszcze mocniej.

– Dbaj o siebie, Gin. Zrób, co trzeba, żeby zadbać o swoje bezpieczeństwo...

Powtarzał te słowa niekończącym się strumieniem, jakby sądził, że wypowiadając je wielokrotnie, ma większe szanse do niej dotrzeć.

Gdy w końcu się wyprostowała, wyjął z tylnej kieszeni spodni chusteczkę i osuszył jej policzki. A potem, gdy patrzył na nią smutnym wzrokiem, nie mogła uwierzyć, że po tym wszystkim, co razem przeszli, on chce ją tak właśnie wspierać.

Chociaż może to właśnie dlatego, że tyle razem przeszli...

– A ta druga rzecz? – szepnęła, opuszczając wzrok.

Ponieważ ociągał się z odpowiedzią, spojrzała znów na niego – i aż się wzdrygnęła.

Jego spojrzenie znów było zimne i wyglądał zupełnie inaczej, choć nawet nie zmienił pozycji.

– Ta druga sprawa... – Samuel zaklął i odchylił głowę w tył. – Nie, to chyba zachowam dla siebie, w niczym to teraz nie pomoże.

Gin jednak wiedziała, co to było.

– Ja ciebie też – szepnęła.

– Pamiętaj tylko, że jesteś silna. Proszę cię, Gin.

Po chwili ujął jej dłoń i obrócił ogromny diament na jej palcu tak, by był

niewidoczny. Potem uniósł jej nadgarstek i pocałował ją w rękę.

– Zapamiętaj, co ci powiedziałem.

Wstał i znów pokazał jej swój telefon.

– Zawsze będzie włączony. Zero pytań.

Spojrzał na nią ostatni raz, włożył ręce do kieszeni i odszedł. Gin patrzyła na jego elegancką sylwetkę skąpaną w pomarańczowym świetle latarni.

A potem zniknął z jej pola widzenia.

Gin została jeszcze chwilę na ławce, na której tak długo siedzieli. Wieczorne powietrze ochłodziło się na tyle, że poczuła na rękach gęsią skórkę.

A jednak wciąż nie potrafiła wrócić do domu.

Edward aż się zdziwił, jak miło się poczuł, wypowiadając te słowa pośrodku gwarnej restauracji. Prosty ciąg sylab, niespecjalnie wyszukane słowa, a jednak już samo przyznanie się do tych uczuć było dla niego czymś wielkim.

„Jestem w kimś zakochany”.

Zresztą właściwie wypowiedział już tę prawdę przy Sutton. Tam, w centrum biznesowym, gdy skończyli się kochać. Ale zrobił to tak cicho, że ona nie usłyszała.

W reakcji na jego słowa Shelby rozejrzała się po sali, zerkając na pozostałych gości, kelnerkę, pracowników za ladą i kucharzy widocznych na zapleczu.

– Czy to dlatego nie chciałeś ze mną...? No wiesz...

– Tak. – Pomyślał o nocach, które spędzili obok siebie w jego łóżku. – Ale był też inny powód.

– Jaki?

– Wiem, co przy mnie robisz. Pamiętam, jaki był twój ojciec. Czasem w życiu powtarzamy w kółko to samo, z nadzieją, że następnym razem lepiej nam to wyjdzie.

Do diabła, przecież to jego własna historia: jego, jego braci i ich ojca. Jeśli Edward miał być sam ze sobą brutalnie szczery, musiał przyznać, że zawsze chciał chronić braci przed ojcem, ale od początku było na to za późno. William Baldwine miał nad nimi zbyt wielką władzę – jednocześnie wciąż nieobecny w ich życiu i stale je kontrolujący.

Oraz poprzez zimną, wyrachowaną przemoc, bardziej przerażającą niż wybuchy wściekłości, wrzaski i rzucanie przedmiotami.

– Sam tak robiłem – ciągnął cicho Edward. – Właściwie wciąż to robię, więc właściwie niewiele się różnimy. Oboje staramy się służyć jakiejś sprawie, żeby kogoś ocalić.

Shelby nie odzywała się tak długo, że aż zaczął się zastanawiać, czy dziewczyna zaraz nie wstanie i nie wyjdzie z lokalu.

W końcu jednak zaczęła mówić.

– Zajmowałam się ojcem nie dlatego, że go kochałam, tylko dlatego, że gdyby się zapił na śmierć, to co by ze mną było? Matki nie miałam. Dokąd miałabym iść? Łatwiej żyć z ojcem pijakiem, niż w wieku dwunastu czy trzynastu lat wyłądownąć na bruku.

Edward aż się skrzywił, próbując sobie wyobrazić dziewczynkę, o którą nikt się nie troszczy i która desperacko próbuje pomóc zapijaczonemu dorosłemu, ponieważ tylko w ten sposób może zapewnić sobie samej przetrwanie.

– Przepraszam... – wybąkał.

– A niby za co? Przecież nie odpowiadasz za jego pijaństwo.

– Nie, ale odpowiadam za to, że bywałem przy tobie pijany. I stawiałem cię przez to w sytuacji, którą Bóg jeden wie jak dobrze znasz...

– Nie wymawiaj przy mnie...

– Przepraszam. Którą cholernie dobrze...

– ...imienia Pana Boga nadaremno.

– ...znasz.

Oboje zamilkli. A potem oboje się roześmiali.

Po chwili Shelby znów spowaźniała.

– Nie umiem inaczej postępować. Poza tym nie znoszę patrzeć na ludzkie cierpienie.

– Bo jesteś dobrym człowiekiem. Jesteś naprawdę, naprawdę dobrą osobą. Biiip mi świadkiem.

Shelby się uśmiechnęła.

– Sam się złapałeś – zauważyła.

– Pomału się uczę.

Przyniesiono zamówione przez nich jedzenie: kurczaka w koszyczkach wyłożonych czerwono-białymi serwetkami, z dodatkiem cieniutkich, gorących frytek. Kelnerka zaoferowała im też kolejne napoje.

– Umieram z głodu – zauważył Edward, gdy znów zostali sami.

– Ja też.

Zaczęli jeść w milczeniu, co było całkiem miłe. Edward zdał sobie sprawę, jak bardzo się cieszy, że jednak do niczego między nimi nie doszło.

– Mówiłeś jej? – spytała Shelby.

Edward otarł usta papierową serwetką.

– Co? A, to. Nie. Ona żyje zupełnie inaczej niż ja. Jest tam, gdzie ja też wcześniej byłem, ale gdzie już nigdy nie wrócę.

Zresztą z wielu powodów.

– Wydaje mi się, że jednak powinieneś jej powiedzieć – odezwała się Shelby między kolejnymi kęsami. – Gdybyś to we mnie się kochał... to chciałabym o tym wiedzieć.

Wypowiedziała te słowa lekko melancholijnym głosem, ale jej oczy ani się nie szklily w obliczu jakiejś niespełnionej fantazji, ani nie smuciły, jak po utracie czegoś cennego. Nie ciągnęła już tego wątku, a Edward przypomniał sobie, jak wcześniej mówiła, że akceptuje ludzi takich, jacy są, podobnie zresztą jak konie.

– Chcę, żebyś o czymś wiedziała – oznajmił Edward, waląc dłonią w dno butelki z keczupem nad swoją porcją frytek. – I chcę, żebyś coś zrobiła.

– Mogę sobie wybrać, co mi powiesz najpierw?

– Pewnie.

– Co chcesz, żebym zrobiła? Jeśli chodzi o Neba, umówiłam już weterynarza. Przyjedzie jutro po południu.

Edward się roześmiał.

– Czytasz mi w myślach. Ale nie, to nie to. – Znów wytarł usta serwetką. – Chcę, żebyś umówiła się z Joeyem.

Wbiła w niego przenikliwe spojrzenie, a on uniósł dłonie w bezbronnym geście.

– Na zwykłą kolację, nic szczególnego. Nie, wcale mnie o to nie prosił. Szczerze mówiąc, gdyby się o tym dowiedział, pewnie by zadbał o to, żebym już w ogóle nie dał rady chodzić o własnych siłach. Myślę jednak, że powinnaś temu biedakowi dać szansę. Strasznie mu się podobasz.

Shelby patrzyła na niego całkiem zdezorientowana.

– Naprawdę?

– Och, daj spokój. Niesamowicie sobie radzisz z końmi, a poza tym jesteś cholernie ładna. – Uniósł palec. – Nie wymówiłem imienia Pana Boga.

– Po prostu jakoś nie zwracałam na niego uwagi, tyle co przy robocie...

– No to powinnaś zacząć.

Odchyliła się w tył i pokręciła głową.

– Wiesz co, naprawdę nie mogę w to uwierzyć...

– Że mogłabyś się komuś podobać? I to komuś, kto nie będzie próbował cię wciągnąć do czarnej dziury własnej autodestrukcji?

– W to też. Ale przede wszystkim nigdy bym nie podejrzewała, że tak się otworzysz.

Wziął do ręki szklankę z colą i popatrzył z namysłem na gazowaną słodycz w płynie.

– Może trzeźwość działa na mnie tak, jak na innych ludzi alkohol. Rozwiązuje mi język.

– To takie...

– No jakie? Bądź ze mną szczerą.

– Naprawdę miłe – powiedziała łagodnie i odwróciła wzrok. – Bardzo fajne.

Edward nagle musiał odchrząknąć.

– Cuda się zdarzają.

– Nigdy też nie widziałam, żebyś tyle jadł.

– Rzeczywiście już dawno tak nie jadłem.

– Czyli nie smakuje ci moja kuchnia?

Roześmiał się i odepchnął resztkę swoich frytek. Czuł, że jeśli zje jeszcze jedną, to pęknie. Chociaż może jednak...

– Teraz mam ochotę na lody – zaproponował. – Chodź, idziemy.

– Nie dostaliśmy chyba jeszcze rachunku.

Edward przechylił się i wyjął z kieszeni zabrany z domu plik dolarów. Wydobył z niego dwa banknoty studolarowe.

– To powinno wystarczyć – powiedział.

Oczy Shelby mało nie wyszły z orbit, on zaś wstał i wyciągnął do niej rękę.

– No chodź. Jestem tak najedzony, że muszę zaraz zjeść lody.

– To przecież nie ma sensu.

– Och, ma – rzucił Edward, kuśtykając w stronę drzwi między stolikami. – Coś zimnego i słodkiego zapewnia spokój w żołądku. Tak zawsze mówiła Aurora, a ona ma zawsze rację. Aha, i bardzo mi smakuje twoja kuchnia, świetnie sobie radzisz.

Wyszli na zewnątrz. Przez chwilę znów napawał się wieczornym powietrzem. Miło było ten jeden raz poczuć w piersi specyficzną lekkość, jakby coś w nim śpiewało. U kogoś innego można by to wziąć za optymizm, u niego jednak była to raczej ulga.

– Ale te lody nie powinny być zbyt ciężkie – ciągnął swój wywód, wychodząc naprzód, żeby sprawdzić, czy ulicą coś nie jedzie. – Tylko lekkie smaki. Sama wanilia, ewentualnie z odrobiną wiórków czekoladowych, ale żadnych orzechów czy karmelu. Najlepsze są tradycyjne.

Ulica była pusta, ruszyli więc w stronę pikapa Shelby, która usiłowała iść ramię w ramię z kuśtykającym pomału Edwardem, specjalnie drobiąc małymi krokami, żeby go nie wyprzedzić.

– Proszę pana! Halo, proszę pana!

Edward odwrócił się, gdy już dotarli na drugą stronę ulicy. Obsługująca ich wcześniej kelnerka wypadła z lokalu, trzymając w ręku zostawione przez niego banknoty.

– Państwa rachunek to tylko dwadzieścia cztery dolary i parę centów! – krzyczała. – Zostawił pan zdecydowanie za dużo!

– Proszę zatrzymać resztę! – zawołał z uśmiechem. Zrobiła wielkie oczy i spojrzała na trzymane w ręku pieniądze, jakby nigdy w życiu nie widziała takiej kwoty. – Wyobrażam sobie, że jak się tak całą zmianę zasuwa, to plecy muszą boleć jak diabli. A co nieco wiem o bólu. Niech pani sobie zrobi wolne czy coś.

Spojrzała znów na niego i zmarszczyła brwi w namyśle.

– Zaraz, zaraz, czy pan nie jest przypadkiem...

– Jestem nikim. Po prostu nikim. – Pomachał jej na pożegnanie i odwrócił się w stronę samochodu. – Zwyczajnym klientem.

– No to... Bardzo panu dziękuję! – krzyknęła kelnerka. – To największy napiwek, jaki w życiu dostałam!

– Zasłużyła pani! – zawołał przez ramię Edward.

Obszedł maskę, otworzył drzwi od strony pasażera i pomógł Shelby wsiąść, choć wcale tego nie potrzebowała.

– To był z twojej strony bardzo miły gest – powiedziała.

– Bo to chyba najlepszy posiłek, jaki jadłem od czasu... Tylko się nie gniewaj.

– Nie gniewam się. – Położyła mu dłoń na ramieniu, zanim zdążył zamknąć drzwi. – Co chciałeś, żebym wiedziała?

Zanim Edward udzielił jej odpowiedzi, oparł się o karoserię, żeby zdjąć ciężar z kontuzjowanej kostki. – Zawsze będziesz miała pracę w stadninie Red & Black. Będziesz mogła tam mieszkać i pracować, jak długo zechcesz. A zresztą wydaje mi się, że mogłabyś ją nawet prowadzić razem z Moem, niezależnie od tego, czy umówisz się z jego synem, i czy ci się on spodoba.

Shelby odwróciła wzrok, jak to zwykle robiła, gdy wzbierały w niej uczucia. Edward patrzył na jej twarz i pomyślał, że chyba już wie, jak to jest mieć młodszą siostrę z prawdziwego zdarzenia.

Bo życie z siostrą taką jak Gin bardziej przypominało próbę okiełznania opętanej duszy.

Albo raczej tornada.

Choć bardzo ją kochał, nigdy nie był z nią szczególnie blisko. Nie miał zresztą pewności, czy Gin w ogóle z kimkolwiek potrafi być blisko.

A teraz poczuł, jak miło jest o kogoś się troszczyć, ale bez zaborczości. Jak miło jest zrobić czasem coś dobrego, posłać w świat coś innego niż tylko złość i złość.

Shelby nagle utkwiała w nim spojrzenie.

– Czemu mam wrażenie, że zaraz gdzieś znikniesz? – spytała ponuro.

Gin w końcu wróciła do Easterly, bo nie miała gdzie się podziać. Zostawiła rolls-royce'a w garażu, po czym ruszyła w stronę drzwi kuchennych i weszła do środka.

Tak jak zawsze wszystko było w idealnym porządku. W zlewie nie piętrzyły się brudne naczynia, zmywarka cicho pracowała, blaty lśniły czystością. W powietrzu unosił się specyficzny słodkawy zapach staroświeckiego mydła, którego używała Aurora.

Serce Gin mocno biło, gdy podchodziła do drzwi prowadzących do mieszkania Aurory. Uniosła zwiniętą dłoń, zawahała się chwilę, po czym zapukała.

– Wchodź, dziewczyno! – zawołał głos z drugiej strony. – Nie stój tam jak kołek!

Gin otworzyła drzwi i zwiesiła głowę, żeby nie było widać łez w kąciach jej oczu.

– Skąd wiedziałaś, że to ja? – spytała.

– Po perfumach. No i żem czekała na ciebie, tom widziała, jak parkujesz.

Mieszkanie Aurory wyglądało dokładnie tak jak zawsze. Przestrzeń przy wysokich oknach zajmowały dwa spore fotele, na półkach stały liczne zdjęcia dzieci i dorosłych, wąska kuchenka była tak samo idealnie wysprzątana jak ta duża, której Aurora używała w pracy.

Gin nigdy nie widziała jej sypialni ani łazienki. Nawet by jej zresztą do głowy nie przyszło, żeby zaglądać w takie miejsca.

W końcu podniosła wzrok na Aurorę, która siedziała w swoim ulubionym fotelu i wskazała jej drugi.

– Siadaj!

Gin podeszła do niego i posłusznie usiadła. Wygładziła spódnicę na kolanach i przypomniała sobie, że to samo robiła już w ogrodzie zadumy z Samuelem.

– Jest takie coś jak unieważnienie małżeństwa – odezwała się nagle Aurora.
– I musisz je zaraz sobie załatwić. Jestem chrześcijanką, ale powiem ci bez ogródek: za złego człowieka żeś wyszła. Ale tyś zawsze była w gorącej wodzie kąpana. Buntujesz się, nawet jak ci nikt nic złego nie robi. Tobie się zdaje, że wolność to brak kontroli, a nie dokonywanie właściwych wyborów.

Gin aż się roześmiała.

– Wiesz, jesteś dziś już drugą osobą, która tak mnie podsumowuje.

– Widocznie miłosierny Pan Bóg widzi, że trzeba ci pewne rzeczy powtarzać dwa razy.

Gin zastanawiała się nad swoją skłonnością do braku kontroli. Przypomniała sobie, jak któregoś wieczoru kłóciła się z Richardem w swojej sypialni i sięgnęła po tę porcelanową lampę.

– Mam ostatnio straszne huśtawki nastrojów – wyznała.

– A bo gruntu pod nogami nie czujesz. Nie wiesz, na czym stoisz, a od tego ma się tylko zawroty głowy.

Gin ukryła twarz w dłoniach i pokręciła głową.

– Nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam.

Wracając z seminarium, nie mogła się zdecydować, czy pozostać w nastroju trudnej emocjonalnie, ale jasnej i klarownej rozmowy z Samuelem, czy raczej poddać się wewnętrznemu pragnieniu powrotu do dawnych obsesji skłaniających ją do bardziej wyrachowanego stylu działania.

– Wszystko da się odkręcić – oświadczyła Aurora. – A prawdziwa rodzina cię nie opuści, nawet jak skończą się pieniądze.

Gin pomyślała o ogromnej rezydencji, w której się znajdowały.

– Nie potrafiłam być matką.

– Nie, nawet żeś nie spróbowała.

– Teraz już za późno.

– A jakbym ja powiedziała to samo, jak żem tu kiedyś trafiła i poznała waszą czwórkę, to gdzie byście dzisiaj byli?

Gin przypomniała sobie wszystkie wieczory, kiedy całą piątką jedli kolację w kuchni. Choć przez dom przewinał się tłum opiekunek (przeważnie szybko odchodziły, udręczone i zniechęcone), tylko Aurora potrafiła zapanować nad Gin i jej braćmi.

Gin przyglądała się fotografiom na półkach i znów zebrało jej się na płacz, gdy zobaczyła kilka przedstawiających ją samą. Wskazała zdjęcie, na którym miała włosy zebrane w kucyki.

– Tu wyjeżdżałam na obóz letni.

– Dziesięć lat miałaś.

– Straszne tam było jedzenie.

– Tak, wiem. Jakeś potem wróciła do domu, to przez miesiąc żem cię musiała dokarmiać, choć cię nie było ledwo dwa tygodnie.

– Tam to Amelia, prawda?

Aurora aż stęknęła, wychylając się z fotela.

– Która? Ta w różowym?

– Tak.

– Siedem i pół wtedy miała.

– Ona też zawsze mogła na ciebie liczyć.

– Ano tak. Dla mnie to prawie jak wnuczka, boś ty dla mnie prawie jak córka. A własnych przecież nie mam.

Gin otarła oczy.

– Cieszę się, że ma chociaż ciebie. Wyrzucili ją ze szkoły, wiesz?

– Ano mówiła.

– Tak się cieszę, że przychodzi z tobą porozmawiać...

– Ale wiesz, że ja tu nie będę wiecznie? – Gin podniosła wzrok na Aurorę,

która utkwiała w niej spojrzenie swoich ciemnych oczu. – Jak mnie zabraknie, sama musisz się zająć tym dzieckiem. Nikt inny tego za ciebie nie zrobi, a ona jedną nogą jeszcze w dzieciństwie, a drugą już w dorosłym świecie. To taki rozchwiany czas. Virginio Elizabeth, trzeba ci stanąć na wysokości zadania, bo inaczej przysięgam, że będę cię nękać z za grobu. Słyszysz, dziewczyno? Będę robić za twoje sumienie i nie dam ci spokoju.

Gin po raz pierwszy skupiła uwagę na samej Aurorze. Zauważyła, że jej otulone podomką ciało wychudło, twarz ma wymizerowaną, a oczy podkrążone.

– Ty nie możesz umrzeć – szepnęła bez zastanowienia. – Po prostu nie możesz.

Aurora się roześmiała.

– A to już sam Pan Bóg zdecyduje, nie ja ani ty.

Lane nie mógł opuścić centrum biznesowego, musiał bowiem poczekać, aż śledczy skończą kopiować pliki. Snuł się więc po biurach i na różne sposoby zabijał czas, aż w końcu wszedł do gabinetu ojca i zasiadł w jego fotelu.

I nagle go olśniło.

Obrócił się na skórzanym tronie i pokręcił głową, zastanawiając się, dlaczego wcześniej nie przyszło mu to do głowy.

Za biurkiem stały regały pełne typowych oprawionych w skórę książek oraz dyplomów w ramkach, a także różnych męskich trofeów zdobytych przez człowieka, który całe życie usiłował innym zaimponować majątkiem: pucharów żeglarskich, zdjęć koni, unikatowych butelek bourbona. Lane'a jednak interesowało coś innego – zauważył bowiem zabudowane, ręcznie wykonane szafki z drewna znajdujące się poniżej tej wystawy trofeów.

Pochylił się i próbował je otworzyć, ale wszystkie drzwiczki były zablokowane, choć nie widział żadnego miejsca, w które mógłby wetknąć kluczyk lub wprowadzić kod.

Nagle otworzyły się jedne z drzwi balkonowych prowadzących na taras i do gabinetu weszła Lizzie, niosąc w dłoniach dwie szklanki z mrożoną herbatą. Z kieszeni jej szortów wystawała paczka ciasteczek z nadzieniem figowym.

– Zgłodniałam – powiedziała. – Pomyślałam więc, że się z tobą podzielę tym dobrodziejstwem.

Przeszła koło biurka i pocałowała go w usta, on zaś posadził ją sobie na kolanach i pomógł jej wyciągnąć z kieszeni ciasteczka.

– Doskonały pomysł!

– Jak tam idzie? – spytała Lizzie.

– Nie mam pojęcia. Wciąż czekam, aż przyjdą i powiedzą, że skopiowali, co trzeba, więc sobie idą, ale wciąż to nie nastąpiło.

– Trochę już to trwa. – Lizzie rozerwała folię i podała ciasteczka Lane’owi. Pokręcił głową, sama więc wzięła jedno i włożyła sobie do ust. – Ale o nic więcej nie prosili?

– Nie. – Lane wziął łyk mrożonej herbaty i aż westchnął. – O tak... Tego mi było trzeba.

– Wiesz co?

– Słucham.

– Postanowiłam dać sobie awans. – Lane się roześmiał, a Lizzie pokiwała głową. – Mianowałam się kierowniczką gospodarstwa domowego.

Ledwo wypowiedziała te słowa, Lane pomyślał: Chwała Bogu! Bo rzeczywiście rachunki się piętrzyły, ktoś musi nadzorować pracowników, jak również sprawować pieczę nad tysiącem drobnych spraw związanych z utrzymaniem rezydencji, nawet przy wstrzymaniu większości wydatków. Ale...

– Zaczekaj, przecież i tak masz dużo obowiązków. Dbasz o ogród i...

– Chodzi o to, że pan Harris zrezygnował.

Lane pokręcił głową.

– Wiesz co, chyba się z tego cieszę.

– Tak, ja też. Pomogłam mu się dziś wyprowadzić. Nie chciałam ci zawracać tym głowy, ponieważ jego decyzja i tak była nieodwracalna, a tyle się wciąż działo. Bank nie zrealizował mu czeku z wypłatą, co kazało mi się zastanowić nad tym, co właściwie dzieje się z rachunkami domowymi. Rezydencja jest droga w utrzymaniu, na co składa się wiele różnych czynników. No bo musimy na przykład zapłacić wszystkim kelnerom, nie możemy z tym w nieskończoność zwlekać. Również każdy pracownik obsługi powinien regularnie dostawać wypłatę, ale nawet nie wiem dokładnie kiedy. A jeśli zabrakło funduszy dla pana Harrisa, to dla pozostałych też.

– Cholera, nawet o tym nie pomyślałem.

– Wiem, że chcesz wszystkich potraktować uczciwie. Musimy więc zadbać

o to, żeby na koncie domowym były środki. Musimy też podjąć decyzje co do liczby niezbędnego personelu. Jeśli postanowimy się kogoś pozbyć, musimy dać wymówienia. Nie możemy pozwolić, żeby ludziom, którzy pracują tu w dobrej wierze, stała się krzywda.

– Zgadzam się z tobą w stu procentach – powiedział Lane i znów ją pocałował.

– Ale jakoś to wszystko ogarnę. Wszystko przeanalizuję i dam ci znać, na czym stoimy. Nie wiem tylko, skąd wziąć gotówkę...

– Za to ja wiem. Zajmę się tym z samego rana, zanim przyjedzie Lenghe.

– Lenghe?

– Tak. Jutro gram z nim w pokera o wysoką stawkę. A zanim mi powiesz, że to szaleństwo, przypomnę ci tylko, że mój wybór możliwych rozwiązań jest ograniczony.

– Kto to jest ten... Jak mu tam?

– Lenghe, takie nazwisko, wymawia się z „i” na końcu. Nazywamy go królem zbóż, co powinno ci co nieco wyjaśnić. Na pewno go polubisz, to człowiek z twojej bajki. Kochający ziemię poczciwina. No i nie zapominaj, że przez całe studia grałem w pokera, a potem zresztą też. To moja jedyna umiejętność.

Lizzie zarzuciła mu ręce na szyję.

– Sądzę, że masz jeszcze parę innych.

– Nie przeszkadzam państwu?

Lane obrócił fotel w kierunku drzwi z myślą, że ten cholerny Merrimack wybrał wprost doskonały moment na wejście do gabinetu.

– Skończyli tam panowie?

Oczywiście, ten sam uśmiech.

– Już prawie. Miło mi znów panią widzieć.

Lizzie wstała z kolan Lane’a, ale pozostała u jego boku.

– Mnie również.

– Pomyślałem sobie, że może ucieszy państwa informacja, że zdejmujemy

pieczęć z gabinetu księgowej – oznajmił Merrimack z uśmiechem. – Mamy już wszystko, co nam potrzeba.

– To dobrze – powiedział Lane.

– Zastanawialiśmy się właśnie, kiedy to nastąpi – dodała cicho Lizzie.

– Naprawdę? No proszę, co za zbieg okoliczności. – Inspektor wyjął z kieszeni notes. – No dobrze, potrzebna mi lista osób mających dostęp do systemu bezpieczeństwa sieci komputerowej. Wie pan, gdzie mogę taką informację zdobyć?

– Pojęcia nie mam. – Lane wzruszył ramionami. – Mogę spytać informatyków w siedzibie głównej. Może oni wiedzą.

– A może pana brat Edward dysponuje taką informacją?

– Może.

– Proszę mi powiedzieć, czy on odgrywał jakąś rolę podczas instalacji systemu bezpieczeństwa?

– Nie wiem – skłamał Lane. – A dlaczego pan pyta?

– Nie wie pan?

– Do niedawna nie angażowałem się w sprawy domu i korporacji. Nie mogę więc panu powiedzieć nic konkretnego.

– W porządku. – Inspektor zamknął z trzaskiem notes. – W takim razie chyba po prostu zadzwonię do pańskiego brata.

– On nie ma komórki. Ale mogę mu przekazać, żeby się z panem skontaktował.

– Nie trzeba. Wiem, gdzie mieszka. – Inspektor rozejrzał się po gabinecie. – Muszę przyznać, że robi wrażenie.

– To prawda.

– Pewnie pan tęskni za ojcem.

Tylko idiota dałby się nabrać na te pozory sympatycznej rozmowy w stylu porucznika Columbo – pomyślał Lane.

– Och, oczywiście, wprost usycham z tęsknoty.

– Ojciec i syn. To szczególna więź.

– No tak.

Nastąpiła chwila ciszy. Lane nie zamierzał ciągnąć dalej wątku swojej relacji z ojcem. Merrimack znów się uśmiechnął.

– Słyszałem, że wasz brat Max wrócił do domu. A to niespodzianka! Kawał czasu go tu nie było, prawda?

– Tak.

– Ale on już od kilku dni przebywa w Charlemont. – Lane zmarszczył czoło z namysłem, a inspektor znacząco uniósł brew. – Nie wiedział pan? Naprawdę? No cóż, mam świadków, którzy twierdzą, że widzieli Maxa i Edwarda razem tego popołudnia, gdy zginął wasz ojciec. Wiedział pan, że się spotykali?

Lane poczuł, jak w gardle mu wzbiera przekleństwo, resztkami sił zachował je jednak dla siebie.

– Zdaje pan sobie chyba sprawę, że stawia mnie pan w niezręcznej sytuacji?

– Czyżby? Przecież to proste pytanie.

– Proszę się nie gniewać, inspektorze, ale prowadzi pan śledztwo w sprawie niewyjaśnionej śmierci, pana pytania wcale więc nie są takie proste.

– Są proste, jeśli się mówi prawdę i nie stara nikogo kryć. Czy pan kogoś kryje? A może sam pan coś ukrywa? Ponieważ mamy już sporo informacji i zaczynają się nam one łączyć w pełny obraz. Zachęcam więc pana, żeby był pan ze mną jak najbardziej szczerzy.

– Czy to znaczy, że jestem na liście podejrzanych?

– Gdyby pan na niej był, nasza rozmowa toczyłaby się w areszcie. A jednak na razie nas tam nie ma. – Uśmiech. – Jestem jednak ciekaw, czy wiedział pan, że pana bracia się spotykali.

Lane wziął głęboki oddech, próbując powstrzymać odruch każący mu zerwać się na równe nogi, pobiec do domku, w którym zatrzymał się Max, i tłuc go tak długo, aż mu wyjaśni, co tu się, do diabła, dzieje.

Inspektor znów się uśmiechnął.

– No dobrze, wydaje mi się jasne, że pan o tym nie wiedział. Świadcowie

mówią, że widzieli tylko ich dwóch. Zauważono ich na brzegu rzeki po stronie Indiany, poniżej wodospadów. Właściwie to całkiem blisko miejsca, gdzie potem znaleziono ciało pana ojca.

Lane też się uśmiechnął.

– Może poszli nad rzekę podziwiać widoki?

– A może rozmawiali o tym, co by się stało z ciałem człowieka zrzuconego z mostu Big Five? – Merrimack wzruszył ramionami. – Chociaż ma pan rację, może tylko podziwiali widoki.

– Gdzieś ty była?

Gdy Gin weszła do swojego apartamentu, wcale się nie zdziwiła, zastając w nim Richarda siedzącego w jednym z jej pokrytych białym jedwabiem foteli, z twarzą wykrzywioną wściekłością. Jego chude kończyny podrygiwały nerwowo, jak gdyby jej samotne wyjście wieczorem z domu stanowiło dla niego osobistą obrazę.

Jakby ktoś przebił mu opony, wysmarował gabinet sprayem albo spalił na jego oczach Biblię.

Gin zamknęła drzwi i czekała na przyływ adrenaliny, który zawsze czuła w jego obecności i który był jej paliwem bojowym. Przygotowała się na uderzenie wysokooktanowego szaleństwa, pozwalającego jej przetrwać tego rodzaju sytuacji. Czekala na cięte słowa, które nagle znikąd wpadały jej do głowy, i na przebiegły jędzowaty uśmiech wypływający jej wówczas na twarz.

Nic z tego jednak się nie zmaterializowało.

Poczuła za to, że całe jej ciało ugina się pod potwornym ciężarem, który tak ją przygniótł, że choć Richard zerwał się z fotela i ruszył po białym dywanie w jej stronę, nie mogła się ruszyć. Nie chodziło o to, że się go bała – przynajmniej nie sądziła, żeby o to chodziło. Jej ciało po prostu przeobraziło się w odrętwiałą bryłę... a jej świadomość dryfowała ponad tą nieruchomą skałą.

Gdzieś ponad swoim prawym ramieniem widziała, jak miotany furiją Richard łapie ją za ramię, potrząsa nią i rzuca ją na łóżko.

Unosząc się nad własnym ciałem, była świadkiem kolejnych zdarzeń, ale nie czuła i nie podejmowała żadnych działań. Z punktu gdzieś pod sufitem widziała nawet tył jego głowy, jego ramiona i nogi, gdy zdzierał z niej ubranie i nią szarpał.

Richard sapał i się pocił, leżąc na ciele Gin. Pięknie pościelone łóżko całkiem się skotłowało; kołdra pod nimi mocno się pofałdowała, delikatna egipska bawełna marszczyła się i gniotła.

Najintensywniej Gin przyglądała się własnej twarzy. Rysy wydały jej się całkiem ładne, lecz spojrzenie oczu było zupełnie puste; miały w sobie tyle życia i wewnętrznego światła co dwa kamienie brukowe. Gin podziwiała własne opanowanie. Tak leżeć i myśleć o Anglii czy czymś w tym rodzaju...

Samuel chyba wspominał o Piątej Alei...

Gdy Richard skończył, oklapł nieco i w końcu z niej zszedł. Ale ciało Gin dalej leżało nieruchomo. Richard coś jeszcze mówił, potem zaś odwrócił się na pięcie i wyszedł z podniesionym czołem jak dzieciak, któremu udało się obronić piaskownicę przed inwazją starszych kolegów, może więc teraz spokojnie się oddalić, bo w całej walce wcale nie chodziło o zabawę w piaskownicy, tylko o ustalenie stosunku sił decydującego o tym, kto ma do niej prawo.

Po chwili Gin-unosząca-się-pod-sufitem opadła i znalazła się obok Gin-leżącej-na-łóżku. Woląca jednak nie wracać tak od razu do ciała. W tym rozdzieleniu było jej jakoś lepiej, łatwiej...

Przeszło jej przez głowę, że chyba powinna się okryć. Gin-leżąca-na-łóżku sięgnęła więc po kołdrę i przykryła nią dolną część swojego ciała.

Leżąc tak bez ruchu, pomyślała, że może zasłużyła na wszystko, co ją teraz spotyka. Zawsze drwiła ze wszystkich dookoła, z rozmysłem łamała wszelkie istniejące zasady, była dla zabawy okrutna i bezwzględna, na każdym etapie swojej edukacji przewodziła grupie najbardziej złośliwych dziewcząt, a teraz, gdy na młodzieńcze czasy mogła już patrzeć tylko w lusterku wstecznym, stanęła na czele kręgu złośliwych bogatych dam.

Tak przynajmniej było do tej pory.

Z mizernej frekwencji na pożegnaniu jej ojca oraz faktu, że przestała do niej przychodzić Tammy, nasuwał się prosty wniosek: jej pozycja towarzyska wyraźnie się obniżyła.

Może więc to karma?

Może tak się właśnie dzieje, gdy człowiek posyła w świat złą energię? Może to fala tsunami wywołana jej agresją wobec innych teraz do niej wraca, żeby rozbić się o brzegi jej świata?

Chociaż... może po prostu wskutek własnych błędnych decyzji wyszła za drania i sadystycznego gwałciciela? Ofiar przecież nie należy za nic winić. Może to ona powinna mieć teraz oczy szeroko otwarte i wykazać się odwagą, żeby to raz na zawsze skończyć, zanim on ją zabije?

Bo najwyraźniej w tę właśnie stronę zmierzali. Widziała jego oczy, w których błyszczała ekscytacja godna myśliwego. Z czasem przestanie mu wystarczać obecny poziom przemocy. Będzie chciał coraz więcej, ponieważ kręca go zadawanie bólu i dominacja – ale tylko wówczas, gdy spowija je aura nowości, dzięki której ma poczucie, że coś się dzieje.

Już dawno lepsi od niego pokazali mu, jak prześladować innych. Teraz zaś podniecało go wchodzenie w ich rolę.

Może powinna zabić go pierwsza?

To była jej ostatnia myśl, zanim sen zmorzył jej ciało i duszę, otulając myśli huczące w jej głowie powłoką nieświadomości. Tak, może jedyne wyjście jest takie, żeby się go po prostu pozbyć?

I to wcale nie poprzez unieważnienie małżeństwa...

Następnego ranka Lane zostawił Lizzie śpiącą w jego wielkim łóżu, wziął szybki prysznic i się ubrał. Przed wyjściem patrzył przez chwilę na jej uśpione ciało i myślał, jakie to szczęście, że wybrał właściwą kobietę.

Potem zaś ruszył w drogę. Przemierzył korytarz, zszedł schodami na dół i opuścił rezydencję głównym wyjściem.

Przekręcił kluczyk, a jego porsche ożyło. Popędził w dół wzgórza, skręcił w lewo i pojechał na stację Shell. Po wypiciu tam dużej kawy i zjedzeniu kanapki ruszył w stronę miejscowego oddziału swojego banku. Po drodze wymijał rowerzystów, włókł się przez chwilę za szkolnym autobusem, zaklął siarczyście, gdy nagle drogę zajechał mu minivan pełen dzieciaków, który mało go nie skasował.

Chociaż może to była jego wina? Nie spał najlepiej tej nocy, a kofeina nie zaczęła jeszcze porządnie działać.

Co, u diabła, jego bracia mogli robić na brzegu rzeki? I dlaczego nic o tym nie wspominali?

To chyba oczywiste: bo mieli coś do ukrycia.

Gdy inspektor Merrimack oraz Pete komputerowiec w końcu opuścili centrum biznesowe, Lane w pierwszym odruchu chciał od razu jechać do stadniny Red & Black, nie był jednak pewien, czy policjanci sami tam się nie skierowali. W końcu przecież Edward rzadko kiedy odbierał telefon, a ci dwaj byli skupieni na tropieniu wszelkich śladów możliwej zbrodni jak psy myśliwskie, kiedy poczują zwierzynę.

A na pewno nie chciał na oczach tych funkcjonariuszy przypierać braci do muru, choć generalnie miał zamiar ostro ich obu przemałować.

W końcu więc został razem z Lizzie w Easterly i znów kochał się z nią

w domku przy basenie, a potem jeszcze w wannie na górze, no i w łóżku.

Doskonały sposób na rozładowanie napięcia, choć niemający wpływu na rozwój sytuacji.

Lane wjechał na parking przed bankiem i znalazł wolne miejsce. Jak sobie po chwili uświadomił, dokładnie to samo co w dniu, w którym zorientował się, że jego rodzina ma kłopoty finansowe.

W pierwszym odruchu chciał wycofać i zaparkować gdzieś indziej.

Uznał jednak, że czarowanie rzeczywistości niewiele mu pomoże, więc po prostu wysiadł. Nie opuszczał dachu, choć niebo było ciężkie od chmur wezbranych nadchodzącym deszczem, a prognoza pogody zapowiadała możliwe tornado. Tak to już jest w stanie Kentucky: nie ma czegoś takiego jak pogoda odpowiadająca porze roku. Nawet jeśli rano wyjdiesz z domu w szortach i koszulce, w południe mogą ci być potrzebne kalosze i kurtka przeciwdeszczowa, a wieczorem nie obędziesz się bez puchówki i śniegowców.

Odezwała się jego komórka. Wyjął ją z kieszeni lnianej marynarki, tej samej, którą nosił dzień wcześniej. Kiedy zobaczył, kto dzwoni, miał ochotę zaczekać, aż włączy się poczta głosowa.

W końcu jednak zaklął i odebrał.

– Będę miał te pieniądze – rzucił do słuchawki.

Choć wciąż jeszcze nie miał pojęcia, jak je zdobędzie. Dziesięć milionów dolarów, które dostał od Sutton, miało mu wprawdzie zapewnić kilka dni spokoju, ale jakoś te dni nie wiadomo gdzie zniknęły. Tymczasem Ricardo Monteverdi znów jęczał, że nie ma czasu i czeka na spłatę długu. Cedził znów jakieś groźby, sugerując, że jeśli Lane nie uratuje mu tyłka, to on zniszczy jego rodzinę czy coś w tym stylu. Lane znów popatrzył na niebo.

Samolot Lenghego miał wylądować za czterdzieści pięć minut – a jeśli nie zdąży, wszystko może się opóźnić o wiele, wiele godzin.

– Muszę już iść – rzucił do słuchawki Lane. – Odezwę się.

Rozłączył się, przepuścił sunący parkingiem SUV, po czym ruszył w stronę podwójnych drzwi. Miejscowy oddział banku PNC mieścił się w typowym

parterowym budynku o przeszklonej frontowej elewacji. Kiedy Lane wszedł do środka, wyszła mu na spotkanie ta sama blondynka co poprzednio.

– Miło pana znów widzieć.

– Możemy chwilę porozmawiać? – spytał z uśmiechem, uściskawszy jej dłoń.

– Oczywiście, zapraszam.

Wszedł do jej gabinetu i usiadł w fotelu dla klientów.

– A więc mój ojciec nie żyje.

– Tak, wiem – powiedziała, zajmując miejsce po drugiej stronie biurka. – Tak mi przykro.

– I nie będę się bawił w porządkowanie... A, dziękuję, dziękuję. Tak więc nie będę się bawił w porządkowanie upoważnień do korzystania z domowego konta. Chcę otworzyć nowe i jak najszybciej przelać na nie trzysta tysięcy dolarów. Trzeba też natychmiast przenieść na nie automatyczne przelewy wynagrodzeń dla wszystkich pracowników Easterly. Potrzebna mi również lista wszystkich osób, których wypłaty nie zostały zrealizowane z powodu braku środków na starym koncie. Powstało wielkie zamieszanie, ale chcę dziś to wszystko uporządkować, nawet jeśli środki na koncie będą aktywne dopiero w poniedziałek.

Dziś rano Lizzie razem z Gretą miała się zabrać do listy pracowników. Jak dobrze pójdzie, zdołają wszystko uporządkować i jak najszybciej usunąć z listy płac osoby, które da się zwolnić. Im szybciej ograniczą liczbę pracowników, tym mniej kosztów będzie generować utrzymanie rezydencji.

– Oczywiście, proszę pana. – Pracownica banku zaczęła stukać w klawiaturę. – Potrzebne mi będą pana dowód tożsamości oraz informacja, skąd mają wpłynąć środki.

W głowie Lane'a nagle rozległ się głos Jeffa: „Postanowiłem zainwestować w tę twoją wytwórnię bourbona”.

Do diabła, skoro jego kumpel mógł mu wypisać czek, to on sam mógł przecież zrobić to samo. Mógł jeszcze co nieco wyciągnąć ze swojego funduszu powierniczego, potem jednak musiałby już zacząć sprzedawać akcje.

Najważniejsze, żeby matka mogła nadal mieszkać w Easterly, żeby okrojony do niezbędnego minimum personel otrzymywał wypłaty, żeby w spiżarni nie brakowało jedzenia oraz żeby starczało na rachunki za prąd i wodę. Aha, no i trzeba spłacać pożyczkę zaciągniętą u Sutton.

A poza tym? Wszystko inne było nieważne, dopóki w tych podstawowych sprawach nie panował porządek.

Podał kobiecie swoje prawo jazdy oraz numer konta w JPMorgan Chase.

– Doskonale. – Uśmiechnęła się. – Od razu się tym zajmę.

Jakieś dwadzieścia minut później Lane wyszedł z banku. Podpisał wszystko, co mu kazano, zlecił przelew i zadzwonił do Lizzie, żeby jej przekazać, co załatwił. Teraz należało zrobić jeszcze porządek ze zleceniami stałymi, Lizzie miała więc wkrótce dać znać pracownicy banku, kto z personelu zostaje, a kto odchodzi.

Lane szedł już parkingiem, kiedy nagle zatrzymał się w pół kroku.

Przy jego samochodzie, trzymając kierownicę roweru górskiego, stał młody chłopak o wyrazie twarzy człowieka znacznie starszego. Był to... syn pani Rosalindy.

Lizzie zakończyła rozmowę z Lane'em i usiadła w pierwszym fotelu w gabinecie księgowej, jaki jej się napatoczył. Dopiero gdy położyła dłonie na jego oparciach i odchyliła się w tył, zdała sobie sprawę, że to fotel, w którym... znaleziono ciało pani Rosalindy.

Zerwała się na równe nogi i otrzepała z tyłu spodnie, choć z fotela zdjęto pokrowiec i wyczyszczono poduszki.

– To jak ci się wydaje? – spytała.

Greta podniosła wzrok znad laptopa stojącego na dawnym biurku pani Rosalindy. Znajdowały się na nim – podobnie jak w całym gabinecie o wystroju równie jasnym i wesołym jak krecia nora – wyłącznie niezbędne elementy: lampa, przybornik pełen identycznych niebieskich długopisów BIC, przegródka na dokumenty oraz podkładka do pisania.

Po śmierci pani Rosalindy nie trzeba było stąd wynosić żadnych jej rzeczy

osobistych – i to wcale nie dlatego, że je wcześniej zabrała.

– Bardzo skrupulatnie wszystko zapisywała, *ja, ja*. – Przez okrągłe szkła okularów do czytania przezierało baczne, skupione spojrzenie jasnoblękitnych oczu Niemki. – Chodź, sama zobacz. Wszystko tu jest.

Lizzie podeszła i spojrzała koleżance przez ramię. Na ekranie laptopa wyświetlała się tabela zawierająca nazwiska, dane kontaktowe, stawki godzinowe i premie należne poszczególnym pracownikom. Przesuwając kursor w lewo, można było prześledzić całą historię płatności z ostatnich pięciu lat, miesiąc po miesiącu.

– *Sehr gut*. Świetnie. – Greta zdjęła okulary i odchyliła się w tył. – To ja czytam kolejne nazwiska, a ty mi powiesz, co z tymi ludźmi robić.

– Ile mamy osób na liście?

Greta dotknęła myszki i zaczęła przewijać ekran. Przewijała, przewijała... I dalej przewijała. I jeszcze trochę.

– Siedemdziesiąt trzy. *Nein*, siedemdziesiąt dwie.

– O rany. No dobra, to lecimy, po kolei. – Lizzie wzięła do jednej ręki biały bloczek z wytłoczonym na górze napisem „Easterly”, a do drugiej długopis. – Będę robić notatki.

Greta uniosła dłoń.

– Ja ustępuję. Znaczy jeśli chodzi o pobieranie pensji. Zaczynij od mojego nazwiska.

– Greta, posłuchaj...

– *Nein, nein*. Jack i ja nie potrzebujemy pieniędzy. Dzieci już wyszły z domu i są na swoim utrzymaniu. Brałam pensję, bo należała mi się za pracę. No i nadal się należy, ale w obecnej sytuacji... – Greta wskazała na ekran. – Oni bardziej tych pieniędzy potrzebują, *nicht wahr*? Ale nadal będę pracować, bo co miałabym robić?

Lizzie wzięła głęboki oddech. Ponieważ sama spłaciła już swoją farmę, też podjęła decyzję, że na razie nie będzie pobierać pensji – ale jej sytuacja była nieco inna, bo przecież poniekąd należała teraz do rodziny.

– Zapłacimy ci te zaległe pensje, jak tylko będziemy mogli – powiedziała.

– *Gut*. Jeśli to ci poprawi humor...

Lizzie wyciągnęła rękę, żeby uścisnąć dłoń koleżance.

– Tylko na takich warunkach mogę się zgodzić.

Greta podała jej dłoń, a na jej palcu błysnął ogromny diament. Lizzie pokręciła głową. Greta była chyba jedyną ogrodniczką w całym kraju, która zamożnością niemal dorównywała swoim pracodawcom. Tyle że organicznie była niezdolna do bezczynności.

A poza tym stanowiła dla Lizzie główne źródło wsparcia psychicznego, jeśli nie liczyć Lane’a.

– Nie wiem, ile to potrwa – dodała Lizzie, gdy uścisnęły sobie dłonie. – Może się zdarzyć...

– Gdzie kamerdyner?

Słyszając aż nazbyt dobrze znajomy kobiecy głos, Lizzie spojrzała w stronę drzwi.

A w jej głowie natychmiast zagrzmiała seria przekleństw. W progu gabinetu stała bowiem była żona Lane’a. No, prawie była. W pozie prawowitej dziedziczki całej posiadłości.

Chantal Baldwine wciąż wyglądała tak samo jak w dniu, w którym Lane wyrzucił ją z domu. Te same gustowne blond pasemka, dyskretna opalenizna i perfekcyjny skromny manicure oraz styl garderoby charakterystyczny dla „młodych, bogatych i uprzywilejowanych”.

Dziś miała na sobie brzoskwiowo-różową sukienkę, zwiewną jak letni wietrzyk i idealnie dopasowaną do figury – czyli delikatnie opinającą wydatny brzusek ciężarnej.

– Czy mogę w czymś pomóc? – spytała Lizzie opanowanym głosem. Jednocześnie oparła dłoń na ramieniu Grety i lekko je przycisnęła, jej koleżanka zaczęła już bowiem podnosić się z krzesła i trudno było określić, czy zamierza zostawić je same, żeby mogły porozmawiać bez świadków, czy raczej przymierza się do zadania Chantal silnego ciosu w szczękę, tak dla zasady.

– Gdzie jest Lane? – warknęła Chantal. – Dzwoniłam do niego dwa razy.

Moja prawniczka już wielokrotnie prosiła go o zapewnienie mi dostępu do moich rzeczy osobistych, on jednak w ogóle nie odpowiada. Przyjechałam więc, żeby je zabrać.

Lizzie rzuciła Grecie spojrzenie znaczące „nie ruszaj się z miejsca” i podeszła do Chantal.

– Chętnie panią zaprowadzę na górę, ale nie mogę pozwolić, aby przebywała pani na terenie rezydencji bez asysty.

– Ach, więc teraz robisz też za ochronę? Ależ ty masz tu pracy! Tak przy okazji, słyszałam, że nikt się nie zjawił na pożegnaniu pana Baldwine’a. Przykra sprawa.

Lizzie wyminęła ją i szła dalej przed siebie. Chantal nie pozostało nic innego, jak ruszyć za nią.

– Ma pani ze sobą jakąś ekipę? Skrzynie? Ciężarówkę?

Chantal zatrzymała się pośrodku korytarza dla personelu.

– O czym ty w ogóle mówisz?!

– Mówiła pani, że przyjechała po swoje rzeczy. Jak pani zamierza je stąd zabrać?

Ahaaa. Chantal zrobiła minę pierwszoklasistki próbującej rozwiązać zaawansowane zadanie z fizyki.

– Zajmie się tym pan Harris – odpowiedziała w końcu.

– Niestety nie ma go. Jaki więc ma pani plan?

Na śliczną buzię Chantal wróciła mina zdradzająca, że w jej wewnętrznym kalkulatorze wyczerpały się baterie. Lizzie chętnie dałaby jej tu postać przez jakieś dwanaście godzin i nacieszyłaby oczy widokiem jej zawieszonoego systemu. Miała jednak zbyt wiele spraw na głowie, a w obecności tej kobiety nie czuła się komfortowo.

– Jakim samochodem pani przyjechała? – spytała Lizzie.

– Limuzyną – odparła Chantal takim tonem, jakby inna odpowiedź była nie do pomyslenia.

– Greta? – zawołała Lizzie. – Mogłabyś nam przynieść kilka...

Jej koleżanka wyszła z gabinetu księgowej i ruszyła w stronę schodów do piwnicy.

– ...plastikowych pojemników? *Ja, ja!* Już idę!

Najwyraźniej słuchała ich rozmowy i aż przebierała nogami, żeby szybko znaleźć rozwiązanie problemu. Dobrze, że nie poszła w tym celu po strzelbę.

– Chodźmy – rzuciła Lizzie. – Pójdę z panią na górę. Jakoś sobie poradzimy.

Udało jej się już pomóc w wyprowadzce jednemu zarozumialcowi w postaci pana Harrisa. Jak tak dalej pójdzie, dopisze sobie tę umiejętność do CV.

– Randolph... – Lane podszedł do samochodu i stojącego obok chłopaka, który był jego przyrodnim bratem. – Co słyszeć?

– Właściwie to używam imienia Damion. – Syn pani Rosalindy poprawił na sobie kurtkę, która na jego szczupłym ciele dość luźno zwisała, zwłaszcza że była rozpięta. – I wcale nie jechałem za pana samochodem. To znaczy nie śledziłem pana. Po prostu jechałem do szkoły.

– Do której chodzisz? – spytał Lane, chociaż strój chłopaka, składający się ze spodni w kolorze khaki, białej koszuli i niebiesko-zielonego krawata, mówił sam za siebie.

– Charlemont Country Day.

Lane zmarszczył brwi.

– Ale to przecież chyba nie w tę stronę?

Chłopak odwrócił wzrok, a potem znów spojrzał na Lane'a.

– Wybrałem dłuższą drogę, bo chciałem... Znaczy chciałbym... zobaczyć, jak tam jest. No wie pan, w tym domu, gdzie on... mieszka. Znaczy mieszkał.

– To całkiem zrozumiałe.

Damion wbił wzrok w chodnik.

– Myślałem, że będzie pan na mnie zły czy coś...

– Ale dlaczego? Przecież niczemu nie jesteś winien. Nie prosiłeś się o to, co cię spotkało, a ja nie zamierzam źle cię traktować tylko dlatego, że nie

aprobuję wielu rzeczy, które robił mój ojciec.

– Babcia mi mówiła, że na pewno wszyscy mnie nienawidzicie.

– Nie znam twojej babci i nie chciałbym jej obrazić, ale wcale tak nie jest. To co ci wcześniej mówiłem, było szczere. Możesz do nas przyjechać, kiedy tylko chcesz. Zresztą zabrałbym cię tam już teraz, ale muszę jechać po kogoś na lotnisko.

Damion uniósł wzrok na majaczące w oddali wzgórze Easterly. Lane pomyślał, że owszem, póki jego matka żyje i rezyduje w Easterly, wprowadzenie tam tego dzieciaka nie będzie łatwe. Ale przecież ona już nie rozpoznaje nawet własnych dzieci i praktycznie nie opuszcza swojej sypialni.

– I tak jestem już spóźniony na szkolną imprezę.

Nastąpiła niezręczna chwila milczenia, którą w końcu przerwał Lane.

– Będziemy urządzać pogrzeb. Miał się odbyć dzisiaj, ale przełożyliśmy go ze względu na pogodę i parę innych spraw. Jak mogę się z tobą skontaktować? Poinformuję cię, gdy już coś będę wiedział. Możesz też zabrać babcię. Jeśli zechcesz.

– Nie mam telefonu. No i sam nie wiem. Chyba nie mam ochoty się tam pokazywać. To byłoby zbyt dziwne. Mało go widywałem. Właściwie wcale nas nie odwiedzał. Sam pan wie.

No i proszę. Kolejny udręczony syn, któremu ojciec załatwił życie pełne bólu.

Lane zaklął w duchu.

– Przykro mi. To był... dość trudny człowiek.

Czyli kawał drania.

– Ale może później bym tam zajrzał?

– To zrobmy tak. – Lane pochylił się i wyjął z samochodu opakowanie po kanapce. – Masz coś do pisania?

– Tak. – Chłopak zdjął plecak i wyjął z niego szkolny ołówek. – Proszę.

Lane zapisał mu swój numer.

– Zadzwon do mnie, jak poczujesz się gotów. A ja ci wtedy dokładnie

wytłumaczę, gdzie jest pochowany. Daj mi też znać, jak będziesz chciał wpaść do nas do domu.

Easterly stanowiło wprawdzie dziedzictwo matki, ale w końcu William Baldwine mieszkał tam przez kilka dekad. Lane pomyślał, że na miejscu tego dzieciaka, który praktycznie w ogóle nie znał swojego ojca, chciałby zobaczyć, gdzie ten człowiek mieszkał i pracował, nawet jeśli odszedł już z tego świata.

– No dobrze – powiedział Damion, patrząc na zapisany skrawek papieru, a potem schował go do plecaka. – I przepraszam.

Lane znów zmarszczył brwi.

– Ale za co?

– Sam nie wiem. Chyba za to, że... No bo pan też ma mamę. A ona... Znaczą on...

– Dam ci dobrą radę – przerwał mu Lane, ściskając jego ramię. – Nie próbuj brać na siebie odpowiedzialności za problemy, których sam nie wywołałeś. Na dłuższą metę to nie popłaca.

Damion pokiwał głową.

– Zadzwoń.

– Koniecznie – powiedział Lane.

Patrzył, jak chłopak wsiada na rower i odjeżdża. Z jakiegoś powodu, gdy zauważył, że nie ma on kasku na głowie, chciał go zawołać i odwieźć bezpiecznie do szkoły.

Uznał jednak, że powinien sam się zastosować do własnych rad. Damionem opiekowała się babcia, a ponadto, jeśli wszystko pójdzie jak należy, miał otrzymać w spadku dziesięć milionów dolarów. Tymczasem Lane był już obarczony tyloma problemami, że brakowało mu mocy przerobowych, żeby sobie jeszcze cokolwiek dokładać.

Usiadł za kierownicą, uruchomił silnik i ruszył na Dorn Avenue. Zmierzał na lotnisko bocznymi drogami, żeby nie pchać się w korki na autostradzie. Gdy w końcu przejechał przez bramę wiodącą na lądowisko dla prywatnych odrzutowców, John Lenghe właśnie wysiadał z samolotu. Wyglądał

odjazdowo – tym razem miał na sobie szorty do golfa z tkaniny ozdobionej nadrukiem przedstawiającym żdźbła trawy – jaskrawozielone na czarnym tle. Tak z tysiąc tych żdziebełek.

Na taki strój mógł sobie pozwolić tylko ktoś z jego stanem konta.

John Lenghe pomachał mu wolną ręką. W drugiej trzymał zniszczoną starą walizkę.

– Pomyślałem sobie, że kto wie, czy tu nie utknę – powiedział, podchodząc do samochodu i wskazując swój bagaż. – Przy takiej pogodzie lepiej spakować szczoteczkę do zębów.

– Mamy mnóstwo wolnych pokoi. A moja mamunia gotuje najlepiej na świecie. Lubisz tradycyjną kuchnię z Południa?

Lenghe położył walizkę na miniaturowym tylnym siedzeniu kabrioletu Lane'a.

– A czy Jezus jest moim Panem i Zbawcą? – spytał retorycznie.

– Podoba mi się twój styl – zauważył Lane.

John Lenghe wsiadł do samochodu i spojrzał na lnianą marynarkę i wyprasowane spodnie Lane'a.

– Mówisz to z pełnym przekonaniem, synku?

Lane wrzucił bieg i nacisnął pedał gazu.

– Nie mówię, że mógłbym się tak ubierać. Ale na tobie fajnie to wygląda.

– Masz niezłą gadkę, wiesz? – Lenghe mrugnął porozumiewawczo. – Wypałeś się? Masz ochotę na partyjkę pokera?

– Zawsze, staruszk. Zawsze.

Lenghe zarechotał. Przez resztę drogi do Easterly rozmowa szła im zadziwiająco lekko. Gdy czekali u stóp wzgórza na otwarcie bramy, Lenghe aż się wychylił do przodu, żeby przyjrzeć się majaczącej w oddali białej bryle rezydencji.

– Dokładnie jak na etykietkach – powiedział, kręcąc głową. – Muszę przyznać, że macie rozmach.

Mieliśmy – pomyślał cierpko Lane. I znów mieć będziemy, jeśli uda nam się

tego wszystkiego nie stracić.

Gdy ruszyli pod górę, akurat zaczęło padać. Lane jednak całkiem zapomniał o pogodzie, gdy zobaczył przed głównym wejściem długą czarną limuzynę.

– Kogo tu diabli przynieśli? – nie krył zdziwienia.

Kiedy John Lenghe już wysiadł i zabrał z samochodu walizkę, Lane rozłożył dach kabrioletu i podszedł do limuzyny.

Szofer odziany w uniform opuścił okno. Lane go nie rozpoznał.

– W czym mogę panu pomóc? – spytał.

– Dzień dobry. Przywiozłem panią Chantal Baldwine. Przyjechała po swoje rzeczy.

Noż kurwa mać...

– Nie, nie będę niczego zawijała w bibułkę.

Otwierając kolejne szuflady pełne ubrań, Lizzie mówiła sobie w duchu: Nie tylko nie mam zamiaru zawijać twoich fatalaszków w żadną pieprzoną bibułkę, ale też chętnie otworzyłabym po prostu okno i zaczęła rzucać tymi twoimi ciuszkami w dach twojej limuzyny, ciesz się, że tego nie robię.

– Ale przecież mogą się pognieść...

Lizzie spojrzała na Chantal.

– Nie ma pani przypadkiem większych problemów? A teraz proszę tu podejść i mi pomóc. Nie będę wszystkiego robiła sama.

Chantal, stojąca nad pięcioma plastikowymi pojemnikami przyniesionymi do garderoby przez Gretę, wyglądała na zszokowaną.

– Ale zwykle nie zajmuję się takimi sprawami...

– Nie może być.

Lizzie chwyciła jeden z pojemników i zaczęła po kolei wrzucać do niego poskładane rzeczy: spodnie, dzinsy, stroje do jogi... Potem otworzyła następną szufladę, z bielizną. Rany, przypomniała sobie, że wcześniej już do niej zaglądała, gdy się tu zakradła, żeby poszukać wśród rzeczy Chantal czegoś pasującego do majteczek znalezionych pod łóżkiem Williama Baldwine'a.

Dyskretnie spojrzała w stronę toaletki.

Pęknięte lustro oczyszczono z krwi, ale rysa nadal na nim pozostała.

Mogła sobie wyobrazić kłótnię, która się tu odbyła między Chantal a Williamem Baldwine'em. Ale to w sumie nie jej sprawa. Jej sprawą było to, żeby ta kobieta jak najszybciej znalazła się jak najdalej od Lane'a i Easterly.

Uznała, że jej obecne zajęcie przypomina pielenie ogródka. Pożyteczne

roślinki zostawiamy, chwasty usuwamy.

– Proszę się zająć rzeczami na wieszakach – zakomenderowała. – Bo inaczej ściągnę je wszystkie jednym ruchem.

Groźba podziałała. Wypielęgnowane dłonie Chantal otworzyły przeszkloną szafę i zaczęły kolejno wyjmować z niej ubrania. Przynajmniej udało jej się ułożyć stosik w sam raz do wyniesienia.

Lizzie zapełniała właśnie trzeci pojemnik, gdy w drzwiach garderoby stanął Lane.

Chantal odwróciła się, spojrzała na niego i... położyła sobie dłoń na podbrzuszu.

Tak, tak, wszyscy wiemy, że jesteś w ciąży, skarbie – pomyślała Lizzie. Jak moglibyśmy o tym zapomnieć?

– To moje rzeczy – powiedziała Chantal z naciskiem. – I zamierzam je stąd zabrać.

No po prostu pieprzona primadonna.

No dobra, ktoś tu powinien chyba trochę wyluzować – pomyślała Lizzie, nie mając wcale na myśli miss świata, która ich odwiedziła.

Po co się tak wyzłośliwiać? Nic to nikomu nie pomoże, a i tak w tym domu nie brakuje rozmaitych animozji.

– Tak jest – oświadczył Lane, wchodząc do środka. – Faktycznie powinnaś to wszystko zabrać z mojego domu.

Podszedł do jednej z przeszklonych szaf, otworzył drzwi i zanurzył górną część ciała między wieszaki, a potem wyłonił się, niosąc w ramionach całe naręcze wielobarwnych, drogich sukni z jedwabiu, tafty i organzy.

– John! – zawołał donośnie. – Potrzebna nam tu jeszcze jedna para rąk!

– Co ty wyprawiasz? – Chantal doskoczyła do Lane’a. – Co ty...

Do garderoby wszedł mocno zbudowany mężczyzna ubrany w... najbardziej niezwykle golfowe szorty na świecie. Kto by pomyślał, że można szyć ubrania... z trawy?

– Czołem wszystkim! – odezwał się z szerokim uśmiechem, mówiąc

z monotonnym akcentem ze Środkowego Zachodu. – W czym mogę pomóc?

– Weź trochę tych ubrań i zanieś na dół do limuzyny.

– Nie ma sprawy, synku!

– Nie wolno ci! Nie możesz! Nie mogę...

– Aha, a to moja narzeczona Lizzie – dodał Lane, uśmiechając się do swojej wybranki. – Chyba nie miałyście okazji się poznać.

– Narzeczona? – Chantal aż tupnęła szpilką. – Narzeczona?!

Gdy kolejny raz ze złością stuknęła obcasem w podłogę, Lizzie pomyślała: O rany. Zawsze sądziła, że takie zachowania są zarezerwowane dla bohaterek serialu *Przyjaciele*.

– To mój kumpel John – powiedział Lane do Lizzie. – Pamiętasz, mówiłem ci. Król zbóż.

– Dzień dobry! – Lizzie pomachała do niego przyjaźnie. – Dzięki za pomoc!

– Ja jestem, proszę pani, rolnikiem. Nie boję się pracy.

John spojrział na Chantal, która wciąż piorunowała go wzrokiem, po czym wyminął ją, otworzył kolejną szafę i wyjął z niej ze dwadzieścia sukni balowych.

Wyglądał, jakby obejmował tęczę.

Gdy Lane i John wyszli z naręczami ubrań z garderoby, Chantal ruszyła za nimi, potykając się o gubione przez nich wyściełane wieszaki, które znaczyły szlak, spadając na podłogę niczym okruszki w baśni o Jasiu i Małgosi.

Lizzie uśmiechnęła się pod nosem i wróciła do pakowania.

Ależ to miłe uczucie tak oczyszczać dom.

Z korytarza przed sypialnią Gin dochodziły odgłosy sporego zamieszania.

Ona jednak nie zwracała na to uwagi, zajęta szukaniem swojej komórki. Ostatni raz używała jej... Och, ci piloci! Korzystała z niej w kokpicie samolotu Richarda. Czyżby tam ją zgubiła?

Nie było jej na szafce przy łóżku, pod łóżkiem ani na zdobnej komódce.

Ani w torebce.

Nie do końca świadoma narastającej paniki, Gin weszła do garderoby. Cały bałagan wytworzony przez nią wcześniej wokół toaletki został już uprzątnięty – przez chwilę zastanawiała się nawet, jak to mogło przebiegać. Stolik obsypany pudrem i pokryty smugami kredek do powiek, porozrzucone dookoła szminki i tusze... Marls musiała nie tylko odłożyć na miejsce wszystko, co wciąż nadawało się do użycia, ale też użyć płynu do czyszczenia szyb czy czegoś takiego, papierowych ręczników i nie wiadomo czego jeszcze.

Nawet dywan wokół toaletki – oczywiście biały – był teraz nieskazitelnie czysty.

– Dziękuję – szepnęła Gin, choć była w apartamencie sama.

Podeszła do półek w garderobie, na których przechowywała swoją kolekcję torebek od Gucciego, Vuittona, Prady i Hermès. Próbowała sobie przypomnieć, z której ostatnio korzystała.

Nagle rozległ się dzwonek telefonu.

Odwróciła głowę, a potem ruszyła za dźwiękiem w stronę wieszaków, otworzyła drzwi, zza których dochodził sygnał i... wyjęła biało-różowo-kremowy jedwabny płaszcz Akris.

Z jego kieszeni wyjęła komórkę i odebrała, choć na ekranie wyświetlał się nieznany numer.

Może to sam Pan Bóg z podpowiedzią, co ma dalej robić?

Aurora przecież miała chyba u Niego całkiem niezłe chody...

– Halo?

– Pani Baldwin? – odezwał się kobiecy głos.

– Tak, słucham.

– Dzień dobry, nazywam się Jules Antle. Jestem opiekunką piętra w internacie pani córki.

– Ach, tak. Tak, oczywiście. – To by tłumaczyło, dlaczego numer na wyświetlaczu zaczynał się od kierunkowego stanu Connecticut. – Czy dzwoni pani, żebym zorganizowała odbiór rzeczy Amelii?

Cholera, przecież pan Harris odszedł. Kto w takim razie mógłby...

– Słucham? Jaki odbiór jej rzeczy?

– Tak, tak, zaraz kogoś umówię. Proszę mi tylko przypomnieć, który to internat.

– Ale przecież semestr się jeszcze nie skończył.

– A więc lepiej poczekać, aż pozostali uczniowie wyjadą do domów?

– Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem. Dzwonię z pytaniem, kiedy Amelia wraca. Pozwoliłam sobie porozmawiać z jej nauczycielami. Powiedzieli, że jeśli po tej przerwie w nauce chciałyby zdawać egzaminy w domu, to jak najbardziej może.

Gin zmarszczyła brwi.

– Ale jakie egzaminy?

Pani Antle, Jules czy jak jej tam zaczęła wyjaśniać wszystko raz jeszcze, nieco wolniej, jakby uznała, że Gin słabo kontaktuje.

– Tak, sprawdziany na koniec roku. Które wypadają już całkiem niedługo.

– Ale dlaczego ona miałyby... Przepraszam, o ile dobrze rozumiem, to Amelię poproszono o opuszczenie szkoły.

– Amelię? Nie, dlaczego? To jedna z naszych najlepszych uczennic. Myślę, że w ostatniej klasie mogłaby spokojnie zostać naszą asystentką. Zawsze wszystkim pomaga, również w nauce, po prostu serce na dłoni. Pewnie dlatego wybrali ją na przewodniczącą.

Gin zamrugła z niedowierzaniem i nagle zdała sobie sprawę, że stanęła twarzą do jednego z luster przy toalecie. Boże drogi, wyglądała strasznie. Ale co się dziwić, przecież zasnęła w makijażu, choć więc jej włosy trzymały się jako tako, twarz przypominała złowrogiego klauna o nawiedzonym spojrzeniu.

Ależ to ironia losu: w tak opłakanym stanie dowiaduje się, że życie jej córki jednak całkiem dobrze się układa.

– Halo? – mówiła do słuchawki pani Antaler, Anlater czy jak jej tam. – Proszę pani?

Gin uznała, że nie będzie wtajemniczać tej kobiety w kłamstwo Amelii.

– Przepraszam. Sporo się tu teraz dzieje.

– Tak, wiem, bardzo nam przykro. Kiedy Amelia dowiedziała się, że zmarł jej dziadek, bardzo chciała jechać do domu na pogrzeb. Jeśli więc chciałyby jeszcze trochę zostać z rodziną, jesteśmy pełni zrozumienia i chętnie tak to załatwimy, żeby nie było problemów. Musimy jednak wiedzieć, jakie ma plany.

– Porozmawiam z nią – obiecała Gin. – I do pani oddzwonię.

– Byłoby wspaniale. Jeszcze raz tylko podkreślę, że bardzo ją tu cenimy. Wychowuje pani wspaniałą młodą kobietę, która uczyni w świecie wiele dobrego.

Gin rozłączyła się i przez chwilę gapiła się na swoje odbicie w lustrze. Potem zaś podeszła do toaletki i usiadła.

Szkoda, że nie istnieje taki guru, do którego można by się udać i poprosić, żeby uporządkował człowiekowi całe życie. Można by wówczas wypróbować rozwiązania w różnych stylach: troskliwa matka, charyzmatyczna kobieta sukcesu, zmysłowa-ale-nie-całkiem-zdeprawowana trzydziestotrzylatka...

Niestety nie istniał taki salon, do którego mogłaby pójść, żeby się pozbyć trapiących ją bólaczek.

Oczywiście mogłaby od razu poddać się pierwszemu impulsowi: odnaleźć Lane'a i kazać mu po pierwsze dowiedzieć się, dlaczego Amelia uznała, że kłamstwo o wyrzuceniu jej ze szkoły to świetny pomysł, a po drugie dopilnować, żeby jak najszybciej wróciła do Connecticut i pozdawała egzaminy. Gin zorientowała się jednak, że jakoś nie ma już do tej drogi przekonania.

Boże, przecież nie miała nawet pojęcia, gdzie ta szkoła się znajduje. Kojarzyła tylko numer kierunkowy.

Poza tym nie wiedziała, gdzie właściwie przebywa teraz jej córka.

Otworzyła listę kontaktów w telefonie, odnalazła na niej Amelię i wybrała opcję połączenia. Po chwili włączyła się poczta głosowa, a Gin od razu zawiesiła rozmowę.

Gdzie ta dziewczyna może być?

Gin wstała z krzesła, bezszelestnie (na nogach miała tylko pończochy)

przeszła do swojej sypialni i otworzyła drzwi na korytarz. Nie było już śladu po wcześniejszym zamieszkaniu, teraz więc była tu sama. Podeszła do drzwi pokoju Amelii i zapukała.

Wobec braku odpowiedzi nacisnęła klamkę i zajrzała do środka. Jej córka leżała w łóżku i spała – albo przynajmniej udawała, że śpi. Nie była w bieliźnie, tylko w koszulce Hotchkiss School. Leżała na boku, twarzą do drzwi. Jej rzęsy, równie długie jak u Samuela, niemal dotykały policzków.

Amelia zmarszczyła czoło, poruszyła brwiami i przekręciła się na plecy. A potem na drugi bok.

Westchnęła głęboko, jak gdyby ponownie zanurzała się w krainę snu.

Gin wycofała się na korytarz.

Lepiej chyba najpierw się trochę umyć, zanim spróbuje komukolwiek przemówić do rozsądku.

Gdy znalazła się z powrotem w swoim apartamencie, poszła do łazienki i zdjęła sukienkę, w której spała. Zwinęła ją i rzuciła w ką, po czym weszła pod prysznic.

Właśnie pocierała ramię myjką z monogramem, kiedy w świetle lampy sufitowej błysnął ogromny diament na jej lewej dłoni.

Ni stąd, ni zowąd usłyszała nagle w swojej głowie głos Samuela:

„Musisz o siebie zadbać”.

– Zaręczyłeś się? – dopytywała Chantal, gdy Lane zamknął bagażnik jej limuzyny.

– Tak – odpowiedział. Po raz chyba setny.

Kwestia jego zaręczyn nie schodziła jej z ust przez cały czas, w którym wszyscy starali się zanieść jak najwięcej jej ubrań, kosmetyków i biżuterii do pokaznej limuzyny, ona zaś bzycała im nad uszami niczym muszka owocówka z piekła rodem. Teraz zaś zostali już z Lane'em sami, jeśli nie liczyć szofera, który zamknął się w kabinie i z pochyloną głową gapił się w komórkę, jakby bał się, że zaraz trafi go odłamek pocisku.

Dziś możesz chyba tylko pomarzyć o napiwku – pomyślał Lane.

– No naprawdę, Lane – ciągnęła Chantal, podczas gdy z nieba znów zaczęły kapać krople deszczu. – Nie mogłeś zaczekać, aż wyschnie atrament na naszych papierach rozwodowych? Przecież...

– To z nią powinienem był od razu się ożenić – przerwał jej Lane. – A ty jesteś ostatnią osobą, która ma prawo kogokolwiek pouczać – dodał, patrząc wymownie na jej brzuch.

Chantal uśmiechnęła się słodko, choć przez jej uśmiech przezierały mordercze instynkty.

– To kiedy zostanie odczytany testament?

– Mojego ojca?

– Nie, papieża. No jasne, że twojego przeklętego ojca!

– Już został odczytany. Nie było w nim zapisów na ciebie ani na twoje dziecko. Jeśli chcesz, możesz go zakwestionować, śmiało, ale to nie przyniesie ci większych dochodów niż praca zawodowa. Ach, zaraz. Przecież ty nie masz

zawodu, prawda? Przynajmniej zgodnego z prawem.

Wymierzyła w jego stronę oskarżycielski palec.

– Zatrzymam to dziecko!

– W przeciwieństwie do mojego, co? – Nie zwracał uwagi na ból rozdzierający mu klatkę piersiową. – Czy może znów urządzisz sobie wycieczkę do kliniki w Cincinnati, kiedy się zorientujesz, że ten dzidzius nie przyniesie ci kasy?

– Może zależało mi tylko na dziecku twojego ojca?

– Może i tak. Zresztą nie wątpię, że to prawda. – Otworzył przed nią tylne drzwi limuzyny. – Wykonawcą testamentu jest pan Babcock Jefferson. Znajdź sobie numer do niego, zadzwoń, umów się na spotkanie i złóż jakiś pozew przeciwko Easterly. Albo nie składaj. Jak sobie chcesz.

– Skontaktuje się z tobą moja adwokat – syknęła Chantal, wsiadając do samochodu.

– Rany, wciąż to powtarzasz. Chętnie z nią porozmawiam, bylebym nie musiał ciebie tutaj oglądać. A teraz pa!

Zatrzasnął drzwi, zanim zdążyła cokolwiek jeszcze powiedzieć, a potem pomachał szoferowi. Następnie zaś wrócił do domu. Gdy zamykał za sobą ciężkie drzwi wejściowe, zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, która godzina.

Miał wrażenie, że pierwsza w nocy.

Wszedł w głąb domu. Johna Lenghego w jego trawiastych szortach zastał w sali gier. Król zbóż nie ćwiczył jednak palców na dwóch taliach kart leżących na obitym zielonym suknie stole do pokera, nie uderzał kijem w kule na zabytkowym stole bilardowym, nie grał sam ze sobą w szachy ręcznie rzeźbionymi bierkami na marmurowej szachownicy ani nie zabawiał się grą w tryktraka.

John Lenghe stał przy ścianie w głębi pomieszczenia i patrzył na obraz zawieszony dokładnie pośrodku ściany wyłożonej kunsztownie zdobionym dębowym drewnem.

Oświetloną od góry twarz Jezusa Chrystusa utrzymano w tonacji kości słoniowej oraz kontrastujących z nią głębokich brązów. Opuszczone oczy

Zbawiciela namalowano tak realistycznie, że można było niemal poczuć na własnej skórze, jak wielkiego aktu boskiego poświęcenia zamierza on dokonać.

– Niezły, co? – spytał łagodnie Lane.

Lenghe obrócił się ku niemu i położył sobie dłoń na sercu.

– Bardzo przepraszam. Nie chciałem wam tak łązić po domu, no ale stało się. Pomyślałem, że lepiej będzie, jak porozmawiasz z tą panią na osobności.

Lane podszedł bliżej i stanął przy stole do bilarda. Kule leżały w trójkącie, gotowe do gry, nie pamiętał jednak, kiedy ostatni raz ktoś tu w ogóle wyciągał kije.

– To miło z twojej strony – powiedział Lane. – I dzięki za pomoc. Gdyby nie ty, cała ta afery trwałaby dwa razy dłużej.

– No cóż, nie chciałbym w żaden sposób obrazić tamtej pani, ale poniekąd chyba rozumiem, dlaczego uważasz, że należy ją zachęcić do poszukania sobie innego lokum.

Lane się roześmiał.

– Och, wy tam, na Środkowym Zachodzie, potraficie bardzo elegancko ludzi podsumować!

– Mogę o coś spytać? – Lenghe znów odwrócił się w stronę obrazu. – Ta tabliczka mówi... że to...

– Tak, to Rembrandt. Zostało to potwierdzone przez wielu ekspertów. Mamy gdzieś w domu całą dokumentację. Podobno w zeszłym roku jakiś prywatny kolekcjoner przyjechał do nas na śniadanie przed derby i zaproponował ojcu za niego czterdzieści milionów dolarów, tak przynajmniej słyszałem.

Lenghe włożył ręce do kieszeni, jakby się obawiał, że mogłyby się zetknąć z drogocenną powierzchnią olejnego obrazu.

– Ale dlaczego jest tu ukryty? – Lenghe rozejrzał się po sali gier. – Nie żebym to pomieszczenie uważał za mało eleganckie, ale nie rozumiem, dlaczego nie wystawić takiego arcydzieła w bardziej widocznym miejscu, na przykład w tym pięknym salonie przy głównym wejściu.

– Och, istnieje całkiem dobry powód. Moja babcia, którą nazywano Starszą

V.E., nie pochwałała hazardu, picia ani palenia. Kupiła ten obraz w Europie jeszcze w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku i kazała go tutaj powiesić, żeby za każdym razem gdy mój dziadek z kumplami zapragnął ponurzać się w grzechu, od razu mógł sobie przypomnieć, kogo w ten sposób zawodzi.

– Sprytna kobieta! – roześmiał się Lenghe.

– Oboje kolekcjonowali obrazy starych mistrzów. Są rozsiane po całym domu, ale ten jest prawdopodobnie najcenniejszy, choć ma dość skromne rozmiary.

– Szkoda, że moja żona nie może go zobaczyć. Zrobiłbym zdjęcie telefonem, ale nie oddałoby jego piękna. Trzeba przed nim stanąć. W tych oczach jest coś niesamowitego, wiesz?

– Twoją żonę też zawsze chętnie ugościmy.

– No cóż, sęk w tym, że ona nie lubi podróżować. Nie żeby bała się latania czy coś takiego. Po prostu nie lubi zostawiać swoich krówek, kurek i piesków. Nie wierzy, że ktokolwiek poza nią umiałby się nimi należycie zająć. Nawet ja. Te zwierzątka są dla niej jak dzieci, wiesz?

Lenghe znów zaczął się wpatrywać w obraz, z wyrazem melancholii na twarzy. Lane zmarszczył brwi i oparł się biodrem o stół do bilarda.

– Naprawdę ci się podoba, co? – spytał.

– Och, tak.

Lane wziął do ręki biały kij do bilarda i kilkakrotnie podrzucał go i łapał, nad czymś się zastanawiając.

– Wiesz, w Bradford Bourbon Company zaszły pewne zmiany, odkąd ostatni raz się widzieliśmy – powiedział.

Lenghe obejrzał się przez ramię.

– Czytałem o tym w gazecie. Nowy tymczasowy prezes, człowiek z zewnątrz. Mądre posunięcie. No i dobrze mieć pod ręką sprawdzonego analityka finansowego, jeśli chce się zapanować nad takim bałaganem. Powinienem zresztą od razu ci pogratulować stanowiska nowego przewodniczącego rady nadzorczej.

Lane skłonił głowę.

– Dziękuję. Tak, pracujemy nad planem mającym zoptymalizować przepływ gotówki. Wydaje mi się, że dzięki Jeffowi zacząłem widzieć wyjście z tej czarnej dziury.

Szalejąca na dworze zawierucha łomotała w drzwi balkonowe.

– Wierzę w ciebie, synku – powiedział Lenghe, kiwając głową.

– Chcę powiedzieć, że w tej sytuacji powinno nam wystarczyć, jeśli dasz nam na kredyt zboża tylko na dwa miesiące. Oczywiście na korzystnych warunkach. Ale jeśli wprowadzimy plan Jeffa, to powinno nam pozwolić złapać wiatr w żagle.

– Mówisz więc, synku, że już nie chcesz ze mną usiąść do kart?

– Nic z tych rzeczy! – Lane spojrział bacznie na swojego rozmówcę. – A nawet chciałbym zaproponować, żebyśmy zegrali o coś innego. Wydaje mi się, że może cię to zainteresować.

Dzięki burzom, które przetoczyły się nad północnymi równinami, a potem nadciągnęły nad stany Indiana i Kentucky, popołudniowy skwar wreszcie nieco zelżał.

Co oznaczało, że Edward mógł z przyjemnością zająć się pracą w stadninie.

Tym razem nie trzymał jednak w ręku kija od miotły. O nie!

Z fioletowoszarego nieba znów zaczął kapać deszcz, a błyskawice popisywały się swoją siłą. Edward opuścił dłoń, w której trzymał młotek, a drugą otarł sobie czoło. Od lat nie naprawiał ogrodzeń i już teraz wiedział, czując nowe bóle w ramionach, że przez wiele kolejnych dni będzie płacił za ten szalony pomysł. Kiedy jednak spojrzął na przecinające pastwisko ciemnobrązowe ogrodzenie z pięciu poziomych sztachet i policzył, ile zużył gwoździ i ile obluzowanych desek porządnie zamocował, przepełniła go całkiem zwyczajna duma.

Owszem, pracował ledwie godzinę i miał już serdecznie dosyć, a prawdziwy mężczyzna powinien pracować w polu po osiem czy dziesięć godzin...

Zawsze to jednak jakiś początek.

Zaraz przed rychłym końcem.

Pokuśtykał z narzędziami z powrotem do pikapa z logo Red & Black, myśląc o butelce wódki, którą ze sobą przywiózł, ale zostawił w samochodzie.

Będzie musiał jeszcze odrobinę z niej wypić. Niedużo.

Usiadł za kierownicą, zamknął drzwi i wyjął butelkę. Jeden łyk, potem drugi... Popił szybko napojem izotonicznym, jak lekarstwo. *Delirium tremens* pomału ustępowało. Gdyby miał jeszcze ze dwa dni, pewnie całkiem by się go pozbył. Nie wiedział jednak, czy ma aż tyle czasu.

Uruchomił silnik i ruszył z powrotem w stronę swojego domku. Samochód podskakiwał na drodze, wzdłuż której rosła równo przycięta trawa, zwrócił uwagę sokoła siedzącego w koronie jednego z drzew ocieniających koryto na wodę i wystraszył dwa wróble w gnieździe na wiszącej nisko gałęzi.

Edward starał się dokładnie zapamiętać cały ten łagodnie falujący teren, linie poprowadzonych ludzką ręką ogrodzeń przecinających pachnącą zieloną przestrzeń... Widząc majestatyczne stajnie o wysokich dachach pokrytych czerwoną i szarą dachówką, pomyślał o swoim dziadku. Choć czuł, jak między łopatkami spływa mu pot, nie włączał jeszcze klimatyzacji. Każdy, kto kiedykolwiek pracował fizycznie, dobrze wie, że jak się człowiek zgrzeje, to tak ma zostać. Krótkotrwała ulga, jaką dałby mu chłodny nawiew w samochodzie, spowodowałaby tylko dalsze problemy z utrzymaniem stabilnej temperatury ciała po wyjściu z powrotem na rozgrzane powietrze.

Poza tym pocenie się było całkiem przyjemne.

Podjechał do stajni B, zaparkował z tyłu i wysiadł z pikapa, trzymając w dłoni młotek i woreczek gwoździ. Jedno i drugie zdawało się teraz ważyć o wiele więcej niż na początku wyprawy. A nawet więcej niż w chwili, gdy niósł je do samochodu po skończonej pracy.

Wszedł tylnym wejściem. Usłyszał głosy – męski i damski – i się zatrzymał.

Przy boksie Neba stali obok siebie Shelby i Joey. Shelby najwyraźniej opowiadała coś o ogierze, pewnie o tym, jak sobie z nim będą radzić podczas burzy. Joey zaś najwyraźniej zgadzał się z każdym jej słowem (pewnie mu tłumaczyła, dlaczego znów założyła zwierzęciu maskę i przez jakiś czas nie

zamierzała jej zdejmować).

Mądre posunięcie. Edward sam chciał zrobić dokładnie to samo.

Joey coś powiedział. Shelby odpowiedziała.

Popatrzyła na niego, a potem odwróciła wzrok.

Joey spojrział na nią i też zaraz odwrócił wzrok.

Edward oparł się o solidny słup stajni, odłożył woreczek z gwoźdźmi, założył ramiona na piersi i się uśmiechnął.

Zaraz jednak znów się wyprostował.

Podczas gdy on obserwował tych dwoje... w otwartym przednim wejściu po drugiej stronie stajni pojawiła się jakaś postać.

Która go bacznie obserwowała.

– Zaraz, zaraz. Co powiedziałaś?

W sali gier w Easterly John Lenghe odwrócił się znów od obrazu Rembrandta w stronę Lane'a, z wyrazem twarzy wskazującym, że nawet gdyby Lane wrzucił na stół do bilarda bombę dymną, król zbóż i tak nic by nie zauważył.

Lane skinął głową, wskazując obraz nabyty przez jego babcię.

– Zagrajmy o niego.

– Chyba nie mówisz poważnie.

– Dlaczego? Bo jest wart co najmniej czterdzieści milionów dolarów, a to zbyt wysoka stawka?

– Nie, wcale nie. Ale chyba nie chciałbyś się z nim rozstać?

No tak, tylko miliarder może powiedzieć coś takiego z kamienną twarzą.

Wobec takiej reakcji pozostaje tylko się uśmiechnąć – pomyślał Lane.

– Czyli byłbyś zainteresowany – Lane uniósł dłoń. – Pod warunkiem, oczywiście, że udostępnię ci całą dokumentację i ubezpieczenie tego dzieła. No i musisz porozmawiać z żoną. Rozumiem, że będziesz chciał to z nią skonsultować, ale pamiętaj: jeśli mnie ograsz, zawiesz jej ten obraz.

Lenghe potarł dłonią swoją mocną szczękę, napinając przy tym potężne

bicepsy.

– No to podsumujmy. Ja stawiam czterdzieści milionów, a ty ten obraz.

– Czterdzieści milionów plus podatek od zysków kapitałowych, który będę musiał zapłacić. Bo muszę zgłosić te czterdzieści milionów do fiskusa. Zaraz zadzwonię do mojego doradcy podatkowego i podam ci dokładną kwotę. Aha, obraz nie należy do majątku ojca, tylko mojej mamy. Matka podarowała go jej, gdy się stąd wyprowadzała, a mama została panią Easterly. Nie jest więc obciążony długami ojca.

– Ale czy twoja mama...

– Nigdy nie była do niego przywiązana. Woli Maxfielda Parrisha. Zawsze uważała, że jej matka gustuje w rzeczach zbyt ciężkich.

Owszem, pozostawała jeszcze kwestia zdolności jego matki do podjęcia jakichkolwiek działań, ale można to jakoś obejść. Wystarczy poprosić Samuela, żeby wystawił Lane’owi upoważnienie do występowania w jej imieniu, z datą wsteczną – co jego stary kumpel może załatwić w mgnieniu oka. Lane podsumował więc umowę, żeby uniknąć wszelkich niejasności.

– Z twojej strony czterdzieści milionów plus podatek od zysków kapitałowych, a z mojej ten obraz. Teksański klincz, pięć kart, dwóch graczy, każdy po tyle samo żetonów. Gramy, aż któryś odpadnie. Do obrazu dodaję pełną dokumentację, a jeśli z jakiegoś powodu zlecisz jego wycenę i wykaże ona, że jest wart mniej niż podana przeze mnie kwota, dorzucę parę innych, żeby pokryć różnicę. – Lane wskazał ręką obraz Rembrandta. – Ale powiem ci jedno. Na zeszłorocznym śniadaniu przed derby był też kurator galerii starych mistrzów bostońskiego Muzeum Sztuk Pięknych. Ojciec spytał go, czy powinien sprzedać ten obraz za czterdzieści baniek. Facet odparł, że nie, bo jest wart z sześćdziesiąt.

John Lenghe kolejny raz spojrział na dzieło.

– On nigdy nie straci na wartości – ciągnął Lane. – To najbezpieczniejsza lokata kapitału. A zarazem najpiękniejsza. Musisz tylko ze mną wygrać.

Minęła chwila, zanim król zbóż znów obrócił się w stronę Lane’a. Ponurym głosem, jakby żałował, że nie może udzielić innej odpowiedzi, odparł:

– Powiniennem zadzwonić do szanownej małżonki. A ty mi lepiej załatw
wgląd w dokumentację.

Sutton miała akurat przerwę między spotkaniami.

Naprawdę.

Miała przerwę między spotkaniami, uznała więc, że skoczy na chwilę z siedziby Sutton Distillery Corporation w centrum Charlemont do hrabstwa Ogden, położonego kawał drogi za miastem.

Kiedy już się tam znalazła, jej mercedes sam skręcił w równiutką utwardzoną dróżkę prowadzącą prosto do renomowanej stadniny Red & Black. Potem zaś jechał dalej przez łąki, mijając doskonale usytuowane stajnie, aż w końcu dotarł do... dawnego domku zarządcy, gdzie obecnie mieszkał Edward.

Zaparkowała w miejscu, z którego już wcześniej korzystała, a następnie wysiadła, z zamiarem... W sumie to jeszcze nie wiedziała, jakie właściwie ma zamiary. Podeszła jednak do drzwi, zapukała, a potem, gdy pomimo dalszego pukania wciąż nie było odpowiedzi, weszła do środka.

Spojrzała na fotel stojący pośrodku pokoju, niemal spodziewając się zastać w nim całkiem sztywnego, nieprzytomnego Edwarda, zmarłego od licznych obrażeń, przedawkowania alkoholu i nadmiaru goryczy.

Fotel był jednak pusty.

Sutton wycofała się i zamknęła drzwi domku, z poczuciem, że cudem udało jej się nie zrobić z siebie idiotki. Pomyślała, że jeśli zaraz wsiądzie do samochodu i odjedzie, może zdąży jeszcze poćwiczyć przed spotkaniem z Richardem Pfordem, z którym miała omówić nowe kontrakty na dystrybucję produktów jej firmy. Niespecjalnie się do tej rozmowy paliła. Pford był człowiekiem o charyzmie nogi stołowej, w grę wchodziły jednak miliony dolarów, a w spotkaniu miało uczestniczyć co najmniej czterech prawników

oraz trzech członków wyższej kadry zarządzającej jej firmy.

Jakaś fizyczna rozgrzewka na pewno by jej się wcześniej przydała.

Nagle jej uwagę przykuł pikap z logo stadniny zajeżdżający na tyły najbliższej stajni. Wysiadł z niego Edward i wszedł do środka, nie zauważając jej obecności. Poczwała się całkiem rozdarta.

W końcu jednak, pomimo deszczu, zdecydowała się podejść do frontowego wejścia do stajni.

W świetle dochodzącym zza jej pleców dostrzegła kobietę stojącą przy boksie w dalszej części budynku, pogrążoną w rozmowie z jakimś człowiekiem. Edward zaś zatrzymał się z tyłu i gapił się na nią, stojąc z założonymi rękami i opierając się o słup podtrzymujący konstrukcję tylnego wejścia.

Z wyrazem twarzy...

No cóż, takim, jakiego Sutton nigdy wcześniej nie widziała. Ciepłym, czułym, nieco melancholijnym.

Jeszcze raz spojrzała więc na kobietę. Była to niska, silnej budowy dziewczyna, w dżinsach mocno opinających uda, mocno już podniszczonych kowbojkach, o dość jasnych włosach ściągniętych w wygodny kucyk. Trudno było na podstawie samego profilu ocenić rysy jej twarzy, ale skórę miała ogorzałą od słońca i biły od niej młodość, zdrowie i swoboda świadcząca o pełnym zaznajomieniu ze stajennym życiem.

Raz na jakiś czas odwracała twarz w kierunku mężczyzny stojącego obok niej.

Edwarda chyba nawet nie zauważyła.

On zaś z całą pewnością nie zauważył Sutton...

Wówczas jednak, jakby czytał w jej myślach, nagle spojrzał w jej stronę i aż się wyprostował. W tej samej chwili kobieta i mężczyzna w stajni zdali sobie sprawę, że nie są sami, i zamarli.

Sutton popędziła na zewnątrz, mało się przy tym nie przewracając, ponieważ na nogach miała szpilki – co przypomniało jej tylko, że podczas gdy kobieta w stajni była tu w swoim żywiole, ona sama czuła się tu całkiem obco.

Ubrana w kostium Chanel z pewnością nie zdołałaby dosiąść konia, a w szykownych louboutinach na pewno nie dałaby rady posprzątać boksu.

A tak właśnie wyglądało teraz nowe życie Edwarda. Zawsze interesował się końmi, teraz jednak całą energię poświęcał hodowli tych zwierząt i przygotowywaniu ich do wyścigów.

A tamta kobieta, tak naturalnie piękna, silna i zdrowa, doskonale tu pasowała. I doskonale pasowała do tego nowego Edwarda.

Sutton zaś, z tym swoim mercedesem, do którego właśnie zmierzała, ze swoimi spotkaniami zarządu i strategiami dla korporacji, należała do świata, z którym on się już pożegnał.

Nie powinna była tu przyjeżdżać.

– Sutton!

Słyszając swoje imię, miała ochotę jeszcze prędzej biec w stronę samochodu, obawiała się jednak, że Edward może zrobić sobie krzywdę, jeśli zacznie ją gonić.

Zatrzymała się więc w deszczu. Brakowało jej odwagi, żeby się odwrócić. Od ich ostatniego zbliżenia myślała o nim bez przerwy. On tymczasem był tu, z tą kobietą – a nawet jeśli nie był, ściśle rzecz biorąc, „z nią”, to sądząc po wyrazie jego twarzy, gdy na nią patrzył, wkrótce tak się to skończy.

Stojąc na trawie, Sutton w końcu się wyprostowała i odwróciła. Na chwilę aż ją zatkało.

Twarz Edwarda była rumiana, nie tak szara jak zwykle, lecz jakby ożywiona przyływem...

No cóż, do diabła, może po prostu czuł się zakłopotany tym, że go tak przyłapała. Ale przecież nie robił nic złego. Sutton po prostu była świadkiem dość intymnej chwili, lecz przecież nie jest z nim w związku, więc to nie jej sprawa.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie powinnam była tu przyjeżdżać.

Zatrzymał się na wprost niej.

– Pada.

– Naprawdę? – bąknęła. Popatrzył na nią dziwnym wzrokiem, a ona

machnęła ręką. – Tak, oczywiście. Tak.

– Wejdz do środka.

Ujął ją za łokieć, ale pokręciła głową.

– Nie, nie. Naprawdę, nie trzeba...

– Wiem. Ale wejdz. Pioruny biją...

Błysnęło i rozległ się przeraźliwy huk wiązki elektrycznej uderzającej w coś drewnianego. Sutton wydało się, że Bóg wreszcie postanowił czegoś ją nauczyć – wciąż nie wiedziała jednak czego.

Och, mogłaby kiedyś spoważnieć. Musi przecież w końcu dać sobie spokój z Edwardem. Właśnie to musi sobie wbić do zakutego łba.

– No chodź – ponaglał ją Edward. – Zanim nas tu coś trafi.

Ruszając w stronę domku, przypomniała sobie gubernatora Kentucky, który zapewniał ją, że zawsze może ją pocieszyć. I właściwie teraz wcale nie wydało jej się to złym pomysłem.

Weszli do środka. Edward zapalił światło, a na ścianie rozbłysła galeria srebrnych trofeów.

– Przyniosę ci ręcznik.

– Nie trzeba, wszystko w porządku. – Czy aby na pewno? – Naprawdę nie powinnam była tu przyjeżdżać.

Chyba zaczęła się powtarzać...

Edward jednak zignorował jej słowa i podał jej ręcznik w kolorze malinowym, dość mocno już wyblakłym wskutek wielokrotnego prania, ale za to miękkim niczym gienza. Przyciskając go delikatnie do twarzy, żeby nie rozmazać sobie makijażu, Sutton uznała, że nawet jej luksusowe ręczniki mu nie dorównują.

Pomyślała też, że tamta dziewczyna ze stajni po prostu by się nim wytarła. Albo i nie, zważywszy, że mokra skóra raczej nie stanowiła dla niej niczego niezwykłego.

Dwadzieścia lat, może dwadzieścia dwa. Trzydziestoosmioletnia Sutton poczuła się jak staruszka.

– Miałem do ciebie dzwonić – powiedział Edward, wchodząc do wąskiej kuchni.

Dźwięk otwieranych i zamykanych przez niego szafek zdawał jej się głośny jak silnik odrzutowca.

– Nie chcę nic do picia...

Gdy wrócił do pokoju i podał jej szklanekę, zmarszczyła brwi, rozpoznając charakterystyczny zapach...

– To moja lemoniada?

– Tak. A przynajmniej powinna ją przypominać. – Edward pokuśtykał w stronę fotela i zaklął, siadając w nim. – Wciąż pamiętam przepis twojej babci.

Sutton pociągnęła na próbę pierwszy łyk.

– Och, udało ci się, idealnie.

– Wyciskanie tych cytryn trwało wieki.

– Powinny być bardzo świeże.

– Tak, to rzeczywiście istotne. – Podniósł na nią wzrok i przyjrzał się rysom jej twarzy. – Wyglądasz... wspaniale.

– Daj spokój, mam mokre włosy i...

– Nie, jesteś piękna, jak zawsze.

Sutton wpatrywała się w swoją lemoniadę, czując na sobie jego spojrzenie.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz?

– Chcę wszystko dokładnie zapamiętać.

– Ale dlaczego?

– Żeby w nocy ogrzewały mnie wspomnienia.

Sutton pomyślała o dziewczynie w stajni. Kusilo ją, żeby spytać Edwarda, co jest grane. Czowała jednak, że nie ma do tego prawa. Lub może raczej... że nie chce wiedzieć.

– Sutton, ja naprawdę...

– Co?

Edward zaklął cicho.

– Chciałbym móc dać ci to, na co zasługujesz, naprawdę. Jesteś... najbardziej niezwykłą osobą, jaką znam. Powinienem był wcześniej ci to powiedzieć. Żałuję, że tego nie zrobiłem. Żałuję... No cóż, wielu rzeczy. Ale po prostu... moje życie się zmieniło, jak zresztą wiesz. Już nigdy nie będę tym, kim kiedyś byłem. Wszystkie moje dawne zajęcia, dawne zwyczaje, dawne towarzystwo, a nawet, do diabła, moja dawna praca... To wszystko przepadło i nigdy nie wróci.

Zamknęła oczy. Wokół nich rozkwitła cisza, jak gdyby Edward czekał, aż Sutton coś powie, ona jednak potrafiła tylko kiwać głową. Bała się, że jeśli spróbuje się odezwać, umkną z niej wszystkie tłumione wewnątrz szlochy.

– Potrzeba ci mężczyzny, który zapewni ci to wszystko, czego ja nie jestem w stanie. Nie jestem odpowiednim kandydatem dla osoby o twojej pozycji społecznej.

– Nic mnie nie obchodzi zdanie innych ludzi.

– Musi cię obchodzić. Przewodzisz wielkiej firmie. Reprezentujesz Sutton Distillery Corporation. Może nie byłoby to takie ważne, gdybyś nie sprzedawała światu własnego nazwiska, gdybyś po prostu pracowała dla tej korporacji jako niezależna profesjonalistka. Ale tak nie jest. Poza tym potrzebujesz w życiu jakiejś stabilności, mężczyzny, który przytuli cię w nocy, pojedzie z tobą na wakacje i będzie stać u twojego boku na różnych imprezach. Nie okłamuj się, Sutton. Dobrze wiesz, że mam rację.

Pociągnęła kolejny łyk lemoniady.

– Dlaczego kochałeś się ze mną przedwczoraj?

– Bo jestem dupkiem bez charakteru. A czasem człowiek robi po prostu to, czego mu potrzeba, nawet jeśli nie jest to całkiem właściwe.

– Aha.

– Nigdy cię nie zapomnę, Sutton. Nigdy.

– Mówisz tak, jakby hrabstwo Ogden leżało na końcu świata – odparła, chociaż dobrze wiedziała, że nie o odległość geograficzną tutaj chodzi.

– Jeśli postanowisz mnie znienawidzić, nie będę cię winił – dodał szorstkim głosem.

– Nie chcę cię zniechęcić. – Sutton podeszła do regału i utkwiała wzrok w trofeach, nie chciała bowiem, żeby Edward widział jej oczy. – Możesz mi coś powiedzieć?

– Co takiego?

– Jeśli cię gdzieś spotkam, no wiesz...

– Nie spotkasz.

Nagle wyobraziła sobie Edwarda unikającego jej podczas derby: chowającego się za kolumny i uciekającego za drzwi łazienki.

– Sutton, nie będziesz mnie widywać.

– A więc naprawdę mnie odcinasz, tak? – Odwróciła się i wskazała na swoją szklankę. – Mogę to gdzieś odstawić? Nie chce mi się pić.

– Daj, wezmę.

Uniosła brodę, podeszła do niego i podała mu szklankę. Gdy zrobiła potem krok w tył, cały domek aż się zatrzęsł od grzmotu, co wydało jej się dziwnie adekwatne do sytuacji.

– Możesz mi wyświadczyć przysługę? – spytała ochrypłym głosem.

– Jaką?

– Nie próbuj mnie odprowadzać do samochodu ani nie proś, żebym została tu choć chwilę dłużej. Pozwól mi odejść z jakąś resztką dumy, dobrze?

Jego oczy, te jego przeklęte oczy patrzyły na nią tak intensywnie, jakby robił jej zdjęcie z długim czasem naświetlania.

Kiwnął głową.

Zamrugła gwałtownie i szepnęła:

– Do widzenia, Edwardzie.

– Do widzenia, Sutton.

A potem wyszła w sam środek burzy.

Idąc w zimnym, rześkim deszczu w stronę mercedesa, uniosła twarz ku niebu, myśląc, że to już trzeci raz moknie z powodu Edwarda. Wsiadła do samochodu, zatrzęsła za sobą drzwi i chwyciła kierownicę, podczas gdy o karoserię i szyby walił grad, niczym armia żołnierzyków w maleńkich

oficerkach.

W przeciwieństwie do poprzedniego razu, gdy przyjechała tu sama drogą C63, teraz wiedziała już, jak zmieniać biegi, i nie musiała na chybił trafił szukać wstecznego ani liczyć na pomoc prostytutki wyglądającej jak jej sobowtór.

Gdy Sutton zmierzała już w stronę szosy mającej ją zaprowadzić z powrotem we właściwe dla niej miejsce, wzięła kilka głębokich oddechów, aż zakręciło jej się od nich w głowie.

A niech to szlag, wciąż czuła w ustach smak tej lemoniady.

Gdy Edward usłyszał, jak samochód Sutton odjeżdża, pomału wypuścił z płuc powietrze. Potem zaś spojrzął na dwie szklanki, które trzymał w dłoniach.

Wlał zawartość swojej szklanki do tej drugiej, a potem odstawił tę pustą i wypił napój, którego recepturę przekazała Sutton jej babcia w jakieś upalne popołudnie.

Wziąć tuzin cytryn i przekroić je na pół porządnym nożem na drewnianej desce. Dodać świeżą wodę ze źródeł w Kentucky, leciutko wapienną, oraz brązowy cukier trzcinowy – ale nie za dużo.

Lód należy umieszczać od razu w szklankach, a nie w dzbanku. Dzbanek powinno się zaś trzymać w lodówce, przykryty folią aluminiową, żeby nie przenikały do niego zapachy innych potraw.

Pić razem z bliskimi.

Edward przymknął powieki. Stały mu przed oczami obrazy Sutton sprzed lat: dwunastolatki, za którą uganiał się w szkole, ponieważ do Charlemont Country Day właśnie zaczęto przyjmować dziewczynki, szesnastolatki wystawionej do wiatru przez tego złamasa, z którym miała iść na bal i któremu Edward przywalił później za to pięścią w nos, wreszcie dwudziestojednolatki, która po ukończeniu studiów wróciła na wakacje do domu – po raz pierwszy zobaczył w niej wówczas pełnokrwistą kobietę.

Potem zaś przypomniał sobie historie opowiadane o jej babci, zwanej

kobietą „bez klasy”. Dziadek Sutton wyjechał bowiem w młodości na Dziki Zachód i wbrew woli rodziny pracował na ranczu, hodując bydło. Spotkał tam piękną dziewczynę, która lepiej od niego jeździła konno, lepiej strzelała i lepiej sobie radziła ze zwierzętami.

Kiedy zaś sprowadził ją do domu, to jego wyrefinowana rodzina musiała się dostosować do narzuconych przez nią standardów, a nie na odwrót. Sutton zawsze powtarzała, że związek jej dziadków stanowił historię miłosną wszech czasów.

Ich miłość przetrwała w lemoniadzie, którą teraz sączył.

Gdy drzwi jego domku znów się otworzyły, wiedział, że to nie Sutton, ona bowiem nie miała już wrócić – ani teraz, ani w ogóle nigdy. I choć pękało mu serce, wiedział, że tak właśnie musi być.

Shelby zatrzasnęła za sobą drzwi i odgarnęła z twarzy mokre kosmyki.

Edward odchrząknął.

– Z Nebem wszystko w porządku? – spytał.

– Tak, świetnie sobie radzi. Jest z nim Joey.

– Dzięki, że przysłaś mnie uspokoić.

– Wcale nie po to przyszłam. – Chwila milczenia. – To była ta twoja?

Edward nie odpowiadał. Po chwili Shelby cicho zagwizdała.

– Naprawdę piękna. Wyglądała jak z bajki. Rzadko widuję takie osoby, chyba że w gazetach.

– Och, uwierz, to nie bajka.

– Dokąd pojechała?

– Do domu.

– Dlaczego? Dlaczego ją puściłeś?

Edward pociągnął łyk ze szklanki Sutton.

– Ponieważ tak należało zrobić.

– Czy to tę lemoniadę szykowałeś tyle czasu rano? To dla niej?

– Nie, nie wiedziałem, że przyjedzie. – Spojrzał na szklankę z napojem. – Zrobiłem ją dla siebie. Musiałem się jej napić.

Ten jeden ostatni raz.

– Wychodzisz gdzieś z Joeyem? – spytał, nie podnosząc wzroku.

Shelby przez chwilę milczała, po czym odparła:

– Tak.

Edward się uśmiechnął.

– Poznają po twoim głosie, że się rumienisz.

– Wcale się nie rumienię!

– Nie kituj!

Shelby nabrała powietrza, ale Edward mrugnął porozumiewawczo.

– Daj spokój, chciałem tylko sprawdzić, czy mnie słuchasz. Poza tym zwracam ci uwagę, że ani razu nie wypowiedziałem imienia Pana Boga.

Shelby przez chwilę gromiła go spojrzeniem, potem jednak też zaczęła się uśmiechać.

– Ale wiesz, że On jest wszędzie? I powiem ci coś jeszcze.

– Co takiego?

– Cieszę się, że dzięki Niemu nasze ścieżki się skrzyżowały.

Edward pokręcił głową.

– Chyba raczej dzięki twojemu ojcu, nie sądzisz?

– Może raczej Ojcu, przez wielkie „O”?

– Każdy wierzy w to, w co wierzy.

– No dobra... – Shelby rozejrzała się po pokoju. – To ja już pójdę do siebie. Chyba że czegoś ci trzeba? Zostawiłam ci w lodówce resztki z lunchu, żebyś miał coś na kolację.

– To miło z twojej strony, dziękuję. Nie, nic mi nie trzeba. Ale i tak dzięki, raz jeszcze.

Trzymając rękę na klamce, Shelby obejrzała się przez ramię.

– Będziesz tu rano?

– Pewnie – odparł, pozwalając swojej głowie opaść i zapisując w pamięci obraz Shelby. – A gdzie miałbym być?

Zaczekał, aż dziewczyna przeanalizuje jego wyraz twarzy, odczyta znaki określające jego witalność i oceni jego potencjalne zamiary, wykorzystując całą swoją wiedzę o koniach. Najwyraźniej jakoś zaliczył ten sprawdzian, ponieważ Shelby w końcu skinęła głową i wyszła na deszcz.

Do Joeya.

Dobrze jest odnaleźć swoje miejsce na ziemi – pomyślał Edward, patrząc na trofea z wyścigów. A najlepiej robić to, co pozwala człowiekowi żyć.

Nawet jeśli może go to dość szybko wykończyć.

Berkley Sedgwick Jewelers był trzecim najstarszym zakładem jubilerskim w Stanach Zjednoczonych. Mieścił się w dzielnicy, w której przedsiębiorstwa handlowe sąsiadowały z domami mieszkalnymi, w uroczej starej willi w stylu wiktoriańskim – wyposażonej w kraty w oknach i kamery pod okapem oraz strzeżonej przez byłego komandosa amerykańskiej armii.

Gin od wielu lat była jego wierną klientką, a przy okazji z prawdziwą przyjemnością pogłębiła znajomość z umundurowanym ochroniarzem – choć bez munduru też dobrze się prezentował.

Teraz jednak wszystkie te igraszki zdawały się odległe o miliony lat świetlnych. Gin zaparkowała rolls-royce'a na parkingu na tyłach posesji. Była już ósma, więc pozostałe miejsca parkingowe pozostawały wolne – z wyjątkiem jednego, na którym stał ogromny czarny SUV, oznaczony niestety tablicami w barwach Uniwersytetu Kentucky.

To właśnie było jedyne zastrzeżenie, jakie Gin miała do Ryana Berkleya, właściciela.

Zakład już zamknięto, ale Gin nie po raz pierwszy przyjechała tu po godzinach. Zanim zdążyła zapukać do pancernych tylnych drzwi, Ryan je przed nią otworzył.

– Tak się cieszę, że zadzwoniłaś – powiedział na powitanie.

Ryan pochodził w prostej linii od założycieli zakładu, Gin czuła więc z nim pewne pokrewieństwo dusz – sama przecież pochodziła z rodziny wielkich przedsiębiorców. Ich znajomość nie wykraczała jednak ponad powierzchowne relacje i okazjonalne zakupy. Choć Ryan był mężczyzną wysokim, dobrze umięśnionym, nadal równie wysportowanym jak w czasach studenckich, gdy grał w drużynie koszykówki (reprezentującej niestety Uniwersytet Kentucky),

miał piękne rysy twarzy, doskonałą fryzurę i błękitne oczy w kolorze jego uczelni, między nim a Gin nigdy do niczego nie doszło.

Ryan był zresztą porządnym człowiekiem. Ożenił się z byłą Miss Kentucky i interesowały go wyłącznie żona, dzieci i zakład.

– Przecież nikomu innemu nie mogłabym zaufać – powiedziała Gin, wchodząc do środka.

Ryan zamknął za nimi drzwi na klucz, po czym szybko przeprowadził Gin przez gabinet i magazyn, jakby nie lubił pokazywać klientom tych nieco mniej eleganckich pomieszczeń. W końcu doszli do części wystawowej, wykończonej w błękitach i wyłożonej grubą wykładziną. W oknach wisiały ciężkie zasłony, teraz zaciągnięte, żeby zapewnić im nieco intymności. Po obu stronach wąskiego, wysokiego pomieszczenia ciągnęły się szklane gablotki pełne niezwykłych klejnotów, które połyskiwały, jakby domagały się uwagi.

Ryan złożył swoje wielkie dłonie i spytał:

– No dobrze, to czym mogę służyć?

– Masz może szampana?

– Dla ciebie zawsze. Może być dom pérignon rosé?

– Przecież wiesz, co lubię.

Gdy Ryan zniknął na zapleczu, Gin zaczęła przechadzać się po sklepie, zatrzymując się przy gablotkach z zabytkową biżuterią. Można tu było wydać miliony dolarów na bransoletki w stylu *tutti frutti* od Cartiera, ozdobne szpilki od Tiffany'ego czy pierścionki o oczkach wielkości orzechów laskowych.

Gin dostrzegła też wyjątkowo piękny naszyjnik projektu Jeana Schlumbergera, wykonany z różowych i żółtych szafirów z dodatkiem turkusów i diamentów. Musiał pochodzić z lat sześćdziesiątych.

– Zawsze wypatrzysz to, co najlepsze – powiedział Ryan, wchodząc do sklepu z kieliszkiem szampana w rękę. – To moja najnowsza zdobycz.

– To z ostatniej aukcji u Christiego?

– Zgadza się.

– Razem z premium zapłaciłeś za niego dziewięćset osiemdziesiąt tysięcy

z groszami. Jaką dajesz marżę? Bo wydaje mi się, że nieco przepłaciliście.

Ryan się roześmiał.

– Wiesz, jak kiedyś ci się znudzi bycie damą z towarzystwa, zawsze możesz zostać moją konsultantką.

– To tylko takie moje hobby.

Chociaż miał rację: Gin miała obsesję na punkcie biżuterii i przez cały rok przeglądała katalogi domów aukcyjnych Christie's i Sotheby's wydawane z okazji aukcji w Nowym Jorku, Genewie i Hongkongu. Dawniej zresztą sama często brała w nich udział, w charakterze nabywcy.

Ale z tym już koniec.

Gin podniosła wzrok na Ryana.

– Chciałabym cię prosić, byś dyskretnie pomógł mi coś załatwić.

– Zawsze do usług – powiedział Ryan, wskazując na dwa krzesła stojące przy gablotce z diamentami. – Chodź, wyjaśnisz mi, w czym rzecz.

Gin poszła za nim, usiadła i postawiła kieliszek na gablotce. Następnie zdjęła pierścioneł zaręczynowy i pokazała go Ryanowi.

– Chcę, żebyś wyjął ten kamień, a w jego miejsce wstawił szlifowaną cyrkonieł.

Ryan wziął do ręki pierścioneł z wielkim diamentem, ale nawet na niego nie spojrział.

– A może po prostu zrobimy ci kopieł podróźną? Byłaby gotowa jutro przed dziesiątą rano...

– Chcę, żebyś kupił ode mnie ten kamieł. Teraz, dzieł. I zapłacił w złocie.

Ryan oparł się na krzeł. Nadal nie patrząc na trzymany w dłoni pierścioneł, zawiesił go sobie na koniuszku palca wskazującego.

– Gin, dobiliłmy razem niejednego targu, ale nie wiem...

– Barweł oceniam na typ H, stopieł czystołci na VVS2. Pierścioneł z kolekcji Harry'ego Winstona, chyba nowy. Na moje oko ze dwadziełcia karatów. Wart okołó półtora miliona w sprzedaźy detalicznej, milion na aukcji. Ja proszę o pięćset tysięcy. Wiem, że to nieco wiełcej niż cena hurtowa, ale po

pierwsze, jestem twoją wierną klientką, a po drugie, pewnie czytałeś gazety i wiesz, że być może będę musiała się pozbyć części kolekcji matki. Jeśli więc nie chcesz, żebym udała się w tym celu do domów aukcyjnych w Nowym Jorku, musisz się teraz postarać przyjąć moje warunki.

Ryan nadal nie skupiał się na samym pierścionku, tylko wpatrywał w Gin.

– Wiesz przecież, że zawsze chętnie ci pomagam, ale to nie jest aż takie proste, jak to przedstawiasz. Trzeba zapłacić podatek...

– To mój problem, nie twój. A pierścionek należy do mnie. Otrzymałam go w zamian za obietnicę zawarcia związku małżeńskiego z Richardem Pfordem, co dokonało się wczoraj. Nawet gdybyśmy jutro mieli się rozwieść, w świetle prawa pierścionek należy do mnie.

– Ale oczekujesz też ode mnie współudziału w oszustwie ubezpieczeniowym. To cacko na pewno jest ubezpieczone. Tak cenne przedmioty zawsze się uwzględnia w polisach.

– To znowu mój problem, nie twój. Ale żeby uprościć sprawę, mówię ci teraz, że anuluję tę polisę, cokolwiek ona zawiera. Nie masz powodu sądzić, że nie wywiążę się z tej obietnicy, ale nie będziesz mógł sprawdzić, czy to faktycznie zrobiłam.

Ryan w końcu spojrzał na kamień, najpierw gołym okiem.

– To dobry interes i dla mnie, i dla ciebie – powiedziała Gin.

Ryan wstał z krzesła.

– Przyjrzę mu się pod mikroskopem. Ale muszę go w tym celu wyjąć z oprawy.

– Rób, co trzeba.

Gin zostawiła kieliszek na gablocie i poszła za Ryanem do pomieszczenia, gdzie zwykle odbywały się prywatne konsultacje z klientami (zwykle byli nimi panowie kupujący diamenty dla swoich przyszłych narzeczonych).

Richard, ty skąpy draniu – pomyślała Gin. Mam nadzieję, że ten kamień przynajmniej jest prawdziwy.

Tymczasem w Easterly Lane wszedł do kuchni. Podązał za miarowym

stukotem noża o deskę do krojenia, aż dotarł do miejsca, gdzie Aurora szybkimi ruchami obrabiała całą siatkę marchewki, produkując równiutkie pomarańczowe krążki o szerokości około pół centymetra.

– No dobrze – powiedział. – Na kolacji oprócz ciebie, Lizzie i mnie będą jeszcze John i Jeff. Max chyba nie przyjdzie. No i nie mam pojęcia, gdzie się podziewają Gin i Amelia.

Podczas gdy John Lenghe zapoznawał się z dokumentacją dotyczącą obrazu Rembrandta, Lane dla zabicia czasu przeszedł się do rzędu małych domków, żeby pogadać z Maxem. Jego brat jednak mocno spał. Lane zadzwonił więc do Edwarda, ten jednak nie odbierał. Ponieważ zaś Lane nie wiedział, kiedy uzyska odpowiedź od Lenghego, nie chciał opuszczać terenu posiadłości.

– Kolacja gotowa, tylko podać – oznajmiła Aurora, sięgając po kolejną marchewkę z siatki. – Zrobiłam rostbef z tłuczonymi ziemniakami i fasolką na parze. To tutaj to dla Gary’ego. Nie zje żadnych warzyw oprócz mojego piure, a też dziś z nami siądzie.

– Zostało trochę ciasta?

– Zrobiłam nowe. Uznałam, że pewnie będziecie głodni.

Lane oparł się dłońmi o granitowy blat i patrzył, jak Aurora zręcznie operuje nożem, stukającym miarowo jak metronom. Odchrząknął.

– Lizzie i Greta przygotowały listę pracowników do zwolnienia.

– No i?

– Sporo ludzi będzie musiało odejść.

– To kto zostaje?

– Ty, Lizzie, Reginald, Greta i Gary. Gary będzie pewnie chciał zatrzymać Timbo, co jest w pełni zrozumiałe. Cała reszta odchodzi. Okazuje się, że Greta uwielbia grzebać w papierach, więc oprócz pracy w ogrodzie zajmie się też księgowością. Lizzie mówi, że weźmie na siebie sprzątanie domu i pomoże Gary’emu i Timbo w koszeniu trawników.

– Zuch dziewczyna! – Aurora przerwała na chwilę siekanie i podniosła wzrok na Lane’a. – To dobra ekipa. Damy sobie radę.

Lane odetchnął z ulgą.

– Też tak myślę. Matce oczywiście zostawimy jej pielęgniarki.

– Ją lepiej zostawić w spokoju. Nic tam przy niej nie zmieniać.

– Zaoszczędzimy w ten sposób... prawie sto tysięcy miesięcznie. Ale źle się z tym czuję, wiesz? Będę musiał porozmawiać z każdym z pracowników z osobna.

– Jeszcze ich znów zatrudnisz. Bez obaw.

– A tego to nie wiem.

– Zobaczysz.

Wróciła do krojenia, po chwili jednak zmarszczyła brwi i poruszyła ramieniem, jakby jej zeszywniało. Potem zaś odłożyła nóż i całkiem zastygła, opierając się na blacie, jakby z trudem próbowała utrzymać równowagę.

– Aurora? Wszystko w porządku?

– W porządku, synku. W porządku.

Potrząsnęła głową, jakby z niej wyrzucała złe myśli, po czym znów chwyciła nóż i wzięła głęboki oddech.

– To idź poszukaj tego swojego kamrata z daleka. Rostbef mi w piecu wysycha, szkoda by było zmarnować tyle dobrego mięsa.

Lane przyglądał się jej twarzy. Boże drogi, za każdym razem wydawała się chudsza.

– Aurora...

– Kamrat z daleka już tu jest – powiedział John Lenghe, wchodząc do kuchni. – Do tego głodny i gotów do gry w pokera.

Lane odwrócił się ku niemu, starając się zapamiętać, że musi jeszcze pogadać z Aurorą. Może potrzebna jej pomoc w kuchni?

– No to co? – rzucił, zacierając dłonie. – Jedziemy z tym koksem?

– Dokumentacja naprawdę robi wrażenie. – John Lenghe zajął miejsce przy blacie, powitawszy Aurorę uprzejmym skinieniem głowy. – No i nie ulega wątpliwości, że obraz jest sporo wart.

– Skontaktowałem się z doradcą podatkowym – powiedział Lane (tak się składało, że był nim kumpel Jeffa z Nowego Jorku). – Dla naszego progno

podatkowego, czyli tego najwyższego, podatek od zysków kapitałowych wynosi dwadzieścia osiem procent. Jak na pewno widziałeś tam w papierach, babcia zapłaciła za niego milion dolarów. W związku z czym fiskus będzie chciał ode mnie dziesięć milionów dziewięćset dwadzieścia tysięcy.

– Czyli magiczna liczba wynosi pięćdziesiąt milionów dziewięćset dwadzieścia tysięcy.

– Na to wygląda.

Lenghe wyciągnął dłoń.

– Jeśli wchodzisz do gry z tym obrazem, to w razie przegranej jestem gotów przelać ci tę kwotę na dowolne konto w poniedziałek rano. Chyba że wolałbyś skorzystać z jakiegoś rachunku za granicą, gdzie banki urzędują nawet w tej chwili, wówczas możemy i tak zrobić.

Lane uściśnął mu dłoń.

– Umowa stoi. Nie, wystarczy zwykły przelew w poniedziałek. Mam do ciebie zaufanie.

Lenghe skierował wzrok na Aurorę.

– Bierzemy panią na świadka – powiedział.

– Dobrze – odparła, po czym wskazała głową Lane'a. – Zawsze całym sercem dbam o naszych gości, ale pan chyba zrozumie, że tym razem będę się modliła o wygraną dla tego mojego chłopca.

Lenghe lekko się skłonił.

– Niczego innego bym nie oczekiwał.

– Umyjcie ręce przed jedzeniem – zakomenderowała Aurora, która odłożyła już nóż i odwróciła się do kuchenki. – Dziś podaję wszystkim jak państwu, w małej jadalni.

Lane w towarzystwie Lenghego ruszył w stronę zlewu przy przeciwległej ścianie. Odkręcił wodę, namydlił dłonie i podał mydło królowi zbóż. Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Oto cała Aurora: tylko ona potrafi bez mrugnięcia okiem przyjąć informację o partii pokera o stawkę ponad pięćdziesięciu milionów dolarów i z równą swobodą kazać miliarderowi umyć ręce, zanim siądzie do stołu.

Och, jak on kochał tę swoją mamunię...

Podczas gdy Ryan Berkley przyglądał się diamentowi pod mikroskopem, Gin poszła po swój kieliszek szampana, wróciła z nim i popijała dom pérignon rosé, czekając na opinię jubilera. Od czasu do czasu zerknęła na diamenty wystawione w tej prywatnej przestrzeni, jeszcze większe od tych w ogólnodostępnym salonie pokazowym. Nawet one jednak wydawały się drobne w porównaniu z tym, co jej zafundował Richard.

O ile oczywiście nie okaże się, że to jakaś cyrkonia.

Ryan w końcu podniósł głowę znad mikroskopu.

– No i...? – spytała Gin.

– Rzeczywiście. VVS1, barwa H lub może I, ze średnią niebieską fluorescencją nieco podbijającą zabarwienie.

Podszedł do drugiego aparatu. Błysnęła lampa na podczerwień, a Ryan pokręcił głową.

– Nie, jednak H. Masz cholernie dobre oko, Gin.

– Dziękuję.

Ryan wziął głęboki oddech.

– No dobrze. To załatwiłaś to sobie.

Gin pociągnęła kolejny łyk szampana, żeby ukryć wielką ulgę.

– Świetnie. To świetnie.

– Ale zdajesz sobie sprawę, że pięćset tysięcy w złocie będzie ważyć nieco ponad jedenaście kilo?

– No to poproszę dwie torby, w każdej po pięć i pół kilo. Spokojnie dam radę je przenieść.

Jubiler zmarszczył brwi.

– To dość sporo pieniędzy, jeśli chcesz tak po prostu sobie z nimi stąd wyjść. Nic ci się nie stanie? Gdzie to ulokujesz?

– Wszystko już umówiłam. Nic się nie martw.

Ryan przechylił głowę.

– No dobrze. Część będzie w sztabkach, a część w monetach, bo nie mam aż tyle ani tego, ani tego. Według APMEX-u cena za kilogram wynosi obecnie czterdzieści tysięcy sto osiemdziesiąt osiem dolarów i czterdzieści centów. Pokazać ci notowania?

– Nie. I nie będę się z tobą targować o jakieś grosze.

– W porządku.

Ryan przez dobre czterdzieści pięć minut wszystko przygotowywał, po czym zaprowadził Gin do piwnicy, gdzie na jej oczach zważył całe złoto, zbierając wszystko na długim blacie roboczym. Kilogramowe sztabki ważyły akurat tyle, ile powinny. Gin cieszył ich ciężar, gdy je trzymała w dłoni.

Dostała ich siedem. Na każdej umieszczono godło Zjednoczonych Emiratów Arabskich z napisem „Emirates Gold”, informację „GOLD, 1 KILO” i numer seryjny. Sztabki były dość cienkie i rozmiarem przypominały jej iPhone.

Resztę należności otrzymała w postaci krugerrandów z RPA – każdy o wadze uncji trojańskiej, z dwudziestodwukaratowego złota. Ryan wyjaśnił jej, że wazą odrobinę więcej ze względu na dodatek niemal trzech gramów miedzi, dzięki której są twardsze i bardziej wytrzymałe.

Było ich całkiem sporo. Wyglądały jak piracki łup.

Ryan przygotował worki z mocnego nylonu. Zebrana na blacie sterta złota połyskująca w świetle okratowanych jarzeniówek umieszczonych pod sufitem pomału zaczęła topnieć – kolejne sztabki i monety znikwały w przepastnych workach.

Gdy wszystko zostało już zapakowane, Gin podpisała dokumenty i wstała, zmierzając ku wyjściu.

– Zaczekaj – powiedział Ryan. – Musimy jeszcze umieścić w pierścionku cyrkonie.

Gin aż przymknęła oczy, wyobrażając sobie, jak zareagowałby Richard,

gdyby wróciła do domu z pustą oprawą.

– Och, no przecież... Oczywiście.

Ryan szybko się z tym uwinął. Znalazł „diamencik” o szlifie szmaragdowym i umieścił go w platynowej oprawie pierścionka. Potem wyczyścił go myjką parową i podał Gin.

Wsunęła go sobie z powrotem na palec z obrączką, po czym powachlowała się tak ozdobioną dłonią.

– Doskonale!

– Musisz bardzo dbać o jego czystość, jeśli chcesz, żeby dobrze imitował prawdziwy diament. Cyrkonie są świetne, ale wystarczy odrobina tłuszczu czy osadu z mydła, a zaraz matowieją.

Gin skinęła głową i schyliła się po worki ze złotem. Uniosła je, nieco stękając.

– Ciężkie...

– Może jednak pomogę ci zanieść je do samochodu?

– Oj, chyba skorzystam z oferty. Bardzo dziękuję.

Wyszła za nim z piwnicy z powrotem do salonu wystawienniczego. Niemal już doszli do tylnych drzwi, gdy nagle Ryan się zatrzymał.

– Nie, nie mogę... Gin, to naprawdę nie jest bezpieczne. Wiem, że to dość spokojna dzielnica, ale proszę cię, pozwól mi towarzyszyć ci w drodze do domu. Albo wezwać dla ciebie ochronę. Proszę cię...

– Nie jadę do domu.

Jego błękitne oczy spoważniały.

– Mam pozwolenie na broń. Zawsze noszę przy sobie pistolet, a do tego trzymam jeszcze dwa w samochodzie. Pozwól mi zadbać, żebyś cało i zdrowo dotarła do celu. W przeciwnym razie nigdy sobie nie daruję, zwłaszcza jeśli coś ci się stanie.

Gin spojrzała na dwa niesione przez Ryana worki i pomyślała, ile są warte.

To zabawne – przez całe życie otaczała ją nieprawdopodobne bogactwo, przejawiało się ono jednak głównie w cyferkach na kontach bankowych,

kwotach dostępnych na kartach płatniczych w jej portfelu oraz plikach banknotów, które nigdy nie zbliżały się nawet do sum rzędu setek tysięcy dolarów. Nawet zgromadzone w jej domu dzieła sztuki, antyki, srebra i klejnoty w rodzinnym skarbcu bardziej kojarzyły jej się z dobrym stylem, gustem i odpowiednim poziomem życia niż z wymiernymi kwotami.

Worki pełne złota stanowiły natomiast coś bardzo konkretnego.

– Mogę cię zawieźć swoim SUV-em – naciskał Ryan. – Wyposażonym w specjalny system bezpieczeństwa. A potem przywiozę cię tu z powrotem, żebyś mogła zabrać swój samochód.

– Jesteś pewien?

Ryan przewrócił oczami.

– Otrzymałem porządne katolickie wychowanie, a mój ojciec przewróciłby się w grobie, gdyby się dowiedział, że pozwoliłem ci samej stąd z tym wyjść. Tak, jestem absolutnie pewien.

– No dobrze. Dziękuję. Bardzo ci dziękuję.

Kilka minut później Ryan podjechał SUV-em do tylnych drzwi domu, zaprosił Gin na miejsce pasażera i... położył jej na kolanach dwa worki pełne złota.

– Jedziemy tylko do banku – powiedziała Gin, gdy Ryan manewrował samochodem, żeby wyjechać z posesji.

– Chwała Bogu – mruknął.

Miejscowy oddział banku PNC znajdował się nieco dalej przy tej samej drodze. Gdy zajechali przed budynek, kierowniczka oddziału – atrakcyjna blondynka – otworzyła im tylne wejście, przeznaczone dla dostawców.

Miała na sobie strój do jogi, a włosy związała w kucyk, dzięki czemu wyglądała znacznie młodziej niż zazwyczaj, gdy pokazywała się w eleganckich strojach służbowych.

– Witam – powiedziała, gdy wysiedli z samochodu wraz z workami, które znów dźwigał towarzysz Gin. – Ryan, jaka miła niespodzianka. Dwadzieścia minut temu widziałam się z twoją Stacy, została jeszcze na zajęciach.

– Naprawdę bardzo się cieszę, że cię widzę – odparł Ryan, całując ją

w policzek.

– Miło to słyszeć.

Weszli do niskiej i mrocznej przestrzeni nieprzeznaczonej dla regularnych klientów. Kierowniczka oddziału zamknęła za nimi wejście, przekręcając koliste pokrętło, aż rozległ się głośny szczeł metalu. Następnie weszli w głąb budynku i przedostali się do ogólnodostępnych pomieszczeń bankowych. Wszędzie były przygaszone światła, panował spokój i porządek.

– Tu mam dokumenty.

Lekko oszołomiona Gin podeszła do wskazanego jej blatu i złożyła kilka podpisów. Długopis okazał się przymocowany do datownika łańcuszkiem z drobnych srebrnych ogniw, który zdawał się syczeć jak wąż, gdy pisała swoje nazwisko. Tu... tu... i jeszcze tu, dziękuję.

– To pani klucz – powiedziała kierowniczka. – Zabiorę panią teraz do pani skrzynki depozytowej.

– Gin, chcesz tam pójść beze mnie? – spytał Ryan.

– Wolałabym, żebyś mi to poniósł.

– Oczywiście.

Cała trójka weszła do skarbca, który otwarto teraz specjalnie dla Gin. Kierowniczka zaprowadziła ich do skrzynki depozytowej znajdującej się przy samej podłodze. Skrzynka przypominała rozmiarami kuchenny kosz na śmieci. Kobieta wzięła od Gin klucz, pochyliła się i włożyła go do dziurki, a następnie dodała drugi, swój, aż w końcu blokada się zwolniła.

Z trudem wyciągnęła z przegródki metalowy pojemnik.

– To największy rozmiar, jaki mamy.

– Proszę nie zrobić sobie krzywdy – powiedziała Gin, po czym zwróciła się do Ryana. – Mogę?

Chciała sama umieścić złoto w skrzynce depozytowej. Gdy to zrobiła, utkwiała wzrok w swoich towarzyszach.

– Biorę was na świadków. To dla mojej córki. Gdyby cokolwiek mi się stało, to będzie należało do niej. To mój dar dla Amelii.

Gin wyjęła z torebki zaklejoną kopertę.

– Wszystko tu napisałam.

Jej list zawierał zresztą nie tylko informację, do kogo ma trafić całe złoto, ale też nazwisko Samuela.

Na pewno będzie wspaniałym ojcem. Jak już wyjdzie z szoku i... przestanie się wściekać na Gin.

Kładąc kopertę na nylonowych workach, czuła na sobie przerażone spojrzenie towarzyszących jej osób. Wcale im się nie dziwiła. Przecież jej ojciec niedawno popełnił samobójstwo – chociaż do końca nie wiadomo, czy aby na pewno.

Pewnie więc się zastanawiają, czy ona nie będzie następną.

– Aha, a jeśli ktoś gdzieś znajdzie moje ciało, musicie wiedzieć, że to sprawka Richarda Pforda – powiedziała, patrząc im prosto w oczy i nie przejmując się paniką malującą się na ich twarzach. – To też jest tam napisane. Jeśli zostaną zamordowana, to on będzie za to odpowiedzialny.

Lizzie ledwo mogła cokolwiek przełknąć.

Nie żeby towarzystwo jej nie odpowiadało. Nie mogła też twierdzić, że mała jadalnia w Easterly, ozdobiona wiszącą na pokrytych kremowym jedwabiem ścianach kolekcją półmisek z japońskiej porcelany imari oraz leżącym na podłodze francuskim dywanem typu Aubusson, jest mało elegancka. A już na pewno nie mogła nic zarzucić potrawom przygotowanym przez panią Aurore.

Chodziło raczej o to, że jej facet miał lada chwila rozpocząć partię pokera, w której stawką było ponad pięćdziesiąt tysięcy... Nie, pięćdziesiąt milionów – poprawiła się w myślach. Pięćdziesiąt milionów dolarów!

Wielki Boże, nie potrafiła sobie nawet wyobrazić takiej sumy.

– ...wydało mi się wtedy całkiem dobrym pomysłem – mówił Lane, który otarł już usta po spałaszowaniu dokładki i oparł się wygodnie na krześle. – Stan wód w rzece był akurat wysoki, no a przecież land rovery to porządne samochody. Postanowiłem podjąć wyzwanie. Wziąłem więc Erniego...

– Zaraz, zaraz – wcięła się Lizzie. – Kto to jest Ernie?

Lane pochylił się w jej stronę i pocałował ją w usta.

– Mój pierwszy samochód. Nazwałem go Ernie.

Z drugiej strony stołu odezwał się Jeff:

– Coś mi się zdaje, że dla Erniego to wszystko nie skończyło się najlepiej.

– Dobrze ci się zdaje. – Lane pociągnął łyk napoju imbirowego. – Tak czy siak, pojechałem na River Road, przedarłem się przez taśmę ostrzegawczą, którą policja ogrodziła brzeg, i...

Pani Aurora pokręciła głową, choć wyraźnie próbowała przy tym zamaskować uśmiech mimowolnie wypływający jej na twarz.

– Całe szczęście, że o tym dotąd nie wiedziała, bo bym musiała zamienić z tobą słówko, młody człowieku.

– Wciąż jeszcze możesz to nadrobić – powiedział John Lenghe ze śmiechem, sięgając po colę. – Impreza dopiero się rozkręca.

– Tak czy owak – przerwał mu Lane – słyszałem, że jeśli tylko samochód nie zatrzyma się w miejscu, to dopłynie do brzegu. No i woda podchodziła coraz wyżej, aż zalała mi maskę.

– A miałeś chociaż rurkę do nurkowania? – spytała Lizzie.

– Niestety nie, a szkoda. Bo widzisz, zaraz pod powierzchnią wody pływało sobie drzewo...

– Boże drogi... – jęknęła Lizzie.

– No i wplątało mi się w kratownicę. Straciłem prędkość, no i... No tak, wtedy właśnie Ernie pożegnał się z życiem. Utknął tam, pod powierzchnią, i czekał, aż poziom wody opadnie. Chcecie wiedzieć, ile zebrało się w nim szlamu? Wyglądał w środku tak, jakby przez dwa tygodnie stał na pustyni pośród burzy piaskowej.

Wszyscy się roześmiali.

– No dobrze, ale co było dalej? Co powiedziałaś ojcu? – dopytywała Lizzie.

Lane nagle spoważniał, a z jego twarzy znikł uśmiech.

– No wiesz... Na szczęście do akcji wkroczył Edward i mnie uratował. Miał trochę zainwestowanych funduszy, odłożonych z różnych prac wakacyjnych i prezentów urodzinowych. No i kupił mi taki sam samochód, używany, niemal identyczny na zewnątrz i w środku. Nieco więcej na liczniku, no ale wiedzieliśmy, że przecież ojciec takich rzeczy raczej nie będzie sprawdzać. Gdyby nie Edward, to... Jezu, nie skończyłoby się to najlepiej.

– Zdrowie starszych braci! – rzucił John, unosząc szklankę.

– Zdrowie starszych braci! – odpowiedzieli pozostali.

– No to co? – spytał Lane, gdy wszystkie szklanki wróciły na stół. – Jedziemy z tym koksem?

John wstał i wziął do rąk swój talerz.

– Jak tylko pomożemy pani Aurorze posprzątać ze stołu. Już nie mogę się doczekać. Coś czuję, że los się dzisiaj do mnie uśmiechnie, synku. Tak coś czuję!

Jeff i pani Aurora również wstali, Lizzie jednak wciąż nie ruszała się z miejsca, a Lane, jakby wyczuł jej nastrój, też tkwił koło niej, podczas gdy pozostali opuszczali jadalnię.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł? – szepnęła Lizzie, ujmując jego dłoń.
– Nie żebym ci nie ufała, ale... To góra pieniędzy!

– Jeśli wygram, Ricardo Monteverdi i cała ta pożyczka w Prospect Trust właściwie znikają. I mamy wówczas szansę wyjść na prostą, ponieważ Jeff postara się postawić firmę na nogi. Boże drogi, powinnaś go zobaczyć, jak sobie radzi tam, w siedzibie głównej. Jest niesamowity. Po prostu niezwykły. Czeka nas kilka chudych miesięcy, ale na koniec roku będziemy już na bieżąco regulować rachunki, a Mack nie będzie musiał się martwić, skąd weźmie ziarno na zacier.

– Nie do wiary, jaki ty jesteś spokojny! – Lizzie się zaśmiała, czy też może raczej zakłęła, trudno było dokładnie stwierdzić, co za dźwięk wydobył się z jej ust. – Ja jestem kłębkim nerwów, a przecież tylko stoję z boku.

– Wiem, co robię. Nie wiem tylko, czy będę miał farta, ale nad tym już człowiek nie panuje. Ale nawet brak farta można nadrobić, jeśli ma się

odpowiednie umiejętności, a mnie ich nie brakuje.

Wyciągnęła dłoń i dotknęła jego twarzy.

– Jestem z ciebie taka dumna.

– Jeszcze nie wygrałem.

– Nie chodzi mi o wynik. To znaczy też jest ważny, ale... Robisz dokładnie to, co sobie zaplanowałeś. Ratujesz swoją rodzinę, zajmujesz się firmą, jesteś... naprawdę niesamowity, wiesz?

Pochyliła się, żeby go pocałować, on zaś się roześmiał.

– Niesforny playboy gdzieś zniknął, co? Widzisz, jak człowiek się zmienia, gdy go pokocha dobra kobieta?

Przez chwilę się całowali, potem zaś Lane posadził sobie Lizzie na kolanach, ona zaś zarzuciła mu ręce na szyję i się uśmiechnęła.

– Widzę, widzę. – Lizzie przygładziła mu włosy na karku. – I wiesz co?

– Co?

Lizzie zbliżyła usta do jego ucha.

– Czy wygrasz, czy przegrasz, dziś w nocy coś ci się trafi...

Lane jęknął cicho, zacisnął dłonie na jej talii i zaczął poruszać biodrami. Znów chciał ją pocałować, lecz go powstrzymała.

– Ruszajmy lepiej do sali gier, zanim nas całkiem poniesie.

– Mnie już poniosło – mruknął Lane. – Możesz mi wierzyć.

– Pamiętaj – szepnęła, zsuwając się z jego kolan – im szybciej skończysz, tym szybciej będziemy mogli...

Lane zerwał się z krzesła, mało go nie przewracając. Złapał Lizzie za rękę i zaczął ją ciągnąć w stronę drzwi jak szalony.

– Przestań mi tu zawracać głowę, kobieto! – huknął, podczas gdy Lizzie głośno się śmiała. – Rany, poker na mnie czeka!

Około pół godziny później Lane siedział przy okrągłym stoliku do pokera w sali gier. Trzy krzesła dalej siedział John Lenghe. Obaj gracze zgodzili się, żeby widzowie zajęli rząd krzeseł ustawionych w pewnej odległości od stołu, tak by nikt nikomu nie zaglądał przez ramię. Lizzie siedziała z Aurorą, a obok nich zajęli miejsca Jeff i Gary – główny zarządca terenów Easterly.

Nie ulegało wątpliwości, że dokonuje się właśnie coś, co nieuchronnie wejdzie do żelaznego repertuaru opowieści o dziejach rodu Bradfordów, podobnie jak pożyczka zaciągnięta przez Abrahama Lincolna u jednego z przodków Lane'a, pożar w Starej Destylarni ugaszony przez innego przodka wodą źródlaną czy wreszcie derby w 1956 roku, podczas których konie Bradfordów zajęły pierwsze, drugie i trzecie miejsce.

Dzięki potrójnej wygranej dziadek Lane'a mógł wybudować nową stajnię w stadninie Red & Black.

– Spóźniliśmy się?

Lane spojrzał w stronę drzwi.

– Mack, jednak przyszedłeś.

– A miałbym coś takiego przegapić?

Do sali gier wszedł główny gorzelnik Bradford Bourbon Company w towarzystwie całkiem ładnej młodej kobiety.

Ach, no tak, to ta asystentka – pomyślał Lane.

– Dobry wieczór. – Mack podszedł do Johna Lenghego. – Miło znów pana widzieć.

– No proszę, mój ulubiony gorzelnik!

Uścisnęli sobie dłonie, po czym Mack powiedział:

– Poznajcie Beth Lewis, moją koleżankę i asystentkę.

Kiedy wszyscy się ze sobą przywitali, Lane nie mógł się powstrzymać przed uniesieniem brwi i posłaniem Mackowi znaczącego spojrzenia za plecami Beth, na co stary kumpel pokazał mu środkowy palec.

– Będzie ktoś jeszcze? – spytał John, gdy wszyscy zajęli miejsca.

– To chyba już wszyscy – odparł Lane.

– Orzeł czy reszka?

– Jesteś moim gościem, więc wybieraj.

– No to orzeł.

John rzucił monetą na środek stołu.

– Orzeł. Czyli pierwsze rozdanie jest moje. Duża ciemna to stówa, mała ciemna pięćdziesiąt.

Lane pokiwał głową i patrzył, jak John tasuje karty. Umówili się na określone wartości czerwonych, niebieskich i żółtych żetonów, których każdy z nich otrzymał tyle samo. Grali bez możliwości ich dokupienia, więc jeśliby się któremuś skończyły lub miałyby ich za mało, żeby postawić zakład, odpadał z gry.

Lane postawił czerwony żeton jako dużą ciemną, a John postawił niebieski. Następnie John rozdał im po dwie karty. Miała teraz nastąpić runda zakładów opartych o wylosowane karty, a potem rozdający musiał „spalić” kartę leżącą na wierzchu, czyli odłożyć ją na bok, a kolejną odkryć. Znowu stawianie zakładów i znowu spalenie jednej karty i odkrycie drugiej. Kolejne zakłady i tak dalej, i tak dalej, aż w końcu powstanie rząd pięciu kart, z których obaj będą mogli swobodnie korzystać, żeby uzupełnić sekwencje kart trzymanyh dyskretnie w rękach.

Jeśli nie trafi się lepszy układ, wygrywa wysoka karta – czyli najwyższa ze wszystkich kart w obu kombinacjach. Dwie pary wygrywają z jedną, a trójka bije dwie pary. Kolor (czyli pięć kart w tym samym kolorze) wygrywa ze stritem (który oznacza pięć kart następujących po sobie, ale różnych kolorów). Ful (czyli para i trójka) jest mocniejszy niż kolor, ale słabszy niż kareta (cztery karty o tej samej wartości). Karetę zaś bije poker – czyli pięć kart tego samego

koloru następujących po sobie.

Najwyższym możliwym układem kart jest zaś poker królewski, czyli as, król, dama, walet i dziesiątka jednego koloru.

Gdyby się teraz trafił, oznaczałoby to, że Aurora naprawdę ma chody u Pana Boga. To znaczy gdyby się trafił Lane'owi.

Bo gdyby to John miał takie szczęście, znaczyłoby to, że jego żona w Kansas modli się bardziej żarliwie niż Aurora tu, w Kentucky.

Lane wziął do ręki swoje karty z pierwszego rozdania. Szóstka karo i dwójka trefl.

Krótko mówiąc... nic specjalnego.

Żadna z nich nie nadawała się nawet specjalnie na wysoką kartę.

Jego jedyną nadzieją był teraz flop, czyli trzy pierwsze karty wyłożone na stół.

Tymczasem John przyglądał się swojej parze. Brwi miał ściągnięte, a mocne ramiona skulone, jakby szykował się do szarży. Wiercił się przy tym na krześle, przygryzał wargi i pocierał czubek nosa.

Wyglądał jednak nie tyle na zdenerwowanego, co raczej podekscytowanego. Czasu było mnóstwo, na stole nie uzbierała się jeszcze żadna sumka, a pięć odkrytych kart dopiero miało się na nim pojawić. Było zdecydowanie za wcześnie na to, żeby taki gracz jak on czymkolwiek się niepokoił.

Lane z kolei zachowywał pełny spokój. Bardziej od własnych kart ciekawiło go, co się dzieje u jego przeciwnika.

Musiał teraz przede wszystkim zapamiętać wszelkie jego tiki i drgnięcia mięśni. W miarę rozwoju gry, gdy John złapie jej rytm, niektóre z nich poznikają, ale jeden czy dwa będą mu towarzyszyć aż do końca, nawet jeśli będzie usilnie próbował się ich pozbyć.

Zawsze może też pojawić się jakiś inny sygnał.

Jak jednak Lane już dawno się przekonał, przy stole do pokera bardziej od wnoszonych do gry stawek liczą się trzy rzeczy: matematyczne sekwencje kart (które trudno jest rozpracować w grze na dwie osoby, gdy nikt inny nie stawia w niej zakładów), układy kart w rękach i na stole oraz mowa ciała

przeciwnika, zdradzająca jego strategię.

John może i dobrze wyczuł, że los się do niego dziś uśmiechnie.

Ale to wcale jeszcze nie znaczy, że ma w kieszeni wygraną.

Ledwie dziesięć minut po tym, jak Ryan Berkley wysadził Gin koło jej rolls-royce'a zaparkowanego przy zakładzie jubilerskim, wjechała do garażu w Easterly i spojrzała na zegarek.

W samą porę. Wpół do dziesiątej.

Richard mówił jej, że ma bardzo ważne spotkanie biznesowe, które późno się skończy. Udało jej się więc wrócić do domu, zanim zdążył się zorientować, że w ogóle gdzieś była.

Idąc do drzwi frontowych, minęła okna sali gier, z której rzadko ostatnio ktokolwiek korzystał. Przez niedokładnie zaciągnięte zasłony dostrzegła swojego brata: siedział przy stole do pokera wraz z siwym starszym mężczyzną, którego nie rozpoznawała. W dłoniach trzymali po dwie karty, a na zielonym suknie stolika piętrzyły się żetony.

Obserwowała ich spora widownia siedząca rzędem w oddali. Wszyscy mieli bardzo poważne miny. Jej brat zdawał się mieć nieco więcej żetonów niż ten drugi, ale potem... Ups, tym razem to chyba ten drugi wygrał, bo pokazał swoje karty, a potem przeciągnął na swoją stronę kupkę żetonów ze środka stołu.

Gin przeszła dalej w stronę drzwi frontowych i spojrzała w okna na piętrze.

W pokoju Amelii nie paliło się światło.

Weszła do rezydencji, a potem do salonu, gdzie usiadła na sofie, z której mogła obserwować hol widoczny przez zwieńczone łukiem przejście.

Czekała i czekała.

I dalej czekała.

Po pustych pokojach niosły się odgłosy gry w pokera. Raz na jakiś czas dawało się słyszeć okrzyki, wybuchy entuzjazmu lub przekleństwa. Śmiechy, które brzmiały dość dziwnie – po prostu dlatego, że już dawno nikt w tym domu się nie śmiał.

Gin zastanawiała się przez chwilę, z kim właściwie gra Lane.

Ale nie miała zamiaru tam schodzić. Musiała czekać w salonie.

Bóg raczy wiedzieć, ile minęło czasu, gdy w końcu w drzwiach wejściowych zjawiała się Amelia, ubrana w niebieskie dzinsy, tak samo wąskie jak wcześniej, oraz luźną bluzeczkę projektu Stelli McCartney, którą z przodu ozdobiły wielobarwne plamy, a z tyłu grupki hashtagów.

Dziewczyna ruszyła po czarno-białej marmurowej posadzce w stronę schodów.

– Zaczekaj chwilkę, jeśli możesz! – zawołała Gin.

Amelia zamarła, z jednym butem opartym na najniższym stopniu.

– Co się dzieje? – spytała.

– Czekałam na ciebie. Podejdź tu do mnie, proszę.

– Idę się położyć...

– Rozmawiałam z asystentką z twojej szkoły.

Zadziałało. Dziewczyna się odwróciła.

– Z jaką asystentką?

– No, z tą panią Antler.

– A, to nie asystentka, tylko opiekunka z internatu. Asystentka to starsza uczennica, która pomaga młodszym w różnych sprawach. Wiedziałybyś to, gdybyś choć raz odwiedziła mnie w szkole.

– Dlaczego mnie okłamałaś, mówiąc, że cię wyrzucili? – Gin uniosła dłoń, stwierdzając przy okazji, że cyrkonია całkiem nieźle się prezentuje. – I wcale nie chcę się z tobą kłócić. Jestem pewna, że miałaś swoje powody. Chciałabym tylko wiedzieć jakie.

Amelia wparowała do salonu w wyrażnie bojowym nastroju.

– Ja tam nie wrócę!

– Nie o to cię pytałam.

– Nie muszę ci się z niczego tłumaczyć.

– To prawda. – Amelia spojrzała na matkę zaskoczona. – Chciałabym jednak wiedzieć, dlaczego...

– W porządku. – Amelia założyła ręce na piersi i uniosła wysoko brodę. – Nikt do mnie nawet nie zadzwonił, żeby mi powiedzieć, że dziadek nie żyje. Przeczytałam o tym w internecie i musiałam sama jakoś przyjechać do domu. I nie mam zamiaru tam wracać. Nie chcę. Uznałam, że jak cię poinformuję o swojej rezygnacji, to mnie zmusisz, żebym tam wróciła. Ale jeśli uwierzysz, że mnie wyrzucili, pozwolisz mi tu zostać.

– Nie podoba ci się ta szkoła?

– Nie o to chodzi! – odparła gniewnie Amelia.

– Coś jest nie tak z prowadzącymi? A może z internatem? Albo z koleżankami?

– Nie, to nie to.

– Chciałabyś chodzić do jakiejś innej szkoły?

– Tak.

– A do której?

– Co się z tobą dzieje? – spytała Amelia, już znacznie mniej naburmuszona, jakby zastanawiała się, czy ktoś przypadkiem nie porwał jej prawdziwej matki i nie podmienił na jakąś podróbkę. – O co ci chodzi?

Gin nie odrywała wzroku od córki, choć nie było to łatwe.

– Nie byłam dla ciebie dobrą matką i przykro mi z tego powodu. Bardzo cię za to przepraszam. Byłam taka młoda, kiedy się urodziłaś, a choć ty spisałaś się na medal i przez te lata bardzo dojrzałaś, ja nie mogę powiedzieć tego samego o sobie. Szczerze mówiąc, kiedy zadzwoniła do mnie ta opiekunka z internatu, w pierwszym odruchu chciałam poprosić Lane'a, żeby się tym zajął. Ale spójrzmy prawdzie w oczy... Mój ojciec nie żyje, z matką nie ma kontaktu, Edward całkiem się wycofał z rodzinnych spraw, Lane stara się jakoś to wszystko ogarnąć, a Aurora nie czuje się najlepiej... Wychodzi więc na to, że my dwie mamy tylko siebie i nikogo więcej. Nie ma nikogo, do kogo mogłybyśmy się zwrócić.

– A co z twoim nowo poślubionym mężem? – spytała z przekąsem Amelia. – On się nie liczy?

– To mój problem, nie twój. Zresztą na jego przykładzie najlepiej widać, co

zawsze robiłam źle. Nim też będę musiała się zająć. – Gin rozejrzała się po znajomym, elegancko urządzonym salonie, a potem znów utkwiała wzrok w Amelii. – Nie mamy dosłownie nikogo oprócz siebie nawzajem. Możesz mnie nienawidzić, zasłużyłam sobie na to i przyjmę cały twój żal. Nie będę go kwestionować i nie będę odpłacać ci własną złością. Ale pomimo twoich negatywnych emocji jedno pozostaje pewne: jeśli nie chcesz wrócić do Hotchkiss School, tylko my dwie możemy jakoś temu zaradzić. Jeżeli zaś zmienisz zdanie i będziesz chciała tam zostać, to my dwie musimy zorganizować twój powrót na kampus. Natomiast jeśli chciałabyś w ogóle zrezygnować z nauki, to cóż... nie pozwolę ci na to. Możesz mnie szanować lub nie, ale wciąż jeszcze nie jesteś pełnoletnia, a ja, przynajmniej w świetle prawa, jestem twoją matką i zamierzam dopilnować, żebyś ukończyła chociaż szkołę średnią. A potem, za dwa lata, nie będę już mogła decydować o twoim życiu, chyba że sama mnie poprosisz o radę.

Amelia zamrugnęła zdziwiona.

Gin wydało się zabawne, że córka na jej oczach jakby zmalęła, choć nic szczególnego się w niej nie zmieniło. W jakiś nieuchwytny sposób zdawała się teraz młodsza, co pewnie wynikało z jakichś jej myśli, emocji czy jeszcze czegoś innego.

– Porozmawiaj ze mną – odezwała się Gin po chwili milczenia. – Powiedz mi, co myślisz.

– Boję się, że jeśli tam zostanę... – Amelia odwróciła wzrok. – Że jeśli tam zostanę, to stąd wszyscy znikną i nie będę miała dokąd wrócić. Słyszałam o naszej sytuacji finansowej. Zadaję więc sobie pytania: czy Easterly w ogóle zostanie w naszych rękach? Co z naszą firmą? Czy na przykład nie odetną nam zaraz prądu?

– Szczerze mówiąc, sama też tego nie wiem. I strasznie mnie boli, że nie mogę ci udzielić odpowiedzi. Ale mogę cię zapewnić, że cokolwiek by się stało, ty wyjdiesz z tego obronną ręką.

– Jak to?

Gin sięgnęła do torebki i wyjęła z niej kluczyk do skrzynki depozytowej.

– Dam ci go już teraz, chociaż nie będziesz mogła z niego skorzystać,

dopóki żyję. Kiedy umrę, pójdziesz do wujka Lane'a i powiesz mu, że ci to dałam. To on jest wykonawcą testamentu, który dziś podpisałam. To kluczyk do skrzynki depozytowej w oddziale banku PNC przy aptece Taylora. Nie powiem ci, co tam się znajduje. Tak jak mówiłam, dostęp do niej uzyskasz dopiero po mojej śmierci. Ale to, co tam znajdziesz, zapewni ci bezpieczną przyszłość, cokolwiek by się tutaj wydarzyło.

Amelia nie podchodziła, Gin wyciągnęła więc rękę z kluczykiem w jej stronę.

– Weź go i schowaj sobie, gdzie chcesz. Tylko nie zgub. No bierz!

Amelia ostrożnie podeszła do matki. Gin, widząc tę jej nieufność, ledwo mogła powstrzymać łzy wzbierające w oczach. Przez swój egoizm prowadzący do licznych zaniedbań nie zauważyła nawet, ile cierpień zafundowała temu niewinnemu dziecku. Przejawiana teraz przez nie ostrożność uświadamiała jej to tak boleśnie, że Gin ledwo mogła oddychać.

– Bardzo cię przepraszam – wymamrotała, gdy Amelia wzięła od niej kluczyk. – Wiem, że to za mało, i nie będę cię winić, jeśli już nigdy mi nie zaufasz. Ale spróbujmy... Spróbujmy zapewnić ci na najbliższe dwa lata odpowiednie warunki do rozwoju. Powiedz mi, proszę, do której szkoły chciałabyś chodzić?

Amelia przez dłuższą chwilę wpatrywała się w kluczyk.

– Charlemont Country Day. Field tam chodzi, znam też trochę innych uczniów. Podoba mi się tam.

– No dobrze. Oto moja propozycja. O ile wiem, wujek Lane chce jutro lub pojutrze urządzać pogrzeb twojego dziadka. Ta opiekunka z internatu mówiła, że możesz zdawać egzaminy tu w domu albo w szkole. Co byś wolała?

– Hmm...

– Jeśli uznasz, że wolisz je zdawać w szkole, to zaraz po pogrzebie zawiozę cię tam samochodem. Albo możemy polecieć samolotem. Jeśli wolisz zostać w domu i zdać je tutaj, sama przywiozę ci tu twoje rzeczy.

Amelia przewróciła oczami.

– Nie miałybyś pojęcia, jak to wszystko spakować.

– Normalnie, do pudeł i toreb. To chyba nie jest wielka filozofia?

– Zrobiłabyś to? Pojechałabyś aż do Connecticut po moje rzeczy?

– Tak.

– Z wujkiem Lane'em, tak?

– Nie, sama. Dałabym sobie radę. To co wolisz?

Amelia podeszła do drugiej sofy i usiadła, podwijając stopy pod siebie. Wciąż wpatrywała się w kluczyk.

– Co jest w tej skrzynce depozytowej?

– Nie powiem ci. Dowiesz się we właściwym czasie.

– Chyba wolałabym jednak tam pojechać i zdać egzamin w szkole. Tak byłoby prościej. I mogłabym na spokojnie się ze wszystkimi pożegnać.

– W porządku. W takim razie pojedziemy tam razem po pogrzebie. Jak myślisz, ile mogą potrwać te egzaminy?

– Och, Boże drogi, jakieś dziesięć dni.

– No dobrze. To ja tu wrócę, a potem pojedę jeszcze raz, po ciebie i twoje rzeczy. A potem zapiszemy cię do Charlemont Country Day, gdzie będziesz chodzić od jesieni.

Gdy Amelia w końcu podniosła wzrok na matkę, spojrzała na nią przez przymrużone powieki.

– Gdzie jest haczyk?

– Nigdzie. Nie ma żadnego haczyka. Nie mam też żadnych oczekiwań co do naszej relacji. Zależy mi tylko, żebyś ukończyła szkołę.

Amelia wzięła głęboki oddech, a następnie włożyła kluczyk do kieszeni dzinsów.

– No dobra. W porządku. No to... mamy plan.

Gin z ulgą zamknęła oczy. Korytarzem niosły się krzyki dochodzące z sali gier.

– Świetnie – szepnęła Gin do córki. – To naprawdę świetnie.

Lane nigdy wcześniej nie uczestniczył w tak wyrównanej grze o tak wielką stawkę.

John Lenghe okazał się wytrawnym pokerzystą. Był niesamowicie opanowany, zwłaszcza gdy już złapał rytm gry. Wykonywał mądre ruchy, szybko podejmował decyzje i nie dawał się ponieść emocjom – a do tego ściśle przestrzegał reguł.

Co dawało jakieś wyobrażenie, jakim sposobem tak świetnie sobie radzi w interesach.

W końcu, po wielu godzinach gry, szli łeb w łeb. Żaden z nich nie popełniał błędów. Trafiały im się strity, pokery i fule, trójki i dwie pary. Fortuna raz uśmiechała się do jednego, a zaraz potem dla równowagi sprzyjała drugiemu.

Siedząca pośród widzów Lizzie wyglądała na całkiem wyczerpaną. Aurora zaś wręcz opierała się na jej przedramieniu, nic bowiem nie wskazywało, żeby gra miała się prędko skończyć.

Okazało się jednak, że koniec nadszedł całkiem znienacka.

– Moje rozdanie – powiedział król zbóż, zbierając karty swojego ostatniego zwycięskiego układu. – Jesteś gotów?

– Zawsze jestem gotów.

John rozdał karty, a Lane spojrział na otrzymany układ.

Miał... dwójkę kier i... asa pik.

No dobra, może uda mu się zebrać kolor. W najgorszym wypadku miał przynajmniej wysoką kartę.

Postawił dużą ciemną, a jego przeciwnik małą. Potem John zastukał w stół palcami. Lane nic nie dał po sobie poznać i też zastukał.

Pierwszą kartą we flopie była dziesiątka karo.

Drugą – ósemka karo.

Diabli nadali!

A ostatnią – as karo. Co stanowiło swego rodzaju dobrą wiadomość, ale nie do końca.

Johnowi najwyraźniej również się ta karta spodobała, bo pokiwał głową.

– Okej, no to...

Serce Lane'a zaczęło mocniej bić. Wiedział, co się stanie, zanim jeszcze John dokończył swoją kwestię.

– *Va banque!*

Co oznaczało, że miał kolor. W zestawieniu z którym para asów nie miała najmniejszych szans. Podobnie zresztą jak trójka. Jediną szansą Lane'a było uzyskanie fula.

Wszyscy dookoła zamarli. Lane kątem oka zauważył, że do sali weszły Gin i Amelia. Zajęły miejsca, a na ich twarzach stopniowo narastało zdziwienie, gdy z przekazywanych im szeptem fragmentów informacji dowiadywały się, co tu się dzieje. Gdy już poukładały sobie to wszystko w głowach, obie wyglądały na zszokowane.

– Pokaż, co tam masz – powiedział Lane, przesuając swoje żetony na środek stołu. – Dodajmy turn, a potem river, i niech Bóg zdecyduje.

– Amen.

John wyłożył na stół swoje karty. Rzeczywiście miał mocny układ: króla i dwójkę karo. Lane również odkrył swojego asa kier i dwójkę pik.

– Nieźle – mruknął John.

– Nieźle, bo ty wygrywasz – powiedział Lane, mrugając porozumiewawczo.

Następną wspólną kartą okazał się... as trefl.

– Ohoho! – John odchylił się w tył, opierając na stole rękę, w której nie trzymał kart. – Niezły numer.

– Owszem, ale nie wiemy jeszcze, jaka będzie ostatnia.

Lane czuł, że serce mało mu nie wyskoczy z klatki piersiowej. Nie musiał

już ukrywać swoich reakcji, ponieważ zakłady zostały postawione, a na ostateczny wynik nic nie miało już wpływu. Trzeba było spalić jedną kartę, a potem wszystko zależało od tego, jaka karta pojawi się na stole jako ostatnia. I tyle, koniec gry – nie musiał więc zachowywać twarzy pokerzysty.

A mimo to nie chciał nic po sobie pokazać – ani obaw, ani ekscytacji. Trzymał go w ryzach przesąd, że jeśli uzewnętrzni swoje uczucia, mogą one źle wpłynąć na wyroki fortuny.

Zerknął na Lizzie – wcale nie patrzyła na karty, tylko na niego, jakby czekała, aż na nią spojrzy. Kiedy ułożyła usta w bezgłośnie „kocham cię”, uśmiechnął się do niej i kolejny raz pomyślał ze zdziwieniem, że choć dorastał w otoczeniu wielkiego bogactwa, to wybrał sobie kobietę, której sama obecność w każdej chwili przypomina mu, jak niewiele w życiu zależy od pieniędzy. Dobra materialne tak niewiele przecież znaczą. Dom, samochód, ubrania – to puste słowa, które nie przesądzają o prawdziwych wartościach łączących człowieka z innymi.

Przypomniał sobie chwilę, gdy spadał z mostu. To zabawne, że szykował się na brutalne spotkanie z taflą wody, cały się spinał, żeby jakoś to przeżyć, przerażony, że to uderzenie go zabije.

Tymczasem prawdziwie groźne było samo spadanie, a nie rzeka w dole. Ta rzeka go ocaliła.

„Ja też cię kocham” – powiedział bezgłośnie do Lizzie.

A potem się odezwał:

– Następna?

John spalił kartę z wierzchu.

Wszyscy wstrzymali oddech...

As kier.

– Ja pier... – John urwał przekleństwo w pół słowa, jak to miał zresztą w zwyczaju.

A Lane... spojrzał na Aurorę, która w ogóle nie patrzyła na to, co się działo przy stole. Z zamkniętymi oczami i głową odchyloną w tył poruszała nieznacznie ustami.

Później, znacznie później... ten właśnie obraz miał do niego wracać: obie ręce Aurory zaciśnięte na przedramieniu Lizzie, całe jej ciało napięte w żarliwej modlitwie... Tak mocno wierzyła w swojego Boga i Zbawiciela, że spokojnie mogła sprowadzić z Nieba cud – Lane był co do tego zupełnie przekonany.

Zerknął na obraz Rembrandta. Wcale go nie zdziwiło, że Chrystus zdaje się patrzeć prosto na jego mamunię.

– Chyba więc jednak zostaniesz w naszej rodzinie – wyszeptał w stronę obrazu.

Wśród zebranych wybuchła fala entuzjazmu. Lenghe zachował się jak prawdziwy dżentelmen: podszedł do Lane'a – nie po to, żeby podać mu dłoń, ale żeby mocno go uściskać. Lane jak przez mgłę wspominał potem, że następnie podbiegli do niego Mack i Jeff, którzy tak mocno nim potrząsali, że aż mu dzwoniły zęby. Lizzie skakała z radości. Nawet Gin i Amelii udzielił się radosny nastrój.

John Lenghe był oczywiście nieco wstrząśnięty. No ale jeśli w jednej chwili człowiek dorabia się długu w wysokości pięćdziesięciu milionów dolarów, to chyba jego świat może na chwilę zdrześć w posadach?

Lane dobrze wiedział, jakie to uczucie.

– Wiesz co – powiedział John, gdy Lane znów do niego podszedł. – Gdybym tego nie zobaczył na własne oczy...

– Też bym nie uwierzył.

– Dobry z ciebie chłopak, wiesz? Nie poddajesz się bez walki, więc ci się uda. Doskonale sobie poradzisz, synku.

John uśmiechnął się do niego z tak szczerym podziwem, że Lane nie wiedział, co ze sobą zrobić.

– Przynieście szampana! – zawołał król zbóż do zebranych. – Rodzina Bradfordów ma dziś co świętować!

Rozległy się kolejne okrzyki entuzjazmu, a Lenghe pokręcił głową.

– Ja zaś muszę wykonać pewien niezbyt przyjemny telefon. Boże, czekają mnie teraz długie miesiące spania na sofie w salonie...

Lane się roześmiał, a potem Lizzie rzuciła mu się w ramiona. Po chwili już się całowali.

– Dzwonię do Monteverdiego – powiedział Lane. – A potem napijemy się szampana.

Lizzie przytuliła się do niego jeszcze mocniej.

– A potem...?

– Zaczynam odczuwać naprawdę potężne zmęczenie, będę więc musiał położyć się do łóżka – odparł Lane i namiętnie ją pocałował. – Wraz z kobietą mojego życia.

– Już się nie mogę doczekać – szepnęła Lizzie, oderwawszy na chwilę usta od jego warg.

Następnego ranka jeszcze przed śniadaniem Lane zawiózł Johna Lenghego swoim porsche na lotnisko. Gdy zwolnił przy bramce i pomachał ręką strażnikowi, poczuł na sobie spojrzenie swojego pasażera.

– Wiesz co, to była naprawdę niezła gra – powiedział Lenghe.

Lane znów dodał gazu i przejechał obok budynku konsjerżów.

– Bez dwóch zdań – odparł.

– Wciąż trudno mi uwierzyć... No cóż, tak się potoczyła fortuna i nie ma co się z nią kłócić.

Lane znów zwolnił i przejechał przez otwartą bramę ogrodzenia z siatki, a potem niespiesznie doprowadził samochód do miejsca, w którym czekał odrzutowiec Lenghego, zatankowany i gotowy do drogi.

– Szczerze mówiąc, mnie też wciąż trudno to ogarnąć. W nocy w ogóle nie spałem.

– Ja też, ale z innego powodu niż ty! – zaśmiał się John. – Tyle dobrego, że przynajmniej szanowna małżonka wciąż jeszcze się do mnie odzywa. Nie jest zadowolona, ale i tak kocha mnie bardziej, niż powinna.

Lane zatrzymał samochód kilka metrów od metalowych schodków opadających na ziemię niczym połyskliwy język odrzutowca.

– Naprawdę będziesz musiał spać na sofie?

– Nieee. – John wysiadł i sięgnął po walizczkę spoczywającą na mikroskopijnym tylnym siedzeniu. – Prawda jest taka, że łatwo jej marzną stopy, musi więc mieć mnie blisko, żeby je sobie rozgrzewać.

Lane zaciągnął hamulec ręczny i też wysiadł. Stanęli naprzeciw siebie przed maską samochodu.

– Nigdy tego nie zapomnę – powiedział Lane.

John Lenghe położył ciężką dłoń na jego ramieniu.

– Wcale nie żartowałem, gdy ci wczoraj mówiłem, że sobie poradzisz. Nie twierdzę, że obejdzie się bez walki, ale wyprowadzisz ten wasz statek z mielizny. Jestem z ciebie dumny.

Lane zamknął oczy.

– Nawet sobie nie zdajesz sprawy... – Odchrząknął i zaśmiał się zażenowany. – Wiesz, zawsze marzyłem o tym, żeby ojciec choć raz mi coś takiego powiedział.

John też się roześmiał, naturalnie i swobodnie.

– A jak myślisz, po co sobie zawracam głowę i mówię ci takie rzeczy? To, że on tak nie mówił, wcale nie znaczy, że to nie jest prawda.

Raz jeszcze poklepał Lane'a po ramieniu i się odwrócił.

– Do rychłego zobaczenia, synku! Dzwon, kiedy tylko zechcesz!

– Zaczekaj! – zawołał Lane. – Mam coś dla ciebie. Wiesz, na pamiątkę tej gry.

Lenghe ze śmiechem odwrócił się znów w jego stronę.

– Jeśli to te cztery asy, co to je trzeba oprawić w ramki, możesz je sobie zatrzymać.

– Nie, te słodziaki są moje. – Lane się uśmiechnął i sięgnął pod deskę rozdzielczą swojego porsche, żeby otworzyć bagażnik.

Potem zaś podszedł do samochodu od tyłu i uniósł klapę. Oczom Lenghego ukazał się zapakowany w szary papier prostokąt o wymiarach mniej więcej dziewięćdziesiąt na siedemdziesiąt centymetrów. Cokolwiek to było, ledwo mieściło się w bagażniku.

Lane wyciągnął pakunek, nieco przy tym stękając.

– Proszę – powiedział.

John Lenghe odłożył walizkę.

– Co to za...?

Ale biorąc pakunek do rąk, już wiedział, że to ten obraz, właśnie

zmieniający właściciela.

Zanim John zdążył się odezwać, Lane wyciągnął rękę.

– Zawieź go żonie, do domu. Niech go sobie powiesi, gdzie chce. A za każdym razem, gdy na niego spojrzysz, niech ci przypomina, że jesteś jak ojciec dla faceta, który przez całe życie marzył o tym, by mieć ojca z prawdziwego zdarzenia. Aha, zanim mi zaczniesz tłumaczyć, że przecież przegrałeś... Spójrzmy na to tak: kupiłeś żonie wspaniały prezent za bardzo przyzwoitą cenę. A przy okazji obaj urządziliśmy sobie naprawdę nieprzeciętną partyjkę pokera.

John Lenghe przez dłuższą chwilę trzymał pakunek w dłoniach. Potem zaś odchrząknął.

– No cóż. To...

– Dokumenty są w środku. Z tyłu obrazu.

John znów odchrząknął i wbił wzrok gdzieś daleko w przestrzeń. Po chwili spytał:

– Ojciec ci mówił?

– O czym? Zanim odpowiesz, przypomnę ci tylko, że zbyt wiele ze sobą nie rozmawialiśmy.

– Moja żona... To znaczy my oboje... Nie mogliśmy mieć dzieci. – Kolejne odchrząknięcie. – No więc tak to wygląda.

Doskonały układ – pomyślał Lane. Mężczyzna bez dzieci w roli ojca dla faceta bez rodziców.

Niewiele myśląc, z całej siły uścisnął króla zbóż, chwytając jego mocne ramiona.

Następnie zrobił krok w tył i zauważył, że twarz mężczyzny tak poczerwieniała od emocji, że wyglądał, jakby doznał poparzenia słonecznego, kosząc te swoje hektary.

– Będziesz musiał wybrać się na Zachód i odwiedzić nas w Kansas – oznajmił John. – Razem z tą twoją miłą narzeczoną. Szanowna małżonka będzie ci chciała osobiście podziękować, a potrafi cuda wyczarować w kuchni. Przyjedźcie więc głodni!

– Załatwione.

John Lenghe jeszcze raz uściskał Lane'owi dłoń, a potem wziął obraz pod pachę, w drugą rękę złapał walizkę i ruszył schodami w górę, po czym zniknął w samolocie.

Lane oparł się o karoserię i patrzył w owalne okienko odrzutowca, za którym jego przyjaciel usiadł w fotelu i przyłożył do ucha komórkę – a potem jeszcze raz pomachał Lane'owi na pożegnanie, z szerokim uśmiechem sugerującym, że „szanowna małżonka” oszalała ze szczęścia.

Samolot zaczął kołować, a potem odleciał. Od jego kadłuba odbijały się promienie porannego słońca. Lane myślał właśnie o pogrzebie czekającym go po południu, kiedy nagle rozdzwoniła się jego komórka. Nawet nie spojrzał na wyświetlacz, tylko od razu odebrał.

– Halo?

– Lane? Tu Mitch Ramsey. Przyjedź szybko do stadniny Red & Black. Twój brat zaraz zostanie aresztowany pod zarzutem morderstwa. Pospiesz się!

Lizzie wracała do kuchni w stroju roboczym. W oddali słyszała jeszcze warkot silnika samochodu, którym Lane wiozł swojego gościa na lotnisko. Co za noc! Co za cud...

No i ten miły gest, na który zdecydował się Lane...

Lizzie znalazła rolkę szarego papieru, pomogła Lane'owi ostrożnie zdjąć obraz ze ściany i dobrze go zapakować. Potem zaś nieźle się bawili, sprawdzając, czy wejdzie do małego bagażnika umieszczonego pod maską sportowego samochodu Lane'a. W końcu jednak okazało się, że – podobnie jak w pokerze – szczęście im sprzyja. Lizzie mogła sobie tylko wyobrazić, jak ucieszy się John Lenghe na wieść, że może zawieźć żonie to arcydzieło.

Boże drogi, miała naprawdę wielką ochotę kiedyś ją poznać. Jak to się mówi? Aha: postawiłaby dolary przeciwko orzechom, że pani Lenghe była równie miła i prostolinijna jak jej mąż miliarder.

Teraz jednak należało się zabrać do pracy.

Tego ranka – kiedy już pochłonie pyszne śniadanie przygotowane przez

panią Aurorę – miała zamiar obejść cały teren i poszukać miejsc, które należałoby skosić. Jeżdżąc traktorkiem ogrodowym w słoneczny poranek i zaprowadzając przy tym porządek, poczuje się jak w niebie.

Przyda jej się taka chwila relaksu, ponieważ po południu czeka ją pogrzeb Williama Baldwine’a, a przyglądanie się, jak Lane dyryguje pochówkiem własnego ojca, na pewno nie będzie łatwe.

Pchnęła drzwi prowadzące do kuchni, mówiąc przy tym:

– Pani Auroro, co tam pani naszykowała...?

Ale przy kuchence nikogo nie było. Nie parzyła się kawa, nie wystawiono miski z owocami, a w powietrzu nie unosił się słodki zapach bułeczek cynamonowych.

– Pani Auroro...?

Lizzie przeszła dalej, zajrzała do przedpokoju i spizarni. Wyjrzała nawet na zewnątrz, żeby sprawdzić, czy czerwony mercedes, którego podarował swojej mamuni Lane, stoi na swoim miejscu. Stał.

Co prawda wszyscy późno położyli się spać, a ich gość wyjechał bardzo wcześniej, w domu jednak wciąż było mnóstwo ludzi do nakarmienia, a pani Aurora zawsze szykowała dla wszystkich śniadanie, nawet po Dniu Niepodległości, kiedy to pracowała do pierwszej w nocy. Poza tym dochodziła już ósma.

Dla tej kobiety to właściwie środek dnia.

Lizzie podeszła do drzwi prowadzących do mieszkania Aurory i zapukała.

– Pani Auroro, jest tam pani? – spytała.

Żadnej odpowiedzi. Strach ścisnął Lizzie żołądek.

Zapukała głośniej.

– Pani Auroro...? Pani Auroro?! Jeśli pani nie odpowie, to wchodzę do środka!

Lizzie odczekała jeszcze chwilę z nadzieją na jakąś reakcję, kiedy jednak ta nie nastąpiła, przekręciła gałkę i pchnęła drzwi.

– Dzień dobry...

Zrobiła kilka kroków, rozglądając się po pokoju. Wszystko wyglądało zupełnie normalnie. Nic nie było...

– Pani Auroro!

Lizzie pędem wbiegła do sypialni i przykucnęła przy kobiecie, która leżała na podłodze, jakby zemdląła.

– Pani Auroro!

Lane w rekordowym tempie dojechał do stadniny, a potem wzbił chmurę pyłu, ostro hamując na żwirze przy trzech radiowozach stojących przez domkiem zarządcy.

Nie wiedział nawet, czy wyłączył silnik. Zresztą niewiele go to obchodziło.

Jednym susem przeskoczył niskie schodki i wpadł do środka, gdzie jego oczom ukazał się widok, którego już nigdy nie miał zapomnieć: na tle regału pełnego trofeów stało trzech policjantów w mundurach, a w przeciwległym kącie pokoju majaczyła postać Mitcha Ramseya, który wyglądał, jakby chciał komuś przywalić.

Pośrodku pomieszczenia, nad siedzącym w swoim fotelu Edwardem stał zaś inspektor Merrimack.

– ...pod zarzutem zamordowania Williama Baldwine’a. Wszystko, co pan zezna, może zostać wykorzystane przeciwko panu...

– Edward! – Lane chciał podbiec bliżej, ale skoczył do niego Mitch i go przytrzymał. – Edward, co tu się, do diabła, dzieje?

Tak naprawdę jednak doskonale wiedział co. Jasna cholera, no wiedział.

– Niech pan sobie da spokój z tymi prawami Mirandy – powiedział zniecierpliwiony Edward. – Zrobiłem to. Zabiłem go. Aresztujcie mnie, postawcie przed sądem i nie zwracajcie sobie nawet głowy obrońcą. Od razu przyznaję się do winy.

Aha, a więc to takie uczucie, kiedy człowiek całkiem głuchnie, a wszechświat dookoła jakby przestał istnieć. Merrimack mówił coś dalej, a Edward mu odpowiadał, padały jakieś słowa, ale Lane nic już nie słyszał...

Do domku wpadła jasnowłosa dziewczyna, tak samo spanikowana jak Lane.

W przeciwieństwie do niego jej nikt nie musiał przytrzymywać. Sama stanęła jak wryta, a potem, gdy obrzuciła wszystkich spojrzeniem, założyła ręce na piersi i tak stała w milczeniu.

– Edward – wymamrotał Lane, nie całkiem świadomy, że w ogóle coś mówi. – Edward, nie...

– Powiem ci, jak to zrobiłem – odezwał się jego brat, kierując na niego spojrzenie. – Żebyś mógł spać spokojnie. Ale kiedy skończę... Nie przychodź mnie tam odwiedzać, Lane. Zajmij się swoim życiem. Ożeń się z tą swoją dobrą kobietą, dbaj o naszą rodzinę. Nie oglądaj się wstecz.

Merrimack otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Edward od razu go uciszył.

– A pan niech się przez chwilę nie odzywa, dobrze? Niech pan wyjmie notesik i sobie notuje. Albo zaczeka, aż powtórzę to samo jeszcze sto razy podczas przesłuchań. Wszystko mi jedno. Ale mój brat zasługuje na to, żeby usłyszeć, co się stało. – Edward znów spojrzał na Lane'a. – Działalem sam. Będą chcieli udowodnić, że ktoś mi pomagał, ale tak nie było. Wiesz, co ojciec mi zrobił. Wiesz, że kazał mnie porwać i torturować. – Edward wskazał dłonią swoje ciało. – Te blizny, ból... To wszystko przez niego. On za tym wszystkim stał. A potem nie zapłacił okupu i jeszcze zrobił z siebie ofiarę. Przez całe życie go nienawidziłem... A potem to się stało i... Powiedzmy, że miałem naprawdę dużo czasu, żeby myśleć o tym, jak go zabić, kiedy leżałem, skręcając się z bólu, i nie mogłem spać ani jeść, ponieważ całe moje życie legło w gruzach.

– Edward... – szepnął Lane.

– Tej nocy, kiedy go zabiłem, coś we mnie pękło. Pojechałem do Easterly, żeby się z nim skonfrontować, bo nie mogłem już dłużej tego znieść. Zaparkowałem na tyłach domu i czekałem, kiedy ojciec wyjdzie z centrum biznesowego, bo jak zwykle pracował tam do późna. Nie sądziłem wówczas, że go zamorduję, ale kiedy wysiadałem z pikapa, on nagle się zatoczył, upadł na ziemię i przewrócił się na plecy. Widziałem, że coś jest nie tak. – Edward patrzył teraz w nieokreśloną dal. – Podeszedłem bliżej i stanąłem nad nim. Znam objawy udaru. To było właśnie to. Krzywił się z bólu i wskazywał

swoją głowę, a potem lewa część jego ciała jakby przestała działać: ręka i noga opadły mu bezwładnie, jakby nie mógł już nimi poruszać.

– Sekcja zwłok faktycznie wykazała udar – wtrącił inspektor. – Wywołany guzem mózgu.

Edward pokiwał głową.

– Patrzyłem, jak cierpi. Nie mam komórki, pomyślałem więc, że powinienem pójść do domu i wezwać karetkę, ale wiesz co? Uznałem, że tego nie zrobię. To była w pewnym sensie frajda tak patrzeć, jak on się skręca z bólu. – Edward zwinął dłoń w pięść. – Zupełnie tak samo jak ja, gdy czekam, aż zadziałają środki przeciwbólowe, i nie mogę już wytrzymać. Miło było patrzeć na niego w takim stanie. Miałem poczucie, że to słuszne i sprawiedliwe. Nie mogę ci powiedzieć, kiedy dokładnie podjąłem decyzję, że naprawdę go zabiję. Pewnie dopiero wtedy, gdy stało się jasne, że on tam tak od razu nie umrze. – Edward wzruszył ramionami. – W każdym razie poszedłem do pikapa, którym przyjechałem. Stoi teraz za stacją B. Kluczyki są w stacyjce. Panowie mundurowi zechcą pewnie zabrać go w charakterze materiału dowodowego. No więc poszedłem do samochodu i podjechałem tyłem do leżącego ojca. Za kabiną jest tam wyciągarka. Znalazłem linę, związałem mu nią ręce i zaczepiłem ją o hak. Wciągnąłem go na platformę ładunkową, bo wiedziałem, że nie dam rady go podnieść. A potem pojechałem na brzeg rzeki. To było najtrudniejsze. Zrzuciłem go z samochodu, ale ciągnąc go po ziemi, poważnie uszkodziłem sobie nogę w kostce. Na tyle poważnie, że kilka dni później ona – tu wskazał Shelby – musiała wezwać doktora Qalbiego, żeby mi ją nastawił.

Jasnowłosa dziewczyna aż się wzdrygnęła. Lane spojrzał na nią, marszcząc brwi, a potem znów utkwiał wzrok w swoim bracie.

– Ale czekaj – przerwał mu. – Przecież on spadł z mostu.

– Niekoniecznie – odezwał się Merrimack. – Przynajmniej nie mamy żadnych nagrań, które by to udokumentowały. Tej nocy zainstalowany tam monitoring nie działał. To akurat jedna z wielu usterek, do których tam doszło, odkąd oddano most do użytku. Nie mamy więc żadnych dowodów, że spadł. Jeśli zaś chodzi o zły stan ciała, zwłaszcza kończyn i torsu, długi czas

przebywania w wodzie to wystarczające wyjaśnienie.

Edward pokiwał głową.

– A więc zaciągnąłem go na brzeg rzeki. Z powodu ulewnych deszczy prąd był bardzo silny. Znalazłem spory kij i zacząłem nim wpychać go do rzeki. Potem jednak wróciłem do pikapa, wziąłem nóż myśliwski i odciąłem mu palec, bo chciałem mieć ten sygnet. Wrzeszczał, gdy to robiłem, więc z całą pewnością był wciąż żywy, ale ledwo się ruszał, więc nie mógł się przede mną obronić. Potem raz jeszcze pchnąłem go kijem i zniknął pod powierzchnią wody. Nóż wrzuciłem za nim, zabrałem palec i wróciłem do rezydencji. Zakopałem go pod oknem sypialni matki, ponieważ ten człowiek przez cały czas trwania ich małżeństwa podle ją traktował. Wiemy o co najmniej jednym nieślubnym dziecku, które spłodził, pieprzył się też z twoją niemal już byłą żoną i jej także zrobił dziecko! Więc po prostu... Zakopałem palec w ziemi, a potem tu wróciłem. Mieszkam sam, więc nikt się nie zorientował, że w ogóle gdzieś wyjeżdżałem. Nikt też nie wiedział, że czekałem na niego w Easterly.

– Ale potem znaleziono ten palec – wtrącił Merrimack.

– Wówczas pomyślałem, że jednak muszę coś zrobić. Pojechałem na imprezę pożegnalną i zakradłem się do centrum biznesowego. Poszedłem do serwerowni, zalogowałem się do systemu, wymazałem zapisy z tamtej nocy i czekałem, czy panowie ze służb sobie z tym poradzą.

– No i sobie poradziliśmy. – Merrimack spojrział na policjantów i pokiwał głową. – Dopadliśmy pana.

– No to zabierzcie mnie i skończmy ten cały cyrk.

Nastąpiła chwila ciszy. Lane nie wierzył własnym uszom, gdy doszedł go dźwięk jego komórki dzwoniącej gdzieś... w samochodzie? Nie, w jego kieszeni! Wyciszył ją, nawet nie patrząc, kto dzwoni.

– No dobra – powiedział zniecierpliwiony Edward. – Jedziemy.

Policjanci poderwali się z miejsc, a Edward wstał z fotela. Merrimack uparł się, że trzeba go zakuć w kajdanki, co było dość niedorzeczne. W końcu poprowadzili go w stronę drzwi.

Przechodząc koło Lane'a, Edward na chwilę się zatrzymał.

– Pogódź się z tym, Lane. Nie buntuj się. Wiesz, jaki on był. Zasłużył na to, co go spotkało, a ja nawet w najmniejszym stopniu nie żałuję tego, co zrobiłem. Musisz zadbać o Gin, Amelię, panią Aurorę i matkę, słyszysz? Nie zawieźdź mnie.

– Dlaczego musiałeś to zrobić? – jęknął ochrypłym głosem Lane. – Nie musiałeś...

– Sam dbam o swoje sprawy. Zawsze tak było i dobrze o tym wiesz. Moje życie jest skończone, to też już wiesz. Nic mi nie zostało i to on zabrał mi to wszystko. Kocham cię, braciszku. Zawsze cię kochałem i zawsze będę cię kochał.

Potem poprowadzono Edwarda po schodach na zewnątrz i dalej przez trawnik do jednego z radiowozów. Posadzono go z tyłu, podtrzymując nieco, ponieważ z rękami skutymi na plecach trudno mu było zachować równowagę. Merrimack usiadł za kierownicą i uruchomił silnik.

Gdy odjechali, Lane stał dalej w miejscu, patrząc na chmurę pyłu unoszącą się za policyjnymi samochodami.

Jego telefon znów się rozdzwonił, on jednak spojrzął na jasnowęsą dziewczynę i zagadnął ją, choć wcale mu się wcześniej nie przedstawiała.

– Przepraszam, zapomniałem, jak się pani nazywa.

– Shelby Landis. Jestem tu pomocą stajenną.

– Miło mi panią poznać. Mam na imię Lane. Jestem jego bratem. Chyba już tu panią kiedyś widziałem?

– Zgadza się.

Lane spojrzął na Mitcha Ramseya.

– To co teraz robimy?

Wiceszeryf przejechał dłonią po twarzy.

– To było porażające wyznanie i wszystko się zgadza. Cała ta przekłeta sprawa... układa się w zgrabną całość. A jeśli wziąć pod uwagę wszystkie okoliczności... Sądzę, że twojego brata czeka dożywocie.

Lane spojrzął raz jeszcze na drogę za otwartymi drzwiami.

Gdy jego komórka rozdzwoniła się po raz trzeci, wyjął ją z kieszeni i mało nie roztrzaskał o ziemię.

Wówczas jednak dostrzegł, kto dzwoni.

– Lizzie, posłuchaj, ja...

W słuchawce rozległ się jednak charakterystyczny dźwięk sygnału karetki. Bynajmniej nie dobiegał z oddali – Lizzie musiała podnieść głos, żeby go przekrzyczeć.

– Panią Aurorę zabierają do szpitala uniwersyteckiego w centrum. Jakies piętnaście minut temu znalazłam ją nieprzytomną koło jej łóżka, ledwo oddychała. O Boże, Lane, chyba tym razem jej się nie uda... Musisz przyjechać na pogotowie. Jestem z nią w karetce. A ty?

Lane zamknął oczy i kolejny raz poczuł się tak jak wtedy, gdy spadał z mostu.

– Zaraz tam będę – rzucił do słuchawki.

Najdłuższy dzień jego życia, bez dwóch zdań – myślał Lane, gdy w końcu około siódmej wieczór oboje z Lizzie dotarli do kuchennych drzwi. No ale niecodziennie się przecież zdarza, że aresztują ci brata pod zarzutem morderstwa, a twoja mamunia zapada w śpiączkę.

Kolejny raz musieli wjechać na teren posiadłości bramą dla personelu, ponieważ przy drodze od frontu zebrał się tłum dziennikarzy.

– Umieram z głodu, ale nie mam ochoty na jedzenie – powiedział, choć właściwie nie powinien narzekać w obecności Lizzie, której wcale nie było źlej niż jemu, zwłaszcza że to ona znalazła rano nieprzytomną Aurorę.

– Jestem wyczerpana – westchnęła Lizzie – ale chyba dziś nie zasnę...

Weszli do kuchni i oboje stanęli jak wryci.

W powietrzu unosił się niesamowity zapach. Nie był wprawdzie znajomy, ale gdyby Lane nie widział na własne oczy, że Aurora leży na oddziale intensywnej terapii i nie reaguje na bodźce, pomyślałby, że znów się krząta w swoim kuchennym królestwie.

Lecz to nie ona stała przed półmiskami pełnymi jedzenia, tylko...

– Jeff? – zdziwił się Lane.

Jego stary kumpel odwrócił się w jego stronę.

– Noż kurwa, nareszcie. Już myślałem, że nie wrócicie na czas.

– Na czas? – Lane wziął Lizzie za rękę i nagle zauważył... – Gin? Co? Ty gotujesz? Amelia? Co tu się w ogóle dzieje?

– Robimy sobie seuda szliszit – odezwała się Amelia.

– Takie zwieńczenie szabatu – wyjaśnił Jeff. – Co prawda mamy już niedzielę, ale poczułem nagły przypływ pobożności i w ten właśnie sposób

pragnę ją wyrazić. Akurat mieliśmy siadać do stołu, przyszliście w samą porę.

– Moja współlokatorka w internacie jest ortodoksyjną żydówką, więc mam trochę wprawy – powiedziała Amelia.

– Bardzo mi pomogła – potwierdził Jeff.

– A ja się uczę – dodała Gin. – Pomału, ale wytrwale. Aha, Jeff, nakryłam do stołu...

– Ty nakryłaś do stołu? – Lane nie mógł ukryć zdumienia.

No dobrze, to też był potężny szok.

Jego siostra wzruszyła tylko ramionami, jakby w ogóle się nie przejmowała tym, że najwyraźniej nad jej ciałem i umysłem zapanował jakiś obcy.

– Tak jak mówiłam, uczę się. Aha, Gary mi mówił, że sprawdzi jeszcze raz cały teren, żeby się upewnić, że nie ma tu już żadnych paparazzich. Zabrałam mu strzelbę. Wystarczy, że jednego z nas oskarżono o morderstwo, niepotrzebne nam kolejne zbrodnie. – Gdy wszyscy spojrzeli na nią z konsternacją, przewróciła oczami. – No dajcie spokój, kochani, lepiej już teraz zacząć się ćwiczyć w wisielczym humorze, bo w przeciwnym razie ta nasza miła gromadka może nie zdołać...

Z frontowej części domu wszedł do kuchni Maxwell, trzymając w dłoni plik serwetek.

– Święta racja, siostrze. Święta racja.

Jeff zaczął zanosić jedzenie na stół.

– No dobrze, zgodnie z tradycją to powinna być raczej lekka przekąska, ale nagniemy troszkę zasady. Wszyscyśmy przez cały dzień głodowali, no a moja matka raczej się nie zjawi, chociaż odgrażała się, że w końcu przyleci tu na Południe. Co odrobinę mnie przeraziło, muszę przyznać...

Okazało się, że właśnie tego Lane'owi było potrzeba.

Usiedli wokół stołu w jadalni dla gości, który jakimś cudem Gin udało się doskonale nakryć. I choć ani tradycje żydowskie, ani w ogóle zwyczaj jadań posiłków z rodziną nie były Lane'owi bliskie, to jednak działo się tu teraz coś prawdziwego i serdecznego – jakby jego dusza nagle otrzymała schronienie, pożywienie i powietrze, jakże inne od zwykłego dachu nad głową, kalorii

zawartych w posiłkach i tlenu wpadającego do płuc.

Właśnie tego potrzebował. Jego serce wiele tego dnia przeszło, stracił ducha i wszelki życiowy optymizm. Rano na lotnisku przeżył jedną piękną chwilę, potem jednak znów przygniótł go potężny ciężar.

Teraz zaś patrzył na ludzi zebranych wokół stołu, wyciągnął dłoń, wziął Lizzie za rękę i przyglądał się swojej siostrze i jej córce, które po prostu ze sobą rozmawiały, zamiast jak dawniej na siebie wrzeszczeć, gapił się na swojego starego kumpla, który wciąż przy nim trwał, a także na swojego od tak dawna nieuchwytnego brata... i wiedział, że zje teraz te pyszne żydowskie potrawy, w których przygotowanie włożono tyle serca, a potem na górze padnie na swoje łóżko wraz ze swoją ukochaną... A następnego dnia wstanie i...

I będzie walczył. O życie swojej mamuni, o odpowiednie traktowanie brata w więzieniu, o przetrwanie firmy oraz zachowanie domu i ziemi przekazanej im przez przodków.

Będzie walczył o swoją rodzinę.

Jest bowiem wojownikiem.

Dojście do tej prawdy wiele go kosztowało.

Wcale nie było łatwo się nim stać.

Lane wziął do rąk podany mu bochenek chleba i oderwał sobie kawałek. Pomyślał o Edwardzie i aż musiał zacisnąć zęby, żeby na nowo się nie rozsypać. To Edward, dokonując tego ostatecznego, niepojętego aktu poświęcenia, zbyt tragicznego, żeby o nim myśleć, ale też zbyt potwornego, żeby o nim zapomnieć, tak naprawdę przygotował grunt pod to wszystko, co się teraz działo.

Bo gdyby William Baldwine wciąż żył... nie byłoby szans na te wszystkie zmiany.

Trudno było nie odczuwać wdzięczności, nawet jeśli za ten cud trzeba było zapłacić zbyt wysoką cenę, a zasady etyczne zostały naruszone tak mocno, że niemal przesłoniło to łączące ich więzy miłości.

Niemal.

Koniec końców wychodzi jednak na to, że rodzinę pozbawiono toczącego ją nowotworu. I owszem, wszyscy na tym zyskali. Ale, Boże drogi, jak do tego doszło!

Lane zdawał sobie sprawę, że jego samego to wszystko na zawsze odmieniło, ale ostatecznie, pomimo wszystkich trudności, wyszło mu to na dobre. Niezależnie od zysków i strat, niezależnie od dramatyzmu sytuacji i całego związanego z nią cierpienia wiedział, że może teraz należycie wypełniać rolę mężczyzny, brata, męża... A jeśli Bóg pozwoli, to również ojca dzieci, którymi może zostaną z Lizzie obdarzeni.

Cały ten proces dojrzewania był jednak bezsprzecznie brutalny; Lane czuł, że po drodze utracił jakąś część siebie.

Anioły przecież też muszą dostać swoją dolę – to ich prawo i ich należność.

Ale przynajmniej przejęte przez nie części jego duszy trafiły już na zawsze pod opiekuńcze skrzydła.

Lane patrzył na Lizzie i czekał, aż ona spojrzy na niego. Gdy tak się stało, ułożył usta w bezgłośnie „kocham cię” i... zaczął jeść.

Siedząc przy stole ze swoją rodziną.

Podziękowania

Osób, którym powinnam podziękować, jest jak zwykle zbyt wiele, co oczywiście świadczy o moim wielkim szczęściu. Na wyrazy mojej wdzięczności w sposób szczególny jednak zasłużyli: Steven Axelrod, Kara Welsh, Kerry Donovan, Craig Burke, Erin Galloway i w ogóle wszyscy pracownicy wydawnictwa New American Library. Muszę też uznać zasługi cudownej Drużyny Waud, jak również całej mojej najbliższej rodziny oraz wspaniałych przyjaciół. I jeszcze Nomers, mojej psiej asystentki. Aha, no i nie omieszkać: Cardinals, do boju!

Przypisy

[1] Nawiązanie do znanego wiersza walijskiego poety Dylana Thomasa (1914–1953) *Nie wchodź łagodnie do tej dobrej nocy*, [w:] Dylan Thomas, *Wiersze wybrane*, przeł. Stanisław Barańczak, Kraków 1974, s. 183 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] Gloria Allred – znana amerykańska adwokat specjalizująca się w obronie praw kobiet.

[3] Nawiązanie do autobiograficznej książki Mai Angelou zatytułowanej *Wiem, dlaczego ptak w klatce śpiewa* z 1969 roku.